

The background of the book cover is a photograph of an interior architectural space. It features a large, fluted column with a decorative capital on the right side. To the left, there is a large, dark archway. The lighting is dramatic, with strong highlights and deep shadows, creating a sense of depth and grandeur. The overall color palette is warm, dominated by the reddish-brown tones of the stone or brick.

DOUGLAS PRESTON
LINCOLN CHILD

KSIEGA
UMARŁYCH

Douglas Preston
Lincoln Child

Księga umarłych

Z angielskiego przełożył
Robert P. Lipski



Wersja elektroniczna

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)

[60](#)
[61](#)
[62](#)
[63](#)
[64](#)
[65](#)
[66](#)
[67](#)
[68](#)
[69](#)
[70](#)
[71](#)
[72](#)
[73](#)
[74](#)
[75](#)
[76](#)
[77](#)
[78](#)
[79](#)
[80](#)
[81](#)
[82](#)

[Od autorów](#)

*Lincoln Child dedykuje tę książkę
swojej matce Nancy Child*

*Douglas Preston dedykuje tę książkę
Annie Marguerite McCann Taggart*

Podziękowania

Chcieliśmy podziękować następującym osobom z Warner Books: Jaime Levine, Jamie Raab, Beth de Guzman, Jennifer Romanello, Maureen Egen i Devi Pillai. Dziękujemy również Larry'emu Kirshbaumowi, że uwierzył w nas od pierwszego dnia.

Dziękujemy naszym agentom: Ericowi Simonoffowi z Janklow Nesbit Associates oraz Matthew Snyderowi z Creative Artists Agency.

Bukiet orchidei z cieplarni dla Eadie Klemm za utrzymywanie nas w schludności i otrzepywanie z kurzu.

Hrabia Niccolo Capponi z Florencji we Włoszech zasugerował nam (to był genialny pomysł!), abyśmy wykorzystali w naszej książce poemat Carducciego.

I jak zawsze szczególne podziękowania dla naszych żon i dzieci za ich miłość i wsparcie.

1

Promienie porannego słońca złociły brukowany podjazd dla pracowników przy nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej, oświetlając przeszkloną budkę strażniczą stojącą przed łukowato sklepioną granitową bramą. Wewnątrz wartowni, na fotelu siedział wygodnie mężczyzna mocno posunięty w latach i doskonale znany całemu personelowi muzeum. Pykał z zadowoleniem fajeczkę z kalebasy i cieszył się przyjemnym ciepłem jednego z tych nielicznych lutowych dni zdających się złudnie zwiastować nadejście wiosny, kiedy żonkile, krokusy i drzewka owocowe, skuszone promieniami słońca, zakwitwały przedwcześnie tylko po to, by zwiędnąć parę dni później, jeszcze przed końcem miesiąca.

– Dzień dobry, doktorze – powtarzał raz po raz Curly, zwracając się tak do każdego wchodzącego, czy to pracownika kancelarii, czy dziekana z tytułem naukowym. Kuratorzy przychodzili i odchodzili, dyrektorzy wspinali się na szczyty kariery, rządzili w chwale, a ostatecznie popadali w zapomnienie, człowiek orał pole, by samemu zlec w ziemi, lecz wyglądało na to, że Curly nigdy nie opuści swojej wartowni. Był nieodłącznym elementem wystroju muzeum, jak ultrazaur witający zwiedzających w Wielkiej Rotundzie.

– Siema, papciu!

Marszcząc brwi na dźwięk tych nadmiernie poufałych słów, Curly odwrócił się, by ujrzeć posłańca wsuwającego paczuszkę przez okno

jego budki strażniczej. Pakiet z głuchym łupnięciem wylądował na niewielkiej półeczce, gdzie strażnik trzymał tytoń i mitenki.

– Ejże! – rzucił Curly, dźwigając się z fotela i machając ręką przez okno. – Co to jest?

Ale kurier już się oddalił na potężnym górskim rowerze o grubych oponach; jego plecak pełen był innych, niedoreczonych jeszcze przesyłek.

– A niech mnie – mruknął Curly, wpatrując się w paczkę. Mierzyła dwanaście cali na osiem i miała jakieś osiem cali grubości; była opakowana w brązowy przetłuszczony papier i przewiązana staroświeckim szpagatem, którego nadawca bynajmniej nie żałował. Była tak pognieciona, że Curly zastanawiał się przez chwilę, czy po drodze tutaj kurier nie został aby potrącony przez ciężarówkę. Adres nakreślono dziecięcym charakterem pisma: Dla kustosza od skał i minerałów, Muzeum Historii Naturalnej.

Wpatrując się z zamyśleniem w paczuszkę, Curly wytrząsnął resztki tytoniu z samego dna fajki. Muzeum każdego tygodnia otrzymywało od dzieci setki przesyłek zawierających najróżniejsze „podarunki” do kolekcji. Owe podarki mogły zawierać wszystko, od rozgniecionych robaków i bezwartościowych kamieni, po groty strzał i zmumifikowane truchła zwierząt rozjechanych na szosie. Westchnął, po czym podniósł się ciężko ze swego wygodnego fotela i wcisnął paczkę pod pachę. Odłożył fajkę na bok, otworzył przesuwane drzwi do swojej wartowni, po czym wyszedł na jasno oświetlony podjazd i zamrugał dwukrotnie powiekami. Następnie odwrócił się w stronę punktu odbioru poczty, oddalonego zaledwie o kilkaset stóp, po drugiej stronie podjazdu.

– Co pan tam ma, panie Tuttle? – dobiegł go głos.

Curly odwrócił się w tę stronę. To był Digby Greenlaw, nowy zastępca kierownika do spraw administracyjnych, który wyszedł

właśnie z tunelu prowadzącego na służbowy parking.

Curly nie odpowiedział od razu. Nie lubił Greenlawa i jego protekcyjnego tonu. Tego, jak zwracał się do niego: „Panie Tuttle”. Kilka tygodni temu Greenlaw zakwestionował sposób, w jaki Curly sprawdził dokumenty osób wchodzących, skarżąc się, że strażnik nawet nie patrzy na nie. Do licha. Curly wcale nie musiał ich oglądać, znał z widzenia wszystkich pracowników muzeum.

– Paczkę – mruknął w odpowiedzi.

Głos Greenlawa przybrał oficjalny ton. – Paczki powinny być dostarczane bezpośrednio do punktu odbioru poczty. A pan nie powinien opuszczać swego posterunku.

Curly nie zatrzymał się. Był w takim wieku, kiedy człowiek odkrywa, iż najlepszym sposobem na uporanie się z dokuczliwymi problemami jest udawanie, że nie istnieją.

Usłyszał za sobą przyspieszone kroki pracownika pionu administracyjnego, a jego głos przybrał na sile; najwyraźniej tamten uznał, że strażnik go nie usłyszał. – Panie Tuttle? Mówiłem, że nie powinien pan zostawiać wartowni bez nadzoru!

Curly przystanął, odwrócił się. – Dziękuję, że zechciał mi pan pomóc, doktorze.

Greenlaw spojrział na paczuszkę i lekko przymrużył oczy. – Nie powiedziałem, że sam ją tam odniosę.

Curly podał mu przesyłkę.

– Och, na miłość boską. – Greenlaw z irytacją wyciągnął rękę, ale dłoń mu zawisła w pół drogi. – Dziwnie wygląda. Co zawiera?

– Nie wiem, doktorze. Przysłano ją pocztą kurierską.

– Wygląda na to, że nie obchodzono się z nią należycie. Curly wzruszył ramionami.

Ale Greenlaw wciąż nie wziął od niego przesyłki. Nachylił się w jej stronę, przyglądając się z uwagą. – Papier jest rozerwany. Jest tu

nieduży otwór... proszę spojrzeć, coś się wysypuje.

Curly opuścił wzrok. W jednym z rogów paczki faktycznie była dziura i wąską strużką wysypywał się przez nią brązowy proszek.

– Co u licha? – mruknął Curly.

Greenlaw cofnął się o krok. – Sypie się stamtąd jakiś proszek. – Nieznacznie podniósł głos. – O Boże! Co to może być? Curly stał jak wrośnięty w ziemię.

– Na miłość boską, Curly, rzuć to na ziemię! To węglik! Greenlaw zatoczył się w tył. Jego oblicze przepełniała panika. – To atak terrorystyczny, niech ktoś wezwie policję! Miałem styczność z niebezpieczną substancją! O mój Boże, miałem styczność ze śmiertelnie groźną substancją!

Administrator, cofając się, upadł na bruk, zaczął drapać ziemię paznokciami, ale już po chwili poderwał się na nogi i rzucił do ucieczki.

Niemal natychmiast z budki strażniczej naprzeciwko wybiegło dwóch wartowników: jeden przechwycił Greenlaw, podczas gdy drugi podbiegł do Curly'ego.

– Co robisz? – wrzasnął Greenlaw. – Cofnij się! Dzwon pod 911!

Curly nie ruszył się z miejsca, przez cały czas trzymał paczkę w ręku. To, co się działo, wykraczało poza jego dotychczasowe doświadczenia do tego stopnia, że jego umysł jakby się wyłączył.

Strażnicy cofnęli się, Greenlaw również. Przez chwilę na niewielkim dziedzińcu panowała osobliwa cisza. Wkrótce jednak rozległ się rozdzierający jęk syreny alarmowej, ogłuszający na tej niedużej przestrzeni. Niecałe pięć minut później dał się słyszeć dźwięk zbliżających się syren zwiastujących diametralną zmianę i początek pełnych dramatyzmu działań: radiowozy z włączonymi kogutami, trzaski płynące z włączonych radiostacji i krótkofalówek, mundurowi uganiający się to w jedną, to w drugą stronę, rozwijający żółte

plastikowe taśmy, rozstawiający zapory i ustalający granicę kordonu, funkcjonariusze przez megafony nakazujący gromadzącym się gapiom, aby się wycofali, a równocześnie mówiący Curly'emu, aby rzucił paczkę i się cofnął – miał rzucić paczkę i się cofnąć.

Ale Curly nie rzucił paczki i nie cofnął się. Pozostał na miejscu zdezorientowany, wpatrując się w wąski brązowy strumyk sypiący się przez otwór w przesyłce i formujący nieduży kopczyk na bruku u jego stóp.

Chwilę później podeszli do niego dwaj dziwnie wyglądający mężczyźni w pękatych białych kombinezonach i hełmach z plastikowymi przyłbicami, szli wolno, z wyciągniętymi do przodu rękami; Curly'emu przywodzili na myśl postacie ze starych filmów science Action.

Jeden łagodnie schwycił Curly'ego za ramiona, podczas gdy drugi wyłuskał paczkę z jego dłoni i z wielką pieczołowitością odłożył ją do niebieskiego plastikowego pojemnika. Pierwszy mężczyzna odprowadził strażnika na bok i zaczął starannie odkurzać go dziwnie wyglądającym urządzeniem, po czym obaj ubrali go w jeden z tych niesamowitych kombinezonów; cały czas słyszał ich głosy zniekształcone przez urządzenia elektroniczne – mówili mu, że wszystko będzie w porządku. Kiedy założyli mu na głowę hełm, Curly poczuł, że jego umysł znów zaczyna funkcjonować, jego ciało odzyskało zdolność poruszania się.

– Przepraszam, doktorze – rzekł do jednego z mężczyzn, gdy prowadzili go w kierunku furgonetki, którą przepuszczono przez policyjny kordon, a która czekała teraz na niego z otwartymi drzwiczkami.

– Słucham?

– Moja fajka – skinął głową w stronę budki strażniczej. – Nie zapomnijcie zabrać mojej fajki.

2

Doktor Lauren Wildenstein patrzyła, jak grupa szybkiego reagowania wnosi plastikowy pojemnik do przewożenia niebezpiecznych substancji i umieszcza go w specjalnej komorze do badań w laboratorium. Wezwanie nadeszło przed dwudziestoma minutami i oboje – ona i jej asystent Richie – byli gotowi do działania. Początkowo wydawało się, że sprawa jest poważna, sytuacja przypominała klasyczny atak bioterrorystów – paczka przesłana pod adresem znanej i szanowanej nowojorskiej instytucji, brązowy proszek sypiący się z rozerwanego pakunku. Jednak przeprowadzone na miejscu testy na obecność węgla dały wynik negatywny, a Wildenstein natychmiast zrozumiała, że także tym razem mają do czynienia z fałszywym alarmem. W ciągu dwóch lat, odkąd objęła kierownictwo nad nowojorskim oddziałem laboratorium badawczego materiałów i substancji niebezpiecznych, znanym jako Sentinel, otrzymała do analizy ponad czterysta podejrzanych proszków i dzięki Bogu żaden z nich nie okazał się groźną dla życia i zdrowia bronią biologiczną terrorystów. Jak dotąd. Rzuciła okiem na listę przypiętą pinezką do ściany: cukier, sól, mąka, proszek do pieczenia, heroina, kokaina, pieprz i ziemia – dokładnie w takiej kolejności, jeżeli chodzi o częstotliwość, z jaką je otrzymywali. Niniejsza lista stanowiła memento dla paranoi i nazbyt częstych fałszywych alarmów o domniemanych atakach terrorystycznych.

Grupa, która dostarczyła pojemnik, opuściła laboratorium, a doktor Lauren przez kilka chwil wpatrywała się w zamknięte pudło. To zdumiewające, jak wielką konsternację może w dzisiejszych czasach wzbudzić paczka z jakimś proszkiem. Dostarczono ją do muzeum pół godziny temu, a strażnik i administrator zostali już poddani kwarantannie, zaaplikowano im antybiotyki, a teraz zajmowali się nimi doświadczeni psychiatrzy. Wyglądało na to, że w większą histerię wpadł administrator muzeum.

Pokręciła głową.

– I co o tym sądzisz? – rozległ się głos za nią. – Terrorystyczny cocktail du jour?

Wildenstein zignorowała te słowa. Richie był doskonałym fachowcem, jednak pod względem rozwoju emocjonalnego oscylował on na poziomie trzecio, czwartoklasisty.

– Przeświatłmy to.

– Się robi.

Obraz rentgenowski w negatywie, jaki pojawił się na ekranie monitora, ukazał, że paczka pełna była amorficznej substancji, brakowało w niej jednak listu czy jakichś innych konkretnych przedmiotów.

– Nie ma detonatora – rzekł Richie. – Cholera.

– Zamierzam otworzyć pojemnik. – Wildenstein przełamała pieczęcie zabezpieczające i ostrożnie wyjęła paczkę z pudełka. Zwróciła uwagę na koślawe dziecięce pismo, brak adresu zwrotnego i całe zwoje poplątanego szpagatu. Wydawało się, że uczyniono to celowo, aby wzbudzić podejrzenia. Jeden róg paczki został, najwyraźniej wskutek nieostrożnego obchodzenia się z nią, naderwany i przez otwór wysypywała się jasnobrązowa substancja wyglądająca jak piasek. Nie przypominało to żadnego z materiałów, jakie do tej pory badała na obecność broni biologicznej. Niezdarnie,

z powodu grubych rękawic, przecięła szpagat, otworzyła paczkę i wyjęła ze środka plastikowy worek.

– Przysłali nam piasek! – parsknął Richie.

– Będziemy traktować tę substancję jak materiały niebezpieczne, dopóki nie przekonamy się, że jest inaczej – odparła Wildenstein, choć w głębi serca podzielała opinię swego asystenta. Naturalnie lepiej zachować daleko posuniętą ostrożność niż przez niedbałość popełnić fatalny w skutkach błąd.

– Waga?

– Jeden i dwie dziesiąte kilograma. Gwoli protokołu pragnę stwierdzić, że wszystkie czujniki obecności niebezpiecznych substancji w komorze laboratoryjnej wskazują zero.

Szpatułką nabrała kilka granów tej substancji i umieściła ją w sześciu fiolkach, zapieczętowała, włożyła do specjalnego słoja z otworami, po czym wydobyła je z komory i przekazała Richiemu. Ten, nie czekając na dyspozycje, rozpoczął serię badań z wykorzystaniem tradycyjnego zestawu odczynników chemicznych.

– Miło jest mieć sporą ilość materiału do badań – mruknął i zachichotał. – Możemy go palić, gotować, rozpuszczać, a wciąż zostanie tyle, że wystarczy do zbudowania zamku z piasku.

Wildenstein czekała, podczas gdy jej asystent z wprawą wykonywał kolejne testy.

– Wszystkie negatywne – powiedział w końcu. – Rany, co to za szajs?

Wildenstein wyjęła kolejny stojak z próbkami. – Przeprowadź test z podgrzewaniem w środowisku tlenowym i powstały gaz prześlij do analizatora gazów.

– Jasne. – Richie sięgnął po kolejną fiolkę i połączywszy jej wylot ze specjalną zatyczką zakończoną długą rurką prowadzącą do analizatora gazów, powoli podgrzał probówkę nad palnikiem.

Wildenstein patrzyła na to wszystko i jakież było jej zdziwienie, gdy próbka błyskawicznie się zapaliła, rozbłysła na moment, po czym znikła, nie pozostawiając po sobie popiołu ani żadnych innych osadów.

– Płoń, dziecino, płoń.

– Co tam masz, Richie?

Zerknął na odczyt. – Niemal wyłącznie czysty dwutlenek i tlenek węgla oraz śladowe ilości pary wodnej.

– Próbka musiała zawierać czysty węgiel.

– Daj spokój, szefowo. Od kiedy węgiel występuje w postaci brązowego proszku?

Wildenstein spojrzała na drobiny na dnie jednej z probówek. – Zamierzam przyjrzeć się temu przez stereoskop.

Wysypała kilka ziarenek na szkiełko, umieściła je pod mikroskopem, włączyła światło i spojrzała przez okular.

– Co widzisz? – zapytał Richie.

Ale Wildenstein nie odpowiedziała. Wciąż patrzyła oszołomiona i zdezorientowana. Pod mikroskopem poszczególne drobiny wcale nie wydawały się brązowe – te maleńkie ziarenka szklistej substancji skrzyły się milionem barw – błękitem, czerwienią, żółcią, zielenią, brązem, czernią, różem i karmazynem. Wciąż patrząc przez okular, sięgnęła po metalową łyżkę, przyłożyła ją do ziarenek i lekko nacisnęła. Usłyszała cichy zgrzyt, gdy drobina zarysowała szkło.

– Co widzisz? – powtórzył pytanie Richie.

Wildenstein wstała. – Czy nie mamy tu gdzieś refraktometru?

– Tak, stary tani złom pochodzący mniej więcej z wczesnego średniowiecza. – Richie zaczął gmerać w szafce i wyjął z niej zakurzone urządzenie w żółtym plastikowym pokrowcu. Ustawił je i podłączył. – Wiesz, jak się obchodzić z tym rzęchem?

– Chyba tak.

Wciąż korzystając ze stereoskopu, wybrała ziarenko dziwnej substancji, po czym upuściła je na kroplę oleju mineralnego na szkiełku mikroskopowym. Następnie umieściła szkiełko w komorze odczytu refraktometru. Po kilku nieudanych próbach nauczyła się obsługiwać urządzenie, manipulować pokrętkiem i uzyskiwać odczyt. Uniosła wzrok, na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech.

– Tak jak podejrzewałam. Współczynnik refrakcji wynosi dwa i cztery dziesiąte.

– Tak? I co z tego?

– Mamy, czego chcieliśmy. Widentyfikowaliśmy to.

– Ale co, szefowo?

Spojrzała na niego. – Richie, co składa się z czystego węgla, ma współczynnik refrakcji powyżej dwóch i jest na tyle twarde, że potrafi ciąć szkło?

– Diament?

– Brawo.

– Chcesz powiedzieć, że mamy tu całą torbę przemysłowego pyłu diamentowego?

– Na to wygląda.

Richie zdjął hełm ochronny i otarł spocone czoło. – Coś takiego przydarzyło mi się po raz pierwszy. – Odwrócił się, sięgnął po telefon.

– Chyba zadzwonię do szpitala i poinformuję ich, że mogą już odwołać alarm. Nie ma zagrożenia biologicznego. A z tego, co słyszałem, administrator muzeum był tak przerażony, że aż sfajdał się w spodnie.

3

Frederick Watson Collopy, dyrektor nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej, poczuł nagły przypływ rozdrażnienia, wychodząc z windy do podziemi muzeum. Minęło kilka miesięcy, odkąd był tu po raz ostatni, i zastanawiał się, czemu u diabła Wilfred Sherman, szef wydziału mineralogii, tak bardzo nalegał, aby to on, Collopy, pofatygował się do laboratorium mineralogii, zamiast zwyczajnie odwiedzić go w jego gabinecie na czwartym piętrze.

Pokonał załom korytarza żwawym krokiem, podeszwy jego butów zaszurały po zwirowanym podłożu i dotarł do drzwi laboratorium, które okazały się zamknięte. Nacisnął klamkę – nic, zamknięte na głucho – i znów poczuł, że ogarnia go niepoohamowana irytacja.

Drzwi zostały niemal natychmiast otwarte przez Shermana, który równie skwapliwie wpuścił swego gościa do środka co błyskawicznie zatrzasnął je za nim i przekręcił zasuwkę. Kustosz wydawał się mocno zaniedbany, spocony – innymi słowy, przypominał strzęp człowieka. I bardzo dobrze, pomyślał Collopy. Powiódł wzrokiem dokoła i natychmiast spostrzegł feralną paczkę, brudną i pogniecioną, zapakowaną w plastikową, hermetycznie zamykaną torebkę, leżącą na stole roboczym przy mikroskopie stereoskopowym. Obok znajdowało się pół tuzina białych kopert.

– Doktorze Sherman – powiedział – sposób, w jaki te materiały zostały dostarczone do muzeum, oraz niewłaściwe obchodzenie się

z nimi przysporzyły nam wielu problemów. To niedopuszczalne. Żądam ujawnienia nazwiska dostawcy. Chcę wiedzieć, dlaczego ta przesyłka nie została przekazana z zachowaniem odpowiednich procedur i drogi służbowej, i chcę wiedzieć, czemu tak cenny materiał potraktowano na tyle beztrosko i lekceważąco, że owa nieszczęsna przesyłka wywołała zgoła niepotrzebną panikę. Jak rozumiem, pył diamentowy z diamentów przemysłowych kosztuje kilka tysięcy dolarów za funt.

Sherman nie odpowiedział. Wciąż tylko się pocił.

– Już widzę nagłówek w jutrzejszej gazecie: Zagrożenie atakiem terrorystycznym w Muzeum Historii Naturalnej. Nie mogę się doczekać, aby o tym przeczytać. Przed chwilą skontaktował się ze mną reporter z „Timesa” – Harriman, jak mu tam – mam oddzwonić do niego za pół godziny z wyjaśnieniem.

Sherman przełknął ślinę, wciąż milczał. Kropelka potu ściekła mu po czole i czym prędzej otarł ją chustką.

– To jak? Czy ma pan jakieś wyjaśnienie? I właściwie czemu nalegał pan, abym to ja przyszedł do pańskiego laboratorium?

– T-tak – wykrztusił Sherman. Skinął głową w stronę mikroskopu. – Chciałem, aby... sam... pan... rzucił na to... okiem.

Collopy wstał, podszedł do mikroskopu, zdjął okulary i zajrzał przez okular. Ujrzał jakąś dziwną rozmytą plamę. – Ni cholery, nie widzę.

– Trzeba ustawić ostrość.

Collopy zaczął manipulować gałką, próbka to pojawiała się, to rozmywała, gdy usiłował dostroić urządzenie. W końcu jego oczom ukazała się zapierająca dech przepiękna mozaika tysięcy większych i mniejszych kryształowych drobin, które podświetlone przywodziły na myśl barwny witraż.

– Co to jest?

– Próbką pyłu, który przysłano w tej paczce.

Collopy odsunął się od mikroskopu. – No i co? Czy pan albo ktoś z pańskiego wydziału zamówił tę przesyłkę?

– Nikt z nas – odparł Sherman z wyraźnym wahaniem.

– Wobec tego proszę mi wyjaśnić, doktorze Sherman, jak to się stało, że paczka pełna wartego kilka tysięcy dolarów diamentowego pyłu została przysłana do naszego muzeum, pod adresem pańskiego wydziału?

– Potrafię to wyjaśnić – Sherman umilkł. Drżącą dłonią ujął jedną z białych kopert. Collopy czekał, ale Sherman wydawał się jak skamieniały.

– Doktorze Sherman?

Sherman nie odpowiedział. Wyjął chustkę i ponownie otarł nią twarz.

– Doktorze Sherman, źle się pan czuje?

Sherman przełknął ślinę. – Nie wiem, jak mam to panu powiedzieć.

Collopy wtrącił pospiesznie: – Mamy tu poważny problem, a mnie – spojrzał na zegarek – zostało zaledwie dwadzieścia pięć minut, abym oddzwonił do tego pismaka Harrimana. Niech pan się przestanie krygować i mówi śmiało, o co tu chodzi.

Sherman pokiwał potulnie głową i znów przetarł chustką spoconą twarz. Pomimo rozdrażnienia Collopy'emu zrobiło się żal tego nieszczęśnika. Pod wieloma względami był po prostu chłopakiem w średnim wieku, który nigdy nie wyrósł ze zbierania kamieni... Nagle Collopy zorientował się, że mężczyzna ocierał chustką nie tylko pot... lecz również oczy.

– To nie jest pył z diamentów przemysłowych – powiedział w końcu Sherman.

Collopy zmarszczył brwi. – Słucham?

Kustosz wziął głęboki oddech i spróbował się opanować. – Pył

z diamentów przemysłowych pochodzi z diamentów czarnych lub brązowych, nieposiadających żadnych wartości estetycznych. Pod mikroskopem wygląda dokładnie tak, jak można się tego spodziewać: jak czarne kryształowe drobiny. Ale kiedy pod mikroskopem ogląda się te próbki, wyraźnie widać barwę. – Jego głos wyraźnie drżał.

– Tak, też zwróciłem na to uwagę.

Sherman pokiwał głową. – Maleńkie drobiny i barwne kryształki we wszystkich kolorach tęczy. Potwierdziłem, że to faktycznie diamenty, i zadałem sobie pytanie... – Nie dokończył.

– Doktorze Sherman.

– Zadałem sobie pytanie, skąd u diabła mógł się wziąć worek diamentowego pyłu zawierający miliony drobinek barwnych, fantastycznych brylantów. Mniej więcej jakieś dwa i pół funta.

W laboratorium zapadła głucha cisza. Collopy emu nagle zrobiło się zimno. – Nie rozumiem.

– To nie jest zwykły pył diamentowy – odrzekł z przejęciem Sherman. – To kolekcja brylantów z naszego muzeum.

– O czym pan mówi, u diabła?

– O mężczyźnie, który w zeszłym miesiącu ukradł nasze brylanty. Musiał je zniszczyć. Zmiażdżyć na proszek. Wszystkie. – Łzy strużkami spływały po jego policzkach, ale Sherman nie zadał sobie trudu, aby je wytrzeć.

– Zmiażdżyć? – Collopy rozejrzał się gwałtownie dokoła. – Jak można zetrzeć na proszek brylant?

– Za pomocą młota kowalskiego.

– Ale przecież to rzekomo najtwardsze kamienie na świecie.

– Twarde, owszem. Ale to nie znaczy, że nie są kruche.

– Skąd ma pan pewność?

– Wiele z naszych brylantów ma unikalną barwę. Dajmy na to Królowa Narnii. Żaden inny brylant nie ma równie błękitnego

odcienia z lekką nutą fioletu i zieleni. Udało mi się zidentyfikować każdą, nawet najmniejszą odrobinę. Tym się właśnie zajmowałem. Rozdzielaniem poszczególnych okruszków.

Przechylił trzymaną w dłoni białą kopertę i wysypał jej zawartość na kartkę papieru leżącą na blacie stołu. Na białym arkuszu pojawił się kopczyk niebieskawego pyłu. Sherman wskazał nań palcem. – Królowa Narnii.

Podniósł następną kopertę i wysypał fioletowy proszek. – Serce Wieczności.

Jedną po drugiej opróżniał niewielkie koperty. – Zjawa w Indygo, Ultima Thule, Czwarty Lipca, Zieleń Zanzibaru.

To było jak uderzenie werbla, jeden surowy, grzmiący dźwięk po drugim. Collopy patrzył ze zgrozą na małe kopczyki skrzącego się proszku. – To jakiś cholerny żart – powiedział w końcu. – To nie mogą być nasze brylanty.

– Charakterystyka barw i odcieni wielu spośród słynnych kamieni jest łatwa do określenia – odparł Sherman. – Mam ich szczegółowe dane. Zbadałem poszczególne drobiny. Te odłamki brylantów mają idealnie właściwy odcień. Nie ma mowy o pomyłce. Nie mogą być niczym innym.

– Ale z całą pewnością nie wszystkie – rzekł Collopy. – Nie mogłem zniszczyć ich wszystkich.

– Paczka zawierała dwa i czterdzieści dwie dziesiąte funta diamentowego pyłu. To równowartość około pięciu tysięcy pięciuset karatów. Dodając to, co się wysypało podczas transportu, można zakładać, że przesyłka zawierała początkowo sproszkowane brylanty o wadze z grubsza sześciu tysięcy karatów. Zsumowałem wagę skradzionych brylantów.. – Nie dokończył.

– No i? – zapytał w końcu Collopy, nie mogąc się dłużej pohamować.

– Całkowita waga wynosiła sześć tysięcy czterdzieści dwa karaty – wyszeptał Sherman.

W laboratorium zapanowała długa cisza, słychać było jedynie cichy szum jarzeniówek. Wreszcie Collopy uniósł głowę i spojrzał Shermanowi prosto w oczy.

– Doktorze Sherman – zaczął, ale głos mu się załamał i musiał zacząć raz jeszcze. – Doktorze Sherman. Ta informacja nie może wyjść poza to laboratorium.

Sherman był blady, ale teraz jego twarz zbieiała jak płótno. Minęło kilka dobrych chwil, zanim bez słowa pokiwał głową.

4

William Smithback junior pewnie wszedł do ciemnego, pełnego rozmaitych woni wnętrza pubu znanego jako Kości i zlustrował wzrokiem hałaśliwy tłum. Była piąta po południu i w lokalu roiło się od pracowników muzeum przepłukujących gardła po długich, nudnych godzinach ciężkiej pracy w granitowym molochu po drugiej stronie ulicy. Czemu u licha chcieli zabijać czas w miejscu, gdzie każdy cal przestrzeni na ścianie był ozdobiony kośćmi, i to po zakończeniu pracy w podobnym otoczeniu; na to pytanie nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Ostatnio zjawiał się w Kościach z jednego tylko powodu – czterdziestjednoletniej whisky na jęczmiennym słodzie, którą barman trzymał schowaną pod kontuarem. Trzydzieści sześć dolców za szklaneczkę to niemało, ale lepsze to niż wypalać sobie wnętrzności porcyjką cutty sark za trzy dolary. Spozrzegł miedzianą grzywę włosów swojej żony Nory Kelly siedzącej jak zawsze przy stoliku w głębi sali. Pomachał do niej, podszedł do stolika i znieruchomiał w pełnej dramatyzmu pozie.

– Ach, cóż to? Azaliż niebiański blask przez okna tu przyświeca? – powiedział. Następnie delikatnie ucałował jej dłoń, nieco żarliwiej pocałował w usta i usiadł naprzeciw niej.

– Co słyhać?

– Praca w muzeum wciąż bywa zaskakująca i ekscytująca.

– Masz na myśli ten fałszywy alarm terrorystyczny dziś rano?

Skinęła głową. – Ktoś dostarczył paczkę do wydziału mineralogii, z przesyłki sypał się jakiś proszek. Uznano, że to może być wąglík czy coś w tym rodzaju.

– Słyszałem o tym. Prawdę mówiąc, to Bryce napisał dziś artykuł na ten temat.

Bryce Harriman był kolegą po fachu i arcyrywalem Smithbacka w „Timesie”, ale dzięki ostatnim dramatycznym wydarzeniom Smithback zdołał uszczknąć dla siebie trochę sławy i zyskać nad nim nieznaczną przewagę.

Przyczłapał kelner o posepnym obliczu i stanął przy stoliku, czekając w milczeniu na przyjęcie zamówienia.

– Porcyjkę glena granta, taką na dwa pałce – powiedział Smithback.
– Najlepszego, jakiego macie.

– A dla mnie kieliszek białego wina. Kelner oddalił się, powłócząc nogami.

– Było niezłe zamieszanie, co? – rzucił Smithback.

Nora zachichotała. – Powinieneś był zobaczyć Greenlawa, faceta, który natknął się na przesyłkę. Był pewien, że umiera, i koniec końców musieli go wywieźć na noszach ubranego w kombinezon ochronny i w ogóle.

– Greenlaw? Nie znam go.

– To nowy zastępca kierownika do spraw administracji. Dopiero co go przysłano z Con Ed.

– I jak się to wszystko skończyło? Z wągłikiem znaczy się.

– To pył szlifierski.

Smithback zachichotał, odbierając swego drinka. – Pył szlifierski. Boże, to niesamowite. – Zakręcił bursztynowym płynem w pękatym kieliszku i upił łyk. – Jak to się stało?

– Wygląda na to, że paczka została uszkodzona podczas transportu i zawartość zaczęła się wysypywać. Kurier podrzucił ją Curly’emu,

a Greenlaw akurat zjawił się w pobliżu.

– Curly’emu? Temu staruszkowi z fajką?

– Zgadza się.

– Wciąż pracuje w muzeum?

– Nigdy nie opuszcza tego miejsca.

– Jak on to przyjął?

– Bezstresowo, jak wszystko inne. Parę godzin później znów siedział w swoim kantorku, jakby nic się nie stało.

Smithback pokręcił głową. – Czemu u licha ktoś miałby przesyłać przez kuriera paczkę zwykłego proszku?

– Nie mam pojęcia.

Upił kolejny łyk. – Sądysz, że ktoś to zrobił celowo? – zapytał jakby od niechcienia. – Aby wywołać panikę w muzeum?

– Rozumujesz jak przestępca.

– Czy wiadomo, kto był nadawcą paczki?

– O ile wiem, nie było adresu zwrotnego.

Ten drobny szczegół wystarczył, by wzbudzić zainteresowanie Smithbacka. Żałował, że nie mógł już teraz przeczytać artykułu Harrimana, korzystając z redakcyjnej sieci komputerowej. – Wiesz, ile kosztuje dziś wysłanie czegoś pocztą kurierską w Nowym Jorku? Czterdzieści dolców.

– Może to był cenny pył?

– Ale dlaczego nie podano adresu zwrotnego? Do kogo była zaadresowana ta paczka?

– Słyszałam, że po prostu było napisane „Wydział mineralogii”. Smithback w zamyśleniu upił kolejny łyk glena granta. Było w tej historii coś, co sprawiło, że pod jego czaszką rozdzwonił się dziennikarski alarm. Zastanawiał się, czy Harriman dotarł do sedna tej sprawy. Najprawdopodobniej nie.

Wyjął swoją komórkę. – Mogę zadzwonić?

Nora zmarszczyła brwi. – Skoro musisz.

Smithback wybrał numer muzeum i poprosił o połączenie z mineralogią. Szczęście mu sprzyjało – wciąż ktoś tam był. Zaczął mówić szybko i niewyraźnie: Mówi Humnhmn z biura Grmhnmhna. Mam jedno krótkie pytanie: jakiego rodzaju był pył szlifierski, który dziś rano wywołał u was tak wielkie zamieszanie?

– Nie dosłyszałem...

– Proszę posłuchać, bardzo mi się spieszy. Dyrektor czeka na odpowiedź.

– Nie wiem.

– Czy jest tam ktoś, kto może to wiedzieć?

– Doktor Sherman.

– Proszę go zawołać.

Chwilę potem usłyszał w słuchawce zdyszany głos. – Doktor Collopy?

– Nie, nie – odparł uspokajającym tonem Smithback. – Mówi William Smithback, jestem reporterem z „New York Timesa”.

Cisza. A potem pełne napięcia: – Słucham?

– Ja w sprawie tego rzekomego alarmu terrorystycznego dziś rano...

– Nie mogę panu pomóc – rozległo się w odpowiedzi. – Powiedziałem już wszystko, co wiem, pańskiemu koledze, panu Harrimanowi.

– To tylko rutynowy wywiad, doktorze Sherman. Czy ma pan coś przeciwko temu?

Cisza.

– Czy paczka była zaadresowana na pańskie nazwisko?

– Na nasz wydział – padła oschła odpowiedź

– Nie było adresu zwrotnego?

– Nie.

- I przesyłka zawierała proszek?
- Zgadza się.
- Jakiego rodzaju? Wahanie. – Pył korundowy.
- Ile kosztuje funt pyłu korundowego?
- Nie wiem. Niedużo.
- Rozumiem. To by było na tyle, dziękuję.

Przerwał połączenie, a kiedy uniósł wzrok, zauważył, że Nora mu się przygląda.

– Używanie telefonów komórkowych w pubie nie jest w dobrym tonie – powiedziała.

– Ejże, jestem przecież dziennikarzem. Z racji mojej pracy muszę zachowywać się w sposób, który nie jest dobrze przyjmowany przez ogół społeczeństwa.

- Zadowolony?
- Nie.

– Do muzeum przysłano paczkę z jakimś proszkiem. Papier był rozerwany i ktoś z tego powodu wpadł w histerię. To wszystko.

– No nie wiem. – Smithback wypił kolejny łyk glena granta. – Gość wydawał się nielicho podenerwowany.

– Doktor Sherman? Jest strasznie spięty.

– Sprawiał wrażenie nie tyle spiętego, ile raczej przerażonego. Otworzył klapkę komórki, a Nora jęknęła: – Jeżeli znowu zaczniesz do kogoś wydzwaniać, idę do domu.

– Daj spokój, Noro. Jeszcze tylko ten jeden telefon i pójdziemy na kolację do Rattlesnake Cafe. Muszę zadzwonić. Tylko ten jeden raz. Jest już po piątej i chcę złapać parę osób, zanim wyjdę z pracy.

Czym prędzej zadzwonił na informację, otrzymał żądany numer i wybrał go. – Wydział zdrowia i opieki medycznej?

Po całej serii połączeń od jednego wydziału do drugiego udało mu się w końcu dodzwonić tam, gdzie zamierzał.

- Laboratorium Sentinel – rozległ się głos.
- Z kim mówię?
- Z Richardem. A z kim rozmawiam?
- Cześć, Richardzie, mówi Bill Smithback z „Timesa”. Ty jesteś szefem?
- Teraz tak. Szefowa właśnie poszła do domu.
- Masz fart. Czy mogę ci zadać kilka pytań?
- Powiedziałeś, że jesteś reporterem?
- Jak najbardziej.
- Więc chyba tak.
- To do waszego laboratorium dostarczono dziś rano paczkę z muzeum?
- Jasne.
- Co w niej było?
- Smithback usłyszał parsknięcie. – Pył diamentowy.
- Nie pył korundowy?
- Nie. Diamentowy.
- Czy osobiście zbadałeś próbki?
- Tia.
- Jak wyglądał ten pył?
- Na pierwszy rzut oka jak brązowy proszek.
- Smithback zamyślił się przez chwilę. – Skąd wiadomo, że to jednak pył diamentowy?
- Określiłem to na podstawie współczynnika refrakcji cząstek.
- Rozumiem. I nie da się tego pomylić z korundem?
- Nie ma mowy.
- Jak przypuszczam, zbadałeś też próbki pod mikroskopem?
- Tia.
- Jak wyglądały?
- Były piękne jak małe barwne kryształy. Smithback poczuł, że jeżą

mu się włoski na karku.

– Barwne? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Maleńkie drobinki we wszystkich kolorach tęczy. Nie miałem pojęcia, że pył diamentowy jest tak olśniewający.

– Nie wydało ci się to dziwne?

– Jest wiele rzeczy, które na pozór wydają się człowiekowi szpetne, a pod mikroskopem nabierają niezwykłego koloru. Dajmy na to zwykła pleśń albo piasek.

– Ale przecież mówiłeś, że ten proszek wydawał się brązowy.

– Tylko w zwartej masie.

– Rozumiem. Co zrobiłeś z tą paczką?

– Odesłaliśmy do muzeum z adnotacją, że to fałszywy alarm.

– Dzięki.

Smithback rozłączył się. To niemożliwe. To nie mogła być prawda. Uniósł wzrok, by ujrzeć Norę patrzącą na niego z nieskrywanym rozdrażnieniem. Sięgnął pod stołem i ujął ją za rękę. – Naprawdę, bardzo mi przykro, ale muszę wykonać jeszcze jeden telefon.

Skrzyżowała ramiona na piersiach. – A już myślałam, że czeka nas miły wieczór.

– Jeszcze tylko jeden telefon. Pozwolę ci przysłuchiwać się rozmowie. Uwierz mi, to będzie prawdziwa rewelacja. Spodoba ci się.

Policzki Nory pokraśniały. Smithback znał to spojrzenie; jego żona coraz bardziej się denerwowała.

Czym prędzej znów wybrał numer muzeum i włączył zestaw głośnomówiący.

– Doktor Sherman?

– Przy telefonie.

– To znowu ja, Bill Smithback z „Timesa”.

– Panie Smithback – rozległ się ochryply głos. – Powiedziałem już panu wszystko, co wiem. Teraz, jeżeli nie ma pan nic przeciwko

temu, muszę już kończyć, spóźnię się na pociąg.

– Wiem, że to, co dostarczono dziś rano do muzeum, nie było pyłem korundowym.

Cisza.

– Wiem, co to było naprawdę. Znów cisza.

– Kolekcja brylantów z waszego muzeum. Nora oniemiała.

– Doktorze Sherman, wybieram się teraz do muzeum, aby z panem pomówić. Jeżeli doktor Collopy wciąż jeszcze tam jest, dobrze byłoby, aby również uczestniczył w tym spotkaniu lub przynajmniej pozostawał z nami w kontakcie telefonicznym. Nie wiem, jaki kit wcisnął pan memu koledze Harrimanowi, ale ze mną ten numer nie przejdzie. I tak już źle się stało, że muzeum dopuściło do kradzieży swoich słynnych brylantów, najcenniejszych kamieni na świecie. Jestem pewien, że wierzyciele nie życzyliby sobie, aby po aferze ze zniknięciem bezcennej kolekcji, którą ktoś przerobił na kupkę diamentowego pyłu szlifierskiego, wyszedł na jaw kolejny skandal, a mianowicie, że ktoś starał się zatuszować ten incydent. Rozumiemy się, doktorze Sherman?

W odpowiedzi rozległ się zdumiony, drżący, niemal piskliwy głos. – To nie była próba zatuszowania całej sprawy. Po prostu... zwlekaliśmy z ujawnieniem całej prawdy.

– Będę za dziesięć minut. Proszę na mnie zaczekać. Smithback natychmiast zatelefonował do naczelnego „Timesa”. –

Fenton? Pamiętasz artykuł o zagrożeniu węglikiem w muzeum napisany przez Harrimana? Lepiej go wywal. Mam tu dla ciebie prawdziwą bombę. Trzymaj dla mnie pierwszą stronę.

Zakończył rozmowę i uniósł wzrok. Nora nie była już wściekła. Była biała jak płótno.

– Diogenes Pendergast – wyszeptała. – Zniszczył brylanty. Smithback pokiwał głową.

– Oto jest pytanie, Noro. Ale teraz muszę cię z całego serca przeprosić za dzisiejszy wieczór, za kolację w Rattlesnake Cafe, na którą mieliśmy zamówiony stół. Nic z tego nie będzie, wybacz. Muszę już lecieć. Mam do przeprowadzenia kilka wywiadów i do północy muszę oddać tekst do redakcji, jeśli chcę, by ukazał się w ogólnokrajowym wydaniu „Timesa”. Uwierz mi, naprawdę bardzo mi przykro. Nie czekaj na mnie.

Wstał i pocałował ją czule.

– Jesteś niesamowity – powiedziała z podziwem w głosie.

Smithback zawahał się przez chwilę z powodu dziwnego, nieznanego mu wcześniej doznania. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jego policzki pokryły się silnym rumieńcem.

5

Doktor Frederick Watson Collopy stał za wielkim dziewiętnastowiecznym biurkiem z blatem pokrytym skórą, w swoim narożnym gabinecie w południowo-wschodniej wieży muzeum. Błat biurka był pusty, jeżeli nie liczyć egzemplarza porannego wydania „New York Timesa”. Gazeta nie była rozłożona. To nie było konieczne – Collopy widział już wszystko, co było konieczne, na pierwszej stronie, powyżej zgięcia; nagłówek wydrukowano największą czcionką, jakiej używano w „Timesie”.

Kot uciekł z worka i nie można już było zagonić go do środka.

Collopy wierzył, że zajmował najwyższą pozycję w świecie amerykańskiej nauki – był wszak dyrektorem nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej. Na chwilę zapomniał o artykule i skupił się na nazwiskach swoich szacownych poprzedników: Ogilvy, Scott, Throckmorton. Jego celem i największą ambicją było dodać własne nazwisko do tego zacnego rejestru i nie popaść w zapomnienie jak dwójka jego bezpośrednich poprzedników – nieżyjący już, lecz wspominany bez żalu Winston Wright albo nieudolna Olivia Merriam.

I oto tutaj, na pierwszej stronie „Timesa” widniał nagłówek, który mógł okazać się gwoździem do jego trumny. Ostatnio i tak miał dość ciężki okres, groźby kolejnych skandali mogłyby doprowadzić do upadku ludzi mniejszego niż on formatu. On na szczęście potrafił radzić sobie z nimi chłodno i zdecydowanie – teraz będzie tak samo.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Wejść.

Do gabinetu wkroczyła brodata postać – Hugo Menzies, szef wydziału antropologii, ubrany elegancko, bez typowego dla wykładowców akademickich lekkiego zaniedbania. Milcząc, przystawił sobie fotel, podczas gdy za nim do pokoju weszli Josephine Rocco, szefowa Public Relations, i adwokat z ramienia muzeum Beryl Darling z kancelarii Wilfred, Spragg i Darling.

Collopy nie usiadł, lecz obserwował trójkę przybyłych, drapiąc się w zamyśleniu po brodzie. W końcu się odezwał.

– Wezwałem was tutaj na specjalne zebranie z oczywistych względów. – Spojrzał na leżącą na biurku gazetę. – Zakładam, że widzieliście dzisiejszego „Timesa”?

Przybyli bez słowa pokiwali głowami.

– Popełniliśmy błąd, usiłując zatuszować tę sprawę. Kiedy objąłem posadę dyrektora muzeum, mówiłem sobie, że będę kierował tym miejscem inaczej, bez uciekania się do żalonych prób zamiatania brudów pod dywan czy wzbudzania poczucia paranoi jak moi bezpośredni poprzednicy. Wierzyłem, że muzeum to wielka instytucja, na tyle silna, by przetrwać wszelkie skandale czy kontrowersje.

Przerwał.

– Usiłując zatuszować zniszczenie naszej kolekcji brylantów, próbując nie dopuścić, by wiadomość o tym przedostała się do prasy, popełniłem błąd. Złamałem własne zasady.

– Przeprosiny pod naszym adresem są jak najbardziej na miejscu – rzekła Darling jak zawsze oschłym, surowym tonem. – Czemu jednak nie skonsultował się pan ze mną przed podjęciem tej pochopnej i nieprzemyślanej decyzji? Musiał pan zdawać sobie sprawę, że nie ujdzie to płazem. To, co się stało, w znacznym stopniu podkopało

wiarygodność naszego muzeum i przysporzyło mi wielu niepotrzebnych problemów, utrudniając pracę.

Collopy upomniał się w myślach, że właśnie dlatego muzeum płaciło Darling czterysta dolarów za godzinę: ta kobieta zawsze mówiła szczerą prawdę.

Uniósł dłoń. – Święta racja. Ale tego, co się stało, nie podejrzewałem nawet w najgorszych koszmarach. Kto by przypuszczał, że nasza kolekcja brylantów mogła zostać... – głos mu się załamał; nie dokończył.

W gabinecie zapanowała nieprzyjemna cisza.

Collopy przełknął ślinę i zaczął mówić dalej. – Musimy przejść do działania. Musimy zareagować i to już, teraz, zaraz. Właśnie dlatego zwołałem to spotkanie.

Kiedy przerwał, usłyszał dochodzące od strony Museum Drive okrzyki i hasła gromadzącego się tam tłumu manifestantów oraz wycie policyjnych syren i megafonów.

Rocco odezwała się: – W moim biurze urywają się telefony. Jest dziewięta i sądzę, że mamy czas do dziesiątej, góra do jedenastej, aby wydać w tej sprawie oficjalne oświadczenie. Mimo iż od wielu lat pracuję w Public Relations, nigdy jednak nie spotkałam się z podobną sprawą.

Menzies poruszył się w fotelu i przyglądał srebrzyste włosy. – Mogę coś powiedzieć?

Collopy skinął głową. – Mów, Hugo.

Menzies chrząknął; przenikliwymi niebieskimi oczami wodził raz po raz między oknem a Collopym. – Po pierwsze, Fredericku, musimy uświadomić sobie, że co się stało, to się nie odstanie, i pora stawić czoło smutnej prawdzie. Posłuchaj tłumu gromadzącego się na zewnątrz, ludzi zbulwersował fakt, że w ogóle braliśmy pod uwagę możliwość zatuszowania tej afery. Cóż, nie pozostaje nam nic innego,

jak przyjąć ten cios z honorem i godnością. Musimy przyznać się do błędu. Koniec z wypieraniem się. – Spojrzał na Rocco. – To po pierwsze i mam nadzieję, że wszyscy się ze mną zgadzają.

Collopy znów skinął głową. – A po drugie?

Wychylił się lekko do przodu. – Sama nasza reakcja nie wystarczy. Musimy przejść do ofensywy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Musimy dokonać czegoś chwalebego i chlubnego. Musimy zapowiedzieć coś niezwykłego, co przypomni temu miastu i całemu światu, że pomimo wszystko nasze muzeum jest wielkie i wspaniałe. Może urządzilibyśmy ekspedycję naukową albo zapoczątkowali szczytny projekt badawczy.

– Czy to nie zostałyby poczytane jako dość ewidentna zasłona dymna? – zapytała Rocco.

– Być może dla niektórych. Ale krytyka potrwa dzień, dwa, a potem będziemy mogli zadbać o dobrą passę i odpowiednie zainteresowanie.

– O jakim projekcie mowa? – zapytał Collopy.

– Jeszcze nie mam żadnych konkretnych pomysłów.

Rocco wolno pokiwała głową. – To mogłoby się udać. Połączylibyśmy to z wielką galą dla osób z wyższych sfer, wszystkich grubych ryb i najznakomitszych osobistości. To zamknęłoby usta prasie i politykom, którzy rzecz jasna chcieliby otrzymać od nas zaproszenie.

– Brzmi obiecująco – rzekł Collopy.

Po chwili do rozmowy włączyła się Darling. – To naprawdę ciekawe. Brak nam jedynie pomysłu na wyprawę, ekspozycję lub coś w tym rodzaju.

W tej samej chwili rozległ się sygnał interkomu Collopy'ego. Poirytowany nacisnął przycisk. – Pani Surd, mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

– Wiem, doktorze Collopy, ale... chodzi o coś naprawdę szczególnego.

– Nie teraz.

– Ta sprawa wymaga natychmiastowej odpowiedzi.

Collopy westchnął. – Na miłość boską, czy to nie może poczekać dziesięć minut?

– Chodzi o bankowy transfer dotacji wartości dziesięciu milionów euro na...

– Dotacja rządu dziesięciu milionów euro? Proszę to przynieść. Pani Surd weszła do gabinetu – pulchna, kompetentna, energiczna kobieta – z kartką w dłoni.

– Przepraszam na chwilę. – Collopy wziął od niej kartkę. – Od kogo ten transfer i gdzie mam podpisać?

– Od hrabiego Thierry’ego de Cahors. Przekazuje muzeum dziesięć milionów euro na renowację i ponowne otwarcie grobowca Senefa.

– Grobowca Senefa? A co to takiego, u licha? – Collopy cisnął kartkę na blat biurka. – Zajmę się tym później.

– Ale proszę pana, tu jest napisane, że fundusze oczekują na transatlantyckim koncie przejściowym i dotacja musi zostać przyjęta lub odrzucona w ciągu godziny.

Collopy pohamował się przed energicznym odruchowym zatarciem rąk.

– Mamy całe mnóstwo tego rodzaju dotacji obłożonych specyficznymi restrykcjami! Potrzeba nam dotacji ogólnych, aby móc uregulować rachunki! Proszę wysłać faks do hrabiego... jak mu tam i spróbować przekonać go, aby zgodził się na dotację bez żadnych dodatkowych warunków. Proszę posłużyć się moim nazwiskiem i zachować wszelkie zasady kurtuazji. Nie potrzeba nam pieniędzy na jakieś z góry poronione inwestycje, które podsuwają nam osoby trzecie.

– Dobrze, doktorze Collopy.

Odwróciła się, a Collopy powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. – O ile pamiętam, Beryl chciała coś powiedzieć.

Pani mecenas już miała zabrać głos, ale Menzies wyciągnął rękę i powiedział: – Pani Surd? Proszę poczekać parę minut, zanim skontaktuje się pani z hrabią Cahors.

Pani Surd zawahała się, zerkając na Collopy’ego i czekając na potwierdzenie z jego strony. Dyrektor skinął głową, a kobieta wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– W porządku, Hugo. O co chodzi? – zapytał Collopy.

– Usiłuję przypomnieć sobie szczegóły Grobowiec Senefa, to mi coś mówi. I gdy się nad tym zastanowię, nazwisko hrabiego de Cahors również.

– Czy możemy kontynuować? – zapytał Collopy.

Menzies gwałtownie wychylił się do przodu w fotelu. – Fredericku, to jest właśnie to, na co czekaliśmy! Wróć pamięcią do historii twego muzeum! Grobowiec Senefa stanowił jedną z głównych ekspozycji tego muzeum od czasów jego otwarcia do, jak sądzę, czasów wielkiego kryzysu, kiedy został zamknięty.

– No i?

– O ile dobrze pamiętam, był to grobowiec skradziony i rozebrany przez Francuzów podczas inwazji Napoleona na Egipt, a następnie przejęty przez Brytyjczyków. Został zakupiony przez jednego z mecenasów muzeum i ponownie zrekonstruowany w podziemiach jako jedna z oryginalnych ekspozycji. Zapewne wciąż tam jest.

– A kim jest ten Cahors? – zapytała Darling.

– Napoleon, ruszając do Egiptu, zabrał ze sobą całą armię naturalistów i archeologów. Cahors prowadził kontyngent archeologów. Podejrzewam, że to jego potomek.

Collopy zmarszczył brwi. – Co to ma z tym wszystkim wspólnego?

- Nie rozumiesz? To jest to, czego szukamy!
- Zakurzonego starego grobowca?
- Dokładnie! Ogłosimy wszem wobec o podarunku hrabiego, ustalimy datę otwarcia i zrobimy z tego wielkie widowisko medialne.
- Menzies spojrział pytająco na Rocco.
- Tak – rzekła Rocco. – To mogłoby się udać. Egipt zawsze cieszył się sporym uznaniem wśród zwiedzających.
- To mogłoby się udać? To musi się udać! I uda się. Najlepsze jest w tym wszystkim to, że grobowiec jest już zrekonstruowany i gotowy na przyjęcie zwiedzających. Wystawa „Święte wizerunki” już się opatrzyła, pora na coś nowego. Moglibyśmy to zrobić w ciągu dwóch miesięcy lub nawet szybciej.
- Wszystko zależy od tego, w jakim stanie jest grobowiec.
- Tak czy owak, wciąż jest w tym budynku i tylko czeka na ponowne otwarcie. Może trzeba tam będzie trochę odkurzyć. W naszych magazynach jest całe mnóstwo egipskich eksponatów, które ubarwiłyby tę ekspozycję. Hrabia oferuje sumkę na tyle dużą, by wystarczyło na dokonanie niezbędnych prac restauracyjnych.
- Nie rozumiem – wtrąciła Darling. – Jak to możliwe, aby cała ekspozycja poszła w zapomnienie na siedemdziesiąt lat?
- Po pierwsze została zamurowana. To często stosowana procedura w przypadku tych ekspozycji, które pragnie się zachować. – Menzies uśmiechnął się ze smutkiem. – To muzeum ma po prostu zbyt wiele artefaktów i za mało pieniędzy oraz kuratorów, którzy mogliby się nimi zająć. To dlatego od lat prowadziłem lobbing w celu powołania stanowiska historyka muzeum. Któż wie, jakie jeszcze sekrety kryją się w zakamarkach tego molocha?

W gabinecie na moment zapanowała cisza, którą nagle przerwał Collopy, uderzając dłonią w blat biurka. – Zróbmy to. – Sięgnął po telefon. – Pani Surd? Proszę poinformować hrabiego, że może

przesłać pieniądze. Przyjmujemy jego warunki.

6

Nora Kelly stała w swoim laboratorium, wpatrując się w blat stołu roboczego zasłany fragmentami glinianych naczyń Indian Anasazi. Skorupy były niezwykle, lśniły niemal złociście w jasnym świetle, odbłask wywoływały nieliczne cząstki miki obecne w glinie. Zebrała te odłamki podczas letniej ekspedycji do Four Corners na południowym zachodzie, teraz zaś rozłożyła je na wielkiej mapie tego regionu; każdy kawałek znajdował się w miejscu, gdzie go znaleziono. Nie odrywała wzroku od migoczącej mozaiki, ponownie usiłując rozwikłać tę zagadkę. To stanowiło podstawę jej projektu, nad którym obecnie pracowała: określenie szlaków, jakimi te rzadkie naczynia z miki wędrowały od swego źródła w południowym Utah wymieniane po wielokroć na całym południowym zachodzie, a nawet dalej. Naczynia wykonywane były przez sektę religijną Kachina przybyłą z zamieszkiwanych przez Azteków obszarów Meksyku, a Nora sądziła, że śledząc kierunek i zakres rozprzestrzeniania się naczyń po terytorium południowego zachodu, jest w stanie określić szlaki rozszerzania się kultu Kachina.

Skorup było jednak tak wiele i tyle jeszcze czekało ją datowania metodą izotopu C-14, że połączenie w całość wszystkich zmiennych stanowiło nie lada wyzwanie; jak na razie nie próbowała nawet się z nim zmierzyć. Patrzyła z uwagą – gdzieś tam kryła się odpowiedź. Musiała ją tylko odnaleźć.

Westchnęła, upiła łyk kawy zadowolona, że jej podziemne laboratorium stanowiło doskonały azyl, gdzie mogła skryć się przed szalejącą na zewnątrz burzą. Wczoraj miał miejsce alarm antyterrorystyczny, zagrożenie węglikiem, ale dziś było jeszcze gorzej, w głównej mierze za sprawą jej męża Billa, który miał wyjątkową zdolność do mącenia wody i pakowania się w kłopoty. Dziś rano w „Timesie” ukazał się artykuł stwierdzający, że proszek przesłany do muzeum był w rzeczywistości bezcenną kolekcją muzealnych brylantów rozbitych w pył przez zuchwałego złodzieja, który dokonał ich kradzieży. Ta wiadomość wywołała zamęt znacznie większy, niż Nora mogła się spodziewać. Burmistrz pod ostrzałem kamer podczas konferencji prasowej obwiniał muzeum o to, co się stało, i domagał się natychmiastowego usunięcia obecnego dyrektora tej placówki.

Zmusiła się, by skoncentrować myśli na problemie skorup. Szlaki rozchodzenia się naczyń wiodły do jednego miejsca – źródła owej rzadkiej gliny u podnóża płaskowyżu Kaiparowits w Utah, gdzie była ona wydobywana i wypalana przez mieszkańców regionu, których osady ukryte były w głębokich wąwozach. Stamtąd naczynia trafiały aż do północnego Meksyku i zachodniego Teksasu. Ale jak? Kiedy? I kto je tam dostarczał?

Wstała, podeszła do szafki i wyjęła ostatni plastikowy woreczek pełen skorup. W laboratorium panowała grobowa cisza, słychać było jedynie cichy szum wentylatorów. Poza tym pomieszczeniem mieściły się olbrzymie magazyny zapchane starodawnymi dębowymi regałami z szybami ze zdobionego szkła, gdzie na półkach walały się stare skorupy, groty strzał, toporki i inne artefakty. Od strony magazynu indiańskich mumii tuż obok napływała słaba woń paradichlorobenzenu. Powróciła do rozkładania skorup na mapie, zapełniając ostatnie wolne miejsca, sprawdzając po parę razy numer

i oznaczenie punktu, w którym znaleziono ów fragment.

Nagle przerwała. Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi laboratorium i ciche kroki na zakurzonej posadzce. Czyżby ich nie zamknęła? To był głupi nawyk – zamykanie drzwi na klucz – jednak rozległe, tonące w ciszy podziemia muzeum, z mrocznymi korytarzami i ciemnymi magazynami pełnymi osobliwych i przerażających eksponatów, nieodparcie budziły w niej zgrozę. Poza tym nie mogła zapomnieć, co spotkało jej przyjaciółkę Margo Green zaledwie kilka tygodni temu w ciemnej sali muzealnej dwa piętra powyżej miejsca, gdzie się obecnie znajdowała.

– Kto tam? – zawołała.

Z półmroku wyłoniła się postać, najpierw kontury twarzy, a potem starannie przycięta broda i srebrzysta czupryna włosów – na ten widok Nora natychmiast się rozluźniła. To tylko Hugo Menzies, jej bezpośredni przełożony. Wciąż był trochę blady po ostatnim ataku kamieni żółciowych, jego zwykle wesołe oczy wydawały się lekko zaczerwienione.

– Witaj, Noro – rzekł kustosz, uśmiechając się do niej życzliwie. – Mogę?

– Oczywiście.

Menzies przycupnął na stołku. – Tu, na dole, jest naprawdę cicho i przytulnie. Jesteś tu sama?

– Tak. Co słyszeć na górze?

– Na zewnątrz gromadzą się coraz większe tłumy.

– Widziałam tych ludzi, kiedy tylko przyszłam do pracy.

– Jest coraz gorzej. Skandują rozmaite hasła, atakują naszych pracowników i blokują wjazd na Museum Drive. Obawiam się, że to dopiero początek. Oświadczenie burmistrza i gubernatora to jedno, ale wygląda na to, że mieszkańcy Nowego Jorku także zaczęli się burzyć. Niechaj Bóg ma nas w opiece przed gniewem *vulgus mobile*.

Nora pokręciła głową. – Przykro mi, że Bill spowodował...

Menzies delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. – Bill spełnił jedynie rolę posłańca. Wyświadczył muzeum przysługę, ujawniając fatalną próbę zatuszowania tej afery, zanim jeszcze na dobre do tego doszło. Prawda i tak wyszłaby na jaw.

– Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby sobie zadać tyle trudu, aby ukraść kolekcję brylantów, aby je potem zniszczyć.

Menzies wzruszył ramionami. – Kto wie, co dzieje się w umyśle obłąkanego przestępcy? Można z tego wyciągnąć różne wnioski, między innymi taki, że ten człowiek żywi niepohamowaną nienawiść do naszego muzeum.

– W czym muzeum mogło mu zawinić?

– Tylko jeden człowiek mógłby odpowiedzieć na to pytanie. Ale nie przyszedłem tu, aby debatować na temat rozumienia obłąkanych przestępców. Zjawiłem się tu w konkretnym celu i jest on ściśle związany z tym, co się dzieje powyżej.

– Nie rozumiem.

– Przychodzę prosto ze spotkania w gabinecie doktora Collopy'ego. Podjęliśmy pewną decyzję i jest ona związana z twoją osobą.

Nora czekała, czując dziwny, bliżej nieokreślony niepokój.

– Czy znasz grobowiec Senefa?

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Wcale mnie to nie dziwi. Niewielu pracowników tej placówki miało okazję o nim słyszeć. Była to jedna z pierwotnych ekspozycji naszego muzeum, egipski grobowiec z Doliny Królów, który na powrót zrekonstruowano w tutejszych podziemiach. W latach trzydziestych ekspozycję zamknięto i zamurowano, od tamtej pory nie była więcej prezentowana.

– No i?

– W obecnej sytuacji muzeum potrzebuje czegoś spektakularnego,

co przyciągnie do nas ludzi i zagwarantuje nam dobrą passę. Nazwijmy to zasłoną dymną. To, czego nam potrzeba, zapewni grobowiec Senefa. Ponownie go otworzymy. Chcę, abyś to ty przejęła kierownictwo nad tym projektem.

– Ja? Ale przecież musiałam już odłożyć na parę miesięcy moje prace, aby pomóc przy realizacji ekspozycji „Święte wizerunki”!

Na ustach Menziesa pojawił się ironiczny uśmiech. – To prawda i właśnie dlatego zwracam się z tym do ciebie. Widziałem, jak poradziłaś sobie ze Świętymi wizerunkami. W tym wydziale jest tylko jedna osoba, która może sobie z tym poradzić. Ty, Noro.

– Ile mam czasu?

– Collopy chce uporać się z tym jak najszybciej. Mamy sześć tygodni.

– Chyba pan żartuje!

– Znaleźliśmy się w sytuacji kryzysowej. Od dłuższego czasu borykamy się z problemami natury finansowej. A teraz, kiedy mamy naprawdę złą passę, może się zdarzyć dosłownie wszystko.

Nora zamilkła.

– Na podjęcie takiej decyzji – ciągnął łagodnym tonem Menzies – wpłynął fakt, że otrzymaliśmy właśnie dotację w wysokości dziesięciu milionów euro na realizację wspomnianego projektu. Pieniądze nie stanowią problemu. Będziemy mieć jednogłośnie poparcie dla naszego muzeum, począwszy od rady zarządzającej, po wszystkie organizacje związkowe. Grobowiec Senefa pozostawał zamknięty, tak więc powinien być we względnie dobrym stanie.

– Proszę, niech pan mi tego nie zleca. Proszę powierzyć kierownictwo nad tym projektem Ashtonowi.

– Ashton nie radzi sobie z kontrowersyjnymi projektami. Widziałem, jak się spisałaś podczas otwarcia wystawy „Święte wizerunki”, kiedy zjawili się ci indiańscy pielgrzymi. Zrozum, Noro,

muzeum walczy o przetrwanie. I potrzebuje ciebie. Właśnie ciebie, Noro.

Zapadła cisza. Nora obejrzała się przez ramię na skorupy leżące na stole i coś jej w sercu pękło. – Ale ja się nie znam na egiptologii.

– Sprowadzimy najlepszego egiptologa, aby wspomagał cię swoją wiedzą. Wynajmiemy go do czasu otwarcia ekspozycji.

Nora zrozumiała, że nie zdoła się wymigać. Westchnęła przeciągle.
– No dobrze. Zajmę się tym.

– Brava! To właśnie chciałem usłyszeć. Nie mamy jeszcze żadnych konkretnych pomysłów, ale grobowiec od siedemdziesięciu lat nie był prezentowany, więc z całą pewnością trzeba będzie w niego zainwestować. Statyczna ekspozycja to dziś zdecydowanie za mało, postawimy na pokaz multimedialny. I rzecz jasna z okazji otwarcia urządzimy wielką galę, coś, na co każdy szanujący się nowojorczyk z aspiracjami do znalezienia się w wyższych sferach będzie musiał zdobyć bilet.

Nora pokręciła głową. – I to wszystko w ciągu sześciu tygodni?

– Liczyłem, że przyjdzie ci do głowy kilka ciekawych pomysłów.

– Na kiedy?

– Obawiam się, że na wczoraj. Za pół godziny doktor Collopy ma wziąć udział w konferencji prasowej, na której zapowie przygotowywaną ekspozycję.

– O nie. – Nora ciężko zwiesiła głowę. – Czy jest pan pewny, że efekty specjalne są w tym przypadku konieczne? Nie cierpię komputerowych trików. To odwraca uwagę od poszczególnych eksponatów.

– Ale taka jest niestety rzeczywistość i takie są wymagania stawiane dzisiejszym muzeum. Spójrz na nową Bibliotekę Abrahama Lincolna. Tak, to w pewnym sensie płytkie i prostackie, ale taki jest XXI wiek i musimy rywalizować z telewizją i grami wideo. Proszę, Noro,

potrzebuję pomysłów i potrzebuję ich już, teraz. Dyrektor zostanie zasypany pytaniami i chciałby móc powiedzieć co nieco na temat planowanej wystawy.

Nora przełknęła ślinę. Z jednej strony niedobrze robiło się jej na myśl, że miałyby znów odłożyć na czas nieokreślony swoje badania, pracować po siedemdziesiąt godzin tygodniowo i tylko z rzadka widywać swego świeżo poślubionego małżonka. Z drugiej zaś, jeśli miała to zrobić – a najwyraźniej nie pozostawiono jej wyboru – chciała zrobić to jak najlepiej.

– Na pewno nie zniżymy się do tanich chwytów – powiedziała. – Nie będzie mumii wyskakujących z sarkofagów. I muszą zostać zachowane naukowe walory ekspozycji.

– Jestem tego samego zdania.

Nora zamyśliła się przez chwilę. – Grobowiec został złupiony, zgadza się?

– Ograbiono go jak większość egipskich grobowców jeszcze w starożytności, prawdopodobnie dokonali tego ci sami kapłani, którzy pochowali Senefa, nawiasem mówiąc, nie był on faraonem, a jedynie wezyrem i regentem Tutmozisa IV.

Nora zamyśliła się przez chwilę. Uznała za nie lada zaszczyt to, że poproszono ją o pokierowanie pracami nad nową wielką ekspozycją, która jak wszystko wskazywało, będzie miała szeroki rozdzźwięk. To było intrygujące. Wbrew sobie dała się skusić.

– Skoro szuka pan czegoś dramatycznego – rzekła – czemu nie odtworzyć właśnie tego zdarzenia, to znaczy ograbienia grobowca? Moglibyśmy zaprezentować złodziei podczas ich grabieżczej wyprawy, ukazać ich lęk przed schwytaniem, to, co mogłoby ich spotkać, gdyby zostali złapani, a głos narradora wyjaśniałby, co się dzieje, kim był Senef, i w ogóle.

Menzies pokiwał głową. – Doskonale, Noro.

Nora poczuła narastającą ekscytację. – Jeżeli zrobimy to jak należy, z wykorzystaniem efektów komputerowych itp., zwiedzający przeżyją naprawdę niezapomniane chwile. Wewnątrz tego grobowca minione zdarzenia będą rozgrywać się na naszych oczach.

– Noro, któregoś dnia zostaniesz dyrektorem tego muzeum. Zaczerwieniła się. To była całkiem kusząca perspektywa.

– Ja też myślałem o widowisku w rodzaju światło i dźwięk. To naprawdę świetne.

Z nietypową jak dla niego wylewnością Menzies ujął dłoń Nory. – Z pewnością uda się dzięki temu ocalić muzeum. No i pomoże to w dalszym rozwoju twojej błyskotliwej kariery. Jak już wspomniałem, będziesz mieć niezbędne fundusze i wsparcie, którego potrzebujesz. Co się tyczy efektów komputerowych, pozwól, że jak się tym zajmę, ty skup się na eksponatach i wystawie. Sześć tygodni to wystarczająco dużo czasu, by narobić sporego szumu w mediach, porozsyłać zaproszenia i ułagodzić prasę. Jeżeli dziennikarze przyjmą zaproszenia, nie będą nam już bruździć.

Spojrzał na zegarek. – Muszę przygotować doktora Collopy'ego do konferencji prasowej. Bardzo ci dziękuję, Noro.

I wyszedł, pozostawiając ją w pogrążonym w ciszy laboratorium.

Nora z nieskrywanym żalem spojrzała na blat stołu, gdzie jeszcze niedawno tak pieczołowicie rozkładała kawałki glinianych skorup, po czym zaczęła je zbierać jeden po drugim i wkładać na powrót do hermetycznie zamykanych plastikowych torebek.

7

Agent specjalny Spencer Coffey pokonał załom korytarza i zbliżył się do biura naczelnika więzienia; jego podkute obcasy butów przyjemnie stuknęły o betonową posadzkę. Niski wąsaty agent Rabiner podążał za nim jak cień. Coffey przystanął przed masywnymi dębowymi drzwiami, zapukał, po czym otworzył je, nie czekając na zaproszenie.

Sekretarka naczelnika, chuda tleniona blondynka ze śladami po trądziku na twarzy i z wojowniczym nastawieniem, zaatakowała go wzrokiem: – Słucham?

– Agent Coffey. Federalne Biuro Śledcze. – Machnął odznaką. – Jesteśmy umówieni i bardzo się nam spieszy.

– Powiadomię naczelnika, że panowie przyszli – powiedziała; jej nieprzyjemnie zgrzytliwy akcent z północy stanu działał mu na nerwy.

Coffey spojrzał na Rabinera i wywrócił oczami. Miał już wcześniej scysję z tą kobietą o przerwanie połączenia, kiedy zadzwonił kilka godzin wcześniej, a teraz po poznaniu jej osobiście utwierdził się jedynie, że była wszystkim, czym pogardzał, arogancką, butną prostaczką ze słomą w butach, która w taki czy w inny sposób zdołała dochrapać się niemal szanowanej pozycji.

– Agent Coffey i...? – spojrzała na Rabinera.

– Agent specjalny Coffey i agent specjalny Rabiner.

Kobieta z irytującą powolnością sięgnęła po słuchawkę interkomu.

– Panie naczelniku, agenci Coffey i Rabiner do pana. Mówią, że byli umówieni.

Nasłuchiwała przez chwilę, po czym odłożyła słuchawkę. Odczekała dłuższą chwilę, by dać Coffeyowi do zrozumienia, że nie spieszyło się jej tak jak jemu. – Naczelnik Imhof – oznajmiła w końcu – czeka na panów. Coffey wyminął jej biurko. Nagle przystanął. – E, a jak tam na gospodarstwie?

– Musi zacząć się czas parzenia knurów – odpowiedziała bez wahania, nawet na niego nie spojrzawszy.

Coffey wszedł do gabinetu, zastanawiając się, co miała na myśli ta kobieta i czy powinien czuć się obrażony.

Kiedy zamknął drzwi, naczelnik Imhof podniósł się zza dużego biurka z blatem z laminatu. Coffey wcześniej nie miał okazji się z nim widzieć i zdziwił się, stwierdziwszy, że mężczyzna był młodszy, niż się spodziewał, drobny i schludny, z niedużą kozią bródką i chłodnymi niebieskimi oczami. Był nienagannie ubrany i miał starannie ułożoną fryzurę. Coffey nie tak wyobrażał sobie naczelnika tej placówki. W dawnych czasach na taką posadę trzeba było sobie zasłużyć, na dyrektorski fotel wiodła ścieżka kariery zaczynająca się od posady zwykłego klawisza. Ten facet natomiast wyglądał, jakby zyskał stopień doktorski, pracując w zarządzie jakiegoś zakładu poprawczego, i nigdy nie słyszał radującego uszy odgłosu uderzeń policyjnej pałki w ludzkie ciało. A jednak zaciętość wąskich ust zdecydowanie przemawiała na jego korzyść.

Imhof gestem dłoni zaprosił Coffeya i Rabinera, aby usiedli. – Proszę spocząć.

– Dzięki.

– Jak przesłuchanie?

– Sprawa jest rozwojowa – odrzekł Coffey. – Jeżeli na podstawie

zgromadzonych materiałów dowodowych podejrzany nie zostanie skazany na karę śmierci, to będę bardzo zdziwiony. Ale nie jest lekko. Pojawiły się pewne komplikacje.

Nie wspomniał, że przesłuchanie nie poszło po jego myśli; wręcz przeciwnie, było gorzej niż źle.

Oblicze Imhofa pozostało nieodgadnione.

– Gwoli jasności – ciągnął Coffey. – Jedną z ofiar zabójcy był mój kolega po fachu i dobry przyjaciel, trzeci w kolejności, najbardziej utytułowany agent w historii FBI.

Pozwolił, by tamten powoli przyjął podaną informację. Nie wspomniał rzecz jasna, że ofiara, agent dowodzący Mike Decker, był odpowiedzialny za upokarzającą degradację Coffeya przed siedmioma laty, po blamażu związanym z zabójstwami w muzeum, i nic tak nie uradowało Coffeya, jak wiadomość o śmierci znenawidzonego przełożonego, może z wyjątkiem informacji o tym, kto okazał się zabójcą.

To była doprawdy niezwykła chwila.

– Ma pan u siebie wyjątkowego więźnia, panie Imhof. To seryjny zabójca, wyjątkowo groźny socjopata, zamordował co najmniej trzy osoby, choć nasze nim zainteresowanie ogranicza się do zabójstwa agenta federalnego. Pozwalamy, by stan Nowy Jork zajął się pozostałymi oskarżeniami, ale mamy nadzieję, że zanim go skażą, nasz więzień będzie już leżał w komorze straceń przypięty pasami do metalowego łóżka, z igłą wkłutą w żyłę na przedramieniu.

Imhof nasłuchiwał z uwagą, lekko unosząc głowę.

– W dodatku ten więzień jest wyjątkowo arogancki i bezczelny. Pracowałem z nim przy pewnym śledztwie rok temu. Uważa się za lepszego od innych, sądzi, że jest ponad prawem. Nie ma szacunku dla przełożonych, nie uznaje żadnych autorytetów.

Na wzmiankę o szacunku Imhof w końcu zareagował. – Jeżeli jest

coś, czego żądam jako naczelnik tej placówki, to właśnie szacunek. Dyscyplina opiera się przede wszystkim na szacunku.

– Właśnie tak – przyznał Coffey. Postanowił pójść za ciosem, sprawdzić, czy Imhof połknie przynętę. – A skoro o szacunku mowa, podczas przesłuchania więzień z własnej woli powiedział kilka słów na pański temat.

Zauważył, że Imhofa wyraźnie to zainteresowało.

– Ale to, co powiedział, nie nadaje się do powtórzenia – ciągnął Coffey. – Rzecz jasna pan i ja jesteśmy ponad tego rodzaju trywialności, nauczyliśmy się je ignorować.

Imhof wychylił się do przodu. – Jeżeli więzień jawnie okazuje brak szacunku i nie mam tu na myśli osobistych animozji, lecz brak szacunku dla instytucji jako takiej, muszę o tym wiedzieć.

– To same bzdury, wołałbym tego nie powtarzać.

– Mimo wszystko chciałbym to wiedzieć.

Naturalnie więzień niczego takiego nie powiedział, prawdę mówiąc milczał jak głaz. I w tym właśnie problem.

– Określał pana mianem złopięcego piwsko szwaba, zaplutego faszysty i takie tam.

Mięśnie twarzy Imhofa napięły się nieznacznie, a Coffey w mig zorientował się, że trafił w samo sedno.

– Coś jeszcze? – zapytał półgłosem naczelnik.

– Prostackie wulgaryzmy, wzmianki o rozmiarach pańskiego... ee szczerze mówiąc, nie zadałem sobie trudu, aby zapamiętać szczegóły.

Zapadła lodowata cisza. Kozia bródka Imhofa zadrżała nieznacznie.

– Jak już mówiłem, to same bzdury. Ale niezbicie wskazują jedno – więzień nie pojmuje, jak ważna jest współpraca. A wie pan dlaczego? Niezależnie, czy odpowiada na nasze pytania czy nie, czy okazuje szacunek dla pańskiej instytucji czy nie, w jego przypadku nic się nie zmienia. Wszystko jest takie samo. I to się musi zmienić. On musi się

nauczyć, że dokonywane przez niego błędne wybory pociągają za sobą określone konsekwencje. I jeszcze jedno – należy trzymać go w całkowitym odosobnieniu. Nie wolno dopuścić, aby miał jakikolwiek kontakt ze światem zewnętrznym. Nie może w żaden sposób przekazywać informacji poza mury tego zakładu. Istnieje podejrzenie, że może mieć kontakt z bratem, który wciąż pozostaje na wolności. Dlatego od tej pory żadnych telefonów, spotkań z adwokatem, całkowita separacja od świata. Nie chcielibyśmy, aby z uwagi na brak czujności wystąpiły jakieś ee... nieprzewidziane i tragiczne w skutkach zdarzenia. Rozumie pan, o co mi chodzi, naczelniku?

– Oczywiście.

– Świetnie. Ten człowiek musi zrozumieć, jak wielkie znaczenie ma współpraca. Chciałbym popracować nad nim z użyciem szlauchu z zimną wodą i elektrycznego pastucha – facet nie zasługuje na nic innego – ale niestety, to nie wchodzi w rachubę, nie chcielibyśmy przecież uczynić czegoś, co mogłoby później, podczas procesu, obrócić się przeciwko nam. Nasz więzień może być szalony, ale z całą pewnością nie jest głupi. Takemu jak on nie można dać nawet najmniejszej szansy, którą mógłby wykorzystać. Gość ma dość pieniędzy, aby wykopać z grobu Johnny’ego Cochran’a i wynająć go na swego obrońcę.

Coffey umilkł, ponieważ Imhof po raz pierwszy się uśmiechnął. A w spojrzeniu jego lodowatych niebieskich oczu było coś, co zmroziło Coffeyowi krew w żyłach.

– Rozumiem, na czym polega pański problem, agencie Coffey. Więzień musi zrozumieć, jak ważny jest szacunek. Dopilnuję tego osobiście.

8

Rankiem w dniu, na który zaplanowano otwarcie zapieczętowanego grobowca Senefa, Nora zjawiła się w przestronnym biurze Menziesa, gdzie zastała go siedzącego jak zwykle w fotelu i rozmawiającego z młodym mężczyzną. Obaj wstali, kiedy weszła do środka.

– Noro – powiedział – to doktor Adrian Wicherly, egiptolog, o którym ci mówiłem. Adrianie, to doktor Nora Kelly.

Wicherly odwrócił się do niej z uśmiechem, strzecha zmierzwionych brązowych włosów stanowiła jedyny mankament jego poza tym nienagannego wyglądu. Nora otaksowała wzrokiem skromny garnitur z Savile Row, skórzane mokasyny i markowy krawat. Jej spojrzenie zatrzymało się na wyjątkowo przystojnym obliczu i policzkach z dołeczkami, niebieskich elektryzujących oczach i śnieżnobiałych zębach. Uznała, że nie miał więcej niż trzydzieści lat.

– Miło mi panią poznać, doktor Kelly – powiedział z wytwornym oksfordzkim akcentem. Delikatnie ujął jej dłoń, obdarzając kolejnym olśniewającym uśmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I proszę mi mówić po imieniu. Jestem Nora.

– Oczywiście, Noro. Wybacz moją sztywną etykietę, to skutki konserwatywnego wychowania, które na tym kontynencie może wydawać się dość surowe. Chciałem tylko powiedzieć, jak cholernie się cieszę, mogąc być tutaj i pracować nad tym projektem.

Cholernie. Nora stłumiła uśmiech cisnący jej się na usta – Adrian Wicherly wyglądał jak karykatura młodego przebojowego Anglika; nie sądziła, że tacy jak on w ogóle istnieją poza kartami powieści P G. Wodehouse’a.

– Adrian przybywa do nas zbrojny w naprawdę imponujące referencje – powiedział Menzies. – Doktor filozofii na Oksfordzie, kierownictwo nad pracami wykonywanymi przy grobowcu KV 42 w Dolinie Królów, wykładowca egiptologii na uniwersytecie w Cambridge, autor monografii Faraonowie XX Dynastii.

Nora spojrzała na Wicherly’ego z nieskrywanym szacunkiem. Był zdumiewająco młody jak na archeologa z takim dorobkiem.

– Nader imponujące.

Wicherly skrzywił się z przekąsem. – Takie tam akademickie bzdurki, nic więcej.

– Śmiem wątpić – Menzies spojrzał na zegarek. – O dziewiątej mamy spotkać się z kimś z wydziału konserwacji. O ile dobrze zrozumiałem, nikt nie wie, gdzie dokładnie znajduje się grobowiec Senefa. Jedno jest pewne: ekspozycja została zamurowana i od tej pory nikt jej nie widział. Będziemy musieli sforsować ścianę, aby się do niej dostać.

– To intrygujące – powiedział Wicherly. – Czuję się jak Howard Carter.

Starą, skrzypiącą i zgrzytającą windą zjechali do piwnic. Wyszli na poziomie, gdzie znajdował się wydział konserwacji, po czym krętymi korytarzami przeszli przez warsztat i stolarnię, aby koniec końców dotrzeć do niewielkiego biura. Drzwi były otwarte. Wewnątrz, za biurkiem siedział drobny mężczyzna, nachylając się nad plikiem planów. Mężczyzna podniósł się, gdy Menzies zastukał we framugę.

– Chciałbym wam przedstawić pana Seamusa McCorkle’a –

powiedział Menzies. – Przypuszczalnie wie on więcej na temat topografii tego muzeum niż ktokolwiek inny.

– Czyli w sumie i tak niewiele – powiedział McCorkle. Ten mężczyzna po pięćdziesiątce przywodzący na myśl elfa miał delikatne celtyckie rysy i wysoki świszczący głos. Ostatnie słowo, które wymówił, zabrzmiało jak „niefiele”.

Po dokonaniu prezentacji Menzies ponownie spojrzał na McCorkle’a. – Znalazł pan nasz grobowiec?

– Wydaje mi się, że tak. – McCorkle wskazał palcem stertę starych planów. – To niełatwe odnaleźć coś w tym starym molochu.

McCorkle zaczął rolować jeden z arkuszy z planami, ten znajdujący się na wierzchu. – Muzeum składa się z trzydziestu czterech połączonych z sobą budynków o powierzchni ponad sześciu akrów, czyli w sumie jakieś dwa miliony stóp kwadratowych, osiemnaście mil korytarzy, i to nie licząc podziemnych tuneli, których nikt nigdy nie zmierzył ani nie umieścił na odrębnych planach. Próbowałem kiedyś ustalić, ile pomieszczeń znajduje się w tej placówce, ale zrezygnowałem, gdy doliczyłem do tysiąca. Muzeum od stu czterdziestu lat znajduje się w stanie ciągłej przebudowy i renowacji. Taka jest jego natura – zbiory są przenoszone z miejsca na miejsce, pomieszczenia łączone i przebudowywane, inne sale rozdziela się, nadaje się im nowe nazwy. Wiele z tych zmian dokonywanych jest spontanicznie, bez sporządzenia stosownych planów.

– Ale przecież nie sposób zgubić tu całego egipskiego grobowca! – rzucił Wicherly.

McCorkle zaśmiał się. – To byłoby trudne nawet w tym muzeum. Kłopot może być natomiast ze znalezieniem wejścia do niego. Zostało zamurowane w roku 1935, kiedy zbudowano łączący tunel ze stacji metra przy 81 Ulicy. – Wetknął rulon z planami pod pachę i podniósł leżącą na stole czarną skórzaną torbę. – Idziemy?

– Pan przodem – powiedział Menzies.

Ruszyli wzdłuż szpetnego zielonego korytarza, mijając pomieszczenia konserwacyjne, magazyny, często odwiedzane miejsca w tych podziemiach. Po drodze McCorkle pośpiesznie objaśniał im, co akurat mijali. – To warsztat ślusarski. To stara kotłownia, teraz składa się tu szkielety waleni. Magazyn dinozaurów z okresu jurajskiego... kredowego... ssaki z plejstocenu... ssaki z oligocenu... krowy morskie i manaty..

Za magazynami rozciągały się laboratoria z lśniącymi drzwiami z nierdzewnej stali, podświetlonymi szeregowo pojedynczymi żarówkami i okolonymi biegnącymi wzdłuż ścian rurami grzewczymi, z których raz po raz dobiegały nieprzyjemne grzmiące odgłosy.

Minęli tak wiele zamkniętych drzwi, że Nora całkiem straciła rachubę. Niektóre z nich były stare i wymagały użycia kluczy, których pęk na dużym kółku miał przy sobie McCorkle. Inne, stanowiące część nowego systemu bezpieczeństwa muzeum, McCorkle otwierał z pomocą karty magnetycznej. W miarę jak zapuszczali się jeszcze dalej w głąb muzealnych podziemi, w korytarzach było coraz ciszej.

– Śmiem twierdzić, że ta budowla jest równie wielka jak British Museum – rzekł Wicherly.

McCorkle parsknął pogardliwie. – Większa. Znacznie większa.

Dotarli do wyjątkowo starych, nabijanych nitami metalowych drzwi, które McCorkle otworzył dużym żelaznym kluczem. Za nimi panowała nieprzenikniona ciemność. Przekręcił włącznik światła; blask jarzeńówek rozjaśnił długi, niegdyś elegancki korytarz ozdobiony starymi wyblakłymi freskami. Nora przymrużyła powieki: te malowidła przedstawiały krajobrazy Nowego Meksyku, z górami, pustyniami i wielopoziomowymi ruinami indiańskiego osiedla, w którym rozpoznała pueblo Taos.

– Fremont Ellis – rzekł Menzies. – To była niegdyś Sala

Południowego Zachodu. Zamknięta od lat czterdziestych.

– Są niesamowite – wyszeptała Nora.

– W rzeczy samej. I bardzo cenne.

– Przydałoby się je odnowić – zauważył Wicherly. – Ta plama tutaj wygląda dość paskudnie.

– To kwestia pieniędzy – odrzekł Menzies. – Gdyby nasz hrabia nie wystąpił z hojną dotacją, grobowiec Senefa zapewne przez kolejne siedemdziesiąt lat nie doczekałby się ponownego otwarcia.

McCorkle otworzył następne drzwi, za którymi rozciągała się jeszcze jedna tonąca w półmroku sala przerobiona na magazyn pełen półek uginających się pod ciężarem malowanych glinianych naczyń. Pod ścianami stały dębowe regały z szybami ze zdobionego szkła, przez które widać było znajdujące się wewnątrz liczne artefakty.

– Kolekcja Południowego Zachodu – oznajmił McCorkle.

– Nie miałam pojęcia – rzekła Nora ze zdumieniem w głosie. – Powinno się udostępnić ją do badań.

– Jak słusznie wspomniał Adrian, wcześniej należałoby ją odnowić – odparł Menzies. – I znów wszystko zaczyna się i kończy na funduszach.

– Nie tylko o fundusze chodzi – dodał McCorkle z dziwnym, nawiedzonym wyrazem twarzy.

Nora i Wicherly wymienili spojrzenia. – A o co? – zapytała.

Menzies odchrząknął. – Wydaje mi się, że Seamusowi chodzi o to, iż w pobliżu Sali Południowego Zachodu miały miejsce morderstwa dokonane przez Bestię z Muzeum.

W ciszy, jaka później zapadła, Nora upomniała się w duchu, aby w bliżej nieokreślonej przyszłości rzucić okiem na owe zbiory, najlepiej w towarzystwie kilku innych osób. Może udałoby się jej powalczyć o dotację, dzięki czemu zostałyby przeniesione do innego, regularnie inwentaryzowanego magazynu.

Za kolejnymi drzwiami napotkali mniejsze pomieszczenia, gdzie wzdłuż ścian od podłogi aż po sufit ciągnęły się czarne metalowe regały. Spoza nich dostrzec można było stare plakaty i ogłoszenia z lat 20. i 30. z liternictwem w stylu art deco i wizerunkami panien Gibson. Dawniej musiało to być coś w rodzaju przedsionka. W pomieszczeniu czuć było woń paradichlorobenzenu i czegoś znacznie bardziej nieprzyjemnego, jakby gnijącego mięsa, stwierdziła Nora.

Dotarli do wielkiej, pogrążonej w półmroku sali. W odbitym świetle Nora zauważyła, że ściany tego pomieszczenia pokryte były freskami przedstawiającymi piramidy z Gizy i Sfinksa tak, jak wyglądały pierwotnie.

– Dochodzimy do starych egipskich galerii – powiedział McCorkle.

Weszli do rozległej sali. Wykorzystano ją jako pomieszczenie magazynowe: półki regałów przykryto przezroczystymi plastikowymi płachtami, które pokrywała gruba warstwa kurzu.

McCorkle rozwinął plany, mrużąc powieki w słabym świetle. – O ile się nie mylę, wejście do grobowca powinno znajdować się na drugim końcu tej sali, gdzie dziś jest pawilon.

Wicherly podszedł do jednego z regałów i podniósł plastikową płachtę. Nora dostrzegła na metalowych półkach gliniane naczynia, złożone fotele i łóża, wezglowia, zamykane słoje i maleńkie figurki z alabastru, fajansu oraz ceramiki.

– Boże drogi, to jedna z najwspanialszych kolekcji uszabti, jakie kiedykolwiek widziałem. – Wicherly odwrócił się energicznie do Nory – Jest tu tyle eksponatów, że można by zapełnić nimi dwa takie grobowce. – Podniósł jedno z uszabti i delikatnie, z nabożną czcią obrócił w dłoniach. – Stare Państwo, II Dynastia, za panowania faraona Hetepsechemwiego.

– Doktorze Wicherly, zgodnie z przepisami nie wolno dotykać

eksponatów – rzekł McCorkle ostrzegawczym tonem.

– Nic nie szkodzi – wtrącił Menzies. – Doktor Wicherly jest egiptologiem. Odpowiedzialność za niego biorę na siebie.

– Oczywiście – McCorkle nieco spuścił z tonu.

Nora odniosła wrażenie, że McCorkle traktował te stare zbiory po trosze jak swoją własność. Poniekąd należały do niego, gdyż był jedną z nielicznych osób, które miały je okazję oglądać.

Wicherly podchodził od jednego regału do drugiego i prawie zaczął się ślinić. – A niech mnie, mają tu nawet neolityczną kolekcję z Górnego Nilu! Dobry Boże, spójrz tylko na ten rytualny thatof! – Uniósł w dłoni długi na stopę kamienny nóż wykonany z szarego kamienia.

McCorkle spojrzał z rozdrażnieniem na Wicherly'ego. Archeolog z największą ostrożnością odłożył nóż na miejsce, po czym nakrył go plastikiem. Dotarli do następnych obitych żelazem drzwi, z których otwarciem McCorkle miał drobne trudności; wypróbował kilka kluczy, zanim odnalazł właściwy. Wreszcie drzwi otwarły się ze skrzypnięciem, z zawiasów posypały się płatki rdzy.

Za drzwiami znajdował się nieduży pokój pełen sarkofagów z malowanego drewna i masy papierowej. Niektóre miały wieka, inne nie. Wewnątrz Nora dostrzegła pojedyncze mumie; jedne były owinięte bandażami, drugie nie.

– Sala mumii – oznajmił McCorkle.

Wicherly wysforował się naprzód. – Wielkie nieba, musi tu być ich ze sto! – Odgarnął plastik na bok, odsłaniając wielki drewniany sarkofag. – Spójrz na to!

Nora podeszła i przyjrzała się mumii. Lniane bandaże na twarzy i klatce piersiowej zostały zdarte, odsłaniając poczerwiałe, pomarszczone usta, otwarte jak do krzyku w proteście przeciwko barbarzyństwu, jakiego się dopuszczono. W klatce piersiowej ziała

potężna dziura, mostek i żebra zostały wyłamane. Wicherly odwrócił się do Nory, jego oczy błyszczały. – Widzisz? – zapytał niemal nabożnym szeptem. – Ta mumia została ograbiona. Rozerwano bandaż, pod którymi umieszczone były cenne amulety, a tu, w tym otworze, znajdowały się skarabeusze ze złota i nefrytu, symbole odrodzenia. Złoto uważano za ciało bogów, ponieważ nigdy nie śniedzieje. Z klatki piersiowej wyrwano żebra, aby się do niego dostać.

– Moglibyśmy umieścić tę mumię w grobowcu – podsunął Menzies.
– Zgodnie z przyjętym pomysłem, pomysłem Nory, grobowiec miał wyglądać jak w chwili grabieży.

– Doskonale – zgodził się Wicherly, posyłając Norze promienny uśmiech.

– Wydaje mi się – wtrącił McCorkle – że wejście do grobowca znajdowało się przy tamtej ścianie. – Odłożył torbę na podłogę, odgarnął plastikowe płachty z półek na przeciwległej ścianie, ukazując misy, garnki i kosze pełne niedużych poczerniałych, pomarszczonych przedmiotów.

– Co jest w środku? – zapytała Nora.

Wicherly nachylił się, aby przyjrzeć się zawartości. Po krótkiej chwili znów się wyprostował.

– Zapasy żywności. Na drogę w zaświaty. Chleb, mięso antylopy, owoce, warzywa, aby faraon, udając się w podróż do innego świata, nie zaznał głodu.

Usłyszeli cichy łoskot dochodzący zza ściany, potem rozległ się zduszony zgrzyt metalu i nagle zapadła głucha cisza.

– Stacja metra Central Park West – wyjaśnił McCorkle. – Stacja przy 81 Ulicy jest niedaleko stąd.

– Będziemy musieli znaleźć sposób, aby wytłumić ten hałas – zauważył Menzies. – To psuje cały nastrój.

McCorkle chrząknął. Następnie wydobył z torby elektroniczne urządzenie, uruchomił je i wymierzył w nowo wybudowaną ścianę. Po chwili wyciągnął kawałek kredy i nakreślił znak na ścianie. Wyjąwszy drugie urządzenie z kieszeni koszuli, położył je pod ścianą i przesunął wolno wzdłuż niej, odczytując wyniki kolejnych pomiarów.

Nagle cofnął się o dwa kroki... – Mam cię! Pomóżcie mi usunąć te półki.

Zaczęli przestawiać eksponaty na inne półki. Kiedy już się z tym uporali, McCorkle wyjął kombinerkami wsporniki półek i odrzucił je na bok.

– Gotowi na chwilę prawdy? – spytał McCorkle z błyskiem w oku w przyływie dobrego humoru.

– Jak najbardziej – odparł Wicherly.

McCorkle wyciągnął z torby młotek i przecinak, przytknął ostrze do ściany i uderzył młotkiem raz i drugi. Głuchy odgłos uderzenia rozbrzmiał echem w zamkniętym pomieszczeniu, a na podłogę płatami posypał się tynk, odsłaniając rząd cegieł. McCorkle wciąż pracował przecinakiem, kurz wzbił się w powietrze... i nagle ostrze zagłębiło się po sam koniec. McCorkle obrócił nim, zadając jeszcze kilka ciosów młotkiem na boki i obluzowując cegły. Parę kolejnych uderzeń zadanych z niezwykłą wprawą wystarczyło, by odbić potężny fragment ściany, odsłaniając mroczne pomieszczenie. Niski mężczyzna cofnął się o krok. Równocześnie Wicherly rzucił się naprzód. – Proszę wybaczyć, że uzurpuję sobie przywilej eksploratora – odwrócił się do pozostałych z czarującym uśmiechem. – Czy ktoś chciałby zgłosić sprzeciw?

– Proszę bardzo – rzekł Menzies. McCorkle zmarszczył brwi, ale nie powiedział nic.

Wicherly wydobył latarkę i poświecił w głąb otworu, nieomal

dotykając twarzą krawędzi muru. Zapanowała długa cisza przerywana odgłosami kolejnego przetaczającego się nieopodal składu metra.

– Co tam pan widzi? – zapytał w końcu Menzies.

– Dziwne zwierzęta, posągi i złoto, wszędzie błyszczą złoto.

– Jak to możliwe? – rzucił McCorkle.

Wicherly obejrzał się przez ramię. – Żartowałem tylko, pozwoliłem sobie zacytować słowa, które Howard Carter wypowiedział, zajrzawszy po raz pierwszy do grobowca Tutenchamona.

McCorkle zacisnął usta. – Jeżeli zechce pan odsunąć się na chwilę, otworzę to przejście. To nie potrwa długo.

McCorkle podszedł do szczeliny i zadając całą serię wprawnych ciosów młotkiem i przecinakiem, obluzował kilka rzędów cegieł. Po niespełna dziesięciu minutach wykuł otwór na tyle duży, aby można było precyzyjnie się do środka. Wszedł do ciemnego pomieszczenia i wyłonił się kilka chwil później.

– Oświetlenie nie działa, tak jak się tego spodziewałem. Będziemy musieli używać latarek. Pójdę pierwszy – powiedział, zerkając na Wicherly'ego. – Takie są przepisy. Waleczenie odgórne. Wewnątrz może być niebezpiecznie.

– Pewnie gdzieś tam w mroku czai się mumia z Czarnej Laguny – rzucił Wicherly ze śmiechem i przeniósł wzrok na Norę.

Powoli, ostrożnie weszli do środka, po czym przystanęli, by rozejrzeć się wokoło. W świetle latarek ich oczom ukazało się wielkie kamienne wejście, a w ciemnościach za progiem dostrzec można było wiodące w dół schody wykute z chropowatego wapienia.

McCorkle podszedł do przejścia i stanąwszy w progu, zapytał gromkim głosem: – To jak, panie i panowie, jesteście gotowi?

9

Kapitan wydziału zabójstw Laura Hayward stała w milczeniu w swoim gabinecie, wpatrując się w góry dokumentów, które nie wiadomo kiedy wyrosły na jej biurku, na każdym z krzeseł, a nawet na podłodze; chaotyczne, przewalające się stery papierów, zdjęć, motki kolorowego sznurka, płyty kompaktowe, pożółkłe wydruki teleksów, koperty i etykiety. Zewnętrzny chaos stanowił idealne odzwierciedlenie stanu jej umysłu, skonstatowała.

Świetny materiał dowodowy obciążający Pendergasta, z całą gamą znalezionych przy nim parafernaliów, na które składały się kolorowe sznury, zdjęcia i etykiety, obrócił się w perzynę.

A wszystko tak dobrze do siebie pasowało. Dowody, choć subtelne, wydawały się czyste, przekonujące i niezbite. Ślad krwi, kilka mikroskopijnych włókien, parę pasemek włosów, węzeł zawiązany w szczególny sposób, dowód własności broni, której użyto do popełnienia morderstwa. Testy DNA nie kłamią, eksperci sądowi nie kłamią, autopsja nie kłamie. Wszystko wskazywało na Pendergasta. Jego wina była praktycznie przesądzona.

Może aż za bardzo. I w tym właśnie cały problem.

Rozległo się ciche, delikatne pukanie do drzwi, a gdy się odwróciła, ujrzała Glena Singletona, komisarza miejscowego posterunku. Był mężczyzną po czterdziestce, wysokim, o pociągłym obliczu, ostrym profilu i ruchach zawodowego pływaka. Nosił grafitowy garnitur,

o wiele za drogi i zbyt dobrze skrojony jak na zwykłego komisarza nowojorskiej policji, a co dwa tygodnie zostawiał 120 dolców w zakładzie fryzjerskim w holu Carlyle, aby przyciąć i idealnie ułożyć swe szpakowate włosy. Były to wszelako oznaki wrodzonej schludności i skłonności do elegancji, a nie dowody, że komisarz przyjmował łapówki. I pomimo powyższych słabostek Singleton był cholernie dobrym gliną, jednym z najczęściej odznaczanych podczas pełnienia aktywnej służby w policji.

– Mogę wejść, Lauro? – uśmiechnął się, ukazując garnitur doskonałych śnieżnobiałych zębów.

– Jasne, czemu nie?

– Brakowało nam ciebie na wydziałowej kolacji wczoraj wieczorem. Coś cię trapi?

– Czy coś mnie trapi? Nie, bynajmniej, czemu pytasz?

– Doprawdy? Wobec tego nie rozumiem, dlaczego odpuściłaś sobie dogodną okazję, aby zjeść coś smacznego, napić się i dobrze zabawić.

– No, nie wiem. Chyba nie byłam w nastroju, nie miałam ochoty nigdzie wychodzić.

Zapadła krępująca cisza, podczas gdy Singleton rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu wolnego krzesła.

– Przepraszam za ten bałagan. Właśnie próbowałam tu trochę... Nie dokończyła.

– Co takiego?

Hayward wzruszyła ramionami.

– Tego się właśnie obawiałem. – Singleton zawahał się przez chwilę, po czym zamknął za sobą drzwi i postąpił naprzód, jakby podjął w duchu jakąś decyzję. – To do ciebie niepodobne, Lauro – rzekł półgłosem.

Zaczyna się, pomyślała Hayward.

– Jestem twoim przyjacielem i nie zamierzam owijać w bawełnę –

kontynuował. – Domyślam się, co próbowałaś robić, i chcę powiedzieć, że zajmując się tym, tylko napytasz sobie biedy. Na własną prośbę pakujesz się w kłopoty.

Hayward czekała.

– Poprowadziłaś śledztwo nieomal podręcznikowo. Zająłaś się nim idealnie. Czemu wciąż się w tym grzebiesz?

Przez dłuższą chwilę przyglądała się Singletonowi, usiłując opanować gniew skierowany bardziej przeciwko niej samej niż przeciwko niemu.

– Dlaczego? Ponieważ za kratki trafił niewinny człowiek. Agent Pendergast nie zamordował Torrance'a Hamiltona, Charlesa Duchampa ani Michaela Deckera. Prawdziwym zabójcą jest jego brat Diogenes.

Singleton westchnął. – Posłuchaj. Nie ulega wątpliwości, że to Diogenes ukradł brylanty z muzeum i porwał Violę Maskelene. Zeznania porucznika D'Agosty, Kapłana i samej lady Maskelene potwierdzają to bez cienia wątpliwości. Ale to, co zrobił, nie czyni go mordercą. Nie mamy na to najmniejszych dowodów. Z drugiej strony spisałaś się doskonale, udowadniając, że to agent Pendergast popełnił te zbrodnie. Odpuść sobie.

– Zrobiłam, co do mnie należało, i w tym właśnie cały problem. Wystawiono mnie. A Pendergast został wrobiony.

Singleton zasepił się. – W mojej karierze spotkałem się z wieloma przypadkami wrabiania, ale tym razem wydaje mi się to mało prawdopodobne. Ktoś musiałby zadać sobie naprawdę wiele trudu... to wszystko jest po prostu zbyt skomplikowane.

– D'Agosta od samego początku usiłował mi wytłumaczyć, że Diogenes Pendergast wrabia swego brata. Diogenes zdobył wszelkie fizyczne dowody, jakich potrzebował, w czasie rekonwalescencji Pendergasta we Włoszech – krew, włosy, włókna i całą resztę.

D'Agosta upierał się, że Diogenes żyje, że to on uprowadził Violę Maskelene i że to on jest odpowiedzialny za kradzież brylantów. Miał rację i to pozwala mi przypuszczać, że nie myli się także co do całej reszty.

– D'Agosta ma przechlapanie! – uciął Singleton. – Zdradził zarówno moje, jak i twoje zaufanie. Nie wątpię, że komisja dyscyplinarna doprowadzi do jego ostatecznego wydalenia z policji. Naprawdę chcesz, żeby ten człowiek pociągnął cię za sobą na dno?

– Chcę dociec prawdy. Jestem odpowiedzialna za postawienie Pendergasta przed sądem, gdzie będzie walczył o życie, i tylko ja mogę doprowadzić do oczyszczenia go z zarzutów.

– Jedyne sposoby, aby tego dokonać, to udowodnić, że mordercą jest ktoś inny. Czy masz choćby jeden dowód obciążający Diogenesa?

Hayward zmarszczyła brwi. – Margo Green opisała swego napastnika jako...

– Margo Green zaatakowano w ciemnej sali. Jej zeznanie zostanie podważone przed sądem. Singleton zawahał się – Posłuchaj, Lauro – dorzucił nieco łagodniejszym tonem. – Nie wciskajmy sobie nawzajem kitu. Wiem, przez co przechodzisz. Związek z kolegą z pracy nigdy nie jest łatwy. Werwanie z nim jest jeszcze trudniejsze. A jako że Vincent D'Agosta tkwi w tej sprawie po uszy, nic dziwnego, że czujesz się...

– Ja i D'Agosta to już przeszłość – przerwała mu Laura. – I nie podobają mi się pańskie insynuacje. Nawiasem mówiąc, pańska wizyta też nie jest mi na rękę.

Singleton podniósł plik papierów z jednego z krzeseł dla gości, położył go na ziemi i usiadł. Pochylił głowę, oparł łokcie na kolanach, westchnął, po czym uniósł wzrok.

– Lauro – powiedział – jesteś najmłodszym oficerem w randze kapitana wydziału zabójstw w historii policji nowojorskiej. Co więcej, jesteś dwa razy lepsza od mężczyzn dorównujących ci rangą.

Komisarz Rocker cię uwielbia. Burmistrz także. Podobnie jak twoi podwładni. Któregoś dnia zostaniesz komisarzem, bo jesteś naprawdę dobra. Nie przychodzę tu z czyjegoś polecenia, lecz z własnej woli. Aby cię ostrzec, że twój czas na poprowadzenie tej sprawy minął. FBI na dobre zajęło się dochodzeniem przeciwko Pendergastowi. Uważają, że to on zabił Deckera, i nie interesują ich żadne nielogiczności związane z tą sprawą. Ty masz tylko przeczucie, nic więcej... a powiadam ci, za przeczucie nie warto zaprzepaszczać pięknie zapowiadającej się kariery. A uwierz mi, stracisz swoją wielką szansę, jeżeli wbrew moim radom spróbujesz zmierzyć się z FBI i przegrasz.

Spojrzała na niego niewzruszonym wzrokiem, wzięła głęboki oddech i stanowczym tonem oznajmiła: – Trudno, będzie, co ma być.

10

Niewielka grupka ludzi schodziła po zakurzonych stopniach grobowca Senefa, podeszwy ich butów pozostawiały ślady na schodach jak na świeżym śniegu.

Wicherly przystanął i poświecił latarką wokoło. – Ach, oto co Egipcjanie nazywają Pierwszym Boskim Przejściem Ścieżką Słońca. – Odwrócił się do Nory i Menziesa. – Czy to, co mówię, was ciekawi, czy może niepotrzebnie wszystkich zanudzam?

– Ależ proszę mówić – rzekł Menzies. – To bardzo interesujące. Miło jest odbywać taką wycieczkę w towarzystwie prawdziwego znawcy tematu.

Śnieżnobiałe zęby Wicherly’ego błysnęły w świetle latarek. – Problem w tym, że znaczenie tych starożytnych grobowców wciąż pozostaje dla nas niejasne. Nietrudno ustalić, z jakiego okresu pochodzą. Ten tutaj wydaje się typowym grobowcem Nowego Państwa, powiedziałbym, że to późna XVIII Dynastia.

– Strzał w dziesiątkę – mruknął Menzies. – Senef był wezyrem i regentem Tutmozisa IV.

– Dziękuję. – Wicherly przyjął komplement z nieskrywaną satysfakcją. – Większość grobowców z czasów Nowego Państwa miała trzy części: zewnętrzną, środkową i wewnętrzną komorę grobową, podzielone w sumie na dwanaście komnat, które łącznie uosabiały przejście boga Słońca przez świat podziemny podczas dwunastu

godzin nocy. Faraona grzebano o zachodzie słońca, a jego dusza towarzyszyła bogu Słońca na jego słonecznej łodzi podczas groźnej podróży przez świat podziemi ku chwalebnyemu odrodzeniu o świcie.

Poświecił latarką przed siebie, omiatając tonące w ciemnościach przejście na drugim końcu tunelu.

– To przejście powinno być wypełnione gruzami, a na końcu korytarza powinny znajdować się zapieczętowane drzwi.

Schodzili dalej, aż w końcu dotarli do masywnego wejścia, gdzie na belce poprzecznej widniało wielkie oko Horusa. Wicherly przystanął, oświetlił latarką oko i otaczające je hieroglify.

– Czy może pan odczytać te hieroglify? – zapytał Menzies. Wicherly uśmiechnął się. – Bez większych trudności. I postaram się, aby zabrzmiało to należycie groźnie. To klątwa. – Mrugnął porozumiewawczo do Nory. – Każdemu, kto przestąpi ten próg, niechaj Ammut pożre serce.

Zapadła krótka chwila ciszy.

McCorkle zachichotał piskliwie. – To wszystko?

– Dawnemu rabusiowi grobów – odparł Wicherly – to w zupełności wystarczyło. Starożytni Egipcjanie potraktowaliby to jako nie lada przestrożę.

– Kim jest Ammut? – zapytała Nora.

– To pożeracz potępionych. – Wicherly poświecił latarką na wyblakłe malowidło na ścianie ukazujące potwora o krokodylim łbie, tułowiu leoparda i tylnych łapach hipopotama, siedzącego na piasku z rozwartą paszczą, szykującego się, aby pożreć tuzin ludzkich serc. – Złe słowa i uczynki czynią serca ciężkimi, a po śmierci Anubis porównuje wagę ludzkiego serca z wagą pióra bogini Maat. Jeśli serce okaże się cięższe od pióra, pawianogłowy bóg Tot ciska je Ammut na pożarcie. Ammut udaje się na Pustynię Zachodnią, aby tam się wypróżnić, i tak właśnie kończysz, jeśli nie prowadziłeś prawego

życia. Jako odchody prażące się w słońcu na pustyni.

– To więcej, niż chciałem usłyszeć. Dziękuję, doktorze – powiedział McCorkle.

– Grabież grobowca faraona musiała być dla starożytnych Egipcjan przerażającym doświadczeniem. Klątwy rzucone na każdego, kto Przeszł próg grobowca, były traktowane bardzo poważnie. Aby zniweczyć moc nieżyjącego faraona, ludzie ci nie tylko okradali grobowiec, lecz również go niszczyli, dewastując wszystko w środku.

Jedynie unicestwiając znajdujące się tam przedmioty, można było stłumić ich złowieszczą potęgę.

– Pozywka dla naszej ekspozycji, Noro – mruknął Menzies.

Po krótkim wahaniu McCorkle przestąpił próg; pozostali ruszyli za nim.

– Drugie Boskie Przejście – oznajmił Wicherly, oświetlając hieroglify promieniem latarki. – Ściany są pokryte inskrypcjami z Reu nu pert em hru, egipskiej Księgi Umarłych.

– Ach. To doprawdy ciekawe! – zauważył Menzies. – Przeczytaj nam fragment, Adrianie.

Wicherly zaczął półgłosem:

„Regent Senef, którego słowo jest prawdą, rzecze: wychwalam i dzięki składam, o tobie, Re, ty, który przemierzasz niebo niczym żywe złoto, ty, który oświetlasz dwie krainy od dnia swych narodzin, ty którego zrodziła matka i który rozjaśniasz boskim blaskiem krąg, po którym wędruje tarcza. O wieczna światłości, która przetaczasz się ponad nią, ty, co wywiodłeś całe pokolenia ludzi z otchłani źródła swych wód...”

– To inwokacja do Re, boga Słońca, zanoszona przez zmarłego Senefa, typowy fragment z Księgi Umarłych.

– Słyszałam o Księdze Umarłych – rzekła Nora – ale niewiele o niej wiem.

– To w dużej mierze zbiór magicznych inwokacji, zaklęć

i inkantacji. Miały one pomóc umarłym podczas niebezpiecznej podróży przez świat podziemi aż na pole trzciny, czyli do miejsca będącego dla starożytnych Egipcjan odpowiednikiem nieba. Tamtej nocy, po pogrzebie faraona, ludzie oczekiwali w trwodze, ponieważ gdyby władca ugrzązł gdzieś w świecie podziemi i nie zdołał się odrodzić, słońce nigdy już by nie wzeszło. Zmarły król musiał znać zaklęcia, sekretne imiona węży oraz dysponować całą gamą innych sztuczek, aby dotrzeć do kresu podróży. To dlatego wszystko zostało napisane na ścianach jego grobowca. Księga Umarłych stanowiła swego rodzaju ściągawkę i zarazem przepustkę do wiecznego życia.

Wicherly zachichotał, oświetlając latarką cztery rzędy hieroglifów w kolorach białym i czerwonym. Podeszli bliżej, wzbijając tumany ciemnoszarego kurzu. – Oto Pierwsza Brama Umarłych – ciągnął. – Ukazuje faraona wchodzącego na pokład słonecznej barki i udającego się w podróż do świata podziemi, gdzie witają go tłumy zmarłych... Tu, przy Czwartej Bramie, napotykają budzącą zgrozę pustynię Sokar i barka w czarodziejski sposób zamienia się w węża, który poniesie ich poprzez gorejące piaski... I jeszcze to. To dopiero dobre. Jest w tym wiele dramatyzmu: o północy dusza boga Słońca Re jednoczy się z jego ciałem uosobionym przez mumię...

– Pan wybaczy, doktorze – wtrącił McCorkle – ale mamy do przejścia osiem komór.

– No jasne. Tak. Oczywiście. Przepraszam.

Dotarli do końca pomieszczenia. Mroczny otwór w ścianie ujawniał strome schody wiodące w ciemność. – Ten korytarz także powinien być zasypany – rzekł Wicherly. – Aby zniechęcić rabusiów.

– Ostrożnie – mruknął McCorkle, wysuwając się na czoło kolumny. Wicherly odwrócił się do Nory i wyciągnął w jej stronę starannie wymanikiowaną dłoń. – Pozwolisz?

– Dam sobie radę – odparła rozbawiona staroświecką kurtuazją.

Patrząc, jak Wicherly schodzi po stopniach z największą ostrożnością, a jego eleganckie mokasyny coraz bardziej pokrywają się kurzem, uznała, że z nich dwojga to raczej on sprawiał wrażenie, jakby miał lada chwila potknąć się i skrócić kark.

– Ostrożnie! – zawołał Wicherly do McCorkle’a. – Jeżeli ten grobowiec zbudowano według tradycyjnych planów, przed nami powinna znajdować się studnia.

– Studnia? – powtórzył z niedowierzaniem McCorkle.

– Głęboka jama mająca stanowić śmiertelną pułapkę dla nieostrożnych rabusiów. Dzięki temu zapobiegano również zalaniu grobowca podczas tych rzadkich okresów, kiedy w Dolinie Królów szalały gwałtowne powodzie.

– Nawet jeśli pozostała nienaruszona, ponad studnią powinna znajdować się kładka – wtrącił Menzies. – Przypominam sobie, że to także należało do elementów ekspozycji.

Ruszyli ostrożnie naprzód; promienie ich latarek padły w końcu na rozchwierutany drewniany mostek rozpięty nad przepaścią o głębokości co najmniej piętnastu stóp. McCorkle gestem dał im znak, aby chwilę poczekał, po czym przyjrzał się kładce w świetle latarki i wszedł na nią. Gdy rozległ się głośny trzask, Nora mimowolnie podskoczyła. McCorkle rozpaczliwie schwycił się poręczy. Ale był to jedynie dźwięk osadzającego się drewna i konstrukcja wytrzymała.

– Wciąż jest bezpieczna – rzekł McCorkle. – Przechodźcie pojedynczo.

Nora szybkim krokiem przemaszerowała przez wąski mostek.

– Aż nie mogę uwierzyć, że to był kiedyś fragment ekspozycji. Jak udało im się zainstalować tego rodzaju studnię w podziemiach muzeum?

– Musiała zostać wykuta w podłożu skalnym Manhattanu – odrzekł

Menzies. – Będziemy musieli wszystko dokładnie odrestaurować.

Pokonawszy most, napotkali kolejne przejście. – Znajdujemy się teraz w samym środku grobowca – rzekł Wicherly. – Powinny tu być zabezpieczone drzwi. Co za cudowne freski! To wizerunek Senefa spotykającego się z bogami. I kolejne wersety z Księgi Umarłych.

– Znów klątwy? – zapytała Nora, zerkając na jeszcze jedno oko Horusa odmalowane nad zamkniętymi niegdyś drzwiami.

Wicherly omiótł hieroglify światłem latarki. – Hm. Nigdy dotąd nie spotkałem się z taką inskrypcją. *„Oto miejsce, które jest zabezpieczone. To, co spoczywa w zamknięciu, odradza się przez duszę ba, która w nim tkwi; to, co przemierza zamknięte przestrzenie, nie posiada duszy ba. Poprzez oko Ho-msa daj mi wybawienie albo potępienie, o wielki Ozyrysie”*.

– Mnie to wygląda na kolejną klątwę – zauważył McCorkle.

– Podejrzewam raczej, że to mniej znany cytat z Księgi Umarłych. To cholerstwo ma prawie dwieście rozdziałów i nikt nie zna jej całej na pamięć.

Znaleźli się obecnie w olbrzymiej sali grobowca o wysokim sklepieniu wspartym na sześciu kamiennych kolumnach, gęsto pokrytych hieroglifami i freskami. Norze wydało się niemożliwe, że tak wielkie, bogato zdobione pomieszczenie mogło znajdować się w podziemiach muzeum ukryte od ponad pół wieku przed światem i niemal przez wszystkich zapomniane.

Wicherly odwrócił się, wodząc światłem latarki po rozległych malowidłach. – To naprawdę niezwykle. Sala Rydwanów, którą starożytni określali mianem Sali Odpierania Wrogów. To właśnie tu zgromadzono cały sprzęt wojenny, którego mógł potrzebować faraon w zaświatach: jego rydwan z końmi, łuki i strzały, miecze, noże, włócznie, toporki i maczugi bojowe, a także hełm i skórzaną zbroję.

Zatrzymał promień latarki na fresku przedstawiającym

zdekapitowane ciała walające się setkami na ziemi, ich czaszki leżały w równych rzędach opodal. Ziemia była czerwona od krwi. Starożytny artysta nie zapomniał o dodaniu tak realistycznych szczegółów jak wystające z ust nabrzmiące języki.

Przeszli przez długi ciąg korytarzy, aż dotarli do pomieszczenia o wiele mniejszego od innych. Ogromny fresk na ścianie ukazywał opisywaną już wcześniej scenę ważenia serca, lecz w znacznie większym formacie. Opodal czaiła się monstrualna śliniąca się Ammut.

– Sala Prawdy – oznajmił Wicherly. – Nawet faraon podlegał sądowi, czy tak jak w tym przypadku Senef, który był niemal równie potężny jak faraon.

McCorkle chrząknął, po czym zniknął w sąsiedniej komorze; pozostali ruszyli za nim. Było to jeszcze jedno przestronne wnętrze o wysokim sklepieniu, na którym odmalowano nocne rozgwieżdżone niebo, na ścianach było gęsto od hieroglifów. Pośrodku stał wielki granitowy pusty sarkofag. Pośrodku każdej z czterech ścian dokoła widniały duże czarne odrzwia.

– To niezwykle grobowiec – rzekł Wicherly, świecąc latarką wokoło. – Nie miałem pojęcia. Kiedy mnie pan wezwał, doktorze Menzies, sądziłem, że to będzie coś o wiele mniejszego, ale mimo wszystko czarującego. To jest po prostu niesamowite. W jaki sposób to cudo trafiło do waszego muzeum?

– To ciekawa historia – odparł Menzies. – Kiedy Napoleon w 1798 roku podbił Egipt, jednym z łupów, jakie tam zdobył, był ten właśnie grobowiec, który rozebrano kamień po kamieniu, aby przewieźć go do Francji. Kiedy jednak Nelson pokonał Francuzów w bitwie nad Nilem, kapitan marynarki wojennej, Szkot z pochodzenia, zawłaszczył grobowiec dla siebie i zrekonstruował go w swoim zamku w górach szkockich. W XIX wieku jego ostatni potomek, siódmy baron Rattray,

który rozpaczliwie potrzebował gotówki, sprzedał go jednemu z pierwszych mecenasów muzeum, a ten przetransportował grobowiec przez Atlantyk i zainstalował podczas tworzenia tej olbrzymiej placówki.

– Powiedziałbym, że baron pozbył się jednego ze skarbów narodowych Anglii.

Menzies uśmiechnął się. – Otrzymał za niego tysiąc funtów.

– O niebiosa! Bodajby Ammut pochłonęła serce tego chciwego barona, że ośmielił się sprzedać coś tak niezwykłego! – Wicherly zaśmiał się, strzelając oczami w stronę Nory, która odpowiedziała uprzejmym uśmiechem. Jego awanse stawały się coraz zuchwalsze, a widok obrączki ślubnej na jej palcu bynajmniej go nie zrażał.

– To komora grzebalna – zaczął Wicherly – którą starożytni nazywają Złotym Domem. PrzedSIONKI to, jak sądzę, komory uszabti. Zawierają słoje rytualne, gdzie złożone zostały w specjalnych naczyniach wszystkie organy wewnętrzne faraona. Skarbiec kresu, miejsce spoczynku bogów. Robi wrażenie, nieprawdaż, Noro? Będziemy się świetnie bawić!

Nora nie odpowiedziała od razu. Myślała o tym, jak wielki był ów grobowiec, ile w nim było kurzu i jak wiele pracy czekało ich w najbliższym czasie.

Menzies musiał pomyśleć o tym samym, ponieważ odwrócił się do niej z uśmiechem ni to smutku, ni to ekscytacji.

– Cóż, Noro – powiedział – wygląda na to, że następne sześć tygodni zapowiada się naprawdę interesująco.

11

Gerry Fecteau trzasnął drzwiami do izolatki – celi numer 44, a towarzyszący temu łoskot poniósł się w głąb korytarza oddziału 3 zakładu penitencjarnego Herkmoor. Parsknął śmiechem i mrugnął porozumiewawczo do swego towarzysza, gdy przystanęli pod drzwiami, nasłuchując, tymczasem echo metalicznego huku odbijające się wśród betonowych murów powoli rozplynęło się w dali.

Więzień z celi 44 był wielką zagadką. Wszyscy strażnicy mówili tylko o nim. Był winny – to nie ulegało wątpliwości, i agenci FBI odwiedzali go już kilka razy, nawet naczelnik zainteresował się nim osobiście. Jednak Fecteau najbardziej zdumiała blokada informacji dotyczących więźnia. W przypadku większości nowych osadzonych wieści na ich temat bardzo szybko docierały za kraty, oskarżenia, szczegóły przestępstw, krwawe detale. W tym wszakże przypadku nikt nie znał nawet imienia więźnia, a co dopiero mówić o zbrodni, jakiej miał się on dopuścić. Określano go jedynie, używając litery „A”.

Co więcej, ten mężczyzna był naprawdę przerażający. Fizycznie nie prezentował się imponująco, był wysoki i szczupły, o skórze tak białej, jakby całe życie spędził w izolatce. Rzadko się odzywał, a kiedy już to robił, trzeba się było nachylić, aby go usłyszeć. To nie jego głos budził grozę. Raczej jego oczy. Przez dwadzieścia pięć lat pracy w zakładach karnych Fecteau nigdy jeszcze nie widział równie zimnych i bezwzględnych oczu przywodzących na myśl dwa skrzące

się okruchy suchego lodu,

Chryste, na samą myśl o nim czuł na plecach lodowate ciarki. Fecteau nie wątpliwił w to, że ten więzień miał na swoim koncie jakąś naprawdę przerażającą i okrutną zbrodnię. A może nawet serię zbrodni, jak te popełnione przez bezlitosnego mordercę Jeffreya Dahmera. Wyglądał niemal równie groźnie jak tamten. I właśnie dlatego Fecteau poczuł nieskrywaną satysfakcję, kiedy otrzymał polecenie odgórne, aby przenieść więźnia do izolatki 44. Nie trzeba było mówić nic więcej. To właśnie tam wtrącano niepokornych, tych, których należało zmiękczyć. Nie żeby cela 44 była gorsza od innych znajdujących się w bloku izolacyjnym oddziału 3 zakładu penitencjarnego Herkmoor; wszystkie wyglądały identycznie: metalowa prycza, sedes bez deski, umywalka z zimną wodą. Cela 44 była szczególna tylko z jednego względu – z uwagi na obecność osadzonego w izolatce 45 Perkusisty Fecteau i jego kolega Benjy Doyle stanęli po obu stronach drzwi do celi, nie mówiąc ani słowa i czekając, aż Perkusista rozpocznie swój koncert. Przerwał, jak zawsze zresztą, na kilka minut, kiedy do celi wprowadzono nowego więźnia. Ale ta chwila ciszy nie trwała długo.

I właśnie wtedy jak na zawołanie Fecteau usłyszał ciche szuranie stóp dobiegające z wnętrza izolatki o numerze 45. Po chwili rozległo się pojedyncze pyknięcie wydętych warg, a zaraz potem ciche uderzenie palców bębniących o metalową ramę łóżka. Znów lekkie szurnięcie, delikatne melodyjne mamrotanie... a potem bębnienie. Zaczęło się powoli, ale szybko nabrało tempa, gwałtowny jednostajny rytm został przełamany synkopowanymi sekwencjami, przedzielanymi kolejnymi pyknięciami albo energicznymi szurnięciami w niekończącym się dźwiękowym strumieniu niezmordowanej nadpobudliwej aktywności.

Na twarzy Fecteau pojawił się szeroki uśmiech, odnalazł spojrzenie

Doyle'a.

Perkusista był idealnym więźniem. Nigdy nie krzyczał, nie wrzeszczał, nie ciskał tacą z posiłkami. Nigdy nie kłął, nie wygrażał strażnikom ani nie demolował swojej celi. Był schludny i zadbany, mył się regularnie i dbał o włosy. Ale musiał przebywać w izolatce z uwagi na dwa czynniki – prawie nigdy nie sypiał, a kiedy czuwał – przez cały czas, kiedy czuwał – bębnił z zapalem. Nigdy głośno, nigdy zuchwale i bezczelnie. Perkusista nie zwracał uwagi na świat wokół niego, nie słyszał kierowanych pod jego adresem gróźb i przekleństw. Nie zdawał sobie sprawy z istnienia zewnętrznego świata i robił dalej swoje, w pełni skupiony, skoncentrowany, niewzruszony i niezmienny. Co ciekawe, to właśnie ta łagodność dźwięków wydawanych przez Perkusistę atakujących uszy skazańca była najbardziej nie do zniesienia niczym chińska tortura wodna.

Fecteau i Doyle dostali wyraźny rozkaz, by przy przeniesieniu więźnia znanego jako A do izolatki odebrać osadzonemu wszystkie należące do niego rzeczy osobiste – a zwłaszcza, co podkreślił naczelnik – przybory do pisania. Zabrali mu wszystko: książki, szkice, zdjęcia, dzienniki, notesy, pióra i zapas atramentu. Więźniowi nie pozostało już nic więcej, tylko słuchać.

Pa-ta-pa-ta-puf-puf-pac-łup-łup-pa-ta-pa-ta pach-pach! Pa-ta-puch!
Pa-ta-puch! Pa-ta-ta-ta-pa-pa-pa-ta-ta-puch-puch-puch-łup! Pa-puf! Pa-
puf! Pa-ta-ta-ta-puf-puf, pa-pach, pa-pach-pa-pa-pach! Pa-ta-puf-pa-ta-
puf, puf-puf-pach! Puf-puf-PACH! Pa-ta-ta-pach! Pa-ta-ta-pach...

Fecteau usłyszał już dość. To zaczynało działać mu na nerwy. Ruchem głowy wskazał w stronę wyjścia, po czym on i Doyle pospiesznie ruszyli w głąb korytarza; odgłosy wydawane przez Perkusistę powoli cichły w oddali.

– Daję mu tydzień – powiedział Fecteau.

– Tydzień? – parsknął Doyle. – Ten żalosny śmieć nie wytrzyma

nawet dwudziestu czterech godzin.

12

Porucznik Vincent D'Agosta leżał bez ruchu w lodowatej mżawce na szczycie pagórka ponad Federalnym Zakładem Karnym o Zaostrzonym Rygorze Herkmoor w stanie Nowy Jork. Obok niego przykucnął ubrany na czarno mężczyzna znany jako Proctor. Była północ. Olbrzymie więzienie rozpościerało się na połaci rozległej równiny poniżej, mocno oświetlone żółtym blaskiem potężnych reflektorów; wyglądało surrealistycznie niczym industrialny krajobraz gigantycznej rafinerii naftowej.

D'Agosta wziął do ręki silnie powiększającą cyfrową lornetkę i raz jeszcze zlustrował widoczne w dole więzienie. Zajmowało powierzchnię co najmniej dwudziestu akrów i składało się z trzech niskich olbrzymich betonowych budowli – bloków ułożonych w kształcie litery U, otoczonych asfaltowymi placami, wieżyczkami obserwacyjnymi, ogrodzonymi dziedzińcami i budkami strażniczymi. D'Agosta wiedział, że w pierwszym budynku mieścił się Federalny Oddział Specjalny dla Szczególnie Groźnych Więźniów, gdzie trafiały najbrutalniejsze i najbardziej zatwardziałe indywidua, jakie przyszły na świat we współczesnej Ameryce – i to, jak skonstatował ponuro D'Agosta, mówiło samo za siebie. Drugi blok, znacznie mniejszy, mieścił zgodnie z oficjalną nazwą Oddział dla Więźniów Skazanych na Karę Śmierci oraz Oddział Przejściowy. Pomimo że w stanie Nowy Jork nie było kary śmierci, można było skazać na nią oskarżonego na

mocy prawa federalnego i tu właśnie trafiali ci nieliczni, którzy sądzeni przed sądem federalnym otrzymali najwyższy wymiar kary. Trzeci blok także miał nazwę, którą mógł wymyślić jedynie biurokrata z zakresu więziennictwa – Oddział Penitencjarny dla Szczególnie Groźnych Przestępców przed Postępowaniem Procesowym. Trafiali tu ci, którzy oczekiwali na proces pod zarzutem popełnienia jednego z nielicznych, lecz wyjątkowo odrażających przestępstw federalnych – mężczyźni, którym odmówiono prawa do wypuszczenia za kaucją, uznawani za na tyle groźnych, iż po zwolnieniu mogliby próbować ucieczki, a nawet opuszczenia granic kraju. Na tym oddziale przetrzymywano baronów narkotykowych, rodzimych terrorystów, seryjnych zabójców, których działalność wykraczała poza granice jednego stanu, oraz tych, których oskarżono o zabójstwo jednego lub więcej agentów federalnych. W tutejszym żargonie oddział ten określono mianem czarnej dziury.

To właśnie w tym bloku przetrzymywany był obecnie A.X.L. Pendergast.

Zaledwie kilka z osławionych więzień stanowych, takich jak Sing Sing czy Alcatraz, mogło poszczycić się tym, że nikt z nich nigdy nie uciekł, a Herkmoor było jedynym federalnym zakładem karnym chlubiącym się podobną renomą.

DAgosta wciąż obserwował więzienie przez lornetkę, rejestrując najdrobniejsze nawet szczegóły, na których studiowanie na papierze strawił ostatnie trzy tygodnie. Powoli przesuwiał wzrok od gmachu centralnego w kierunku budynków zewnętrznych i perymetru.

Na pierwszy rzut oka perymetr zakładu Herkmoor nie wyglądał zbyt imponująco. System bezpieczeństwa tworzyła klasyczna potrójna bariera. Pierwszą stanowiło wysokie na dwadzieścia cztery stopy ogrodzenie z drucianej siatki, zwieńczonej u góry drutem kolczastym, oświetlone blaskiem potężnych ksenonowych reflektorów o mocy

wielu milionów kandeli, w rodzaju tych, których używa się na stadionach sportowych i boiskach piłkarskich.

Od drugiej strony – wysokiego na czterdzieści stóp muru z żuźlowych bloków – dzieliło tę pierwszą dwadzieścia jardów wolnej, wysypanej żwirem przestrzeni. Wzdłuż tego właśnie muru, w odstępach stu jardów stały wieżyczki obserwacyjne; w każdej z nich pełnił straż uzbrojony wartownik. D’Agosta widział tych strażników, byli czujni i ożywieni, przez cały czas kręcili się to w jedną, to w drugą stronę. Stustopowej szerokości wolna przestrzeń, po której krążyły dobermany, prowadziła do ostatniego perymetru, drucianej siatki, identycznej z pierwszą. Od ogrodzenia do skraju lasu było prawie trzysta jardów. Ten płaski teren był niemal w całości porośnięty gęstą trawą.

Herkmoor było jedyne w swoim rodzaju z uwagi na to, czego nie sposób było dostrzec: supernowoczesny, elektroniczny system inwigilacji, kontroli i bezpieczeństwa, rzekomo najlepszy w całym kraju. D’Agosta zapoznał się ze szczegółami tego systemu – ślęczał nad nimi od wielu dni, ale wciąż trudno mu było cokolwiek zrozumieć. Nie przejmował się tym jednak zbyt. Eli Glinn, jego osobliwy i milczący współnik ukrywający się w furgonetce pełnej najnowocześniejszego sprzętu elektronicznego, znał się na tego typu rzeczach, i tylko to się liczyło.

Chodziło o coś więcej niż tylko o system bezpieczeństwa – o nastawienie ludzi, którzy tam pracowali. Choć w Herkmoor często dochodziło do prób ucieczki, a niektóre były naprawdę przemyślane, żadna się nie powiodła. Każdy klawisz z Herkmoor, każdy pracownik więzienia miał tego świadomość i szczyił się tym. Nie było mowy o biurokratycznym zepsuciu, popadaniu w samozachwyty, przysypiających strażnikach czy wadliwie działających kamerach.

I to najbardziej niepokoiło D’Agostę.

Skończył obserwację i spojrzął na Proctora. Szofer leżał rozciągnięty płasko na ziemi, obok niego, robiąc zdjęcia cyfrowym nikonem wyposażonym w miniaturowy trójnóg, obiektyw 260 mm i specjalne mikroprocesory CCD, tak czułe, że mogły zarejestrować nawet pojedyncze fotony.

D'Agosta przejrzał listę pytań, na które Glinn chciał poznać odpowiedzi. Niektóre były ważne z oczywistych względów: ile było psów, ilu wartowników przebywa na jednej wieżycze. Glinn zażyczył sobie również wszelkich informacji na temat pojazdów przyjeżdżających do więzienia i opuszczających je, wraz z ich dokładnym opisem. Potrzebował zdjęć skupisk wszystkich anten, talerzy satelitarnych i odbiorników mikrofalowych znajdujących się na dachach budynków. Inne zadania nie były już tak oczywiste. Glinn chciał wiedzieć na przykład, czy teren pomiędzy więziennymi murami a siatką zewnętrzną jest piaszczysty, trawiasty czy żwirowy. Poprosił o próbkę wody ze strumienia płynącego obok więzienia, w jego dolnym biegu. Ale co najdziwniejsze, zażyczył sobie, aby D'Agosta pozbierał wszystkie śmieci, jakie tylko zdoła znaleźć wzdłuż pewnego odcinka strumienia. Nakazał obserwowanie więzienia przez pełne dwadzieścia cztery godziny i rejestrowanie w dzienniku każdego przejawu aktywności wewnątrz zakładu karnego: o której godzinie osadzeni mogli wyjść na plac, aby poćwiczyć, kiedy zmieniali się strażnicy, o jakiej porze zjawiali się rozmaici dostawcy. Chciał wiedzieć, o której godzinie zapalano i gaszono światła. I żądał, aby wszystkie te szczegóły były notowane z dokładnością do sekundy. D'Agosta przerwał, by nagrać kilka swoich obserwacji na cyfrowy dyktafon Glinna. Usłyszał cichy szmer aparatu Proctora i bębnienie deszczu o liście.

Przeciągnął się. – Jezu, niedobrze mi się robi na myśl, że Pendergast jest tam, w środku.

– Musi być mu bardzo ciężko, sir – rzekł Proctor w typowy dla niego nieodgadniony sposób. Ten mężczyzna nie był zwykłym szoferem. D’Agosta domyślił się tego, widząc, jak tamten rozbiera i składa na powrót CAR-15/XM-177 commando w niecałe sześćdziesiąt sekund, nigdy jednak nie potrafił przeniknąć jego kamuflażu klasycznego brytyjskiego szofera. Ciche trzaski i szmer pracującego aparatu nie cichły ani na chwilę.

Z radia przypiętego do jego paska dobiegły niewyraźne dźwięki. – Pojazd – rozległ się głos Glinna.

Chwilę potem pomiędzy nagimi konarami drzew pojawiły się snopy światła pary reflektorów; zbliżały się wzdłuż jedynej drogi wiodącej do Herkmoor i ciągnącej się stale pod górę od miasteczka oddalonego o dwie mile stąd. Proctor natychmiast wycelował aparat w stronę nadjeżdżającego pojazdu. D’Agosta uniósł lornetkę do oczu – elektroniczny przyrząd automatycznie dostroił się do zmiennych kontrastów światła i cieni.

Ciężarówka wyłoniła się z lasu i wjechała na obszar rozświetlony przez więzienne reflektory. Wyglądała jak pojazd dostawczy przewożący artykuły żywnościowe i przypuszczenie potwierdziło się, gdy D’Agosta spostrzegł logo widniejące na drzwiczkach furgonetki: Helmer – wyroby mięsne i wędliniarskie. Wóz zatrzymał się przy wartowni, kierowca pokazał strażnikowi plik dokumentów i pozwolono mu wjechać do środka. Trzy kolejne bramy otwały się automatycznie jedna po drugiej, a każda następna dopiero wtedy, gdy poprzednia została zamknięta. Wciąż słychać było szmer aparatu. D’Agosta spojrzął na stoper i podał do dyktafonu czas przyjazdu furgonetki. Odwrócił się do Proctora.

– Przyjechały klopsiki na jutro – rzucił, siląc się na żart.

– Tak, sir.

D’Agosta pomyślał o Pendergacie, prawdziwym smakoszu i znawcy

wykwintnych potraw, skazanym na jedzenie tego, co przywieziono w tej ciężarówce. Zastanawiał się, jak agent znosił ten niewygody.

Furgonetka wjechała na podjazd, gdzie nie było już jej widać. D'Agosta ponownie ustalił czas, użył swego dyktafonu, po czym rozluźnił się i cierpliwie czekał. Szesnaście minut później samochód opuścił teren więzienia.

Dochodziła pierwsza. – Pójdę teraz pobrać próbki wody, powietrza i dokonam pomiaru pola magnetycznego.

– Tylko ostrożnie.

D'Agosta zarzucił na ramię niewielki plecak i wycofał się ze szczytu pagórka, po czym zszedł ścieżką na tyłach zbocza, lawirując między posępnymi bezlistnymi drzewami, krzewami i górskim wawrzynem. Wszystko było mokre, z gałęzi spływała woda. Tu i ówdzie pod konarami drzew widać było małe i lśniące splachetki wilgotnego śniegu. Gdy tylko obejdzie wzgórze, nie będzie potrzebował oświetlenia; reflektory zakładu karnego wystarczały, by rozjaśnić sporą połąć wzgórza.

D'Agosta ucieszył się, że może się wreszcie czymś zająć. Na szczycie pagórka miał zbyt wiele czasu na rozmyślania. A to była ostatnia rzecz, na jaką miał teraz ochotę – rozmyślanie o czekającej go komisji dyscyplinarnej, która najprawdopodobniej zakończy się definitywnym wydaleniem go z policji; o rozkwitającym związku z Laurą Hayward i o ponownym spotkaniu z agentem Pendergastem. Jego kariera jako policjanta zawisała na włosku, związek z Laurą został brutalnie przerwany, a jego przyjaciel Pendergast gnił w tym cuchnącym piekle poniżej, oczekując na proces, w którym stawką będzie jego życie.

D'Agosta zachwiał się, ale zdołał utrzymać równowagę. Uniósł lekko głowę, pozwalając, by krople lodowatej mżawki zrosiły jego zmęczone oblicze i choć na chwilę go ożywiły.

Otarł twarz wierzchem dłoni i ruszył dalej. Pobranie próbki wody

nie będzie łatwe, jako że strumień płynął wzdłuż łąki, opodal więziennych murów, i jeśli zbliży się do niego, będzie widoczny jak na dłoni dla większości strażników na wieżyczkach obserwacyjnych. Ale to jeszcze nic w porównaniu z pomiarami pola magnetycznego, jakich miał dokonać. Glinn chciał, aby D'Agosta podczołgał się możliwie jak najbliżej zewnętrznego ogrodzenia, z miniaturowym magnetometrem w kieszeni, i sprawdził, czy nie było tam zakopanych czujników albo ukrytych pól elektromagnetycznych, a następnie umieścił to cholerne urządzenie w glebie. Oczywiście jeśli w skład systemu bezpieczeństwa wchodziły specjalne czujniki, jego obecność mogła je uruchomić, a wówczas zrobiłoby się naprawdę nieciekawie.

Ostrożnie schodził w dół zbocza; teren powoli się wyrównywał. Pomimo peleryny i rękawic czuł, że lodowata woda spływa mu po nogach i wlewa się do butów. Pokonawszy kolejne sto jardów, znalazł się na skraju lasu. Z oddali słychać było szmer strumienia. Ukrył się za kępą wawrzynów i niespiesznie przesunął naprzód. Ostatnie kilka jardów pokonał, czołgając się.

Chwilę później znalazł się nad brzegiem strumienia. Było tu ciemno, a w powietrzu unosiła się woń gnijących liści; przy jednym z brzegów zalegał stary zbrylony lód.

D'Agosta przystanął, spoglądając na więzienie. Wysoko w górze, niecałe dwieście jardów od niego wznosiły się wieżyczki strażnicze, jasne światła reflektorów wyglądały jak zwielokrotnione słońca. Sięgnął do kieszeni i już miał wydobyć z niej fiolkę od Glinna, gdy nagle zastygł w bezruchu. Jego przypuszczenia, że strażnicy będą patrzeć w przeciwną stronę, w kierunku więzienia, okazały się mylne. Widział teraz wyraźnie, że jeden z nich lustrował skraj lasu, używając lornetki o dużym zasięgu.

Ważny szczegół.

Zamarł, rozplaszczając się wśród wawrzynów. Wkroczył już na

zakazany teren i czuł się przeraźliwie odsłonięty, widoczny jak na dłoni. Strażnik najwyraźniej go przeoczył. Z przesadną ostrożnością podpełzł naprzód, zanurzył fiolkę w lodowatej wodzie, napełnił ją i zakorkował. Następnie podczołgał się wzdłuż strumienia, wybierając śmieci – styropianowe kubki po kawie, kilka puszek od piwa, opakowania po gumie do żucia, i pakując je do plecaka. Glinn uparcie nalegał, aby D'Agosta pozbierał wszystkie śmieci. Nie było to przyjemne zajęcie – musiał brodzić w strumieniu, stąpać po mokrych kamieniach, a niekiedy nawet zanurzać całą rękę w lodowatej wodzie, aby coś z niej wydobyć. Jedna z gałęzi zwisająca nad strumieniem posłużyła mu za sito i dzięki niej udało mu się zebrać dobrych dziesięć funtów przemoczonych do cna odpadków.

Gdy skończył, znalazł się w tym punkcie w dole strumienia, gdzie Glinn zażyczył sobie umieszczenia magnetometru. Odczekał, aż strażnik spojrzy w drugą stronę, po czym na poły brodząc, na poły pełznąc, przekroczył strumień. Łąki wokół więzienia nie można by nazwać zadbaną, trawa była wysoka i spłaszczona przez zimowe śniegi. Rosło tu jednak dostatecznie dużo chwastów, aby mogły mu zapewnić osłonę, jakiej potrzebował. D'Agosta czołgał się, nieruchomiejąc za każdym razem, gdy strażnik z lornetką kierował wzrok w jego stronę.

Minuty mijały D'Agosta czuł lodowatą mżawkę spływającą strużkami po jego szyi i plecach. Ogrodzenie przybliżało się przeraźliwie wolno. Mimo to musiał brnąć naprzód tak szybko, jak tylko się odważył; im dłużej zwlekał, tym większe było prawdopodobieństwo, że spostrzeże go któryś ze strażników.

W końcu dotarł do wypielegnowanej części trawiastej łąki. Wyjął urządzenie z kieszeni, wysunął rękę spomiędzy gęstwiny chwastów, położył magnetometr wśród traw i czym prędzej rozpoczął pospieszny odwrót.

Czołganie się było teraz znacznie trudniejsze. Patrzył w przeciwnym kierunku i nie widział już, co robią strażnicy na wieżyczkach. Posuwał się dalej powoli, lecz wytrwale, robiąc często dość długie przerwy. Czterdzieści pięć minut po wyruszeniu w drogę ponownie przekroczył strumień i wszedł między ociekające kroplami deszczu gałęzie drzew, po czym lawirując między krzewami wawrzynów, dotarł do punktu obserwacyjnego na szczycie pagórka. Czuł się na wpół skostniały, a od dźwigania plecaka pełnego mokrych śmieci bolał go krzyż.

– Misja wypełniona? – zapytał Proctor, gdy D'Agosta przykucnął obok niego.

– Tak, jeśli tylko nie zapłacę za to utratą odmrożonych palców. Proctor wyjął i dostroił nieduże urządzenie. – Sygnał jest bardzo wyraźny. Wygląda na to, że udało się panu dotrzeć na odległość pięćdziesięciu stóp od ogrodzenia. Dobra robota, poruczniku.

D'Agosta odwrócił się ku niemu zmęczony. – Mów mi Vinnie – powiedział.

– Tak jest, sir.

– Ja też chętnie zwracałbym się do ciebie po imieniu, ale nie wiem, jak ono brzmi.

– Wystarczy Proctor.

D'Agosta pokiwał głową. Pendergast otaczał się ludźmi niemal równie tajemniczymi jak on sam. Proctor, Wren, a jeżeli chodzi o Constance Greene... cóż... ta dziewczyna wydawała się jeszcze bardziej zagadkowa niż Aloysius. Znów spojrzął na zegarek, dochodziła druga. Jeszcze czterdzieści godzin.

13

Deszcz bębnił o murszejącą ceglano-marmurową fasadę budowli w stylu Beaux Arts przy Riverside Drive 891. Wysoko ponad mansardowym dachem i balkonem na poddaszu nocne niebo rozdarła błyskawica. Okna na parterze były zabite deskami i arkuszami blachy falistej, a te na drugim piętrze zabezpieczono masywnymi okiennicami – nawet promyk światła nie wydostawał się na zewnątrz, by zdradzić, że w domu ktoś mieszkał. Otoczone parkanem podwórze od frontu zarosło sumakiem i krzewami ajlantu, na podjeździe i w bramie walały się śmieci. Rezydencja pod każdym względem wyglądała na opuszczoną, podobnie jak większość willi stojących na tym odcinku ponurej Riverside Drive.

Przez wiele, bardzo wiele lat – więcej, niż można by się spodziewać – dom ten był schronieniem, redutą, laboratorium, biblioteką, magazynami i muzeum niejakiego doktora Enocha Lenga. Jednak po jego śmierci dom ten przekazany został, skądinąd dość tajemniczymi i niejasnymi kanałami, jego potomkowi, agentowi specjalnemu Aloysiusowi Pendergastowi. Prócz domu uzyskał również w spadku kuratelę nad podopieczną Lenga, Constance Greene.

Teraz jednak agent Pendergast przebywał w izolatce więzienia o zaostrzonym rygorze Herkmoor, gdzie oczekiwał na proces pod zarzutem zabójstwa agenta federalnego. Proctor i porucznik D'Agosta udali się na rekonesans, by zgromadzić jak najwięcej informacji na

temat owego zakładu karnego. Tajemniczy nerwowy mężczyzna znany jako Wren, który piastował funkcję opiekuna Greene pod nieobecność Pendergasta, pełnił nocny dyżur w nowojorskiej bibliotece publicznej.

Constance Greene była sama. Siedziała przed kominkiem, w którym z wolna dogasał ogień, w bibliotece, dokąd nie docierały odgłosy ruchu ulicznego ani nawet szum lejącego deszczu. Miała przed sobą egzemplarz „Mojego Życia” Giacomo Casavecchia i z przejęciem chłonęła opis słynnej ucieczki renesansowego szpiega z Leads, budzącego grozę więzienia mieszczącego się w pałacu weneckiego księcia, skąd nikomu przed nim ani po nim nie udało się wydostać. Na blacie stolika tuż obok wznosiły się stosy ksiąg o podobnej treści – relacjonujące ucieczki z więzień na całym świecie, lecz najwięcej historii dotyczyło brawurowych eskapad z zakładów karnych w Stanach Zjednoczonych. Czytała w milczeniu, co pewien czas sporządzając krótkie rzeczowe zapiski w oprawnym w skórę notesie.

Gdy skończyła kolejny wpis, przepalona kłoda pękła i z głuchym trzaskiem spadła na palenisko kominka. Constance zaniepokojona hałasem gwałtownie uniosła wzrok, jej oczy się rozszerzyły. Duże, fiołkowe, przepelnione były niezwykłą mądrością i nie pasowały do jej zwodniczego oblicza dwudziestoletniej kobiety. Powoli znowu się rozluźniła.

Nie żeby była zdenerwowana, bynajmniej. Bądź co bądź budynek był odpowiednio zabezpieczony przed wizytą nieproszonych gości, a ona znała jego zakamarki i sekretne przejścia lepiej niż ktokolwiek inny. W mgnieniu oka mogła zniknąć w jednym z tuzina przemyślnie ukrytych tuneli. Mieszkała tu od tak dawna, że nieomal była w stanie wyczuwać nastroje tego starego domu. I odnosiła niejasne wrażenie, że coś było nie tak, że próbował się z nią porozumieć, ostrzec ją przed czymś.

Na stoliku przy fotelu stał dzbanek herbaty z rumianku. Odłożyła notatki, nalała sobie kolejną filiżankę, po czym wstała. Wyglądziwszy przód swego śnieżnobiałego fartuszka, odwróciła się i skierowała ku regałowi przy przeciwległej ścianie biblioteki. Kamienną posadzkę zaścielały grube perskie dywany i Constance poruszała się bezszelestnie.

Dotarwszy do regału, uniosła głowę i spod półprzymkniętych powiek zlustrowała złocone napisy na grzbietach. Jedynym źródłem światła był kominek i lampa naftowa stojąca tuż obok jej fotela; w tej części biblioteki panował wieczny półmrok. Wreszcie znalazła to, czego szukała – traktat o więziennictwie z czasów wielkiego kryzysu – po czym wróciła z nim na swoje miejsce. Usadowiwszy się ponownie w fotelu, zaczęła wertować książkę. Spojrzała na spis treści. Znalazszy poszukiwany rozdział, sięgnęła po herbatę, upiła łyk i uniosła dłoń, by odstawić filiżankę na stolik.

Równocześnie uniosła wzrok.

W fotelu klubowym przy stoliku pojawił się mężczyzna – jeszcze przed chwilą nie było go tam. Wysoki, arystokratyczny, o orlim nosie i wysokim czole, bladej cerze, ubrany w prosty czarny garnitur. Miał rude włosy i niedużą, starannie przyciętą bródkę. Gdy na nią spojrzał, blask ognia rozjaśnił jego oczy. Jedno było ciemnozielone, drugie matowe mlecznoniebieskie.

Mężczyzna uśmiechnął się.

Constance nigdy wcześniej nie widziała go, ale rozpoznała bez trudu. Poderwała się z krzykiem, wypuszczając z dłoni filiżankę.

Błyskawicznie jak atakujący wąż ręka mężczyzny wystrzeliła do przodu i zwinnie pochwyciła filiżankę tuż nad ziemią. Przybysz odstawił ją na srebrną tacę i ponownie usiadł. Nie uronił ani kropli. To stało się tak szybko, że Constance nawet nie zdołała tego spostrzec. Stała jak sparaliżowana, kompletnie skamieniała. Pomimo

iż była w szoku, zwróciła uwagę na jedno: mężczyzna siedział pomiędzy nią a jedynym wyjściem z pokoju.

Odezwał się półgłosem, jak gdyby czytał jej w myślach.

– Nie lękaj się, Constance. Nie zamierzam cię skrzywdzić. Wciąż stała w kompletnym bezruchu obok fotela. Powiodła wzrokiem po pokoju, aż w końcu spojrzała na siedzącego mężczyznę.

– Wiesz, kim jestem, prawda, dziecino? – zapytał. Nawet niedosłyszalny nowoorleański akcent brzmiał znajomo.

– Owszem, wiem, kim jesteś – odparła, chłonąc podobieństwo do mężczyzny, którego tak dobrze znała. Różnicę stanowił kolor włosów i oczu.

Mężczyzna pokiwał głową. – Cieszę się.

– Jak się tu dostałeś?

– Jak tutaj wszedłem, nie ma większego znaczenia. Pytanie brzmi raczej: po co, nie uważasz?

Constance zamyśliła się nad tym przez chwilę. – Tak. Może masz rację.

Postąpiła krok naprzód, przesuwając palcami po blacie stolika.

– No dobrze, a zatem po co tu przyszedłeś?

– Ponieważ już czas, abyśmy porozmawiali, ty i ja. To grzeczność, której mi, jak sądzę, nie odmówisz.

Constance postąpiła jeszcze krok, przez cały czas koniuszkami palców muskała polerowane drewno. – Grzeczność?

– Tak. Bądź co bądź ja przecież...

Gwałtownym ruchem Constance schwyciła leżący na blacie otwieracz do listów i rzuciła się na mężczyznę. Atak był naprawdę niesamowity, nie tylko błyskawiczny, ale przede wszystkim bezgłośny. Nic w jej słowach czy zachowaniu nie zdradziło, co zamierzała. Mężczyzna nie spodziewał się ataku.

Ale i tak nic to nie dało. W ostatniej chwili uchylił się w bok

i otwieracz do listów wbił się aż po rękojęć w skórzane oparcie fotela. Constance wyszarpnęła ostrze i wciąż bez słowa odwróciła się twarzą do tamtego, unosząc nóż nad głową.

Gdy znów się na niego rzuciła, mężczyzna z niewzruszonym opanowaniem uchylił się przed pchnięciem, po czym płynnym ruchem złapał ją za przegub; zaczęła się szamotać, a gdy oboje runęli na podłogę, przygniótł ją całym ciężarem; otwieracz do listów wytracony z dłoni Constance prześlizgnął się po dywanie.

Usta mężczyzny nieomal dotknęły jej ucha. – Constance – wyszeptał. – Du calme. Du calme.

– Grzeczność! – zawołała rozjuszona. – Jak śmiesz mówić o grzeczności! Zamordowałeś przyjaciół mego opiekuna, sprawiłeś, że on sam popadł w niełaskę, wyrwałeś go z jego domu! – Przerwała nagle i znów zaczęła się szamotać. Z jej ust dobył się zduszony jęk, jęk frustracji zmieszanej z innym o wiele bardziej złożonym doznaniem.

Mężczyzna wciąż mówił do niej łagodnym tonem. – Proszę, zrozum, Constance, nie przybyłem tu, aby cię skrzywdzić. Usiłuję jedynie powstrzymać cię przed próbą zranienia mnie.

Znów zaczęła się wrywać z całej siły – Nienawidzę cię!

– Constance, proszę. Mam ci coś do powiedzenia.

– Nie interesuje mnie to! – wycedziła. – Nie zamierzam cię słuchać!

On jednak wciąż delikatnie, lecz stanowczo przyszpilał ją do podłogi.

Powoli przestała się siłować. Leżała w bezruchu, serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe. Poczuła też przez skórę bicie jego serca, gdy przywierał do niej całym ciałem; ten rytm był znacznie powolniejszy. Wciąż szeptał jej do ucha uspokajające, kojące słowa, które starała się ignorować.

Odsunął się od niej nieznacznie. – Czy jeżeli cię puszczę, obiecasz,

że nie zaatakujesz mnie ponownie? Dasz mi słowo, że zachowasz spokój i wysłuchasz tego, co ci mam do powiedzenia?

Constance nie odpowiedziała.

– Nawet skazaniec ma prawo do wyłożenia swoich racji. I być może dzięki temu dowiesz się, że nie wszystko jest takie, jak ci się wydaje.

Constance uparcie milczała. Po dłuższej chwili mężczyzna podniósł się z podłogi, po czym bardzo wolno rozluźnił uchwyt na jej nadgarstkach.

Wstała natychmiast. Oddychając ciężko, wygładziła swój fartuszek. Ponownie powiodła wzrokiem dokoła. Mężczyzna wciąż zajmował strategiczną pozycję pomiędzy nią a drzwiami. Wskazał ręką fotel.

– Proszę, Constance – powiedział. – Usiądź. Ostrożnie osunęła się na fotel.

– Czy możemy teraz porozmawiać jak cywilizowani ludzie, bez uciekania się do przemocy?

– Śmiesz nazywać siebie cywilizowanym człowiekiem? Ty? Seryjny zabójca i złodziej? – Zaśmiała się w głos.

Mężczyzna wolno pokiwał głową, jakby z pokorą przyjął tę gorzką pigułkę.

– Rzecz jasna, mój brat już cię do mnie odpowiednio nastawił. Nic dziwnego. W przeszłości robił to wielokrotnie. To wyjątkowo przekonujący osobnik, obdarzony szczególną charyzmą.

– Chyba nie spodziewasz się, że uwierzę w choćby jedno twoje słowo. Jesteś szalony, a może nawet gorzej, robiłeś te wszystkie rzeczy z pełną świadomością i premedytacją.

Znów powiodła wzrokiem w stronę drzwi do biblioteki i holu za nimi.

Mężczyzna spojrzął na nią. – Nie, Constance. Nie jestem szalony, wręcz przeciwnie, podobnie jak ty z całego serca boję się popadnięcia w obłąd. Bo widzisz, najsmutniejsze jest to, że mamy ze sobą wiele

wspólnego, i bynajmniej nie tylko to, czego się oboje lękamy.

– Nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego.

– Nie wątpię, że mój brat chciałby, abyś tak właśnie uważała. Constance odniosła wrażenie, że na twarzy mężczyzny odmalował się bezgraniczny smutek. – To prawda, że jestem daleki od doskonałości i nie mogę liczyć na twoje zaufanie – ciągnął. – Mimo to chciałbym, byś rozumiała, że nie zamierzam cię skrzywdzić.

– Twoje zamiary nic nie znaczą. Jesteś jak dziecko, które jednego dnia zaprzyjaźnia się z motylem, aby następnego pourywać mu skrzydełka.

– Co ty możesz wiedzieć o dzieciach, Constance? Masz takie mądre i stare oczy. Nawet stąd dostrzegam w nich bezmiar niezliczonych doświadczeń. Jakież dziwne i przerażające rzeczy musiały oglądać! Jakie masz przenikliwe spojrzenie! Przepenia mnie ono dojmującym smutkiem. Nie, Constance, czuję, a może raczej wiem, że dzieciństwo było luksusem, którego cię pozbawiono. Mnie również zostało ono odebrane.

Constance zeszywniała.

– Na wstępie powiedziałem, że nadszedł już czas, abyśmy porozmawiali. Najwyższa pora, abyś poznała prawdę. Tę prawdziwą.

Zniżył głos tak bardzo, że jego słów prawie nie było słyhać. Nieomal wbrew sobie zapytała: – Prawdę?

– O relacjach między mną a moim bratem.

W słabym blasku ognia dogasającego w kominku niezwykle oczy Diogenesa Pendergasta wydawały się smutne i zagubione.

Gdy znów na nią spojrzały, wyraźnie pojaśniały.

– Ach, Constance, to z pewnością musi wydawać ci się dziwne. Ale gdy tak na ciebie patrzę, miałbym ochotę uczynić wszystko, co w mojej mocy, aby zdjąć z twoich barków brzemię bólu i strachu i przejąć je na siebie. A wiesz dlaczego? Ponieważ, gdy patrzę na

ciebie, widzę siebie.

Constance nie odpowiedziała. Po prostu siedziała w całkowitym bezruchu.

– Widzę osobę, która poszukuje swego miejsca w świecie, która chciałaby się przystosować, po prostu być jak inni ludzie, lecz pisane jest jej ciągle trzymanie się na uboczu. Widzę kogoś, kto odbiera świat znacznie głębiej, o wiele intensywniej, niż jest w stanie to przyznać... i ukrywa to... nawet przed samą sobą.

Constance, słuchając tych słów, zaczęła dygotać.

– Wyczuwam w tobie zarówno ból, jak i gniew. Ból, ponieważ cię porzucono, i to nie jeden, ale kilka razy. Gniew jest skierowany przeciwko kapryśnym bogom, którzy tak, a nie inaczej kierują naszym życiem. „Dlaczego ja? Czemu znów to samo?”. I wiesz co, to, co powiedziałem, jest prawdą. Znów zostałeś porzucony. Choć może nie w taki sposób, jak ci się wydaje. Pod tym względem także jesteśmy do siebie podobni. Ja zostałem porzucony, gdy moi rodzice zginęli w pożarze wznieconym przez bezmyślną tłuszcę. Udało mi się uciec z pożogi. Oni nie mieli tyle szczęścia. Zawsze miałem wrażenie, że to ja powinienem był wtedy zginąć, a nie oni, że to była moja wina. Ty czujesz to samo, jeżeli chodzi o śmierć twojej siostry Mary. Uważasz, że to ty powinnaś była zginąć, a nie ona. Później porzucił mnie brat. Ach, już widzę wyraz niedowierzania na twojej twarzy. No cóż, trudno się ternu dziwić, wiesz tak niewiele na temat mojego brata. Proszę tylko o jedno, abyś wysłuchała mnie z czystym i otwartym umysłem.

Wstał. Constance wzięła głębszy oddech i też zaczęła podnosić się z fotela.

– Nie – rzucił Diogenes i Constance w jednej chwili znieruchomiała. W jego głosie wyczuwało się teraz wyłącznie znużenie. – Nie uciekaj. To ja wyjdę. Pójdę już, ale w niedalekiej przyszłości znów się

spotkamy i znowu porozmawiamy, a wówczas opowiem ci o dzieciństwie, którego mnie pozbawiono. O starszym bracie, który przyjmował całą miłość, jaką go darzyłem, i odwzajemniał się za nią szyderstwem i nienawiścią, który czerpał przyjemność z niszczenia wszystkiego, co kiedykolwiek stworzyłem – moich tomików dziecięcej poezji, moich przekładów Wergiliusza i Tacyta, który torturował i zamordował moje ulubione zwierzę w sposób, o którym nawet dziś wolę nie wspominać, który postawił sobie za życiowy cel zwrócenie wszystkich przeciwko mnie, który kłamstwami i insynuacjami zapragnął ukazać mnie jako tego złego z dwójki braci. A kiedy wszystkie te przemyślane plany spaliły na panewce, ponieważ okazałem się silniejszy, niż przypuszczał, i nie dałem się złamać, zrobił coś naprawdę potwornego... coś tak potwornego, że... – Głos zaczął mu się łamać. – Spójrz na moje martwe oko, Constance, to najmniej istotna pamiątka po tym, co mi wówczas uczynił...

Zapadła krótka cisza przerywana jedynie szeptem ciężkiego oddechu, gdy Diogenes usiłował odzyskać nad sobą panowanie; jego niewidzące oko nie patrzyło na Constance, ale zdawało się przez cały czas błędzić wzrokiem bardzo blisko niej. Otarł dłonią czoło. – Pójdę już. Pozwoliłem sobie jednak zostawić ci mały prezent. To podarek dla ciebie, mojej bratniej duszy, przez wzgląd na ból, jaki wspólnie dzielimy. Mam nadzieję, że przyjmiesz go w duchu, w jakim ci go ofiarowuję.

– Niczego od ciebie nie chcę – rzekła Constance, ale na chwilę nienawiść i przekonanie w jej głosie ustąpiły miejsca zakłopotaniu i dezorientacji.

Patrzył na nią przez kilka chwil. A potem wolno, bardzo wolno odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia z biblioteki. – Do zobaczenia, Constance – rzucił półgłosem przez ramię. – Uważaj na siebie. Nie musisz mnie odprowadzać do wyjścia, poradzę sobie.

Constance siedziała w kompletnym bezruchu, wsłuchując się w cichnące echo jego kroków. Dopiero gdy zapanowała całkowita cisza, powoli podniosła się z fotela. W tej samej chwili poczuła, że w kieszonce na chustkę w jej krynolinowej spódnicy coś się poruszyło.

Drgnęła nerwowo. Znów to dziwne wrażenie. Jakby w niedużej kieszonce coś się ruszało. I nagle ponad krawędź materiału wyłonił się maleńki różowy nosek, wąsaty i bardzo ruchliwy, a potem pojawił się nieduży łebek z czarnymi jak paciorki ślepkami i delikatnymi uszkami. Zdumiona wsunęła dłoń do kieszonki i wydobyła z niej to, co znajdowało się wewnątrz. Stworzonko wspięło się na jej rękę i przycupnęło z uniesionymi jakby w błagalnym geście łapkami, patrząc Constance prosto w oczy i bez przerwy poruszając wąsikami. To była biała myszka, maleńka, drobna i całkowicie oswojona i nagle, w jednej chwili zimne jak lód serce Constance roztopiło się tak gwałtownie, że na chwilę straciła dech w piersiach, a do oczu napłynęły jej łzy.

14

Drobiny kurzu unosiły się w nieruchomym powietrzu czytelnicy Centralnego Archiwum, przesyconym wonią starych kartonów, pyłu, skóry i bukramu. Boazeria z polerowanego dębu sięgała aż do misternie zdobionego złożonego rokokowego sklepienia, gdzie dominowały dwa ciężkie kandelabry ze złożonej miedzi i kryształu. Pod przeciwległą ścianą znajdował się zabudowany kominek z różowego marmuru, wysoki na co najmniej osiem stóp i równie szeroki, pośrodku pomieszczenia zaś stały trzy masywne dębowe stoły na lwich łapach nakryte grubymi obrusami z rypsu. To było jedno z najwspanialszych pomieszczeń w muzeum i zarazem jedno z najmniej znanych.

Upłynął prawie rok, odkąd Nora była tu po raz ostatni, i pomimo przepychu z pokojem tym nie wiązały się – jak dla niej – miłe wspomnienia. Niestety tylko tutaj mogła przejrzeć najważniejsze archiwalne akta będące w posiadaniu muzeum.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do środka wszedł niski, krępy Oscar Gibbs dzierżący w muskularnych ramionach pliki starych, związanych szpagatem dokumentów.

– Jest tu całkiem sporo informacji na temat grobowca Senefa – powiedział i zachwiał się lekko, rozkładając archiwalia na rypсовym obrusie. – To zabawne, do wczoraj w ogóle o nim nie słyszałem.

– Mało kto o tym wiedział.

– Od wczoraj w muzeum nie mówi się o niczym innym. – Pokręcił głową, łysą jak kula do kręgli. – Tylko w placówce takiej jak ta można ukryć cały egipski grobowiec.

Przerwał, by złapać oddech. – Pamięta pani przepisy, prawda, doktor Kelly? Muszę tu panią zamknąć. Kiedy pani skończy, proszę wybrać wewnętrzny 4240. Żadnych ołówków ani dodatkowych kartek, tylko te, które są w tych skórzanych skrzynkach. – Spojrzał na jej laptop. – I proszę przez cały czas nosić lniane rękawiczki.

– Nie ma sprawy, Oscarze.

– Gdybym był potrzebny, znajdzie mnie pani w archiwum. Przypominam, wewnętrzny 4240.

Wielkie dębowe odrzwia zamknęły się, a Nora usłyszała szcęk dobrze naoliwionego zamka. Odwróciła się do stołu. Starannie ułożone pliki dokumentów roztaczały silny, niezbyt przyjemny odór rozkładu. Zaczęła je przeglądać jeden po drugim, aby zorientować się, co zawierały i ile właściwie powinna przeczytać. Nie było mowy, aby poznała treść wszystkich dokumentów, musiała działać wybiórczo.

Poprosiła o dostęp do akt dotyczących grobowca Senefa i wszystkich związanych z nim dokumentów znajdujących się w archiwum od czasu jego odkrycia w Tebach aż do ostatecznego zamknięcia ekspozycji w roku 1935. Wyglądało na to, że Oscar wykonał naprawdę solidną robotę. Najstarsze dokumenty były w języku francuskim i arabskim, po angielsku dopiero te późniejsze, kiedy grobowiec został przekazany przez Francuzów Brytyjczykom. Były tam listy, plany grobowca, rysunki, manifesty okrętowe, polisy ubezpieczeniowe, wycinki z gazet, stare zdjęcia i monografie naukowe. Kiedy grobowiec dotarł do muzeum, liczba dokumentów ogromnie się rozrosła. W butwiejących teczkach znajdowały się plany konstrukcyjne, mapy, kserokopie projektów, raporty konserwatorów, rozmaita korespondencja oraz niezliczone faktury z okresu odbudowy

i otwarcia grobowca, a prócz tego listy od gości i uczonych, wewnętrzne okólniki i zapiski konserwatorskie. Materiały kończyły się całą masą dokumentów dotyczących nowej stacji metra i próśb kierowanych do muzeum pod adresem zarządu miasta Nowy Jork w celu zbudowania tunelu łączącego stację metra przy 81 Ulicy z nowym podziemnym wejściem do muzeum.

Ostatnim dokumentem był suchy raport dawno już zapomnianego kustosza, stwierdzający zakończenie prac polegających na zamurowaniu ekspozycji. Nosił datę 24 stycznia 1935 r. Nora westchnęła, wpatrując się w sterty akt. Menzies zażyczył sobie na jutro rano krótkiego, rzeczowego sprawozdania, aby można było zacząć sporządzanie scenariusza ekspozycji, treści plansz i legend.

Spojrzała na zegarek. 13.00. W co się znowu wpakowała?

Podłączyła laptop do prądu i uruchomiła. Pod naciskiem swego męża Billa od niedawna zamiast peceta używała dziesięciokrotnie szybszego maca – uruchamiał się w 8,9 sekundy zamiast uciążliwych dwóch i pół minuty oczekiwania. To trochę tak, jakby przesiąść się z forda fiesty do mercedesa SL. Gdy usłyszała, jak na ekranie pojawia się logo Apple, stwierdziła, że przynajmniej jedna rzecz w jej życiu wciąż funkcjonowała prawidłowo.

Nałożyła czyste lniane rękawiczki i zaczęła rozwiązywać szpagat przy pierwszym pliku dokumentów, jednak stuletni sznurek pękł przy pierwszym pociągnięciu.

Z największą pieczołowitością otworzyła pierwszą teczkę i wyjęła z niej pożółkły dokument pokryty drobnym starannym pismem, po czym zmusiła się w niego wczytywać, sporządzając notatki w swoim PowerBooku. Pomimo trudności, jakich dostarczało odręczne pismo i język francuski, bardzo szybko pozwoliła się wciągnąć w historię, o której Menzies dzień wcześniej ledwie napomknął.

Podczas wojen Napoleon obmyślił śmiały i desperacki plan powtórzenia trasy podbojów Aleksandra Wielkiego na terytorium Środkowego Wschodu. W roku 1798 ruszył ze zmasowaną inwazją na Egipt na czele floty bojowej złożonej z 400 okrętów i 55 tysięcy żołnierzy. Nowoczesnym jak na owe czasy pomysłem było zabranie ponad 150 cywilnych uczonych, naukowców i inżynierów w celu przeprowadzenia na terenie Egiptu kompleksowych badań ze szczególnym uwzględnieniem tamtejszych tajemniczych ruin. Jednym z tych uczonych był młody rzutki archeolog nazwiskiem Bertrand Magny de Cahors.

Cahors był jednym z pierwszych badających największe z egiptologicznego punktu widzenia odkrycie wszech czasów – kamień z Rosetty, który wojska Napoleona znalazły podczas budowy i okopywania fortu na wybrzeżu. Kamień podsunął mu wizję innych nieopisanych możliwości. Ruszył w ślad za armią napoleońską na południe, wzdłuż brzegów Nilu, gdzie natknęli się na wielkie świątynie Luksoru, a przekroczywszy rzekę – na prastary pustynny wąwóz, który okazał się najśłynniejszym cmentarzyskiem na świecie: Dolinę Królów.

Większość grobowców w Dolinie Królów została wykuta w litej skale i nie można ich było przenieść. Były wszelako inne grobowce, mniej znanych faraonów, regentów i wezyrów, wzniesione w wyższej części doliny z bloków wapienia. To właśnie jeden z nich – grobowiec Senefa, wezyra i regenta Tutmozisa IV – Cahors postanowił rozebrać i przewieźć do Francji. Było to nie lada wyzwanie, zuchwałe i w dużej mierze niebezpieczne, jako że każdy z kamiennych bloków ważył kilka ton i trzeba je było opuszczać pojedynczo w dół stromego skalistego zbocza, stamtąd dostarczyć na brzeg Nilu, gdzie załadowywano je na barki i przewożono w dół rzeki.

Projekt ten od początku nękały różnego rodzaju nieszczęścia

i katastrofy. Miejscowi odmówili prac przy rozbiórce grobowca, ponieważ uważali, że był on przeklęty, toteż Cahors wyznaczył do tego zadania grupę francuskich żołnierzy. Pierwsze feralne zdarzenie miało miejsce, gdy żołnierze dotarli do wewnętrznego grobowca, który został zapieczętowany po tym, jak jeszcze w starożytności został splądrowany. Gdy otwarli komorę, niemal natychmiast zginęło dziewięciu ludzi. Później wysnuto teorię, jakoby grobowiec wypełniony był oparami trujących gazów, a konkretnie dwutlenku węgla z kwaśnych wód gruntowych, i to właśnie on był odpowiedzialny za śmierć trzech żołnierzy, którzy weszli do środka, i pół tuzina innych, których wysłano im na pomoc.

Mimo to Cahors był człowiekiem wyjątkowo twardym i zdeterminowanym i wkrótce grobowiec rozebrano kamień po kamieniu, a następnie przewieziono na barkach w dół rzeki, do zatoki Abukir, gdzie na sprażonych słońcem piaskach pustyni oczekiwał na transport do Francji. Planom tym położyła kres słynna bitwa nad Nilem, kiedy admirał Horatio Nelson spotkał się z flotyllą Napoleona i zadał jej druzgocącą klęskę w jednej z najważniejszych batalii morskich w historii.

Napoleon umknął na pokładzie jednej z pomniejszych jednostek, pozostawiając swoje armie odcięte w oblężeniu. Wojska te wkrótce poddały się, a jednym z warunków kapitulacji było podarowanie wojskom brytyjskim bajecznych kolekcji starożytnych egipskich zbiorów, między innymi kamienia z Rosetty i grobowca Senefa. Dzień po przyjęciu warunków kapitulacji Cahors rzucił się na swoją szpadę, klęcząc wśród kamiennych bloków na piaskach Abukiru. Mimo to jego sława jako pierwszego egiptologa nie przeminęła i to właśnie potomek owego Cahors'a przekazał na rzecz muzeum hojną dotację, aby doprowadzić do ponownego otwarcia grobowca a la distance.

Nora odłożyła na bok pierwszy plik dokumentów i sięgnęła po

następny Szkocki oficer marynarki wojennej, kapitan Alisdair William Arthur Cumyn, późniejszy baron Rattray, zdołał przejąć grobowiec Senefa w wyniku dość szemranej transakcji dokonanej podczas gry w karty; nawiasem mówiąc, związane z nią były również dwie prostytutki. Baron Rattray kazał przetransportować i zrekonstruować grobowiec w posiadłości swoich przodków w szkockich górach, ale przeliczył się z kosztami, zbankrutował i zmuszony był sprzedać większość swoich rodowych ziem. Baronowie Rattray z trudem wiązali koniec z końcem, ale jakoś sobie radzili, aż do połowy XIX wieku, kiedy ostatni z rodu, podjąwszy desperacką próbę ocalenia tego, co pozostało z jego majątku, sprzedał grobowiec amerykańskiemu magnatowi kolejowemu Williamowi C. Spraggowi.

Spragg, jeden z pierwszych mecenasów tej placówki, przetransportował grobowiec przez Atlantyk i zrekonstruował go w budowanym podówczas muzeum. To był jego ulubiony projekt i poświęcił mu wiele długich miesięcy, przesiadując w murach tego gmachu, nie dając spokoju robotnikom i stając się dla wszystkich prawdziwym utrapieniem. Jak na ironię tragicznym zrzędzeniem losu poniósł śmierć pod kołami konnego ambulansu, zaledwie na dwa dni przed wielkim otwarciem w roku 1872.

Nora zrobiła sobie krótką przerwę w lekturze dokumentów. Nie minęła jeszcze trzecia, a sporo już zrobiła; szło jej lepiej, niż przypuszczała. Gdyby uporowała się z tym do ósmej, mogłaby zjeść z Billem szybką kolację w Kościach. Na pewno spodobałaby mu się ta mroczna, ponura historia. I byłby z tego materiał na niezły artykuł do kulturalnego lub miejskiego działu „Timesa”, kiedy nadejdzie czas ponownego otwarcia grobowca.

Sięgnęła po następny plik, tym razem były to wyłącznie dokumenty z muzeum, w o wiele lepszym stanie niż wcześniejsze. Pierwszy zestaw dotyczył otwarcia grobowca. Znajdowały się w nim

egzemplarze starannie wydrukowanych oficjalnych zaproszeń:

*Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki
Wielce Szanowny Generał Ulysses S. Grant
Gubernator Stanu Nowy Jork Szanowny John T. Hoffman
Prezes Nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej Dr James K. Moreton*

Serdecznie zapraszają na kolację i bal z okazji otwarcia wielkiego grobowca Senefa, regenta i wezyra faraona Tutmozisa IV władcy starożytnego Egiptu 1419-1386 p.n.e.

*Diwa Eleonora de Graff Bolkonsky wykona arię z nowej, sławnej opery »Aida«
Giuseppe Verdiego
Kostiumy z epoki*

Nora trzymała w dłoni rozsypujące się zaproszenie. Zdumiało ją, że muzeum cieszyło się podówczas takim uznaniem, że sam prezydent podpisał się pod zaproszeniem. Zaczęła wertować dokumenty i napotkała menu z listą dań przewidzianych na wspomnianą kolację.

*Hors d'oeuvres varies
Consomme Olga
Kebab egipski
Filet mignon Lili
Faszerowana dynia
Smażone gołąbki z rzeżuchą
Pate de foie gras en crouste
Baba Ghanouj
Waldorf Pudding
Brzoskwinie Chartreuse*

W teczce było tuzin czystych egzemplarzy zaproszeń. Odłożyła je na bok wraz z menu, aby je później powielić na ksero. Muzeum powinno to zobaczyć. Prawdę mówiąc, pomyślała, byłoby cudownie, gdyby udało im się odtworzyć całą ceremonię otwarcia – może z wyjątkiem balu kostiumowego – i zaproponować te same potrawy.

Zaczęła czytać notatki prasowe o tym wieczorze. Było to jedno z większych wydarzeń kulturalnych i towarzyskich

dziewiętnastowiecznego Nowego Jorku; takich później już nie urządzano. Lista gości przywodziła na myśl spis największych znakomitości Połączanego Wieku: Astorowie, Vanderbiltowie, William Butler Duncan, Walter Langdon, Ward McAllister, Royal Phelps. Były tam ryciny z „Harper’s Weekly” ukazujące bal, gdzie wszyscy mieli na sobie najróżniejsze, częstokroć bardzo ekstrawaganckie kostiumy stylizowane na stroje egipskie.

Marnowała tylko czas. Otworzyła kolejną teczkę. Ta również zawierała wycinki z gazet, w tym przypadku z „New York Sun”, wydawanego podówczas, cieszącego się wątpliwą renomą brukowca, bazującego głównie na skandalach. Artykułowi towarzyszyła ilustracja przedstawiająca ciemnowłosego mężczyznę w fezie, z wodnistymi oczami i w długiej powłóczystej szacie. Pospiesznie przeczytała artykuł.

**TYLKO U NAS
GROBOWIEC W NOWOJORSKIM MUZEUM
JEST PRZEKLĘTY!
EGIPSKI BEJ OSTRZEGA PRZED
MOCĄ ZŁOWROGIEGO OKA HORUSA**

Nowy Jork – Podczas wizyty w Nowym Jorku Jego Eminencji Abdula El-Mizara, beja Bolbassy z Górnego Egiptu, dżentelmen ów, pochodzący z kraju faraonów, przeraził się nie na żarty, stwierdziwszy, że w nowojorskim muzeum prezentowany jest grobowiec Senefa.

Egipcjanin i jego świta, którzy zwiedzali muzeum, zawrócili przed grobowca ze zgrozą i konsternacją, ostrzegając innych gości, że jeśli wejdą do grobowca, spotka ich niechybna i przerażająca śmierć, „Grobowiec ten jest obłożony klątwą bardzo dobrze znaną w moim kraju” – powiedział później El-Mizar reporterowi naszej gazety.

Nora uśmiechnęła się. Dalszy ciąg artykułu utrzymany był w podobnym tonie, zawierał mieszankę srogich gróźb i wyjątkowo niedokładnych, wątpliwych pod względem rzetelności faktów historycznych, kończył się zaś, jak można się było tego spodziewać,

żądaniem wysuniętym kategorycznie przez beja Bolbassy, aby grobowiec niezwłocznie został przewieziony z powrotem do Egiptu. Na zakończenie, jakby w charakterze posłowania, wysoki rangą urzędnik muzeum stwierdził, że każdego dnia grobowiec odwiedza kilka tysięcy gości i jak dotąd żadnemu z nich nie przytrafiło się nic złego.

Artykuł ten wywołał istną lawinę listów od rozmaitych ludzi, w większości bez wątpienia oszustów albo osób nie zrównoważonych psychicznie, opisujących „osobliwe doznania” i „wrażenie obecności”, jakiego doświadczyli podczas pobytu w grobowcu. Kilka osób skarżyło się na fizyczne dolegliwości, jakie wystąpiły u nich bezpośrednio po wizycie w grobowcu: trudności z oddychaniem, zimne poty, palpacje serca, zaburzenia nerwowe. Ktoś, kto zasłużył na osobną teczkę, opowiadał o dziecku, które wpadło do studni i połamało sobie obie nogi; jedną trzeba było później amputować. Wymiana listów od prawników zakończyła się cichą ugodą z rodziną, której wypłacono w sumie dwieście dolarów. Sięgnęła po następną teczkę, bardzo cienką i lekką. Gdy ją otworzyła, ze zdumieniem stwierdziła, że wewnątrz znajdował się tylko jeden pożółkły arkusz kartonu z przyklejoną do niego kartką o następującej treści:

Zawartość przeniesiona do zabezpieczonego magazynu 22 marca 1938

Podpisano: Lucien P. Strawbridge

Kurator Wydziału Egiptologii

Nora ze zdumieniem obracała karton w dłoniach. Zabezpieczony magazyn? Zapewne chodziło o miejsce znane dziś jako strefa chroniona, gdzie muzeum przechowywało swoje najcenniejsze artefakty. Co musiało znajdować się w treści tych akt, że trzymano je pod kluczem? Odłożyła kartonowy arkusz i teczkę na bok, postanawiając w duchu, że później wróci do tej sprawy. Wstał jej już tylko jeden, ostatni plik dokumentów. Rozsupławszy go, Nora

stwierdziła, że zawierał korespondencję i notatki dotyczące budowy podziemnego tunelu łączącego stację metra linii IND z muzeum.

Korespondencja była wyjątkowo obszerna. Gdy Nora zabrała się do lektury, w mig zorientowała się, że historia rozpowszechniona przez muzeum, jakoby grobowiec został zamknięty z uwagi na budowę tunelu, delikatnie mówiąc, mijająca się z prawdą. Prawda przedstawiała się dokładnie na odwrót – miasto chciało, aby przejście wiodące ze stacji omijało po skosie wejście do muzeum. To było znacznie prostsze i tańsze rozwiązanie, co więcej, wydawało się szybsze do realizacji. Jednak z jakiegoś powodu muzeum zażyczyło sobie, aby tunel znajdował się przy przeciwległym końcu stacji. Pojawiły się opinie, że wytyczenie tej nowej trasy doprowadzi do ponownego zamknięcia grobowca, gdyż wejście do niego zostałoby zablokowane z uwagi na trwające prace konstrukcyjne. Zupełnie jakby muzeum chciało doprowadzić do wymuszonego zamknięcia grobowca.

Czytała dalej. Na samym spodzie pliku dokumentów natknęła się na odręcznie napisaną notatkę od Luciena P. Strawbridge'a – tego samego, który nakazał przeniesienie zawartości poprzedniej teczki do zabezpieczonego magazynu – na marginesie listu od wysokiego rangą urzędnika z Nowego Jorku, który pytał, dlaczego muzeum życzy sobie, aby przejście podziemne znajdowało się akurat w tym konkretnie miejscu, co musiałoby pociągnąć za sobą dodatkowe koszty.

Dopisek na marginesie brzmiał następująco:

Powiedzcie mu, co chcecie. Ja chcę tylko, aby ten grobowiec został raz na zawsze zamknięty. Nie pozwólcie, aby przeszła nam koło nosa ostatnia i chyba najlepsza okazja na ostateczne pozbycie się tego cholernego problemu.

L.P. Strawbridge

Cholerny problem? Nora zastanawiała się, o jakim problemie mógł wspominać w swoim krótkim liściku Strawbridge. Raz jeszcze

przewertowała zawartość teczki, ale nic nie wskazywało, aby pojawiły się jakiegokolwiek kłopoty związane z grobowcem, jeśli nie liczyć pełnego zaciętrzewienia komentarza beja Bolbassy i powodzi listów od najrozmaitszych oszustów wywołanej treścią jego wypowiedzi.

Problem, o którym mowa, skonstatowała, musi kryć się w aktach przeniesionych do strefy chronionej. Cóż, uznała, że to na pewno nie jest nic wielkiego, a ona nie miała już czasu. Może w wolnej chwili zajrzy do tej teczki. Jeśli chciała wybrać się na kolację z Billem, musiała natychmiast zabrać się do pisania sprawozdania.

Przysunęła do siebie laptop, otworzyła nowy plik i zaczęła stukać w klawisze.

15

Następnego dnia Laura Hayward, kapitan z wydziału zabójstw, błysnęła swoją odznaką i została z szacunkiem wprowadzona do gabinetu Jacka Manettiego, szefa ochrony nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej. Hayward najbardziej przypadło do gustu to, że w gmachu, gdzie administracja z wyraźną przesadą egzekwowała swoje przywileje, szef ochrony wybrał dla siebie nieduży, pozbawiony okien gabinet na tyłach sektora bezpieczeństwa i wyposażył go w wygodne i funkcjonalne metalowe stoliki i krzesła. To zdawało się przemawiać na korzyść Manettiego, a przynajmniej miała taką nadzieję.

Manetti nie wydawał się zbyt uszczęśliwiony ze spotkania z nią, ale wysilił się na kurtuazję i zaprosił ją, aby usiadła, zaproponował kawę, za którą podziękowała.

– Przychodzę w sprawie ataku na panią Green – oznajmiła. – Zastanawiam się, czy zechciałby pan udać się ze mną na teren wystawy „Święte wizerunki”, abym mogła zadać jeszcze kilka pytań dotyczących wchodzenia i wychodzenia stamtąd oraz kwestii dostępu i bezpieczeństwa.

– Ale przecież już to wszystko przerabialiśmy kilka tygodni temu. Sądziłem, że śledztwo zostało zamknięte.

– Moje dochodzenie wciąż trwa, panie Manetti.

Manetti oblizał wargi. – Czy ustalała to pani z dyrektorem?

Powinniśmy koordynować wszelkie działania z funkcjonariuszami policji z...

Nie pozwoliła mu dokończyć i podniosła się z krzesła coraz bardziej rozdrażniona. – Nie mamy na to czasu. Chodźmy.

Ruszyła za szefem ochrony przez labirynt korytarzy i zakurzonych sal, aż w końcu znaleźli się u wejścia na teren wystawy. Muzeum wciąż było otwarte, ale sale, gdzie prezentowano ekspozycję „Święte wizerunki”, świeciły pustkami.

– Zaczynijmy już tutaj – rzekła Hayward. – Próbowałam odtworzyć to całe zdarzenie i wciąż nie zgadza mi się kilka rzeczy. Jakoś trudno mi to zrozumieć. Sprawca musiał dostać się do sali tym wejściem, zgadza się?

– Tak.

– Drzwi na drugim końcu sali otwierają się tylko od środka, mam rację?

– Tak.

– System bezpieczeństwa miał automatycznie rejestrować wszystkie wchodzące i wychodzące osoby, ponieważ każda karta magnetyczna ma specjalny kod z zapisanym w nim nazwiskiem właściciela.

Manetti pokiwał głową.

– A jednak system nie zarejestrował wejścia żadnej osoby poza Margo Green. Następnie sprawca ukradł jej kartę magnetyczną i wykorzystał, aby wydostać się z sali tylnym wejściem.

– Tak właśnie przypuszczamy.

– Green mogła wejść do sali i zostawić drzwi otwarte.

– Nie. Po pierwsze byłoby to wbrew przepisom. Po drugie system nie zarejestrował niczego takiego. Zaledwie kilka sekund po tym, jak weszła do sali, drzwi zostały zamknięte. Mamy to w naszych elektronicznych zapisach.

– Zatem sprawca musiał czekać w sali, ukrywając się tam od

zamknięcia muzeum dla zwiedzających, czyli od piątej po południu, aż do godziny drugiej w nocy, kiedy miał miejsce ów atak.

Manetti pokiwał głową.

– Albo należy wziąć pod uwagę, że sprawca zdołał obejść system zabezpieczeń.

– Uważamy, że to prawie niemożliwe.

– A ja sądzę, że to nieomal pewne. Byłam w tej sali wiele razy od dnia, kiedy miała miejsce ta napaść. Nie ma tam dogodnej kryjówki, gdzie mógłby się zaszyć sprawca.

– Wtedy wciąż trwały tu prace przygotowawcze. Wszędzie walały się deski i rozmaite sprzęty.

– Do otwarcia zostały tylko dwa dni. Prace były na ukończeniu.

– System bezpieczeństwa jest nieomylny i działa bezbłędnie.

– Jak w przypadku Sali Brylantowej, tak?

Zauważyła, jak usta Manettiego zacisnęły się w wąską kreskę, i poczuła pod sercem ukłucie żalu. To nie było w jej stylu. Stawała się naprawdę wredna i wcale jej się to nie podobało.

– Dziękuję, panie Manetti – rzekła. – Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym raz jeszcze przejść się po tej sali.

– Proszę bardzo.

– Będę w kontakcie.

Manetti zniknął, a Hayward w zamyśleniu zaczęła krążyć po sali, gdzie napadnięto Margo Green, wyobrażając sobie po raz kolejny każdy etap ataku jak film oglądany na zdjęciach poklatkowych. Próbowwała wyciszyć głos w głowie mówiący, że ścigała duchy, że wątpliwe, aby wiele tygodni po ataku mogła odnaleźć tu coś naprawdę istotnego – bądź co bądź od tego czasu przez teren wystawy przeszły tysiące osób; że robiła to wszystko z niewłaściwych pobudek; że powinna zająć się własnym życiem i karierą, póki jeszcze mogła.

Ponownie obeszła całą salę; cichy głosik został zagłuszony przez tupot jej szpilek o marmurową posadzkę. Gdy dotarła do gabloty, gdzie odkryto ślad krwi, ujrzała przygarbioną ciemno ubraną postać zmierzającą w jej stronę zza gabloty, jakby szykującą się do skoku.

Wyciągnęła broń i wymierzyła w niewyraźną czarną postać. – Hej ty! Stój! Policja! Ani kroku dalej!

Postać poderwała się gwałtownie ze zduszonym krzykiem, wymachując rozpaczliwie rękami; niesforny kosmyk nad czołem zakołysał się gwałtownie. Hayward stwierdziła, że ma przed sobą Williama Smithbacka, dziennikarza działu miejskiego „Timesa”.

– Nie strzelać! – zawołał dziennikarz. – Ja tylko chciałem się tutaj trochę rozejrzeć. Jezu, ale mnie pani wystraszyła tą swoją pukawką!

Hayward wsunęła broń do kabury, zrobiło się jej głupio. – Przepraszam. Jestem trochę zdenerwowana.

Smithback lekko przymknął powieki. – Kapitan Hayward, zgadzaj się?

Skinęła głową.

– Piszę artykuły o sprawie Pendergasta, dla „Timesa”.

– Tak, wiem.

– Świetnie. Prawdę mówiąc, zamierzałem z panią pomówić. Spojrzała na zegarek. – Jestem bardzo zajęta. Proszę umówić się na rozmowę za pośrednictwem mojego biura.

– Już próbowałem. Nie rozmawia pani z dziennikarzami.

– Zgadza się. – Spiorunowała go wzrokiem i postąpiła naprzód, ale nie odstąpił na krok, aby ją przepuścić.

– Przepraszam.

– Proszę posłuchać – rzucił pospiesznie. – Myślę, że możemy pomóc sobie nawzajem. No wie pani, wymiana informacji i takie tam.

– Jeżeli ma pan jakąś istotną dla sprawy informację, niech pan ujawni ją już teraz albo oskarżę pana o utrudnianie śledztwa –

warknęła gniewnie.

– Nie, nic z tych rzeczy! Chciałem tylko powiedzieć, że... no cóż... myślę, że wiem, dlaczego pani tu przyszła. Nie jest pani zadowolona. Zaczyna pani wątpić, że to Pendergast zaatakował Margo. Mam rację?

– Skąd to przypuszczenie?

– Bardzo zajęta pani kapitan z wydziału zabójstw nie marnowałaby swego cennego czasu, odwiedzając miejsce zbrodni, kiedy sprawa dawno już została zamknięta. Musi pani mieć jakieś wątpliwości.

Hayward milczała, skutecznie ukrywając zdumienie.

– Zastanawia się pani, czy zabójcą mógł być Diogenes Pendergast, brat agenta. To dlatego pani tu przyszła.

Hayward wciąż milczała, jej zdumienie narastało.

– Prawdę mówiąc, jestem tu z tych samych powodów. – Smithback przerwał i spojrzał na nią z ukosa, jakby chciał oszacować, jakie wrażenie wywarły na niej jego słowa.

– Czemu uważa pan, że agent Pendergast jest niewinny? – spytała ostrożnie Hayward.

– Ponieważ znam agenta Pendergasta. Można powiedzieć, że jestem jego kronikarzem, opisuję sprawy, nad którymi pracował, od czasu zabójstw w muzeum siedem lat temu. I znam Margo Green. Zadzwoiła do mnie ze szpitala. Zarzekała się, że tym, który ją zaatakował, nie był agent Pendergast. Dodała, że napastnik miał oczy w dwóch kolorach, jedno zielone, drugie mlecznoniebieskie.

– Pendergast jest znany jako mistrz kamuflażu.

– Tak, ale opis pasuje do jego brata. Czemu miałyby się za niego przebierać? Poza tym wiemy, że to jego brat dokonał kradzieży brylantów i uprowadził tę kobietę, lady Maskelene. Jedynym logicznym wyjaśnieniem jest, że to również Diogenes zaatakował Margo i zrobił swego brata. QED.

I znów Hayward musiała ukryć swoje zdumienie; jego tok

rozumowania był zbieżny z jej własnym. Wreszcie pozwoliła sobie na słaby uśmiech. – Cóż, panie Smithback, wygląda na to, że jest pan naprawdę wyśmienitym reporterem śledczym.

– W rzeczy samej – przyznał bez cienia skromności, przyglądając bez powodzenia niesforne kosmyk włosów nad czołem.

Przerwała na chwilę i zamyśliła się. – Dobrze więc. Może jednak jesteśmy w stanie pomóc sobie nawzajem. Mój wkład rzecz jasna będzie całkowicie poufny. Żadnych wzmianek o mnie na łamach „Timesa”. I tylko ogólnikowe informacje.

– Absolutnie.

– Spodziewam się, że jeśli pan na coś natrafi, przyjdzie pan z tym najpierw do mnie. Zanim zanieś pan to do swojej redakcji. Tylko pod tym warunkiem mogę zgodzić się na tę poufną współpracę.

Smithback energicznie pokiwał głową. – Oczywiście.

– Świetnie. Wygląda na to, że Diogenes Pendergast zniknął. Jakby się zapadł pod ziemię. Ślad urywa się w jego kryjówce na Long Island, miejscu, gdzie więził lady Maskelene. Tego rodzaju zaginięcie bez śladu nie zdarza się co dzień, można je wyjaśnić tylko w jeden sposób; nasz ptaszek powrócił do poprzedniego alter ego. Alter ego, którym posługiwał się już od dłuższego czasu.

– Domyślcie się, w kogo mógł się wcielić?

– Nie mamy pojęcia. Gdyby jednak opublikował pan artykuł na ten temat... Cóż, może to odwróciłoby złą passę. Jakiś cynk, obserwacja dokonana przez wścibskiego sąsiada, rozumie pan? Naturalnie moje nazwisko nie może się pojawić w tekście.

– Jasne. Rozumiem. A co ja dostanę w zamian?

Hayward uśmiechnęła się nieco szerzej. – Źle mnie pan zrozumiał. To ja wyświadczam panu przysługę. Pytanie brzmi, co w zamian pan może zrobić dla mnie. Wiem, że zajmował się pan sprawą kradzieży brylantów. Chcę wiedzieć wszystko na ten temat. Dosłownie

wszystko. To, co ważne, i to, co nieistotne. Ma pan rację: uważam, że to Diogenes stoi za napaścią na Green i zabójstwem Duchampa. Potrzebuję wszelkich możliwych dowodów, ponieważ pracuję w wydziale zabójstw i trudno mi pozyskać informacje od zwykłych gliniarzy z komisariatu.

Nie dodała, że to Singleton, komendant posterunku, który prowadził sprawę kradzieży brylantów, nie miał ochoty dzielić się z nią posiadanymi informacjami na ten temat.

– Nie ma sprawy. Umowa stoi.

Odwróciła się, ale Smithback zawołał w ślad za nią. – Proszę zaczekać.

Spojrzała na niego, unosząc brew.

– Kiedy znów się spotkamy? I gdzie?

– Nie spotkamy się. Proszę do mnie zadzwonić, jeżeli tylko wydarzy się coś naprawdę ważnego.

– W porządku.

I wyszła, pozostawiając go w półmroku muzealnej sali, sporządzającego pospiesznie notatki na wyciągniętym z kieszeni pomiętym świstku papieru.

16

Jay Lipper, konsultant w dziedzinie efektów komputerowych, przystanął w pustej komnacie pogrzebowej, rozglądając się dokoła w słabym świetle. Upłynęły cztery tygodnie, odkąd muzeum ogłosiło ponowne otwarcie grobowca Senefa; Lipper harował tu jak wół od trzech tygodni. Dziś miało się odbyć wielkie spotkanie, a on zjawił się dziesięć minut przed czasem, by pospacerować po grobowcu i przeprowadzić wizualizację rozmieszczenia całej konstrukcji: gdzie przeciągnąć kable światłowodowe, gdzie rozmieścić diody, gdzie umieścić głośniki, gdzie zawiesić reflektory i gdzie rozlokować ekrany holograficzne. Do wielkiego otwarcia pozostały dwa tygodnie i miał przed sobą jeszcze mnóstwo pracy.

Usłyszał gwar głosów, zniekształcone, dochodzące z okolic wejścia do wielokomorowego grobowca echo, mieszające się ze stukotem młotków i jękiem elektrycznych pił. Zespoły robotników pracowały pełną parą, nie szczędzono wydatków. Zwłaszcza jego wydatków; płacono mu 120 dolarów za godzinę i pracując po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, zarabiał fortunę. Z drugiej strony zasługiwał na swoje wynagrodzenie. Na każdego centa. Zwłaszcza po tym, jak muzeum przydzieliło mu do współpracy kompletnego jełopa mającego zajmować się przeciąganiem kabli, zabezpieczaniem i mocowaniem przewodów oraz obsługą sprzętu elektronicznego. To był kompletny fajtłapa – jeśli wśród personelu technicznego muzeum

było więcej takich jak on, to czekały ich poważne kłopoty. Facet był z metra cięty, wyglądał jak wielki połec mięsa, miał głowę przypominającą czubek pistoletowego naboju i mózg wielkości włoskiego orzecha. Gość prawdopodobnie spędzał weekendy w siłowni, zamiast zgłębiać tajniki technologii, która miała być jego specjalnością.

Jak na komendę z korytarza dobiegł go głos przygłupa. – Ciemno tu jak w jakim grobie, co nie, Jayce? – Teddy DeMeo ciężkim krokiem wyłonił się zza rogu, niosąc naręcze zrolowanych elektronicznych planów i wykresów.

Lipper zacisnął usta i raz jeszcze upomniał się w myślach, że płacono mu 120 dolarów za godzinę. Najgorsze było to, że zanim dowiedział się czegoś więcej o DeMeo, Lipper nieopatrznie wspomniał mu o gigantycznej wieloosobowej grze RPG online, w której uczestniczył: – Krainie Darkmordu. DeMeo natychmiast zalogował się do sieci i włączył do gry. Bohater Lippera, podstępny półelf, czarownik, w pelerynie, z księgą pełną zaklęć wzywających do ataku, spędzał całe tygodnie, organizując ekspedycję wojskową do odległej warowni. Werbował wojowników i nagle spotkał DeMeo w postaci orka z kanciastą wystającą szczęką, uzbrojonego w maczugę, który pragnął zaciągnąć się na ochotnika, zachowywał się, jakby był jego najlepszym przyjacielem, zadawał całe mnóstwo kretyńskich pytań, jak z rękawa sypał kompletnie chybionymi, mało zabawnymi dowcipami i ogólnie wprawiał go w zażenowanie przed pozostałymi graczami.

DeMeo zatrzymał się przy nim, dysząc ciężko, pot spływał mu z czoła; przygłup cuchnął jak przepocona skarpetka. – W porządku, przyjrzyjmy się temu... – rozwinął jeden ze schematów. Rzecz jasna DeMeo trzymał go do góry nogami, trochę trwało, zanim zdołał go odwrócić.

– Oddaj mi to – warknął Lipper, odbierając mu schemat i wygładzając energicznie dłoń. Spojrzał na zegarek. Do przybycia komisji kuratorskiej zostało jeszcze pięć minut. Nie ma sprawy, przy stawce dwa dolary za minutę Lipper mógł nawet poczekać na Godota.

Pociągnął nosem i rozejrzał się dokoła. – Ktoś będzie musiał coś zrobić z wilgotnością powietrza. Mój elektroniczny sprzęt tego nie wytrzyma.

– Tia – mruknął DeMeo, wodząc wzrokiem dokoła. – Mógłbyś rzucić okiem na ten dziwaczny szajs? Co to w ogóle jest, do diabła? Aż mnie ciarki przechodzą.

Lipper zerknął na wspomniany fresk przedstawiający człowieka z czarną owadzią głową, przyodzianego w szaty faraona. Komnata pogrzebowa wyglądała naprawdę niesamowicie: ściany czarne od hieroglifów, na suficie odzwierciedlenie nocnego nieba, dziwne żółte gwiazdy i księżyc na tle o barwie ciemnego indygo. Ale prawdę mówiąc, Lipper lubił się bać. To trochę tak, jakby znaleźć się naprawdę w świecie Darkmordu.

– To bóg Khepri – odparł. – Człowiek z głową skarabeusza. Pomaga przetaczać słońce po niebie.

Praca nad tym projektem zafascynowała Lippera do tego stopnia, że w ostatnich tygodniach zainteresował się, i to nawet bardzo, egipską mitologią, poszukując elementów zdobniczych do umieszczenia w tle oraz niezbędnych motywów etnicznych i religijnych.

– Mumia spotyka muchę – rzucił DeMeo ze śmiechem.

Ich rozmowę przerwał narastający gwar głosów grupki osób, które weszły właśnie do komnaty pogrzebowej; na czele podążał Menzies, za nim zaś kilku kustoszów.

– Panowie! Cieszę się, że już tu jesteście. Nie mamy wiele czasu. – Menzies wystąpił naprzód i przywitał się z nim. – Znacie się wszyscy, jak mniemam.

Zebrani zgodnie przytaknęli. Czyż mogło być inaczej, skoro przez ostatnie tygodnie praktycznie wszyscy wspólnie tu mieszkali? Była tu Nora Kelly, kompetentna osóbką, z którą Lipperowi całkiem nieźle się współpracowało, filisterski Brytyjczyk nazwiskiem Wicherly oraz Pan Wielka Szycha we własnej osobie, kustosz wydziału antropologii, George Ashton. Oto cała komisja.

Nowo przybyli rozmawiali przez chwilę między sobą i nagle Upper poczuł, że ktoś wymierzył mu kuksańca pod żebra. Odwrócił wzrok i ujrzał DeMeo; tępak miał otwarte usta, mrugnął do niego porozumiewawczo i szczerzył się jak wariat. – A niech mnie – wyszeptał wskazując na doktor Kelly. – Z taką to bym chętnie popracował po godzinach.

Lipper odwrócił wzrok i wywrócił oczami.

– No dobrze! – Menzies zwrócił się do wszystkich zebranych. – Czy możemy zacząć obchód?

– Oczywiście, doktorze Menzies! – odparł DeMeo. Lipper spiorunował półgłówka wzrokiem. Miał nadzieję, że ten głupek się zamknie. To był jego plan, jego pomysł, jego wielkie dzieło; zadaniem DeMeo było rozstawianie sprzętu, przeciąganie kabli i dopilnowanie, aby prąd docierał jak należy do wszystkich elementów systemu.

– Powinniśmy zacząć od początku – rzekł Lipper, podprowadzając ich z powrotem do wejścia i rzucając DeMeo jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie.

Przeszli między na wpół gotowymi elementami ekspozycji i wciąż pracującymi zespołami konstruktorów. Gdy dotarli do wejścia do grobowca, Lipper poczuł, że rozdrażnienie, jakie czuł do DeMeo, zostało zastąpione przez narastające podniecenie. Scenariusz widowiska typu światło i dźwięk został napisany przez Wicherly'ego i uzupełniony przez Kelly i Menziesa, ale ostateczny rezultat był naprawdę dobry. Wręcz doskonały. Wmieniając elementy scenariusza

w rzeczywistość wydobył z niego to, co najlepsze. To będzie naprawdę niesamowita, porażająca ekspozycja.

Dotarłszy do Pierwszego Boskiego Przejścia, Lipper odwrócił się do pozostałych. – Widowisko typu światło i dźwięk zostanie aktywizowane automatycznie. Ważne jest, aby ludzie byli wpuszczani do grobowca grupami i przechodzili przez te korytarze wspólnie. Będą tym samym kolejno uaktywniać ukryte czujniki, z których każdy odpowiada za uruchomienie odrębnej sekwencji widowiska. Kiedy zakończy się jedna sekwencja, grupa przejdzie do następnej części grobowca, aby zobaczyć kolejną. Po zakończeniu widowiska grupa będzie miała kwadrans na indywidualne obejrzenie grobowca, zanim zostanie wyprowadzona na zewnątrz, a ich miejsce zajmie następna.

Wskazał na sufit. – Pierwszy czujnik zostanie umieszczony tam, w rogu, u góry. Gdy goście miną ten punkt, sensor to zarejestruje, odczeka pół minuty na ewentualnych spóźnialskich i rozpocznie pierwszą sekwencję, którą określiłem mianem aktu pierwszego.

– Jak ukrywacie kable? – zapytał Menzies.

– Bez problemu – wtrącił DeMeo. – Wpuszczamy je w czarne przewody calówki. Nawet ich nie zauważą.

– Niczego nie wolno mocować do malowanych powierzchni – wtrącił Wicherly.

– Nie, nie. Przewód jest stalowy, nie wymaga podpórek i trzeba go zamocować jedynie w narożnikach. Wznosi się dwa milimetry nad malowaną powierzchnią, nawet jej nie dotknie.

Wicherly pokiwał głową.

Lipper odetchnął z ulgą, wdzięczny, że DeMeo nie wyskoczył z jakimś kretyńskim komentarzem, przynajmniej na razie.

Wprowadził całą grupę do następnego pomieszczenia. – Kiedy goście dotrą do połowy Drugiego Boskiego Przejścia, tu gdzie teraz stoimy, światła nagle przygasną. Rozlegną się odgłosy kopania,

zduszone szepty, zgrzyt kilofa o kamień, z początku same tylko dźwięki, bez obrazu. Głos narratora wyjaśni, że to grobowiec Senefa, który ma właśnie zostać splądrowany przez tych samych kapłanów, którzy pogrzebali regenta przed dwoma miesiącami. Odgłosy kopania przybiorą na sile, gdy rabusie dotrą do pierwszych zapieczętowanych drzwi. Zaatakują je kilofami, aż w końcu jeden z nich przebije się przez tę zaporę. I tu zaczyna się wizualna część widowiska.

– Punkt krytyczny to chwila, kiedy rabusie przebiją się wreszcie przez drzwi – powiedział Menzies. – Potrzebujemy rozbrzmiewających echem odgłosów kilofa uderzającego o ścianę, dźwięku sypiących się na ziemię kamieni i oślepiającego promienia światła pojawiającego się nagle jak błyskawica. To kluczowy moment i trzeba mu nadać odpowiedni dramatyzm.

– Dramatyzmu z pewnością nie zabraknie. – Lipper poczuł lekkie rozdrażnienie. Menzies, choć całkiem miły i uprzejmy, bywał niekiedy drażniący i wścibski, jeżeli chodzi o kwestie natury technicznej. Lipper zaś obawiał się, by nie zaczął się wtrącać do szczegółów całej instalacji. Kontynuował. – Wtedy włączą się światła, a głos narratora zacznie się zwracać do przybyłych gości. – W oddali widać było nowy most wzniesiony nad studnią, dość szeroki, by pomieścić całą grupę zwiedzających. – Gdy zbliżą się do studni – ciągnął Lipper – czujnik w tym rogu wychwyci ich obecność i uaktywni akt drugi.

– Właśnie – przerwał mu DeMeo. – Każdy z nich będzie działał niezależnie, kontrolowany przez parę dwupoziomowych PowerMaców G5 przyłączonych do trzeciego G5, który będzie pełnił rolę urządzenia wspomagającego i nadzorującego zarazem.

Lipper wywrócił oczami. DeMeo zacytował słowo w słowo to, co napisał w raporcie wstępnym.

- Gdzie będą umieszczone te komputery? – zapytał Menzies.
- Przepuścimy kabel przez ścianę...

– Ejże, ejże – zachnął się Wicherly. – Nikt nie będzie borował dziur w ścianach tego grobowca.

DeMeo odwrócił się do niego. – Tak się składa, że dawno temu ktoś już wywiercił otwory w tej ścianie w pięciu miejscach! Otwory zabetonowano, ale odkryłem je i przewierciłem na nowo. – DeMeo w triumfalnym geście skrzyżował muskularne ramiona na piersiach, jakby właśnie sypnął piachem w twarz ważącemu czterdzieści kilo mięczakowi na plaży.

– Co jest po drugiej stronie? – zapytał Menzies.

– Składowisko – odparł DeMeo – obecnie pusty. Przerobimy go na pomieszczenie kontrolne.

Lipper odchrząknął, aby powstrzymać ewentualny dalszy komentarz DeMeo. – W akcie drugim zwiedzający zobaczą generowane cyfrowo wizerunki rabusiów pokonujących kładkę nad studnią, aby sforsować kolejne zapieczetowane drzwi. Po drugiej stronie studni zostanie opuszczony ekran, rzecz jasna zwiedzający nawet tego nie zauważą. Następnie holograficzny projektor w tamtym rogu zacznie prezentować obrazy grabieżców idących korytarzem, niosących zapalone pochodnie, rozbijających pieczęcie i wyłamujących drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, po czym zmierzających w stronę komnaty pogrzebowej. Chodzi o to, aby zwiedzający poczuli się, jakby sami należeli do bandy rabusiów grobów. Goście pójną za nimi do wewnętrznego grobowca, gdzie rozpocznie się akt trzeci.

– Laro Croft, miej się na baczności! – rzekł DeMeo, rozglądając się dokoła i śmiejąc z własnego, jego zdaniem wysublimowanego, poczucia humoru.

Cała grupa weszła do komory pogrzebowej, gdzie Lipper znów się zatrzymał. – Zwiedzający, zanim cokolwiek ujrzą, usłyszą najpierw głośne dźwięki, brzęk tłuczonych naczyń, donośne trzaski, krzyki.

Kiedy wejdą z tej strony do komnaty pogrzebowej, właśnie tu, w tym miejscu, zostaną zatrzymani przez zamykające się wrota. I wtedy zacznie się główna część widowiska. Z początku będzie ciemno, w mroku słyhać będzie przerażone, podekscytowane głosy. Potem znów rozlegną się suche trzaski i brzęk pękających skorup. I pojawi się nagły błysk zapalonych pochodni. Zobaczymy spocone, przerażone, zachłanne oblicza kapłanów. I złoto! Wszędzie, jak okiem sięgnąć, blask złota. – Odwrócił się do Wicherly’ego. – Tak jak napisał pan w scenariuszu.

– Doskonale!

– Kiedy zapalą się pochodnie, włączone zostanie sterowane komputerowo oświetlenie rozjaśniające niezbyt mocno fragmenty komnaty pogrzebowej. Rabusie zsuną i roztrzaskają kamienne wieko sarkofagu wewnętrznego, tego ze szczerego złota, a jeden z nich wskoczy do środka i zacznie zdzierać płócienne bandażę. Następnie z okrzykiem triumfu wydobędą skarabeusza i roztrzaskają go, by zniszczyć jego moc.

– To kulminacja – wtrącił Menzies podnieconym głosem. – Chcę, aby towarzyszyły jej grzmoty i stroboskopowe błyski imitujące pioruny.

– Wedle życzenia – odparł DeMeo. – Mamy systemy dźwiękowe dolby surround i pro logic II, cztery 750-watowe lampy stroboskopowe chauvet mega II oraz całą masę reflektorów punktowych. Wszystko kontrolowane przez w pełni zautomatyzowaną dwudziestoczerocalową konsolę oświetlenia DMX. – Rozejrzał się z dumą dokoła, jakby doskonale wiedział, o czym mówi, a nie po raz kolejny cytował fragmenty starannie przygotowanego przez Lippera konspektu.

Boże, Lipper miał go już serdecznie dosyć. Odczekał chwilę, po czym mówił dalej. – Po odgłosach grzmotów i światłach błyskawic

znów włączą się projektory holograficzne i ujrzymy samego Senefa podnoszącego się z sarkofagu. Kapłani rzucają się w popłochu do ucieczki. Wszystko zgodnie z tym, co widnieje w scenariuszu, to jedynie sztuczki ich wyobraźni, przywidzenia wywołane nadmiarem emocji.

– Ale wszystko będzie jak najbardziej realistyczne? – zapytała Nora, marszcząc brwi. – Żadnych tanich sztuczek?

– Wszystko będzie utrzymane w formie 3D, a holograficzne obrazy wyglądają trochę jak duchy. Widać przez nie na wskroś, ale tylko jeśli z tyłu za patrzącym znajduje się silne źródło światła. Będziemy starannie manipulować poziomem natężenia światła, aby utrzymać wiarygodność tej iluzji. Częściowo opieramy się na technologii wideo, częściowo na grafice komputerowej. Tak czy owak Senef podnosi się ze zniszczonego sarkofagu i wskazuje palcem przed siebie. Przy wtórze grzmotu i błyskawic opowiada o swoim życiu, o tym, czego dokonał, jak wspaniałym był regentem i wezyrem Tutmozisa i rzecz jasna tu wchodzi treści typowo edukacyjne.

– A tymczasem – wtrącił DeMeo – mamy 500-watowy jem glaciator ukryty w sarkofagu, który zacznie produkować dym imitujący mgłę w dużych ilościach. Dwa tysiące stóp sześciennych na minutę.

– Mój scenariusz nie obejmował sztucznego dymu – rzekł Wicherly. – To mogłoby doprowadzić do uszkodzenia malowideł.

– System jem wykorzystuje wyłącznie płyny przyjazne dla środowiska – zapewnił Lipper. – Gwarantujemy, że nie dojdzie do żadnych niepożądanych zmian w otoczeniu ani niepożądanych reakcji chemicznych.

Nora Kelly znów zmarszczyła brwi. – Proszę wybaczyć, że zapytam, ale czy te teatralne sztuczki są naprawdę konieczne?

Menzies odwrócił się do niej. – Ależ, Noro! Przecież to był od samego początku twój pomysł.

– Wyobrażałam sobie coś znacznie subtelniejszego, a nie lampy stroboskopowe i maszyny do produkcji sztucznej mgły.

Menzies zachichotał. – Skoro już się na to zdecydowaliśmy, Noro, powinniśmy to zrobić jak należy. Zaufaj mi, tworzymy niezapomniane widowisko o niezwykłych walorach edukacyjnych. To wyjątkowa okazja, aby przekazać vulgus mobile odrobinę konkretnej wiedzy tak, by żaden z naszych gości nawet się nie zorientował.

Nora wciąż nie była do końca przekonana, ale nie powiedziała nic więcej.

Lipper podjął swój wywód: – Kiedy Senef przemówi, rabusie w przyływie paniki rzucą się na ziemię, ekrany holograficzne wrócą na swoje miejsce, zapalą się światła i nagle goście ujrzą grobowiec taki, jaki był przed przybyciem grabieżców. Będą otoczeni starannie przygotowaną ekspozycją muzealną. Brama się otworzy, a goście będą mogli zwiedzić komnatę pogrzebową, jakby nic się nie wydarzyło.

Menzies uniósł do palec wskazujący: – Ale uczynią to za wiedzą i przyzwoleniem Senefa, a przy okazji trochę się rozerwą. A teraz pytanie za milion dolarów: czy uda się wam skończyć wszystko na czas?

– Większość programów jest już w pełni sprawna i gotowa – odparł Lipper. – Urządzenia elektroniczne funkcjonują bez zarzutu. Powiedziałbym, że możemy rozpocząć ostateczne instalowanie i będziemy gotowi do testu alfa za cztery dni.

– Doskonale.

– A potem zaczniemy odpluskwanie.

Meznies przekrzywił głowę, na jego obliczu pojawił się pytający wyraz. – Odpluskwanie?

– W tym właśnie sęk. Z praktyki wiadomo, że proces wyszukiwania i usuwania wszelkich wirusów trwa trzy razy dłużej niż oryginalne programowanie.

– Osiem dni?

Lipper pokiwał głową zaniepokojony widokiem spochmurniałego oblicza Menziesa.

– Cztery plus osiem to dwanaście, czyli dwa dni przed galą z okazji otwarcia. Czy moglibyście zakończyć proces odpluskwania w pięć dni?

Coś w tonie Menziesa pozwalało przypuszczać, że było to nie tyle pytanie, ile raczej polecenie. Lippera trochę to przytłoczyło. Przełknął ślinę: to wszystko było szalone, będzie musiał jeszcze bardziej zwiększyć tempo prac. – Postaramy się.

– Świetnie. A teraz porozmawiajmy przez chwilę o otwarciu. Doktor Kelly zaproponowała, abyśmy odtworzyli pierwotną galę z roku 1872, a ja podpisuję się pod tym obiema rękami. Planujemy bankiet okraszony fragmentami arii operowych, po czym goście zostaną odprowadzeni do grobowca na nasze widowisko. Potem odbędzie się uroczysta kolacja.

– O jakiej liczbie gości mówimy? – zapytał Lipper.

– Około sześciuset osób.

– To oczywiste, że w grobowcu nie uda się pomieścić naraz sześciuset osób – rzekł Lipper. – Według moich obliczeń widowisko multimedialne trwające w sumie dwadzieścia minut mogłoby obejrzeć góra dwieście osób jednocześnie. Powiedzmy, że z okazji otwarcia podwyższylibyśmy liczbę osób do trzystu.

– Świetnie – mruknął Menzies. – Podzielimy ich na dwie grupy. W pierwszej rzecz jasna znajdą się osoby z górnej półki i same szychy: burmistrz, gubernator, senatorowie, kongresmani, kierownictwo muzeum, najznakomitsi mecenasi i gwiazdy filmowe. Przy dwóch pokazach uwiniemy się ze wszystkimi gośćmi w ciągu godziny. Tyle powinno im zająć obejrzenie naszej ekspozycji. Całkiem szybko, zważywszy na skądinąd sporą grupę osób. – Przeniósł wzrok na

DeMeo. – Teraz wszystko w waszych rękach. Nie może być mowy o jakichkolwiek pomyłkach. Wszystko zależy od tego, czy uda się wam przygotować na czas to niezwykle widowisko audiowizualne. Cztery dni plus pięć, w sumie dziewięć dni.

– Nie ma sprawy – rzekł DeMeo jak zawsze uśmiechnięty i pewny siebie; kompletny przygłup nadający się tylko do mocowania kabli.

Budzące niepokój przenikliwie niebieskie oczy przeniosły wzrok na Lippera. – A co pan powie, panie Lipper? – Damy radę.

– Miło mi to słyszeć. Liczę, że będziecie mnie informować na bieżąco o postępach prac?

Przytaknęli bezgłośnie.

Menzies spojrzął na zegarek. – Wybacz, Noro, ale muszę już iść. Spóźnię się na pociąg. Porozmawiamy później.

Menzies i kuratorzy wyszli; Lipper spojrzął na zegarek. – Lepiej już się zbierajmy, DeMeo. Chciałbym dziś dla odmiany położyć się spać przed czwartą nad ranem.

– A co z Darkmordem? – zapytał DeMeo. – Obiecałeś, że grupa wojowników będzie gotowa do ataku jeszcze dziś, przed północą.

Lipper skrzywił się i jęknął przeciągle. Cholera. Będą musieli zaatakować Zamczysko Mroku bez niego.

Kiedy Margo Green się obudziła, promienie popołudniowego słońca wpadały ukośnie przez okna Kliniki Faversham. Na zewnątrz, po błękitnym czystym niebie przesuwały się kłębiaste cumulusy. Od strony Hudsonu słychać było skrzeczenie wodnego ptactwa.

Ziewnęła, przeciągnęła się, po czym usiadła na łóżku. Zerknąwszy na zegarek, stwierdziła, że była za kwadrans jedenasta. Wkrótce powinna zjawić się pielęgniarka z filiżanką popołudniowej herbaty miętowej. Na blacie nocnego stolika zrobił się niezły bałagan – archiwalne egzemplarze „Historii Naturalnej”, powieść Tołstoja, przenośny magnetofon, laptop i kopie artykułów z „New York Timesa”. Sięgnęła po gazetę i rzuciła okiem na dział miejski. Może zdąży rozwiązać krzyżówkę, zanim zjawi się Phyllis z herbatą.

Teraz, kiedy jej stan już się ustabilizował, rekonwalescencja w jej przypadku zmieniła się w swoistą rutynę. Stwierdziła, że nie może się doczekać pogawędki z Phyllis. Prawie nie miewała gości – nikt jej nie odwiedzał z wyjątkiem jej matki i kapitan Laury Hayward – a jedyne, czego jej obecnie brakowało poza pracą zawodową, to właśnie towarzystwa.

Sięgnąwszy po ołówek, zabrała się do rozwiązywania krzyżówki. Była to jednak jolka z nieoznakowanymi polami i niejasnymi, wieloznacznymi hasłami, które trzeba było dopasować w odpowiednie kratki, a na to była psychicznie zbyt zmęczona. Po

kilku minutach odłożyła gazetę na bok. Powróciła myślami do ostatniej wizyty Hayward i towarzyszących temu zdarzeniu nieprzyjemnych wspomnień.

Była zła na siebie, że tak mgliście pamiętała atak, którego padła ofiarą. W jej umyśle pozostały jedynie drobne fragmenty i niepowiązane ze sobą obrazy jak z najgorszego koszmaru, ale temu wszystkiemu brakowało spójności. Znajdowała się na terenie wystawy „Święte wizerunki”, sprawdzając usytuowanie rytualnych masek rdzennych Amerykanów. W pewnym momencie wyczuła czyjaś obecność; prócz niej w sali był ktoś jeszcze, czał się w ciemnościach. Śledził ją. Tropił. Osaczał. Jak przez mgłę pamiętała, że próbowała się bronić nożem introligatorskim. Czy zraniła swego prześladowcę? Najmniej pamiętała sam atak – ot po prostu nagły palący ból w plecach. I to wszystko – aż do chwili, kiedy przebudziła się w tym pokoju.

Złożyła gazetę na pół i odłożyła na blat stolika. Najbardziej niepokoiło ją, że choć wiedziała, iż napastnik do niej przemówił, nie zapamiętała z tego ani słowa. Zupełnie jakby pochłonęła ją ciemność! Zapamiętała dziwne różnobarwne oczy mężczyzny i jego upiorny suchy śmiech. Zaczęła się wiercić niespokojnie na łóżku, zastanawiając się, gdzie podziała się Phyllis, i wspominając wizytę Hayward. Kapitan zadała jej mnóstwo pytań na temat agenta Pendergasta i jego brata noszącego niezwykle imię Diogenes. To wszystko wydawało się takie dziwne: Margo nie widziała Pendergasta od lat i nie wiedziała nawet, że agent miał brata.

Dopiero teraz drzwi do jej pokoju otwarły się i weszła Phyllis. Nie niosła jednak tacy z herbatą, a jej przyjazne oblicze przeppełniał wyraz niewzruszonej powagi.

– Masz gościa, Margo – oznajmiła.

Margo ledwie zdążyła zareagować na jej słowa, gdy w drzwiach

pojawiła się znajoma postać – szef jej wydziału w muzeum, doktor Hugo Menzies. Jak zawsze był ubrany z nienaganną elegancją, siwe włosy miał zaczesane do tyłu, jego żywe niebieskie oczy przez moment lustrowały wnętrze pokoju, zanim skierowały wzrok na nią.

– Margo! – zawołał, postępując naprzód, jego patrycjuszowskie oblicze rozpromienił uśmiech. – Jak się cieszę, że cię widzę.

– I wzajemnie, doktorze Menzies – odparła. Jej zdziwienie wywołane przybyciem gościa bardzo szybko zastąpiło zażenowanie. Nie była odpowiednio ubrana, aby przyjąć swego przełożonego.

Menzies jednak, jakby wyczuwając jej dyskomfort, błyskawicznie rozładował trudną sytuację. Podziękował Phyllis, zaczekał, aż pielęgniarka wyjdzie z pokoju, po czym usiadł na krześle, obok łóżka.

– Cóż za piękny pokój! – wykrzyknął. – W dodatku z uroczym widokiem na dolinę Hudsonu. Światło tutaj nie ma sobie równego, może tylko z wyjątkiem Wenecji; wydaje mi się, że to właśnie dlatego miejsce to przyciągnęło tak wielu znakomitych malarzy.

– Mam tu bardzo dobrą opiekę.

– I tak być powinno. Wiesz, moja droga, bardzo się o ciebie martwiłem. Podobnie jak wszyscy z wydziału antropologii. Nie możemy się już doczekać, kiedy do nas wrócisz.

– Ja również.

– Miejsce twojego pobytu zostało utajnione. Do wczoraj nie wiedziałem o istnieniu tego miejsca. Ile się musiałem natrudzić, aby do ciebie dotrzeć; gdyby nie mój urok osobisty, pewnie by mi się to nie udało.

Uśmiechnął się.

Margo również odpowiedziała uśmiechem. Jeżeli ktokolwiek mógł dostać się tu, wykorzystując swój wdzięk i charyzmę, to właśnie Menzies. Poszczyliło się jej, że to on był jej przełożonym; wielu kustoszów traktowało swoich podwładnych jak pospólstwo, podczas

gdy sami zachowywali się jak próżni i zarozumiali królowie-filozofowie. Menzies był w tej kwestii wyjątkiem – życzliwy, zawsze uśmiechnięty, miły dla personelu, otwarty na sugestie. To prawda, że nie mogła doczekać się, kiedy opuści to miejsce i wróci do pracy. „Muzeologia”, periodyk, który redagowała, pod jej nieobecność pozostawała bez dozoru. Gdyby tylko nie męczyła się tak szybko...

Zdała sobie sprawę, że trochę się rozkojarzyła. Otrząsnęła się z chwilowego zamyślenia i spojrzała na Menziesia.

– Przepraszam – rzekła. – Wciąż jeszcze trudno mi się skupić.

– To oczywiste – odparł. – Może właśnie dlatego to wciąż jest niezbędne. Ruchem głowy wskazał stojak z kroplówką obok łóżka.

– Zdaniem lekarza to tylko dodatkowy środek ostrożności. Uzupełniłam już niedobór płynów w organizmie.

– Bardzo dobrze, doskonale. Utrata krwi musiała wywołać u ciebie nie lada wstrząs. Tyle krwi, Margo. Nie bez przyczyny nazywa się ją życiodajnym płynem, nie uważasz?

Silny dreszcz przeszył całe ciało Margo, jakby poraził ją prąd. Słabość i uczucie odrętwienia prysły w jednej chwili. Nagle się rozbudziła. – Co pan powiedział?

– Pytałem, czy wiadomo już, kiedy będziesz mogła opuścić tę placówkę?

Margo rozluźniła się. – Lekarze są bardzo zadowoleni z tego, jak szybko wracam do zdrowia. Ale poleżę tu jeszcze ze dwa, może trzy tygodnie.

– A potem rekonwalescencja w domowych pieleszach, jak przypuszczam?

– Tak. Doktor Winokur, mój lekarz prowadzący, powiedział, że minie jeszcze co najmniej miesiąc, zanim będę mogła wrócić do pracy.

– On to wie najlepiej.

Głos Menziesa był cichy i kojący, Margo znów poczuła się senna. Niemal nieświadomie ziewnęła.

– Och – jęknęła, ponownie czując zażenowanie. – Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Nie chcę zanadto przedłużać mojej wizyty. Już niedługo sobie pójdę. Jesteś zmęczona, Margo?

Uśmiechnęła się. – Troszeczkę.

– Dobrze sypiasz?

– Tak.

– To świetnie. Martwiłem się, że mogłabyś miewać koszmary. Menzies obejrzał się przez ramię w stronę otwartych drzwi i widocznego przez nie korytarza.

– Nie, raczej nie.

– Brawo. Cóż za odwaga!

I znów to samo elektryzujące doznanie. Głos Menziesa zmienił się, pobrzmiwało w nim coś obcego i znajomego zarazem. – Doktorze Menzies – powiedziała i ponownie usiadła na łóżku.

– Dobrze, już dobrze, ułóż się wygodnie i odpocznij. – Delikatnie ujmując jej ramię, zmusił ją, aby znowu się położyła. – Cieszę się, że nie masz problemów ze snem. Mało kto jest w stanie tak szybko zapomnieć o tak traumatycznych przeżyciach, jakie masz za sobą.

– To nie tak – rzekła. – Wcale o tym nie zapomniałam. Powiedziałabym raczej, że nie bardzo pamiętam, co się właściwie wydarzyło.

Menzies uspokajającym gestem dotknął dłonią jej splecionych rąk.

– To dobrze – powiedział, wsuwając drugą rękę za pazuchę. Margo poczuła dziwny, bliżej niesprecyzowany niepokój. Była po prostu zmęczona, nic więcej. Choć bardzo lubiła Menziesa i cieszyła się z jego wizyty, która przerwała rutynę i monotonię kolejnych dni, potrzebowała odpoczynku.

– Bądź co bądź nikt nie chce takich wspomnień. Szmerów w pustej

sali muzealnej. Wrażenia, że ktoś cię śledzi. Odgłosu niewidzialnych kroków, trzasku desek spadających na podłogę. I nagłej ciemności.

Margo poczuła, że wzbiera w niej niepohamowana panika. Spojrzała na Menzies, nie mogąc ogarnąć myślami sensu wypowiedzianych przez niego słów.

Antropolog wciąż mówił cichym, kojącym głosem.

– Śmiechu w ciemnościach. A potem świstu opadającego noża... Nie, Margo... Nikt nie chce takich wspomnień.

I wtedy Menzies wybuchnął śmiechem. Ale z jego ust dobył się głos kogoś innego. Całkiem inny, obcy głos – upiorny suchy śmiech.

Szok, jaki wtedy przeżyła, w jednej chwili sprawił, że otrząsnęła się z narastającego letargu. Nie. Och, nie. To niemożliwe...

Menzies siedział na krześle, przyglądając się jej z uwagą, jakby próbował oszacować, jaki skutek wywarły jego słowa. A potem mrugnął.

Margo próbowała się szarpnąć, otworzyła usta do krzyku. I w tej samej chwili uczucie zmęczenia spotęgowało się, unieruchamiając jej kończyny, odbierając mowę i pozbawiając możliwości wykonania jakiegokolwiek, choćby najdrobniejszego ruchu. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że ów letarg nie był normalnym doznaniem, że coś się z nią działo. Menzies puścił jej dłonie, a Margo ze zgrozą spostrzegła, co trzymał w drugiej ręce, którą do tej pory starał się – skądinąd skutecznie – zasłaniać. W jego dłoni tkwiła nieduża strzykawka; igła wkłuta była w przewód kroplówki przy jej nadgarstku, a naciśnięcie kciukiem tłoczka wprowadziło do żył Margo bezbarwny płyn. Patrzyła na niego, jak wyjął igłę z rurki kroplówki, po czym płynnym ruchem włożył strzykawkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Moja droga Margo – rzekł zmienionym głosem, siadając wygodnie na krześle. – Czy naprawdę myślałaś, że już mnie więcej nie zobaczysz?

Przepełniły ją panika i nieprzeparta wola życia, pragnienie przetrwania, ale nie była w stanie oprzeć się działaniu narkotyku, który rozchodził się w żyłach, odbierając jej głos i władzę w kończynach. Menzies poderwał się z krzesła, delikatnie dotknął palcem wskazującym jej warg i wyszeptał: – Pora spać, Margo...

Nadciągnęła zniechęcona ciemność przesłaniająca wzrok i otulająca myśli. Panika, szok i niedowierzanie zepchnięte zostały na plan dalszy, kiedy prosta czynność oddychania stała się dla niej walką o przeżycie. Gdy tak leżała całkiem sparaliżowana, Margo zauważyła, jak Menzies odwraca się i wybiega z pokoju, nie bez trudu usłyszała, jak podniesionym głosem wzywa pielęgniarkę. W końcu jednak również jego głos rozplynął się w ogłuszającym pustym ryku, jaki wypełnił jej czaszkę, a potem oładnęła ją ciemność i przestała odczuwać cokolwiek.

18

Cztery dni po spotkaniu z Menziesem instalacja urządzeń audiowizualnych została zakończona i przygotowana do usunięcia wirusów, nocą zaś przeciągnięto ostatnie kable i wszystko dokładnie zamocowano. Jay Lipper, kucając przy zakurzonej dziurze nad podłogą w Sali Rydwanów, wsłuchiwał się w rozmaite dźwięki dochodzące z otworu: stękanie, ciężkie sapanie, zduszone przekleństwa. Już trzecią noc z rzędu pracowali nad instalacją nieomal do białego rana. Miał już tego serdecznie dość. Ekspozycja dosłownie i w przenośni przejęła kontrolę nad jego życiem. Wszyscy jego współgracze z Krainy Darkmordu odwrócili się od niego i kontynuowali już bez Lippera grę online. Do tej pory na pewno przeszli o poziom lub dwa wyżej, a on został w tyle, osamotniony i bezradny.

– Masz go? – z otworu dobiegł zduszony głos DeMeo. Lipper opuścił wzrok, by ujrzeć wyłaniającą się z ciemności końcówkę kabla światłowodowego. Schwycił przewód. – Mam.

Przeciągnął go na swoją stronę, po czym zaczekał, aż dołączy do niego DeMeo. Niebawem zwałista postać, słabo oświetlona w mrocznych wnętrzach grobowca, sapiąc i dysząc, pojawiła się w przejściu ze zwojem kabla na muskularnym ramieniu. Lipper pokiwał mu końcówką kabla, a DeMeo podłączył ją do PowerBooka stojącego na stole opodal. Później, kiedy wszystkie artefakty znajdą

się na swoich miejscach, laptop zostanie skrzętnie ukryty za złoconą malowaną skrzynią. Teraz jednak stał na widoku, w miejscu, gdzie mieli do niego swobodny dostęp.

DeMeo otrząsnął kurz z ud, uśmiechnął się, po czym uniósł dłoń. – Przybij piątkę, brachu. Zrobiliśmy to.

Lipper zignorował ten gest; nie był w stanie ukryć swego rozdrażnienia. Miał już serdecznie dość DeMeo. Dwaj elektrycy z muzeum uparli się, że o północy robią fajrant i wracają do domu, i w rezultacie musiał teraz pełzać na czworakach, pełniąc funkcję pomocnika tego głąba DeMeo.

– Czeka nas huk roboty – odparł posepnym tonem.

DeMeo opuścił rękę. – Tia, ale przynajmniej załatwiliśmy sprawę z okablowaniem, oprogramowanie jest gotowe, a my robimy swoje i to zgodnie z harmonogramem. Czy możesz chcieć czegoś więcej, Jayce?

Lipper sięgnął ręką i włączył komputer, uruchamiając system operacyjny. Miał, niejako wbrew sobie, nadzieję, że komputer wychwyci sieć i podłączone do niej urządzenie, ale wiedział, że tak się nie stanie. To nigdy nie było takie proste, a poza tym to DeMeo konfigurował sieć. W tej sytuacji wszystko mogło się zdarzyć. Komputer zgłosił gotowość do pracy, a Lipper z niepokojem zaczął zmusne sprawdzanie dwóch tuzinów urządzeń. Jeśli komputer nie wychwytywał któregoś z nich, należało ustalić którego, a to było dość czasochłonną procedurą. Miałby szczęście, gdyby podczas pierwszego uruchomienia niezauważonych zostało około połowy przyłączy. Tak zwykle bywało.

Kiedy jednak wędrował myszką od jednego adresu sieciowego do drugiego, ogarnęło go uczucie niedowierzania. Wszystko było na swoim miejscu. Sprawdził dokładnie całą listę. To wydawało się niemożliwe, a jednak tak właśnie było. Cała sieć była widoczna jak na

dłoni, w pełni sprawna i funkcjonalna. Wszystkie urządzenia, cała aparatura audiowizualna reagowała na komendy i wydawała się idealnie zsynchronizowana. Zupełnie jakby ktoś wyczyścił już wszelkie potencjalne błędy i niedociągnięcia.

Lipper ponownie przejrzał listę – jednak rezultat był taki sam. Niedowierzenie ustąpiło miejsca ostrożnemu zadowoleniu: nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek, mając do czynienia z tak trudną i złożoną instalacją, udało mu się ją uruchomić bez najmniejszych uchybień już za pierwszym razem. I nie chodziło tylko o sieć – cały projekt funkcjonował bez zarzutu, wszystko chodziło jak w zegarku. Kosztowało to wiele dni, zdawałoby się niemające końca mordegi, ale w rzeczywistości trwałoby to znacznie dłużej. Na pewno o wiele dłużej. Wzjął głęboki oddech.

– No i jak? – spytał DeMeo, stając za jego plecami, aby zerknąć na niewielki ekran. Lipper poczuł przesycony wonią cebuli oddech muskularnego półgłówka.

– Wygląda na to, że nieźle – odparł Lipper.

– Miodzio! – zawołał DeMeo i wydał z siebie przeciągły okrzyk triumfu, który odbił się gromkim echem we wnętrzu grobowca i omal nie rozsadził Lipperowi bębenka w prawym uchu. – Jestem najlepszy! Jestem kurde sieciowym guru! – Zaczął tańczyć po całym pomieszczeniu, wymachując dziko rękoma w górze. Po chwili spojrzał na Lippera. – Przeprowadźmy próbę testową.

– Mam lepszy pomysł. Może poszedłbyś i kupił dla nas po pizzy? DeMeo patrzył na niego ze zdumieniem. – No co jest? Akurat teraz? Nie chcesz przeprowadzić próby alfa?

Oczywiście, że Lipper chciał wykonać próbę testową. Ale nie gdy DeMeo stał za nim, chuchając mu w kark, wrzeszcząc wprost do ucha i zachowując się jak skończony przygłup. Lipper chciał podziwiać swoje dzieło w ciszy i skupieniu. Potrzebował choć na chwilę uwolnić

się od DeMeo. Za wszelką cenę.

– Przeprowadzimy próbę, kiedy przyniesiesz pizzę. Ja stawiam. Patrzył, jak DeMeo rozważa tę propozycję.

– W porządku – rzekł DeMeo. – Jaką chcesz?

– Neapolitańską. I do tego dużą mrożoną herbatę.

– Ja wezmę dla siebie hawajską z podwójną porcją ananasa, szynką smażoną na miodzie i dodatkowym czosnkiem, a do tego dwa napoje dr Pepper.

Tylko ktoś tak tępy jak DeMeo mógł przypuszczać, że Lippera interesowało, jaką pizzę dla siebie wybierze. Lipper wyłuskał dwa dwudziestodolarowe banknoty i podał mu.

– Dzięki, brachu.

Patrzył, jak DeMeo wspina się ciężko po kamiennych schodach i znika w półmroku. Echo jego kroków powoli ucichło w oddali. Westchnął przeciągle w błogiej, z dawna oczekiwanej ciszy. Może w drodze powrotnej DeMeo wpadnie pod autobus.

Rozkoszując się tą przyjemną myślą, ponownie skupił wzrok na komputerowym panelu sterowania. Sprawdził kolejno wszystkie przyłącza i urządzenia peryferyjne, by upewnić się, że są aktywne i działają, i raz jeszcze się zdumiał, że każde z nich odpowiadało wręcz idealnie jak na zawołanie, tak jakby ktoś już wcześniej usunął wirusy z programu, ułatwiając mu zadanie. DeMeo, choć tępak i półgłówek, najwyraźniej zrobił co do niego należało, i co więcej, spisał się na medal.

Nagle znieruchomiał. Zmarszczył brwi. Ikona programu zaczęła podskakiwać gwałtownie w rogu ekranu. Nie wiedzieć czemu, urządzenia do efektów audiowizualnych włączyły się automatycznie, choć specjalnie zaprogramował je tak, by trzeba je było włączać po kolei, przynajmniej podczas testu alfa, kiedy Lipper zamierzał wejść w sekwencje kodowe i sprawdzić kolejno każdy moduł.

A więc jednak wystąpiła jakaś usterka. Rzecz jasna będzie musiał ją wykryć i usunąć, ale jeszcze nie teraz. Oprogramowanie zostało wprowadzone, urządzenia kontrolne były gotowe do pracy, ekrany znajdowały się na swoich miejscach, aparatura do wytwarzania mgły czekała już wypełniona. Właściwie czemu nie miałyby przeprowadzić próby testowej.

Wziął kolejny oddech, ciesząc się ciszą i spokojem, jego palec wskazujący zawisł w powietrzu nad klawiszem return, szykując się do realizacji programu.

Mimo to wciąż się wahał. Znieruchomiał na chwilę. Jakiś dźwięk dobiegł go z odleglejszej części grobowca: Sali Prawdy, a może nawet z wnętrza samej komnaty pogrzebowej. To nie mógł być DeMeo, gdyż tamten powinien pojawić się z przeciwnej strony. A biorąc pod uwagę przygotowanie pizzy, nie zjawi się wcześniej niż za pół godziny. Kto wie, jeśli Lipperowi sprzyjało szczęście, tamten wróci dopiero za czterdzieści minut.

Może to strażnik albo ktoś taki.

Dźwięk powtórzył się: dziwny, suchy ukradkowy szmer. To na pewno nie mógł być strażnik. Może mysz?

Podniósł się z wahaniem. To zapewne nic takiego. Chryste, te plotki o klątwie rozpowszechniane wśród strażników zaczęły go niepokoić. Poczuł na plecach lodowate ciarki. Ale to najprawdopodobniej tylko mysz. Bądź co bądź w starych egipskich galeriach było sporo myszy, stanowiły prawdziwą plagę, do tego stopnia, że trzeba było zastawiać na nie pułapki. Jeśli jednak gryzonie w jakiś sposób dostały się do grobowca – może przez jeden z otworów na przewody, które ponownie przewiercił w ścianie DeMeo – wystarczyłoby, żeby jeden z nich chlasnął siekaczami któryś z kabli, a cały system diabli wezmą. Opóźnienie, jakie spowodowałby tego rodzaju incydent – konieczność sprawdzenia każdego kolejnego przewodu, i to cał po calu – było nie

do pomyślenia. Straciliby w ten sposób wiele cennych godzin, a może nawet dni.

Pozostawiwszy przyciemnione światło, Lipper wziął kurtkę DeMeo – aby zarzucić ją na mysz, jeśli uda mu się ją znaleźć – po czym wstał i wszedł cichcem do korytarza grobowca, zmierzając w stronę komory grzebalnej.

Teddy DeMeo sięgnął po kartę magnetyczną i przesunął nią przez nowo zainstalowany czytnik w drzwiach wiodących do galerii egipskiej, usiłując nie upuścić przy tym trzymany w dłoni pudełek z pizzą. Te cholerne placki były już zimne; strażnicy przy wejściu nie spieszyli się, aby go przepuścić, choć przecież ci sami debile sprawdzali go, gdy opuszczał muzeum dwadzieścia pięć minut wcześniej. Ochrona? Niechaj Bóg ochroni nas przed takimi kretynami.

Drzwi do galerii egipskiej zamknęły się z cichym szeptem, a DeMeo ruszył dziarsko w głąb korytarza, skręcił do pawilonu i zdziwił się, ujrawszy przed sobą zamknięte drzwi do grobowca. W jego umyśle pojawiło się niejasne podejrzenie. Czyżby Lipper postanowił przeprowadzić próbę testową bez niego? Bardzo szybko odegnał od siebie tę myśl. Lipper, choć chimeryczny jak na artystę przystało i w dodatku piekielnie nerwowy, był porządnym i całkiem miłym facetem.

Sięgnął po kartę i przesunął nią przez otwór czytnika, by usłyszeć łoskot otwieranych zamków. Wciąż balansując z trzymany w jednym ręku pizzami i napojami, pchnął łokciem drzwi i uchyliwszy je, przestąpił próg; drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem.

Światło przyciemniono do poziomu pierwszego, tak jak po przeprowadzeniu próby testowej, i w umyśle DeMeo znowu zaczęły się kłębić niejasne podejrzenia.

– Hej, Jayce! – zawołał. – Pizza przyszła!

Jego głos rozbrzmiał donośnym echem i już po chwili ucichł.

– Jayce!

Zszedł po schodach, przeszedł wzdłuż korytarza i ponownie przystanął dopiero przy moście przerzuconym nad głęboką studnią.

– Jayce! Chodź na pizzę!

Nasłuchiwał, podczas gdy echo jego głosu ucichło w oddali. Lipper nie przeprowadziłby bez niego próby testowej, nie po tylu dniach, które tu spędzili, pracując wspólnie nad projektem. Nie był aż takim dupkiem. Zapewne założył słuchawki, sprawdzając ścieżkę dźwiękową lub coś w tym rodzaju. A może słuchał muzyki ze swego iPod'a; niekiedy umiłał sobie w ten sposób czas przy pracy. DeMeo przeszedł przez most i wszedł do ich głównego miejsca pracy w Sali Rydwanów. W tej samej chwili usłyszał dochodzący z daleka odgłos kroków. A przynajmniej wydawało mu się, że to był odgłos kroków. Towarzyszył temu dziwny głuchy stukot. Dobiegał z głębi grobowca, najprawdopodobniej z komnaty pogrzebowej.

– To ty, Jayce? – Po raz pierwszy DeMeo poczuł lekki niepokój. Odłożył pizzę na stolik i postąpił kilka kroków w stronę Sali Prawdy i znajdującej się obok komory grzebalnej.

Zwrócił uwagę, że było w niej dość ciemno; oświetlenie na poziomie pierwszym jak w pozostałej części grobowca. Prawdę mówiąc, panowały tam iście egipskie ciemności. Wrócił do stolika i spojrzał na komputer. Był włączony, oprogramowanie zostało sprawdzone i obecnie funkcjonowało w trybie czuwania. Przesunął myszką na ikonę oświetlenia, próbując sobie przypomnieć, jak regulowało się jego natężenie. Lipper robił to setki razy, ale on nigdy nie zwracał na to większej uwagi. W otwartym okienku pojawiło się kilka suwaków – kliknął ten oznaczony podpisem Sala Rydwanów.

Chryste! Światła przygasły, sprawiając, że niepokojące egipskie ciemności i kamienne posągi pograżyły się w jeszcze większym

półmroku. Błyskawicznie przesunął myszką suwak w drugą stronę i światła przybrały na sile. Zaraz potem zabrał się do oświetlenia w pozostałej części grobowca. Usłyszał głucho łupnięcie i odwrócił się gwałtownie. – Jayce?

Dźwięk z całą pewnością dochodził z komnaty pogrzebowej.

DeMeo zaśmiał się. – No chodź już, Jayce! Przyniosłem pizzę!

Znów ten dziwny odgłos. Szuuuur-łup. Szuuuur-łup. Zupełnie jakby ktoś lub coś szło powoli, powłócząc sztywną, bezwładną nogą.

– Zupełnie jak w Przekleństwie mumii. A to dobre, Jayce! Naprawdę świetne.

Bez odpowiedzi.

DeMeo, wciąż chichocząc, odwrócił się od komputera i przeszedł przez Salę Prawdy. Starał się nie dostrzegać przykucniętej postaci Ammut, jakiegoś egipskiego bóstwa, pożeracza serc, z krokodylim łbem i lwią grzywą, które przerażało go bardziej niż wszystko inne w tym ponurym grobowcu.

Przystanął przed wejściem do komnaty pogrzebowej. – Zabawny z ciebie gość, Jayce.

Spodziewał się usłyszeć śmiech Lippera i ujrzeć chudego jak patyk technika wyłaniającego się zza którejś z kolumn. Ale tak się nie stało. Cisza była niezmacona. Przełknąwszy nerwowo ślinę, przestąpił próg i rozejrzał się dokoła.

Nic. W innych przylegających do tej komnaty komorach panowała nieprzenikniona ciemność; nie były podłączone do komputerowego systemu oświetlenia. Lipper musiał ukrywać się w jednym z tych pomieszczeń, czekając na dogodny moment, aby wyskoczyć stamtąd z krzykiem i napędzić mu stracha.

– Ej, Jayce, daj spokój. Pizze już wystygły i z każdą chwilą stają się coraz zimniejsze.

Nagle światła zgasły zupełnie.

– Hej!

DeMeo odwrócił się, ale komnata pogrzebowa przylegała do Sali Prawdy i nie było stamtąd widać Sali Rydwanów ani kojącej niebieskawej poświaty ekranu ciekłokrystalicznego. Znów się obrócił, usłyszawszy dziwne powłóczące kroki z tyłu za sobą – wyraźnie się przybliżały.

– Jay, to nie jest zabawne.

Sięgnął po latarkę – ale rzecz jasna nie miał jej przy sobie – została na stoliku, w Sali Rydwanów. Dlaczego nie widział stąd blasku ekranu komputera? Czyżby padło całe zasilanie? Ciemność była nieprzenikniona.

– Ejże, Jay skończ z tymi bzdurami. Mówię serio.

Zaczął się wycofywać, w ciemnościach napotkał jedną z kolumn, macał po omacku dłońmi, aby ją ominąć. Kroki się zbliżały. Szuuuur-łup. Szuuuur-łup.

– Jay, daj spokój. Odpuść sobie. To już przestaje być śmieszne. Wtem gdzieś blisko, znacznie bliżej, niż mógł się spodziewać, dał się słyszeć chrapliwy szept oddechu wypływającego ze schrypniętego gardła. Charkot brzmiący prawie jak syk, przepełniony niepohamowaną nienawiścią.

– Jezu! – DeMeo postąpił krok naprzód i machnął zaciśniętą pięścią na odlew, trafiając w coś, co natychmiast wycofało się w mrok przy wtórze kolejnego wężowego syku.

– Przestań już! Przestań!

Równocześnie usłyszał i poczuł, że coś rzuciło się na niego z przeraźliwym skrzeczeniem. Próbował uchylić się w bok, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy nagle poczuł wyjątkowo silny cios. Pałący żar przeszył jego klatkę piersiową. Runął do tyłu z głośnym krzykiem, wymachując rozpaczliwie rękami, a gdy wylądował na wznak na podłodze, coś ciężkiego i zimnego jak lód oparło się na jego szyi

i zaczęło napierać na nią całym, zaskakująco sporym ciężarem. Wymachiwał rozpaczliwie obiema rękami, aż nagle usłyszał, jak coś w jego szyi chrupnęło i pękło; przed jego oczami rozbłysła feeria oślepiającego światła w kolorze uryny, a potem nie było już nic.

Olbrzymia wytworna biblioteka w rezydencji agenta Pendergasta przy Riverside Drive była ostatnim pomieszczeniem, które ktoś mógłby określić mianem ciasnego i zagraconego. A jednak, jak ponuro skonstatował D'Agosta tego wieczoru, nie sposób było znaleźć bardziej adekwatnych epitetów. Na stołach, krzesłach i podłodze walały się plany i schematy. W pomieszczeniu rozstawiono też pół tuzina sztalug i tablic, na których rozwieszono mapy, projekty oraz wykresy dróg prowadzących do środka i na zewnątrz. Wyniki wstępnego rekonesansu zakładu karnego, przeprowadzonego kilka nocy wcześniej, zostały obecnie zestawione z wynikami zdalnej inwigilacji dokonanej z użyciem najnowocześniejszej technologii szpiegowskiej, w tym fotografii satelitarnej w częstotliwościach radarowych i podczerwieni. Pod jedną ze ścian stały kartonowe pudła wypełnione po brzegi wydrukami zawierającymi dane wydobyte podczas sondowania sieci komputerowej zakładu penitencjarnego Herkmoor i zdjęciami lotniczymi całego kompleksu więzienia.

Pośrodku tego w gruncie rzeczy uporządkowanego chaosu siedział na swoim wózku inwalidzkim Eli Glinn i mówił do zebranych jak zawsze cichym, nieomal monotonnym głosem. Rozpoczął spotkanie od przeraźliwie szczegółowej analizy architektury zakładu karnego Herkmoor i środków bezpieczeństwa, jakie w nim zastosowano. D'Agosty nie trzeba było przekonywać – jeśli istniało jakieś więzienie,

z którego nie sposób uciec, było nim właśnie Herkmoor. Do staroświeckich zabezpieczeń w rodzaju klasycznych wieżyczek strażniczych i potrójnego ogrodzenia otaczającego cały kompleks penitencjarny dołączono najnowsze wynalazki, takie jak laserowe „kratownice” przy każdym z wyjść, setki kamer cyfrowych oraz sieć pasywnych urządzeń nasłuchowych wprawionych w ściany i w ziemię, gotowych wychwycić każdy dźwięk, od odgłosów kopania, po ciche skradające się kroki. Każdy z więźniów musiał nosić na kostce bransoletę z urządzeniem GPS, które przekazywało dane o miejscu jego pobytu do centralnego ośrodka dowodzenia. Gdyby bransoletę przecięto, natychmiast włączyłby się alarm, który uruchomiłby automatyczną blokadę całego kompleksu więzienia.

Zdaniem D’Agosty Herkmoor było nie do zdobycia.

Glinn przeszedł do następnego etapu w opracowywanym planie ucieczki. I właśnie to wzmagало niepokój D’Agosty. Nie tylko sam pomysł wydawał się prostacki i niedorzeczny, lecz co gorsza, wyglądało na to, że to właśnie on – D’Agosta – miał go zrealizować, w dodatku w pojedynkę.

Rozejrzał się dokoła po całej bibliotece, czekając niecierpliwie, aż Glinn skończy. Wren zjawił się wcześniej tego wieczoru, przywoząc zestaw planów architektonicznych więzienia „wypożyczonych” z tajnego działu danych nowojorskiej Biblioteki Publicznej, a teraz krążył w pobliżu Constance Greene. Z błyszczącymi oczami i niemal przezroczystą skórą mężczyzna ten wyglądał jak istota żyjąca w mrokach głębokich jaskiń; był jeszcze bledszy niż agent Pendergast, choć wydawało się to niemożliwe.

Wzrok D’Agosty padł nagle na Constance. Siedziała przy jednym z bocznych stolików, naprzeciwko Wrena, ze stosem książek przed sobą; słuchała uważnie Glinna i sporządzała notatki. Miała na sobie prostą czarną sukienkę z rzędem małych perłowych guziczków z tyłu

ciągnących się od połowy pleców aż do szyi. D'Agosta zastanowił się przez chwilę, kto pomógł jej pozapinać te guziczki. Kilka razy przyłapał ją na tym, że palcami jednej dłoni głaskała delikatnie drugą albo pogrążona w zamyśleniu wpatrywała się w ogień buzujący w kominku. Prawdopodobnie podchodzi do tego planu równie sceptycznie jak ja, pomyślał. Gdy tak się rozglądał, lustrując wzrokiem ich mały czteroosobowy zespół – szofera Proctora z bliżej niewiadomych przyczyn zabrakło na spotkaniu – nie mógł wyobrazić sobie gorzej dobranej grupki. Tak naprawdę nigdy nie lubił Glinna, jego nieposkromionej arogancji, i w głębi duszy zastanawiał się, czy mężczyzna ów nie znajdzie w więzieniu Herkmoor godnego siebie przeciwnika.

Prowadzony jednostajnym monotonnym głosem monolog Glinna ucichł na moment, gdy mężczyzna na wózku przeniósł wzrok w stronę D'Agosty.

– Czy ma pan jakieś pytania, poruczniku, a może chciałby pan coś dodać?

– Owszem, moją opinię na ten temat. Pański plan jest kompletnie szalony.

– Może powinienem sformułować moje pytanie inaczej. Czy chciałby pan dodać coś istotnego do tego, co przed chwilą powiedziałem?

– Sądzi pan, że mogę ot tak po prostu wejść tam, zrobić z siebie pośmiewisko i wydostać się stamtąd bez szwanku? Mówimy tu o Herkmoor. Będę miał szczęście, jeśli nie trafię za kratki i nie wyląduję w celi przez ścianę z Pendergastem.

Wyraz twarzy Glinna nie zmienił się. – Dopóki będzie się pan trzymał scenariusza, nie powinno być żadnych problemów i wyjdzie pan z tego cało. Wszystko zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Wiemy dokładnie, jak strażnicy i personel więzienny

zareagują na pański ruch. – Glinn nagle się uśmiechnął, jego wąskie wargi rozciągnęły się w osobliwym grymasie. – Widzi pan, właśnie to stanowi największą, fatalną wręcz słabość Herkmoor. To oraz bransolety GPS, które wskazują obecność każdego osadzonego w całym więzieniu. Wystarczy jedno naciśnięcie klawisza... doprawdy wyjątkowo kretyński wynalazek.

– Jeśli tam wejdę i urządzę widowisko... Czy to nie obudzi ich czujności?

– Nie, jeżeli będzie pan postępował według scenariusza. Tylko pan może uzyskać decydujące dla całej operacji informacje. No i tylko pan może wykonać niezbędne dla naszego planu czynności wstępne. Bez pana nam się nie uda.

– O jakich czynnościach wstępnych mowa?

– Zaraz do tego dojdę.

D'Agosta poczuł, że narasta w nim rozdrażnienie. – Proszę wybaczyć, ale całe to pańskie planowanie będzie warte tyle co zeszłoroczny śnieg, kiedy już znajdę się za tymi murami. To realny świat, a ludzie bywają nieprzewidywalni. Nie może pan wiedzieć, co zrobią tamci.

Glinn spojrzał na niego niewzruszonym wzrokiem. – Panie poruczniku, niestety nie zgadzam się z panem. Tak się składa, że wiem, iż ludzie są przeraźliwie wręcz przewidywalni. Zwłaszcza w zakładzie takim jak Herkmoor, gdzie zasady zachowań są w najdrobniejszych szczegółach określone ściśle przestrzeganyymi, surowymi przepisami. Plan może się panu wydawać prosty, a nawet głupi. Ale na tym właśnie opiera się jego moc.

– Tylko wpakuję się przez to w jeszcze większe bagno niż to, w którym tkwię teraz.

Wyrzuciwszy z siebie te gorzkie słowa, zerknął na Constance. Ale młoda kobieta wpatrywała się dziwnymi oczami w płomienie

i zdawała się nie słyszeć całej tej rozmowy.

– My nie ponosimy porażek – powiedział Glinn, zachowując niewzruszony spokój i obojętność. – Gwarantujemy sukces zgodnie z umową. Jedyne, co do pana należy, poruczniku, to postępować zgodnie z instrukcjami.

– Powiem panu, czego naprawdę nam trzeba. Pary oczu za murami. Nie powie mi pan, że żadnego z tych strażników nie udałoby się przekabacić, zaszantażować czy może przekupić. Chryste, więziennych klawiszów, o czym wiem z doświadczenia, dzieli zazwyczaj tylko jeden krok od zejścia na drogę przestępstwa.

– Nie tych klawiszów. Każda próba, jak pan to nazwał, przekabacenia któregoś z nich byłaby nader ryzykowna. – Glinn podjechał do jednego ze stołów. – Czy poczułby się pan lepiej, gdybym powiedział, że mamy kogoś za murami?

– Pewnie, że tak.

– Czy to wystarczy, aby zdecydował się pan na bezwarunkową współpracę i wyzbył wszelkich wątpliwości?

– Jeżeli tylko źródło jest wiarygodne, to tak.

– Ufam, że uzna pan nasze źródło za w pełni wiarygodne i bez zarzutu. – To rzekłszy, podniósł z blatu kawałek papieru i podał D’Agoście.

D’Agosta zerknął na świstek. Widniała na nim długa kolumna cyfr, każdej z nich przyporządkowane były odpowiednio dwie inne, najwyraźniej oznaczenia czasu.

– Co to ma być? – zapytał.

– Grafik patroli strażników na oddziale specjalnym, gdzie znajdują się izolatki, po zgaszeniu świateł, od 22 do 6 rano. A to tylko jedna z wielu użytecznych informacji, jakie do nas dotarły.

D’Agosta patrzył z niedowierzaniem. – Skąd pan to wytrzasnął, u licha?

Glinn uśmiechnął się, a przynajmniej D'Agosta przyjął grymas, jaki pojawił się przez mgnienie oka na ustach tamtego, za lekki uśmiech.

– Od naszego źródła za murami.

– A kim jest owo tajemnicze źródło, jeśli wolno mi zapytać?

– Zna go pan dobrze.

D'Agosta zdumiał się jeszcze bardziej. – Chyba to nie jest...?

– Tak. To agent specjalny Pendergast.

D'Agosta osunął się w fotelu. – Jak udało mu się przekazać te informacje?

Tym razem Glinn naprawdę się uśmiechnął. – Jak to, poruczniku, nie pamięta pan? Sam pan je nam przyniósł.

– Ja?

Glinn sięgnął za stół i wyciągnął plastikowe pudło. Zaglądając do środka, D'Agosta zdumiał się, ujrawszy śmieci, które zebrał podczas rekonesansu w pobliżu perymetru więzienia: opakowania po gumie do żucia, kawałki płótna, teraz starannie wysuszone, odprasowane i umieszczone w ochronnej folii. Przyglądając się ścinkom materiału, z najwyższym trudem zdołał dostrzec na nich ślady pisma.

– W celi Pendergasta, jak w większości starszych cel w Herkmoor, gdzie nie zainstalowano nowoczesnego systemu kanalizacji, znajduje się dawny kanał odpływowy. To, co tamtędy spływa, dociera do zlewiska tuż za więziennymi murami, a stamtąd do potoku Herkmoor. Pendergast pisze do nas grypsy na rozmaitych świstkach i śmieciach, po czym wrzuca je do kanału ściekowego i spłukuje wodą z umywalki, aby spłynęły z nią do potoku. Proste. Dowiedzieliśmy się o tym, ponieważ Departament Ochrony Środowiska oskarżył ostatnio Herkmoor o zanieczyszczanie wód potoku.

– A co z atramentem? Albo z przyborami piśmienniczymi? To pierwsze rzeczy, jakie mu zabrali.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, jak on to robi. Zapadła krótka chwila

ciszy.

– Ale wiedział pan, że on spróbuje się z nami skontaktować – rzekł półgłosem D’Agosta.

– Oczywiście.

D’Agosta musiał przyznać, że był pod dużym wrażeniem. – Gdyby tylko był jakiś sposób, aby przekazać informacje Pendergastowi.

W oczach Glinna rozbłysły iskierki rozbawienia. – Gdy tylko dowiedzieliśmy się, w której celi jest przetrzymywany, było to błahostką.

Zanim D’Agosta zdążył coś powiedzieć, w bibliotece rozległ się dziwny dźwięk, ciche popiskiwanie i szmery dochodzące od strony Constance. D’Agosta spojrzał na nią, by ujrzeć, jak podnosi z podłogi małą białą myszkę, która najwyraźniej musiała jej wypaść z kieszeni. Zaczęła uspokajać ją cichym szeptem i głaskać czule, po czym na powrót włożyła zwierzątko do kieszeni. Gdy wyczuła, że w bibliotece zapanowała cisza i spojrzenia wszystkich skierowały się na nią, uniosła wzrok i nagle się zaczerwieniła.

– Cóż za cudowne zwierzątko – zauważył po chwili Wren. – Nie wiedziałem, że lubisz myszy.

Constance uśmiechnęła się nerwowo.

– Skąd ją masz, moja droga? – ciągnął Wren podnieconym, pełnym napięcia głosem.

– Ja... ee... znalazłam ją w piwnicy.

– Naprawdę?

– Tak. Wśród zbiorów. Tam aż się roi od myszy.

– Wydaje się całkiem oswojona. A poza tym na wolności raczej nie spotyka się białych myszek.

– Może komuś uciekła – odparła z lekką irytacją w głosie i wstała. Jestem już zmęczona. Wybaczcie mi, ale się pożegnaj. Dobranoc.

Kiedy wyszła z pokoju, znów zapadła chwila ciszy, którą Glinn

przerwał, zniżając głos do szeptu: – W tych grypsach znajdowała się jeszcze jedna wiadomość. Bardzo pilna, nie dotycząca sprawy, którą się obecnie zajmujemy.

– A czego?

– Nie czego, lecz kogo. Jej. Prosił, aby pan, panie Wren, czuwał nad nią za dnia, oczywiście pomijając czas, jaki przeznaczają pan na sen. A nocą, gdy wychodzi pan do biblioteki, niech pan sprawdzi, czy dom jest odpowiednio pozamykany i zabezpieczony i czy ona na pewno jest w środku.

Wren wyglądał na zadowolonego. – Oczywiście, jasne, że tak! Z wielką chęcią.

Glinn przeniósł wzrok na D'Agostę. – Pomimo iż mieszka pan w tym domu, prosił, aby od czasu do czasu zaglądał pan tu w godzinach pracy i sprawdzał, czy wszystko z nią w porządku.

– Wydaje się bardzo zatroskany.

– Jeszcze jak. – Glinn przerwał, wysunął szufladę, po czym zaczął wyciągać z niej różne przedmioty i układać na blacie biurka: piersiówkę z whisky, flash drive do komputera, rolkę taśmy klejącej, zwinięty arkusz mylaru, kapsułkę z brązowym płynem, strzykawkę, niewielkie cęgi do cięcia drutu, pióro i kartę kredytową.

– A teraz, poruczniku, zajmiemy się szczegółami czynności wstępnych, które spodziewam się, że wykona pan dla nas, kiedy już znajdzie się pan za bramą więzienia Herkmoor...

Później, kiedy mapy, pudła i plany zostały wyniesione z biblioteki i gdy D'Agosta pożegnał się z Glinnem i Wrenem przy frontowych drzwiach rezydencji, stary bibliotekarz poprosił go na stronę.

– Czy mógłby pan poświęcić mi chwilę? – zapytał, ciągnąc D'Agostę za rękaw.

– Oczywiście.

Wren nachylił się ku niemu, jakby chciał powierzyć mu ważny

sekret.

– Poruczniku, nie zna pan, jak mi nie mam, szczegółów dotyczących przeszłości Constance. Pozwolę sobie powiedzieć tylko, że są one, delikatnie mówiąc, niezwykle.

D’Agosta zawahał się, zaskoczony wyrazem ożywienia w oczach tego dziwnego mężczyzny. – Słucham dalej.

– Ja znam Constance bardzo dobrze. To ja odnalazłem ją w tym domu, gdzie się ukrywała. Zawsze była nieskazitelnie uczciwa aż do bólu. Ale dziś po raz pierwszy jawnie skłamała.

– Chodzi o tę białą myszkę?

Wren pokiwał głową. – Nie mam pojęcia, co to oznacza, ale jedno jest pewne: ta osóbką wpakowała się w jakąś kabałę. To emocjonalny domek z kart, poruczniku, który tylko czeka na pierwszy podmuch wiatru.

– Dziękuję za tę informację, panie Wren. Będę tu zaglądał tak często, jak tylko będę mógł.

Wren wychwycił jego spojrzenie i przez chwilę przyglądał mu się z niewzruszoną powagą i przejęciem. Wreszcie pokiwał głową, uścisnął dłoń D’Agosty chudymi kościstymi palcami i rozplynał się w mroźnych ciemnościach nocy.

20

Więzień znany jako A siedział na pryczy w celi numer 44 znajdującej się w bloku 3 na Oddziale Penitencjarnym dla Szczególnie Groźnych Przestępców przed Postępowaniem Procesowym zakładu karnego o zastrzonym rygorze Herkmoor, zwanym potocznie czarną dziurą. Była to iście spartańska izolatka, o rozmiarach osiem na dziesięć stóp, ze świeżo pobielonymi ścianami, cementową posadzką z otworem kanalizacyjnym pośrodku, sedesem w kącie, umywalką, grzejnikiem i wąską metalową pryczą. Jedynym źródłem światła była wpuszczona w sufit chroniona metalową siatką jarzeniówka. Nie było włącznika, zapalała się o szóstej rano i gasła o dwudziestej drugiej. Wysoko, w przeciwległej ścianie znajdowało się jedyne okienko w tej celi, okratowane, głęboko osadzone o szerokości dwóch i wysokości piętnastu cali.

Więzień ubrany w starannie odprasowany szary kombinezon od wielu godzin siedział na materacu w kompletnym bezruchu. Jego szczupłe oblicze było blade, pozbawione wyrazu, na wpół opuszczone powieki lekko przesłaniały jego srebrzyste oczy, włosy tak jasne, że niemal białe, miał zaczesane do tyłu. Nic się nie poruszało, nawet oczy, gdy wsłuchiwał się w przytłumione rytmiczne dźwięki dochodzące zza ściany, z izolatki o numerze 45.

Były to odgłosy bębnienia, niesamowicie skomplikowany rytm, który to cichnął, to znów przybierał na sile, to przyspieszał, to znowu

zwalniał, przenosząc się z metalowej ramy łóżka poprzez materac, ściany, sedes, umywalkę i kraty z powrotem na łóżko. Obecnie więzień używał w charakterze perkusji metalowej ramy łóżka, od czasu do czasu tylko uderzając w materac – dla podkreślenia albo zaznaczenia niewielkiej zmiany rytmu, przez cały czas cmokając lub pykając wargami lub językiem. Ten niekończący się rytm unosił się i opadał jak wiatr, niekiedy zmieniał się w staccato przywodzące na myśl terkot karabinu maszynowego, kiedy indziej zaś przechodził w leniwe synkopowanie. Chwilami – choć bardzo rzadko – wydawało się, że dobiegające zza ściany dudnienie ucichło na dobre – słychać było tylko pojedyncze ostinato – pac... pac... pac... świadczące o tym, że perkusista wciąż wybijał swój rytm.

Miłośnik tego rodzaju muzyki mógłby rozpoznać nadzwyczajną różnorodność rytmicznych wzorców i stylów dochodzących z izolatki numer 45: kassagbe congo beat przechodził w down-tempo-funk-out, a ten z kolei w pop-and-lock i przez shakeout, wormhole oraz glam w długą fazę pseudoelectroclash riff, by za sprawą krótkiego, nieprzyjemnie zakończonego eurostompu ozdobić sekwencję hip-hop twist stickiem i tom clubem. Chwila ciszy... a zaraz potem zaczynał się powolny chicago blues fili ewoluujący w niezliczoną ilość innych rytmów, zarówno posiadających nazwy, jak i nienazwanych, przechodzących jeden w drugi i przeplatających się ze sobą w odwiecznym strumieniu dźwięków.

Jednakże więzień znany jako A nie należał do miłośników perkusyjnych rytmów. Znał się na wielu rzeczach, lecz gra na perkusji nie leżała dotąd w kręgu jego zainteresowań.

Mimo to nasłuchiwał z uwagą.

Wreszcie, na pół godziny przed zgaszeniem świateł, więzień znany jako A poruszył się na pryczy. Odwrócił się w stronę wezglowia łóżka i delikatnie uderzył w poręcz palcem wskazującym lewej ręki raz,

a potem drugi. Zaczął wybijać prosty rytm 4/4. W miarę upływu kolejnych minut spróbował uderzać w materac, a następnie w ścianę i umywalkę – jakby sprawdzał je, badając tembr, ton i amplitudę – zanim znowu powrócił do poręczy łóżka. Wybijając rytm 4/4 lewym palcem wskazującym, w pewnej chwili zaczął wybijać inny rytm palcem prawej ręki; kontynuując ten prosty rytmiczny akompaniament, z uwagą przysłuchiwał się wirtuozerskim popisom zza ściany.

Nadeszła pora gaszenia świateł, w celach zrobiło się ciemno. Minęła jedna godzina, potem druga. Podejście więźnia nieco się zmieniło. Podążając za przewodnictwem perkusisty, A wychwycił w pewnym momencie niezwykłą synkopę, rytm trzy na dwa, i dodał ją do swego prostego jak dotąd repertuaru. Wydobywane przez niego dźwięki jeszcze bardziej wtopiły się w pajęczynę odgłosów dochodzących zza ściany, czerpały z nich inspirację, to przyspieszając, to zwalniając tempo, w zależności od rytmu dyktowanego przez perkusistę.

Północ, a perkusista z celi 45 kontynuował swój występ, podobnie jak więzień znany jako A. Osadzony. A stwierdził, że gra na perkusji – co zawsze wydawało mu się prostą, wręcz prymitywną czynnością – okazała się całkiem przyjemną rozrywką umysłową. Pozwalała przejść z ciasnej, posępnej rzeczywistości jego celi do bezmiaru atrakcyjnej przestrzeni matematycznej precyzji i złożoności. Wciąż utrzymywał tempo, podążając za przewodnictwem więźnia z izolatki numer 45, przez cały czas rozbudowując i ubarwiając własny, coraz bardziej skomplikowany rytm.

Mijały godziny. Większość innych więźniów – nie było ich zbyt wielu i zajmowali izolatki w głębi korytarza – już dawno spała. Ale więźniowie z cel o numerach 44 i 45 nieustannie grali swój perkusyjny koncert. Kiedy więzień znany jako A wszedł głębiej w ten dziwny, nowy świat wewnętrznego i zewnętrznego rytmu, zaczął

rozumieć człowieka znajdującego się za ścianą i dolegliwość psychiczną, na jaką cierpiał – co skądinąd od początku było jego zamiarem. Tego nie można było ująć w słowa, nie dało się tego w żaden sposób wyrazić ani tam dotrzeć z pomocą żadnej teorii psychologicznej, psychoterapii ani nawet medytacji.

Niemniej jednak dzięki ostrożnemu współzawodnictwu w wybijaniu złożonego perkusyjnego rytmu więzień z celi 44 zaczął zbliżać się do tego miejsca, był bliski wkroczenia do niezwykłego świata osadzonego z izolatki 45. Na podstawowym poziomie neurologicznym zaczął rozumieć perkusistę, to, co nim powodowało, i dlaczego robił to, co robił.

Powoli, bardzo delikatnie A podjął nieśmiałą jeszcze próbę zmiany rytmu i skierowania go na jedną z kilku możliwych eksperymentalnych ścieżek, by przekonać się, czy mógł już teraz przejąć prowadzenie i nakłonić perkusistę, aby choć przez chwilę to on nadawał tempo jemu, a nie na odwrót. Kiedy ten eksperyment się powiódł, bardzo subtelnie zaczął zmieniać tempo i przetwarzać rytm. W jego działaniu nie było zbędnego pośpiechu ani gwałtowności. Każdy nowy rytm, każde nowe tempo były starannie kontrolowane i skalkulowane w celu osiągnięcia pożądanego rezultatu.

Przez kolejną godzinę dynamika pomiędzy dwoma więźniami zaczęła się zmieniać. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, perkusista z przewodnika zszedł do pozycji naśladowcy. Więzień A wciąż zmieniał rytm, to spowalniając, to przyspieszając w nieskończoność, aż nabrał pewności, że to on dyktował tempo, a perkusista z celi obok mimowolnie tylko powtarzał podawane przez niego sekwencje.

Wreszcie z najwyższą ostrożnością zaczął zwalniać, nie jednostajnie i wyraźnie, ale lawirując pomiędzy ciągłymi zmianami tempa, . ubarwiając kolejne frazy gry elementami zapożyczonymi od sąsiada zza ściany, lecz za każdym razem rytm był coraz wolniejszy, coraz

bardziej stonowany, aż w końcu stał się leniwy i senny jak melasa.

I wreszcie ucichł zupełnie.

Mężczyzna z celi 45 po kilku niepewnych urywanych uderzeniach także przestał grać.

Zapanowała długa cisza.

A potem z celi numer 45 dał się słyszeć ochryply zdyszany głos. – K... kim jesteś?

– Nazywam się Aloysius Pendergast – padła odpowiedź. – I powiem szczerze, iż miło mi pana poznać.

Godzinę później zapanowała błoga cisza. Pendergast leżał na swojej pryczy i choć miał zamknięte powieki, wciąż czuwał. W pewnej chwili otworzył oczy i zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka, jedynej rzeczy osobistej, którą zgodnie z prawem więźniowi wolno było zatrzymać. Za dwie minuty czwarta nad ranem. Czekał z otwartymi oczami, a punktualnie o czwartej na przeciwległej ścianie pojawił się jasno świecący punkcik, który zatańczył przez chwilę na powierzchni muru, zanim zdołał się ustabilizować. Pendergast wiedział, że był to promień zielonego lasera DPSS, wąski jak ten płynący z konferencyjnego wskaźnika laserowego, kierowany przez okno jego celi z jakiegoś sprytnie zamaskowanego miejsca za murami więzienia.

Kiedy plamka światła przestała drzeć, zaczęła mrugać, powtarzając krótki tekst wstępny zaszyfrowany prostym monofonicznym kodem i skompresowany w celu maksymalnego skrócenia czasu transmisji. Wstęp został powtórzony czterokrotnie, aby upewnić się, że Pendergast rozpoznał szyfr. Wreszcie po krótkiej przerwie podana została właściwa wiadomość.

PRZESYŁKA DOTARŁA NA MIEJSCE.

WCIAŻ ANALIZUJEMY OPTYMALNE DROGI WYJŚCIA.

MOŻE BĘDZIE PAN MUSIAŁ UWZGLĘDNIĆ ZMIANĘ MIEJSCA

SPOTKANIA.

O EWENTUALNYCH ZMIANACH POINFORMUJEMY MOŻLIWIE JAK NAJSZYBCIEJ.

A TERAZ NAJWAŻNIEJSZE KWESTIE:

ŁĄCZNOŚĆ ZGODNIE Z DOTYCHCZASOWĄ PROCEDURĄ.

CZEKAMY NA INFORMACJE DOTYCZĄCE WIĘZIENNYCH PRZYWILEJÓW I PROCEDUR.

POTRZEBUJEMY PRÓBEK MATERIAŁU Z MUNDURU STRAŻNIKA:

KOSZULI ORAZ SPODNI.

Potem następował ciąg pytań i żądań – jedne były oczywiste, inne dziwne, żeby nie powiedzieć osobliwe. Pendergast nie próbował sporządzać notatek, rejestrował wszystko w pamięci. Jednak przy ostatnim pytaniu wyraźnie zadrżał.

CZY JEST PAN GOTÓW ZABIĆ?

Po chwili światelko lasera zgaśło. Pendergast podniósł się do pozycji siedzącej. Sięgając pod materac, wy dobył sztywny, postrzępiony fragment płótna i plasterek cytryny pozostawiony po ostatnim posiłku.

Zdjąwszy jeden but, podszedł z nim do umywalki, odkręcił wodę, nalał parę kropel do zagłębienia na mydło i zamoczył w nim czubek buta. Następnie wycisnął do wody sok z plasterka cytryny i kawałkiem płótna zaczął usuwać pastę z buta. Wkrótce woda w emaliowanym zagłębieniu zabarwiła się na czarno. Znieruchomiał na moment w półmroku, aby upewnić się, iż jego poczynania nie zostały przez nikogo zauważone. Chwilę później odgarnął koc na pryczy, oderwał wąski pasek prześcieradła z jednego końca, po czym położył go na skraju umywalki. Wyjął jedną sznurówkę, zanurzył uprzednio zaostrzoną metalową końcówkę w czarnej cieczy i zaczął pisać maleńkimi, bardzo starannymi literami, pozostawiając na pasku bawełny nakreślone bladym substytutem atramentu, lecz mimo wszystko dość wyraźne słowa.

Za kwadrans piąta było już po wszystkim. Pendergast odpowiedział na każde z zadanych mu pytań. Odłożył pasek materiału na grzejnik, gdzie tkanina mocno się ociepliła, a równocześnie napisany na niej tekst ściemniał i utrwalił się. Dopiero wtedy Pendergast zaczął zwijać płótno. W pewnej chwili jednak przerwał tę czynność i u dołu dopisał dwa krótkie zdania: „Miej nadal oko na Constance. I bądź dobrej myśli, mój drogi Vincencie”.

Podgrzał materiał, aby utrwalić dopisek, mocno zwinął i wrzucił do otworu odpływowego znajdującego się na samym środku posadzki w jego celi. Następnie napełnił wiadro wodą z umywalki i wylał ją do otworu ściekowego; powtórzył tę czynność tuzin razy.

Do zapalenia świateł pozostała jeszcze godzina. Pendergast położył się na łóżku, splótł dłonie na piersi i natychmiast zasnął.

21

Mary Johnson otworzyła na oścież drzwi do Sali Egipskiej i weszła do środka, macając dłońmi po chłodnej marmurowej ścianie w poszukiwaniu włącznika światła. Wiedziała, że ostatnio technicy pracowali w grobowcu do późna, zwykle jednak opuszczali muzeum przed szóstą rano. Jej zadaniem było otworzyć te sektory dla podwykonawców, zapalić światła i upewnić się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Odnalazła włączniki światła i przeciągnęła po nich opasłym palcem wskazującym. Rzędy starych lamp ze spiżu i szkła ożyły, skrywając w łagodnym opalizującym blasku częściowo odnowioną salę. Przystanęła na chwilę w progu, opierając zaciśnięte dłonie na szerokich pulchnych biodrach, i rozejrzała się dokoła, by upewnić się, że wszystko gra. Następnie ruszyła w głąb sali; jej potężny tyłek kołysał się na boki, gdy nuciła pod nosem stare dyskotekowe przeboje, obracając w palcach kółko z kluczami. Brzęk kluczy, tupot obcasów i atonalny głos odbijały się echem w rozległej sali, tworząc uspokajający kokon dźwięków, którymi się otaczała przez trzydzieści lat pracy na nocnej zmianie w nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej.

Dotarła do pawilonu, zapaliła światła, po czym pokonawszy przestrzeń wypełnioną echem zlewających się ze sobą dźwięków, przeciągnęła kartę magnetyczną przez zamek w nowych, specjalnie

zabezpieczonych drzwiach wiodących do grobowca Senefa. Zamki zostały odblokowane, automatyczne drzwi otwały się z głośnym szumem, ukazując grobowiec. Przystanęła i zmarszczyła brwi. Zwykle w grobowcu było ciemno. Teraz jednak, pomimo późnej pory, wciąż było tam jasno jak w dzień.

Cholerni technicy, zapomnieli pogasić światła.

Stanęła na progu i zawahała się przez chwilę.

Wreszcie machnęła ręką i prychnęła pogardliwie, aby przewyciężyć niezdecydowanie. Kilku strażników, których rodziny pracowały tu w latach trzydziestych, zaczęło szeptać, że grobowiec jest przeklęty, że nie bez powodu go zamknięto i że jego ponowne otwarcie to błąd i niepotrzebne ryzyko. Ale przecież wszystkie egipskie grobowce były obłożone klątwami, nieprawdaż? A Mary Johnson szczyliła się rzeczowym i bardzo racjonalnym podejściem do pracy, jaką wykonywała. Proszę tylko powiedzieć, co mam zrobić, a ja się tym zajmę. Żadnego kręcenia, żadnego narzekania, żadnych wymówek.

Kłątwa, dobre sobie.

Cmokając w głos, zaczęła schodzić po szerokich kamiennych stopniach w głąb grobowca; wciąż nuciła pod nosem, jej głos rozbrzmiał echem w zamkniętej przestrzeni.

Stayin' alive, stayin' alive...

Przeszła nad studnią, jej spora waga wystarczyła, aby mostek się zakołysał, po czym weszła do następnego pomieszczenia. To tutaj spece od komputerów rozstawili swój sprzęt; Johnson musiała bardzo uważać, by nie nadepnąć na żaden z kabli walających się po podłodze. Spojrzała z dezaprobatą na stosy zatłuszczonych pudełek po pizzy pozostawione na jednym ze stolików, puszki po coli oraz leżące na podłodze opakowania po batonikach. Sprzątacze przyjdą dopiero

o siódmej. Cóż, to nie był jej problem. Pracując w muzeum przez trzy dekady, Mary Johnson widziała już wszystko. Była świadkiem, jak ludzie przychodzili i odchodzili, przetrwała rzeź w muzeum, masakrę w metrze, zniknięcie doktora Frocka, zabójstwo starego pana Pucka i próbę zabójstwa Margo Green. To było największe muzeum na świecie i musiało udowodnić, że praca tutaj stanowi wyzwanie, Mimo to płace były niezłe, a urlopy godziwe. Nie mówiąc o prestiżu.

Ruszyła dalej. Wchodząc do Sali Rydwanów, przystanęła na chwilę, aby się rozejrzeć, po czym zeszła do komnaty pogrzebowej.

Wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku. Już miała zawrócić, kiedy poczuła jakąś kwaśną woń. Odruchowo zmarszczyła nos i popatrzyła dokoła w poszukiwaniu źródła nieprzyjemnego zapachu.

Na jednej z kolumn nieopodal rozbryźnięte było coś nieprzyjemnego i kleistego. Sięgnęła po krótkofalówkę. – M. Johnson do centrali. Słyszycie mnie?

– Tu centrala. Mów, Mary.

– Potrzebna ekipa sprzątaczy do grobowca Senefa. W komorze grzebalnej.

– W czym problem?

– Wymiociny.

– Chryste. Chyba nie znów nocni strażnicy?

– Kto ich tam wie? A może to technicy postanowili się trochę zabawić.

– Zajmiemy się tym. Powiadomimy ekipę.

Johnson wyłączyła krótkofalówkę i zrobiła szybki obchód komnaty pogrzebowej. Z doświadczenia wiedziała, że pawie pojawiają się stadami. Lepiej było od razu poznać wszystkie złe wieści. Pomimo okazałych gabarytów chodziła bardzo szybko i znajdowała się już w połowie sali, kiedy nagle poślizgnęła się na wilgotnej posadzce i nie

zdoławszy utrzymać równowagi, upadła ciężko na polerowane kamienne płyty.

– Cholera!

Usiadła. Była zdenerwowana, ale nic się jej nie stało. Poślizgnęła się, wdepnąwszy lewą stopą w kałużę czegoś ciemnego, co miało miedzianą woń. Zamortyzowała impet upadku, wyciągając przed siebie obie ręce. Kiedy je uniosła, w jednej chwili zorientowała się, że były całe umazane krwią.

– Boże Wszchemogący.

Podniosła się ostrożnie, odruchowo rozejrzała dokoła w poszukiwaniu czegoś, w co mogłaby wytrzeć ręce, nie znalazła niczego, postanowiła więc wytrzeć je o spodnie – i tak już były całkiem utyłane.

Odpięła krótkofalówkę od paska.

– Johnson do centrali. Słyszycie mnie?

– Tak.

– Jest tu również kałuża krwi.

– Co powiedziałaś? Krew? Ile tej krwi?

– Wystarczająco.

Cisza. Z wielkiej kałuży krwi, w której się poślizgnęła, rozprysnęły ślady posoki wiodły w stronę otwartego wielkiego granitowego sarkofagu stojącego pośrodku komnaty. Na bocznej ścianie sarkofagu, pokrytej hieroglifami, widać było rozmazany ciemnoczerwony ślad, jakby coś dźwignięto i wrzucono do środka.

Nagle Mary Johnson postanowiła zajrzeć do sarkofagu, choć była to ostatnia rzecz, jakiej powinna pragnąć. Mimo to jakiś silny impuls – być może poczucie obowiązku – zmusił ją, by pomaszerowała naprzód. Z krótkofalówki, którą wciąż trzymała w dłoni, rozległy się trzaski.

– Wystarczająco? – dochodził głos z centrali. – Co to znaczy

wystarczająco?

Podeszła do sarkofagu i zajrzała do środka. Spoczywało w nim na wznak jakieś ciało. Było to ciało ludzkie – tyle zdołała się zorientować, tylko tyle, nic więcej. Twarz została w okrutny sposób zmasakrowana, pocięta jakimś ostrym narzędziem. Klatkę piersiową rozerwano, a żebra wyłamano na zewnątrz, tak że sterczały ku górze jak otwarte na oścież wierzeje. Tam, gdzie powinny znajdować się płuca i inne organy, ziała czerwona pustka. Ale to, co zapamiętała najbardziej i co będzie nawiedzać ją w koszmarach przez wiele następnych lat, to widok jasnoniebieskich szortów typu bermudy, które miała na sobie ofiara.

– Mary? – dobiegł skrzeczący głos z radia.

Johnson przełknęła ślinę, nie była w stanie odpowiedzieć. Dopiero teraz spostrzegła mniejszą strużkę krwi prowadzącą do jednej z bocznych komór, przy komnacie pogrzebowej. Wewnątrz było ciemno, nie mogła dostrzec niczego, co znajdowało się w środku.

– Mary? Słyszysz mnie?

Powoli uniosła krótkofalówkę do ust, raz jeszcze przełknęła ślinę i wydobyła z siebie głos. – Słyszę.

– Co się dzieje?

Ale Mary Johnson powoli wycofywała się z komnaty, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z wejścia do ciemnej narożnej komory. Nie musiała tam wchodzić. Nie było takiej potrzeby. Dość już widziała. Wciąż się cofała, a w pewnej chwili ostrożnie zaczęła odwracać swe potężne ciało. Wtem, gdy zbliżyła się do wyjścia z komnaty pogrzebowej, coś stało się z jej nogami.

– Mary! Zaraz przyślemy na dół ochronę! Mary!

Johnson postąpiła jeszcze jeden krok, zakołysała się, po czym osunęła się na podłogę, jakby powaliła ją jakaś niewidzialna siła. Przeturlała się, podźwignęła do pozycji siedzącej i jak w zwolnionym

tempie odchyliła do tyłu, opierając się plecami o framugę drzwi.

I tak ją znaleziono osiem minut później, przytomną, wpatrzoną w sufit, ze strużkami łez spływającymi po pulchnych policzkach.

Laura Hayward zjawiała się na miejscu zbrodni, gdy większość prac została już zakończona. Tak właśnie wolała. Pnąc się po szczeblach kariery w wydziale zabójstw, zwracała uwagę na rozmaite szczegóły i wiedziała, że śledczy pracujący na miejscu zbrodni nie lubią, gdy przełożeni patrzą im na ręce i dopilnowują, aby wykonali swoją robotę jak należy.

U wejścia do Sali Egipskiej, gdzie rozciągnięto policyjne taśmy, minęła grupkę funkcjonariuszy i pracowników ochrony muzeum rozmawiających szeptem jak na pogrzebie. Spostrzegła szefa ochrony Jacka Manettiego i gestem dłoni poprosiła, by jej towarzyszył. Podeszła do wejścia do grobowca, gdzie przystanęła, wdychając do płuc przesycone kurzem powietrze, i rozejrzała się.

– Kto tu był wczorajszej nocy, panie Manetti? – zapytała.

– Mam listę wszystkich uprawnionych pracowników i podwykonawców. Jest ich niewielu, ale wygląda na to, że wszyscy zgłosili swoje wyjście z muzeum przy stanowisku ochrony, jeśli nie liczyć dwóch techników, ofiary i tego, który wciąż uznawany jest za zaginionego, Jaya Lippera.

Hayward skinęła głową i weszła do grobowca, usiłując zapamiętać w myślach układ komór, schodów, przejść i stworzyć jego trójwymiarowy obraz. Po kilku minutach dotarła do wielkiej sali kolumnowej. Błyskawicznie zlustrowała ją wzrokiem: stoły ze

sprzętem komputerowym, pudełka po pizzy, kable i przewody wijące się we wszystkich kierunkach. Wszystko zostało opieczętowane i zaopatrzone w policyjne plakietki stwierdzające, że to materiał dowodowy.

Sierżant podszedł, aby ją powitać; był to mężczyzna starszy od niej o dobrych dziesięć lat. Nazywał się, o ile dobrze pamiętała, Eddie Visconti. Sprawiał wrażenie kompetentnego, miał bystre, przenikliwe spojrzenie i był ubrany schludnie, elegancko, lecz bez zbędnej przesady. Wiedziała, że niektórym gliniarzom trudno jest składać raport młodszej i znacznie lepiej od nich wykształconej kobiecie. Visconti najwyraźniej nie miał z tym najmniejszych trudności.

– Czy to pan, sierżancie, jako pierwszy zjawił się na miejscu zbrodni?

– Tak, pani kapitan. Ja i mój partner.

– W porządku. Ustalmy fakty.

– Dwaj technicy komputerowi pracowali do późna, Jay Lipper i Theodore DeMeo. W tym tygodniu co noc pracowali do późna, musieli się nieźle naharować, aby zdążyć z dotrzymaniem terminu planowanego otwarcia ekspozycji, znaczy się.

Odwróciła się do Manettiego. – Na kiedy je zaplanowano?

– Za osiem dni.

– Proszę mówić dalej.

– Około drugiej DeMeo wyszedł po pizzę, pozostawiając Lippera samego. Skontaktowaliśmy się z pizzerią...

– Nie mówcie mi, sierżancie, skąd macie wiadomości, którymi dysponujecie. Skupcie się na ścisłej rekonstrukcji wydarzeń, bardzo proszę.

– Dobrze, pani kapitan. DeMeo wrócił z pizzą i napojami. Nie wiemy, czy Lipper wyszedł, czy może w tym czasie został zaatakowany. Wiemy tylko, że nie zdążył spożyć przyniesionego

posiłku.

Hayward skinęła głową.

– DeMeo położył pudełka z pizzą i napoje na stole, po czym wszedł do komnaty pogrzebowej. Wygląda na to, że zabójca był już w środku i zaskoczył go. – Sierżant ruszył w stronę komory grzebalnej.

Hayward pomaszerowała za nim.

– Broń? – zapytała Hayward.

– Jeszcze nie wiemy. Cokolwiek to było, nie mogło być bardzo ostre. Rany są wyraźnie szarpane.

Weszli do komnaty pogrzebowej. Hayward spostrzegła wielką kałużę krwi, rozmazany ślad na kamiennym sarkofagu, krople krwi układające się w strużkę wiodącą do jednej z bocznych komór i żółte policyjne plakietki walające się wszędzie jak zwiędłe jesienne liście. Rozejrzała się dokoła, odnajdując po kolei każdą kropelkę krwi, zwracając uwagę na ich kształt i rozmiary.

– Analiza rozbryzgów wskazuje, że zabójca podszedł do ofiary z lewej strony, unosząc broń i zadając cios pod takim kątem i w taki sposób, że częściowo rozplątał gardło ofiary, uszkodzając przy tym tętnicę szyjną. Ofiara upadła, lecz sprawca wciąż zadawał kolejne cięcia, znacznie więcej, niż potrzeba było do jej uśmiercenia. Naliczyliśmy ponad sto ran ciętych na szyi, głowie, ramionach, brzuchu, podbrzuszu, nogach i pośladkach ofiary.

– Czy ślady wskazują na seksualne podłoże zbrodni?

– Brak nasienia czy innych płynów ustrojowych. Narządy płciowe nietknięte, analiza analna niczego nie wykazała.

– Proszę mówić dalej.

– Wygląda na to, że sprawca na wpół przełamał, na poły rozrąbał klatkę piersiową ofiary. Następnie z pomocą broni, jaką się posługiwał, wyrwał z wnętrza ciała niektóre organy i zaniósł je do Komory Słów, a następnie powkładał do kilku stojących tam

głębokich naczyń.

– Powiedzieliście wyrwał?

– Trzewia nie zostały wycięte, lecz wyszarpane z ciała.

Hayward podeszła do wejścia do jednej z niewielkich bocznych komór i zajrzała do środka. Technik na czworakach fotografował plamy posoki na podłodze aparatem z olbrzymim teleobiektywem. Pod jedną ze ścian stały, czekając na zabranie, pojemniki na dowody rzeczowe.

Rozejrzała się dokoła, usiłując wyobrazić sobie przebieg ataku. Wiedziała już, że mieli do czynienia z niezorganizowanym zabójcą, osobnikiem niezrównoważonym psychicznie, najprawdopodobniej socjopata.

– Po wyjęciu organów – ciągnął sierżant Visconti – sprawca powrócił do ciała i przeniósł je aż do sarkofagu i włożył do środka. A potem opuścił grobowiec głównym wyjściem.

– Musiał być cały we krwi.

– Tak. Prawdę mówiąc, sprowadziliśmy psy tropiące, które doprowadziły nas po śladach jego zapachu aż na czwarte piętro.

Hayward gwałtownie uniosła wzrok. To było coś, co słyszała po raz pierwszy.

– Nie opuścił muzeum?

– Nie.

– Jesteście pewni?

– Nie do końca. Ale na czwartym piętrze znaleźliśmy coś. But należący do zaginionego technika Lippera.

– Doprawdy? Uważacie, że zabójca wziął go jako zakładnika? Visconti skrzywił się. – To możliwe.

– A może dźwigał nieboszczyka?

– Lipper był drobnym facetem, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, jakieś sześćdziesiąt kilo wagi. To również możliwe.

Hayward zawahała się, rozważając przez chwilę, co mógł teraz przeżywać Lipper; a może jego gehenna już się zakończyła. Wreszcie zwróciła się do Manettiego. – Życzę sobie, żeby muzeum zostało niezwłocznie zamknięte – oznajmiła.

Szef ochrony obficie się pocił. – Do otwarcia zostało dziesięć minut. Mówimy tu o dwóch milionach stóp kwadratowych powierzchni wystawowej, o dwóch tysiącach osób personelu... pani raczy żartować.

Hayward odparła łagodnym tonem: – Jeżeli to stanowi jakiś problem, mogę zadzwonić do komisarza Rockera. On skontaktuje się z burmistrzem i decyzja nadejdzie odgórnie. Wraz z wynikającymi z tego tytułu, zgoła niepotrzebnymi reperkusjami.

– To nie będzie konieczne, pani kapitan. Nakazę bezzwłoczne zamknięcie muzeum. Tymczasowe, rzecz jasna.

Rozejrzała się dokoła. – Zlećmy sporządzenie przez biegłego profilu psychologicznego sprawcy.

– Już to zrobiłem – powiedział sierżant.

Hayward otaksowała go wzrokiem. – Nie mieliśmy dotąd okazji, aby wspólnie pracować, zgadza się?

– Tak, pani kapitan.

– To dla mnie prawdziwa przyjemność.

– Dziękuję.

Odwróciła się i szybkim krokiem wyszła z komnaty, a następnie opuściła grobowiec; pozostali ruszyli za nią. Przeszła przez galerię egipską i podeszła do grupy osób stojących po drugiej stronie taśmy policyjnej, po czym gestem dłoni przywołała do siebie sierżanta Viscontiego.

– Czy te psy tropiące są jeszcze na terenie muzeum?

– Tak.

– Chcę, aby wszyscy, którzy tylko mogą, zarówno funkcjonariusze

policji, jak i pracownicy ochrony, wzięli udział w przeszukaniu tego muzeum, od piwnic, aż po dach. Naszym priorytetowym zadaniem jest odnalezienie Lippera. Zakładamy, że żyje i jest zakładnikiem w rękach mordercy. To po pierwsze. Po drugie – chcę dopaść tego zabójcę. Chcę dostać ich obu jeszcze przed wieczorem. Rozumiemy się?

– Tak, pani kapitan.

Przerwała, jakby próbowała coś sobie przypomnieć. – Kto jest odpowiedzialny za tę egipską ekspozycję i grobowiec?

– Kustosz nazwiskiem Nora Kelly – odparł Manetti.

– Skontaktujcie się z nią i to piorunem. Bardzo proszę.

Uwagę Hayward zwróciło nagłe zamieszanie wśród pracowników ochrony i funkcjonariuszy policji; usłyszała podniesiony głos, w którym pobrzmiwała żalosna, błagalna nuta. Szczupły mężczyzna o obwisłych ramionach, ubrany w służbowy uniform kierowcy autobusu wyrwał się policjantom i rzucił się w stronę Hayward z twarzą wykrzywioną grymasem cierpienia.

– Proszę pani! – zawołał. – Niech mi pani pomoże! Proszę odnaleźć mojego syna!

– Kim pan jest?

– Lipper. Larry Lipper. Mój syn ma na imię Jay. On zaginął, a ten zabójca jest na wolności i chcę, żeby go pani odnalazła! – Mężczyzna wybuchnął płaczem. – Niech go pani znajdzie!

Bezmiar tej tragedii był tak porażający, że dwaj usiłujący go zatrzymać policjanci stanęli jak wryci. Żaden nie odważył się do niego podejść. Hayward ujęła go za rękę. – Tak właśnie zrobimy, panie Lipper.

– Niech go pani znajdzie! Niech go pani znajdzie!

Hayward rozejrzała się dokoła i spostrzegła znajomą postać. – Sierżant Casimirovic?

Kobieta postąpiła naprzód.

Hayward ruchem głowy wskazała na ojca Lippera i niemal bezgłośnie wyszeptała: – Pomóż mi się stąd wydostać.

Funkcjonariuszka podeszła i objęła Larry'ego Lippera ramieniem, aby uwolnić od niego panią kapitan. – Pan pozwoli ze mną, znajdziemy jakieś spokojne miejsce, usiądziemy i poczekamy. – Sierżant Casimirovic odprowadziła rozpaczającego Lippera seniora, wciąż szlochającego, lecz niestawiającego oporu, z powrotem za żółtą taśmę. Po chwili zniknęli wśród tłumu.

Pojawił się znów Manetti. W ręku trzymał krótkofalówkę. – Udało mi się złapać doktor Kelly.

Wzięła od niego krótkofalówkę i podziękowała skinieniem głowy – Pani doktor Kelly? Mówi kapitan Hayward z policji nowojorskiej.

– W czym mogę pomóc? – rozległ się głos.

– Komora Słojów w grobowcu Senefa. Czemu miała służyć?

– To właśnie w niej przechowywano zmumifikowane organy wewnętrzne wydobyte z ciała faraona.

– Poproszę o więcej szczegółów.

– Jednym z etapów mumifikacji było usunięcie organów wewnętrznych z ciała faraona, a następnie po oddzielnym zmumifikowaniu zamknięcie ich w odrębnych, specjalnie do tego celu przygotowanych naczyniach.

– Organów wewnętrznych, mówi pani?

– Tak.

– Dziękuję. – Hayward powoli oddała Manettiemu krótkofalówkę; na twarzy policjantki malował się wyraz głębokiej zadumy.

Wilson Bulke zajrzał w głąb korytarza biegnącego na poddaszu gmachu 12. Brudnobrazowe światło z trudem przedzierało się przez wzmocnione drucianą siatką przeszklone świetliki pokryte co najmniej stuletnią warstwą nowojorskiej sadzy. Wzdłuż obu ścian ciągnęły się przewody grzewcze i klimatyzacyjne. Po obu stronach długi niski pasaż był wypełniony starymi zbiorami – słojami z preparatami w formalinie, stertami pożółkłych gazet i czasopism, gipsowymi modelami zwierząt – przejście pośrodku było bardzo wąskie. To było szalone miejsce, jak okiem sięgnąć nierówne powierzchnie, załomy, przewężenia i ogólna ciasnota. Przywodziło to trochę na myśl wesołe miasteczko z jego atrakcjami, tyle tylko że w tym miejscu nie było nic zabawnego.

– Nogi mi odpadają – rzekł Bulke. – Zróbmy sobie przerwę. Przycupnął na starej drewnianej skrzyni; jego uda były tak grube, że materiał spodni naprężył się z wyraźnym skrzypnięciem. Jego partner Morris przysiadł tuż obok niego.

– Co za bzdura – mruknął Bulke. – Już prawie wieczór, a my wciąż się tu męczymy. Po jaką cholere? Tu nikogo nie ma.

Morris, z natury zgodny, tylko pokiwał głową.

– Daj no jeszcze łyżeczka jima beama.

Morris wyłuskał piersiówkę z kieszeni i podał koledze. Bulke napił się, otarł usta wierzchem dłoni i oddał whisky właścicielowi.

- W ogóle nie powinniśmy dziś pracować – powiedział Bulke. – Przysługuje nam wolny dzień. Zaslужujemy na odrobinę odpoczynku.
- Też tak uważam – przyznał Morris.
- Dobrze, że przynajmniej wzięłaś piersiówkę.
- Nie wychodzę bez niej z domu.

Bulke spojrział na zegarek. Czwarta czterdzieści. Światło przesączające się przez świetliki z wolna dogasało, w kątach zalegały coraz gęstsze cienie. Wkrótce nadejdzie noc. A biorąc pod uwagę, że w tej części poddasza prowadzono szeroko zakrojone prace remontowe i obecnie nie było tu prądu, będą musieli korzystać z latarek, co jeszcze bardziej utrudni i wydłuży prowadzone przez nich poszukiwania.

Bulke poczuł, że wypita whisky zaczęła przyjemnie rozgrzewać go od środka. Westchnął ciężko, oparł łokcie o kolana i rozejrzał się wokoło. – Spójrz na ten cały szajs – skinął ręką w stronę niskich metalowych półek ciągnących się wzdłuż ścian, uginających się pod ciężarem szklanych słoików zawierających meduzy – Naprawdę uważasz, że oni badają to badziewie?

Morris wzruszył ramionami.

Bulke sięgnął ręką, zdjął z półki jeden ze słoików i przyjrzał mu się z uwagą. W bursztynowym płynie wśród falujących macek unosiła się biaława galaretowata masa. Potrząsnął energicznie słoikiem: kiedy zawirowania ustały, z meduzy pozostały już tylko półprzezroczyste strzępy.

– Rozpirzone w drobny mak. – Pokazał słoik Morrisowi. – Mam nadzieję, że to nie było nic ważnego. – Zarechotał ochryple, wywrócił oczami, po czym odstawił słoik na półkę.

– Chińczycy to jedzą – rzekł Morris. Był strażnikiem muzealnym w trzecim pokoleniu i wiedział o muzeum znacznie więcej niż inni strażnicy.

- Te cholerne żółtki zeżrą wszystko.
- Morris pokiwał głową. – Podobno są bardzo smaczne. I chrupiące.
- Pociągnął nosem.
- Okropność. – Bulke rozejrzał się dokoła. – Co za bzdura – powtórzył. – Tu nikogo nie ma.
- Jednego nie rozumiem – rzekł Morris. – Po co w ogóle zdecydowali się na ponowne otwarcie tego grobowca. Opowiadałem ci, że mój dziadek wspominał, że w latach trzydziestych wydarzyło się tam coś niedobrego.
- Tak, opowiadałeś o tym na prawo i lewo. Na pewno wszyscy o tym słyszeli.
- Tam stało się coś naprawdę strasznego.
- Opowiesz mi o tym kiedy indziej. – Bulke znów spojrzał na zegarek. – Gdyby naprawdę sądzili, że coś się tu kryje, przysłaliby gliniarzy, a nie dwóch nieuzbrojonych strażników.
- Chyba nie sądzisz, że zabójca wciągnął ciało aż tutaj? – rzucił Morris.
- Pewno, że nie. Bo niby po co?
- Ale psy..
- Jak te psy tropiące mogły tu cokolwiek zwęszyć? Cholernie tu cuchnie. Poza tym zgubiły trop na czwartym piętrze, a nie tutaj.
- Chyba masz rację.
- Na pewno mam rację. I uważam, że już skończyliśmy – Bulke wstał, otrzepując kurz z siedzenia.
- A co z resztą poddasza?
- Spenetrowaliśmy całe poddasze, nie pamiętasz? – Bulke mrugnął porozumiewawczo.
- Tak. No tak. Rzeczywiście. Już rozumiem.
- Nie tak dawno mijaliśmy schody. Są z tyłu, za nami. Zejdziemy nimi na dół.

Bulke odwrócił się i ruszył tam, skąd przyszli. Korytarz na poddaszu był kręty i miejscami tak ciasny, że musieli przeciskać się bokiem przez wąskie prześwity. Muzeum składało się z tuzinów połączonych ze sobą budowli, a różnice poziomów pomiędzy niektórymi budynkami były tak duże, że musiały zostać zniwelowane za pomocą metalowych schodków. Minęli niszę pełną drewnianych szczerzących się posągów, opisanych jako „Ozdoby nagrobne Nootka”, i drugą, zasłaną gipsowymi odlewami rąk i nóg, a potem kolejną, z podobnymi odlewami twarzy.

Bulke przystanął, aby zaczerpnąć tchu. Zapadł już zmierzch. Zrobiło się naprawdę ciemno. Na ścianach po obu stronach wisały gipsowe odlewy twarzy, białe oblicza z zamkniętymi oczami, każda zaopatrzona w osobną fiszkę. Wszystkie należały do Indian: Zabójca Antylopy, Mały Paznokiec, Dwie Chmury, Oszroniona Trawa...

– Sądzisz, że to wszystko maski pośmiertne? – zapytał Morris.

– Maski pośmiertne? Co chcesz przez to powiedzieć?

– No wiesz. Odlew czyjeś twarzy zrobiony po śmierci tego kogoś.

– Nie mam pojęcia. Hej, co powiesz, żebyśmy wypili jeszcze po łyeczku jima beama?

Morris bez słowa sięgnął do kieszeni. Bulke pociągnął spory łyk i oddał piersiówkę koledze.

– A co to? – zapytał Morris, wskazując coś dłonią, w której trzymał whisky.

Bulke spojrzał we wskazanym kierunku. W kącie leżał otwarty portfel, wysypywały się z niego karty kredytowe. Bulke podszedł i podniósł portfel.

– Cholera, będzie tu ze dwieście dolarów. Co z tym zrobimy?

– Sprawdź, do kogo należy.

– Co to ma za znaczenie? Pewnie zgubił go któryś z kuratorów. – Bulke przejrzał portfel i wyłuskał z niego prawo jazdy.

– Jay Mark Lipper – przeczytał, po czym przeniósł wzrok na Morrisa. – O cholera. To ten zaginiony koleś.

Nagle poczuł dziwną lepkość i spojrzał na swoją dłoń. Była umazana krwią.

Bulke cisnął portfel na podłogę, po czym odkopnął go w kąt.

Zaczęło zbierać mu się na mdłości. – O rany... – jęknął wysokim, pełnym napięcia głosem. – O ja pierniczę...

– Sądzisz, że upuścił go morderca? – zapytał Morris.

Bulke poczuł, że serce zaczęło tłuc mu się w piersi jak szalone. Rozejrzał się nerwowo dokoła, usiłując spenetrować wzrokiem zalegające w kątach cienie i półki zasłane szczerzącymi się obliczami umarłych.

– Musimy powiadomić Manettiego – powiedział Morris.

– Daj mi chwilę... Muszę trochę odsapnąć. – Bulke próbował się opanować, jego umysł był zmacony narastającą zgrozą i dezorientacją.

– Czemu nie zauważyliśmy tego portfela, kiedy szliśmy w przeciwną stronę?

– Może jeszcze wtedy go tam nie było.

– Wobec tego zabójca musi być gdzieś przed nami.

Morris zawahał się. – O tym nie pomyślałem.

Bulke poczuł intensywne pulsowanie krwi w skroniach. – Jeżeli jest przed nami, to wpadliśmy w pułapkę. Nie ma stąd innego wyjścia.

Morris milczał. Jego twarz w słabym świetle miała wyraźnie żółtawy odcień. Sięgnął po krótkofalówkę.

– Morris wzywa centralę, Morris wzywa centralę. Słyszycie mnie? Nic. Cisza. Tylko jednostajny szum.

Bulke wydobył krótkofalówkę z futerału, ale rezultat był taki sam. – Jezu, to cholerne muzeum jest pełne martwych punktów. Można by się spodziewać, że skoro wydają tyle szmalu na ochronę, stać ich

także na zainstalowanie kilku dodatkowych przekaźników – Ruszajmy. Może parę metrów dalej, w innym budynku nie będzie już takich problemów z łącznością.

Morris postąpił naprzód.

– Nie w tę stronę! – rzucił Bulke. – On jest gdzieś tam, przed nami, pamiętasz?

– Nie wiemy tego na pewno. Może po prostu przeoczyliśmy ten portfel, kiedy szliśmy w tamtą stronę.

Bulke spojrzął na swoją zakrwawioną dłoń, czując narastającą mdłości.

– Nie możemy tak po prostu zostać tutaj – zauważył Morris. Bulke pokiwał głową. – No dobra. Ale idziemy naprawdę wolno. Na poddaszu zrobiło się już ciemno; Bulke odpiął od pasa latarkę i zapalił ją. Gdy przeszli na poddasze sąsiedniego budynku, Bulke poświecił dokoła. Było tu całe mnóstwo wydłużonych głów wykutych z czarnego wulkanicznego bazaltu, ustawionych tak ściśle jedna przy drugiej, że dwaj strażnicy mieli spore trudności z przeciśnięciem się między nimi.

– Spróbuj połączyć się z centralą – rzekł półgłosem Bulke. Znowu nic.

Za kolejnym załomem korytarza napotkali istny labirynt małych, połączonych ze sobą kantorków, na porzewiałych metalowych półkach piętrzyły się kartonowe pudła, każde z nich pełne było szklanych pojemników. Bulke omiótł je promieniem latarki. W każdym znajdował się wielki czarny chrabąszcz.

Gdy minęli trzeci kantorek, z ciemności przed nimi dobiegł głuchy łoskot, który zlał się w jedno z przeraźliwym brzękiem tłuczonego szkła.

Bulke aż drgnął mimowolnie. – Cholera! Co to było?

– Nie wiem – odparł Morris. Głos miał drżący i pełen napięcia.

– Jest przed nami.

Czekali, a tymczasem w ciemnościach dał się słyszeć kolejny głośny trzask.

– Jezu, wydaje się, jakby ktoś próbował roznieść całe to miejsce w puch.

Znów rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a zaraz potem mrozący krew w żyłach nieartykułowany zwierzęcy ryk.

Bulke zaczął się cofać i znów sięgnął po krótkofalówkę. – Bulke wzywa centralę! Słyszycie mnie?

– Tu centrala ochrony, słyszę cię. Trzask! I jeszcze jeden gardłowy wrzask.

– Jezu, znaleźliśmy tego świra, jest przed nami! Jesteśmy w pułapce!

– Gdzie teraz jesteś, Bulke? – rozległ się spokojny głos.

– Na poddaszu budynku 12! Sektor 5, może 6. Ktoś tu jest i rozwala wszystko w drobny mak! Znaleźliśmy też portfel tego zaginionego Lippera! Co mamy robić?

Szum i urywana odpowiedź.

– Nie słyszę cię!

– ... wycofać się... nie nawiązywać kontaktu... zawrócić...

– Gdzie mamy się wycofać? Nie rozumiesz, co powiedziałem, jesteśmy tu uwięzieni!

– ... nie zbliżajcie się...

Kolejny ogłuszający łoskot, tym razem o wiele bliżej niż poprzednio. Woń spirytusu i martwych eksponatów wypełniła gęstniejącą ciemność. Bulke wciąż się cofał, krzycząc do krótkofalówki: – Wezwijcie gliny! Ściągnijcie tu drużynę SWAT! Jesteśmy w pułapce!

Znów tylko szum.

– Morris, użyj swojej krótkofalówki!

Kiedy Morris nie odpowiedział, Bulke odwrócił się. Krótkofalówka leżała na podłodze, a Morris gnał, jakby gonił go sam diabeł, w głąb krętego korytarza, oddalając się od źródła hałasu i rozplywając się w ciemnościach.

– Morris! Zaczekaj! – Bulke próbował wsunąć krótkofalówkę do futerału, ale w efekcie upuścił ją na podłogę i ruszył ciężko w ślad za Morrisem, zmuszając swe otłuszczone nogi do wyteżonej pracy i rozpaczliwie usiłując pokonać bezwładność swego masywnego cielska. Słyszał, jak coś, co demolowało pomieszczenie za nim, niszczy kolejne eksponaty i wyjąc jak potępieniec, zaczyna szybko zbliżać się ku niemu.

– Zaczekaj! Morris!

Półka ze słojami w dalszej części korytarza runęła z głuchym trzaskiem, w powietrzu rozeszła się drażniąca woń spirytusu i gnijących ryb.

– Nie!

Bulke brnął naprzód, powoli i niezdarnie jak mors, stękając z bólu i wysiłku, a pokłady jego tłuszczu na całym ciele kołysały się przy każdym kroku.

Kolejny wrzask, dziki i przeraźliwie nieludzki, rozdarł ciemności tuż za nim. Odwrócił się, ale w mroku nie dostrzegł niczego poza błyskiem metalu i niewyraźnym, poruszającym się bardzo szybko kształtem.

– Niiieeee!

Potknął się i upadł, latarka wylądowała na podłodze i odturlała się, jej przesuwający się gwałtownie promień przez chwilę oświetlał rzędy rozmaitych słoików z preparatami, aż w końcu znieruchomiał, ukazując rybę z rozdziawionym pyszczkiem, pływającą brzuchem do góry wewnątrz pękatego słoika. Bulke zaczął się miotać, orząc paznokciami posadzkę, próbował wstać, ale wyjąca istota rzuciła się

na niego szybko i bezlitośnie niczym atakujący nietoperz. Przetoczył się, wymachując rozpaczliwie rękami, a po chwili usłyszał suchy trzask pękającego materiału i poczuł palący ból brutalnie rozdieranego ciała.

– Niiieeeeeee!...

Nora siedziała przy nakrytym obrusem z rypsu stole w otwartym podziemnym skarbcu strefy chronionej i cierpliwie czekała. Zdziwiła się, jak łatwo udało się jej tutaj dostać; Menzies okazał się niezastąpiony i nad wyraz pomocny przy załatwieniu niezbędnej papierkowej roboty. Faktem jest, że niewielu kuratorów, nawet spośród tych najważniejszych, miało tutaj wstęp z pominięciem całej tej skomplikowanej biurokratycznej procedury.

Strefa chroniona służyła przechowywaniu nie tylko najcenniejszych i wyjątkowo kontrowersyjnych zbiorów, lecz również najbardziej poufnych dokumentów, jakimi dysponowało muzeum. To, jak szybko zyskała tu wstęp, mogło świadczyć, jak ważną ekspozycję stanowił grobowiec Senefa; w dodatku wpuszczono ją o piątej po południu, kiedy muzeum było w stanie podwyższonej gotowości.

Z mrocznego pomieszczenia, gdzie przechowywano akta, wyłonił się archiwista trzymający w dłoni pozótkłą teczkę i położył ją na stole przed Norą. – Proszę.

– Dziękuję.

– Proszę tu podpisać.

– Spodziewam się kolegi, doktora Wicherly’ego – rzekła, podpisując formularz, po czym oddała go archiwście.

– Mam już dla niego papiery, o które prosił. Są gotowe i czekają.

– Dziękuję.

– Teraz muszę tu panią zamknąć.

Archiwista pozostawił Norę w absolutnej ciszy. Spojrzała na cienką teczkę i poczuła narastające zaciekawienie. Na okładce napisane było po prostu: „Grobowiec Senefa: korespondencja, dokumenty, 1933-1935”.

Otworzyła teczkę. Pierwszym dokumentem, na jaki się natknęła, był list napisany na maszynie na wykwintnej papeterii zdobionej czerwonymi i złotymi ornamentami. Został napisany przez beja Bolbassy i to zapewne o nim wspomiano w artykule prasowym, jaki czytała Nora; był pełen zapewnień, że grobowiec jest przeklęty – a jego celem bez wątpienia było odzyskanie grobowca i przewiezienie go z powrotem do Egiptu.

Przejrzała pozostałe dokumenty, rozwlekłe policyjne raporty detektywa, sierżanta Geralda O’Banniona, napisane starannym charakterem pisma, co kiedyś było regułą w Ameryce. Z zaciekawieniem przyjrzała się raportom, a następnie całej masie dołączonych do nich papierów – okólników i listów do urzędników miejskich oraz policji, których celem było uciszenie sprawy opisywanej w raportach i niedopuszczenie, by na łamach prasy pojawiła się choćby drobna wzmianka na jej temat. Wertowała papiery zafascynowana ich treścią i dopiero teraz zrozumiała, dlaczego muzeum tak bardzo zależało na zamknięciu grobowca.

Drgnęła gwałtownie, gdy cichy dźwięk oznajmił otwarcie drzwi do skarbcza. Odwróciwszy się, ujrzała szczupłą, elegancką sylwetkę Adriana Wicherly’ego opierającego się o metalową framugę i uśmiechającego się szeroko.

– Cześć, Noro.

– Witaj.

Wyprostował się, poprawił garnitur i podciągnął mocniej windsorski węzeł krawata. – Co taka miła dziewczyna jak ty robi

w takim zakurzonym miejscu?

– Wpisałeś się już?

– Je suis en regle – odparł ze śmiechem, po czym zbliżył się i nachylił nad jej ramieniem. Poczowała zapach drogiej wody po goleniu i płynu do płukania ust. – Co tutaj mamy?

Archiwista zajrzał do środka. – Gotowi do zamknięcia?

– Jasne. Zamykaj pan. Śmiało. – Wicherly mrugnął do Nory.

– Czemu stoisz, Adrianie, usiądź – rzekła chłodnym tonem.

– W sumie dlaczego nie? – Przystawił stare drewniane krzesło do stołu i otarłszy jedwabną chustką siedzenie z kurzu, usadowił się na nim ostrożnie.

– Jakież szkielety w szafie? – zwrócił się do Nory, nachylając się w jej stronę.

– Bez wątpienia.

Wicherly podszedł trochę za blisko, a Nora subtelnie, acz nieznacznie odsunęła się od niego. Choć Wicherly początkowo wydawał się niedojrzały, a jego poczucie humoru trąciło sztubactwem, ostatnio jego porozumiewawcze mrugnięcia i delikatne, jakby przypadkowe muśnięcia dłoni zaczęły działać jej na nerwy. Mimo to pozostawał profesjonalistą w każdym calu i miała nadzieję, że będzie tak nadal.

– Opowiedz mi o tym – poprosił Wicherly.

– Dopiero zaczęłam przeglądać dokumenty, toteż nie znam jeszcze całej historii, ale oto czego się dowiedziałam. Rankiem, 3 marca 1933 strażnicy, którzy przybyli, by otworzyć grobowiec, odkryli, że ktoś się do niego włamał. Wiele przedmiotów wewnątrz zostało zniszczonych. Mumia zniknęła, później odnaleziono ją w sąsiedniej sali mocno pokiereszowaną. Kiedy zajrzeli do sarkofagu, odkryli w nim inne ciało. Jak się okazało, ofiarę morderstwa.

– To zdumiewające. Tak jak z tym, jak mu tam, DeMeo.

– Mniej więcej, choć podobieństwa na tym się kończą. Ciało należało do Julii Cavendish, zamożnej mieszkanki Nowego Jorku, kobiety z wyższych sfer. Tak się złożyło, że była ona wnuczką Williama C Spragga.

– Spragga?

– To on odkupił grobowiec od ostatniego barona Rattray i kazał przetransportować do muzeum.

– Rozumiem.

– Cavendish była mecenasem muzeum. Cieszyła się przy tym wątpliwą reputacją osoby, delikatnie mówiąc, lekkiego prowadzenia.

– Jak to?

– Odwiedzała bary, gdzie podrywała młodych mężczyzn, robotników portowych, marynarzy itepe.

– I co z nimi robiła? – zapytał Wicherly, spoglądając na nią pożądliwie.

– Użyj wyobraźni, Adrianie – odparła oschłym tonem. – Tak czy owak, jej ciało zostało zmasakrowane, choć w gazetach nie podano żadnych szczegółów na ten temat.

– Powiedziałbym, że jak na lata trzydzieste to musiała być naprawdę mocna historia.

– Tak. Rodzina i dyrekcja muzeum rozpaczliwie usiłowały zatuszować całą sprawę. Rzecz jasna z różnych powodów i najwyraźniej dopięły swego.

– Wydaje mi się, że prasa była wówczas bardziej skłonna do współpracy. Tamci dziennikarze to nie żadne taniej sensacji sępy jak dzisiaj.

Nora zastanowiła się, czy Wicherly wiedział, że jej mąż był reporterem.

– W każdym razie śledztwo w sprawie zabójstwa Cavendish trwało, kiedy doszło do kolejnego morderstwa. Tym razem zmasakrowane

zwłoki należały do Montgomery'ego Bolta, jak wszystko wskazuje, jednego z dalszych potomków Johna Jacoba Astora, utracjusza i czarnej owcy rodziny. Grobowiec był w nocy strzeżony, ale morderca unieszkodliwił strażnika, po czym włożył ciało Bolta do sarkofagu. Przy ciele znaleziono liścik. Jego kopia znajduje się w tych aktach.

Wyjęła mocno pożółkłą już kartkę. Widniało na niej oko Horusa i kilka innych hieroglifów. Wicherly przyjrzał się jej z rozbawieniem.

– Klątwa Ammut dosięgnie każdego, kto tu wejdzie – oznajmił. – Ktokolwiek to napisał, był kompletnym ignorantem. Gość prawie nie znał się na hieroglifach. Nie są nawet odpowiednio wyrysowane. To prymitywne fałszerstwo.

– Tak. Od razu do tego doszli. – Przewertowała kolejnych kilka kartek. – Tu jest raport policyjny dotyczący tej zbrodni.

– Akcja się zagęszcza. – Wicherly mrugnął i przysunął się z krzesłem nieco bliżej.

– Policja zwróciła uwagę na związek z Johnem Jacobem Astorem. To on pomagał finansowo przy instalacji grobowca Senefa. Policja zaczęła się zastanawiać, czy ktoś nie chciał w ten sposób zemścić się na ludziach odpowiedzialnych za sprowadzenie grobowca do muzeum. Rzecz jasna ich podejrzenia padły na beja Bolbassy.

– Faceta, który ogłosił, że grobowiec jest przeklęty.

– Zgadza się. Udało mu się podburzyć wszystkie gazety przeciwko muzeum. Okazuje się, że nie był prawdziwym bejem, cokolwiek to znaczy. Tu jest raport w jego sprawie.

Wicherly wziął kartkę do ręki. – Były handlarz dywanów zarobił sporo grosza.

– Także tym razem muzeum w porozumieniu z rodziną Astorów zdołało ukreślić łeb sprawie, nie udało się jednak uciszyć plotek, które zaczęły szerzyć się w całym muzeum. Z czasem policja ustaliła, że bej

Bolbassy powrócił do Egiptu, zanim jeszcze doszło do pierwszego zabójstwa, podejrzewano jednak, iż miał on wynajętych współników w Nowym Jorku. Jeśli faktycznie tak było, musieli być diabelnie sprytni, przecież nie dali się złapać. A kiedy doszło do trzeciego morderstwa...

– Do jeszcze jednego?

– Tym razem ofiarą padła starsza kobieta mieszkająca w sąsiedztwie. Trochę trwało, zanim policja zdołała ustalić związek z poprzednimi zgonami. Okazało się, że była ona daleko spokrewniona z Cahors'em, człowiekiem, który odkrył ów grobowiec. Od tego czasu w muzeum aż wrzało od plotek, co więcej, rozeszły się one po całym mieście. Uwaga wszystkich farbowanych spirytystów, mediów i tarocistów skoncentrowała się na muzeum, a nowojorczycy w mig uwierzyli, że grobowiec jest przeklęty.

– Łatwowierni durnie.

– Być może. Niemniej muzeum nagle opustoszało. Śledztwo policyjne zabrnęło w ślepią uliczkę, muzeum zaś postanowiło podjąć zdecydowane kroki. Pod pretekstem budowy tunelu od stacji metra przy 81 Ulicy grobowiec zamknięto i zamurowano. Zabójstwa ustały, plotki z wolna ucichły, a o grobowcu Senefa niemal wszyscy zapomnieli.

– A co z zabójstwami?

– Nigdy ich nie rozwiązano. Choć policja uważała, że to bej był za nie odpowiedzialny, nie udało się zebrać żadnych dowodów przeciwko niemu.

Wicherly podniósł się z krzesła. – Niezła historia, Noro.

– Bez wątpienia.

– I co z nią teraz zrobisz?

– Z jednej strony może ona stanowić ciekawy dodatek do historii grobowca. Spodziewam się jednak, że muzeum mogłoby nie chcieć do

niej wracać, i szczerze mówiąc, ja też mam w tej kwestii pewne wątpliwości. Wolałabym raczej skupić się na archeologii, na przekazywaniu ludziom wiedzy na temat starożytnego Egiptu.

– W pełni się z tobą zgadzam, Noro.

– Jest jeszcze jeden powód. Może nawet istotniejszy. To nowe zabójstwo w muzeum podejrzenie przypomina tamte morderstwa. Ludzie zaczną mówić. Pojawią się plotki.

– Plotki już się rozchodzą.

– No cóż, to prawda. Do mnie też doszły. Tak czy owak, nie chcielibyśmy, aby cokolwiek powstrzymało nas przed dotrzymaniem ostatecznego terminu, musimy zdążyć ze wszystkim przed wielkim otwarciem.

– To fakt.

– Świetnie. Napiszę raport dla Menziesa z naszą rekomendacją, że cała ta sprawa jest mało ważna i nie należy do niej wracać. – Zamknęła teczkę. – Wobec tego sprawę uważam za zakończoną.

Zapanowała cisza. Wicherly podniósł się z krzesła i znów stał za nią, wpatrując się w wystające z teczki papiery. Sięgnął ręką, podniósł jedną z kartek, przejrzał ją pobieżnie i odłożył na stół. Poczowała dotyk jego dłoni na ramieniu i momentalnie zeszywniała. Chwilę potem jego usta leciutko musnęły nasadę jej karku, ledwie dotykając skóry, pieszcząc ją delikatnie jak motyl.

Poderwała się z miejsca, odwróciła gwałtownie. Stał tuż przy niej, w jego niebieskich oczach błyszczały lubieżne iskierki. – Wybacz, że cię przestraszyłem. – Uśmiechnął się, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów. – Nie mogłem się powstrzymać. Jesteś bardzo atrakcyjna, Noro. – Wciąż się do niej uśmiechał, emanując pewnością siebie i urokiem osobistym, elegancki i bardziej przystojny, niż można by tego oczekiwać od mężczyzny.

– Na wypadek, gdybyś o tym nie wiedział, jestem mężatką –

powiedziała.

– Zabawimy się na całego, będzie świetnie i nikt się o tym nie dowie.

– Ja będę wiedzieć.

Uśmiechnął się i pieszczotliwym gestem dotknął jej ramienia. – Chcę się z tobą kochać, Noro.

Wzięła głęboki oddech. – Adrianie, jesteś czarującym i inteligentnym mężczyzną. I z całą pewnością jest wiele kobiet, które chciałyby się z tobą kochać.

Zauważyła, że jego uśmiech poszerzył się.

– Ale ja nie jestem jedną z nich.

– Ależ Noro, najdroższa...

– Czy nie wyraziłam się jasno? Nie zamierzam ci ulec, Adrianie, i nie zrobiłabym tego z tobą, nawet gdybym nie była mężatką.

Wicherly stał przed nią kompletnie zbity z tropu, na jego twarzy malowało się niedowierzenie. Nie mógł pogodzić się z myślą, że jego nadzieje zostały w tak brutalny sposób zniweczone.

– Nie zamierzałam cię obrazić, po prostu postanowiłam powiedzieć ci wszystko wprost, ponieważ wcześniejsze sygnały mojego braku zainteresowania twoją osobą najwyraźniej do ciebie nie dotarły. Proszę, nie każ mi potraktować ciebie w bardziej dosadny sposób. Nie chcę zranić cię bardziej, niż jest to konieczne.

Zauważyła, że zbladł jak ściana. Krew całkiem odpłynęła mu z twarzy. Jego aura pewnego siebie pozeracza niewieścich serc na krótką chwilę rozwiała się, ukazując to, co się pod nią znajdowało i co Nora podejrzewała od samego początku – zepsutego bachora obdarzonego urodą, prezencją i błyskotliwością, który wyrobił sobie niezłomne przekonanie, że zawsze będzie miał wszystko, czego tylko zapragnie.

Próbował wykrztusić z siebie coś, co mogło zostać wzięte za

niezdarne przeprosiny, a Nora nieco łagodniejszym tonem powiedziała: – Posłuchaj, Adrianie, zapomnijmy o tym, dobrze? Uznajmy, że tego w ogóle nie było. Nic się nie stało. Nigdy więcej do tego nie wracajmy.

– Tak będzie najlepiej. Właśnie tak. Dziękuję, Noro. To bardzo uprzejmie z twojej strony.

Jej twarz zapłonila się z zażenowania; Wyglądał na zdruzgotanego. Nie mogła nic na to poradzić; było jej go żal. Zastanawiała się, czy była pierwszą kobietą, która kiedykolwiek odrzuciła jego względy.

– Muszę jeszcze napisać raport dla Menziesa – powiedziała najdelikatniej i najłagodniej jak umiała. – Poza tym wydaje mi się, że odrobina świeżego powietrza dobrze by ci zrobiła. Może wybierzesz się na mały spacer po muzeum?

– Tak, to dobra myśl, dziękuję.

– Zobaczymy się później.

– Tak.

Poruszając się sztywnym krokiem, prawie jak robot, Wicherly podszedł do interkomu i nacisnął guzik, prosząc w ten sposób, aby go wypuszczono. Kiedy drzwi skarbcza otwarły się, egiptolog ulotnił się bez słowa, a Nora ponownie została sama, by w ciszy i spokoju zająć się sporządzaniem notatek i przygotowaniem raportu.

D'Agosta zakręcił kierownicą furgonetki dostawczej i zwolnił przy wyjeździe z lasu. Na wprost niego wznosiło się Herkmoor, jasno oświetlone lampami sodowymi, skąpane w nierzeczywistym topazowym blasku skupisko budynków, istny labirynt murów, wież i bloków więziennych. Gdy zbliżył się do pierwszej bramy, zwolnił jeszcze bardziej, mijając ciąg tablic informacyjnych nakazujących kierowcom, aby przygotowali niezbędne dokumenty i spodziewali się kontroli, po czym następowała lista przedmiotów zakazanych tak długa, że potrzeba było na to aż dwóch billboardów; było na niej wszystko, od fajerwerków po heroinę.

D'Agosta wziął głęboki oddech, by uspokoić rozstrojone nerwy. Rzecz jasna bywał już wcześniej w więzieniach, ale dotąd zawsze w sprawach służbowych. Ta wizyta, bynajmniej nieoficjalna, to ewidentnie igranie z losem. Aż się prosił o kłopoty.

Zatrzymał wóz przy ogrodzeniu z drucianej siatki. Z wartowni wyszedł strażnik i podszedł do furgonetki, trzymając w ręku podkładkę do dokumentów.

– Wcześniej dziś przyjechałeś – powiedział.

D'Agosta wzruszył ramionami. – To mój pierwszy kurs tutaj. Wyjechałem wcześniej, bo bałem się, że mogę zabłądzić.

Strażnik chrząknął i wsunął przez opuszczoną szybę podkładkę. D'Agosta przypiął do podkładki plik dokumentów i oddał strażnikowi.

Ten przewertował je trzymanym w ręku ołówkiem i pokiwał głową.

– Znasz procedurę? – zapytał.

– Nie bardzo – odparł zgodnie z prawdą D’Agosta.

– Odbierzesz to przy wyjeździe. Przy następnym punkcie kontrolnym okaż dokumenty.

– Jasne.

Brama z drucianej siatki przesunęła się w bok na kółkach przy wtórze głośnego brzęku.

D’Agosta ruszył wolno naprzód, serce tłukło mu się w piersi jak szalone. Glinn twierdził, że opracował wszystko co do joty i bez najmniejszego trudu załatwił dla niego pracę, pod fałszywym nazwiskiem, w zakładach przetwórstwa mięsnego, później zaś zaaranżował, że to on miał odbyć ten kurs. Tyle tylko że nie sposób przewidzieć wszystkich ludzkich zachowań i reakcji. W tej kwestii zdania jego i Glinna były skrajnie różne. Ta drobna przygoda w okamgnieniu mogła zakończyć się druzgocącym fiaskiem.

Podjechał furgonetką do drugiej bramy i wyszedł do niego kolejny strażnik.

– Dokumenty?

D’Agosta podał mu fałszywe prawo jazdy i przepustkę. Mężczyzna obejrzał je. – Nowy?

– Taa.

– Znasz drogę?

– Nie zawadzi, jak ją sobie przypomnę.

– Jedź prosto, a potem w prawo. Gdy zobaczysz podjazd załadunkowy, zatrzymaj się przy pierwszym stanowisku.

– Jasne.

– Możesz wysiąść z wozu, aby nadzorować rozładunek. Nie wolno ci osobiście przenosić żadnych produktów ani pomagać personelowi więzienia. Przez cały czas trzymaj się blisko wozu. Gdy tylko

zakończysz załadunek, masz natychmiast odjechać, czy to jest zrozumiałe?

– Oczywiście.

Strażnik rzucił coś do krótkofalówki i ostatnia brama z drucianej siatki została otwarta.

D'Agosta przejechał przez nią, skręcił w prawo, po czym sięgnął do kieszeni i wydobyl butelkę burbona Rebel Yell. Odkręcił ją i pociągnął łyk, starannie przepłukując usta alkoholem, zanim zdecydował się go przełknąć. Poczul, jak struga płynnego żaru przepala mu przełyk i dociera do żołądka. Dla pewności paroma kroplami skropił jeszcze przód kurtki, po czym wsunął butelkę z powrotem do kieszeni.

Chwilę potem podjechał tyłem pod rampę załadunkową. Czekalo tam już dwóch mężczyzn w kombinezonach roboczych i gdy tylka otworzył drzwiczki z tyłu furgonetki zaczęli wyładowywać z niej pudła i półcie mrożonego mięsa.

D'Agosta przyglądał się temu z rękami w kieszeniach, pogwizdując atonalnie jakąś melodyjkę. Zerknął ukradkiem na zegarek, po czym zwrócił się do pracownika więzienia. – Powiedz no, jest tu gdzieś toaleta?

– Przykro mi. Nie możesz z niej skorzystać. To zabronione.

– Ale ja muszę...

– To wbrew przepisom. – Pracownik zarzucił sobie na barki dwa pudła z mięsem i zniknął w magazynie.

D'Agosta podszedł do drugiego z pracowników. – Posłuchaj, stary, ja naprawdę muszę skorzystać z toalety..

– Słyszałeś, co powiedział. To wbrew przepisom.

– Stary, daj spokój. Nie mów tak.

Mężczyzna odstawił pudło i posłał D'Agostie długie zmęczone spojrzenie. – Jak już stąd wyjedziesz, będziesz mógł odlać się w lesie. Jasne? – Dźwignął pudło w górę.

– Nie chce mi się łać.

– To nie moja sprawa. – Zrzucił sobie pudło na ramię i odszedł. Kiedy ponownie pojawił się pierwszy z mężczyzn, D'Agosta zastąpił mu drogę i chuchnął mu prosto w twarz. – Ja nie żartuję. Muszę postawić klocka i to zaraz.

Mężczyzna zmarszczył nos i cofnął się. Zerknął na kolegę.

– On coś sobie chlapnął.

– Co takiego? – rzucił wojowniczym tonem D'Agosta. – Coś ty powiedział?

Tamten spojrzał na niego z niewzruszonym spokojem. – Powiedziałem, że piłeś.

– Chrzanisz.

– Przecież czuję. – Odwrócił się do kolegi. – Sprowadź nadzorcę.

Drugi z pracowników zaklął i chwilę później pojawił się w towarzystwie wysokiego, ponuro wyglądającego mężczyzny w czarnym blezerze ciasno opinającym potężny kałdun wylewający się ze spodni jak worek ziarna.

– O co chodzi? – zapytał nadzorca.

– Wydaje mi się, że on coś wypił, sir – rzekł pierwszy z pracowników.

Mężczyzna wsunął kciuki za pas i podszedł do D'Agosty. – Czy to prawda?

– Wcale nie! – zachnął się D'Agosta, chuchając mu bezczelnie prosto w twarz.

Mężczyzna cofnął się i odpiął od paska krótkofalówkę.

– Posłuchajcie, na mnie już czas – rzekł D'Agosta, usiłując nadać głosowi nieco pokorniejszy ton. – Muszę jeszcze dotrzeć do magazynu. Przede mną długa droga. To miejsce leży na takim zadupiu, że nawet wrony tam zawracają, a jest już po szóstej.

– Nigdzie nie pojedziesz, koleś. – Nadzorca powiedział coś do

krótkofalówki, po czym zawrócił się do jednego z pracowników. – Zabierzcie go do stołówki służbowej i niech tam czeka.

– Proszę ze mną.

– To jakiś absurd. Nigdzie nie pójde.

– Proszę ze mną.

D’Agosta, utyskując pod nosem, podążył za strażnikiem przez dok załadunkowy do dużej spiżarni, pustej, ciemnej i silnie cuchnącej chloroksem. Przeszli do pomieszczenia obok, które okazało się stołówką pracowniczą; to zapewne tutaj pracownicy kuchni spożywali posiłki.

– Siadaj.

D’Agosta usiadł przy jednym ze stalowych stolików. Mężczyzna zajął miejsce przy sąsiednim, oparł łokcie na blacie i odwrócił wzrok. Minęło kilka minut i zjawił się nadzorca w towarzystwie uzbrojonego strażnika.

– Wstań – rzucił nadzorca.

D’Agosta wykonał polecenie.

Nadzorca odwrócił się do strażnika. – Przeszukaj go.

– Nie możecie tego zrobić! Znam swoje prawa i...

– Ale to jest więzienie federalne. Wszystko jest napisane czarno na białym na tablicach przy wjeździe, o ile zechciało ci się je przeczytać. Mamy prawo przeszukać każdego, jeśli uznamy to za stosowne.

– Nie ważcie się mnie tknąć.

– Chciałem zauważyć, że na razie ma pan średnio poważny problem. Jeśli odmówi pan współpracy, problem stanie się poważny.

– Tak? A o jakim niby problemie mowa?

– Na początek o stawianiu oporu funkcjonariuszowi federalnemu. Co pan na to? Po raz ostatni mówię: ręce do góry.

Po chwili wahania D’Agosta wykonał polecenie. Po krótkim przeszukaniu strażnik odnalazł w kieszeni jego kurtki butelkę

burbona. Strażnik spojrział na rebel yell i pokręcił głową ze smutkiem. Odwrócił się do nadzorcy. – Co teraz? – zapytał.

– Skontaktuj się z miejscową policją. Niech po niego przyjadą. Pijany kierowca to ich problem, nie nasz.

– Ale ja wypłem tylko jeden łyk.

Nadzorca odwrócił się do niego. – Siadaj i milcz! D’Agosta dość niepewnie przycupnął na krześle, mamrocząc bez przerwy do siebie.

– A furgonetka? – zapytał strażnik.

– Powiadom jego firmę. Niech kogoś po nią przyślą.

– Już po szóstej, nie zastaniecie nikogo z kierownictwa i...

– Wobec tego skontaktujemy się z nimi rano. Furgonetka zostaje tutaj.

– Tak jest, sir.

Nadzorca przeniósł wzrok na strażnika. – Zostań z nim aż do przyjazdu policji.

– Tak jest, sir.

Nadzorca wyszedł. Strażnik usiadł przy najdalszym stoliku, łypiąc spode łba na D’Agostę.

– Muszę iść do klopa – rzekł D’Agosta.

Strażnik westchnął ciężko, ale nie odezwał się ani słowem.

– To jak będzie?

Strażnik wstał i skrzywił się. Miał ponurą minę. – Zaprowadzę cię – powiedział.

– Zamierzasz trzymać mnie za rękę, jak będę stawiał klocka, czy mogę zrobić to sam?

Tamten spiorunował go wzrokiem. – Toaleta jest na końcu korytarza, drugie drzwi po prawej. Tylko się pośpiesz.

D’Agosta podniósł się z głuchym westchnieniem, podszedł powoli do drzwi stołówki, otworzył je, zachwiał się na nogach i mocno przytrzymał się klamki. Gdy tylko drzwi się zamknęły, skręcił w lewo

i pobiegł bezgłośnie wzdłuż długiego pustego korytarza, mijając ciąg więziennych sal stołówkowych; okratowane drzwi były otwarte na oścież.

Wpadł do ostatniej z nich i zdarł z siebie biały uniform kierowcy, ukazując pod spodem jasnobrązową koszulę, która w połączeniu z ciemnobrązowymi spodniami, jakie miał na sobie, sprawiała, iż strojem przypominał teraz do złudzenia jednego z tutejszych strażników. Wrzucił starą koszulę do kosza na śmieci stojącego przy drzwiach. Idąc dalej wzdłuż korytarza, minął oświetloną wartownię. Przechodząc obok, skinął głową do dwóch strażników.

Minawszy posterunek, wyjął z kieszeni specjalnie spreparowane pióro wieczne, zdjął nasadkę i ruszył dalej w głąb korytarza, trzymając pióro w dłoni i nagrywając to, co znajdowało się przed nim. Szedł swobodnym, nonszalanckim krokiem jak strażnik podczas obchodu, wodząc piórem z boku na bok, koncentrując uwagę przede wszystkim na rozmieszczeniu kamer i innych wysoce wyspecjalizowanych elektronicznych urządzeń zabezpieczających.

W końcu wszedł do toalety, skierował się do przedostatniej kabiny i zamknął za sobą drzwi. Sięgnawszy do krocza spodni, wydobyl stamtąd mały, hermetycznie zamykany plastikowy woreczek i niewielką rolkę taśmy klejącej. Stał na sedesie, podniósł jeden z paneli na suficie, po czym taśmą klejącą przymocował woreczek po drugiej stronie panelu. Następnie umieścił panel na dawnym miejscu.

Punkt dla Eliego Glinna. Ekspert był przekonany, że przeszukanie dobiegnie końca, gdy tylko zostanie znaleziona butelka burbona, i nie pomylił się.

Po wyjściu z łazienki D'Agosta pomaszerował dalej w głąb korytarza. Wkrótce potem usłyszał sygnał alarmu, nie ten głośny, rozzierający, lecz wysokie, przenikliwe buczenie. Dotarł do końca pustego korytarza, gdzie napotkał dwuskrzydłowe drzwi z zamkiem

magnetycznym. Wyjął z kieszeni portfel, wyłuskał z niego przygotowaną uprzednio kartę kredytową i przeciągnął nią przez otwór zamka. Światelko zmieniło się na zielone, a zaraz potem rozległ się zgrzyt i szcęk odblokowywanego zamka. Kolejny punkt dla Glinna.

Błyskawicznie przestąpił próg. Znalazł się teraz na niewielkim placu ćwiczeń, pustym, gdyż pora była dość późna; z trzech stron otaczały go wysokie ściany z żuźlowych bloków, z czwartej zaś druciana siatka. Rozejrzał się dokoła, by upewnić się, że nie było tu kamer, które mogły obserwować jego poczynania. Jak stwierdził Glinn, nawet więzienie o zastrzonym rygorze miało określony limit, jeśli chodziło o wydatki na elektroniczne zabezpieczenia; kamery rozmieszczono jedynie w najbardziej newralgicznych punktach zakładu karnego.

D'Agosta szybkim krokiem przeszedł przez plac, przez cały czas nagrywając. Następnie włożywszy pióro do kieszeni, podszedł do jednej ze ścian, rozpiął pasek, rozsunął suwak w spodniach i wydobyl zrolowany arkusz mylaru, który miał przypięty do nogi po wewnętrznej stronie. Obejrzał się przez ramię, po czym wsunął mylarowy rulon do otworu rury odpływowej, mocując go tam, by nie wypadł, zgiętą wsuwką do włosów. Uporawszy się z tym, podszedł do siatki, dotknął jej dłonią i mocno szarpnął. To, co musiał teraz z robić, wymagało od niego maksimum odwagi i zimnej krwi. Naprawdę trudno mu było się na to zdobyć.

Wydobywszy nieduże nożyce do drutu wciśnięte do jednej skarpetki, przeciął pionowo trzystopowej długości fragment siatki przy jednym z metalowych wsporników. Dogiał siatkę tak, by przecięte końce drutów stykały się ze sobą, a ogrodzenie wyglądało na nietknięte, po czym wrzucił nożyce do drutu na dach pobliskiego budynku, gdzie tak szybko nikt ich nie znajdzie. Przeszedł kilka

jardów wzdłuż ogrodzenia i odetchnął głęboko, aby uspokoić się i wyciszyć wewnątrz. Spoglądając przez siatkę, dostrzegł niewyraźne kształty wieżyczek strażniczych w ciemnościach przed nim. Przełknął ślinę i zatarł energicznie ręce. Po chwili zaczął wspinać się na ogrodzenie.

W połowie wysokości siatki zauważył barwny przewód przepleciony między drutami. Kiedy go minął, na placu rozległ się przenikliwy, jazgoczący sygnał alarmu. Wokół niego ciemności rozproszył blask włączanych kilkunastu lamp sodowych. Wieżyczki strażnicze natychmiast zareagowały – reflektory na wieżach zostały odwrócone i po chwili ich promienie odnalazły go wiszącego na siatce. Wspiął się na sam szczyt ogrodzenia i ustabilizowawszy ułożenie ciała, ukrywając ruch ręką, wydobył pióro z kieszeni, po czym wymierzył je pomiędzy okami siatki i zaczął nagrywać ziemię niczyją rozciągającą się poniżej za ogrodzeniem, teraz jasno oświetloną promieniami silnych reflektorów.

– Widzimy cię! – rozległ się wzmocniony przez megafon głos strażnika z pobliskiej wieżyczki. – Zatrzymaj się natychmiast!

Oglądając się przez ramię, D’Agosta spostrzegł sześciu strażników pędzących w jego kierunku co sił w nogach. Wsunął pióro do kieszeni i powiódł wzrokiem wzdłuż górnej krawędzi siatki. Pomiedzy drutami biegły tutaj aż dwa przewody – biały i czerwony. Schwycił za czerwony i szarpnął z całej siły.

Znów dały się słyszeć alarmowe syreny.

– Stój!

Strażnicy dobiegli do ogrodzenia i zaczęli wspinać się za D’Agostą. Poczł jedną, potem dwie, a w końcu pół tuzina rąk chwytających go za nogi i stopy. Po krótkiej, dość zawziętej szamotaninie pozwolił, by ściągnięto go z powrotem na plac.

Otoczyli go zwartym kręgiem, w dłoniach trzymali pistolety.

– Kto to jest, u licha? – warknął jeden z nich. – Kim jesteście?

D’Agosta usiadł. – Jestem kierowcą furgonetki – odparł bełkotliwym głosem.

– Kim? – zapytał inny strażnik.

– Słyszałem o nim. Przyjechał z transportem mięsa, ale zatrzymali go, bo koleś był pijany.

D’Agosta jęknął i zaczął rozcierać ramię. – Cały jestem obolały. To przez was.

– Jezu, miałeś rację. Facet się urzynał jak świnia.

– Wypiłem tylko mały łyżeczek.

– Wstawaj.

D’Agosta podźwignął się z ziemi i zachwiał na nogach. Jeden ze strażników schwycił go za przedramię i podtrzymał. Rozległ się zduszony chichot. – Myślał, że zdoła uciec.

– Chodź, koleś.

Strażnicy odprowadzili go do kuchni, gdzie czekał już jego niedoszły opiekun, poczerwieniały na twarzy jak burak, i wyraźnie rozwścieczony nadzorca.

Ten ostatni odwrócił się do niego i wrzasnął: – Co ty sobie u licha wyobrażasz? Co to miało znaczyć?

D’Agosta odparł bełkotliwie: – Zgubiłem się w drodze do toalety I postanowiłem, że lepiej będzie, jak dam stąd nogę. – Zaśmiał się ochrypłym, pijackim śmiechem.

Znów chichot w tle.

Nadzorca nie wyglądał na rozbawionego. – Jak do cholery udało ci się wyjść na plac?

– Na jaki plac?

– Na zewnątrz.

– Nie wiem. Chyba drzwi były otwarte.

– To niemożliwe.

D'Agosta wzruszył ramionami, osunął się ciężko na krzesło i niemal natychmiast przysnął.

– Sprawdź wejście na plac numer cztery – rzucił nadzorca do jednego ze strażników. Po czym zwrócił się do pierwszego z nich: – Zostaniesz tu z nim. Rozumiesz? Nie pozwól, aby stąd wyszedł. Jak chce, niech sfajda się w gacie.

– Tak jest.

– Bogu dzięki, że nie zdołał przeleźć przez ogrodzenie i nie dostał się na ziemię niczyją. Wiesz, jaki mielibyśmy z tym zgryz, że o robocie papierkowej nie wspomnę.

– Tak, sir. Przykro mi, sir.

D'Agoście wyraźnie ulżyło, gdy stwierdził, że w całym tym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi, że miał on na sobie koszulę innego koloru niż dotychczas. Trzeci punkt dla Glinna.

W tej samej chwili do sali weszło dwóch policjantów; miny mieli nietęgę. – To ten facet?

– Tak. – Strażnik szturchnął D'Agostę końcem pałki. – Pobudka, dupku.

D'Agosta otrząsnął się i wstał.

Policjanci wyglądali na zdezorientowanych i zbitych z tropu. – I co mamy teraz zrobić? Trzeba będzie coś podpisać?

Nadzorca otarł dłonią czoło. – Co macie zrobić? Zamknijcie go za jazdę po pijanemu.

Jeden z policjantów wyjął z kieszeni notes. – Czy ten człowiek złamał prawo na terenie tej placówki? Chcecie wnieść przeciwko niemu jakieś oskarżenia?

Zapadła krótka chwila ciszy strażnicy popatrzyli po sobie nawzajem.

– Nie – odparł nadzorca. – Po prostu zabierzcie go stąd w cholere. Od tej pory to wasze zmartwienie. Nie chcę go tu więcej widzieć.

Policjant zamknął notes. – W porządku, w takim razie zabierzemy go na komendę główną i każemy mu dmuchnąć w balonik. Zobaczymy, co wykaże alkomat. Chodź, chłopie.

– Nic nie wykaże! Wypiłem tylko jeden łyżeczek!

– Wobec tego nie ma pan się czego obawiać, nieprawdaż? – mruknął ze znużeniem w głosie policjant, wyprowadzając D'Agostę z więziennej stołówki.

26

Kapitan wydziału zabójstw Laura Hayward zjawiała się minutę lub dwie po ekipie karetki. Usłyszała wrzaski ofiary dochodzące z pomieszczeń na poddaszu; przepełniły jej serce nadzieją – nikt, kto miałby za chwilę umrzeć, nie wydawałby z siebie tak przeraźliwych ryków. Minęła kolejno kilkanaścioro niewysokich drzwi, aż dotarła do miejsca zabezpieczonego żółtą taśmą policyjną. Odetchnęła z ulgą, gdy ujrzała, że byli tam już sierżant Visconti i jego partner Martin.

– Proszę o krótkie zapoznanie z sytuacją – powiedziała, podchodząc do nich.

– Byliśmy akurat najbliżej, gdy doszło do ataku – odparł Visconti. – Wystraszyliśmy sprawcę. Nachylał się nad ofiarą, zadając kolejne ciosy. Kiedy zauważył, że się zbliżamy, uciekł i zaszył się gdzieś na poddaszu.

– Zdążyliście mu się przyjrzeć?

– Widzieliśmy tylko cień.

– Broń?

– Nieznana. Pokiwała głową.

– Znaleźliśmy również portfel Lippera. – Visconti ruchem głowy wskazał na plastikowe pudełko na materiały dowodowe, stojące w rzędzie z kilkoma innymi w pobliżu miejsca odgrodzonego taśmą.

Hayward nachyliła się i otworzyła pudełko. – Chcę drobiazgowej ekspertyzy tego portfela i całej jego zawartości. DNA, odciski palców,

ślady włókien, po prostu wszystko. I zamroźcie z dziesięć próbek krwi i tyle samo próbek organicznych do kolejnych badań.

– Tak jest, pani kapitan.

– Czy ten drugi strażnik, jak mu tam, Morris, jest gdzieś w pobliżu? Chciałabym z nim pomówić.

Visconti rzucił coś do krótkofalówki i już po chwili pojawił się policjant prowadzący strażnika muzeum. Fryzura tego ostatniego była w nieładzie, włosy wpadały mu do oczu, jego ubranie było rozchełstane i brudne. Cuchnął spirytusem do konserwowania okazów muzealnych.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała. – Możemy chwilę porozmawiać?

– Chyba tak. – Głos miał wysoki i zdyszany.

– Czy był pan świadkiem tego ataku?

– Nie... Ja... byłem za daleko... i w dodatku patrzyłem wtedy w inną stronę.

– Ale musiał pan widzieć lub słyszeć coś bezpośrednio przed atakiem.

Morris usiłował się skupić. – Cóż... faktycznie... usłyszałem dziwny... ryk. Jak ryczenie dzikiego zwierzęcia. I brzęk tłuczonego szkła. A potem coś wypadło z ciemności jak błyskawica... – nie dokończył.

– Coś? To nie był człowiek?

Morris powiódł wzrokiem z boku na bok. – Tak jak mówiłem, to był poruszający się bardzo szybko, ryczący kształt.

Hayward zwróciła się do jednego z funkcjonariuszy – Proszę odprowadzić pana Morrisa na dół, niech przesłucha go dalej detektyw, sierżant Whittier.

– Tak jest, pani kapitan.

Zza wysokiej ściany ustawionych jedna na drugiej skrzyń wyłoniło

się dwóch sanitariuszy z noszami z leżącym na nich wielkim pojękującym kształtem.

– W jakim jest stanie? – spytała.

– Pocięty czymś, co wydaje się prymitywnym nożem albo może szponami.

– Szponami?

Sanitariusz wzruszył ramionami. – Niektóre cięcia są mocno postrzępione. Na szczęście nie dosięgnęły żadnego z organów wewnętrznych, to plus jego olbrzymiej tuszy. Stracił trochę krwi, jest w szoku... wylize się.

– Może mówić?

– Proszę sprawdzić, jeśli pani chce – rzekł sanitariusz. – Dostał środek na uspokojenie.

Hayward nachyliła się nad noszami. Ujrzała mokre oblicze korpulentnego strażnika. Wyłupiaste oczy wpatrywały się tępo w sufit. Poczowała drażniącą nozdrza woń spirytusu, formaliny i martwych ryb.

Odezwała się łagodnym tonem. – Panie Bulke?

Spojrzał na moment w jej stronę, ale zaraz odwrócił wzrok.

– Chciałabym zadać panu kilka pytań. Żadnej reakcji.

– Panie Bulke, czy widział pan napastnika, który pana zaatakował? Oczy wywróciły się w oczodołach, wilgotne wargi rozchyliły się. – Ta... twarz.

– Jaka twarz? Jak ona wyglądała?

– Wykrzywiona... O Boże... – Jęknął i wydał z siebie bełkot.

– Czy mógłby pan sprecyzować? Czy to był mężczyzna, czy kobieta?

Ciche skomlenie, krótkie potrząśnięcie głową.

– Czy napastnik był jeden, czy może było ich kilku?

– Jeden – padła chrapliwa odpowiedź.

Hayward spojrzała na sanitariusza. Ten wzruszył tylko ramionami. Odwróciła się i przywołała do siebie jednego ze stojących opodal detektywów – Zostań z nim przez całą drogę do szpitala. Jeżeli zacznie mówić z nieco większym sensem, sporządź dokładny opis napastnika. Chcę wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

– Tak jest, pani kapitan.

Wyprostowała się i powiodła wzrokiem po twarzach stojących w pobliżu policjantów – Kimkolwiek lub czymkolwiek jest sprawca, został osaczony. Chcę, żebyśmy weszli tam po niego. I to już teraz. Zaraz.

– Czy nie powinniśmy wezwać oddziału SWAT? – zapytał Visconti.

– Zanim SWAT zebrałyby odpowiedni sprzęt i dotarł tu, minęłoby dobrych parę godzin. W dodatku ich regulamin operacyjny jest tak skomplikowany, że tylko wszystko niepotrzebnie by opóźnili. Na tym portfelu widniały ślady świeżej krwi, jest szansa, że Lipper żyje i jest zakładnikiem w rękach mordercy – Rozejrzała się dokoła. – Wy trzej pójdziecie ze mną. Sierżant Visconti, funkcjonariusz Martin i detektyw, sierżant O'Connor.

Zapadła cisza. Trzej policjanci wymienili między sobą spojrzenia.

– Coś nie tak? Jest nas czworo na jednego. Znowu niepewne spojrzenia.

Westchnęła. – Nie mówcie mi, chłopcy, że daliście się nabrać na te plotki rozpowszechniane przez strażników z muzeum? Co jest, myślicie, że wybieramy się na polowanie na mumię?

Visconti poczerwieniał i w odpowiedzi wydobył pistolet, sprawdził magazynek i przeładował. Pozostali zrobili to samo.

– Wyłączcie krótkofalówki, komórki, pagery, wszystko. Nie chciałabym, podchodząc po cichu sprawcę, usłyszeć w którymś momencie Piątej Symfonii Beethovena.

Przytaknęli.

Hayward wyjęła kserokopię planów poddasza, o którą wcześniej poprosiła, i rozłożyła ją na jednej ze skrzyń. – W porządku. Ta część poddasza jest podzielona na szesnaście wąskich pomieszczeń – o, tutaj – ciągnących się w dwóch równoległych rzędach pod dwoma dachami i połączonych krótkim korytarzem na przeciwległym końcu. Innymi słowy w grę wchodzi tylko jedna droga ucieczki: wyjście na dach przez któreś z tych okien. Już się tym zajęłam. Świetliki są rzekomo okratowane. Co oznacza, że zabójca, gdyby chciał uciec, będzie musiał przejść przez nas... Jest osaczony.

Przerwała i spojrzała kolejno na każdego z nich. – Pójdziemy parami. Szybki rekonesans, zaglądamy do każdego z pomieszczeń i wycofujemy się, a potem przejście do następnego. Jedna osoba wchodzi, druga ją osłania. Ja pójdę z O’Connorem. Martin, ty i Visconti zachowajcie odpowiedni dystans. Tylko nie za duży. Góra pół pomieszczenia. Nie przesadźcie z tym. I pamiętajcie: mamy działać w przeświadczeniu i z nadzieją, że Lipper żyje i jest zakładnikiem w rękach zabójcy. Nie możemy szafować jego życiem. Możecie posunąć się do rozwiązań ostatecznych tylko w przypadku absolutnej konieczności i jeśli uzyskacie potwierdzenie, że Lipper na pewno nie żyje. Rozumiemy się?

Wszyscy przytaknęli.

– Ja poprowadzę.

Gdy żaden z nich nie zaprotestował ani nie poczynił typowego w tego rodzaju przypadkach komentarza, iż jest to zadanie dla mężczyzny, Hayward potraktowała to jako znak, że obecność kobiet w policji uznano wreszcie za coś normalnego. A może tamci trzej po prostu za bardzo się bali i dlatego żaden nie odezwał się nawet słowem.

Ostrożnie minęli miejsce przestępstwa; Hayward szła pierwsza, O’Connor tuż za nią. Podłoga była zalana krwią, półka, na której stały

wcześniej słoje z okazami, leżała tam, gdzie ją zrzuciono, wszędzie walały się odłamki szkła, a w kałużach cuchnących płynów konserwujących można było dostrzec gnijące szczątki węgorzy. Minęli strażnika pilnującego miejsca przestępstwa od drugiej strony i przeszli do sąsiedniego pomieszczenia. Rozstawione wokół miejsca przestępstwa tymczasowe oświetlenie było tu znacznie słabsze i wewnątrz panowały iście egipskie ciemności.

Hayward i O'Connor zajęli pozycje po obu stronach wejścia. Pani kapitan pospiesznie zajrzała do środka, wychyliła się na zewnątrz, skinęła do O'Connora, po czym ruszyła dalej.

Pusto. Kolejne półki zostały pozrywane, podłogę zaścielały odłamki szkła, w powietrzu unosiła się dławiąca woń płynów do konserwowania. W tych słojach dla odmiany znajdowały się niewielkie gryzonie. Ktoś rozsypał dokoła ułożone wcześniej w stertę papiery i porozrzucił wiele znajdujących się tu przedmiotów. Przywiodło jej to na myśl fragment wstępnego raportu z sekcji DeMeo; o tym, że zabójca wrywał organy wewnętrzne na chybił trafił, wyszarpując je w przypiływie szaleńczej, chaotycznej fali brutalności. Przykład chorej żądz niszczenia.

Podkraśniała się do kolejnych drzwi, zaczekała, aż pozostali rozstawią się na pozycjach, i zajrzała do środka. Następny pokój, równie mroczny jak poprzedni, w dodatku kompletnie zdemolowany. Jeden z brudnych świetlików był uszkodzony, szyba została wybita, ale kraty powyżej wyglądały na nienaruszone. Sprawca nie mógł się tedy wydostać. To nie wchodziło w rachubę.

Zastygła w bezruchu, nasłuchując. Z odległych mroków poddasza dobiegło echo ledwie słyszalnego dźwięku.

– Ciii – wyszeptała. – Słyszeliście to?

To był dziwny odgłos kroków, jakby ktoś szedł, powłócząc nogą, przeciągłe szuranie, któremu towarzyszył raz po raz głuchy stukot:

Szuuur-łup. Szuuur-łup.

Hayward weszła do kolejnego pomieszczenia, wewnątrz było ciemno choć oko wykol. Wyjęła latarkę i oświetliła nią pokój. Zmagazynowano tu tysiące gipsowych twarzy – masek pośmiertnych, które patrzyły na wchodzących z każdego skrawka ściany. Niektóre maski musiały zostać niedawno uszkodzone: ktoś, najprawdopodobniej zabójca, zaatakował je jakimś ostrym narzędziem, tnąc na prawo i lewo, wyłupując oczy i pozostawiając wszędzie rozmazane ślady krwi. W sąsiednim pomieszczeniu światła były zgaszone. Przykucnąwszy przy ścianie u wejścia, Hayward gestem dała znak swoim ludziom, aby nie podchodzili bliżej.

Sama zaś wychyliła się do przodu, wyciągając słuch. Dziwne dźwięki ucichły; zabójca czekał cierpliwie. I on także nasłuchiwał. Nie tyle wiedziała, ile raczej wyczuła, że był blisko, bardzo blisko. Wyczuwała, że poziom napięcia w jej małym zespole narasta z każdą chwilą. Lepiej iść dalej; im mniej czasu na myślenie, tym lepiej.

Hayward ruszyła naprzód, omiotła wnętrze pokoju światłem latarki, po czym wyszła na korytarz najszybciej jak potrafiła. Coś kucalo pośrodku pomieszczenia, nagie, okrwawione, jak zwierzę... Lecz bez wątpienia była to istota ludzka, w dodatku zdumiewająco drobna i chuda.

Dała znak pozostałym, unosząc do góry palec i wskazując nim w stronę wejścia – jeden sprawca, w pokoju obok.

Przygotowania trwały przez jedną, krótką, pełną napięcia chwilę. A potem Hayward odezwała się donośnym, dźwięcznym głosem:

Policja! Nie ruszać się! Jesteśmy uzbrojeni. Mamy cię na muszce. Podejdź do drzwi, z rękami w górze.

Usłyszeli szuranie, a potem głuchy łoskot i tupanie, jakby zwierzę pełzło desperacko przed siebie na czworakach.

– On ucieka!

Z pistoletem w dłoni Hayward pojawiła się w przejściu, by ujrzeć, jak ciemna postać znika w mrokach sąsiedniego pokoju. Po chwili dał się słyszeć ogłuszający łoskot.

– Za mną!

Przebiegła przez pomieszczenie i przystanęła u wejścia do następnego, po czym zajrzała do środka, przyświecając sobie latarką. Ani śladu tajemniczej postaci, ale było tu mnóstwo rozmaitych zakamarków, gdzie mógł się ukryć zabójca.

– Dalej!

Wpadli do kolejnego pomieszczenia, błyskawicznie rozstawiając się na pozycjach. To było największe pomieszczenie z tych, jakie dotąd spenetrowali, pełne szarych metalowych regałów, na których jeden przy drugim stały rzędami słoje. W każdym z nich znajdowało się jedno oko wielkości melona, włókna nerwowe przypominały pęk grubych macek. Słoje z jednej z półek zostały zrzucone na podłogę, z popękanych gałek ocznych leżących w kałuży płynu do konserwowania wyciekał galaretowaty płyn, wszędzie walały się odłamki szkła. Błyskawiczna inspekcja potwierdziła, że pomieszczenie było puste. Hayward zebrała swój zespół.

– Powoli, lecz nieuchronnie – rzekła – zapędzimy go do miejsca, skąd nie będzie już mógł uciec. Pamiętajcie, że ludzie, tak jak zwierzęta, kiedy ich osaczyć, stają się o wiele bardziej niebezpieczni.

Tamci przytaknęli.

Rozejrzała się wokoło. – Wygląda mi to na kolekcję gałek ocznych waleni.

Stłumiony, niepewny chichot.

– W porządku. Sprawdzimy każde z tych pomieszczeń po kolei. Bez pośpiechu.

Hayward podeszła do następnych drzwi, nasłuchiwała przez chwilę, po czym zajrzała do środka i poświeciła latarką to w jedną, to

w drugą stronę. Nic.

Gdy weszli do pomieszczenia, Hayward usłyszała nagle rozdzierający, ochrypły ryk dochodzący z sąsiedniego pokoju, a zaraz potem przeraźliwy brzęk tłuczonego szkła i szum wylewających się płynów. Policjanci drgnęli nerwowo, jakby dosięgły ich niewidzialne kule. W powietrzu rozszedł się silny odór alkoholu etylowego.

– To cholerstwo jest łatwopalne – rzekła Hayward. – Jeśli ma zapalki... Bądźcie czujni. Może trzeba będzie stamtąd szybko uciekać.

Ruszyła naprzód, omiatając wewnątrz promieniem latarki.

– Widzę go! – zawołał O'Connor.

Szuuuur-łup! Ochrypły wrzask jak skrzeczenie banshee, upiora zwiastującego nieszczęście, i nagle ciemna postać, nieduża, lecz przepelniona złowrogą, szaleńczą zawziętością rzuciła się na nich, unosząc w zaciśniętej dłoni szary krzemienisty nóż. Hayward uskokczyła w tył, przestępując próg, i opadające ostrze przecięło tylko powietrze.

– Policja! – zawołała. – Rzuć broń!

Postać jednak nie zważała na jej słowa i zbliżała się, pełznąca bokiem, na czworakach, jak krab; nóż raz po raz ze świstem ciął powietrze.

– Nie strzelać! – zawołała Hayward. – Gazem go!

Uchyliła się przed kolejnym ciosem, uskokczyła w bok, podczas gdy trzej pozostali gliniarze podeszli do napastnika z dwóch stron, schowali pistolety do kabur i sięgnęli po pałki oraz pojemniki z gazem łzawiącym. Visconti rzucił się naprzód i potraktował chudego obłąkańca porcją gazu; mężczyzna zawył jak demon i okręcił się dziko wokół osi, siekąc na oślepa trzymanym w dłoni kamiennym nożem. Hayward zwinnie przyskokczyła i zadała szybkie, celne kopnięcie pod kolano tamtego, powalając go na ziemię. Po drugim kopniaku nóż wypadł mu z ręki i potoczył się po podłodze.

– Skuć go!

Lecz Visconti już wziął się do roboty, zamykając stalową obręcz na przegubie napastnika, a następnie z pomocą O'Connora unieruchomił drugą rękę opętańca i wykręciwszy ją do tyłu, zatrzasnął na niej drugą obręcz kajdanek.

Pojmany zaczął wyć i wierzgać obiema nogami.

– Załóżcie mu też kajdanki na kostki – rozkazała Hayward.

Po chwili sprawca leżał na brzuchu przyszpilony do ziemi, wijąc się i wrzeszcząc na całe gardło, głos miał tak wysoki i piskliwy, że zdawał się ciąć powietrze niczym skalpel.

– Sprowadźcie tu lekarza – rzekła Hayward. – Trzeba podać mu coś na uspokojenie.

Większość podejrzanych, gdy ich ręce i nogi zostały zakute w kajdanki i gdy leżeli unieruchomieni, zwykle się uspokajała.

Z tym było inaczej. Wciąż się szamotał z boku na bok, rycząc przeraźliwie, wił się jak piskorz, miotał i szalał, i choć był drobnej budowy, Hayward i reszta zespołu wspólnymi siłami z ledwością zdołali przygwoździć go do podłogi.

– Musi być naćpany po same uszy – rzucił jeden z policjantów.

– Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś po prochach zachowywał się w taki sposób.

Niebawem zjawił się lekarz z karetki i wbił igłę strzykawki w pośladek wrzeszczącego na całe gardło mężczyzny. Po chwili zatrzymany zaczął się uspokajać. Hayward wstała i otrzepała się z kurzu.

– O Jezu – rzekł O'Connor. – Gość wygląda, jakby wykapał się we krwi.

– Tak, a na domiar złego jest tak gorąco, że czuć smród tej posoki. Facet cuchnie jak skunks.

– W dodatku ten skurwiel jest nagi.

Hayward cofnęła się. Sprawca wciąż leżał na brzuchu. Visconti

dociskał mu twarz do podłogi, mimo to ten wciąż skamlał i pojękiwał, targając całym ciałem, usiłując na próżno zwalczyć efekt działania podanego mu środka uspokajającego.

Pochyliła się nad nim. – Gdzie jest Lipper? – zapytała. – Co z nim zrobiłeś?

Znów tylko ciche skomlenie.

– Odwróć go, chcę zobaczyć jego twarz.

Visconti wykonał polecenie. Twarz i włosy tamtego były pozlepiane zaschniętą krwią i nieczystościami. Na jego obliczu malował się dziwny, nienaturalny grymas, w dodatku raz po raz wykrzywiał je spazmatyczny tik.

– Proszę mu przetrzeć czymś twarz. Jest potwornie brudny. Lekarz rozerwał pakiecik ze zwitkiem wyjałowionej gazy i delikatnie oczyścił nią twarz leżącego.

– O Chryste – wymamrotał mimowolnie Visconti.

Hayward tylko patrzyła bez słowa. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Zabójcą był Jay Lipper.

Spencer Coffey usadowił się w fotelu w gabinecie naczelnika Imhofa, niecierpliwie skubiąc palcami kant spodni. Imhof siedział za biurkiem i wyglądał dokładnie tak jak podczas pierwszego spotkania – wyluzowany i schludny, z nieskazitelną fryzurą i starannie ułożonymi jasnobrązowymi włosami. Mimo wszystko Coffey zdołał dostrzec lekki niepokój i niepewność w jego oczach. Agent specjalny Rabiner stanął nieco z tyłu, z założonymi na piersi rękami, opierając się plecami o ścianę.

Coffey zaczekał, aż cisza panująca w gabinecie stanie się drażniąca i uciążliwa, po czym odezwał się. – Panie Imhof – zaczął – obiecał pan, że zajmie się tym osobiście.

– I tak też zrobiłem – odparł Imhof lodowatym, beznamietnym tonem.

Coffey rozsiadł się wygodniej w fotelu. – Agent specjalny Rabiner i ja wracamy właśnie z rozmowy z więźniem. Z przykrością muszę stwierdzić, że więzień nie wykazuje jakichkolwiek oznak poprawy, nic nie świadczy o tym, aby zdołał pan nauczyć go szacunku i pokory. Już wcześniej powiedziałem, że nie interesuje mnie, w jaki sposób zrealizuje pan zadanie, jakie panu wyznaczyliśmy. Interesują mnie wyłącznie wyniki. Pański plan, jakkolwiek by był, nie zadziałał. Więzień jest równie wyniosły, butny i arogancki jak w chwili, gdy przekroczył bramę pańskiego więzienia. Nie odpowiada na pytania.

W dodatku jest bezczelny. Kiedy zapytałem, jak mu się podoba w izolatce, odparł, że to o wiele lepsze.

– O wiele lepsze niż co?

– Niż stykanie się z „byłymi klientami”, jak to określił ten sarkastyczny łajdak. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie ma ochoty spoufalać się z innymi osadzonymi w tym zakładzie. Jest niepoprawny i wojowniczy jak zawsze.

– Agencie Coffey, czasami tego typu rzeczy wymagają czasu.

– Tak się składa, że nie mamy go zbyt wiele, panie Imhof. Zbliża się termin drugiego przesłuchania w sprawie ustalenia wysokości kaucji i Pendergast będzie mógł pokazać w sądzie, na co go stać. To będzie jego benefis. Tylko do tego czasu możemy odmówić mu kontaktu z adwokatem. Do tej pory trzeba go złamać – musi zostać złamany i musi złożyć zeznanie. Musi się przyznać. – Nie dodał, że pojawiły się pewne problemy podające w wątpliwość obciążające znaczenie niektórych materiałów dowodowych. Podczas przesłuchania dałoby to Pendergastowi szansę na wywiniecie się wymiarowi sprawiedliwości, zeznanie zaś, a właściwie przyznanie się do winy szybko i gładko załatwiłoby całą sprawę i przypieczętowało jego los.

– Jak już mówiłem, to wymaga czasu.

Coffey wziął głęboki oddech, usiłując przypomnieć sobie słabe punkty Imhofa. Trochę kija, trochę marchewki.

– A tymczasem nasz osadzony wyklina na pana i na pańskie więzienie przed wszystkimi, którzy zechcą go słuchać, strażnikami, personelem i w ogóle. A to naprawdę elokwentny skurwiol, panie Imhof.

Naczelnik milczał, lecz Coffey z niekłamaną satysfakcją spostrzegł lekkie drżenie w kąciку ust. Mimo to Imhof nie zaproponował wdrożenia bardziej zdecydowanych procedur nacisku. Może ich po prostu nie było...

I właśnie wtedy wpadł mu do głowy pewien pomysł – prawdziwie mistrzowski plan. Zrodził się ze wzmianki o „byłych klientach” Pendergasta. A więc Pendergast bał się spotkania z nimi.

– Panie Imhof – rzekł półgłosem, jakby pragnąc ukryć wewnętrzną ekscytację. – Czy komputer na pańskim biurku ma połączenie z komputerową bazą danych z Departamentu Sprawiedliwości?

– Oczywiście.

– No to dobrze. Sprawdzimy zatem niektórych z jego „byłych klientów”.

– Nie rozumiem.

– Proszę wejść w pliki z rejestrami aresztowań dokonanych przez Pendergasta. A potem pan skoreluje te dane z listą osadzonych w tym zakładzie i sprawdzi, czy zachodzą między nimi jakieś zbieżności.

– Chce pan sprawdzić, czy któryś z przestępców aresztowanych przez Pendergasta odsiaduje obecnie karę w Herkmoor?

– Właśnie tak.

Coffey obejrzał się przez ramię na Rabinera. Agent wyszczerzył się do niego.

– Podoba mi się pański tok rozumowania, szefie – powiedział. Imhof przysunął do siebie klawiaturę i zaczął stukać w klawisze.

Potem przez dłuższą chwilę wlepiął wzrok w ekran, podczas gdy Coffey czekał z coraz większym zniecierpliwieniem.

– To dziwne – rzekł Imhof. – Procent zgonów wśród przestępców zatrzymanych przez Pendergasta znacznie przewyższa średnią. Większość z nich nie dożyła procesu.

– Ale na pewno jest wśród nich kilku takich, którzy odpowiedzieli za swoje zbrodnie przed sądem i trafili za kratki.

Znów odgłos stukania w klawisze. Wreszcie Imhof odsunął się od monitora.

– Znalazłem dwóch, którzy obecnie odsiadują wyrok w Herkmoor.

Coffey spojrział na niego z przejęciem. – Proszę mi o nich opowiedzieć.

– Jeden nazywa się Albert Chichester.

– Proszę mówić dalej.

– To seryjny zabójca.

Coffey energicznie zatarł dłonie, po czym znów spojrział na Rabinera.

– Otruł dwanaście osób w domu spokojnej starości, gdzie był zatrudniony – ciągnął Imhof – jako pielęgniarz. Ma siedemdziesiąt trzy lata.

Równie szybko jak się pojawiła, euforia opuściła Coffeya. – Och – mruknął.

Zapadła chwila ciszy.

– A ten drugi? – zapytał agent specjalny Rabiner.

– To niebezpieczny bandzior, niejaki Carlos Lacarra. Znany jako El Pocho.

– Lacarra – powtórzył Coffey.

Imhof skinął głową. – Były baron narkotykowy. Prawdziwy twardziel. Działał we wschodnim L.A., rozszerzając swoje wpływy coraz dalej na wschód i podporządkowując sobie uliczne gangi. Przejął większą część hrabstwa Hudson i przekupił sporo glin z Newark.

– Doprawdy?

– Zamęczył na śmierć całą rodzinę, w tym troje dzieci. W ramach zemsty za nieudaną transakcję. Zgodnie z tym, co mam tu napisane, Pendergast był agentem specjalnym prowadzącym operację ujęcia tego typu. Dziwne, ale jakoś tego nie pamiętam.

– Jaki jest status Lacarry w pańskiej placówce?

– Przewodzi gangowi znanemu jako Połamane Zęby. To prawdziwy wrzód na tyłku dla naszych strażników.

– Połamane Zęby – powtórzył Coffey. Jego euforia powróciła w okamgnieniu. – Niech pan mi powie, naczelniku Imhof, gdzie ten Pocho Lacarra spędza swój czas wolny każdego dnia. Wie pan, chodzi mi o codzienne spacer, ćwiczenia, tego typu rzeczy.

– Na placu numer cztery.

– A co by się stało, gdyby przeniósł pan agenta Pendergasta, aby odbywał swoje codzienne ćwiczenia właśnie na placu numer cztery?

Imhof zmarszczył brwi. – Jeśli Lacarra go rozpozna, może się zrobić paskudnie. A nawet jeśli go nie rozpozna, to też może być nieprzyjemnie.

– Jak to?

– Lacarra... Cóż, powiem wprost, on lubi białe mięso... białe parówki, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

Coffey zamyślił się. – Rozumiem. Proszę natychmiast wydać stosowne zalecenia.

Imhof zmarszczył brwi jeszcze bardziej. – Agencje Coffey, to dość radykalne posunięcie.

– Obawiam się, że nasz więzień nie pozostawił nam większego wyboru. Widziałem wielu twardych kiziorów, widziałem wielu butnych i zarozumiałych cwaniaków, ale nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego. Ten brak szacunku z jego strony, lekceważenie instytucji i postępowań prawnych oraz jawna pogarda, jaką żywi dla tej placówki i do pana jako jej naczelnika w szczególności, są po prostu skandaliczne. Nie wolno tego tolerować. To niedopuszczalne.

Imhof wziął głęboki oddech. Coffey z satysfakcją zauważył, że nozdrza tamtego wydeły się leciutko.

– Niech go pan tam pošle, panie Imhof – rzekł półgłosem Coffey – Niech go pan tam przeniesie i zabierze stamtąd, jeśli sytuacja zacznie wymykać się spod kontroli. Ale nie za szybko, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

– Jeśli coś się stanie, mogę mieć kłopoty. Będę potrzebował pańskiego wsparcia.

– Może pan na mnie liczyć, Imhof. I na moje wsparcie. Nie zawiedzie się pan.

To rzekłszy, Coffey odwrócił się, skinął głową do wciąż szczerzącego się Rabinera, po czym obaj wyszli z gabinetu naczelnika.

Kapitan Hayward siedziała za swoim biurkiem, wpatrując się w istną lawinę papierów walających się na blacie. Nie znosiła nieporządku; nie cierpiała bałaganu, nienawidziła niepoukładanych dokumentów rozsypujących się na wszystkie strony. A jednak niezależnie, jak bardzo starała się je poukładać i uporządkować, efekt był taki sam – biurko stanowiło fizyczne uosobienie bałaganu i frustracji przepelniających jej umysł. Teraz na przykład powinna sporządzić raport na temat zabójstwa DeMeo. Mimo to czuła się jak sparalizowana. Ciężko było pracować nad nową sprawą, mając świadomość, że dokumentnie schrzaniło się poprzednią i że niewinny, a w każdym razie prawie niewinny człowiek siedział w więzieniu niesłusznie oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił i za którą mogła mu grozić kara śmierci.

Nadludzkim wysiłkiem zmusiła się, by opanować chaos w myślach. Zawsze organizowała się w ten sposób, tworząc mentalne listy, a raczej niemające końca listy list. Trudno jednak było jej ruszyć naprzód z którymkolwiek ze śledstw, dopóki sprawa Pendergasta pozostawała nierozwiązana.

Westchnęła, skoncentrowała się i zaczęła raz jeszcze.

Po pierwsze: prawdopodobnie niewinny człowiek siedział w więzieniu oskarżony o zabójstwo z premedytacją.

Po drugie: jego brat, od dawna uważany za zmarłego, powrócił,

uprowadził kobietę, która najwyraźniej nie miała z tym wszystkim nic wspólnego, ukradł najcenniejszą kolekcję brylantów na świecie, a potem zniszczył ją. Dlaczego?

Po trzecie...

Pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia.

Hayward ustaliła z sekretarką, że miała nikogo do niej nie wpuszczać, nie życzyła sobie, by ktokolwiek jej przeszkadzał, i przez chwilę czuła, jak wzbiera w niej złość; intensywność tego doznania zdumiała nawet ją samą. Opanowała się jednak i lodowatym tonem rzuciła: – Wejść!

Drzwi otwały się powoli, niepewnie i po chwili stanął w nich Vincent D'Agosta.

Nastąpiła krótka chwila niezręcznej ciszy.

– Lauro – zaczął D'Agosta. I nagle umilkł.

Zachowała niewzruszony spokój, choć na jej policzkach pojawiły się silne rumieńce. Przez chwilę nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Usiądź, proszę.

Patrzyła, jak wchodzi do gabinetu i zajmuje miejsce na krześle, a równocześnie szybko i skutecznie tłumiła w sobie wzbierające emocje. Bardzo zeszczupłał i prezentował się całkiem nieźle w garniturze i kupionym od ulicznego handlarza krawacie za dwadzieścia dolarów; rzedniejące włosy zaczesał gładko do tyłu.

Chwila krępującej ciszy przedłużała się.

– No to... co tam u ciebie? – zapytał D'Agosta.

– W porządku. A u ciebie?

– Komisja dyscyplinarna w mojej sprawie ma się zebrać w pierwszych dniach kwietnia.

– Świetnie.

– Świetnie? Jeśli uznają mnie za winnego, moja kariera weźmie w łeb, stracę emeryturę, uposażenie i całą resztę.

– Chodziło mi o to, że dobrze, iż nareszcie będzie już po wszystkim – rzekła zduszonym głosem. Czy po to tu przyszedł, aby się poskarżyć? Czekala, aż przejdzie do rzeczy.

– Posłuchaj, Lauro, chciałbym ci coś powiedzieć.

– Tak?

Zauważyła, że był bardzo spięty. – Przepraszam – powiedział. – Naprawdę bardzo mi przykro. Wiem, że cię zraniłem, wiem, że potraktowałem cię jak śmiecia... Chciałbym wiedzieć, jak mógłbym to naprawić.

Hayward czekała.

– Wtedy byłem święcie przekonany, że postępuję słusznie. Naprawdę w to wierzyłem. Próbowałem cię chronić, nie chciałem, żebyś stała się kolejnym celem Diogenesa. Sądziłem, że wyprowadzając się, zapewnię ci bezpieczeństwo. Nie zdawałem sobie sprawy, jak możesz to potraktować... Schrząniłem sprawę. Wydarzenia toczyły się bardzo szybko i nie miałem czasu, aby się nad tym wszystkim zastanowić. Ale od tej pory wszystko sobie gruntownie przemyślałem. Wiem, że musiałem wydawać się zimnym draniem, odchodząc tak z dnia na dzień, bez słowa wyjaśnienia. Pewnie wyglądało to tak, jakbym ci nie ufał. Ale nie o to chodziło.

Zawahał się, przygryzając wargę, jakby się nad czymś zastanawiał. – Posłuchaj – zaczął raz jeszcze. – Naprawdę chciałbym, abyśmy zaczęli wszystko od nowa. Wciąż mi na tobie zależy. Wiem, że może nam się udać...

Nie dokończył. Hayward nie skomentowała jego słów.

– W każdym razie chciałem cię przeprosić.

– Przyjmijmy, że to zrobiłeś. Kolejna chwila krępującej ciszy.

– Coś jeszcze? – spytała Hayward.

D'Agosta poruszył się lekko na krześle. Promienie słońca wpadające przez okno do gabinetu pomiędzy listewkami żaluzji rzucały ukośne

smugi na garnitur policjanta.

– No cóż... Słyszałem, że...

– Co słyszałeś?

– Że ponownie zajęłaś się sprawą Pendergasta.

– Doprawdy? – wycedziła chłodnym tonem.

– Tak. Usłyszałem o tym od mojego kumpla, który pracuje dla Singletona, i poczułem przypływ nowej nadziei. Nadziei, że może mógłbym ci jakoś pomóc. Są rzeczy, o których ci wcześniej nie mówiłem, rzeczy, w które, jak sądziłem, nie byłabyś w stanie uwierzyć. Jeśli jednak wciąż pracujesz nad tą sprawą, po tym wszystkim, co zaszło, pomyślałem sobie, że może powinnaś poznać całą prawdę. Aby... no wiesz, zyskać możliwie jak najwięcej amunicji w tej walce.

Hayward zachowywała spokój, jej oblicze pozostało nieodgadnione. D'Agosta wyglądał starzej, był trochę wymizerowany, ale garnitur miał nowy, a jego koszula była świeżo odprasowana. Zastanawiała się przez krótką bolesną chwilę, kto teraz o niego dbał. W końcu się odezwała.

– Sprawa została zamknięta.

– Oficjalnie tak. Ale mój kumpel powiedział, że próbujesz...

– Nie wiem, co słyszałeś, i niewiele mnie to obchodzi. Znasz mnie na tyle dobrze, że nie powinienesz słuchać bzdur wyssanych z palca kogoś z twoich kumpli z wydziału.

– Ale, Lauro...

– Proszę zwracać się do mnie: pani kapitan Hayward. Znów cisza.

– Posłuchaj, cała ta afera: zabójstwa, kradzież brylantów, porwanie, została od początku do końca wymyślona i zrealizowana przez Diogenesa. To jego robota. Jego wielki plan. Zagrał na nas jak na skrzypcach. To on zamordował tych ludzi i zrobił Pendergasta. To on ukradł brylanty i uprowadził Violę Maskelene.

– Już o tym wspominałeś.

– Tak, ale jest jeszcze coś, o czym nie wiesz, o czym ci nigdy dotąd nie mówiłem...

Hayward poczuła, że ogarnia ją niemal niepohamowana wściekłość; coraz trudniej było jej zachować spokój.

– Poruczniku D’Agosta, nie podoba mi się, że w dalszym ciągu zataja pan przede mną istotne dla sprawy informacje.

– Ja nie chciałem, żeby...

– Wiem dokładnie, czego chciałeś.

– Wysłuchaj mnie, do cholery. Viola Maskelene została porwana tylko dlatego, że ona i Pendergast się kochają.

– Och, dajże spokój.

– Byłem na Caprai, kiedy spotkali się tam w ubiegłym roku. Pendergast przesłuchiwał ją w sprawie zaginionego stradivariusa. Od pierwszej chwili coś między nimi zaiskrzyło. A Diogenes w jakiś sposób musiał się o tym dowiedzieć.

– Spotykali się?

– Niezupełnie. Ale Diogenes zwabił ją tutaj, wykorzystując nazwisko Pendergasta.

– To zabawne. Podczas przesłuchania nie wspomniała o tym ani słowem.

– Usiłowała chronić Pendergasta i samą siebie. Gdyby wydało się, że coś ich łączy..

– Po jednym krótkim spotkaniu na wyspie. D’Agosta pokiwał głową.

– Zgadza się.

– Agent Pendergast i lady Viola Maskelene. Zakochana para.

– Nie mogę się w stu procentach wypowiadać co do uczuć, jakie żywi względem niej Pendergast. Ale jeśli chodzi o Violę Maskelene, na pewno się nie myłę.

– W jaki sposób Diogenes miałby dowiedzieć się o uczuciu

łączących tych dwoje?

– W grę wchodzi tylko jedna możliwość: kiedy Diogenes opiekował się Pendergastem we Włoszech, po wydostaniu go z zamku hrabiego Fosco. Pendergast majaczył, być może wypowiedział także niechcący jej imię. Teraz już rozumiesz? Diogenes uprowadził Violę, aby w najwyższym stopniu zaabsorbować Pendergasta, a w tym czasie sam zajął się dokonaniem starannie zaplanowanej kradzieży brylantów w muzeum.

D’Agosta umilkł. Hayward wzięła głęboki oddech i spróbowała się trochę opanować.

– To historia jakby żywcem wyjęta z tandetnego romansidła – skwitowała powoli. – W normalnym życiu takie rzeczy się nie zdarzają.

– Czy z nami było inaczej?

– To, co zaszło pomiędzy nami, było pomyłką, o której staram się zapomnieć.

– Lauro, proszę cię, posłuchaj...

– Jeszcze raz zwrócisz się do mnie po imieniu, a każę wyprowadzić cię z tego budynku.

D’Agosta skrzywił się. – Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Czy słyszałaś o firmie zajmującej się sporządzaniem specjalnych analiz i ekspertyz pod nazwą Efektywne Rozwiązania Inżynieryjne, która mieści się przy 12 Małej Zachodniej i której szefem jest niejaki Eli Glinn? Ostatnio spędzam tam wiele czasu, wykonując pewne drobne fuchy na boku.

– Nigdy o niej nie słyszałam. A znam wszystkie legalne firmy specjalistyczne zajmujące się sporządzeniem skomplikowanych ekspertyz na zamówienie.

– Cóż, to bardziej firma inżynieryjna, w dodatku mocno utajniona, ale ostatnio jej specjaliści opracowali profil psychologiczny

Diogenesa. Potwierdza on wszystko, co powiedziałem ci na jego temat.

– Profil psychologiczny? Na czyje zlecenie?

– Agenta Pendergasta.

– To wzbudza zaufanie – rzekła sarkastycznie.

– Profil stwierdza wyraźnie, że Diogenes jeszcze nie skończył.

– Nie skończył?

– Wszystko, co zrobił do tej pory, te zabójstwa, porwanie, kradzież brylantów, prowadzi do czegoś innego. Do czegoś większego. Może nawet dużo większego.

– To znaczy?

– Nie wiemy.

Hayward sięgnęła po plik akt i z trzaskiem ułożyła je na skraju biurka. – Niezła historyjka.

D’Agosta zaczął tracić nad sobą panowanie. – To nie żadna historyjka. Posłuchaj, Lauro, posłuchaj tego, co mówię. To przecież ja, Vinnie. To ja.

– Dość tego – Hayward wcisnęła guzik interkomu. – Fred? Przyjdź, proszę, do mojego gabinetu i wyprowadź stąd porucznika D’Agostę.

– Nie rób tego, Lauro...

Odwróciła się do niego i w końcu wybuchnęła: – Owszem zrobię to. Okłamałeś mnie! Przez ciebie wyszłam na idiotkę. Chciałam dać ci wszystko. A ty...

– Naprawdę bardzo mi przykro. Boże, gdybym tylko mógł cofnąć czas, postąpiłbym inaczej. Staralem się ze wszystkich sił, próbowałem zrównoważyć lojalność wobec Pendergasta lojalnością wobec ciebie. Pokpiłem sprawę, ale wierzę, że warto powalczyć o to, co było między nami. Chciałbym, abyś mi wybaczyła.

W drzwiach pojawił się sierżant policji. – Poruczniku? – powiedział.

D’Agosta wstał, odwrócił się i wyszedł, nie oglądając się. Sierżant

z hukiem zamknął za nimi drzwi, pozostawiając Laure Hayward samą na sam ze stertą dokumentów. Siedziała za biurkiem milcząca i rozdygotana i choć wpatrywała się w papiery leżące przed nią na blacie, wcale ich nie dostrzegała. Nie widziała niczego.

Nad ulicami Górnego Manhattanu zapadła ciemna, mroźna noc, ale nawet w wyjątkowo słoneczny dzień światło nie docierało do wnętrza biblioteki w rezydencji przy Riverside Drive 891. Metalowe okiennice w gotyckich oknach były pozamykane, a same okiennice niewidoczne za zaciągniętymi grubymi brokatowymi zasłonami. Wnętrze rozświetlał jedynie blask ognia, poświata płynąca z lichtarza i dogasających węgli na palenisku kominka.

Constance siedziała w fotelu obitym polerowaną skórą. Była dziwnie naprężona i czujna, jakby w każdej chwili gotowa zerwać się z miejsca i rzucić do ucieczki. Patrzyła z przejęciem na drugą osobę obecną w bibliotece – Diogenesa Pendergasta, który siedział naprzeciw niej na kanapie, z tomikiem rosyjskiej poezji w dłoni. Mówił cicho aksamitnym głosem, a jego ciepły akcent z dalekiego Południa dziwnie pasował do języka rosyjskiego .

– „*Namrmb o coahue b cepdue cnabeem. Menmeu mpaba*” – dokończył, po czym odłożył tomik i spojrzał na Constance. – „Wspomnienie słońca w sercu półmartwe. Płowieje trawa”. – Zaśmiał się cicho. – Achmatowa. Nikt nigdy nie pisał o smutku z równie powściągliwą elegancją tak jak ona.

Zapadła chwila ciszy.

– Nie znam rosyjskiego – odparła w końcu Constance.

– To piękny, poetycki język, Constance. Wielka szkoda, ponieważ

czuję, że słuchając, jak Achmatowa opowiada o smutku w swoim ojczystym języku, mogłabyś poradzić sobie z własnym brzemieniem.

Zmarszczyła brwi. – Nie noszę w sobie brzemienia smutku. Diogenes uniósł brwi i odłożył tomik na bok. – Proszę, dziecino – rzekł półgłosem. – To ja, Diogenes. Możesz grać odważną i twardą wobec innych. Przy mnie niczego nie musisz ukrywać. Znam cię. Jesteśmy do siebie bardzo podobni.

– Podobni? – Constance zaśmiała się z rozgoryczeniem. – Jesteś przestępcą. A ja... tak naprawdę nic o mnie nie wiesz.

– Wiem całkiem sporo, Constance – odparł tym samym cichym głosem. – Jesteś niezwykła. Jedyna w swoim rodzaju. Jak ja. Stanowimy prawdziwe unikaty. Wiem, że zostałeś pobłogosławiona i przeklęta osobliwym, porażającym brzemieniem. Ilu pragnęłoby tego daru, który otrzymałaś od mego stryjecznego dziadka Antoine’a, lecz jak niewielu potrafiłoby zrozumieć, co on tak naprawdę oznacza. To nie jest wyzwolenie, bynajmniej. Tyle lat dzieciństwa... tak wiele lat... a mimo to zostałeś go w brutalny sposób pozbawiona...

Spojrzał na nią, płomienie rozjaśniły jego dziwne dwukolorowe oczy.

– Mówiłem ci. Mnie również odebrano dzieciństwo. Przez mego brata i jego obsesyjną nienawiść do mnie.

Constance już miała zaprotestować, lecz w ostatniej chwili zmitygowała się. Poczowała, że mała biała myszka układa się w jej kieszonce do snu, zwijając się w kłębek. Mimowolnie przesunęła szczupłymi palcami po materiale i wsunąwszy je do kieszonki, pogłaskała zwierzątko.

– Ale już o tym wspominałem. O tamtych czasach. O tym, jak mnie wtedy potraktował.

W prawym ręku trzymał kieliszek pastisu – wcześniej pofatygował się do kredensu – i teraz powoli, w zamyśleniu upił mały łyk.

– Czy mój brat komunikował się z tobą? – zapytał.

– Niby jak? Wiesz, gdzie jest teraz, trafił tam przez ciebie.

– Inni w podobnej sytuacji umieją znaleźć sposób, aby przesłać wiadomość do tych, na których mu zależy.

– Może nie chce sprawiać mi większej przykrości. – Głos zaczął się jej łamać. Spuściła wzrok, wpatrując się w swoje palce, którymi wciąż głaskała śpiącą myszkę, po czym uniosła głowę i spojrzała na przepięknie spokojne przystojne oblicze Diogenesa.

– Jak już mówiłem – powiedział po krótkiej przerwie – mamy ze sobą wiele wspólnego.

Constance w milczeniu głaskała myszkę.

– Tak wiele mogę cię nauczyć.

Znów kusilo ją, by odpowiedzieć jakąś ciętą ripostą, ale i tym razem się pohamowała. – Czego mógłbyś mnie nauczyć? – rzuciła po chwili.

Diogenes uśmiechnął się łagodnie. – Twoje życie, delikatnie mówiąc, jest śmiertelnie nudne. Wręcz absurdalne. Siedzisz w tym ciemnym domu jak w więziennej celi. Dlaczego? Czy nie jesteś żywą istotą? Czy nie powinnaś sama o sobie decydować i robić to, na co masz ochotę? A jednak jesteś zmuszona żyć przeszłością. A teraz jeszcze żyjesz dla innych, którzy zajmują się tobą wyłącznie z poczucia winy albo ze wstydu. Wren, Proctor, ten wiecznie zajęty gliniarz D’Agosta. To twoi więzienni strażnicy. Żaden z nich cię nie kocha.

– Aloysius mnie kocha.

Twarz Diogenesa wykrzywił smutny uśmiezek. – Sądzisz, że mój brat jest zdolny do miłości? Czy kiedykolwiek powiedział, że cię kocha?

– Nie musiał.

– Jaki masz dowód na to, że cię kocha?

Constance chciała odpowiedzieć, ale tylko zapłonęła się z zakłopotania. Diogenes machnął ręką, jakby na potwierdzenie swojej tezy.

– Mimo to nie musisz żyć w ten sposób. Tam na zewnątrz jest wielki ekscytujący świat. Mógłbym pokazać ci, jak wykorzystać twoją zdumiewającą erudycję i twoje niezwykle talenty dla spełnienia, dla przyjemności, dla ciebie samej.

Usłyszawszy te słowa, Constance poczuła, że jej serce mimowolnie zaczyna bić żywszym rytmem. Dłoń gładząca mysz znieruchomiała.

– Musisz żyć nie tylko dla umysłu, lecz także dla zmysłów. Prócz ducha masz także ciało. Nie pozwól, by ten ohydny Wren traktował cię jak więźniarkę. Nie tłum dłużej tego, co w tobie tkwi. Żyj. Podróżuj. Żyj. Kochaj. Mów językami, których się nauczyłaś. Doświadczaj świata bezpośrednio, a nie za pośrednictwem ksiąg cuchnących pleśnią. Żyj kolorowo, a nie w czerni i bieli.

Constance słuchała z uwagą, czując, że zakłopotanie w jej wnętrzu narasta. Prawda była taka, że jej zdaniem wiedziała o świecie tyle co nic. Całe jej życie było preludium do... właśnie, do czego?

– A skoro o kolorach mowa, zwróć uwagę na sufit w tym pomieszczeniu. Jakiego jest koloru?

Constance uniosła wzrok i spojrzała na sklepienie. – Błękitnego.

– Czy zawsze był taki?

– Nie. Aloysius go przemalował podczas... remontu.

– Jak sądzisz, czy wybranie tego odcienia zabrało mu dużo czasu?

– Nie sądzę. Wystrój wewnątrz nie jest jego mocną stroną.

Diogenes uśmiechnął się. – Właśnie. Bez wątpienia podjął tę decyzję z pasją księgowego zabierającego się do swoich rachunków. Taka ważna decyzja, a podjęta w tak trywialny sposób. A przecież w tym pokoju spędzasz najwięcej czasu, czyż nie? To wyraźnie świadczy o jego stosunku względem ciebie, nie uważasz?

– Nie rozumiem.

Diogenes wychylił się do przodu. – Może zrozumiesz, kiedy powiem ci, jak ja wybieram kolory. W moim domu, w moim prawdziwym domu, tym, który jest dla mnie ważny, mam bibliotekę taką jak ta. Początkowo chciałem urządzić ją w błękitach. Jednak po namyśle i dokonaniu paru wstępnych prób stwierdziłem, że w blasku świec, jasnym świetle, jakie tam króluje po zachodzie słońca, niebieski nabierze niemal zielonkawego odcienia. Dalsze eksperymenty ujawniły, że kolory ciemnoniebieskie, takie jak indygo czy kobalt, w tym samym świetle wydają się czarne. Jasny błękit staje się szary. Turkus wydaje się zbyt ciężki i zimny. W tej sytuacji musiałem zrezygnować z koloru niebieskiego, który na co dzień jest moim ulubionym. Rozmaite perłowe szarości, które stawiam zwykle na drugim miejscu, także były nie do przyjęcia, traciły połysk i zmieniały się w matowy, martwy odcień bieli. Ciemne zielenie reagują jak ciemne odcienie niebieskiego i stają się prawie czarne. Dlatego też po dłuższym namyśle zdecydowałem się na jasną, letnią zieleń, w migoczącym blasku świec tworzy ona specyficzny efekt, jakby się było pod wodą. – Zawahał się. – Mieszkam nad morzem. Kiedy zgasną już świece, wsłuchuję się w szum fal i zmieniam się w poławiacza pereł, stając się jednością z zielonkawymi wodami Morza Sargassowego. To najpiękniejsza biblioteka na świecie, Constance.

Zamilkł na chwilę, jakby pogrążył się w zamyśleniu. Wreszcie wychylił się nieznacznie do przodu i uśmiechnął. – I wiesz co?

– Co? – wykrztusiła.

– Pokochałabyś tę bibliotekę.

Constance przełknęła ślinę; nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Spojrzał na nią. – Prezenty, które przyniosłem ci ostatnim razem. Książki i te inne rzeczy... stworzyłaś je?

Constance pokiwała głową.

– Doskonale. One pokażą ci, że tam, na zewnątrz, są całkiem inne światy. Całe wszechświaty aromatycznych woni, pełne cudowności i rozkoszy, które tylko czekają, by je odkryć. Monte Carlo. Wenecja. Paryż. Wiedeń. Albo, jeśli wolisz, Katmandu. Kair. Machu Picchu. – Diogenes zamaszystym ruchem ręki wskazał znajdujące się wokół regały przepelnione oprawnymi w skórę książkami. – Spójrz na te wszystkie woluminy wokoło. Bunyan. Milton. Bacon. Wergiliusz. Sami stateczni moraliści. Czy orchidea ma szansę rozkwitnąć, jeśli podlewa się ją wodą zaprawioną chininą? – Poglądził tomik wierszy Achmatowej. – To dlatego dziś wieczorem czytałem ci wiersze. Aby pomóc ci zrozumieć, że te wszystkie cienie, którymi otaczasz się z konieczności, nie muszą być wyłącznie monochromatyczne. – Sięgnął ręką po kolejny cienki tomik ze stolika leżącego tuż obok niego. – Czytałaś kiedyś Theodore’a Roethkego?

Constance pokręciła głową.

– Ach! Wobec tego doświadczysz za chwilę najcudowniejszej, nieodkrytej rozkoszy. – Otworzył tomik, odnalazł wybrany fragment i przeczytał: – „Myślę, że umarli są delikatni. Może pocałunek?”.

Słuchając tego, Constance poczuła, że gdzieś głęboko w jej wnętrzu coś zaczyna rozkwitać, coś nieuchwytnego, pojawiającego się wyłącznie w ulotnych snach, a mimo wszystko nieznanego, coś obfitego i zakazanego.

– „Śpiewamy wspólnie, śpiewamy z ust do ust...”

Gwałtownie podniosła się z fotela. Myszka w kieszonce jej sukienki, zaskoczona tym nagłym gestem, energicznie zmieniła położenie.

– Jest później, niż sądziłam – rzekła drżącym głosem. – Chyba powinieneś już iść.

Diogenes spojrział na nią łagodnym wzrokiem. Następnie delikatnie zamknął tomik poezji i wstał płynnym ruchem.

– Tak będzie najlepiej – powiedział. – Już wkrótce zjawi się tu ten

nudziarz Wren. Lepiej, żeby mnie tu nie zastał. Ani on, ani inni twoi strażnicy, D'Agosta i Proctor.

Constance poczuła, że się czerwieni, i natychmiast znienawidziła się za to.

Diogenes skinął głową w stronę kanapy. – Zostawię ci także te tomiki – powiedział. – Dobranoc, droga Constance.

Po czym postąpił naprzód i zanim zdążyła zareagować, pochylił głowę, ujął jej dłoń i uniósł do ust. Był to wytworny gest. A jednak coś w sposobie, w jaki jego wargi dotknęły jej palców, kiedy gorący oddech Diogenesa omiótł jej skórę, sprawiło, że w sercu Constance pojawił się nieokreślony, gwałtowny niepokój.

Chwilę potem już go nie było, odszedł nagle, bez słowa, pozostawiając bibliotekę pustą i pogrążoną w kompletnej ciszy, jeśli nie liczyć cichego trzasku ognia.

Przez moment siedziała w bezruchu, wsłuchując się w swój przyspieszony oddech. Nie pozostawił po sobie niczego, nawet najłżejszego zapachu, nic, kompletnie, z wyjątkiem niewielkiego stosiku książek na kanapie.

Podeszła i sięgnęła po pierwszy z brzegu tomik. Był elegancko oprawiony w jedwab ze złoconymi brzegami i ręcznie marmurkowanymi wyklejkami. Obracała go w dłoniach, czując rozkoszną miękkość materiału. Nagle odłożyła tomik na kanapę, sięgnęła po kieliszek niedopitego pastisu i wyszła z biblioteki. Udając się na tyły domu, weszła do kuchni, gdzie umyła i wytarła kieliszek. Uporawszy się z tym, wyszła z kuchni i podeszła do głównych schodów.

W starym domu panowała cisza. Proctora nie było, ostatnio często gdzieś znikał, pomagając Eliemu Glinnowi w realizacji jego planów. D'Agosta zajrzał tu wcześniej, ale tylko po to, by upewnić się, że dom jest odpowiednio zabezpieczony, i zaraz potem znów się ulotnił. A ten

„ohydny Wren” jak zawsze o tej porze przebywał w nowojorskiej bibliotece publicznej. Całe szczęście, że czuwał nad nią jak uciążliwa piastunka tylko za dnia. Nie było potrzeby sprawdzać, czy frontowe drzwi są wciąż zamknięte na cztery spusty. Wiedziała, że tak było.

Wolno weszła po schodach do swego luksusowego apartamentu na drugim piętrze. Delikatnie wyjąwszy białą myszkę z kieszeni, włożyła ją do klatki. Zdjęła sukienkę i bieliznę i starannie je złożyła. Zwykle dokonywała później wieczornych ablucji, przebierała się w nocną koszulę i jeszcze przez godzinę lub dłużej czytała w fotelu, zanim ułożyła się na spoczynek – obecnie przegryzała się przez eseje Johnsona z „Ramblera”.

Ale nie dziś. Nie tej nocy. Miękkim krokiem weszła do łazienki i napełniła wielką alabastrową wannę gorącą wodą. Następnie sięgnęła po pięknie opakowane pudełko leżące na mosiężnej tacy opodal. Znajdowało się w nim sześć niedużych szklanych buteleczek od paryskiego wytwórcy olejków do kąpieli, prezent pozostawiony przez Diogenesa podczas jego poprzedniej wizyty. Wybrawszy jedną z buteleczek, wlała całą zawartość do wody. W powietrzu rozszedł się oszałamiający aromat lawendy i paczuli.

Constance podeszła do wielkiego lustra i przez dłuższą chwilę przyglądała się swemu nagiemu odbiciu, wodząc dłońmi wzdłuż boków i po płaskim gładkim brzuchu. Wreszcie odwróciwszy się od lustra, weszła do wanny. To była już czwarta wizyta Diogenesa. Wcześniej często mówił o swoim bracie i rzucił kilka aluzji na temat pewnego zdarzenia – Diogenes wypowiedział to słowo ze szczególną emfazą. Zdarzenia tak strasznego i traumatycznego, że nie chciał nawet o tym wspominać, nie potrafił się na to zdobyć. Wyjaśnił tylko, że właśnie wtedy oślepnął na jedno oko. Opowiedział jej natomiast, jak jego brat od tamtej pory starał się zwrócić wszystkich przeciwko niemu.

W tym także ją, posługując się kłamstwami i insynuacjami, aby odmalować go jako wcielenie szatana. Początkowo sprzeciwiała się gwałtownie tego rodzaju wypowiedziom. To naginanie prawdy, twierdziła, wypaczanie jej dla osiągnięcia sobie tylko znanych, uprzednio wyznaczonych celów.

Ale on był taki spokojny i opanowany. Nic sobie nie robił z jej wybuchów gniewu, a w dodatku wydawał się rozsądny, bystry i przekonujący, że niejako wbrew sobie zaczęła mieć wątpliwości. Niczego już nie była pewna. Mętlik w jej głowie narastał. To fakt, że Pendergast wydawał się niekiedy nieprzystępny, zimny i wyniosły, ale on po prostu już taki był... nieprawdaż? Czyż nie dlatego nie skontaktował się z nią zza krat, by oszczędzić jej niepotrzebnych stresów i niepokojów? Kochała go, w milczeniu, na dystans, miłością, której on nigdy nie odwzajemni ani nawet nie dostrzeże. Tak wiele by dla niej znaczyło, gdyby się do niej odezwał.

Czy to możliwe, że w opowieściach Diogenesa kryło się ziarenko prawdy? Rozum podpowiadał jej, że nie wolno mu było ufać, bądź co bądź był złodziejem, a może także sadystycznym zabójcą... ale serce mówiło całkiem co innego. Wydawał się taki delikatny i wyrozumiały. Taki łagodny. Pokazał jej nawet dowody: dokumenty, stare fotografie, które podawały w wątpliwość wiele z tego, co na jego temat usłyszała od Aloysiusa. Niczemu jednak nie próbował zaprzeczać, co więcej, przyjął na siebie całe brzemie win, przyznając się do tego, iż jako brat nie spisał się najlepiej, miał bowiem mnóstwo wad i rozmaitych słabości. Wszystko było takie pogmatwane.

Constance zawsze ufała swemu rozumowi, choć niemal instynktownie zdawała sobie sprawę, że jej umysł jest wyjątkowo kruchy i może ją kiedyś zawieść. Mimo to najgłośniej rozbrzmiewał właśnie głos jej serca. Zastanawiała się, czy Diogenes mówił prawdę, twierdząc, że ją rozumie, ponieważ w głębi serca, w miejscu, do

którego sama nigdy nie odważyła się dotrzeć, szczerze mu wierzyła. Czuła że istnieje pomiędzy nimi pewna więź. Co ważniejsze, ona również zaczynała go rozumieć. Wreszcie wyszła z wanny, wytarła całe ciało ręcznikiem, po czym przebrała się do snu. Postanowiła, że nie włoży, tak jak zawsze, bawełnianej koszuli nocnej, lecz inną, z najlepszego jedwabiu, która leżała na dnie szuflady ani razu nienoszona i na wpół zapomniana. Następnie wślizgnęła się do łóżka i wsparta na poduszkach sięgnęła po zbiór esejów z „Ramblera”.

Słowa zaczęły łączyć się ze sobą bez ładu i składu, Constance poczuła coraz większe zaniepokojenie. Przerzuciła kilka stron, by rozpocząć lekturę następnego eseju, rzuciła okiem na pompatyczny wstęp, po czym zamknęła książkę. Ponownie wstała z łóżka, podeszła do ciężkiej, bogato rzeźbionej szafy Duncana Phyfe’a i otworzyła ją. Wewnątrz znajdowała się wyłożona aksamitem szkatułka zawierająca niewielki zbiór woluminów w formie ósemki, którą Diogenes dał jej podczas swojej poprzedniej wizyty. Zabrała szkatułkę do łóżka i niespiesznie przejrzała jej zawartość. Były tam księgi, o których wcześniej słyszała, lecz których dotąd nie miała okazji przeczytać, księgi, które nigdy nie były częścią olbrzymiej biblioteki Enocha Lenga. *Satyryki* Petroniusza, *Na wspak* Huysmansa, listy do lorda Alfreda Douglasa pióra Oscara Wilde’a, poezja miłosna Safony, *Dekameron* Boccaccia. Dekadencja, obfitość i namiętna miłość przepępniały te stronicę niczym aromat piżma. Constance zajrzała do jednej z ksiąg, potem do drugiej zrazu niepewnie, potem z coraz większym zaciekawieniem, aż w końcu na dobre pogrzyżyła się w zachłannej lekturze i minęło dobrych parę godzin, zanim zapadła w niespokojny sen.

30

Gerry Fecteau znalazł nasłonecznione miejsce na kładce, z której rozciągał się widok na plac numer 4, i podciągnął wyżej suwak służbowej kurtki. Z nieba o barwie whisky sączyło się późnozimowe światło, nie dość silne jednak, by stopić spłachetki brudnego śniegu zalegającego na skraju placu i przy narożach budynków. Zerknął na swego partnera Doylea, który zajął strategiczną pozycję na drugim końcu kładki. Nie wyjaśniono im, na czym miało polegać ich zadanie, nawet nie próbowano im tego zasugerować. Prawdę mówiąc, wydano im tylko jeden wyraźny rozkaz: mają obserwować plac z góry.

Jednak Fecteau pracował tu dostatecznie długo, aby nauczyć się czytać między wierszami. Tajemniczy więzień, wciąż przebywający w izolatce, został nagrodzony za dobre zachowanie specjalnymi przywilejami – pozwolono mu wyjść na plac ćwiczeń numer 4. Na ten sam plac, gdzie wolny czas spędzali inni więźniowie. Między innymi Pocho i jego gang. Fecteau wiedział doskonale, co stanie się z więźniem, który był tak biały, jak to tylko możliwe, kiedy znajdzie się na placu numer 4 z Lacarrą i bandą jego oprychów. A obserwując plac z kładki powyżej, tak jak teraz, Fecteau potrzebował co najmniej kilku minut, aby zejść na dół, w razie gdyby wydarzenia przybrały naprawdę dramatyczny obrót.

Taki rozkaz mógł zostać wydany z jednego tylko powodu. Perkusista nie spełnił swojego zadania; z jakiegoś bliżej

niewiadomego powodu nagle ucichł i przestał „koncertować”, tak więc trzeba było wymyślić coś nowego.

Oblizwał wargi i zlustrował wzrokiem pusty plac: obręcz do koszykówki, bez siatki poniżej, ogrodzenie i ćwierć akra asfaltowej powierzchni. Jeszcze pięć minut do wyznaczonej dla więźniów godziny na placu ćwiczeń. Fecteau nie był zadowolony z przydzielonego mu zadania. Jeżeli ktoś tu zginie, odpowiedzialność spadnie na niego. Nie miał zbytnej ochoty na odciąganie Lacarry od upatrzonej przez niego ofiary. Z drugiej strony jakaś jego część ożywiła się na myśl o przemocy. Jego serce zabiło szybciej przepełnione niepokojem, niepewnością i wyczekiwaniem.

O określonej godzinie usłyszał szcęk odsuwanych rygli i dwuskrzydłowe drzwi na plac otwały się na oścież. W słabych promieniach słońca pojawiło się dwóch strażników; mężczyźni zablokowali otwarte odrzwia i stanęli po obu ich stronach, podczas gdy na plac wolnym krokiem wyszedł Pocho – zawsze wychodził jako pierwszy – i powiódł wzrokiem po betonowej pości boiska, przez cały czas pociągając za rzadkie kosmyki włosów pod dolną wargą. Miał na sobie standardowy kombinezon więzienny i pomimo niskiej temperatury nie nosił cieplejszej kurtki. Przeszedł kilka kroków i odwrócił się, skubiąc rzadką bródkę; pod materiałem jego kombinezonu prężyły się silne mięśnie. Jego ogolona na łyso głowa błyszczała w słabym świetle, a blizny po ospie na twarzy wyglądały jak księżycowe kratery.

Lacarra niespiesznie wyszedł na środek placu, a już po chwili w ślad za nim wyszło z budynku sześciu innych więźniów – osadzeni rozeszli się, każdy w swoją stronę, i przystanęli w nonszalanckich pozach, rozglądając się leniwie wokoło, żując gumę czy kręcąc się bez celu. Strażnik rzucił w stronę jednego z więźniów piłkę do koszykówki; mężczyzna podbił ją zwinnie stopą, schylił się, po czym

zaczął kozłować powoli i bez zbytniego entuzjazmu.

Chwilę potem na plac wyszedł nowy więzień; szedł dumnie wyprostowany, bez cienia lęku. Tuż za progiem przystanął i rozejrzał się dokoła tak obojętnie, że Fecteau mimowolnie znów się ożywił. Ten nieszczęśnik nawet nie zdawał sobie sprawy, co go czeka. Pocho i jego chłopcy sprawiali wrażenie, jakby nie zauważali nowo przybyłego, tyle tylko że jak na komendę przestali żuć gumę. Ale trwało to zaledwie przez moment. Piłka wciąż odbijała się od betonu przy wtórze dźwięku przywodzącego na myśl głuche dudnienie bębna: bach... bach... bach... Zupełnie jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego.

Tajemniczy więzień zaczął iść wzdłuż wznoszącego się przy boisku muru z żuźlowych płyt. Idąc, rozglądał się to w jedną, to w drugą stronę; jego twarz pozostawała nieodgadniona i beznamiętna, ruchy miał płynne i swobodne. Pozostali ani na chwilę nie spuszczały z niego wzroku. Plac był z trzech stron otoczony betonowymi ścianami zakładu karnego Herkmoor, z czwartej zaś wysoką drucianą siatką zwieńczoną u szczytu drutem kolczastym. Więzień przeszedł wzdłuż muru, aż dotarł do ogrodzenia z siatki, po czym ruszył dalej, spoglądając przez drucianą zaporę w przestrzeń.

Więźniowie, jak stwierdził Fecteau, zawsze patrzyli na zewnątrz lub w górę, nigdy w stronę posepnych zabudowań więzienia. W oddali widać było wieżyczkę strażniczą, a poza nią wyłaniające się z nadkrawędzi zewnętrznego muru wierzchołki drzew.

Jeden ze strażników z eskorty uniósł wzrok, wychwycił spojrzenie Fecteau i przyjął postawę, jakby chciał zapytać: Co się dzieje? W odpowiedzi Fecteau tylko wzruszył ramionami i gestem dał im znać, że mogą odejść i że wyprowadzenie więźniów na plac przebiegło bez zarzutu. Dwaj strażnicy zniknęli we wnętrzu budynku, zamykając za sobą drzwi.

Fecteau uniósł krótkofalówkę do ust i odezwał się półgłosem. – Słyszysz mnie, Doyle?

– Tak.

– Myślisz to samo co ja?

– No.

– Lepiej bądźmy gotowi, by wkroczyć i ostudzić kilka rozgrzanych głów.

– Zrozumiałem.

Czekali. Odgłos odbijanej piłki rozbrzmiewał raz po raz, jednostajnie. Nikt się nie poruszał z wyjątkiem tajemniczego więźnia, który kontynuował powolny spacer wzdłuż siatki.

Bach... bach... bach... piłka odbijała się od betonu. Z krótkofalówki znów dobiegł głos Doylea. – Hej, Gerry, niczego ci to nie przypomina?

– To znaczy?

– Pamiętasz pierwszą scenę westernu Dobrzy, źli i brzydcy?

– No.

– To właśnie to.

– Być może. Z wyjątkiem jednego.

– Czyli?

– Zakończenia.

Doyle parsknął. – Bez obawy. Pocho lubi swoje lale żywe. Może tylko ciut sponiewierane.

W tej samej chwili Lacarra wyjął ręce z kieszeni, wyprostował się i kołyszącym krokiem podszedł do ogrodzenia, stając o trzydzieści stóp od zagadkowego więźnia. Zacisnął dłoń na drucianej siatce i patrzył, jak jasnowłosa wysoki mężczyzna zbliża się ku niemu. Więzień szedł powolnym, leniwym krokiem, nie przystając ani na chwilę, dopóki na jego drodze nie pojawił się Pocho. A potem coś mu powiedział. Fecteau wyteżył słuch.

– Dzień dobry – powiedział więzień. Lacarra odwrócił wzrok. –

Masz fajkę?

– Przykro mi. Nie palę.

Lacarra pokiwał głową, wciąż wpatrując się w dal spod półprzymkniętych powiek; jego oczy wyglądały jak wąskie czarne szparki. Zaczął gładzić rzadkie kosmyki włosów pod dolną wargą, obnażając przy tym rząd połamanych żółtych zębów.

– Nie palisz – rzekł półgłosem Lacarra. – To niezdrowo.

– Od czasu do czasu pozwalałem sobie na cygaro, ale rzuciłem to, odkąd u mojego przyjaciela wykryto raka. Musieli nieszczęśnikowi usunąć niemal całą żuchwę, to doprawdy tragedia.

Lacarra jak w zwolnionym tempie odwrócił głowę w jego stronę. – Po czymś takim musiał zrobić się z niego naprawdę paskudny sukinsyn.

– To zdumiewające, czego w dzisiejszych czasach może dokonać chirurgia plastyczna.

Lacarra odwrócił się. – E, Rafe, słyszałeś? Ten koleś ma kumpla bez gęby?

Jak na komendę gang Lacarry znów zaczął się przemieszczać, wszyscy z wyjątkiem tego z piłką do koszykówki. Zbliżali się do nowego więźnia jak wataha wilków, osaczając go.

– Chyba już sobie pójdę – rzekł więzień, próbując ominąć Pocho. Lacarra jakby od niechcienia zrobił krok i zastąpił mu drogę. Więzień zatrzymał się, świdrując Lacarrę spojrzeniem przenikliwych srebrzystych oczu. Powiedział półgłosem coś, czego Fecteau nie dosłyszał.

Lacarra nie poruszył się, nie patrzył na więźnia. Po chwili odparł. – To znaczy?

Więzień odezwał się nieco głośniejszym tonem: – Mam nadzieję, że nie popełnisz drugiego, najgorszego błędu w swoim życiu.

– O czym ty, kurde, gadasz, jaki drugi błąd? A jaki był mój

pierwszy błąd?

– Zamordowanie trojga niewinnych dzieci.

Zapadła elektryzująca cisza. Fecteau poruszył się zaskoczony i zdumiony tym, co przed chwilą usłyszał. Więzień złamał jedną z najświętszych reguł życia za kratami i co więcej, obraził w ten sposób Pocho Lacarrę. Skąd u licha ten człowiek znał Lacarrę? Przecież odkąd tu przybył, siedział zamknięty w izolatce. Fecteau znieruchomiał. Mięśnie w jego ciele napięły się. Na tym placu wydarzy się coś strasznego – i stanie się to niebawem.

Lacarra się uśmiechnął, dopiero teraz spojrzał na niego, ukazując garnitur pożółkłych zębów z przerwą w górnej szczęce, po czym przez tę właśnie szczelinę strzyknął flegmą, trafiając nią, przy wtórze głośnego mlaśnięcia, w czubek buta jasnowłosego więźnia.

– A skąd ty to wiesz? – zapytał łagodnym tonem.

– Najpierw je skrępowaleś, aby pokazać, jaki z ciebie macho hombre. Nie chciałeś przecież, aby siedmioletnia dziewczynka podrapała paznokciami tę twoją uroczą facjatę. Prawda, Pocho?

Fecteau nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ten facet aż się prosił o śmierć. Gang Lacarry sprawiał wrażenie osłupiałego, żaden z oprychów nie wiedział, jak ma zareagować, wszyscy czekali na jakiś sygnał.

Pocho zaczął się śmiać – wolno, z rozmysłem, srodze. To był złowrogi, nieprzyjemny śmiech. – Ej, Rafe – rzucił przez ramię. – Ten skurwiel chyba mnie nie lubi, wiesz, co mam na myśli?

Rafe podszedł do niego. – Naprawdę?

Więzień milczał. Inni wciąż się zbliżali jak wilki podchodzące ofiarę. Fecteau poczuł, że serce zaczyna wyrywać mu się z piersi.

– Ranisz moje uczucia, człowieku – rzekł do więźnia Pocho.

– W rzeczy samej – padła odpowiedź. – A o jakich konkretnie uczuciach mowa?

Pocho cofnął się, a Rafe postąpił naprzód powoli, z lekką nonszalancją i nagle jak atakujący wąż zamachnął się, mierząc w brzuch więźnia.

Jasnowłosy zareagował tak szybko, że nie sposób było dostrzec jego ruchów. Widać było jedynie rozmytą szarą plamę – jego noga wystrzeliła naprzód i Rafe ciężko wylądował na ziemi zgięty w pół, przyciskając obie ręce do piersi. Zaraz potem przy wtórze głośnego, upiornego charkotu wymiotował.

– Wystarczy! – wrzasnął do nich z kładki Fecteau i uniósł krótkofalówkę do ust, by skontaktować się z Doyle’em.

Pocho zrobił jeszcze jeden krok wstecz, pozwalając, by to inni odwalili za niego całą brudną robotę.

Fecteau przyglądał się temu jak osłupiały. Nigdy dotąd nie widział, by ktoś poruszał się w taki sposób. Nie sądził, że to w ogóle możliwe, nie przypuszczał, że ktoś może być taki szybki. Nie znał sztuki walki, jaką posługiwał się jasnowłosy więzień, ale rzecz jasna miał on przeciw sobie sześciu tęgich oprychów, członków gangu, którzy przez całe życie walczyli na ulicy, a co za tym idzie, nie miał z nimi najmniejszych szans. Co się tyczy oprychów, ruchy jasnowłosego więźnia zaskoczyły ich do tego stopnia, że wycofali się, przynajmniej tymczasowo, na bezpieczną odległość. Jeszcze jeden bandzior runął obok Rafe’a oszołomiony ciosem w podbródek.

Fecteau odwrócił się i ruszył pędem przez kładkę, rozpaczliwie domagając się wsparcia przez krótkofalówkę. Nie było mowy, aby sam tylko z pomocą Doyle’a dał sobie radę z tymi zakapiorami.

Głos Lacarry przybrał na sile. – Pozwolicie, żeby ten biały śmieć skopał wam tyłki?

Pozostali otoczyli więźnia i zaczęli go osaczać. Jeden zamachnął się, a więzień uskoczył w bok, lecz ten cios był jedynie zmyłką, aby drugi z oprychów przyskoczył i wyrzucił jasnowłosego w żołądek –

tym razem tamten nie zdołał się już uchylić. Po chwili wszyscy rzucili się na niego, zasypując go gradem ciosów; więzień zachwiał się na nogach.

Fecteau dotarł do drzwi na piętrze, pokonał je, zbiegł po schodach, otworzył drugie drzwi na parter i wybiegł na korytarz. Doyle był tuż za nim; towarzyszyło mu czterech strażników z posterunku uzbrojonych w bojowe pałki. Fecteau otworzył dwuskrzydłowe drzwi i wraz z pozostałymi wybiegł na plac numer 4.

– Ej, wy tam! Przestańcie natychmiast! – ryknął Fecteau, biegnąc przez betonową połąć w stronę zwartej grupki oprychów Lacarry pochylających się nad leżącą na ziemi niewidoczną postacią i bezlitośnie zasypujących ją kopniakami. Na ziemi opodal leżało dwóch członków gangu Pocho, a sam Lacarra jakby zapadł się pod ziemię.

– Dość! – Fecteau, Doyle i pozostali zaczęli pacyfikować więźniów, chwytając jednego oprycha za kołnierz i odciągając w tył, drugiego zaś uspokajając ciosem pałki w ucho.

– Przestańcie! Już dosyć!

Doyle wkroczył do akcji z paralizatorem w dłoni, pozostali strażnicy również nie próżnowali. W niecałe pół minuty wszyscy ludzie Lacarry zostali obezwładnieni. Więzień specjalny leżał na wznak, nieprzytomny, krew na twarzy uderzająco kontrastowała z bielą jego skóry, spodnie miał rozdarte, koszulę porozrywaną.

Jeden z ludzi Lacarry wrzeszczał histerycznie raz po raz; – Widziałeś, co zrobił ten chory skurwiel? Widziałeś to, człowieku?

– Co się dzieje, Fecteau? – z krótkofalówki dobiegł głos naczelnika. Jakby nie wiedział.

– Nowy dostał wycisk, panie naczelniku.

– Co z nim?

– Wezwać lekarza! – rozległ się gdzieś z tyłu głos jednego ze

strażników. – Mamy tu co najmniej trzech ciężko rannych więźniów! Wezwijcie lekarza!

– Fecteau, jesteś tam? – rozległ się beznamiętny głos Imhofa.

– Tak, nowy jest ranny, ale nie potrafię określić, na ile poważny jest jego stan.

– Dowiedz się tego!

– Tak jest, sir.

– I jeszcze jedno: niech lekarz na początek zbada tego nowego. Czy to jest jasne?

– Tak jest, sir.

Fecteau rozejrzał się dokoła. Gdzie u licha podział się Pocho? I wtedy go zobaczył. Pocho leżał skulony w kącie pod siatką, na splechietku zamarzniętego śniegu. Nie poruszał się.

– O Boże! – rzucił. – Gdzie ten lekarz, do cholery! Dawać go tu, ale już!

– Skurwiel! – rozległ się histeryczny krzyk. – Widziałeś, co on zrobił?

– Zabierzcie stąd pozostałych – zawołał Fecteau. – Słyszycie? Skujcie ich i odprowadźcie z powrotem do cel!

Ten rozkaz był z gruntu zbędny. Członkowie gangu, którzy wciąż mogli się utrzymać na nogach, maszerowali już pod eskortą w stronę drzwi do bloku więziennego. Krzyki ucichły, słychać było tylko zduszone jęki jednego z rannych osadzonych. Lacarra spoczywał w dziwacznej, niemal błagalnej pozie, klęcząc na śniegu; twarzą dotykał ziemi, a jego głowa była wykrzywiona pod nienaturalnym kątem. Fecteau najbardziej przeraził i zdumiał jego bezruch. Na placu pojawiło się dwóch lekarzy i dwóch sanitariuszy z noszami. Fecteau wskazał na więźnia specjalnego: – Naczelnik chce, abyście na początek zajęli się tym tutaj.

– A co z tamtym? – lekarze z nieskrywanym przerażeniem

przenieśli wzrok na Lacarrę.

– Najpierw macie zająć się nowym więźniem.

Lekarze zabrali się do roboty, a Fecteau przez cały ten czas nie mógł oderwać wzroku od Lacarry. Wtem jak w zwolnionym tempie ciało Lacarry drgnęło, a potem przewróciło się na bok i znieruchomiło, tym razem już na dobre, z wyszczerzonymi połamanymi zębami i szeroko otwartymi oczami skierowanymi ku niebu.

Fecteau uniósł krótkofalówkę do ust, zastanawiając się, co właściwie powiedzieć naczelnikowi. Jedno było pewne: Pocho Lacarra już nigdy nie uczyni nikogo swoją lalą.

31

W zimny marcowy dzień wschodnie Long Island nie wyglądało jak plac zabaw bogatych i sławnych, za jaki zazwyczaj uchodziło. A przynajmniej takie wrażenie odniósł Smithback, mijając kolejne rozmyte, błotniste kartoflisko, nad którym w powietrzu unosiły się stada skrzeczących wron.

Od czasu spotkania z Hayward Smithback wypróbował niemal wszystkie znane mu zawodowe sztuczki, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat Diogenesa. Spłodził artykuły sugerujące rychły przełom w śledztwie i pojawienie się nowych śladów. Kręcił się po mieście, zadając pytania i przesiewając plotki. I nic. Pendergast pozostawał w więzieniu oskarżony o zabójstwo. A co gorsza, Diogenes przebywał na wolności i zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Wizja brata Pendergasta cieszącego się wolnością i knującego jakiś nowy okrutny plan przerażała i rozwścieczała Smithbacka do żywego.

Nie przypomniał sobie, kiedy wpadł na ten pomysł. Ale tak się stało... i oto był teraz na wyspie, kierował się na wschód, w stronę domu, który, jak wierzył całym sercem, pozostawał niezamieszkały.

Rzecz jasna szanse, że zdoła coś odkryć, były minimalne. Bo co mógł odkryć, czego wcześniej nie odnalazła policja? Ale nie pozostawało mu nic innego.

– Pięćset stóp stąd skręć na Springs Road – dobiegł kobiecy głos z głośnika w desce rozdzielczej.

- Dzięki, droga Lavinio – odparł z udawaną beztroską.
- Skręć w prawo, w Springs Road.

Smithback wykonał polecenie, zjeżdżając na popękaną asfaltową drogę ciągnącą się pomiędzy kolejnymi kartofliskami, zamkniętymi na głucho plażowymi domkami i bezlistnymi drzewami. Dalej rozciągały się torfowiska porośnięte uschłymi wierzbami i wysoką trawą. Minał wyblakły drewniany znak w opłakanym stanie. Napis głosił: „Witamy w Springs”. Dotarł do bezpretensjonalnego zakątka Long Islands, gdzie w powietrzu unosił się słabo wyczuwalny zapach mimozy.

– Miasteczko, droga Lavinio, jest nieduże i niezbyt imponujące, ale bez wątpienia ma pewien urok – powiedział Smithback. – Szkoda, że nie możesz go zobaczyć.

– Pięćset stóp dalej skręć w prawo w Glover’s Box Road.

– Dobrze.

– Skręć w prawo w Glover’s Box Road – usłyszał w odpowiedzi.

– Wiesz, z takim głosem zrobiłabyś furorę w sekstelefonie. – Smithback cieszył się, że Lavinia była jedynie głosem jednego z urządzeń w jego samochodzie. System nawigacyjny GPS nie zdawał sobie sprawy, jak zdenerwowany był prowadzący auto dziennikarz.

Znalazł się teraz na szerokim piaszczystym spłachetku lądu, po obu stronach, wśród sękatych sosen, trzciny i krzewów, przezierały domki plażowe. Po lewej dostrzec można było szarą połąć wody: Gardiners Bay. Po prawej miał pustą o tej porze roku przystań; minie trochę czasu, zanim pojawią się cumujące tam zazwyczaj jachty.

– Do celu podróży zostało jeszcze trzysta stóp.

Smithback zwolnił. W oddali ujrział piaszczysty podjazd prowadzący między szpalerem rzadko rosnących dębów do szarego domu z dachem pokrytym gontem. W poprzek podjazdu stały drewniane policyjne zapory, ale jak okiem sięgnąć, nie było widać ani

jednego stróża prawa. Dom był zamknięty na głucho, wewnątrz nie paliło się światło.

Droga mijała szerokim łukiem kilka innych domków i kończyła się pętlą na końcu cypla. Tablica z jednej strony głosiła, że plaża jest publiczna. Smithback zatrzymał się przy pętli – prócz niego nie było tam nikogo więcej – po czym wysiadł i napełnił płuca chłodnym rześkim powietrzem. Zapiął kurtkę, bo wiał zimny wilgotny wiatr, założył plecak, podniósł z ziemi kamień i włożywszy go do kieszeni, ruszył wolnym krokiem wzdłuż plaży. Niewielkie fale, szumiąc i sycząc raz po raz, regularnie zalewały piasek. Maszerując niespiesznie, Smithback zebrał kilka muszelek, po czym wrzucił je na powrót do wody, przez chwilę grzebał czubkiem trampka w piasku, ale zaraz poczłapał dalej.

Domy stały opodal miejsca, gdzie zaczynały się wydmy i linia traw; szary gont i białe wykończenia pogrążone w ciszy i zamknięte na głucho na zimę. Dom, o który mu chodziło, nietrudno było odnaleźć: na wbitych w ziemię palikach wciąż trzepotały poruszane wiatrem kawałki policyjnej taśmy. To był duży dom z lat dwudziestych, wysmagany wiatrem, ze smołowanym dachem, gankiem od strony morza i dwoma szczytami. Smithback ominął dom, ale wciąż nie dostrzegł w pobliżu ani jednego policjanta. Kopiąc nonszalancko piasek, przewędrował przez wydmy i łąć traw, przeskoczył przez rozsypujący się płot, schylił się, żeby przejść pod rozpiętą na palikach policyjną taśmą, i przemknął przez zaniedbane podwórze, by przystanąć w cieniu domu.

Przywarł całym ciałem do ściany, niewidoczny za na wpół uschlłym cisem, i nałożył skórzane rękawiczki. Dom będzie rzecz jasna zamknięty. Podszedł do bocznych drzwi, po czym zajrzał do środka. Jego oczom ukazała się schludna staroświecka kuchnia, pozbawiona jednak typowych dla tego miejsca sprzętów.

Smithback wyjął z kieszeni kamień i chustkę do nosa. Owinął kamień w chustkę i mocno rąbnął w szybę. Nic się nie stało. Uderzył raz jeszcze, tym razem mocniej. Rozległ się głośny trzask, ale szyba nie pękła. Przyjrzał się jej z uwagą i zauważył pewien niezwykle szczegół: szkło było grube i miało zielonkawoniebieski odcień, a żaluzje nie były drewniane, lecz metalowe. Kuloodporne szkło? Smithback nie zdziwił się tym zbytnio. Diogenes na pewno postarał się, by jego dom był prawdziwą twierdzą, do której trudno się wdrzeć i z której jeszcze trudniej uciec.

Przystanął, pozostało mu mieć nadzieję, że jego trzygodzinna wyprawa nie okaże się zmarnowanym czasem. Diogenes z całą pewnością pomyślał o wszystkim – jak mógł o czymś zapomnieć? Poszukiwanie słabych punktów miało się z celem – po prostu ich tu nie było. Ale z drugiej strony, przecież policja mogła zostawić otwarte drzwi. Ukryty wśród krzewów, podkraść się do frontowego ganku. Na drzwiach w poprzek rozpięta była żółta taśma. Wskoczył na ganek, rozejrzał się dokoła, popatrzył na drogę, po czym odwrócił się, aby uważnie obejrzeć drzwi. Gliniarze musieli je sforsować; na framudze widniały ślady po łomach, lecz same drzwi były wgięte do środka, zamek został strzaskany. Wyglądało na to, że dostanie się do wewnątrz wymagało użycia nie lada siły. Po zniszczeniu zamka policja założyła własną kłódkę; Smithback obejrzał ją wprawnym okiem. Była wykonana z utwardzanej stali, zbyt gruba, by można ją przeciąć nożycami do metalu, ale złącze przykręcono śrubami do nowych otworów wywierconych w metalowych drzwiach.

Smithback sięgnął do skórzanego plecaka i wydobył śrubokręt Philipsa. W pięć minut usunął śruby z jednej strony złącza. Odciągnął złącze, po czym otworzył mocno wgniezione drzwi. Chwilę później wszedł do środka, starannie zamykając za sobą drzwi.

Przystanął na moment i energicznie zatarł ręce. W domu było

ciepło, ogrzewanie wciąż działała. Znalazł się w typowym salonie domku na plaży, którego wystrój stanowiły wygodne meble z wikliny, na podłodze leżały grube tkane dywany, opodal można było dostrzec stolik do gry w szachy, a całość dopełniał olbrzymi kominek z masywnych kamieni wprawiony w przeciwległą ścianę. Światło z uwagi na niezwykle grube szyby miało lekko zielonkawy odcień.

Czego właściwie szukał? Sam nie był pewien. Jakiejś wskazówki dotyczącej miejsca pobytu Diogenesa, a może tego, jaką przybrał on tożsamość, pod jakim nazwiskiem się ukrywał. Przeżył chwilę konsternacji, zastanawiając się, jak miał odkryć coś, co przeoczyli prawnicy i policjanci lub – wydawało się to nieprawdopodobne – co przeoczył lub o czym zapomniał sam Diogenes. Naturalnie opuścił to miejsce w pośpiechu, pozostawiając całe mnóstwo sprzętu i różnych rzeczy – dość, by policja bez najmniejszych wątpliwości mogła stwierdzić, że to on dokonał kradzieży brylantów z muzeum. Mimo to okazał się człowiekiem nie tylko wyjątkowo inteligentnym, lecz również wyjątkowo ostrożnym. Diogenes nie należał do osób, które popełniały błędy.

Stąpając bezgłośnie, Smithback przemaszerował przez łukowato sklepione wejście do jadalni wyłożonej przepiękną dębową boazerią, z masywnym stołem i fotelami chippendale. Na ciemnoczerwonych ścianach wisiały obrazy i reprodukcje. Drzwi w przeciwległej ścianie prowadziły do równie nieskazitelnej maleńkiej kuchni. Policja na pewno tu nie sprzątała, a zatem, skonstatował Smithback, o stan tych pomieszczeń musiał zadbać sam Diogenes. Wróciwszy do salonu, Smithback podszedł do fortepianu i nacisnął kilka klawiszy. Był nastrojony, młoteczki pracowały płynnie i miękko.

Coś już wiemy: Diogenes grał na fortepianie.

Spojrzał na arkusze nutowe na fortepianie: Impromptu opus 90 Schuberta. A pod nim Światło księżycy Debussy'ego i nokturny

chopinowskie. Wykonanie wymagało pewnej wprawy, choć raczej nie na poziomie koncertowym.

Opodal fortepianu widniało kolejne łukowate przejście prowadzące do biblioteki. Panował tu nieopisany bałagan, książki wały się po podłodze, niektóre były otwarte, na regałach dostrzec można było puste miejsca. Dywan był pofałdowany i odwinięty z jednej strony, nocna lampka leżała rozbita w drobny mak. Dominował tu duży stół nakryty czarnym aksamitem; powyżej wznosił się rząd jasnych reflektorów punktowych.

W kącie Smithback spostrzegł coś, co sprawiło, że lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach – wielkie, starannie utrzymane stalowe kowadło. Obok niego leżały jakieś szmaty i dziwaczny młot z szarego błyszczącego metalu – może z tytanu?

Smithback wyszedł z biblioteki, odwrócił się i wspiął po drewnianych schodach. Na szczycie znajdował się podest i długi korytarz, na obu ścianach wisiały obrazy przedstawiające morskie pejzaże. Na stoliku, obok szklanej kopuły, pod którą stała imitacja drzewa ozdobionego chmarą motyli, kucała mała wypchana małpka kapucynka. Drzwi do wszystkich pokoi były otwarte.

Gdy wszedł do pokoju najbliższej szczytu schodów, natychmiast zdał sobie sprawę, że to właśnie tam musiała być przetrzymywana Viola Maskelene. Na łóżku panował nieład, na podłodze lśniły odłamki szkła, a w dodatku ktoś zdarł fragment tapety z jednej ze ścian, ukazując ukryty pod nią metal. Metal. Smithback podszedł i delikatnie zdarł kolejny pasek tapety. Ściany wykonano z mocnej stali.

Ponownie się wzdrygnął, czując coraz większy niepokój. Szyba w oknie była gruba, zielonkawoniebieska jak ta na parterze, a na dodatek wzmocniona kratą. Drzwi, które zbadał, okazały się wyjątkowo ciężkie i choć stalowe, poruszały się bezgłośnie na

potężnych zawiasach. Przyjrzał się zamkowi, supermasywnemu, z mosiądzu i nierdzewnej stali.

Niepokój Smithbacka narastał. A gdyby Diogenes wrócił? Nie, to przecież niemożliwe, to byłoby czyste szaleństwo. Chyba że w domu znajdowało się coś, czego zapomniał...

Zrobił szybki obchód pozostałych sypialni. Pod wpływem nagłego impulsu wydobył śrubokręt i dźgnął nim ścianę w innym pokoju. Ta również była ze stali. Czy Diogenes zamierzał uwięzić tu więcej osób? A może po prostu tego rodzaju wzmocnienia, zmieniające zwykły dom w twierdzę, były dla niego czymś oczywistym?

Zbiegł na dół; serce tłukło mu się w piersi jak szalone. Całe to miejsce budziło w nim nieopisaną trwogę. Dzień okazał się stracony, zjawił się tu, nie mając żadnego sprecyzowanego planu, nie poszukując niczego konkretnego. Zastanawiał się, czy powinien zacząć robić notatki – ale co niby miałby zapisywać? Może powinien dać sobie spokój i odwiedzić Margo Green? Skoro już i tak wybrał się za miasto... Ale także ta wyprawa zakończyłaby się fiaskiem. Stan Margo nagle się pogorszył, zapadła w śpiączkę i nie reagowała na bodźce.

Zamarł. Na ganku rozległy się czyjeś ciche kroki. Czując, jak ogarnia go przerażenie, wślizgnął się do szafy na ubrania u podnóża schodów. Wcisnął się do tyłu, za wiszący na wieszakach rząd marynarek z kaszmiru i tweedu oraz wielbłądziej wełny. Usłyszał, jak ktoś poruszył klamkę, a potem skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Diogenes?

Wnętrze szafy wypełnione było zapachem wełny. Smithback bał się tak bardzo, że prawie nie mógł zaczerpnąć tchu.

Ktoś przeszedł cicho przez wyłożony dywanem hol, wrócił do salonu i zatrzymał się. Cisza.

Smithback czekał.

Kroki przeniosły się do jadalni, po czym rozplynęły się w kuchni.

Czy powinien spróbować teraz pobiec w stronę drzwi?

Zanim rozważył tę ewentualność, kroki powróciły: powolne, miękkie, rozważne i ciche. Teraz skierowały się ku bibliotece, znikły wewnątrz, po czym znów pojawiły się na zewnątrz i zaczęły piąć się po schodach.

Teraz. Smithback wymknął się z szafy, przemknął przez salon i wypadł przez otwarte drzwi na zewnątrz. Gdy mijał róg ganku, zauważył radiowóz stojący na podjeździe; drzwiczki były otwarte, silnik wciąż pracował. Przebiegł przez podwórze na tyłach sąsiedniego domu i pognał wzdłuż plaży, niemal śmiejąc się z ulgi, jaka go przepełniła. Ten, którego wziął za Diogenesa, był po prostu policjantem, który zjawił się na rutynową kontrolę podczas patrolu.

Wrócił do swego auta i siedział przez chwilę w bezruchu, usiłując złapać oddech. Zmarnowany dzień. Ale przynajmniej wydostał się z tego domu w jednym kawałku. Uruchomił silnik i system nawigacyjny.

– Dokąd chcesz pojechać? – rozległ się miękki zmysłowy głos. – Proszę wprowadź adres.

Smithback wszedł do menu i wybrał opcję „Biuro”. Znał drogę powrotną, ale lubił słuchać Lavinii.

– Udajemy się do miejsca o nazwie „Biuro” – rozległ się głos. – Pojedziemy na północ wzdłuż Glover’s Box Road.

– W porządku, moja droga.

Ruszył wolno i nonszalancko, przejeżdżając obok domu, który opuścił przed chwilą. Policjant wyszedł już na zewnątrz i stał teraz obok radiowozu z mikrofonem w dłoni. Spojrzał na Smithbacka, gdy ten go mijał, ale nie próbował go zatrzymać.

– Pięćset stóp stąd skreć w lewo, w Springs Road. Smithback pokiwał głową. Uniósł dłoń, by zdjąć z twarzy nitkę tweedowej

wełny. W tej samej chwili zeszywniał, jakby nagle poraził go prąd.

– To jest to, Lavinio! – zawołał. – Marynarki w szafie!

– Skręć w lewo, w Springs Road.

– Były dwa rodzaje marynarek! Drogie jak jasny gwint z kaszmiru i moheru oraz kłujące, ciężkie i grube, z tweedu. Czy znasz kogoś, kto nosi oba te rodzaje? Nie sądzę!

– Przejedź milę wzdłuż Springs Road.

– Diogenes z pewnością należy do ludzi, którzy noszą marynarki z kaszmiru i moheru. To oznacza, że te drugie, tweedowe należą do jego alter ego. Musi udawać jakiegoś uczonego, może profesora. To doskonały kamuflaż. Wręcz idealny, Lavinio, tak, to do niego pasuje. Jest profesorem. Nie, zaczekaj! Nie profesorem, a w każdym razie niezupełnie. Bądź co bądź tak dobrze zna muzeum... Policja twierdzi, że złodziej brylantów musiał mieć współnika, kogoś z wewnątrz, ale czy wyobrażasz sobie, by ktoś taki jak Diogenes mógł uzależnić powodzenie swojego planu od jakiegokolwiek osoby, niezależnie jak bardzo wiarygodnej? Nic z tego! Nie ma mowy! Do licha, mamy wszystko podane jak na talerzu. Teraz wreszcie widzę to wyraźnie. Niech to szlag, Lavinio, rozgryźliśmy tę sprawę! Ja ją rozgryżłem!

– Pięćset stóp dalej skręć w lewo, na Old Stone Highway – rozległ się w odpowiedzi łagodny kobiecy głos.

Tym, co budziło w Hayward największą odrazę na oddziale psychiatrycznym Szpitala Bellevue, nie były obskurne, wyłożone kafelkami korytarze, zamknięte stalowe drzwi ani mieszająca się ze sobą woń środków dezynfekujących, wymiocin i ekskrementów. Najbardziej mierzły ją dźwięki. Dochodziły zewsząd – kakofonia pomruków, przeraźliwych wrzasków, monotonnych powtórzeń, niespodzianych ryków, jęków, zawodzenia, cichego drażniącego mamrotania; symfonia niedoli przetykana raz po raz okrzykami tak upiornymi, tak pełnymi rozpaczy, że aż rozdzierały jej serce.

Tymczasem doktor Goshar Singh szedł obok niej, przemawiając tak spokojnym, racjonalnym głosem, jakby niczego nie słyszał – i kto wie – skonstatowała, może faktycznie tak było. Gdyby zwracał uwagę na odgłosy otoczenia, na pewno sam już dawno postradałby zmysły. Musiał się na nie znieczulić. Nie było innego wyjścia.

Hayward próbowała skupić się na tym, co mówił. – W całej mojej długoletniej pracy psychiatry klinicznego – ciągnął – nigdy nie spotkałem się z podobnym przypadkiem. Próbujemy go jakoś rozgryźć. Zaobserwowaliśmy pewien postęp, ale nie w takim stopniu, w jakim moglibyśmy sobie tego życzyć.

– To się stało tak nagle.

– Nagłe przypadki bywają najbardziej zastanawiające. Proszę, pani kapitan, jesteśmy na miejscu.

Singh kluczem otworzył drzwi i uchylił je, aby Hayward mogła wejść do niemal pustego pokoju, przedzielonego w połowie długim kontuarem; gruba tafla zbrojonego szkła sięgała od blatu kontuaru aż do sufitu. To pomieszczenie przywodziło jej na myśl pokój widzeń w więzieniu. W szybę wmontowany był interkom.

– Doktorze Singh – rzekła. – Prosiłam o spotkanie w cztery oczy.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – odparł niemal ze smutkiem Singh.

– Niestety, to będzie możliwe. W takich warunkach nie mogę przesłuchać podejrzanego.

Singh znów zasmucony pokręcił głową, jego grube policzki zafalowały. – Nie, nie, tu my ustalamy warunki, pani kapitan. I wydaje mi się, że gdy zobaczy pani pacjenta, zrozumie pani, że to nie ma znaczenia, absolutnie żadnego znaczenia.

Kapitan Hayward milczała. Nie miała czasu na utarczki z lekarzami. Musiała oszacować sytuację i jeśli to się okaże konieczne, wróci tu, aby odbyć spotkanie na swoich warunkach.

– Zechce pani spocząć? – zapytał uprzejmie Singh.

Hayward zajęła miejsce przy kontuarze, a doktor usiadł obok niej. Spojrzał na zegarek. – Pacjent zjawi się za pięć minut.

– Jakie są pańskie wstępne przypuszczenia, doktorze?

– Jak już wspomniałem, to naprawdę niezwykle przypadek. Wielce zastanawiający.

– Czy może pan rozwinąć tę myśl?

– Wstępne EEG wykazało znaczące anomalie w ogniskach skroniowych, a rezonans magnetyczny ujawnił liczne zmiany patologiczne w płacie czołowym i śródmózgowiu. To właśnie te zmiany zdają się być odpowiedzialne za wystąpienie poważnych zaburzeń percepcji i psychopatologii.

– Czy mógłby pan wyrazić to prostszymi słowami?

– Pacjent najwyraźniej cierpi na poważny uraz tej części mózgu, która odpowiada za zachowanie, emocje i planowanie. Największe spustoszenia ogarnęły tę część mózgu, którą my, psychiatrzy, nazywamy niekiedy obszarem Higginbottom.

– Higginbottom?

Singh uśmiechnął się; najwyraźniej to, o czym mówił, stanowiło swego rodzaju zawodowy dowcip. – Eugenie Higginbottom pracowała przy taśmie w wytwórni łożysk tocznych w Linden, w New Jersey. Pewnego dnia, w roku 1913, w zakładach doszło do eksplozji kotła parowego. Wybuch rozerwał ubijarkę na kawałki. Efekt był taki, jakby eksplodował wielki słoń ze śrutem: kulki do łożysk rozprysnęły się na wszystkie strony. Sześć osób zginęło na miejscu. Eugenie Higginbottom cudem przeżyła, ale około dwóch tuzinów kulek do łożysk wbiło się w płat czołowy jej mózgu.

– Słucham dalej.

– Ta nieszczęsna kobieta od tamtej nocy przeszła kompletną metamorfozę. Zmieniła się jej osobowość. Z miłej sympatycznej osobki przeistoczyła się w wulgarnego kocmołucha klnącego jak szewc i niestroniącego od przemocy, rozpiła się i stała w dodatku rozwiązła seksualnie. Jej przyjaciele nie mogli pojąć, co się z nią stało. To potwierdzało jedną z istotniejszych teorii medycznych, która głosi, że osobowość człowieka jest zapisana w jego mózgu i że tego rodzaju uszkodzenia mogą sprawić, że stanie się on kimś zupełnie innym. Widzi pani, te kulki unicestwiły pewien określony fragment płata czołowego mózgu Eugenii Higginbottom, ten sam, w którym wykryliśmy zmiany patologiczne u naszego pacjenta.

– Ale on nie ma w mózgu stalowych kulek – zauważyła Hayward. – Co mogło spowodować taką reakcję?

– W tym właśnie sęk. Początkowo podejrzewałem przedawkowanie narkotyków, ale w jego organizmie nie wykryliśmy żadnych

pozostałości tego rodzaju substancji.

– Uderzenie w głowę? Upadek?

– Nie. Nie ma śladów po ciosie czy próbie jego odparcia, brak obrzęku, stłuczeń, siniaków. Wykryliśmy także udar, zmiany wystąpiły w kilku znacznie od siebie oddalonych obszarach. Jedyne możliwe wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, to wstrząs elektryczny skierowany wprost do mózgu. Gdybyśmy mieli do czynienia z nieboszczykiem, autopsja pozwoliłaby nam dowiedzieć się o wiele więcej.

– Czy po wstrząsie elektrycznym nie pozostałyby wyraźne ślady oparzeń?

– Nie, jeśli prąd miałby niskie napięcie, a za to wysokie natężenie jak, dajmy na to, w urządzeniach elektronicznych czy sprzęcie komputerowym. Tyle tylko że uszkodzeniu uległ wyłącznie mózg. Trudno stwierdzić, jak mogło dojść do takiego porażenia, chyba że nasz pacjent przeprowadzał na sobie jakieś dziwaczne eksperymenty.

– Ten człowiek był technikiem zajmującym się instalacją do przygotowywanej ekspozycji w muzeum.

– Tak. Słyszałem o tym.

Rozległ się sygnał interkomu; a potem łagodny głos: – Doktorze Singh? Pacjent jest już w drodze.

W pomieszczeniu za szybą otworzyły się drzwi i po chwili do środka wtoczono Jaya Lippera. Siedział na wózku inwalidzkim, do którego był przypięty pasami. Kręcił powoli głową, a jego usta poruszały się, lecz nie wydobywały się z nich żadne dźwięki. Jego twarz wyglądała okropnie. Jakby była zapadnięta – poszarzała skóra zwieszała się całymi fałdami, oczy były rozbiegane i mętne, z rozchylonych ust wysuwał się język, długi, różowy i wilgotny niczym jęzor przegrzanego posokowca.

– O Boże... – rzuciła mimowolnie Hayward.

– Jest na silnych środkach uspokajających dla jego własnego bezpieczeństwa. Wciąż próbujemy ustalić, jakie leki są dla niego najodpowiedniejsze. Znaleźć właściwą kombinację.

– Jasne – Hayward rzuciła okiem na swoje notatki. A potem wychyliła się do przodu i nacisnęła przycisk interkomu.

– Jay Lipper?

Głowa wciąż obracała się powoli.

– Jay? Słyszysz mnie?

Czy dostrzegła lekkie wahanie? Wychyliła się jeszcze bardziej do przodu i odezwała się półgłosem do interkomu.

– Jay? Nazywam się Laura Hayward. Jestem tu, aby ci pomóc. Jestem twoją przyjaciółką.

Wciąż tylko te powolne koliste ruchy głową.

– Jay, czy mógłbyś powiedzieć mi, co się stało w muzeum? Wciąż tylko to kręcenie głową. Długa strużka kleistej spienionej śliny zebranej na języku Lippera spłynęła leniwie na podłogę.

Hayward odchyliła się do tyłu i spojrzała na lekarza. – Czy byli tu jego rodzice?

Singli skinął głową. – Owszem, tak. To była bardzo tragiczna, bolesna scena.

– Czy zareagował na ich obecność?

– Tylko wtedy, jeden jedyny raz i trwało to bardzo krótko. Wychylił się z otchłani swego wewnętrznego świata zaledwie na dwie sekundy.

– Co powiedział?

– To nie jestem ja.

– To nie jestem ja? Domyśla się pan, o co mogło chodzić?

– Cóż... Wydaje mi się, że przejawia szczątkowe wspomnienia tego, kim był, i w ograniczonym stopniu zdaje sobie sprawę z tego, kim się stał.

– A potem?

Singh wydawał się odrobinę zakłopotany – Nagle dostał szału, powiedział, że pozabija ich oboje i... wypruje im wnętrzności. Musieliśmy podać mu kolejną dawkę środka uspokajającego.

Hayward przyglądała mu się jeszcze przez chwilę. W zamyśleniu raz jeszcze przeniosła wzrok na Lippera, który wciąż tylko leniwie kręcił głową i tępo wpatrywał się w przestrzeń niewidzącymi szklanymi oczami.

33

– Wdał się w bójkę z Carlosem Lacarrą – rzekł Imhof do agenta specjalnego Coffeya, gdy szli wzdłuż długiego, rozbrzmiewającego donośnym echem korytarza w zakładzie karnym Herkmoor. – Kumple Lacarry przyłączyli się do walki i zanim strażnicy opanowali sytuację, doszło do pewnego... incydentu.

Coffey słuchał relacji na temat tego wydarzenia, mając obok siebie Rabinera. Za nim szło jeszcze dwóch więziennych strażników. Minęli załom korytarza i pomaszerowali dalej.

– A konkretnie?

– Lacarra nie żyje – oznajmił naczelnik. – Złamany kark. Nie wiem, co się konkretnie stało, przynajmniej na razie. Żaden z osadzonych nie chce mówić.

Coffey pokiwał głową.

– Pański więzień został dość mocno poturbowany. Lekkie wstrząśnienie mózgu, stłuczenia, odbita nerka, parę pękniętych żeber i płytka rana kłuta.

– Rana kłuta?

– Najwyraźniej ktoś pchnął go ostrym narzędziem. Znaleźliśmy zaostrzony kawałek metalu na placu, w pobliżu miejsca, gdzie doszło do bójki. W każdym razie facet ma szczęście, że żyje. – Imhof zakasłał dyskretnie i dodał: – Bądź co bądź, nie wygląda na urodzonego wojownika.

– Czy mój człowiek wrócił z powrotem do celi, jak zaleciłem?

– Tak. Lekarz nie był z tego powodu zadowolony.

Minęli strzeżoną bramę, po czym Imhof uruchomił dla nich windę.

– Spodziewam się – powiedział – że od tej pory będzie o wiele bardziej skłonny do współpracy.

– Nie podano mu środków uśmierzających ból? – zapytał Coffey, gdy drzwi windy otworzyły się z cichym szelestem.

– Nie mamy tu w Herkmoor zwyczaju podawania osadzonym tego rodzaju środków, mogłoby dojść do nadużyć i w ogóle.

– To świetnie. Nie chcielibyśmy marnować czasu na kołyszące się bezmyślnie warzywo.

Winda wjechała na drugie piętro i zatrzymała się przed zamkniętymi stalowymi drzwiami, Imhof przesunął kartę przez otwór czytnika i wbił kod, a gdy się otworzyły, wskazał na widoczny za nimi korytarz z żuźlowych bloków, pomalowany na biało, z białymi drzwiami po obu stronach.

– Oddział izolatek – odparł Imhof. – Pański człowiek siedzi w celi 44. W normalnych okolicznościach zostałby odprowadzony pod eskortą do pokoju widzeń, ale teraz nie bardzo może się poruszać.

– Szczerze mówiąc, to nawet lepiej. Wolę porozmawiać z nim w jego celi. Ze strażnikami czuwającymi w pobliżu... na wypadek, gdyby zrobił się agresywny.

– To raczej wątpliwe. – Imhof wychylił się do przodu i zniżył głos do szeptu. – Nie chcę podpowiadać panu, co powinien pan zrobić, agencie Coffey, ale spodziewam się, że wystarczy lekka wzmianka, iż ponownie zostanie wyprowadzany na plac ćwiczeń numer cztery, aby zrobił się pokorniutki i zaczął śpiewać aż miło.

Coffey pokiwał głową.

Dotarli do drzwi celi, po czym jeden ze strażników zaczął tłuc w nie pałką. – Ogarnij się trochę, masz gościa!

Łup, łup! Drewniana pałka uderzała w masywne drzwi. Strażnik wydobył pistolet i stanął z boku, podczas gdy drugi otworzył drzwi kluczem i zajrzał do środka. – Wszystko w porządku – oznajmił.

Pierwszy strażnik schował broń do kabury i wszedł do celi.

– Ile potrzebuje pan czasu? – zapytał Imhof.

– Godzina powinna mi wystarczyć. Każę strażnikowi powiadomić pana, gdy skończę.

Coffey odczekał, aż Imhof oddali się, po czym wraz z Rabinerem wszedł do niedużej, nieskazitelnej celi. Drugi strażnik zamknął za nimi drzwi od zewnątrz i przekręciwszy klucz w zamku, stanął pod ścianą, szykując się na dłuższe oczekiwanie.

Więzień leżał na wąskiej pryczy, podparty cienką poduszką, miał na sobie nowy kombinezon, tak pomarańczowy, że od patrzenia na niego mogły rozboleć oczy. Coffey był wstrząśnięty jego wyglądem – obandażowana głowa, jedno oko zapuchnięte i zamknięte, drugie podbite, otoczone olbrzymim ciemnym sińcem, cała twarz zresztą stanowiła paletę czerni, granatu i zieleni. Przez wąską szparkę w napuchniętym zdrowym oku więźnia Coffey dostrzegł słaby stalowosrebrny błysk.

– Agencie Coffey? – zapytał strażnik. – Czy życzy pan sobie krzesło?

– Dziękuję, postoję. – Odwrócił się do Rabinera. – Gotowy? Rabiner wyjął nieduży dyktafon. – Tak jest, sir.

Coffey splótł ramiona i spojrzał na sponiewieranego, okutanego w bandażę więźnia. Uśmiechnął się. – Co ci się stało? Chciałeś dać buzi niewłaściwemu facetowi?

Bez odpowiedzi, ale Coffey żadnej nie oczekiwał.

– Do rzeczy. – Wyjął kartkę ze swoimi notatkami. – Włącz nagrywanie. Mówi agent specjalny Spencer Coffey w celi numer C3-44 Federalnego Zakładu Penitencjarnego o Zaostrozonym Rygorze Herkmoor. Rozpoczynam przesłuchanie więźnia znanego jako A.X.L.

Pendergast. Jest dwudziesty marca.

Cisza.

– Możesz mówić?

Jakie było zdziwienie Coffeya, gdy mężczyzna odparł: – Tak. – Jego głos brzmiał cicho niczym szept i był trochę zniekształcony przez spuchnięte wargi.

Coffey uśmiechnął się. Początek był całkiem obiecujący. – Chciałbym mieć to jak najszybciej za sobą.

– I nawzajem.

Najwyraźniej zmiękczenie więźnia powiodło się lepiej, niż zakładał.

– Dobrze więc. Powróćmy do przesłuchania. Tym razem jednak liczę na konkretne odpowiedzi. Jak już mówiłem, dowody wskazują, że byłeś w domu Deckera, gdy został zamordowany. To oznacza, że miałeś możliwość, a także cel i motyw, aby tego dokonać, co więcej, istnieje bezpośrednia więź łącząca twoją osobę z narzędziem zbrodni. Więzień milczał, a Coffey mówił dalej.

– Po pierwsze: zespół ekspertów sądowych zebrał na miejscu zbrodni pół tuzina długich czarnych włókien, które jak się okazało, pochodzą z bardzo rzadkiego materiału będącego mieszaniną kaszmiru i merynosa, wykonanego we Włoszech w latach pięćdziesiątych. Analiza garniturów znajdujących się w twojej szafie potwierdziła, że wszystkie zostały wykonane z tej samej mieszanki wełny, ba, uszyto je dokładnie z jednej i tej samej partii materiału.

– Po drugie: na miejscu zbrodni odnaleźliśmy trzy włosy, w tym jeden z cebulką. Analiza PCR potwierdziła zgodność tego włosa z twoim DNA; prawdopodobieństwo wystąpienia błędu jest jak jeden do szesnastu miliardów.

– Po trzecie: świadek, sąsiad Deckera, zauważył mężczyznę o jasnej karnacji skóry, w czarnym garniturze, wchodzącego do domu Deckera dziewięćdziesiąt minut przed morderstwem. Podczas trzech

fotograficznych okazań kategorycznie i bezbłędnie wskazał twoje zdjęcie, potwierdzając, że to ciebie tam widział. Jako członek Izby Reprezentantów jest on z całą pewnością niepodważalnym świadkiem, którego słowom nie można nic zarzucić.

Jeżeli w tej właśnie chwili więzień skrzywił się drwiąco, stało się to tak szybko, że Coffey nie był pewien, czy to mu się nie przywidziało. Przez kilka sekund przyglądał się z posępną miną twarzy więźnia, lecz z uwagi na bandażę i opuchliznę nie sposób było wychwycić na niej oznak jakichkolwiek emocji. Wyraźnie widział jedynie srebrzysty błysk przelazający przez wąską szparę przymkniętego spuchniętego oka. To wzbudziło w nim niepokój.

– Jesteś agentem FBI. Wiesz, że się z tego nie wymigasz. Potrząśnął trzymaną w dłoni kartką przed nosem Pendergasta. – Zostaniesz skazany. Jeśli chcesz uniknąć zabójczego zastrzyku, lepiej zacznij współpracować i to już teraz, zaraz.

Stał nad nim, dysząc ciężko i wpatrując się w zmaltretowanego więźnia. Więzień również na niego spojrzał. A potem się odezwał. – Gratuluję ci – powiedział. Jego niewyraźny, cichy głos brzmiał pokornie, prawie służalczo.

– Czy mogę coś zasugerować, Pendergast? Przyznaj się i zdaj na łaskę sądu. To jedyne wyjście. Oszczędź wszystkim wstydu oglądania publicznego procesu jednego z nas, agentów federalnych. Przyznaj się, a nie będziesz musiał wychodzić więcej na plac ćwiczeń numer cztery. Przeniesiemy cię stamtąd.

Znów chwila ciszy.

– Czy moglibyśmy porozmawiać o ugodzie? – zapytał Pendergast. Coffey uśmiechnął się, czując, jak przepełnia go triumfalna euforia.

– Z takimi dowodami? Nie ma mowy. Twoją jedyną nadzieją, Pendergast, powtarzam raz jeszcze, jest pełne dobrej woli, szczere przyznanie się do winy. Wybieraj: teraz albo nigdy.

Pendergast jakby zamyślił się przez chwilę. I nagle poruszył się na pryczy. – No dobrze – powiedział.

Coffey uśmiechnął się.

– Spencerze Coffey – ciągnął Pendergast, a jego głos wręcz ociekał służalczym oddaniem. – Od blisko dziesięciu lat obserwowałem rozwój twojej kariery w Federalnym Biurze Śledczym i muszę wyznać, że jestem szczerze zdumiony jej przebiegiem. – Przerwał, aby wziąć głęboki oddech. – Od początku wiedziałem, że jesteś niezwykłym, wręcz wyjątkowym osobnikiem. To przecież ty, jak to się mówi, mnie przygwoździłeś.

Coffey poczuł, że jego uśmiech poszerza się jeszcze bardziej. Na to właśnie czekał, oto chwila ostatecznego upokorzenia znieawidzonego rywala, moment, o którym większość ludzi może jedynie marzyć.

– Doskonała robota, Spencer. Mogę ci mówić, Spencer? Powiedziałbym, że niemal niezrównana.

Coffey czekał na przyznanie się tamtego do winy, wiedział, że to nastąpi już za moment. Ten nieszczęśnik sądził, że przypochlebiając mu, zyska odrobinę współczucia. Wszyscy tak myśleli. Och, jesteś taki bystry, spryciarz z ciebie, że udało ci się mnie dopaść. Gestem dał znak Rabinerowi, aby podszedł z dyktafonem, nie chciał przeoczyć ani słowa. A najlepsze było w tym wypadku to, że Pendergast jedynie kopał sobie w ten sposób głębszy grób. Nie będzie litości, nawet jeśli przyzna się do winy. Nie mogło być pobłażania dla człowieka, który zamordował agenta FBI. Co najwyżej jego spowiedź skróci o dobrych dziesięć lat użeranie się w sądach o apelacje związane z najwyższym wymiarem kary, jaką bez wątpienia otrzyma.

– Miałem dość dużo szczęścia, by móc widzieć na własne oczy, jak pracujesz w terenie. Na przykład twój występ owej tragicznej nocy, przed laty, podczas masakry w muzeum, kiedy kierowałeś ruchomym

punktem dowodzenia. Doprawdy nie sposób tego zapomnieć.

Coffey poczuł pierwsze oznaki zaniepokojenia. Nie pamiętał zbyt wiele z owej strasznej nocy, szczerze mówiąc, nie wspominał tamtej operacji zbyt dobrze. Nie spisał się wtedy najlepiej. A może, jak zawsze, był po prostu dla siebie zbyt surowy.

– Ja pamiętam tę noc doskonale – ciągnął Pendergast. – Byłeś w samym sercu tych wydarzeń, nerwy ze stali, rzucane zdawkowo rozkazy.

Coffey poruszył się nerwowo. Wolał, aby tamten skupił się na zeznaniach. To zaczynało go drażnić.

– Jakie to żałosne. Jak szybko człowiek może zniżyć się do takiego poziomu. Okropność. Było mi przykro z powodu tego, co stało się później. Nie zasłużyłeś na przeniesienie do Waco. Nie powinni byli tego robić. A potem, kiedy mylnie wzięłeś tego dzieciaka niosącego do domu wielkiego zębacza za uzbrojonego w wyrzutnię ręcznych pocisków przeciwpancernych terrorystę z sekty Gałąź Dawidowa? Cóż, to mogło się przydarzyć każdemu. Na szczęście twój pierwszy strzał chybił, a twój partner zdołał cię obezwładnić, zanim zdążyłeś strzelić po raz drugi; choć może tak naprawdę temu chłopcu nic nie groziło, bo przecież jeśli chodzi o strzelanie, miałeś najgorszy wynik z całego rocznika w Akademii.

Przejęcie nastąpiło tak płynnie, a ton głosu Pendergasta nie zmienił się ani na jotę, że Coffey dopiero po chwili uświadomił sobie, iż wymowa słów tamtego nabrała całkiem innego charakteru.

Zduszony chichot strażnika zranił go do żywego.

– Tak się składa, że natknąłem się na raporty dotyczące działań w Waco pod twoim rezolutnym kierownictwem. Wygląda na to, że twoja komórka znajdowała się na czołowych miejscach kilku list. Wyróżniała się na ten przykład najmniejszą liczbą rozwiązanych spraw w ciągu trzech lat z rzędu. Największą liczbą agentów

domagających się przeniesienia. Największą liczbą wewnętrznych dochodzeń w sprawie o niekompetencję lub łamanie zasad etyki. Można by debatować, czy twoje przeniesienie z powrotem do Nowego Jorku nastąpiło w najodpowiedniejszym momencie. Ale cóż, miło mieć za szwagra byłego senatora, nieprawdaż?

Coffey odwrócił się do Rabinera i najspokojniej, jak tylko potrafił, powiedział:

- Wyłącz to.
- Tak jest, sir.

Pendergast nie zamilkł, a w jego głosie pojawiła się nuta chłodnego sarkazmu. – A nawiasem mówiąc, jak tam twoja terapia leczenia potraumatycznych zaburzeń seksualnych? Podobno opracowali nową metodę, która potrafi zdziałać cuda.

Coffey skinął na strażnika i siłąc się na obojętność, rzekł: – Widzę, że dalsze przesłuchiwanie więźnia mija się z celem. Proszę otworzyć drzwi.

Zanim strażnik zdążył wykonać polecenie, Pendergast kontynuował. – Z drugiej strony, znając twoje zamiłowanie do wielkiej literatury, polecam ci wspaniałą komedię Szekspira *Wiele hałasu o nic*. Zwróć uwagę zwłaszcza na postać konstabla Dogberry’ego. Mógłbyś wiele się od niego nauczyć, Spencerze. Naprawdę wiele.

Drzwi celi otwarły się. Coffey spojrzał na dwóch strażników, ich wyraz twarzy był wystudiowanie beznamiętny. Wyprostowawszy się, ruszył korytarzem w stronę wyjścia z oddziału izolatek; Rabiner i strażnicy podążyli za nim w milczeniu.

Prawie dziesięć minut uciążliwego marszu niekończącymi się korytarzami zajęło dotarcie do nasłonecznionego narożnika budynku administracyjnego, gdzie mieścił się gabinet Imhofa. Do tego czasu oblicze Coffeya znów nabrało kolorów.

– Zaczekaj na zewnątrz – rzekł do Rabinera, po czym sztywnym krokiem minął niemiłą sekretarkę, wszedł do gabinetu Imhofa i zamknął za sobą drzwi.

– I jak...? – zaczął Imhof, ale zamilkł, przyjrzawszy się twarzy Coffeya.

– Proszę ponownie wyprowadzić go na plac ćwiczeń numer cztery – rzekł Coffey. – Jutro.

Na twarzy naczelnika odmalowało się zakłopotanie. – Agencje Coffey, kiedy wspomniałem o tym wcześniej, chodziło mi o zastosowanie tego argumentu jedynie w formie pogroźki. Jeżeli wpuści go pan tam raz jeszcze, oni go zabiją.

– Wewnętrzne konflikty między więźniami to ich sprawa, nie nasza. Zarządził pan, że ten więzień ma spędzać czas wolny na placu ćwiczeń numer cztery, i tak właśnie będzie.

Imhof chciał coś powiedzieć, lecz Coffey przerwał mu szorstkim gestem. – Posłuchaj mnie dobrze, Imhof. Zwracam się do pana z bezpośrednim oficjalnym żądaniem. Więzień ma zostać na placu numer cztery FBI przyjmuje na siebie pełną odpowiedzialność.

Zapadła cisza.

– Muszę to mieć na piśmie – powiedział w końcu Imhof. Coffey skinął głową. – Proszę tylko powiedzieć, gdzie mam złożyć podpis.

Doktor Adrian Wicherly przeszedł przez opustoszałą galerię egipską, czując przepełniającą go satysfakcję, że to właśnie jemu, a nie Norze Kelly doktor Menzies powierzył zadanie specjalne. Zaczerwienił się na myśl, jak go kokietowała, a potem upokorzyła; słyszał, że Amerykanki lubią dopiec facetowi do żywego, a teraz sam tego doświadczył. Ta kobieta była zwykłą prostytutką, i tyle. Cóż, już wkrótce wróci do Londynu, a po realizacji tego zlecenia jego CV bardzo się wzbogaci. Pomyślał o młodych nadgorliwych kobietach docentach, które pracowały na ochotnika w British Museum; większość z nich udowodniła, że ich poglądy są wyjątkowo elastyczne. Niech diabli porwą Amerykanki z ich purytańskimi, zakłamanymi zasadami moralnymi.

W dodatku Nora Kelly próbowała nim kierować. Chociaż to on był egiptologiem, od samego początku starała się dać mu do zrozumienia, że ona tu rządzi, a on jest tylko jej podwładnym. I choć to jego wynajęto, aby napisał scenariusz tego wielkiego widowiska multimedialnego, ta kobieta uparła się, by dał jej cały tekst do wglądu, naniosiła w nim poprawki i najogólniej rzecz biorąc, wszędzie usiłowała wtrącić swoje trzy grosze. Miał już jej powyżej uszu. Co taka kobieta jak ona robiła w tym wielkim muzeum? Powinna raczej gnieździć się w jakiejś ruderze na przedmieściach z gromadą rozwrzeszczanych, rozwydrzonych bachorów. Kim był jej mąż,

któremu była tak wierna? A może po prostu już miała kogoś na boku? Najprawdopodobniej tak właśnie było...

Wicherly dotarł do pawilonu i przystanął. Było bardzo późno – Menzies uparł się na konkretną godzinę – i w muzeum panowała nietypowa jak na to miejsce grobowa cisza. Wsłuchał się w tę ciszę. Wychwytał jakieś dźwięki, ale nie zdołał ich rozpoznać. Cichy szept – czego? Wentylatorów? No i powolne metodyczne tykanie tyk... tyk... tyk... co dwie, trzy sekundy jak odgłosy dogorywającego zegara. Słysząc też było ciche stukoty i zgrzyty, które mogły pochodzić z przewodów wentylacyjnych lub któregoś z urządzeń mechanicznych wykorzystywanych przez muzeum.

Wicherly przyglądał strzechę rozwichrzonych włosów i rozejrzał się nerwowo dokoła. Zabójcę schwytano dzień wcześniej, nie musiał zatem niczego się obawiać. Absolutnie niczego. Choć to trochę dziwne, co stało się z Lipperem, typowym bezczelnym nowojorczykiem, kto by przypuszczał, że facetowi tak puszcza nerwy. Kompletnie mu odbiło. Cóż, wszyscy byli za bardzo spięci. Ci Amerykanie zaharowywali się prawie na śmierć; nie mógł uwierzyć, ile godzin dziennie spędzali w pracy. W British Museum takie postępowanie ze strony pracodawcy wobec pracownika uznane zostałoby za bezprawne i niedopuszczalne. Dajmy na to on sam – teraz dochodziła trzecia w nocy. Oczywiście biorąc pod uwagę zlecenie, jakie przyjął od Menziesa, było to akurat w tym szczególnym przypadku całkiem zrozumiałe. Wicherly przesunął kartę przez otwór czytnika w ścianie, wprowadził kod, a chwilę potem błyszczące, nowe, wykonane z nierdzewnej stali drzwi do grobowca Senefa otwały się przy wtórze szmeru dobrze naoliwionego metalu. Powietrze w grobowcu przesycone było zapachem suchych kamieni, kleju epoksydowego, kurzu i rozgrzanych sprzętów elektrycznych. Światła zapaliły się automatycznie. Niczego nie pozostawiono

przypadkowi: wszystko zostało od początku do końca zaprogramowane. Do pracy zgłosił się co prawda nowy technik mający zastąpić Lippera, ale jego obecność okazała się jak na razie całkiem zbędna. Do wielkiego otwarcia pozostało zaledwie pięć dni i choć ogólną ekspozycję dopiero zaczęto instalować, oświetlenie, elektronika i elementy widowiska multimedialnego były już w pełni gotowe.

Mimo to Wicherly wciąż się wahał. Powiódł wzrokiem w dół długiej, stromej kondygnacji schodów, do korytarza daleko w dole. Poczł nagły niepokój. Usiłując go w sobie przewalczyć, wmaszerował do środka i zszedł po schodach; podeszwy jego oksfordów zaszurały na mocno już zużytych kamiennych stopniach.

Przystanął przy pierwszych drzwiach i niemal wbrew sobie skierował wzrok ku wizerunkowi oka Horusa i hieroglifom, które znajdowały się poniżej: „*Każdemu, kto przestąpi ten próg, niechaj Ammut pożre serce*”. To była w sumie dość standardowa sentencja ochronna. Wchodził do setek grobowców obłożonych podobnymi klątwami i nigdy dotąd żadna nie wzbudziła w nim silniejszych emocji. A jednak wizerunek Ammut na przeciwległej ścianie wydał mu się wyjątkowo odrażający. No i jeszcze ta dziwna, mroczna historia grobowca, nie mówiąc już o tajemniczym przypadku Lippera...

Starożytni Egipcjanie wierzyli w magiczną moc inkarnacji i wizerunków umieszczonych na ścianach grobowca, zwłaszcza tych z Księgi Umarłych. Nie były one jedynie motywami dekoracyjnymi, lecz miały moc do walki z tym wszystkim, wobec czego śmiertelnicy byli kompletne bezradni. Studiując sekrety Egiptu od tylu lat, ucząc się języka hieroglifów i pogrążając się w zawłościach egipskiej mitologii, Wicherly po części sam zaczął wyznawać ówczesną religię. Rzecz jasna wszystko to było jedną wielką bzdurą, ale na pewnym

poziomie pojmował tę wiarę tak dogłębnie, że owe mity nieomal wydawały mu się prawdziwe.

I nigdy jeszcze nie wydawały mu się bardziej realne niż w tej właśnie chwili: zwłaszcza groteskowo przykucnięta postać potężnej Ammut z błyszczącymi, ociekającymi śliną rozwartymi szczękami, łuskowatym krokodylim łbem, cętkowanym cielskiem leoparda i masywnymi łapami hipopotama. To właśnie te łapy wyglądały najbardziej odrażająco – nabrzmiące, pokryte błotem, jakby rozlane po całej ziemi. Wicherly wiedział, że właśnie te trzy zwierzęta w czasach faraonów najczęściej atakowały i zabijały ludzi, toteż powszechnie się ich obawiano. Potworne połączenie tych trojga zwierząt stanowiło najbardziej plugawą i przerażającą istotę, jaką mogli sobie wyobrazić starożytni Egipcjanie.

Kręcąc głową i siląc się na chichot, Wicherly ruszył dalej. Dawała mu się we znaki jego erudycja oraz krążące po muzeum kretyńskie plotki; niepotrzebnie straszył sam siebie. Bądź co bądź nie znajdował się w jakimś zagubionym grobowcu na pustyni nad Górnym Nilem, lecz w jednym z największych, najnowocześniejszych miast świata. Nawet teraz, kiedy tak tu stał, słyszał dochodzące z oddali odgłosy przetaczającego się opodal składu nocnego pociągu. To go rozdrażniło; pomimo wysiłków nie udało się w pełni wytłumić odgłosów metra ze stacji Central Park West.

Minał studnię i uniósł wzrok, by spojrzeć na inskrypcję z Księgi Umarłych. Zwrócił przy tym uwagę na fragment, który pominął podczas swej pierwszej wizyty w tym miejscu:

Oto miejsce, które jest zapieczętowane. to, co spoczywa w zamknięciu, odradza się przez duszę ba, która w nim tkwi. To, co przemierza zamknięte przestrzenie, nie posiada duszy ba. Przez oko Horusa daj mi wybawienie lub potępienie, o wielki Ozyrysie.

Jak wiele inskrypcji z Księgi Umarłych ta również była wyjątkowo

niejasna. Mimo to, gdy przeczytał ją powtórnie, powoli zaczął pojmować, o co w niej chodziło. Starożytni wierzyli, że człowiek ma aż pięć odrębnych dusz. Dusza ba była niewysłowioną mocą i odpowiadała za osobowość każdego człowieka, krążyła w tę i z powrotem pomiędzy grobowcem a zaświatami i właśnie w ten sposób zmarli utrzymywali kontakt ze światem pozagrobowym. Jednak dusza ba musiała połączyć się każdej nocy ze zmumifikowanymi zwłokami, w przeciwnym razie zmarły umierał raz jeszcze, tym razem ostatecznie.

Wicherly doszedł do wniosku, że napis w przejściu sugerował, iż ci, którzy naruszają spokój zapieczętowanego miejsca, czyli grobowca, zostaną pozbawieni dusz ba, a tym samym staną się potępionymi z woli oka Horusa. W starożytnym Egipcie o szaleńcach mawiano, że w jakiś sposób zostali pozbawieni właśnie duszy ba. Innymi słowy ci, którzy odważą się splądrować grobowiec i wejdą do środka, popadną w obłąd.

Wicherly wzdrygnął się. Czy nie to właśnie spotkało tego nieszczęsnego Lippera?

Nagle wybuchnął śmiechem, echo jego głosu zabrzmiało nieprzyjemnie i dziwnie chrapliwie w ograniczonych ciasnych wnętrzach grobowca. Co się z nim działo, u licha? Zaczynał się zachowywać jak jakiś zabobonny Irlandczyk. Znów pokręcił głową, tym razem nieco bardziej energicznie i przyspieszywszy kroku, skierował się w stronę wewnętrznego grobowca. Miał sporo pracy. Musiał przecież jeszcze wykonać specjalne zadanie, które zlecił mu osobiście doktor Menzies.

Nora otworzyła drzwi swego gabinetu, położyła laptop i pocztę na biurku, po czym zdjęła płaszcz i odwiesiła. Był chłodny słoneczny marcowy poranek, jasne promienie wpadały przez okno, tworząc niemal poziomy pas złocistego światła muskający grzbiety książek na półkach regału przy przeciwległej ścianie.

Jeszcze cztery dni do otwarcia, pomyślała z satysfakcją, i będzie mogła wrócić do swoich skorup – i do męża Billa. Ponieważ ostatnio spędzała całe dni w muzeum, prawie w ogóle się nie kochali, a on już nawet przestał się na to skarżyć. Jeszcze cztery dni. To była naprawdę długa i żmudna harówka, uciążliwa i dziwaczna nawet jak na standardy muzeum, ale na szczęście już wkrótce się to wszystko skończy. I kto wie? Otwarcie może nawet okazać się zabawne. Zabierze ze sobą Billa; przecież wiedziała, jak on lubił sobie podjeść; muzeum zaś mimo pewnych ograniczeń i cięć wydawało naprawdę niezapomniane bankiety.

Usiadła przy biurku i zaczęła rozcinać nożykiem koperty, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – rzekła, zastanawiając się, kto mógł zjawić się tu o tak wczesnej porze, dochodziła ósma.

W drzwiach pojawiła się korpulentna sylwetka Menziesa, w jego niebieskich oczach malowało się zatroskanie, był czymś wyraźnie zmartwiony – Mogę? – zapytał, wskazując dłonią fotel dla gości.

– Ależ proszę.

Wszedł i usiadł, zakładając nogę na nogę i poprawiając kant swoich spodni w jodełkę. – Nie widziałaś może Adriana?

– Nie. Ale jest jeszcze wcześniej. Zapewne jeszcze nie przyszedł.

– O to właśnie chodzi. Zjawił się w muzeum o trzeciej nad ranem. Zameldował się w punkcie ochrony i wszedł do grobowca, co zarejestrowały elektroniczne czytniki. Dowiedziałem się od ochrony, że wciąż przebywa na terenie budynku, ale nie ma go w jego gabinecie ani w laboratorium. Prawdę mówiąc, nie mogę go nigdzie znaleźć. Sądziłem, że może miał ci coś do powiedzenia.

– Nie, nie widziałam go. Czy wie pan, po co przyszedł do muzeum o trzeciej w nocy?

– Może miał dużo pracy i chciał zacząć jak najwcześniej. Jak wiesz, o dziewiątej zaczynamy przenoszenie ostatnich artefaktów. Postawiłem na nogi cieśli, wydział ekspozycji i ekipę konserwatorów. Nikt nie widział Adriana. Nie do wiary, że mógł tak po prostu zniknąć.

– Zjawi się. Zawsze był niezawodny.

– Mam taką nadzieję.

– Ja też – rozległ się czyjś głos.

Nora uniosła wzrok zdezorientowana. Wicherly stał w drzwiach i patrzył na nią.

Menzies również wydawał się odrobinę zbity z tropu, zaraz jednak uśmiechnął się z ulgą. – O, jesteś wreszcie. Już zacząłem się martwić.

– Nie musi pan się o mnie martwić.

Menzies wstał. – W porządku, nic się nie stało. Wiele hałasu o nic. Adrianie, chciałbym pomówić z tobą w moim gabinecie na temat umiejscowienia poszczególnych artefaktów. Przed nami wielki dzień.

– Czy mógłbym najpierw zamienić słówko z Norą? Zobaczymy się za parę minut.

– Dobrze. – Menzies wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Wicherly usiadł, nie czekając na zaproszenie, w fotelu zwolnionym przez Menziesa. Nora poczuła, że ogarnia ją złość. Miała nadzieję, że egiptolog nie powtórzy swego kretyńskiego występu z ubiegłego tygodnia.

Kiedy znów się odezwał, w jego głosie słychać było nutę sarkazmu.
– Martwisz się, że mógłbym znów spróbować się do ciebie dobrać?

– Adrianie. Nie mamy czasu na przekomarzanie się. Czeka mnie ciężki dzień. Ciebie zresztą też. Daj spokój.

– Nie po tym, jak mnie potraktowałaś. Twoje zachowanie było nie do przyjęcia.

– Moje zachowanie? – Nora wzięła głęboki oddech, nie miała czasu na dłuższe debatowanie nad tą żenującą sprawą. – Tam są drzwi. Proszę, abys stąd wyszedł.

– Najpierw raz na zawsze załatwimy tę sprawę.

Nora przyjrzała się baczniej Wicherly'emu i nagle się zaniepokoiła. Dopiero teraz zwróciła uwagę na jego wygląd, wydawał się wymizerowany kompletnie wycieńczony. Twarz miał białą, pod oczami olbrzymie sińce, włosy wilgotne i pozlepiane w strąki. Najbardziej jednak zdziwiło ją to, że nawet jego garnitur i krawat, zwykle nienaganne i eleganckie, przedstawiały się niechlujnie. Na jego czole perliły się kropelki potu.

– Dobrze się czujesz?

– Doskonale! – Ale w tej samej chwili, gdy to powiedział, jedną część jego twarzy wykrzywił gwałtowny spazmatyczny grymas.

– Adrianie, naprawdę uważam, że potrzebujesz odpoczynku. Za bardzo się przepracowujesz. – Zachowywała spokojny, zrównoważony ton głosu. Gdy tylko Wicherly stąd wyjdzie, Nora zadzwoni do Menziesa i zasugeruje, aby dał Adrianowi dzień wolnego. Choć potrzebowali jego porad i wnikliwych sugestii, pomimo iż jego

zachowanie pozostawiało wiele do życzenia, okazał się naprawdę bezcenny i nie mogli pozwolić, aby przed otwarciem ekspozycji całkiem się załamał.

Jego przystojne oblicze znów przeszył potworny spazmatyczny skurcz, wykrzywając rysy twarzy i zmieniając ją w upiorną maskę, by po chwili wszystko powróciło do normy, jak gdyby nigdy nic.

– Czemu o to zapytałaś, Noro? Czy wyglądam na chorego?

Jego głos przybrał na sile. Zauważyła, że obiema dłońmi przytrzymywał się podłokietników fotela z taką siłą, że aż wbił paznokcie w miękki materiał.

Nora podniosła się z fotela. – Wiesz, tak ciężko pracujesz, że moim zdaniem naprawdę zasłużyłeś na dzień odpoczynku. – Uznała, że nie będzie nawet kontaktować się w tej sprawie z Menziesem. Była wszak kuratorem tej ekspozycji i sama wyśle go do domu. Wicherly nie był w stanie nadzorować przenosin artefaktów wartych miliony dolarów.

Kolejny silny skurcz. – Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Jesteś wyczerpany, to wszystko. Daję ci dzień wolnego. To nie jest propozycja, Adrianie. Chcę, abyś poszedł do domu i porządnie wypoczął.

– To nie jest propozycja? A od kiedy jesteś moją przełożoną?

– Odkąd się tu zjawiłeś. A teraz, proszę, idź już do domu albo będę zmuszona wezwać ochronę.

– Ochronę? Wolne żarty.

– Proszę natychmiast opuścić mój gabinet! – Nora sięgnęła po telefon. I wtedy nagle Wicherly, poderwawszy się z fotela, rzucił się w jej kierunku, zamaszystym gestem strącił telefon z blatu, przydepnął słuchawkę stopą i brutalnie wyszarpnął przewód aparatu.

Nora zamarła. Z Wicherlym działo się coś bardzo złego. – Posłuchaj, Adrianie – rzekła ze spokojem. – Po co te nerwy? – Wstała powoli i zaczęła przesuwać się wzdłuż biurka.

– Ty cholerna zdiro – wycedził złowieszczo.

Nora zauważyła drzenie jego palców, gwałtowne skurcze, z każdym kolejnym coraz silniejsze, aż w końcu po jednym z nich dłoń Wicherly’ego zacisnęła się w pięść. Nieomal czuła gęstniejącą wokół niego aurę brutalności i przemocy. Wyminęła biurko i ruszyła dalej, powoli, lecz z niezłomną determinacją. – Wychodzę stąd – rzekła tak stanowczo, jak tylko potrafiła w obecnej sytuacji. Równocześnie wewnętrznie przygotowywała się na walkę. Jeśli się na nią rzuci, spróbuje wydrapać mu oczy.

– Takiego wała! – Wicherly zastąpił jej drogę, a jednocześnie sięgnął ręką za siebie i przekreślił zasuwkę w drzwiach.

– Precz mi z drogi!

Nie cofnął się ani nie zszedł na bok; oczy miał przekrwione, źrenice jak małe czarne punkciki. Próbowwała zdusić w sobie narastającą panikę. Co mogłoby podziałać – spokojna perswazja czy surowy rozkaz? Jego twarz ponownie wykrzywiła cała seria następujących jeden po drugim spazmatycznych skurczów, prawa pięść to rozwierała się, to zaciskała na przemian. Wyglądał, jakby opętał go demon.

– Adrianie, już wszystko dobrze – powiedziała, usiłując nadać drżącemu głosowi uspokajający ton. – Potrzebujesz pomocy. Pozwól mi wezwać lekarza.

Kolejne skurcze, jego mięśnie szyi naprężyły się raz po raz jak postronki.

– Chyba masz jakiś atak – rzekła. – Rozumiesz, Adrianie? Potrzebujesz natychmiastowej opieki lekarskiej. Pozwól sobie pomóc.

Chciał coś powiedzieć, ale z jego ust dobył się tylko nieartykułowany Charkot, strużka śliny pociekła mu po brodzie.

– Adrianie, teraz stąd wyjdę i sprowadzę lekarza, aby cię zbadał i... Prawą rękę wyrzucił do przodu, trafiając Norę w twarz, ale była

przygotowana na tego rodzaju atak i odchodząc lekko w bok, udało się jej złagodzić siłę otrzymanego ciosu. Zatoczyła się do tyłu. – Pomocy! Ochrona! Wezwać ochronę!

– Zamknij się, suko! – Poczłapał ciężko naprzód, wlokąc za sobą jedną nogę i ponownie zamachnął się, by ją uderzyć. Zahaczyła o kant biurka, straciła równowagę, a on natychmiast rzucił się na nią, przygniatając ją całym ciężarem do blatu.

– Na pomoc! Ratunku!

Dźgnęła wyprostowanymi palcami, mierząc w jego oczy, ale on był szybszy i uderzył ją w szczękę, podczas gdy drugą ręką schwycił jej bluzkę i rozerwał od góry do dołu; guziki posypały się na wszystkie strony. Znów krzyknęła i próbowała wyslizgnąć się z jego uścisku, lecz Wicherly wolną ręką objął Norę za szyję i ścisnął z przerażającą siłą, brutalnie ją uciszając. Zaczęła wierzgać, próbowała się o coś zaprzeć, ale on unieruchomił jej nogi, obejmując je swoimi.

– Wydaje ci się, że możesz mi rozkazywać? – Teraz schwycił ją obiema rękami za szyję i zaczął dusić. Szamotała się i wiła jak piskorz, szarpiąc go za włosy i okładając pięściami po plecach, on jednak zdawał się w ogóle tego nie odczuwać, był skoncentrowany wyłącznie na swoich dłoniach, jego spocone, cuchnące, targane spazmatycznymi skurczami oblicze nachyliło się i niebezpiecznie zbliżyło do jej twarzy.

– Pokażę ci, kto tu rządzi.

Nora tłukła pięściami i drapała paznokciami bezradnie, jej przepona unosiła się, próbując nadaremnie zaczerpnąć powietrza, które wciąż nie docierało do jej płuc. Krtań wydawała się nieomal pękać pod naporem bezlitosnych, zaciskających się coraz bardziej palców. Odciął jej dopływ krwi do mózgu, poczuła, że siły wypływają z niej jak woda z pękniętego szlauchu; przed oczami Nory eksplodował nagle milion gwiazd, a na obrzeżach pola widzenia

zaczęła gęstnieć narastająca z każdą chwilą ciemność, jak atrament rozlewający się w wodzie.

– I co ty na to, suko? Jakie to uczucie?

Usłyszała jakieś odgłosy w tle dochodzące, zdawałoby się, z bardzo daleka – przenikliwe łomotanie i trzask rozłupywanego drewna, a potem, już balansując na granicy świadomości, poczuła, że ucisk silnych jak z żelaza palców na jej szyi rozluźnia się. Unosiła się na falach morza szarości, aż wyrwały ją stamtąd rozlegające się gdzieś nieopodal krótkie gwałtowne okrzyki, a zaraz po nich przeraźliwie głośny huk. Przetoczyła się na bok, pokaszując gwałtownie i rozcierając obolałą posiniaczoną szyję. Obok niej wyrósł Menzies biorący ją w ramiona i wzywający lekarza. Poczuła się kompletnie zbita z tropu. Nie wiedziała, co się dzieje. Przy biurku zrobiło się nagle spore zamieszanie, była tam grupka strażników z muzeum, słychać było krzyki... I nagle ujrzała rzekę krwi rozlewającą się po podłodze. Co się stało?

– Musiałem to zrobić, rzucił się na mnie z nożem! – dał się słyszeć zrozpaczony głos wdzierający się w jej odzyskiwaną stopniową świadomość.

– ... tylko otwieracz do listów, ty kretynie!

– ... lekarza! Ale już!

– ... próbował ją udusić...

Kakofonia donośnych przepełnionych paniką głosów nie mijała, strzępy zdań rozbrzmiewały pod jej czaszką, gdy z wolna wszystko zaczęło do niej wracać... Zakasłała, usiłując odegnać od siebie niechciane wspomnienia, starała się nie myśleć, podczas gdy Menzies ułożył ją na fotelu, szepcząc cały czas: – Nic ci nie jest, moja droga, wszystko będzie dobrze, lekarz jest już w drodze. Nie, proszę, nie patrz tam... Zamknij oczy, uwierz mi, wszystko będzie dobrze... Tylko nie patrz, pamiętaj, nie patrz...

Kapitan Hayward przyjrzała się wielkiej kałuży krwi na wyłożonej linoleum podłodze gabinetu, rozmazanej przez sanitariuszy i lekarza, który rozpaczliwie i bezskutecznie starał się przywrócić akcję serca rozerwanego przez pocisk kalibru 9 mm, wystrzelony z bliskiej odległości z pistoletu typu browning hipower. Miejsce zbrodni zostało starannie przebadane, obfotografowane i oznakowane przez zespoły pracujących techników i wyspecjalizowanych ekspertów śledczych.

Wyszła z gabinetu, pozwalając specjalistom, by spróbowali znaleźć jakiś sens w tym ewidentnie bezsensownym tragicznym zdarzeniu. Miała inne zadanie: porozmawiać z ofiarą, zanim zostanie przewieziona do szpitala. Odnalazła Norę Kelly czekającą w sali klubowej ze swoim mężem Billem Smithbackiem, szefem wydziału antropologii Hugo Menziesem, kilkoma pielęgniarzami, funkcjonariuszami policji i strażnikami z muzeum. Sanitariusze i lekarz kłócili się z doktor Kelly, usiłując przekonać ją, że powinna pojechać do szpitala i poddać się podstawowym badaniom.

– Chcę, żeby strażnicy i personel muzeum natychmiast stąd wyszli – rzekła Hayward. – Z wyjątkiem doktor Kelly i doktora Menziesa.

– Ja się stąd nie ruszę – odparował Smithback. – Nie opuszczę mojej żony.

– Może pan zostać – powiedziała Hayward.

Lekarz z karetki, który najwyraźniej od dłuższego czasu na próżno

usiłował nakłonić Norę do zmiany decyzji, podjął jeszcze jedną, ostatnią próbę. – Proszę posłuchać, ma pani sińce na szyi i kto wie, może doznała pani wstrząśnienia mózgu. Skutki mogą pojawić się z opóźnieniem. Musimy panią zbadać.

– Proszę nie zwracać się do mnie per pani. Mam tytuł doktorski.

– Lekarz ma rację – dodał Smithback. – Powinnaś przejść przynajmniej podstawowe badania. To nie potrwa długo.

– To nie potrwa długo? Spędziłabym cały dzień na ostrym dyżurze. Wiesz, jak to jest w szpitalu świętego Łukasza!

– Noro, zapewniam solennie, że damy sobie dziś radę bez ciebie – powiedział Menzies. – Przeżyłaś straszny wstrząs, to musiał być dla ciebie szok...

– Z całym szacunkiem, Hugo, ale wiesz równie dobrze jak ja, że teraz, gdy doktor Wicherly.. O Boże, to okropne!

Przez chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie słowa i Hayward wykorzystwała ten moment, aby się odezwać. – Wiem, że to niewłaściwa pora, doktor Kelly, ale czy mogłabym zadać pani kilka pytań?

Nora otarła oczy. – Słucham.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, co wydarzyło się bezpośrednio przed atakiem?

Nora wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić. A potem zaczęła relacjonować wypadki, które rozegrały się w jej gabinecie zaledwie dziesięć minut temu; nie omieszkała przy tym wspomnieć, że Wicherly parę dni temu próbował smalić do niej cholewki. Hayward słuchała w milczeniu, podobnie jak mąż Kelly, którego twarz aż pokraśniała ze złości.

– Skurwiel – wymamrotał.

Nora machnęła tylko ręką ze zniecierpliwieniem. – Dziś coś się z nim stało. Nie był sobą. Zupełnie jakby dostał jakiegoś ataku.

– Co pani robiła w muzeum o tak wczesnej porze? – spytała Hayward.

– Ja... ee... miałam... mam przed sobą ciężki dzień, czeka mnie mnóstwo pracy.

– A Wicherly?

– O ile mi wiadomo, zjawił się o trzeciej nad ranem. Hayward nie próbowała ukrywać zdumienia. – Po co?

– Nie mam pojęcia.

– Czy wchodził do grobowca?

Odpowiedzi udzielił Menzies. – Owszem tak. Dzienniki ochrony wykazały, że wszedł do grobowca parę minut po trzeciej, spędził tam pół godziny, po czym wyszedł. Nie wiemy, gdzie był od tamtej pory aż do momentu ataku. Wszędzie go szukałem.

– Zakładani, że zanim go pan zatrudnił, sprawdził pan jego przeszłość. Czy był kiedykolwiek karany, miał kłopoty z prawem, przejawiał skłonność do agresji?

Menzies pokręcił głową. – Nic z tych rzeczy.

Hayward rozejrzała się dokoła i odetchnęła z ulgą, gdy stwierdziła, że tego dnia do służby w muzeum przydzielono Viscontiego. Przywołała go do siebie.

– Chciałabym, abyś spisał zeznania doktora Menziesa i strażnika, który postrzelił Wicherly'ego – powiedziała. – Z doktor Kelly porozmawiamy, kiedy już wróci ze szpitala.

– Nic z tego – odparła Nora. – Złożę zeznania od razu. Hayward zignorowała ją. – Gdzie koroner?

– Pojechał z ciałem do szpitala.

– Połącz mnie z nim przez radio.

Chwilę potem Visconti podał jej krótkofalówkę. Następnie odprowadził Menziesa na stronę, aby spisać jego zeznania.

– Doktorze? – rzuciła Hayward do głośnika krótkofalówki. –

Chciałabym, aby autopsję przeprowadzono możliwie jak najszybciej. Proszę zwrócić szczególną uwagę na potencjalne zmiany patologiczne w mózgu, zwłaszcza w płacie czołowym i śródmózgowiu... Nie, nie jestem neurochirurgiem. Wyjaśnię to panu później. – Oddała krótkofalówkę Viscontiemu, po czym spojrzała srogo na Norę. – Jedziesz do szpitala. Ale już. – Skinęła na sanitariuszy – Pomóżcie jej wstać i zabierzcie ją stąd.

Następnie przeniosła wzrok na Smithbacka. – Chciałabym pomówić z panem na osobności, na korytarzu.

– Ale ja chciałabym pojechać z żoną...

– Kiedy już się rozmówimy, dotrze pan na miejsce. Policyjnym radiowozem, z włączonym kogutem i na sygnale. Dojedzie pan równocześnie z karetką.

Zamieniła kilka słów z Norą, uspokajającym gestem poklepała ją po ramieniu, po czym ruchem głowy zaprosiła Smithbacka na korytarz. Znaleźli dla siebie cichy kącik i kiedy tam przystanęli, Hayward zwróciła się do dziennikarza. – Nie rozmawialiśmy od dłuższego czasu – rzekła. – Miałam nadzieję, że udało się panu zdobyć jakieś informacje, którymi mógłby się ze mną podzielić.

Smithback wyglądał na absolutnie zakłopotanego. – Opublikowałem artykuł, o którym rozmawialiśmy. A nawet dwa. Ale nie wywołały one spodziewanej burzy. Nie mam żadnych nowych tropów, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Hayward pokiwała głową i czekała cierpliwie. Smithback spojrzał na nią, po czym odwrócił wzrok. – Każdy trop, którym próbowałem podążać, okazał się prowadzić donikąd. Wszystkie były już zimne. I właśnie dlatego... postanowiłem odwiedzić ten dom.

– Jaki znowu dom?

– No wie pani. Jego dom. Ten, w którym przetrzymywał Violę Maskelene.

– Zakradł się pan do środka? Nie wiedziałam, że dochodzenie zostało zakończone. Kiedy zdjęto policyjne taśmy i pieczęcie?

Smithback miał jeszcze bardziej niepewną minę niż do tej pory. – Taśmy nie były zdjęte.

– Co takiego? – zapytała Hayward, podnosząc głos. – Wszedł pan bezprawnie na zakazany teren? To miejsce przestępstwa!

– Nic się tam nie działo! – rzucił pospiesznie Smithback. – Spędziłem tam sporo czasu, a w pobliżu zauważyłem zaledwie jednego gliniarza!

– Proszę posłuchać, panie Smithback, ani słowa więcej. Nie chcę tego słyszeć. Nie mogę i nie zamierzam pozwolić panu na prowadzenie jakichkolwiek działań poza prawem.

– Ale to, co odkryłem w tym domu, jest naprawdę bardzo ważne. Hayward przerwała i spojrzała na niego.

– To znaczy... na razie niczego nie mogę udowodnić. To tylko taka luźna teoria. Początkowo sądziłem, że to przypadkowe odkrycie, później jednak... W każdym razie, właśnie dlatego wcześniej o tym nie wspomniałem.

– Słucham.

– W tym domu odkryłem marynarki należące do Diogenesa. Hayward czekała z rękoma splecionymi na piersiach.

– Trzy z nich były naprawdę bardzo drogie, z kaszmiru albo wielbłądziej wełny, eleganckie, w stylu włoskim. Prócz nich było tam jeszcze parę wielkich, obszernych staroświeckich marynarek tweedowych, równie drogie, ale w całkiem innym stylu. Rozumie pani, co mam na myśli, w takich ciuchach chodzą zwykle kostyczni angielscy profesorowie.

– No i?

– Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale w tych tweedowych marynarkach było coś niezwykłego. Wyglądały prawie jak kostiumy

teatralne. Jak elementy przebrania. Zupełnie jakby Diogenes...

– Miał alter ego – dokończyła za niego Hayward. Zdała sobie sprawę, do czego zmierzał, i to, co usłyszała, bardzo ją zaintrygowało.

– Właśnie tak. A kim mogłoby być to alter ego, zakładając, że nosi tweedowe marynarki? Profesorem.

– Albo kustoszem – podpowiedziała Hayward.

– Otóż to. I wtedy przyszło mi na myśl, że Diogenes z dużą dozą prawdopodobieństwa pracuje jako kurator właśnie tu, w Muzeum Historii Naturalnej! Te wszystkie teorie, jakoby złodziej brylantów miał współnika wśród personelu muzeum albo że zrobił to ktoś, kto tu pracował. Nie miał współnika i najprawdopodobniej sam dysponował wiedzą, by przeprowadzić taki skok. Wiem, że to brzmi dość niesamowicie... – Nie dokończył. Wyglądał na zmieszanego i odrobinę zakłopotanego.

Hayward spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem. – Szczerze mówiąc, nie widzę w tej teorii nic niesamowitego. Powiedziałabym raczej, że brzmi ona całkiem przekonująco.

Smithback spojrzał na nią ze zdumieniem. – Naprawdę?

– Jak najbardziej. Fakty zdają się pasować do siebie bardziej niż w przypadku jakiegokolwiek innej teorii, którą miałam okazję słyszeć. Diogenes jest kustoszem w tym muzeum.

– Ale to nie ma sensu. Po co Diogenes miałby kraść brylanty, a potem kruszyć je w drobny mak i odsyłać z powrotem do muzeum?

– Może żywi osobistą urazę względem kogoś z wyższych rangą pracowników albo całej tej placówki jako takiej. Nie dowiemy się tego, dopóki go nie złapiemy. Dobra robota, panie Smithback. Aha, i jeszcze jedno.

Smithback nieznacznie przymrużył oczy. – Chyba się domyślam.

– Otóż to. Tej rozmowy w ogóle nie było. I dopóki nie zarządzą inaczej, proszę nie wysnuwać żadnych dalszych teorii w wiadomej

sprawie. Niech pan nikomu o tym nie mówi. Nawet żonie. No i ani słowa na ten temat na łamach „New York Timesa”. Rozumiemy się?

Smithback westchnął i pokiwał głową.

– Świetnie. A teraz muszę namierzyć Manettiego. Najpierw jednak ściągnę tu radiowóz, aby odwiózł pana do żony do szpitala. – Uśmiechnęła się. – Zasłużył pan na to.

W wielkim, wyłożonym boazerią gabinecie Fredericka Watsona Collopy'ego, dyrektora nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej, panowała cisza. Zjawili się tam wszyscy: Beryl Darling, główny doradca prawny; Josephine Rocco, szefowa Public Relations; Hugo Menzies. Krótka lista najbardziej zaufanych członków personelu Collopy'ego. Wszyscy siedzieli i patrzyli na niego, czekając, aż zacznie.

Wreszcie Collopy położył dłoń na pokrytym skórą blacie biurka i powiódł wzrokiem dokoła. – Nigdy jeszcze w swej długiej historii – zaczął – to muzeum nie stanęło w obliczu równie poważnego kryzysu. Nigdy – Pozwolił, by tamci przyswoili sobie tę informację. Wciąż trwali w absolutnym bezruchu i milczeniu.

– Krótko mówiąc, zadano nam kilka wyjątkowo ciężkich ciosów, z których każdy mógłby zdruzgotać placówkę taką jak ta. Kradzież i zniszczenie kolekcji brylantów. Zabójstwo Theodore'a DeMeo. Niewyjaśniony atak na doktor Kelly i tragiczna śmierć napastnika, wielce szacownego doktora Adriana Wicherly'ego z British Museum, z ręki strażnika nazbyt skorego do pociągania za spust służbowej broni.

Przerwa.

– Za cztery dni ma mieć miejsce jedno z największych otwarć w historii tego muzeum. To otwarcie ma na celu usunięcie w cień

afery z kradzieżą brylantów. Pytanie, na które musimy sobie teraz odpowiedzieć, brzmi następująco: jaki ma być odzew z naszej strony? Czy powinniśmy przełożyć otwarcie? Czy mamy zwołać konferencję prasową? Dziś od rana dzwoniło do mnie około dwudziestu członków rady i każdy z nich miał inny pomysł na rozwiązanie naszych obecnych problemów. W dodatku za dziesięć minut czeka mnie spotkanie z niejaką kapitan Hayward z wydziału zabójstw, która, jestem pewien, zażąda ode mnie przełożenia terminu otwarcia. Od naszej czwórki zależy ustalenie dalszego terminu działania i jego sukcesywne wdrożenie.

Złożył dłonie na blacie biurka. – Beryl? Co proponujesz?

Collopy wiedział, że Beryl Darling, główny doradca prawny muzeum, zawsze mówiła prawdę w oczy i nie obawiała się kontrowersyjnych wypowiedzi. Darling wychyliła się do przodu, bawiąc się trzymanym w dłoni ołówkiem. – Pierwsze, co bym zrobiła, Fredericku, to rozbroiłabym wszystkich strażników w całym budynku.

– Już to zrobiłem.

Darling pokiwała głową z zadowoleniem. – Następnie zamiast konferencji prasowej, nad której przebiegiem moglibyśmy stracić kontrolę, proponowałabym jak najszybciej wystosować oświadczenie.

– Jakiej treści?

– Zawierające surową, niczym nieubarwioną relację z faktów, po której nastąpi przyznanie się do winy, szczere i pełne skruchy, oraz wyrazy współczucia pod adresem rodzin ofiar. DeMeo, Lippera i Wicherly'ego.

– Chwileczkę. Lippera i Wicherly'ego? Ofiar?

– Wyrazy współczucia będą absolutnie neutralne. Muzeum nie chce przyjmować na siebie roli sędziego czy oskarżyciela. Niech policja zajmie się zgromadzeniem i posegregowaniem faktów. Nikt z nas nie zamierza nikogo publicznie kamienować.

Lodowata cisza.

– A otwarcie? – zapytał Collopy.

– Proszę je odwołać. I zamknąć muzeum na dwa dni. A także dopilnować, żeby nikt, naprawdę nikt z muzeum nie skontaktował się z prasą.

Collopy odczekał chwilę, po czym zwrócił się do Josephine Rocco, szefowej PR-u.

– Co pani o tym sądzi?

– Zgadzam się z panią Darling. Musimy pokazać opinii publicznej, że nie mamy do czynienia z typową sytuacją.

– Dziękuję. – Collopy odwrócił się do Menziesa. – Czy chciałby pan coś dodać, doktorze Menzies? – Był zdumiony spokojem, zrównoważeniem i opanowaniem emanującym z Menziesa. Żałował, że on sam nie ma w sobie tyle zimnej krwi.

Menzies skinął w stronę Darling i Rocco. – Chciałbym podziękować obu paniom za ich wyważony komentarz i przyznam szczerze, że w innych okolicznościach ich rady byłyby jak najbardziej na miejscu.

– Ale ma pan inne zdanie?

– Owszem tak. Całkowicie. – Niebieskie oczy Menziesa przepełnione niewzruszoną pewnością siebie wywarły na Collopym spore wrażenie.

– Wobec tego słucham.

– Nie jestem pewien, czy powinienem tak otwarcie sprzeciwiać się osobom, których mądrość i wiedza w tych sprawach przewyższają moje. – Menzies rozejrzał się pokornie dokoła.

– Chciałbym poznać pańską nieupiększoną opinię w tej sprawie.

– Dobrze więc. Sześć tygodni temu skradziono, a następnie zniszczono kolekcję brylantów. Potem wynajęty kontrahent, niebędący pracownikiem muzeum, zabija kolegę po fachu. Jeszcze później konsultant z zagranicy, zatrudniony tymczasowo, także nie

jako stały pracownik, atakuje jednego z naszych najlepszych kuratorów i ginie w zamieszaniu zastrzelony przez nadgorliwego strażnika. A ja was pytam: co mają ze sobą wspólnego te wszystkie wydarzenia? – Menzies powiódł dokoła pytającym spojrzeniem.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Pani Darling? – rzucił z naciskiem Menzies.

– No... nic.

– Właśnie. Przez tych sześć tygodni w Nowym Jorku doszło do sześćdziesięciu jeden zabójstw, tysiąca pięciuset napaści oraz niezliczonych przestępstw i wykroczeń mniejszego kalibru. Czy burmistrz zamknął z tego powodu miasto? Nie. A co zrobił zamiast tego? Ogłosił dobre wieści: poziom przestępczości zmniejszył się o cztery procent w porównaniu z rokiem ubiegłym.

– A zatem – rzekła Darling, przeciągając samogłoski. – Jakie dobre wieści proponowałby pan ogłosić, doktorze Menzies?

– Że pomimo niedawnych wydarzeń wielkie otwarcie grobowca Senefa odbędzie się zgodnie z planem.

– A co z resztą? Mamy ją tak po prostu zignorować?

– Oczywiście, że nie. To jasne, że należy wystosować oświadczenie. Powinno się jednak wyraźnie podkreślić, że to miasto Nowy Jork, a muzeum jest wielką placówką zajmującą obszar 28 akrów na Manhattanie, zatrudniająca dwa tysiące pracowników i przyjmującą rocznie pięć milionów zwiedzających, a zatem w tych okolicznościach jest rzeczą zdumiewającą, iż nie zdarza się tu więcej przestępstw. Należałoby zwłaszcza podkreślić to, o czym wspomnieliście państwo, że zbrodnie te nie są ze sobą powiązane, że to przypadkowe przestępstwa i że sprawy te zostały już rozwiązane. Sprawców schwytano. A to wszystko stanowi jedynie pechowy ciąg tragicznych zdarzeń i nic więcej.

Przerwał. – Należałoby zastanowić się nad jednym.

– Tak? – zapytał Collopy.

– Wybiera się tu burmistrz i planuje wygłosić ważne oświadczenie. Być może pragnie wykorzystać tę wyjątkową okazję, by ogłosić, że zamierza ubiegać się o reelekcję.

Menzies uśmiechnął się i zamilkł, jego jasne niebieskie oczy lustrowały pokój w oczekiwaniu na reakcję zebranych. Jako pierwsza otrząsnęła się z chwilowego odrętwienia Beryl Darling. Wyprostowała się i zaczęła stukać końcem ołówka w blat biurka. – Muszę przyznać, doktorze Menzies, że pańskie ujęcie całej tej sprawy wydaje się dość ciekawe.

– Mnie się nie podoba – stwierdziła Rocco. – Nie możemy tak po prostu o wszystkim zapomnieć, zamieść to pod dywan. Zlinczowano by nas.

– A kto twierdzi, że cokolwiek zamieciemy pod dywan? – rzekł Menzies. – Wręcz przeciwnie, ujawnimy wszystkie fakty. Niczego nie będziemy ukrywać. Żadnych tajemnic. Zaczniemy publicznie bić się w piersi i weźmiemy na siebie pełną odpowiedzialność za to, co się stało. Fakty działają na naszą korzyść, ponieważ wyraźnie potwierdzają przypadkowość owych zbrodni. A sprawcy nie żyją albo trafili za kratki. Sprawa zamknięta.

– A co z plotkami?

– Z jakimi plotkami?

– Jakoby grobowiec był przeklęty.

Menzies zachichotał. – Przekleństwo mumii? To cudowne! Teraz naprawdę ściągają tu tłumy. Każdy będzie chciał zobaczyć przeklęty grobowiec.

Czerwone wargi Rocco zacisnęły się tak mocno, że pokrywająca je graba warstwa szminki popękała.

– Nie wolno nam zapomnieć o zasadniczym celu otwarcia grobowca Senefa: przypomnienia miastu, że wciąż jesteśmy największym

muzeum historii naturalnej na świecie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy spektakularnego widowiska, czegoś olśniewającego, co odwróci uwagę od ostatnich wydarzeń.

W gabinecie zapanowała długa cisza. Wreszcie przerwał ją Collopy – To brzmi cholernie przekonująco, Hugo.

– Szczerze mówiąc, przemyślałam sobie raz jeszcze to wszystko – wtrąciła Darling – i chyba zgodzę się z doktorem Menziesem.

Collopy spojrzął na szefową PR-u. – Josephine?

– Wciąż mam pewne wątpliwości – odparła powoli. – Ale chyba warto spróbować.

– Wobec tego decyzja zapadła – rzekł Collopy.

Jak na komendę drzwi do gabinetu otwały się. Stała w nich pani kapitan w skromnym szarym garniturze, z odznaką przypiętą do kołnierza. Collopy spojrzął na zegarek, przyszła punktualnie co do sekundy.

Wstał. – Chciałbym przedstawić państwu kapitan Laurę Hayward z wydziału zabójstw. To jest...

– Już się poznaliśmy – odparła oschle. I skierowała na niego spojrzenie swych fiołkowych oczu. Wydawała się niepokojąco młoda i atrakcyjna. Collopy zastanawiał się, czy była osobą konkretną, rzeczową i do przesady zdyscyplinowaną i czy doświadczenie szło u niej w parze z kompetencjami. Patrząc w te oczy, zaczynał wątpić.

– Chciałabym porozmawiać z panem na osobności, doktorze Collopy – rzekła.

– Oczywiście.

Menzies pożegnał się i jako ostatni opuścił gabinet, zamykając za sobą drzwi. Collopy przeniósł wzrok na Hayward. – Zechce pani spocząć, pani kapitan?

Po krótkim wahaniu pokiwała głową. – Tak, raczej tak. – Usadowiła się w fotelu, a Collopy zwrócił uwagę, że była bardzo blada

i wyglądała na wyczerpaną. Mimo to jej fiołkowe oczy wydawały się przenikliwe i bystre.

– Co mogę dla pani zrobić, pani kapitan? – zapytał.

Wyjęła z kieszeni plik złożonych na pół papierów – Mam tu wyniki autopsji Wicherly’ego.

Collopy uniósł brwi. – Autopsji? Czy w jego śmierci było coś zagadkowego?

Gwoli odpowiedzi wydobyła jedną z kartek. – A tu jest raport diagnostyczny dotyczący Lippera. Wszystko sprowadza się do tego, że obaj doznali identycznych gwałtownych uszkodzeń śródmózgowia i płata czołowego mózgu.

– Doprawdy?

– Tak. Innymi słowy, obaj popadli w obłąd dokładnie w ten sam sposób. Wskutek doznanych obrażeń u każdego z nich wytworzyła się nagła odmiana brutalnej psychozy.

Collopy poczuł lodowaty dreszcz przebiegający po plecach. To było coś, co wszyscy zgodnie odczuli, że te wypadki były jednak ze sobą w jakiś sposób powiązane. To mogło zniweczyć wszystko.

– Dowody sugerują, że przyczyna może być natury zewnętrznej i że źródło tych wypadków może znajdować się wewnątrz lub w pobliżu grobowca Senefa.

– W grobowcu? Skąd to przypuszczenie?

– Ponieważ obaj byli w środku tuż przed pojawieniem się u nich pierwszych symptomów obłądu.

Collopy z trudem przełknął ślinę i spróbował poluzować ciasny kołnierzyk. – To zdumiewające wieści.

– Koroner sądzi, że przyczyną może być cokolwiek, porażenie prądem, trująca substancja, niebezpieczne opary, wadliwa wentylacja, nieznan wirus albo jakaś bakteria... Nie wiemy. Nawiasem mówiąc, to poufna informacja.

– To mnie cieszy – Collopy poczuł, że chłód w jego ciele zaczyna się coraz bardziej rozprzestrzeniać. Gdyby to się wydało, zadałoby kłam treści ich oświadczenia i unicestwiłoby wszystko, nad czym tak ciężko pracowali.

– Jako że otrzymałam tę informację przed dwiema godzinami, wysłałam do grobowca zespół ekspertów z dziedziny toksykologii. Są tam od pół godziny i jak na razie niczego nie znaleźli. Rzecz jasna dopiero niedawno rozpoczęli poszukiwania.

– To bardzo niepokojące, pani kapitan – odparł Collopy. – Czy muzeum mogłoby jakoś pomóc?

– Właśnie po to tu przyszłam. Chciałabym prosić, aby opóźnił pan termin otwarcia ekspozycji, dopóki nie dowiemy się, co jest odpowiedzialne za te incydenty.

Tego właśnie Collopy obawiał się najbardziej. Odczekał chwilę. – Pani kapitan, proszę wybaczyć to, co teraz powiem, ale wydaje mi się, że trochę zbyt pochopnie wyciągnęła pani dwa zasadnicze wnioski. Po pierwsze, że obrażenia mózgu zostały wywołane przez toksynę, i po drugie, że owa toksyna znajduje się w grobowcu. To mogło być cokolwiek i mogło się zdarzyć praktycznie wszędzie.

– Być może.

– Poza tym zapomina pani o innych, wielu innych ludziach, którzy spędzili w grobowcu Senefa więcej czasu niż Lipper i Wicherly. Żaden z nich nie wykazuje symptomów choroby.

– Nie zapomniałam o tym, doktorze Collopy.

– Tak czy owak, do otwarcia pozostały jeszcze cztery dni. To, jak sądzę, dość czasu, aby gruntownie przeszukać cały grobowiec.

– Nie zamierzam ryzykować.

Collopy wziął długi, głęboki oddech. – Rozumiem pani stanowisko, pani kapitan, ale prawda jest taka, że po prostu nie możemy przełożyć otwarcia. Zainwestowaliśmy w to miliony. Za niecałą godzinę prosto

z Włoch przybędzie do nas nowy egiptolog. Zaproszenia zostały wysłane i przyjęte, zapłaciliśmy za catering, wynajęliśmy zespół muzyczny, wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Wycofanie się na tym etapie kosztowałoby nas fortunę. W dodatku mogłoby zostać niewłaściwie odebrane przez miasto, że się boimy, że znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, że muzeum to niebezpieczne miejsce i lepiej go unikać. Nie mogę na to pozwolić.

– Jest coś jeszcze. Podejrzewam, że Diogenes Pendergast, człowiek, który zaatakował Margo Green i ukradł kolekcję brylantów, posługuje się fałszywą tożsamością, udając pracownika tego muzeum. Najprawdopodobniej jest jednym z kustoszów.

Collopy spojrział na nią z osłupieniem. Był wyraźnie wstrząśnięty – Co takiego?

– Śmiem twierdzić, że jest on w jakiś sposób związany z tym, co spotkało Lippera i Wicherly'ego.

– To bardzo poważne oskarżenie. Kogo pani podejrzewa?

Hayward zawahała się. – Jak na razie nikogo konkretnego. Poprosiłam pana Manettiego o przejrzanie akt personalnych, nie mówiąc mu oczywiście, czego właściwie poszukuję, ale nie natrafiłam w nich na ślad przeszłości kryminalnej ani niczego podejrzanego, co mogłoby zwrócić moją uwagę.

– To się rozumie samo przez się. Nasi pracownicy, a zwłaszcza kustosze, mają nieskazitelną przeszłość. Szczerze mówiąc, jestem oburzony pani sugestiami. I tym bardziej nie zamierzam zmienić swojej decyzji co do planowanego otwarcia. Wszelkie przesunięcia mogłyby okazać się dla naszego muzeum fatalne w skutkach. To byłaby prawdziwa katastrofa.

Hayward patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, jej fiołkowe oczy były zmęczone, ale nadal czujne. Krył się w nich jakiś smutek, jakby policjantka przeczuwała wynik tej rozmowy za przesądzonej. – Jeśli

nie przesunie pan terminu otwarcia grobowca, ryzykuje pan, że życie wielu osób znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie – rzekła półgłosem. – Nalegam, aby pan to przemyślał.

– Wobec tego mamy impas – rzucił krótko Collopy. Hayward wstała. – To jeszcze nie koniec.

– Zgadza się, pani kapitan. Tę decyzję będzie musiał podjąć ktoś dysponujący znacznie większą od nas władzą.

Pokiwała głową i bez słowa opuściła gabinet. Collopy patrzył, jak zamykają się za nią drzwi. Podobnie jak ona wiedział, że ostateczne postanowienie o losach ekspozycji spadnie na barki samego burmistrza. A w tym przypadku Collopy nie miał złudzeń, jaka będzie jego „bezstronna” decyzja. Burmistrz nigdy nie przeoczył okazji, by dobrze się zabawić i wygłosić kolejną przemowę do swoich potencjalnych wyborców.

Pani Doris Green przystanąła w otwartych drzwiach do pokoju na OIOM-ie. Promienie popołudniowego słońca przesączały się przez częściowo zasłonięte okna, rzucając miłe dla oka pasma światła i cieni na łóżko jej córki. Powiodła spojrzeniem po urządzeniach medycznych, które pikały i syczały w regularnych odstępach czasu, po czym zatrzymała wzrok na obliczu córki. Było blade, wychudzone, na czoło i policzek opadały niesforne kosmyki włosów. Pani Green podeszła i delikatnie odgarnęła włosy z czoła i policzka Margo.

– Cześć, Margo – rzekła półgłosem.

Urządzenia wciąż wydawały ciche jednostajne dźwięki. Przycupnęła na brzegu łóżka i ujęła dłoń córki. Była chłodna i lekka jak piórko. Ścisnęła ją leciutko.

– Mamy dziś naprawdę piękny dzień. Świeci słońce, mróz zelżał. W moim ogródku zakiełkowały krokusy widać już wschodzące, małe, zielone pędy. Pamiętasz, że jak byłaś małą dziewczynką, miałaś nie więcej niż pięć lat, nie mogłaś się oprzeć, by je pozrywać? Któregoś dnia przyniosłaś mi całą garść na wpół pogniecionych kwiatów zebranych w całym ogródku. Tak się wtedy rozzłościłam...

Głos zaczął się jej łamać i zamilkła. Chwilę potem do pokoju weszła pielęgniarka, jej radosna, pełna werwy obecność ożywiła przygnębiającą atmosferę słodko-gorzkich wspomnień.

– Jak się pani miewa, pani Green? – zapytała, poprawiając kwiaty

w wazonie.

– Całkiem nieźle, dziękuję, Jonetto.

Pielęgniarka sprawdziła odczyty urządzeń i zapisała je pospiesznie w notesie z podkładką. Poprawiła kroplówkę, sprawdziła respirator, poprawiła kwiaty w wazonie i kartki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia stojące na stoliku i półkach.

– Doktor powinien zjawić się lada chwila, pani Green – oznajmiła z uśmiechem, po czym skierowała się ku drzwiom.

– Dziękuję.

Znów zapanował spokój. Doris Green delikatnie pogładziła dłoń córki. Wspomnienia powróciły chaotyczną wezbraną falą: wspólne nurkowanie z córką przy przystani nad jeziorem, otwieranie koperty z arkuszem ocen, pieczenie indyka na Święto Dziękczynienia, pogrzeb męża, kiedy obie stały, trzymając się za ręce. Przełknęła ślinę, wciąż głaszcząc dłoń Margo. I nagle wyczuła za plecami czyjąś obecność.

– Dzień dobry, pani Green.

Odwróciła się. Tuż za nią stał doktor Winokur, ciemnowłosej przystojny mężczyzna w nieskazitelnie białym fartuchu, emanujący współczuciem i pewnością siebie. Doris Green wiedziała, że nie były to udawane emocje, ten lekarz naprawdę troszczył się o swoich pacjentów.

– Czy moglibyśmy porozmawiać w poczekalni? – zapytał.

– Wolałabym zostać tutaj. Jeżeli Margo nas słyszy, a kto wie, to całkiem możliwe, na pewno chciałyby o wszystkim wiedzieć.

– Dobrze. – Przerwał, usiadł na krześle dla gości i położył dłonie na kolanach. – Powiem krótko: nie wiemy, co się stało pani córce. Przeprowadziliśmy wszystkie możliwe badania, konsultowaliśmy się z najlepszymi w tym kraju specjalistami w dziedzinie neurologii oraz przypadków śpiączki z Doctors' Hospital w Nowym Jorku i Mount Auburn Hospital w Bostonie i niestety nie udało się nam postawić

diagnozy Margo zapadła w śpiączkę, a my nie mamy pojęcia, czemu tak się stało. Dobra wiadomość to taka, że nie ma dowodów, iż doszło do trwałego uszkodzenia mózgu. Z drugiej strony nie ma oznak poprawy, po prostu nie odpowiada na normalną terapię i leczenie. Mógłbym przedstawić pani tuzin teorii, jakie wysnuliśmy, tuzin terapii, jakie próbowaliśmy zastosować, ale wszystko sprowadza się do jednego: braku jakichkolwiek reakcji ze strony pani córki. Mogliśmy przenieść ją do Southern Westchester. Ale szczerze mówiąc, oni nie mają lepszego sprzętu niż my, a przeniesienie mogłoby okazać się dla niej niekorzystne.

– Wolałabym, żeby została tutaj.

Winokur pokiwał głową. – Muszę przyznać, pani Green, jest pani cudowną matką, nasza pacjentka może być z pani dumna. Wiem, jakie to wszystko jest dla pani trudne.

Powoli pokręciła głową. – Sądziłam, że ją straciłam. Myślałam, że ją pochowałam. Po czymś takim nie może mnie spotkać już nic gorszego. Wiem, że ona wyzdrowieje. Po prostu to wiem.

Doktor Winokur uśmiechnął się pod nosem. – Może ma pani rację. Medycyna nie ma monopolu na odpowiedzi na wszystkie pytania, zwłaszcza w takich przypadkach jak ten. Lekarze są bardziej zawodni, a choroby znacznie bardziej złożone, niż wydaje się to większości ludzi. Margo nie jest odosobnionym przypadkiem. W tym kraju są tysiące osób takich jak ona, ciężko chorych, których lekarze nie potrafią zdiagnozować. Nie mówię pani tego, by pocieszyć, po prostu chcę uświadomić pani pewną smutną prawdę. Sądzę, że wolałaby pani ją poznać. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Ma pan rację. – Przeniosła wzrok na Margo, po czym znów spojrzała na lekarza. – To zabawne, nie jestem zbyt religijna, ale mam ochotę modlić się za nią każdego dnia.

– Im dłużej jestem lekarzem, tym bardziej wierzę w uzdrawiającą

moc modlitwy. – Przerwał. – Czy ma pani jakieś pytania? Czy jest coś, co mógłbym zrobić?

Zawahała się. – Owszem, tak. Zadzwoił do mnie Hugo Menzies. Zna go pan?

– Tak, oczywiście, to jej przełożony z muzeum. Był z nią, kiedy doznała ataku, o ile się nie mylę?

– Zgadza się. Dzwonił do mnie, aby opowiedzieć, co się stało, czego był świadkiem, czuł, że będę chciała to wszystko wiedzieć.

– Oczywiście.

– Rozmawiał pan z nim?

– Tak, naturalnie. To bardzo miły człowiek. Odkąd Margo zapadła w śpiączkę, często tu zagląda, aby spytać o jej stan zdrowia. Wydaje się bardzo przejęty tym, co ją spotkało.

Pani Green uśmiechnęła się nieśmiało. – Taki przełożony to skarb.

– Bez wątpienia. – Doktor podniósł się z krzesła.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciw temu, doktorze, zostanę przy niej jeszcze przez chwilę – powiedziała Doris Green.

Na trzydzieści godzin przed wielkim otwarciem w grobowcu Senefa wrzało jak w ulu. Rój, jaki się tam kłębił, stanowili nie tylko kustosze, elektrycy, cieśle i technicy; dołączył do nich całkiem nowy czynnik. Kiedy Nora ruszyła przez Drugie Boskie Przejście w stronę Sali Rydwanów, jej oczy na moment oślepił blask reflektorów, a na drugim końcu sali dostrzegła grupkę ludzi rozstawiających kamery i mikrofony.

– Tam, drogi chłopcze. Tam! – Szczupły, wyraźnie spięty mężczyzna w sportowej kurtce z wielbłądziej wełny i żółtej muszce w grochy stał z boku, pod ścianą. Gestykulował zaciekle szczupłymi rękami w stronę ogorzałego krępego dźwiękowca. Nora zorientowała się, że musiał to być dyrektor Randall Loftus, o którym niedawno wspominał jej Menzies. Sławę przyniósł mu dokumentalny cykl Ostatni kowboje na Ziemi i od tej pory stworzył wiele znanych, cenionych i często nagradzanych filmów dokumentalnych dla telewizji publicznej. Gdy podeszła bliżej, gwar nakładających się na siebie głosów jeszcze bardziej przybrał na sile.

– Próba mikrofonu... uwaga, próba mikrofonu...

– Ech! Akustyka jak w stodole...

Loftus i jego ekipa rozstawili sprzęt, aby na żywo emitować premierę multimedialnego widowiska, które rozegra się tu w noc wielkiego otwarcia. Lokalna stacja PBS wykupiła prawa do transmisji,

dzięki czemu program znajdzie się we wszystkich spokrewnionych z nią stacjach w całym kraju, a także będzie emitowany przez BBC i CBC. Menzies nieźle się natrudził, aby to zaaranżować. Pozyskanie oglądalności i zwrócenie na muzeum uwagi całego świata mogły uratować tę placówkę i Nora wiedziała o tym doskonale. Na razie jednak wszędzie dokoła panował nieopisany chaos, a właśnie teraz potrzeba im było skupienia i absolutnego porządku. Na ziemi walały się niezliczone przewody, o które potykali się asystenci przenoszący bezcenne egipskie artefakty. Jasne światła tylko wzmagały żar generowany przez włączone urządzenia elektryczne i tuziny ludzi miotających się w tę i z powrotem jak w ukropie, klimatyzacja pracująca pełną parą nie bardzo sobie radziła, usiłując choć trochę obniżyć temperaturę w grobowcu.

– Potrzebne mi są dwa sześciocalowe jednokilowatowe krety tam, w rogu – mówił Loftus. – Czy ktoś mógłby przestawić ten słój?

Nora podeszła do niego szybkim krokiem. – Panie Loftus? Odwrócić się do niej, łypiąc na nią ponad górną krawędzią markowych opravek okularów od Johna Mitchella. – Tak?

Wyciągnęła do niego rękę. – Doktor Nora Kelly, kurator wystawy.

– Ach tak! Oczywiście! Randall Loftus. Bardzo mi miło. – Zaczął się odwracać.

– Przepraszam, panie Loftus... Wspomniał pan coś o przestawieniu tamtego słoja. Jestem pewna, że zrozumie pan, iż niczego tutaj nie wolno przestawiać ani nawet dotykać, mogą to zrobić jedynie wykwalifikowani pracownicy tej placówki.

– Niczego nie wolno tknąć! To jak mam rozstawić sprzęt?

– Obawiam się, że będzie pan musiał jakoś polawirować wokół eksponatów.

– Dookoła eksponatów! Nigdy jeszcze nie proszono mnie, abym pracował w podobnych warunkach. Ten grobowiec jest jak kaftan

bezpieczeństwa. Nie mogę ustawić właściwego kąta kamer ani odległości! To niemożliwe!

Uśmiechnęła się do niego promiennie. – Jestem przekonana, że ktoś tak utalentowany jak pan bez trudu da sobie z tym radę.

Uśmiech nie poskutkował, ale wzmianka o talencie sprawiła, że Loftus znieruchomiał.

– Podziwiam pańskie dokonania – ciągnęła Nora, idąc za ciosem. – Jestem zaszczyczona, że zgodził się pan reżyserować to widowisko. I wiem doskonale, że jeśli ktokolwiek miałby sobie z tym poradzić, to właśnie pan.

Loftus delikatnie dotknął nakrapianej muszki. – Bardzo dziękuję, nic tak nie przełamuje lodów jak właśnie pochlebstwo.

– Chciałam się przedstawić, zapytać, czy mogłabym w czymś pomóc.

Loftus odwrócił się nagle, krzyżąc do kogoś, kto w ciemnym kącie chwiał się na drabinie. – Nie ten reflektor! Ten drugi, LTM! Chcę, żeby został zamontowany pod sufitem na obrotowym wysięgniku!

Znów się do niej odwrócił. – Jesteś kochana, ale my po prostu musimy przestawić ten słój.

– Przykro mi – odparowała Nora. – Nie mamy czasu na przestawianie czegokolwiek, nawet gdybyśmy tego chcieli. Ten słój ma trzy tysiące lat i jest bezcenny, nie można go tak po prostu podnieść i przestawić. To wymaga specjalnego sprzętu, specjalnie wyszkolonych konserwatorów. Jak już wspomniałam, będzie pan musiał pracować z tym, co pan ma. Mogę panu pomóc, o ile to będzie możliwe, ale w tym przypadku jestem bezsilna. Przykro mi.

Loftus wziął długi oddech. – Nie mogę pracować dookoła tego słoja. Jest wielki i paskudny.

Kiedy Nora nie odpowiedziała, reżyser machnął ręką. – Pomówię o tym z Menziesem. Z tym się nie da pracować. To po prostu

niemożliwe.

– Na pewno ma pan mnóstwo pracy tak jak ja, więc już pójdę – odparła. – Jak już mówiłam, gdyby czegoś pan potrzebował, proszę mnie powiadomić.

Odwrócił się natychmiast, koncentrując swą uwagę na kolejnym nieszczęsnym asystencie produkcji, który mozolnie pracował opodal wśród cieni.

– Ten mały podnośnik ma stanąć tam, gdzie jest przyklejona taśma. Na podłodze. Stoisz na niej! Spójrz na dół, na miłość boską, masz ją między nogami!

Nora wyszła z Sali Rydwanów i ruszyła w stronę komnaty pogrzebowej, pozostawiając gestykulującego Loftusa z tyłu. Konserwatorzy zakończyli już rozmieszczanie wszystkich eksponatów w komorze, co zawsze odkładano na koniec, a Nora chciała jeszcze sprawdzić, czy wszystko zostało wykonane zgodnie z zaleceniami. W wielkim kamiennym sarkofagu grupka techników montowała urządzenia do wytwarzania sztucznej mgły. Wcześniej przeprowadzono próbę generalną całego widowiska. Nora musiała przyznać, że prezentowało się ono naprawdę wspaniale. Wicherly mógł być osłem i kto wie, może naprawdę nie miał po kolei w głowie, ale okazał się wybitnym egiptologiem i co więcej, doskonałym pisarzem. Scenariusz był błyskotliwy i zaskakujący, a finał, kiedy to Senef nagle powraca do życia, wyłaniając się z oparów wirujących mgieł, robił nie lada wrażenie. Wicherly'emu udało się przemycić do widowiska całkiem sporo rzeczowych informacji historycznych. Ta ekspozycja miała nie tylko bawić, lecz również uczyć. I tak właśnie będzie.

Przystanąła. To dziwne, jak taki kompetentny archeolog mógł się tak szybko i niespodziewanie załamać. Mimowolnie roztarła dłonią szyję, wciąż jeszcze posiniaczoną i obolałą. Po tym, co się stało, czuła

się w swoim laboratorium nieswojo i niepewnie. To było naprawdę zagadkowe, osobliwe i tragiczne zdarzenie... Raz jeszcze spróbowała odegnać od siebie wspomnienia niedawnej napaści. Przetrawi jakoś to wszystko już po otwarciu.

Ktoś delikatnie postukał ją w ramię.

– Doktor Kelly, jak przypuszczam? – usłyszała ciepły kontralt z wyraźnym, choć miłym dla ucha angielskim akcentem.

Odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z wysoką kobietą o długich, lśniących, czarnych włosach, ubraną w stare, płócienne spodnie, trampki i zakurzoną, roboczą koszulę. Najwyraźniej należała do grupy robotników, ale nigdy jej wcześniej nie widziała, a kogoś tak atrakcyjnego na pewno by zapamiętała. Mimo to, kiedy tak patrzyła na nieznajomą, czuła, że gdzieś już ją widziała.

– To ja – odparła Nora. – A ty jesteś...?

– Viola Maskelene. Jestem egiptologiem i nowym wizytującym kuratorem wystawy.

Wyciągnęła rękę i energicznie uścisnęła dłoń Nory. Miała silny uścisk, a na jej ręku skóra była w kilku miejscach lekko zgrubiała. Oto osoba, która spędza wiele czasu na świeżym powietrzu, sądząc po opaleniznie i szczupłej, można by powiedzieć, ogorzałej od słońca i osmaganej wiatrem sylwetce.

– Miło mi cię poznać – rzekła Nora. – Nie spodziewałam się, że przyjedziesz tak szybko.

– Ja też się cieszę – odparła Maskelene. – Doktor Menzies sporo mi o tobie opowiadał, a poza tym wszyscy wręcz cię uwielbiają! Doktor Menzies ma na razie urwanie głowy, ale ja chciałam od razu zejść tutaj, na dół, aby cię poznać... i zobaczyć tę cudowną ekspozycję!

– Jak widzisz, to istny dom wariatów.

– Jestem pewna, że nad wszystkim panujesz. – Maskelene rozejrzała się dokoła z podziwem. – Byłam tak zaskoczona zaproszeniem, że nie

potrafię wyrazić słowami, jak bardzo się cieszę, że mogę być tutaj teraz. Grobowce XIX Dynastii to moja specjalność. To niewiarygodne, ale grobowiec Senefa nigdy nie został zbadany ani opisany, choć z całą pewnością zawiera jeden z najpełniejszych tekstów z Księgi Umarłych, jakie kiedykolwiek odnaleziono. Niewielu jest uczonych, którzy w ogóle wiedzieli o jego istnieniu. Ja zawsze sądziłam, że to tylko plotka, miejska legenda, jak ta o aligatorach w kanałach. To niewiarygodna okazja. Jedyna w swoim rodzaju.

Nora uśmiechnęła się i pokiwała głową, uważnie przyglądając się tamtej. Szybkość, z jaką został zastąpiony. Wicherly – bądź co bądź zginął zaledwie przed paroma dniami – głęboko ją zdumiała. Choć z drugiej strony, skonstatowała, do otwarcia pozostało niewiele czasu, a muzeum musiało mieć rezydenta egiptologa, który poprowadzi cały ten show.

Viola, nie zważając na hałas i chaos wokoło, z podziwem w oczach przypatrywała się grobowcowi. – To prawdziwy skarb!

Norze przypadła do gustu granicząca z euforią radość nowo przybyłej. Jej otwarty, szczery entuzjazm odpowiadał jej o wiele bardziej niż smętne dywagacje jakiegoś stetryczalego profesora.

– Właśnie zamierzałam skontrolować rozmieszczenie artefaktów i sprawdzić, czy wszystko się zgadza z naszymi pierwotnymi planami – powiedziała. – Chciałabyś pójść ze mną? Może przy okazji wychwyciłabyś jakieś pomyłki.

– Z przyjemnością – odparła i rozpromieniła się. – Choć biorąc pod uwagę, że to Adrian przygotowywał tę ekspozycję, wątpliwe, aby trzeba było tu cokolwiek poprawiać.

Nora odwróciła się. – Znałaś go?

Twarz Violi spochmurniała. – My, egiptolodzy, stanowimy raczej niewielki klub. Doktor Menzies opowiedział mi, co się stało. Nie rozumiem tego. To musiało być dla ciebie przerażające przeżycie.

Nora tylko pokiwała głową.

– Znałam Adriana na niwie zawodowej – rzekła Viola nieco cichszym głosem. – Był błyskotliwym, wręcz genialnym egiptologiem, choć on sam uważał się raczej za dar od Boga dla wszystkich kobiet tego świata. Mimo to nigdy nie przypuszczałabym, że może... To duży szok.

Przerwała.

Przez chwilę obie pogrążone były w krępującej, nieprzyjemnej ciszy. Wreszcie Nora otrząsnęła się z chwilowego odrętwienia.

– Pozostawił po sobie sporą spuściznę – powiedziała. – W tej ekspozycji także, bo przecież przyłożył się do jej przygotowania. I wiem, że zabrzmiałoby to jak banał, ale przedstawienie musi trwać.

– Chyba tak – przyznała Viola. I nagle trochę się ożywiła. – Słyszałam, że to widowisko audiowizualne jest naprawdę porażające.

– Jest w nim wszystko, nawet mówiąca mumia. Viola zaśmiała się. – Brzmi wspaniale!

Ruszyły na obchód, Nora raz po raz zaglądała do listy wpiętej na podkładce. Przy okazji, zerkając z ukosa, przyjrzała się uważniej Violi Maskelene, gdy pani egiptolog fachowym okiem taksowała zawartość przeszklonych gablot z eksponatami.

Przystanąły przy jednym z wielkich czerwonych słoików – Obawiam się, że ten pochodzi z czasów XVIII Dynastii – rzekła Viola. – Jest odrobinę anachroniczny w porównaniu z innymi eksponatami.

Nora uśmiechnęła się. – Wiem. Nie mamy wszystkich potrzebnych nam przedmiotów z czasów XIX Dynastii, więc trochę wydłużyliśmy, można rzec, zafałszowaliśmy okres, który pragniemy tutaj pokazać. Adrian wyjaśnił, że nawet w czasach faraonów w ich grobowcach często umieszczano antyki.

– To prawda. Przepraszam, że w ogóle podjęłam ten temat, jestem dość drobiazgowa.

– Tego nam właśnie potrzeba.

Krążąc po komnacie pogrzebowej, Nora sprawdzała kolejne przedmioty z listy, a Viola, zaopatrzona w kopię listy, uważnie przyglądała się poszczególnym obiektom.

– Potrafisz odczytywać hieroglify? – zapytała Nora. Viola pokiwała głową.

– Co sądzisz o klątwie nad wejściem, tej obok oka Horusa? Śmiech.

– Jedna z najpaskudniejszych, jakie kiedykolwiek widziałam.

– Naprawdę? Sądziłam, że wszystkie są wyjątkowo paskudne.

– Wręcz przeciwnie. Wiele egipskich grobowców w ogóle nie było chronionych przez klątwy. To nie było konieczne, wszyscy wiedzieli, że okradać grobowiec faraona to jak okradać samych bogów.

– Czemu więc obłożono klątwą właśnie ten grobowiec?

– Podejrzewam, że dlatego, iż Senef nie był bogiem. Mógł uznać, że potrzeba mu dodatkowej ochrony w postaci klątwy. To malowidło Ammut... uch! – Viola wzdrygnęła się. – Goya nie namalowałaby tego lepiej.

Nora spojrzała na malowidło i ponuro skinęła głową.

– Jak rozumiem, plotki o klątwie zaczęły się już rozchodzić – rzekła Viola.

– To strażnicy zaczęli je rozgłaszać. A teraz w całym muzeum aż huczy od nich. Grupa sprzątaczy odmawia wejścia do grobowca po godzinach.

Ominęły pilaster, by ujrzeć kobietę w szarym kombinezonie, klęczącą na kamiennej posadzce, wydłubującą drobiny pyłu ze szczeliny i wkładającą je do próbki. Opodal mężczyzna w białym kitlu rozmierzał coś, co wyglądało jak próbki w niewielkim przenośnym laboratorium chemicznym.

– Co ona robi, u licha? – wyszeptała Viola.

Nora nigdy wcześniej nie widziała tej kobiety. W całą pewnością

nie wyglądała na pracownicę muzeum. Zachowywała się raczej jak policjantka.

– Dowiedzmy się – Nora podeszła bliżej. – Witam. Jestem Nora Kelly, kurator wystawy.

Kobieta wstała. – Susan Lombardi, z Wydziału Bezpieczeństwa i Higieny Pracy.

– Czy mogę spytać, co pani robi?

– Prowadzimy testy na obecność toksyn i niebezpiecznych substancji oraz szkodliwych bakterii w środowisku miejsca pracy.

– Doprawdy? A po co?

Wzruszyła ramionami. – Otrzymaliśmy takie zlecenie od policji nowojorskiej. I to na wczoraj.

– Rozumiem. Dziękuję.

Nora odwróciła się, a kobieta powróciła do przerwanej zajęcia.

– To dziwne – rzekła Viola. – Czy martwią się jakąś zakaźną chorobą endemiczną dla samego grobowca? Niektóre egipskie grobowce stanowiły istną wylegarnię starożytnych wirusów i zarodników grzybów pleśniowych.

– Chyba tak. To dziwne, nikt mi o tym nie powiedział.

Viola odwróciła się gwałtownie. – Och, popatrz, jaki cudowny pojemnik na maści! Jest wspanialszy niż wszystko inne w British Museum! – Podbiegła do wielkiej przeszklonej gabloty, w której znajdował się artefakt wyrzeźbiony z białego alabastru i ozdobiony na wieki malowanymi wizerunkami lwa szykującego się do skoku. – No proszę i ma w dodatku kartusz Tutmozisa! – Uklękła, przyglądając się eksponatowi z niepoohamowaną fascynacją.

W Violi Maskelene było coś krzepiąco spontanicznego, nieomal buntowniczego. Nora otaksowała wzrokiem pogniecione płócienne spodnie, zakurzoną roboczą koszulę i pozbawione makijażu oblicze nowo przybyłej, zastanawiając się, czy będzie to jej standardowy

służbowy strój. Wyglądała jak kompletne przeciwieństwo typowego brytyjskiego archeologa.

Viola... Viola Maskelene. To dziwne nazwisko coś jej mówiło... Już je kiedyś słyszała... Czy to Menzies kiedyś o niej wspominał? Nie, nie Menzies... ktoś inny..

I nagle sobie przypomniała.

– To ty zostałam uprowadzona przez złodzieja brylantów? – Nora rzuciła bez namysłu i natychmiast się zapłoniła

Viola podniosła się energicznie i otrzepała kurz z kolan. – Tak. To byłam ja.

– Przykro mi. Nie chciałam wyciągać tego incydentu na światło dzienne, ot tak, z głupia frant.

– Szczerze mówiąc, cieszę się, że o tym wspomniałaś. Lepiej od razu się z tym uporać, aby mieć to już za sobą.

Nora poczuła, że jej policzki płoną żywym ogniem.

– Nic się nie stało, Noro. Naprawdę. Prawdę powiedziawszy, to jeden z powodów, dla których zgodziłam się przyjąć to zlecenie i wrócić do Nowego Jorku.

– Naprawdę?

– To trochę jak z upadkiem z konia, jeżeli chcesz jeszcze kiedykolwiek znaleźć się w siodle, musisz to zrobić od razu, najszybciej jak to możliwe.

– Ciekawe podejście – przyznała Nora. – A więc to ty jesteś przyjaciółką agenta Pendergasta.

Tymczasem to Viola Maskelene nabrała rumieńców. – Można tak powiedzieć.

– Mój mąż Bill Smithback i ja dobrze znamy agenta specjalnego Pendergasta.

Viola spojrzała na nią z nowym zainteresowaniem. – Naprawdę? Jak się poznaliście?

– Pomogłam mu przy śledztwie, które prowadził przed kilkoma laty w muzeum. Nie mogłam się pogodzić z tym, co go spotkało. – Nie wspomniała ani słowem o poczynaniach męża, który nalegał, aby wszystko, czym zajmował się obecnie, pozostało tajemnicą.

– Wróciłam tu także dla agenta Pendergasta – wyszeptała Viola Maskelene. A potem umilkła.

Kiedy zakończyły obchód komnaty pogrzebowej, przeprowadziły pospieszną inspekcję przyległych komór. Wreszcie Nora spojrzała na zegarek. – Pierwsza. Co powiesz na lunch? Posiedzimy tu pewnie do północy, a przecież nie sposób pracować z pustym żołądkiem. Zupa krewetkowa w tutejszej stołówce to prawdziwa poezja, choćby po to warto się tam przespacerować.

Na twarzy Violi Maskelene pojawił się promienny uśmiech. – Wobec tego, prowadź, Noro.

Otoczony gęstą, ponurą ciemnością celi 44 w specjalnym bloku federalnego zakładu karnego Herkmoor, agent specjalny Pendergast leżał w kompletnym bezruchu, wyciszony i spokojny, z otwartymi oczami, wpatrując się w sufit. Ciemność nie była całkowita; sklepienie przecinał nieodmiennie wąski pasek światła wpływający przez pojedyncze okno, jeden promień silnego blasku rozświetlającego dziedziniec i place wokół budynków więzienia. Z sąsiedniej celi wciąż słyhać było odgłosy niez mordowanego perkusisty, obecnie stłumione i jakby zamyślane posępne adagio, które w osobliwy sposób zdaniem Pendergasta sprzyjały koncentracji.

Do jego wrażliwych uszu doszły również inne dźwięki: brzęk stali o stal, odległy ochryply, gniewny krzyk, niekończące się kasłanie, kroki strażników podczas obchodu. Olbrzymie więzienie Herkmoor odpoczywało, ale nie spało, jak przystało na świat kierujący się własnymi zasadami, osobnym łańcuchem pokarmowym oraz odrębnymi rytuałami i zwyczajami.

Gdy Pendergast leżał na swojej pryczy, nagle na przeciwległej ścianie pojawiła się rozedrgana zielona kropka, promień lasera wpadający przez okno z daleka. Punktik z wolna znieruchomiał. Po chwili kropka zaczęła mrugać, to znikając, to znów pojawiając się na ścianie. Pendergast patrzył, jak kropka przekazuje zakodowaną wiadomość. Jediną oznaką świadczącą o tym, że zrozumiał

przekazaną mu informację, było nieznaczące przyspieszenie jego oddechu pod koniec wiadomości.

Równie nieoczekiwanie, jak się pojawiła, kropka zniknęła. W mrocznej celi rozległo się wymamrotane pod nosem słowo: – Doskonale.

Pendergast zamknął oczy. Jutro o drugiej znów będzie musiał stawić czoło Połamany Zębom, gangowi Lacarry, na placu ćwiczeń numer 4. Później zaś – zakładając, że wyjdzie z tej konfrontacji cało – czekało go znacznie trudniejsze zadanie.

Teraz jednak potrzebował snu.

Wykorzystując wyspecjalizowaną tajemniczą odmianę medytacji, znaną jako Chongg Ran, Pendergast wykrył i wyizolował ból w połamanych żebrach, po czym wyłączył ból jedno żebro po drugim. Jego świadomość skupiła się teraz na zerwanym mięśni skręcającym ramienia, ranie kłutej w boku i tępym bólu promieniującym z jego podrapanej i poobijanej twarzy. Kierując się niewzruszoną mentalną dyscypliną, odnajdywał i wytlumiał jeden po drugim kolejne źródła bólu w swoim ciele.

Taka koncentracja była nieodzowna. Czekał go dzień pełen niebywale trudnych wyzwań.

Stara rezydencja w stylu Beaux Arts przy Riverside Drive 891 mogła poszczycić się wieloma przestronnymi salami, żadna jednak nie była wspanialsza niż szeroka galeria biegnąca wzdłuż całej frontowej części pierwszego piętra. Ścianę od ulicy tworzył rząd okien sięgających od podłogi aż po dach, zamkniętych na głucho i zabezpieczonych okiennicami. Na końcu korytarza łukowato sklepione przejście prowadziło do innej części budynku. Pomiedzy dwójgim drzwi, na wewnętrznej ścianie wisiał rząd olejnych portretów naturalnej wielkości. Galeria była rozjaśniona blaskiem elektrycznego żyrandola, którego światło łagodnie pieściło masywne złote ramy. W ukrytych głośników płynęły dźwięki muzyki fortepianowej, poważnej, efektownej i diabelnie złożonej.

Constance Greene i Diogenes Pendergast szli powoli wzdłuż galerii, przystając przy każdym portrecie, podczas gdy Diogenes opowiadał o przedstawionej na nim postaci. Constance miała na sobie jasnoniebieską sukienkę z czarną koronką z przodu i guzikami sięgającymi aż do wąskiej stójki pod szyją. Diogenes był ubrany w ciemne spodnie i srebrnoszarą kaszmirową marynarkę. Oboje trzymali w dłoniach smukłe koktajlowe kieliszki w kształcie tulipana.

– A to – rzekł Diogenes, zatrzymując się przed portretem wytwornie odzianego szlachcica, którego powagę i dostojeństwo osobliwie podkreślał zawadiacki wąsik – jest le Duc Gaspard de Mousqueton de

Prendregast, największy właściciel ziemski w Dijon w końcu szesnastego wieku. Był szanowanym członkiem arystokratycznego rodu, który bierze początek od Sieur de Monts Prendregasta, ten zaś zyskał tytuł, walcząc w Anglii z Wilhelmem Zdobywcą. Gaspard był prawdziwym tyranem, kiedy wieśniacy i chłopci pańszczyźniani pracujący na jego ziemiach wszczęli bunt, został zmuszony do ucieczki z Dijon. Wraz z rodziną udał się na dwór królewski, ale wieści już się rozeszły i w atmosferze skandalu, chcąc nie chcąc, musieli opuścić Francję. To, co stało się później z resztą rodziny, pozostaje tajemnicą, ale doszło do tragicznego w skutkach rozłamu. Jedna gałąź rodu przeniosła się do Wenecji, podczas gdy druga, ta pozbawiona przywilejów, tytułów i pieniędzy, uciekła do Ameryki.

Podszedł do kolejnego portretu ukazującego młodzieńca o włosach jak len, szarych oczach i małym podbródku oraz pełnych i zmysłowych wargach będących niemal lustrzanym odbiciem ust Diogenesa.

– To potomek weneckiej gałęzi rodu, syn doży, Comte Luneville, lecz tytuł ten był w owym czasie już tylko honorowy. Pogrążył się w marazmie i powolnym upadku, podobnie zresztą jak jego potomkowie na przestrzeni kilku kolejnych pokoleń. Muszę ze smutkiem dodać, że linia rodowa została na pewien czas mocno uszczuplona. Nie rozkwitła na nowo przez następne sto lat, kiedy dwie linie rodowe zostały ponownie połączone za sprawą ślubu w Ameryce. Ale nawet to, rzecz jasna, przyniosło jedynie ulotną chwałę.

– Dlaczego ulotną? – zapytała Constance.

Diogenes przyglądał się jej przez chwilę. – Ród Pendergastów już od dłuższego czasu nieuchronnie obumiera. Mój brat i ja jesteśmy ostatni. Choć mój brat ożenił się, jego czarująca żona przedwcześnie opuściła ten padół łez, zanim zdążyła wydać na świat potomka. Ja nie

mam żony ani dzieci. Jeżeli umrzemy bezpotomnie, ród Pendergastów zupełnie przestanie istnieć.

Podeszli do następnego obrazu.

– Amerykańska gałąź rodu osiadła w Nowym Orleanie – ciągnął. – Wtopili się na dobre w zamożne kręgi przedwojennych wyższych sfer. To ostatni z weneckiej gałęzi rodu, il Marquese Orazio Paladin Prendergast, który wziął za żonę Eloise de Braquilanges podczas uroczystości ślubnej tak wystawnej i hucznej, że mówiono o niej przez parę kolejnych pokoleń. Ich jedyne dziecko wszelako zaczęło przejawiać fascynację ludźmi i pewnymi praktykami na okolicznych zalewiskach. Skierował on rodzinę na nowe, zgoła niespodziewane tory – Wskazał dłonią portret przedstawiający wysokiego mężczyznę z kozią bródką, ubranego w olśniewający biały garnitur z niebieskim fularowym krawatem pod szyją. – Augustus Robespierre St. Cyr Pendergast. Mył pierwszym owocem zjednoczonych linii rodowych, doktorem i filozofem, który odrzucił „r” z nazwiska, aby przydać mu bardziej amerykańskiej wymowy. Należał do śmietanki starej nowojorskiej społeczności, dopóki nie poślubił zjawiskowo pięknej kobiety znad zalewiska, która nie mówiła po angielsku i oddawała się dziwnym nocnym praktykom. – Diogenes przerwał na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. I nagle zachichotał.

– To nadzwyczajne – wyszeptała Constance, czując niemal wbrew sobie głęboką fascynację. – Przez te wszystkie lata patrzyłam na te twarze, usiłując przyporządkować im nazwiska i historię. Kilku ostatnich zdołałam się domyślić, ale co się tyczy pozostałych... – Pokręciła głową.

– Stryjeczny dziadek Antoine nigdy nie opowiadał ci o swoich korzeniach?

– Nie. Nigdy nie wspomniał o tym ani słowem.

– Wcale mnie to nie dziwi. Opuścił rodzinę w dość dramatycznych

okolicznościach. Podobnie zresztą jak ja. – Diogenes zawahał się.

– Nie ulega wątpliwości, że mój brat także nigdy nie opowiadał ci o naszej rodzinie.

Zamiast odpowiedzi Constance uniosła kieliszek do ust.

– Wiem bardzo dużo o mojej rodzinie, Constance. Zadałem sobie sporo trudu, aby poznać jej sekretną historię. – Znow na nią spojrział.

– Nie potrafię wyrazić, jak jestem szczęśliwy, że mogę podzielić się z tobą tym wszystkim. Czuję, że mogę z tobą rozmawiać jak z nikim innym.

Na moment odnalazła jego spojrzenie, po czym znow przeniosła wzrok na portret.

– Zasłużyłaś, aby się tego dowiedzieć – ciągnął. – W pewnym sensie jesteś członkiem tej rodziny.

Constance pokręciła głową. – Jestem tylko podopieczną – rzekła.

– Dla mnie jesteś kimś więcej, znacznie więcej.

Wciąż stali przed portretem Augustusa. Aby przełamać narastającą nieprzyjemną ciszę, Diogenes odezwał się: – Jak ci smakuje koktajl?

– Całkiem interesujący. Ma w sobie lekką goryczkę, która rozkwita na języku i przeradza się w coś... całkiem innego. Nigdy nie piłam czegoś podobnego.

Spojrzała na Diogenesa, poszukując u niego aprobaty, on zaś uśmiechnął się. – Wypij jeszcze.

Upiła kolejny łyżeczek. – Wyczuwam lukrecję, anyżek, eukaliptus i być może odrobinę kopru, a także posmak czegoś, czego nie potrafię rozpoznać. – Opuściła kieliszek. – Co to jest?

Diogenes uśmiechnął się i także się napił. – Absynt. Ręcznie macerowany i destylowany, najlepszy, jaki jest dostępny na rynku. Przesłano mi go z Paryża na specjalne zamówienie. Lekko rozrobiony cukrem i wodą zgodnie z klasyczną recepturą. Smak, którego nie zdołałaś rozpoznać, to tuja.

Constance ze zdumieniem wpatrywała się w kieliszek. – Absynt? Wyrabiany z piołunu? Sądziłam, że jest zakazany.

– Nie przejmuj się takimi drobiazgami. To potężny trunko poszerzający świadomość. Dlatego najwięksi artyści, od van Gogha, przez Moneta, po Hemingwaya, tak się nim rozkoszowali.

Constance ostrożnie upiła jeszcze jeden łyk.

– Wejrzyj w głąb siebie, Constance. Czy kiedykolwiek widziałaś trunko tak czystej barwy, bez żadnych domieszek? Unieś kieliszek do światła. To jak patrzenie na księżyc przez nieskazitelną szmaragd.

Przez chwilę trwała w bezruchu, jakby poszukiwała odpowiedzi w zielonych odmetach trunko. Zaraz potem powoli, jakby niepewnie upiła kolejny łyk.

– I jak się po nim czujesz?

– Ciepło. Lekko. Ruszyli dalej w głąb galerii.

– To niesamowite – rzekła po chwili – że Antoine przerobił te wnętrza na wzór rodzinnej posiadłości w Nowym Orleanie. Odtworzył je idealnie, w najdrobniejszych szczegółach, włącznie z tymi obrazami.

– Zlecił namalowanie ich kopii sławnemu artyście z tamtego okresu. Pracował z tym artystą pięć lat, odtwarzając twarze z pamięci i kilku zachowanych szkiców oraz rycin.

– A reszta domu?

– Jest niemal dokładną kopią oryginału, jeżeli nie liczyć zawartości biblioteki, którą dobrał wedle swego uznania. Jednakże to, czemu oddawał się w przestrzeniach piwnicznych, było, delikatnie mówiąc, niezwykle. Posiadłość w Nowym Orleanie znajdowała się sporo poniżej poziomu morza, toteż tamtejsze piwnice wzmocniono ołowianymi płytami, tu nie było to konieczne. – Wypił łyk trunko. – Kiedy mój brat przejął ten dom, wprowadził wiele zmian. Nie jest to już miejsce, które dziadek Antoine nazywał swoim domem. Ale ty

wiesz o tym najlepiej.

Constance nie odpowiedziała.

Dotarli do końca galerii, gdzie czekała długa sofa bez oparcia, z poduszkami obitymi aksamitem. Opodal leżała angielska torba myśliwska Johna Chapmana, w której Diogenes przyniósł butelkę absyntu. Teraz z gracją osunął się na sofę i gestem dłoni zaprosił Constance, by uczyniła to samo.

Usiadła przy nim, odstawiając kieliszek z absyntem na stojącą opodal tacę. – A ta muzyka? – zapytała, kiwając głową, jakby pragnęła zwrócić uwagę na rozedrgane dźwięki fortepianu rozbrzmiewające we wnętrzu galerii.

– Ach, tak. To Alkan, zapomniany geniusz muzyczny z dziewiętnastego stulecia. Nigdy nie usłyszysz wspanialszego, inteligentniejszego i bardziej wymagającego pod względem technicznym artysty. Nigdy. Kiedy zaczęto grać jego pierwsze utwory, co nawiasem mówiąc, zdarzało się bardzo rzadko, gdyż mało który pianista potrafił sprostać temu zadaniu, ludzie uznali, że za ich powstanie odpowiada jakaś diabelska siła. Nawet dziś muzyka Alkana wywołuje u słuchaczy dziwne reakcje. Niektórym wydaje się, że czują wówczas swąd dymu, inni trzęsą się albo tracą przytomność. Ten utwór to Grande Sonate Les Quatre Ages, rzecz jasna nagranie Hamelina; nigdy nie spotkałem się z równie mistrzowskim wykonaniem i bardziej władczą techniką palcowania. To prawdziwa wirtuozeria. – Przerwał i przez chwilę słuchał z uwagą. – Ta fuga na przykład, te podwojone oktawy. Wydaje się, że człowiek ma za mało palców, by je zagrać. Wiem, że potrafisz to docenić, Constance, w przeciwieństwie do większości ludzi.

– Antoine nigdy nie należał do wielbicieli czy znawców muzyki. Gry na skrzypcach nauczyłam się sama.

– Potrafisz zatem docenić intelektualną i zmysłową wagę muzyki.

Po prostu się w nią wsłuchaj. Dzięki Bogu, że największy filozof wśród muzyków był romantykiem i dekadentem nie tak jak ten filisterski Mozart z jego dziecinnymi, fałszywymi kadencjami i przewidywalnym harmonizowaniem.

Constance przez chwilę siedziała w milczeniu. – Wygląda na to, że zadałeś sobie wiele trudu, aby uczynić te chwile niezapomnianymi.

Diogenes zaśmiał się półgłosem. – A czemu nie? Nic mnie tak nie cieszy jak świadomość, że jesteś naprawdę szczęśliwa.

– Szkoda, że nie mogę podzielić twojej radości. Uśmiech znikł z twarzy Diogenesa. – Czemu tak mówisz?

– Z powodu tego, kim jestem.

– Jesteś piękną i błyskotliwą młodą kobietą.

– Jestem dziwołagiem.

Bardzo szybko, lecz nader delikatnie Diogenes ujął ją za rękę. – Nie, Constance – rzekł cicho, choć z wyraźnym przejęciem. – Wcale nie. Nie dla mnie.

Odwróciła wzrok. – Znasz moją historię.

– Tak.

– Wobec tego, kto jak kto, ale ty powinieneś to zrozumieć. Wiedząc, jak żyłam, w jakich warunkach, tu w tym domu, przez te wszystkie lata... Czy to ci się nie wydaje dziwaczne? Nie sądzisz, że to odrażające? – Znow na niego spojrzała, w jej oczach zapłonął dziwny ogień. – Jestem starą kobietą uwięzioną w ciele młódki. Kto mógłby mnie kiedykolwiek pragnąć?

Diogenes przysunął się do niej. – Zyskałaś dar doświadczenia, nie ponosząc przy tym surowych kosztów przemijania wiążącego się z wiekiem. Jesteś młoda i energiczna. Może teraz jest to dla ciebie sporym brzemieniem, ale nie musi tak być. Możesz uwolnić się od tego, kiedy tylko zechcesz. Możesz rozpocząć nowe życie, gdziekolwiek zapragniesz. Nawet teraz, jeżeli tego sobie życzysz.

Znów odwróciła wzrok.

– Spójrz na mnie, Constance. Oprócz mnie nikt cię nie rozumie. Jesteś bezcenną perłą. Masz urodę i świeżość dwudziestoparolatki, ale twój umysł ukształtowały całe dziesięciolecia... odpowiednik wielu żywotów nienasyconych intelektualnych pragnień. Jednak intelekt dalej cię już nie zaprowadzi. Jesteś niczym niepodlewane ziarno. Porzuć podszepty intelektu i otwórz się na inny, trawiący cię głód, głód zmysłów. To ziarno domaga się wody, dopiero wtedy zakiełkuje, wejdzie i zakwitnie.

Constance nie spojrzała na niego, pokiwała tylko energicznie głową.

– Jesteś tu uwięziona jak zakonnica w klasztorze. Przeczytałaś tysiące książek, sporo rozmyślałaś. Ale nigdy tak naprawdę nie żyłaś. Tam na zewnątrz jest całkiem inny świat: świat barw, smaków i dotyku. Poznajmy ten świat wspólnie. Czy nie czujesz głębokiej więzi, jaka nas łączy? Pozwól, że sprowadzę ten świat tu, do ciebie. Otwórz się dla mnie, Constance, tylko ja mogę cię ocalić. Ponieważ jestem jedyną osobą, która naprawdę cię rozumie. Tak jak jestem jedyną osobą, która podziela twój ból.

Constance gwałtownie próbowała uwolnić dłonie z jego uścisku. Bez powodzenia. Diogenes trzymał ją za ręce delikatnie, ale stanowczo. Po krótkiej szamotaninie jeden z jej rękawów podwinął się do góry, odsłaniając kilka ukośnych blizn na wysokości przegubu, blizn, które nie zagoiły się jak należy. Ujrzawszy, że jej tajemnica została ujawniona, Constance zamarła, nie mogła się ruszyć ani zaczerpnąć tchu. Diogenes także znieruchomiał. I nagle delikatnie puścił jej jedną rękę, rozpiął guzik przy mankiecie koszuli i podwinął rękaw. Na jego nadgarstku widniała podobna blizna, wydawała się starsza, ale wyglądała charakterystycznie, nie mogło być mowy o pomyłce. Na ten widok Constance gwałtownie westchnęła.

– Teraz sama widzisz – mruknął – jak dobrze rozumiemy się nawzajem? To prawda, jesteśmy do siebie podobni i to bardziej, niż ci się zdaje. Rozumiem cię. A ty, Constance, rozumiesz mnie.

Powoli, bardzo delikatnie puścił jej drugą rękę. Dłoń miękko opadła do boku. Diogenes, opierając dłonie na jej ramionach, odwrócił Constance do siebie. Nie próbowała się opierać. Uniósł dłoń i musnął leciutko palcami jej policzek. Palce zawisły w powietrzu nad jej wargami, osunęły się w dół, do podbródka i ujęły go pieścizliwym, czułym gestem. Diogenes powoli przyciągnął jej twarz ku sobie. Pocałował ją delikatnie, raz, potem drugi, nieco żarliwiej.

Z westchnieniem ulgi, a może rozpaczy, Constance przyłgnęła do niego całym ciałem, pozwalając, by otulił ją ramionami. Diogenes zgrabnie przesunął się na sofie, zmieniając pozycję tak, by ułożyć Constance na aksamitnych poduszkach. Jedna z jego bladych dłoni zbłądziła w stronę koronkowego przodu jej sukni, rozpinając rząd perłowych guzików pod szyją, smukłe palce ześlizgnęły się niżej, stopniowo odsłaniając nabrzmiałe krągłości jej piersi w subtelnym świetle. Równocześnie z jego ust popłynęły strofy włoskiego poematu:

*Ei s'immerge ne la notte,
Ei s'aderge in ver'le stelle...*

Kiedy osunął się na nią zwinny niczym baletmistrz, spomiędzy jej warg dobyło się ponowne westchnienie i Constance przymknęła powieki. Diogenes nie zamknął oczu. Jego oczy pozostawały otwarte i wpatrzone w nią, wilgotne i błyszczące uczuciem triumfu oraz nienasyconej żądzy. Dwoje oczu – jedno piwne, drugie niebieskie.

Gerry wsunął krótkofalówkę do futerału i spojrział z niedowierzaniem na Benjy'ego.

– Nie uwierzysz, jak się dowiesz.

– Co znowu?

– Mimo wszystko wyprowadzają więźnia specjalnego na plac numer cztery, o drugiej.

Benjy patrzył na niego ze zdumieniem. – Sprowadzają go z powrotem? Zalewasz.

Gerry pokręcił głową.

– To morderstwo. I zamierzają go dokonać na naszej zmianie.

– Co ty nie powiesz.

– Kto wydał rozkaz?

– Dupek z samej góry Imhof.

W długim pustym korytarzu budynku C zakładu karnego Herkmoor zapanowała głucha cisza.

– Cóż, do drugiej został jeszcze kwadrans – rzekł w końcu Benjy. – Lepiej bierzmy tyłki w troki.

Szedł na przedzie, gdy wyszli na słabo oświetlony wątkimi promieniami słońca plac numer 4. W powietrzu czuć było zapach wiosennego rozkładu i wilgoci. Mokra trawa na łąkach wokoło była zbrązowiała i przywiedła, poza murami dostrzec można było kilka nagich jeszcze gałęzi. Zajęli pozycję, lecz nie na kładce, ale na samym

placu.

– Nie dopuszczę, aby moja kariera w więziennictwie przepadła przez coś takiego – warknął ponuro Gerry. – Przysięgam, jeżeli gang Pocho spróbuje choćby zbliżyć się do tego gościa, użyję paralizatora. Szkoda, że nie mamy broni palnej.

Stanęli po przeciwnych stronach placu, czekając, aż więźniowie z izolatki zostaną wyprowadzeni na godzinny trening. Gerry sprawdził swój paralizator, pojemnik z gazem pieprzowym, i poprawił pałkę policyjną. Tak jak ostatnim razem nie mógł się doczekać, aby zobaczyć, co się wydarzy.

Kilka minut później drzwi otworzyły się i więźniowie pod eskortą strażników wyszli na plac, mrugając nerwowo w jasnym świetle, jakby trochę oszołomieni. Jako ostatni na plac wyszedł więzień specjalny. Był blady jak ściana i wyglądał fatalnie, twarz posiniaczona i obandażowana, jedno oko zapuchnięte tak, że było prawie całkiem zamknięte. Pomimo iż lata pracy w więziennictwie uczyniły go twardym i mniej wrażliwym na wiele spraw, Gerry poczuł przyływ oburzenia, że tego człowieka ponownie wyprowadzono na plac. Pocho nie żył, to fakt, ale wtedy to był oczywisty i niekwestionowany przypadek samoobrony. Teraz było to morderstwo z premedytacją. Zaplanowane i zrealizowane z zimną krwią. I jeśli nawet nie dojdzie do niego dziś, stanie się to jutro albo pojutrze, jeśli nie na ich, to na czyjeś zmianie. Umieszczenie tego człowieka w celi sąsiadującej z celą Perkusisty to jedno, podobnie jak wtrącenie go do izolatki albo odebranie mu książek, ale to było całkiem coś innego. To było niedopuszczalne.

Gerry przygotował się psychicznie na to, co miało się wkrótce wydarzyć. Chłopaki Pocho zaczęli kręcić się po placu, jak zawsze poruszali się wolno, leniwym krokiem alfonsa, z rękami w kieszeniach. Ten wysoki, Rafael Borges, jak zawsze kozłował piłką,

po czym wykonał zgrabny wrzut do kosza. Gerry spojrzął na Benjy'ego i zauważył, że jego partner był równie spięty. Strażnicy z eskorty i Gerry wymienili umowne sygnały – przekazanie więźniów zakończone. Od teraz byli pod ich kontrolą. Eskorta opuściła plac, zamykając za sobą podwójne metalowe drzwi. Gerry nie odrywał wzroku od więźnia specjalnego. Mężczyzna szedł wolno wzdłuż ceglanego muru w stronę ogrodzenia z siatki. Poruszał się czujnie, ale bez widocznego zaniepokojenia. Gerry zastanawiał się, czy tamten na pewno był przy zdrowych zmysłach. Gdyby to on był na jego miejscu, ani chybi miałby już pełne gacie ze strachu. Patrzył, jak więzień specjalny zbliża się do boiska do koszykówki i wczepiając leniwie palce jednej dłoni w oka siatki, opiera się o nią całym ciałem. Uniósł wzrok, po czym rozejrzał się z boku na bok, jakby na coś czekał. Inni więźniowie niespiesznie krążyli dokoła, żaden nawet nie spojrzął w jego stronę, zachowywali się, jakby ten mężczyzna w ogóle nie istniał.

Kiedy z krótkofalówki rozległy się ciche trzaski i głos wzywający, aby się zameldował, Gerry aż podskoczył ze zdenerwowania. – Tu Fecteau.

– Mówi agent Coffey, Federalne Biuro Śledcze.

– Kto?

– Obudź się, Fecteau, nie ma czasu na wyjaśnienia. O ile dobrze rozumiem, ty i ten drugi, Doyle, pełnicie obecnie służbę na czwórce.

– T-t-tak jest, sir – wykrztusił Gerry. Czemu u licha agent Coffey skontaktował się z nim bezpośrednio? Chyba jednak w krążących w więzieniu plotkach, jakoby osadzony był agentem federalnym, mimo iż na takiego nie wyglądał, musiało być przynajmniej ziarenko prawdy.

– Zgłóście się obaj w Centrali Bezpieczeństwa, ale migiem!

– Dobrze, sir, kiedy tylko skończymy służbę na placu...

– Powiedziałem miłgim. To znaczy natychmiast.

– Ale, sir, na placu jestełmy tylko my dwaj...

– Wydałem wam bezpośredni rozkaz, Fecteau. Jeśli nie zjawicie się tu w dziewięćdziesiąt sekund, przysięgam na Boga, że jutro znajdziecie się w Dakocie Północnej, odbębniając nocną zmianę w Black Rock.

– Ale przecież pan nie może...

Jego odpowiedź utonęła w powodzi szumu, gdy agent FBI wyłączył się. Gerry spojrział na Benjy'ego, który słyszał całą tę rozmowę przez swoją krótkofalówkę. Benjy podszedł do niego i lekko wzruszył ramionami.

– Nie podlegamy tej gnidzie – rzekł Gerry – Sądziś, że musimy wykonywać jego polecenia?

– Chcesz się o tym przekonać? Ja tam wolę nie ryzykować. Chodźmy. Gerry wsunął krótkofalówkę do futerału przy pasku i poczuł, że zbiera mu się na mdłości. To było pewne i oczywiste morderstwo. Nic innego. Ale przynajmniej nie będzie ich tam, gdy ono się wydarzy, a co za tym idzie, nie będzie można pociągnąć ich za to do odpowiedzialności, nieprawdaż?

Dziewięćdziesiąt sekund... Przeszedł szybkim krokiem przez plac i otworzył metalowe drzwi. Następnie odwrócił się i raz jeszcze rzucił okiem na więźnia specjalnego. Mężczyzna wciąż opierał się o drucianą siatkę za boiskiem. Gang Pocho jak wataha wilków zaczął już zbliżać się do niego, osaczając swoją ofiarę.

– Boże, dopomóż mu – mruknął do Benjy'ego, gdy masywne drzwi zamknęły się za nimi z głuchym metalicznym łoskotem.

Żongler Ochoa przeszedł wolnym krokiem przez asfaltowy plac, spoglądając w niebo, na siatkę, boisko do koszykówki i swoich braci stojących to tu, to tam. Powrócił wzrokiem do metalowych drzwi, które właśnie się za nim zamknęły. Dwaj strażnicy zniknęli. Tak po prostu. Aż nie mógł uwierzyć, że ponownie wysłali Albinosa na plac numer 4 i zostawili go tam. Ten frajer był tu teraz, stał oparty o siatkę, ze spokojem odnajdując jego spojrzenie.

Ochoa rozejrzał się dokoła spod półprzymkniętych powiek. Więzienny instynkt podpowiadał mu, że coś było na rzeczy. Ktoś chciał kogoś zrobić. Ochoa wiedział, że inni odczuwali to samo co on. Nie musieli nic mówić, wszyscy doskonale wiedzieli, o co w tym chodzi. Rozumieli się bez słów. Strażnicy znienawidzili Albinosa równie mocno jak oni. Ktoś z góry chciał posłać frajera do piachu. Ale nie chciał brudzić sobie rąk. Ochoa chętnie go w tym wyręczy.

Spojrzał na asfalt i szurnął po nim butem, równocześnie obserwując, jak Borges pięścią odbija piłkę raz i drugi od ziemi, by płynnym wrzutem posłać ją do kosza. Borges powinien dotrzeć do Albinosa pierwszy, a Ochoa wiedział, że na Borgesa można było liczyć; facet był sprawdzony i potrafił trzymać gębę na kłódkę, nigdy nie zakapowałby kolegi. Będą mieć sporo czasu, aby zająć się tym palącym problemem i rozwiązać go definitywnie raz na zawsze po cichu, tak by nikt za to nie beknął. Rzecz jasna oznaczało to spędzenie

paru miesięcy w izolatce, utratę przywilejów, ale przecież i tak wszyscy odsiadawali dożywocie. A na tę egzekucję ktoś z góry ewidentnie wyraził zgodę. Niezależnie od konsekwencji, nie będą one zbyt dotkliwe.

Spojrzał w kierunku odległej wieżyczki. Nikt nie patrzył w ich stronę; strażnicy albo popatrywali w bok, albo w dal, ku więziennym murom. Żaden z nich nie przyglądał się rozwojowi sytuacji na placu numer 4.

Przeniósł wzrok na Albinosa i trochę się zdziwił, że tamten wciąż mu się przyglądał. Niech się gapi. Za pięć minut będzie trupem gotowym do umycia i wywiezienia na cmentarz.

Żongler popatrzył na swoich hermanos. Im się też nie spieszyło. Albinos był wojownikiem, umiał się bić i stosował brudne sztuczki, lecz tym razem będą ostrożniejsi. W dodatku tamten był poobijany, a zatem wolniejszy niż poprzednio.

Wciąż się zbliżali, zacieśniając wokół niego krąg.

Borges dotarł do linii rzutu za trzy punkty. Płynnym wprawnym ruchem wrzucił piłkę do kosza, a ta spadła prosto w ręce czekającego pod obręczą Albinosa, który zwinnie rzucił się naprzód, aby ją schwycić.

Wszyscy stali i patrzyli na niego złowrogo. Albinos, trzymając piłkę w dłoniach, powiódł wzrokiem dokoła, odnajdując kolejno ich spojrzenia; jego pokiereszowane oblicze pozostawało nieodgadnione i beznamienne. Żongler poczuł, że ogarnia go wściekłość na widok wyzwania malującego się w spojrzeniu tamtego.

Obejrzał się przez ramię. Wciąż ani śladu strażników.

Borges postąpił naprzód, a Albinos coś do niego powiedział tak szybko i cicho, że Żongler nie wychwycił słów. Podchodząc bliżej, Żongler wyłuskał kosę, prosty prymitywny nóż wsunięty z przodu przy rozporoku więziennych slipek.

Nadszedł czas. Pora sprzedać kosę frajerowi i po sprawie.

– Zaczekaj stary – rzekł Borges, gestem dłoni zatrzymując Ochoę. – Chcę tego posłuchać.

– Ale czego?

– Wiecie, że was wrabiają – mruknął Albinos. – Oni chcą się mnie pozbyć. Chcą mnie zabić. I wy też zdajecie sobie z tego sprawę. Wiecie o tym wszyscy, co do jednego. Ale czy wiecie dlaczego?

Powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go więźniów.

– Kogo to kurwa obchodzi? – warknął Żongler, postępując krok naprzód i szykując ukryte w dłoni ostrze do ciosu.

– Dlaczego? – zapytał Borges, ponownie wyciągając rękę do Żonglera.

– Ponieważ wiem, jak stąd prysnąć. Elektryzująca cisza.

– Gówno prawda – wycedził Żongler, zadając cios trzymanym w ręku ostrzem. Jednak Albinos był na to przygotowany i cisnął w niego piłką, czym kompletnie go zaskoczył i sprawił, że Żongler nagle stracił impet. Piłka odbiła się i odturlała na bok.

– Zabijecie mnie i spędzicie resztę dni za kratkami, w tym zakładzie, nie dowiedziawszy się, czy mówiłem prawdę?

– Gada bzdury – mruknął Żongler. – Załatwił Pocho, pamiętacie? Znow skoczył naprzód, lecz Albinos usunął się w bok i obrócił na pięcie jak matador. Borges schwycił Żonglera za przegub placami mocnymi jak ze stali.

– Kurwa mać, on zabił Pocho!

– Pozwól mu mówić.

– Wolność – ciągnął Albinos, a jego osobliwy akcent sprawił, że słowo to zabrzmiało naprawdę cudownie. – Czy siedzicie tu tak długo, że zapomnieliście już, co znaczy to słowo?

– Borges, nikt stąd nigdy nie zwiął i nie zwieje – burknął Żongler. – Kończmy to.

– Nic nie rób, chłopie. Wstrzymaj się. Wyluzuj.

Żongler rozejrzał się dokoła i stwierdził, że pozostali patrzyli na niego i mieli raczej srogie miny. Nie mógł w to uwierzyć. Albinos gładką gadką wymigał się od zarobienia kasy pod zebra.

– Wysłuchajmy go – rzucił inny członek gangu, Roany. Pozostali przytaknęli bezgłośnie.

– Ale przecież ten gość załatwił Pocho – powtórzył Żongler z coraz mniejszym przekonaniem w głosie.

– I co z tego? – odparował Borges. – Może Pocho sam się o to prosił.

Albinos mówił dalej, zniżając głos do szeptu. – Borges wyjdzie stąd jako pierwszy – oznajmił. – Bo pierwszy mi uwierzył. Ty Żongler, jeśli jesteś gotów, będziesz następny.

– Wiejemy stąd? Ale kiedy? – zapytał Borges.

– Już teraz, póki nie ma strażnika.

– Do diabła z tym – wycedził Żongler przez zęby.

– Dobrze, zamiast Żonglera zabiorę ciebie – to rzekłszy, Albinos wskazał Roany'ego. – Jesteś gotów?

– Przecież wiesz, że tak.

– Zaczekaj chwilę. – Ochoa znów spróbował pchnąć Albinosa prymitywnym ostrzem, ale zanim nóż dosięgnął celu, tamten wykonał błyskawiczny, prawie niedostrzegalny ruch, który kompletnie zaskoczył niedoszłego zamachowca i kiedy już było po wszystkim, kosa znalazła się w dłoni jasnowłosego.

Ochoa cofnął się. – Ty skurwielu...

– On tylko marnuje nasz czas – rzekł Albinos. – Jeśli piśnie jeszcze choć słowo, wytnę mu język. Czy ktoś chciałby się sprzeciwić? – Powiódł wzrokiem dokoła. Nikt się nie odezwał.

Ochoa stał w milczeniu i ciężko dyszał. Ten skurwysyn zabił Pocho i tak po prostu przejął kontrolę nad całym gangiem. Jedli mu z ręki.

Jak mogło do tego dojść? I jakim cudem stało się to tak szybko?

– Wszyscy wątpiący niech popatrzą na to. – Albinos podszedł do siatki przy łączącym ją wsporniku i szarpnął mocno. Ogniwa rozszczepiły się bez najmniejszego wysiłku. Odciągnął rozciętą siatkę nieco bardziej na tyle, by przez powstały otwór mógł się przecisnąć człowiek. Tamci tylko patrzyli z niedowierzaniem.

– Wykonajcie polecenia, a wydostaniecie się stąd wszyscy, nawet pan, panie Żongler. Aby potwierdzić prawdziwość moich słów, wyjdę stąd jako ostatni. Opracowałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Gdy znajdziecie się po drugiej stronie, rozpierzchniecie się na wszystkie strony, każdy z was wydostanie się stąd inną drogą. A oto jak przedstawia się plan...

Pendergast zaczekał, aż ostatni z członków gangu, Żongler, prześlizgnie się przez otwór w siatce i zniknie; wszyscy bez wyjątku przegramolili się przez dziurę w ogrodzeniu tak szybko, że było im obojętne, czy pospieszył za nimi, czy nie – i na to właśnie liczył w skrytości ducha Pendergast. Każdy z więźniów wybierze inną drogę ucieczki, opracowaną szczegółowo przez Eliego Glinna w celu wywołania jak największego chaosu i jak najgwałtowniejszych reakcji.

Kiedy Żongler się oddalił, Pendergast schwycił za uszkodzoną siatkę, w której otwór ponownie się zamknął, po czym pociągnął za nią z całej siły, rozciągając i wyginając metal, aby strażnicy, którzy pojawią się tu już niebawem nie mieli najmniejszych problemów z dostrzeżeniem szczeliny w ogrodzeniu. Chwilę później cofnął się i spojrzął na cyfrowy zegarek na przegubie dłoni; jego wnętrze było znacznie bardziej złożone, niż można by przypuszczać, patrząc na tanią plastikową obudowę. Wewnątrz znajdował się między innymi odbiornik sygnałów satelitarne systemu pomiaru czasu ACTS, który miał odegrać kluczową rolę w rozpoczętej właśnie operacji. Agent czekał cierpliwie, a punktualnie o wyznaczonej godzinie nacisnął jeden z guzików w swoim zegarku, uruchamiając licznik. Na ciekłokrystalicznym ekranie pojawiła się oznaczająca sekundy liczba 900 i rozpoczęło się odliczanie do zera.

Pendergast cofnął się kilka kroków i czekał.

Gdy na liczniku zegarka pozostało jeszcze 846 sekund, powietrze przeciął jazgotliwy jęk syreny alarmowej. Pendergast odwrócił się i ruszył szybkim krokiem przez plac, w stronę budynku znajdującego się najbliżej wejścia, gdzie dwie szare, obskurne betonowe ściany łączyły się pod kątem prostym. Sięgnął do otworu rury odpływowej i wydobył z niej długą cienką tubę, tę samą, którą D'Agosta umieścił wewnątrz przed kilkoma dniami. Zwolnił zaczepy po obu stronach, rozwinął rulon jak flagę i potrząsnął nim zdecydowanie. W jednej chwili zawartość rulonu przybrała kształt dwóch kwadratowych płacht materiału o boku długości trzech stóp połączonych z jednej strony plastikowymi złączkami tworzącymi literę V. Materiał ten pokryty był cieniutką warstwą odblaskowego mylaru. Cała ta konstrukcja zmodyfikowana przez Glinna przypominała przenośne arkusze odblaskowe, jakich używa się podczas kręcenia w plenerze zdjęć do reklamówek.

Pendergast wcisnął się w kąt, przywierając plecami do muru i przykucnął nisko skulony. Umieścił przyrząd tuż przed sobą i mocno docisnął obie krawędzie lustrzanego mylaru do ściany z obu stron pod kątem 90 stopni.

Był to po stokroć powtarzany przy użyciu wysoce wyspecjalizowanych środków jeden z najczęstszych trików iluzjonistycznych: ustawione pod kątem lustro miały wywołać złudzenie, że osoba przebywająca na scenie zniknęła. Po raz pierwszy zaprezentowano go w roku 1860, kiedy to profesor John Pepper opracował sztukę znaną jako Gabinet Proteusa, a niedługo potem zmodyfikował ją w swoim Sfinksie Pułkownik Stodare. W czasie tych pokazów, podówczas bardzo popularnych na Broadwayu, kobietę, asystentkę iluzjonisty zamykano w skrzyni, którą następnie otwierano, by pokazać, że jest pusta.

Wciśnięty w kąt więziennego placu arkusz odblaskowego mylaru spowodował dokładnie ten sam efekt: tworzył swoistą lustrzaną skrzynię, za którą mógł ukryć się Pendergast. W odblaskowych powierzchniach odbijały się szare mury dwóch przylegających do siebie budynków, wywołując w miejscu łączenia się ścian złudzenie pustki. Jedynie ktoś, kto podszedłby bliżej, aby przyjrzeć się temu wszystkiemu, mógłby odkryć oszustwo – a zapobiec temu miała wkalkulowana w całą tę operację panika.

Przy 821 sekundach Pendergast usłyszał szcęk odblokowywanych zamków elektronicznych; drzwi otwarły się szeroko i na plac ćwiczeń numer 4 wybiegła grupa szybkiego reagowania z pobliskiego posterunku straży więziennej numer 7. Mieli gotowe do użycia paralizatory.

– Siatka jest przecięta! – zawołał jeden z nich, wskazując na ziejący otwór przy drugim końcu ogrodzenia.

Kiedy czterej mężczyźni przebiegli przez asfaltowy plac w stronę szczeliny, Pendergast wstał, złożył obie części odblaskowego mylaru, energicznie zwinął go w ciasny rulon i wsunął do otworu odpływowego. Następnie prześlizgnął się przez otwarte drzwi do budynku więziennego i pokonawszy załom korytarza, wbiegł do pobliskiej toalety. Tam wpadł do drugiej kabiny od końca, stanął na sedesie i zdjął jeden z wygłuszających paneli sufitowych. Do jego wewnętrznej strony przyklejony był taśmą plastikowy woreczek zawierający wąski mikroprocesor flash memory o pojemności czterech gigabajtów, kartę kredytową, niewielką strzykawkę, rolkę taśmy klejącej i małą fiolkę z brązowym płynem. Włożywszy go do kieszeni, wyszedł z toalety i pognął wzdłuż korytarza w stronę posterunku straży więziennej numer 7.

Tak jak przewidział Glinn, z pięciu strażników pełniących obecnie służbę czterech zareagowało na wiadomość o ucieczce więźniów,

piątego zaś pozostawiono przy konsolcie kontrolnej otoczonej ścianą monitorów, na których przekazywany był na żywo obraz z licznych kamer ochrony. Mężczyzna wykrzykiwał rozkazy do mikrofonu i gorączkowo przeglądał kolejne sektory znajdujące się w polu działania kamer w poszukiwaniu zbiegłych więźniów. Aby zapobiec tej masowej ucieczce, zmobilizowano wszelkie siły, postawiono na nogi rezerwy straży więziennej. Sądząc po pełnej ekscytacji paplaninie strażnika, jeden z osadzonych został już odnaleziony i schwytany.

Zgodnie z przewidywaniami Glinna drzwi do posterunku numer 7 pozostawiono otwarte, gdy w pośpiechu wybiegła stąd grupa szybkiego reagowania. Pendergast wślizgnął się do środka, po czym oplótł przedramieniem szyję strażnika, drugą ręką wbił mu strzykawkę i kciukiem docisnął tłoczek do końca. Strażnik bez słowa osunął się na ziemię, a Pendergast położył go na podłodze, po czym przesłaniając dłonią mikrofon przy krótkofalówce strażnika, rzucił ochryłym głosem: – Widzę jednego! Biegnę za nim!

Pospiesznie rozebrał nieprzytomnego strażnika, podczas gdy z krótkofalówki popłynęły surowe słowa nakazujące mu zostać na posterunku. Niecałą minutę później Pendergast przebrał się w mundur strażnika, wyposażony w odznakę, pojemnik z gazem łzawiącym, paralizator, pałkę, krótkofalówkę i specjalną słuchawkę z mikrofonem i urządzeniem alarmowym. Był szczuplejszy niż strażnik, ale kilka drobnych poprawek dokonanych od ręki sprawiło, że kamuflaż był prawie idealny.

Następnie sięgnął za szafkę z serwerami komputerowymi, by odnaleźć właściwe wejście. Wyjąwszy mikroprocesor z plastikowej torebki, w kilka sekund podłączył go do serwera. Znów podszedł do strażnika, zakleił mu taśmą usta i skrępował mu nią również ręce za plecami i nogi w kolanach. Potem wywlókł strażnika do najbliższej

toalety, posadził na sedesie i okleiwszy mu taśmą tors, przykleił go do rezerwuaru, aby mężczyzna nie upadł na podłogę, zamknął drzwi na zasuwkę i prześlizgnąwszy się pod nimi, wypełził z kabiny.

Pendergast stanął przed lustrem, zdarł z twarzy bandaż i wrzucił je do kosza na śmieci. Rozbił szklaną fiolkę o brzeg umywalki i starannie wtarł farbę we włosy, zmieniając ich kolor z bardzo jasnego odcienia blond na pospolity ciemnobrązowy. Po wyjściu z toalety przeszedł w głąb korytarza, skręcił w prawo i zanim dotarł do stanowiska pierwszej z kamer wideo, spojrzął na zegarek: 660 sekund.

Odczekał, aż na zegarku pojawi się liczba 640, po czym pomaszerował dalej spokojnym krokiem, przez cały czas wpatrując się w zegarek. Wiedział, że wiele par oczu będzie obserwować obraz z kamer wideo. Mimo iż miał na sobie mundur strażnika, szedł w przeciwnym kierunku niż wszyscy – oddalając się od miejsca ucieczki więźniów – a na jego twarzy wciąż widniały liczne sińce i zadrapania. W bloku C był dobrze znaną postacią. Gdyby ktokolwiek go zobaczył, rozpoznałby go w mgnieniu oka. Tyle tylko że Pendergast wiedział, iż przez najbliższe dziesięć sekund obraz z tej konkretnej kamery wideo będzie kontrolowany przez flash drive'a, którego podłączył do komputera ochrony. Mikroprocesor zarejestruje dziesięciosekundowy zapis obrazu i odtworzy go ponownie. Następnie będzie się przełączał kolejno na każdą kamerę z całego ich ciągu, powtarzając tę czynność. Pendergast miał więc zaledwie dziesięć sekund na przemknięcie przez obszar obejmujący pole widzenia każdej z kamer. Musiał działać perfekcyjnie.

Minął kamerę bez najmniejszych przeszkód i ruszył dalej długimi pustymi korytarzami gmachu C; z uwagi na ucieczkę więźniów strażnicy zostali odwołani do innych sektorów zakładu karnego. Niekiedy przyspieszał kroku, kiedy indziej zwalniał, mijając każdą

z kamer dokładnie w chwili, gdy przekazywała ona uprzednio zarejestrowany zapis obrazu. Od czasu do czasu z jego krótkofalówki dobiegały czyjeś głosy. W pewnej chwili minęła go grupka biegnących strażników i czym prędzej przykląkł na jedno kolano, aby zawiązać sznurowadło, odwracając głowę w bok, by nie spostrzegli jego opuchniętej, pokrytej sińcami twarzy. Minął jadalnię i kuchnię mieszczące się w budynku C; powietrze przesycone tu było silną wonią środków do dezynfekcji. Pokonał kolejny zakręt, a potem jeszcze jeden i dotarł w końcu do ostatniego odcinka korytarza przed punktem kontrolnym i zabezpieczonymi elektronicznie drzwiami oddzielającymi gmach C – federalny blok zakładu penitencjarnego Herkmoor, od gmachu B – gdzie mieścił się blok objęty jurysdykcją stanową.

Twarz Pendergasta była w gmachu C dobrze znana. W budynku B natomiast był on postacią wszystkim obcą. Nikt go tam nigdy nie widział. Podszedł do drzwi z elektronicznym zamkiem, skorzystał z karty magnetycznej, przyłożył dłoń do ekranu z czytnikiem odcisków palców i czekał.

Jego serce biło nieco żywszym rytmem niż zazwyczaj. Nadeszła chwila prawdy.

Gdy na liczniku jego zegarka pozostało 290 sekund, światełko przy ekranie czytnika rozbłysło szmaragdową zielenią i dał się słyszeć szcęk odblokowywanych zamków.

Pendergast wszedł do budynku B. Minął pierwszy załom korytarza, po czym przystanął w miejscu, gdzie było w miarę możliwości najciemniej. Sięgnął ręką do najgłębszego zadrapania na policzku i silnym, zdecydowanym szarpnięciem wyrwał założone niedawno szwy. Kiedy z rany popłynęła krew, rozmazał ją pospiesznie na twarzy, szyi i dłoniach. Podciągnął koszulę, spojrzął na szwy zamykające ranę z boku, pamiątkę po pchnięciu prymitywnym

więziennym nożem. Wziął głęboki oddech. A potem rozerwał także te szwy. Rany musiały wyglądać na możliwie jak najświeższe.

Kiedy na liczniku jego zegarka pojawiła się liczba 110, usłyszał tupot i – zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami minął go jeden ze zbiegłych więźniów – Żongler, który posłusznie realizował plan ucieczki drobiazgowo opracowany przez Glinna. Rzecz jasna ucieczka się nie powiedzie, Żongler zostanie schwytany przy wyjściu z budynku B, jeżeli nie wcześniej, ale to także było częścią tego misternego planu. Gang Pocho miał stanowić zasłonę dymną, ot wszystko. Żadnemu z oprychów Lacarry nie uda się zbiec z Herkmoor.

Kiedy tylko Żongler przebiegł obok niego, Pendergast rzucił się na podłogę, naciskając równocześnie przycisk alarmowy przy słuchawce z mikrofonem. – Ranny funkcjonariusz! Potrzebna natychmiastowa pomoc! Powtarzam, ranny funkcjonariusz!

45

Lekarz więzienny Ralph Kidder ukląkł przy leżącym strażniku, który szlochał jak dziecko, mamrocząc, że został zaatakowany, że nie chce umierać, i spróbował się skupić. Zbadał stetoskopem puls mężczyzny był silny i szybki, sprawdził szyję i kończyny rannego, czy nie ma żadnych złamań, zmierzył mu ciśnienie – doskonałe, po czym przyjrzał się rozcięciu na twarzy – rana, choć paskudna, okazała się powierzchowna.

– Gdzie oberwałeś? – zapytał ponownie, z rozdrażnieniem. – Co ci jest? Mów do mnie!

– Moja twarz! Chlasnął mnie po twarzy! – wrzasnął mężczyzna, powoli odzyskując świadomość.

– Widzę. Co jeszcze?

– Dźgnął mnie! W klatkę piersiową, cholera, jak to boli!

Lekarz delikatnie obmacał żebra, wyczuwając obrzmienie świadczące o tym, że kości kilku z nich zostały złamane, chociaż bez przemieszczenia. Natknął się też faktycznie na ranę kłutą, która obficie krwawiła, ale pobieżne badanie wykazało, że ostrze ześlizgnęło się po jednym z żeber, dzięki czemu nie doszło do przebicia opłucnej.

– Do wesela się zagoi – rzucił oschłym tonem Kidder, odwracając się do dwóch sanitariuszy – Zabierzcie go do izby chorych B. Przeprowadzimy transfuzję krwi, zrobimy prześwietlenie i zszyjemy

kilka z tych paskudnych ran. Nie obejdzie się bez zastrzyku przeciwțęczcowego i antybiotyków. Jak dotąd nie widzę tu nic, co wymagałoby przewiezienia rannego do szpitala poza terenem zakładu.

Jeden z pielęgniarzy parsknął. – Nic tu nie wjedzie ani stąd nie wyjedzie, dopóki zbiegli więźniowie nie zostaną schwytani i nie przeprowadzi się ponownego zliczenia wszystkich osadzonych. Od pół godziny pod bramą czeka z włączonym silnikiem ambulans z kostnicy.

– Tym, co wożą sztywniaków, nigdy się nie spieszy – odparł cierpliwie Kidder. Zapisał nazwisko strażnika i numer jego odznaki w karcie pacjenta na podkładce. Nie rozpoznał rannego, ale facet był przecież z budynku C, w dodatku miał paskudnie poharataną twarz.

Gdy układali pacjenta na noszach, Kidder usłyszał dochodzące z głębi korytarza wrzaski towarzyszące zatrzymaniu kolejnego z uciekinierów. Kidder pracował w Herkmoor od blisko dwudziestu lat i była to jak dotąd największa próba ucieczki, której był świadkiem. Rzecz jasna nie miała ona najmniejszych szans powodzenia. Miał jedynie nadzieję, że strażnicy nie sponiewierają zanadto niedoszłych zbiegów.

Pielęgniarze podnieśli nosze i odwieźli pojękującego strażnika na izbę chorych. Kidder ruszył za nimi. Strażnicy zgrywali twardzieli, kiedy nad wszystkim panowali, pomyślał, ale wystarczy odrobina chaosu i ich uporządkowany świat walił się jak domek z kart. A klawiszom puszczały nerwy.

Izba chorych w budynku B, jak inne izby chorych w Herkmoor, miała dwa przedzielone grubym murem pomieszczenia: jedno niestrzeżone, dla personelu i strażników więziennych, oraz drugie, pod stałym nadzorem, dla osadzonych. Sanitariusze wtoczyli rannego do niestrzeżonej części dla personelu i przykryli mężczyznę kocem.

Kidder zaczął wypełniać kartę pacjenta, polecił też wykonanie serii zdjęć rentgenowskich. Już miał przygotować strażnika do założenia szwów, gdy nagle rozległ się sygnał jego krótkofalówki. Uniósł ją do ucha, słuchał przez chwilę, po czym rzucił kilka krótkich zdań. Wreszcie odwrócił się do pacjenta. – Muszę pana na chwilę zostawić.

– Samego? – zawołał ranny strażnik z paniką w głosie.

– Wrócę za pół godziny, góra czterdzieści pięć minut, z radiologiem. Mamy kilku rannych więźniów...

– Idzie pan zająć się rannymi więźniami zamiast mną? – jęknął ranny.

– Wygląda na to, że potrzebują mojej pomocy bardziej niż pan. – Kidder nie wyjawiał mu tego, czego się przed chwilą dowiedział. Stało się dokładnie to, czego się obawiał: strażnicy bardzo dotkliwie i ciężko pobili kilku uciekinierów.

– Jak długo będę musiał czekać?

Kidder westchnął z nieskrywaną irytacją. – Jak już mówiłem, około dwudziestu pięciu minut. – Przygotował strzykawkę z łagodnym środkiem uspokajającym i przeciwbólowym.

– Nie chcę żadnych zastrzyków! – zawołał ranny – Panicznie boję się igieł.

Kidder z trudem pohamował w sobie rozdrażnienie. – To złagodzi ból.

– Nie jest ze mną aż tak źle! Proszę raczej włączyć telewizor. To pomoże mi jakoś zabić czas.

Kidder wzruszył ramionami. – Niech będzie, jak pan chce. – Odłożył strzykawkę i wręczył pacjentowi pilota. Strażnik natychmiast włączył telewizor, wybierając kanał z jakimś kretyńskim teleturniejem, i podkręcił głośność. Kidder wyszedł z izby chorych, kręcąc głową; nigdy nie miał dobrego zdania o klawiszach, a teraz jego opinia na ich temat była jeszcze gorsza.

Pięćdziesiąt minut później Kidder wrócił do izby chorych w wyjątkowo podłym nastroju. Kilku strażników wykorzystało okazję, aby wyrównać rachunki z grupką szczególnie opornych i niesubordynowanych więźniów, co u tych drugich skończyło się połamaniem pół tuzina kości.

Spojrzał na zegarek, zastanawiając się, jak czuł się strażnik, którego zostawił na izbie chorych. Bogiem a prawdą w każdym z większych nowojorskich szpitali na ostrym dyżurze chory musiałby czekać co najmniej dwa razy dłużej. Odciągnął zasłonę i spojrzał na strażnika przykrytego aż po szyję kocem i odwróconego do ściany, pogrążonego w głębokim śnie, mimo iż telewizor był włączony niemal na cały regulator. W pokoju słychać było donośny głos znanego prezentera prowadzącego teleturniej. „Czy jesteś pewna, Joy, że chcesz wybrać bramkę numer dwa? No dobrze, wobec tego bramka numer dwa jest twoja. A w bramce numer dwa mamy...”.

– Czas na prześwietlenie panie... – Kidder spojrzał na kartę pacjenta przypiętą do podkładki. – Panie Sidesky?

Bez odpowiedzi.

„To krowa! Drodzy państwo, czyż to nie najpiękniejsza krowa rasy Holstein, jaką kiedykolwiek widzieliście? Świeże mleko każdego ranka, pomyśl tylko, Joy!”.

– Panie Sidesky? – Kidder podniósł głos. Sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. W izbie chorych zapanowała błoga cisza.

– Czas na prześwietlenie! Bez odpowiedzi.

Kidder wyciągnął rękę i delikatnie szarpnął tamtego za ramię, po czym cofnął się gwałtownie o krok ze zdumionym okrzykiem. Nawet przez koc ciało wydawało się zimne. To niemożliwe. Mężczyznę przywieziono tu przed niespełną godziną żywego i zdrowego.

– Ej, Sidesky! Obudź się! – Drżącą ręką ponownie szturchnął tamtego w ramię i znów poczuł ten upiorny lodowaty chłód.

Z narastającą trwogą schwycił róg koca i odgarnął na bok, odsłaniając nagie zwłoki, groteskowo obrzmiałe i sine. Woń śmierci i środków do odkażania rozeszła się w powietrzu, spowijając go niczym trujący wyziew. Zachwiał się, przyłożył dłoń do ust, zaczął się krztusić, w głowie miał mętlik, jego myśli przepełniło niedowierzanie. Ten mężczyzna nie tylko był martwy, lecz zaczął się już rozkładać. Jak to możliwe? Rozejrzał się gorączkowo dokoła, ale na oddziale nie było innych pacjentów. Musiała zajść jakaś straszna pomyłka, jakiś fatalny błąd.

Kidder wziął głęboki oddech, aby się uspokoić. W końcu schwycił mężczyznę za ramię i odwrócił go na wznak. Głowa opadła bezwładnie, oczy patrzyły niewidzącym wzrokiem w sufit, spomiędzy rozchylnych warg wysunął się zwiotczały język; twarz była przeraźliwie sina i obrzmiała, z kącików ust sączyła się jakaś żółtawa ciecz.

– Boże! – jęknął lekarz, cofając się gwałtownie o dwa kroki. To nie był ten ranny strażnik. To martwy więzień, nad którym pracował nie dalej jak wczoraj, pomagając radiologowi przy sporządzaniu serii zdjęć rentgenowskich. Usiłując zachować spokojny ton głosu, wybrał numer pagera lekarza naczelnego. Po chwili przez interkom dał się słyszeć przepełniony rozdrażnieniem głos tamtego. – Jestem zajęty. O co chodzi?

Przez chwilę Kidder nie wiedział, co ma powiedzieć. – Wie pan, ten martwy więzień z kostnicy...

– Lacarra? Wywieźli go kwadrans temu.

– Nieprawda. Wcale nie.

– Oczywiście, że tak. Osobiście podpisywałem dokumenty transportu i widziałem, jak załadowywano worek ze zwłokami do ambulansu. Czekał pod bramą na pozwolenie, by wjechać do środka i odebrać ciało.

Kidder przełknął ślinę. – Nie sędzę.

– Co to ma znaczyć? O czym ty u licha mówisz, Kidder?

– Pocho Lacarra... – przełknął ślinę i oblizał suche wargi – wciąż tu jest.

Dwadzieścia mil na południe ambulans sunął wzdłuż Taconic State Parkway, kierując się w stronę Nowego Jorku. Ruch na autostradzie był niewielki. Ambulans zjechał na przydrożny parking i zatrzymał się.

Vincent DAgosta zdarł z siebie biały uniform pracownika kostnicy, przeszedł na tył ambulansu i rozsunął suwak worka na zwłoki. Wewnątrz spoczywało smukłe, białe, nagie ciało agenta specjalnego Pendergasta. Agent usiadł powoli i zamrugał powiekami.

– Pendergast! Niech mnie drzwi ścisną, udało się! Zrobiliśmy to! Udało się, cholera!

Agent uniósł prawą dłoń do góry. – Mój drogi Vincencie, bardzo cię proszę, żadnego wylewnego okazywania uczuć, dopóki się nie wykąpię i nie przebiorę.

O wpół do siódmej wieczorem William Smithback junior przystanął na chodniku przy Museum Drive i spojrział w górę na jasno oświetloną fasadę nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej. W dół granitowych stopni spływał miękką falą szeroki aksamitny czerwony dywan. Ożywiony tłum gapiów i dziennikarzy powstrzymywany był przez aksamitne sznury i kordon muzealnych strażników, podczas gdy przed wejście zajeżdżała jedna limuzyna po drugiej; wysiadały z nich gwiazdy filmowe, znane osobistości, grube ryby, rekiny finansjery, chude jak wieszak modelki o pustych oczach, biznesmeni i maklerzy, rektorzy uniwersytetów oraz senatorowie – zapierająca dech w piersiach parada zamożności, władzy i wpływów.

Wielcy i wpływowi wchodzili po stopniach muzeum czarno-białą błyszczącą strugą, nie oglądając się na boki i zmierzając przed siebie, pomiędzy masywnymi kolumnami w kierunku olbrzymich spiżowych drzwi, zza których biło jasne złociste światło; motłoch tymczasem, powstrzymywany przez aksamit i siłę ludzkich mięśni, patrzył z podziwem, pisał w euforii i robił jedno zdjęcie za drugim. Powyżej neoklasyczna fasada muzeum ozdobiona była wielkim na cztery piętra banerem reklamowym trzepoczącym lekko na wietrze. Widniało na nim wielkie oko Horusa, poniżej zaś stylizowane na egipskie pismo litery układały się w słowa;

WIELKIE OTWARCIE

WIELKIEGO GROBOWCA SENEFA

Smithback poprawił muszkę i wygładził wyłogi smokingu. Jako że nie przyjechał limuzyną, lecz taksówką, zmuszony był wsiąść przecznicę od muzeum i trochę czasu zajęło mu przeciśnięcie się przez tłum, zanim zbliżył się do bramek z aksamitnych sznurów. Pokazał swoje zaproszenie wyjątkowo podejrzliwemu strażnikowi, który zawołał następnego i po paru minutach uporczywego przekonywania przepuścili go, aczkolwiek niechętnie, tak że wszedł do środka w ślad za pachnącą jak perfumieria Wandą Meursault, aktorką, która narobiła zamieszania podczas otwarcia wystawy „Święte wizerunki”. Smithback uznał, że musiało być dla niej wielkim wstrząsem, iż na ostatnim rozdaniu nagród Akademii nie otrzymała Oscara dla najlepszej aktorki. Pełen entuzjazmu wmaszerował przez jasno oświetlone wejście wraz ze sławnymi i bogatymi. Zapowiadało się, że to otwarcie nie będzie miało sobie równych w całej historii muzeum.

Aksamitny dywan ciągnął się przez całą Wielką Rotundę, gdzie na podwyższeniach stały masywne szkielety dinozaurów, poprzez Salę Afrykańską, a stamtąd przez pół tuzina innych, cuchnących pleśnią sal i na wpół zapomniane korytarze do wind, przed którymi zebrał się już spory tłum. Dość daleko stąd do wejścia, skonstatował Smithback, czekając w kolejce do windy, lecz grobowiec Senefa mieścił się głęboko w podziemiach muzeum. Poprawił muszkę. Niektórym z tych mumii dłuższy spacer tylko wyjdzie na zdrowie, pomyślał. Dobrze im tak.

Melodyjny dźwięk oznajmił przybycie kolejnej windy i Smithback wszedł wraz z innymi do kabiny. W ciasnym pomieszczeniu panował spory tłok, ludzie w kabinie byli ściśnięci jak czarno-białe sardynki. Smithback czekał cierpliwie, aż winda powoli zjedzie do podziemi. Wreszcie drzwi znowu się otwarły i nowo przybyłych powitało

złociste światło, dźwięki orkiestry oraz nieco dalej Sala Egipska w całej okazałości, z przepięknie odrestaurowanymi dziewiętnastowiecznymi malowidłami ściennymi. Wnętrza gablot ciągnących się wzdłuż ścian jaśniały od złota, drogich kamieni i misternej porcelany, podczas gdy na wytwornie zastawionych stołach i niskich stolikach stały tysiące zapalonych świec. Co ważniejsze, stwierdził Smithback, wodząc wzrokiem dokoła, długie stoły pod ścianami aż ugiwały się od półmisek z wędzonym łososiem i jesiotrem, chrupkim chlebem domowego wypieku, talerzy z ręcznie klejonymi plastrami prosciutto di San Daniele oraz srebrnymi tacami z perłowszarym kawiozem z siewrugi i bieługi. Masywne srebrne wiaderka wypełnione kruszonym lodem stały przy obu końcach stołów najeżone butelkami Veuve Cliquot; smukłe szyjki przywodziły na myśl lufy dział baterii przeciwlotniczych, które tylko czekają, by wystrzelić i napełnić rozstawione opodal kieliszki.

A to były zaledwie przystawki, stwierdził Smithback, przygrywka do zaplanowanej kolacji. Zatarł dłonie, rozkoszując się wspaniałym widokiem i rozglądając za żoną Norą, której w ubiegłym tygodniu prawie w ogóle nie widywał. Aż drżał na samą myśl o innych, nieco bardziej intymnych przyjemnościach, którymi będą cieszyć się wspólnie, kiedy już to całe przyjęcie i cały ten szalony koszmarny tydzień dobiegną końca. Zastanawiał się, do którego ze szwedzkich stołów ma przypuścić szturm najpierw, kiedy ktoś pociągnął go z tyłu za ramię.

– Nora! – odwrócił się, by ją objąć. Miała na sobie obcisłą czarną suknię gustownie wyszywaną srebrną nicią. – Wyglądasz olśniewająco!

– Ty też prezentujesz się niezgorzej. – Nora uniosła dłoń i przygładziła niesforny kosmyk jego włosów nad czołem, który jednak już po chwili znów się uniosł, uparcie opierając się sile

ciążenia. – Mój przystojny, przerośnięty chłopiec.

– Moja egipska królowa. A jak tam twoja szyja?

– Już dobrze i proszę cię, ani słowa więcej na ten temat.

– To zdumiewające. O Boże, co za przepych. – Smithback rozejrzał się dokoła. – I pomyśleć tylko, jesteś kuratorem. To twoje widowisko.

– Nie miałam nic wspólnego z tym przyjęciem. – Przeniosła wzrok w stronę wejścia do grobowca Senefa, zamkniętego i udrapowanego czerwoną wstęgą oczekującą na uroczyste przecięcie. – To, za co jestem odpowiedzialna, kryje się tam, w środku.

Obok nich przemknął szczupły kelner ze srebrną tacą pełną kieliszków szampana; Smithback z miejsca pochwycił dwa i jeden oddał Norze.

– Za grobowiec Senefa – powiedział. Stuknęli się kieliszkami i opróżnili je.

– Przekąśmy coś, zanim wszyscy ruszą do stołów – rzekła Nora. – Mam tylko kilka minut. O siódmej mam powiedzieć parę słów, a potem zaczną się inne przemowy, kolacja i widowisko. Kolejny wieczór osobno. Bardzo mi przykro, Bill.

– Potem będziemy mieć dla siebie więcej czasu.

Gdy podeszli do stołów, Smithback zwrócił uwagę na wysoką, olśniewająco piękną kobietę o mahoniowych włosach stojącą opodal i ubraną w proste czarne spodnie oraz szarą jedwabną bluzkę rozpiętą pod szyją i podkreśloną pojedynczym sznurem pereł. To był skromny strój, a jednak prezentowała się w nim szykownie i elegancko, z wyraźną klasą.

– To nasza nowa pani egiptolog – rzekła Nora, odwracając się w stronę kobiety. – Viola Maskelene. To mój mąż, Bill Smithback.

Smithback wydawał się zaskoczony. – Viola Maskelene? Ta sama, którą...? – Błyskawicznie odzyskał rezon i wyciągnął do niej rękę. – Bardzo mi miło panią poznać.

– Witam – rzekła kobieta miękkim, ciepłym, nieco rozbawionym głosem o charakterystycznym akcencie. – Przez ostatnie parę dni miałam przyjemność pracować z Norą. Cóż to za muzeum!

– Tak – przyznał Smithback. – Cóż za szlachetny moloch. Violu, powiedz mi... – Smithback z trudem pohamowywał w sobie ciekawość. – Jak właściwie... ee... trafiłaś do tego muzeum?

– Ściągnięto mnie tu praktycznie w ostatniej chwili. Po tragicznej śmierci Adriana muzeum rozpaczliwie potrzebowało egiptologa, kogoś mającego niezbędną wiedzę na temat Nowego Państwa i grobowców z Doliny Królów. Hugo Menzies najwyraźniej znał moje dokonania i podsunął moją kandydaturę. Z prawdziwą przyjemnością przyjąłem zaproszenie do współpracy.

Smithback już miał zadać kolejne pytanie, lecz zauważył, że Nora posłała mu ostrzegawcze spojrzenie; nie czas teraz, aby próbował wydobyć z niej informacje dotyczące porwania. Niemniej jednak, skonstatował, to bardzo dziwne, że Maskelene tak nagle pojawiła się w Nowym Jorku, i w dodatku w muzeum. Zawodowy instynkt Smithbacka podpowiadał mu, że to nie mógł być zwyczajny zbieg okoliczności. Zajmie się tym... nazajutrz.

– Ile tu różnych pyszności – Viola wskazała głową w stronę szwedzkich stołów. – Umieram z głodu. Może coś zjemy?

– Jasne – zgodził się Smithback.

Przecisnęli się w stronę stołów, po czym Smithback, delikatnie odsunąwszy na bok niestawiającego oporu potulnego kustosza, sięgnął ręką i załadował na talerz dobre dwie uncje kawioru i okazałą porcję blinów oraz creme fraiche. Kątem oka dostrzegł ze zdumieniem, że Viola nałożyła na swój talerz równie dużą porcję różnych potraw i najwyraźniej niczym się nie przejmowała. Wychwyciła jego spojrzenie i mrugnęła porozumiewawczo. – Od wczoraj nic nie miałam w ustach – wyjaśniła. – Pracowałam bez

chwili przerwy.

– No to śmiało! – rzucił Smithback, nabierając drugą porcję kawioru, zadowolony, że choć raz ma partnera w przestępczym procederze.

Orkiestra na drugim końcu sali zagrała kilka taktów, rozległy się oklaski i na podium przy orkiestrze wspiął się Hugo Menzies w olśniewającym białym fraku, z białą muszką. W sali zapanowała cisza, gdy mężczyzna lustrował tłum błyszczącymi niebieskimi oczami. – Panie i panowie! – powiedział – nie oczekujcie dziś ode mnie długiej przemowy, ponieważ nas wszystkich czekają tego wieczoru znacznie ciekawsze, zapierające dech w piersiach atrakcje. Pozwólcie jednak, że przeczytam wam e-mail od hrabiego de Cahors, który swoją hojną dotacją sprawił, iż dzisiejsza uroczystość mogła dojść do skutku:

Szanowni Państwo,

Szczerze ubolewam, że nie mogę przyłączyć się do Was i wziąć udziału w uroczystym otwarciu grobowca Senefa. Jestem już w podeszłym wieku i podróże są dla mnie niewskazane.

Wznoszę jednak toast wraz z Wami i życzę, by ten wieczór pełen był niezwykłych i niezapomnianych wrażeń.

Pozdrawiam życzliwie z całego serca,

Le Comte Thierry de Cahors

Na zakończenie tej krótkiej wiadomości przesłanej przez hrabiego odludka rozległy się gromkie oklaski. Kiedy ucichły, Menzies zaczął mówić dalej. – A teraz z prawdziwą przyjemnością pragnę państwu przedstawić wielką sopranistkę Antonellę da Rimini w roli Aidy oraz tenora Gilles’a de Montparnasse w roli Radamesa, którzy zaśpiewają dla państwa arie z ostatniej sceny Aidy, La fatal pietra sowa me si chiuse, w języku angielskim przez wzgląd na tych państwa, którzy nie znają włoskiego.

Znowu oklaski. Wyjątkowo otyła kobieta, z niebywale uszmińkowanymi ustami i oczami obwiedzionymi grubymi kreskami, wciśnięta w obcisły pseudoegipski kostium, który groził, że lada chwila popęka w szwach, weszła na scenę w towarzystwie równie masywnego mężczyzny w kostiumie z epoki.

– Viola i ja musimy już iść – wyszeptała Nora do Smithbacka. – Potem nasza kolej. Ścisnęła go za rękę i zniknęła wśród tłumu, ciągnąc za sobą Violę Maskelene.

Sala znów rozbrzmiała burzą braw, gdy na scenę wyszedł dyrygent. Smithback nie mógł się nadziwić entuzjazmowi gości, prawie nie mieli czasu, aby przepłukać gardło. Rozglądając się dokoła i przeżuając bliny, zadumał się na widok tak wielu znajomych twarzy: senatorów, przemysłowców, gwiazd filmowych, filarów społeczeństwa, zagranicznych dygnitarzy i rzecz jasna członków zarządu muzeum i towarzyszących im osobistości. Gdyby ktoś wysadził muzeum w powietrze, zadumał się w przyływie wisielczego humoru, reperkusje nie ograniczałyby się tylko do granic kraju, lecz miałyby wydźwięk międzynarodowy. Światła przygasły, a dyrygent uniósł pałeczkę i cała widownia zamilkła. Zaraz potem orkiestra zaczęła grać smętny motyw, podczas gdy Radames zaśpiewał:

*Ten głaz złowrogi rychłą mą zgubę przypieczętuje,
Oto grobowiec mój! Już nigdy
Światła dnia nie ujrzę... I nie zobaczę Aidy.
Aido, ukochana. Gdzieżeś ty? Obyś żyła szczęśliwie
Prawdy nigdy nie znając o mym strasznym losie!
Lecz cóż to za dźwięk? Azali wąż tu jakiś pełźnie? To zjawia jakaś?
Nie! Ta postać mglista ludzką się wydaje.
O Bogowie! Aida!*

Teraz zaśpiewała diwa:

Tak, to ja.

Smithback, który całym sercem nie znosił opery jako takiej, starał się jak mógł, by zagłuszyć przeraźliwie wrzeszczący głos, a równocześnie skupił uwagę na uginających się od delikcji stołach. Przeciskając się przez tłum, wykorzystał chwilową przerwę w szaleńczym zbiorowym napełnianiu żołądków, by zgarnąć pół tuzina ostryg; dołożył do nich dwa grube plastry starego okrągłego pleśniowego sera francuskiego, stosik cienko pokrojonej szynki i dwa kawałki ozorka. Balansując mocno obciążonym talerzem, podszedł do sąsiedniego stołu i wziął stamtąd kieliszek szampana, prosząc obsługę o napełnienie szkła po brzegi, aby nie musiał zaraz fatygować się po dolewkę. Następnie skierował się ku jednemu ze stolików rozświetlonych blaskiem świec, aby móc tam nacieszyć się zdobytymi łupami. Rzadko nadarzała mu się okazja darmowej wyżerki, a skoro już się tu znalazł, zamierzał najeść się do syta.

Eli Glinn czekał na ambulans przy nierzucającym się w oczy wejściu do siedziby ERI. Wyznaczywszy jednego ze swoich ludzi do zajęcia się pojazdem, odesłał Pendergasta, aby wziął prysznic i przebrał się, D'Agoście zaś przydzielił milczącego jak robot ubranego na biało technika. Technik kazał D'Agoście zaczekać, podczas gdy sam wykonał kilka krótkich telefonów; po czym poprowadził go przez olbrzymią jak jaskinia, rozbrzmiewającą mnóstwem ech halę stanowiącą serce siedziby Efektywnych Rozwiązań Inżynieryjnych. W wielkim pomieszczeniu panowała cisza, jak można się było tego spodziewać o wpół do ósmej w weekendowy wieczór; mimo to wciąż pracowało tu kilku naukowców prowadzących obliczenia i zapisy na białych kartkach lub wpatrujących się w ekrany komputerów. Dokoła panowała atmosfera wystudiowanej efektywności. Mijając stoły laboratoryjne z różnymi sprzętami i urządzeniami naukowymi i modelami, D'Agosta zastanawiał się, ilu tutejszych pracowników wiedziało, że w budynku znajdował się jeden z najbardziej poszukiwanych zbiegów federalnych.

D'Agosta wszedł za technikiem do windy przy drugim końcu hali. Mężczyzna włożył kluczyk do panelu kontrolnego i wcisnął guzik ze strzałką skierowaną ku dołowi. Kabina opuszczała się zdumiewająco długo, zanim stanęła, a drzwi rozsunęły się, ukazując widoczny za nimi jasnoniebieski korytarz. Dając D'Agoście znak, aby poszedł za

nim, technik ruszył w głąb korytarza i zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Uśmiechnął się, skinął głową i zawrócił w stronę windy.

D'Agosta odprowadził go wzrokiem. Następnie spojrzał na nieoznakowane drzwi. Po chwili zapukał do nich powoli i niepewnie. Reakcja była natychmiastowa. Drzwi otworzył mu niski, jowialny z wyglądu mężczyzna o rumianej twarzy i z krótką przyciętą bródką. Wpuścił D'Agostę do środka i zamknął za nim drzwi.

– Porucznik D'Agosta, zgadza się? – zapytał z, jak uznał D'Agosta, niemieckim akcentem. – Proszę usiąść. Jestem doktor Rolf Krasner.

Pokój był urządzony po spartańsku, przywodził na myśl gabinet lekarski z szarymi dywanami, białymi ścianami i pospolitymi meblami. Pośrodku stał wypolerowany na połysk stół z drewna różanego. Na blacie leżało coś, co wyglądało jak specjalistyczny podręcznik techniczny, gruby jak książka telefoniczna Manhattanu, oprawny w czarny plastik. Eli Glinn podjechał już swoim wózkiem do stołu. Skinął bez słowa do D'Agosty i wskazał mu wolne krzesło.

Kiedy D'Agosta usiadł, drzwi na drugim końcu pokoju otwały się i pojawił się w nich Pendergast. Jego rany zostały starannie opatrzone, a włosy, jeszcze wilgotne po niedawnym myciu, zaczesano ku tyłowi. Był ubrany jak na niego dość nietypowo – w biały sweter z golfem i szare wełniane spodnie. Jako że zwykle nosił posępny czarny garnitur, ten strój wyglądał niemal jak przebranie.

D'Agosta podniósł się natychmiast.

Pendergast odnalazł jego spojrzenie i po chwili uśmiechnął się. – Obawiam się, że nie miałem dotąd okazji podziękować ci za uwolnienie mnie z więzienia.

– Wiesz, że to nie jest konieczne – odparł D'Agosta i zaczerwienił się.

– A jednak zrobię to. Bardzo ci dziękuję, mój drogi Vincencie –

rzekł półgłosem, ujmując dłoń D'Agosty w swoją i lekko nią potrząsając.

D'Agosta czuł się dziwnie poruszony tym gestem ze strony mężczyzny, dla którego nawet najprostsze przejawy czystej ludzkiej kurtuazji stanowiły problem nie do przebrnięcia.

– Proszę, niech pan spocznie – rzekł Glinn beznamiętnym głosem pozbawionym jakichkolwiek ludzkich uczuć, który tak bardzo drażnił D'Agostę podczas ich pierwszego spotkania.

Usiadł. Pendergast zajął miejsce naprzeciw niego, trochę sztywno, jak stwierdził D'Agosta, lecz nadal z typową dla niego kocią zwinnością i gracją.

– Mam również olbrzymi dług wdzięczności względem pana, panie Glinn – ciągnął Pendergast. – Wielce udana operacja.

Glinn lekko skinął głową.

– Choć głęboko żałuję, że musiałem w związku z tym zabić pana Lacarrę.

– Jak sam pan wie – odparł Glinn – nie było innej możliwości. Musiał pan zabić jednego z osadzonych, aby zająć jego miejsce w worku na zwłoki i w ten sposób wydostać się z więzienia, a ów osadzony musiał spędzać czas wolny na placu ćwiczeń numer cztery, miejscu wręcz idealnym do przeprowadzenia z góry skazanej na porażkę próby ucieczki. Mieliśmy szczęście, jeżeli mogę się tak wyrazić. Udało się nam zidentyfikować jednego z osadzonych odbywających ćwiczenia na placu numer cztery człowieka tak bezdusznego i do cna przesiąkniętego złem, że niektórzy powiedzieliby, iż zasłużył na śmierć. Człowieka, który zamęczył troje dzieci na śmierć na oczach ich matki. Wdarcie się tło bazy danych Departamentu Sprawiedliwości i zmodyfikowanie informacji na temat Lacarry tak, by wynikało z nich, że to pan go aresztował – dzięki czemu zastawiliśmy pułapkę na Coffeya – było dziecinną błahostką.

Na koniec dodam tylko, że został pan zmuszony do zabicia tego człowieka, zrobił pan to w obronie własnej.

– Żadne gierki słowne nie zmienią faktu, że było to morderstwo z premedytacją.

– Poniekąd ma pan rację. Ale jak sam pan wie, jego śmierć była konieczna, by ocalić wiele, może nawet bardzo wiele innych ludzkich istnień. Nasze przewidywania wykazały zresztą, że jego apelacja w sprawie uchylenia wyroku śmierci i tak zostałaby odrzucona.

Pendergast opuścił głowę w milczeniu.

– A teraz, panie Pendergast, odłóżmy na bok trywialne dylematy etyczne. Musimy zająć się pilniejszymi sprawami związanymi z pańskim bratem. Przypuszczam, że odkąd trafił pan do izolatki w Herkmoor, nie dotarły do pana żadne wieści ze świata zewnętrznego?

– Niestety nie.

– Wobec tego na pewno zdziwi się pan, gdy powiem, że pański brat zniszczył wszystkie brylanty skradzione z muzeum.

D'Agosta zauważył, że Pendergast wyraźnie zeszywniał.

– Diogenes rozbił je w proch, po czym zwrócił je w tej postaci do muzeum.

Po krótkiej chwili Pendergast odezwał się. – I znów jego poczynania są dla mnie kompletnie nieprzewidywalne i niezrozumiałe.

– Jeżeli to pana pocieszy, przyznam, że my również byliśmy tym zaskoczeni. To oznacza, że nasze przypuszczenia w związku z nim były błędne. Sądziliśmy, że gdy nie udało mu się zdobyć Serca Lucyfera, jedyne brylantu, na którym naprawdę mu zależało, pański brat zaszyje się gdzieś w jednej ze swoich kryjówek, aby lizać rany i planować kolejne posunięcia. Ale tak się nie stało.

Do rozmowy włączył się Krasner, jego wesoły ton silnie

kontrastował z monotonnym głosem Glinna. – Unicestwiając brylanty, na których zdobycie poświęcił wiele lat, o czym świadczył błyskotliwy plan ich kradzieży, brylanty, których pragnął i potrzebował zarazem, Diogenes zniszczył również część siebie. Było to swego rodzaju samobójstwo. Oddał się dobrowolnie we władanie swoich demonów.

– Kiedy dowiedzieliśmy się, co się stało z brylantami – ciągnął Glinn – uświadomiliśmy sobie, że opracowany przez nas wstępny profil psychologiczny był zaskakująco niedokładny i niepełny. Dlatego powtórzyliśmy go, ponownie poddając analizie istniejące dane i gromadząc dodatkowe informacje. Oto rezultat. – Wskazał ręką gruby wolumin. – Oszczędzę panu szczegółów. Wszystko sprowadza się do jednego.

– To znaczy?

– Przystępstwo doskonałe, o którym wspomniał Diogenes, to z pewnością nie kradzież brylantów z muzeum. Ani to, w jaki sposób potraktował pana, wrabiając w popełnione przez siebie zbrodnie. Nie potrafimy stwierdzić, co było jego pierwotnym celem. Jedno nie ulega wątpliwości. Zaplanowane przez niego przestępstwo doskonałe dopiero ma się wydarzyć.

– A data w liście?

– To jeszcze jedno kłamstwo lub może raczej dywersja. Kradzież brylantów była częścią planu, lecz ich zniszczenie wydaje się stanowić przykład spontanicznego zrywu. To nie zmienia faktu, że ten łańcuch zbrodni został wyjątkowo starannie zaplanowany, aby dać panu zajęcie, sprowadzić na fałszywy trop. Diogenes cały czas wyprzedza pańskie posunięcia. Muszę przyznać, że głębia i złożoność planu pańskiego brata są doprawdy zatrważające.

– Podobnie jak planowane przez niego przestępstwa – odparł Pendergast oschle. – Czy wie pan, kiedy zostanie popełnione albo na czym może polegać?

– Nie, ale wszystko wskazuje na to, że stanie się to już niebawem, jutro. A może nawet jeszcze tej nocy. Stąd konieczność natychmiastowego wyciągnięcia pana z Herkmoor.

Pendergast milczał przez chwilę. – Nie rozumiem, jak mogę w czymkolwiek pomóc – powiedział z nieskrywanym rozgoryczeniem. – Jak sam pan widzi, mylę się na każdym kroku.

– Agencie Pendergast, jest pan jedyną osobą, która może pomóc nam w tej sytuacji. I doskonale pan wie w jaki sposób.

Kiedy Pendergast nie odpowiedział od razu, Glinn mówił dalej. – Mieliśmy nadzieję, że nasz profil psychologiczny będzie miał moc przewidywania, że podsunie nam pan jakiś pomysł, co może stanowić ostateczny cel realizowanego przez Diogenesa wielkiego planu. I w pewnym sensie tak się stało... choć nie do końca. Wiemy, że powoduje nim nad wyraz silne poczucie krzywdy. Czuje się rozżalony z powodu tego, co go spotkało. Sądzymy, że zaplanowane przez niego przestępstwo doskonałe ma na celu popełnienie podobnego czynu w stosunku do większej liczby osób.

– Zgadza się – wtrącił Krasner. – Pański brat chce uogólnić tę krzywdę, ujawnić publicznie, czego doświadczył, i zmusić innych, by podzielili jego ból.

Glinn nachylił się nad stołem i spojrzał na Pendergasta. – Poza tym wiemy coś jeszcze. To pan jest odpowiedzialny za cierpienia, jakich doświadczył pański brat, a w każdym razie on tak to postrzega.

– To jakiś absurd – rzekł Pendergast.

– Przed laty pomiędzy panem a pańskim bratem doszło do jakiegoś bliżej nieokreślonego konfliktu, czegoś tak strasznego, że do reszty spaczyło jego i tak mocno już chwiejny umysł i dało początek wydarzeniom, które rozgrywają się obecnie. Naszej analizie brak najwyraźniej kluczowej informacji: co zaszło między panem a Diogenesem. Pamięć o tych wypadkach zamknięta jest tutaj. – Glinn

wskazał na głowę Pendergasta.

– Już to przerabialiśmy – odrzekł sztywno Pendergast. – Opowiedziałem wszystko, co było naprawdę ważne i co dotyczyło mnie i mojego brata. Podałem się nawet dość osobliwej sesji z udziałem tu obecnego doktora Krasnera, lecz nie przyniosła ona żadnego rezultatu. Nie było żadnych utajonych okrutnych czynów. Musiałbym o tym pamiętać. Mam pamięć fotograficzną.

– Pan wybaczy, że się z nim nie zgodzę, ale to wydarzenie musiało mieć miejsce. Nie ma innej możliwości. Nie ma innego wytłumaczenia.

– Wobec tego bardzo mi przykro. Bo nawet jeśli ma pan rację, nie przypominam sobie żadnego takiego zdarzenia i nie istnieje sposób, abym mógł wydobyć je z pamięci. Już raz pan próbował. Bez powodzenia.

Glinn złączył czubki palców obu dłoni i wlepił w nie wzrok. Przez chwilę w pokoju panowała kompletna cisza.

– Sądzę, że jest pewien sposób – rzekł, wpatrując się w swoje ręce. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Glinn ponownie uniósł głowę.

– Był pan szkolony w pewnej pradawnej sztuce zawierającej w sobie tajemną, mistyczną i filozoficzną wiedzę, praktykowanej przez niewielki odłam mnichów z zakonu w Bhutanie i Tybecie. Jedną z dziedzin tej sztuki jest rozwój duchowy. Drugą trening fizyczny – skomplikowane serie ceremonialnych ruchów przypominających kata w karate shotokan. Trzecią jest rozwój intelektualny: odmiana medytacji, osiągnięcie przez adepta głębokiego skupienia pomagającego w korzystaniu z pełnego potencjału ludzkiego umysłu. Mam tu na myśli sekretne rytuały dzogchen i jeszcze bardziej egzotyczne, o wiele mniej znane ćwiczenia Chongg Ran.

– Jak pan zdobył te informacje? – zapytał Pendergast głosem tak

lodowatym, że D'Agosta poczuł, iż krew ścina mu się w żyłach.

– Agencie Pendergast, bardzo proszę. Pozyskiwanie informacji to nasza specjalność. Tym się przede wszystkim zajmujemy. Usiłując dowiedzieć się czegoś więcej na pana temat – aby móc lepiej zrozumieć pańskiego brata – rozmawialiśmy z wieloma ludźmi. Między innymi z Cornelią Delamare Pendergast, pańską stryjeczną babką. Obecne miejsce pobytu: Szpital Mount Mercy, zakład zamknięty dla psychicznie chorych przestępców. Nie zapomnieliśmy też o pańskiej młodej współpracownicy, pannie Corrie Swanson odbywającej naukę w Phillips Exeter Academy. Była oporną rozmówczynią, ale w końcu dowiedzieliśmy się tego, o co nam chodziło.

Glinn przyglądał się Pendergastowi nieodgadzionym wzrokiem jak Sfinks. Pendergast odnalazł jego spojrzenie, blade kocie oczy prawie nie mrugały. Napięcie w sali konferencyjnej zaczęło coraz bardziej narastać; D'Agosta poczuł, że jeżą mu się włoski na przedramionach.

Wreszcie Pendergast przemówił: – Ten wgląd w moje prywatne życie znacznie wykracza poza ramy przyjętego przez pana zlecenia.

Glinn nie odpowiedział.

– Wykorzystuję ścieżkę pamięci absolutnie bezosobowo, jako narzędzie pracy eksperta w celu odtworzenia sceny zbrodni albo jakiegoś historycznego wydarzenia. To wszystko. Nie miałyby ona żadnej wartości w przypadku takiej jak ta... sprawy natury osobistej.

– Nie miałyby to żadnej wartości? – W głosie Glinna pojawiła się sceptyczna nuta.

– Co więcej, jest to bardzo trudne ćwiczenie. Próba zastosowania go w tym przypadku mijałaby się z celem. Tak jak w przypadku tej małej gierki, w którą próbował grać ze mną doktor Krasner.

Glinn ponownie wychylił się do przodu na swoim wózku inwalidzkim; przez cały czas wpatrywał się w Pendergasta. Kiedy

znowu się odezwał, w jego głosie dało się wyczuć nagłą ton.

– Panie Pendergast, czy możliwe jest, że to samo wydarzenie, które tak straszliwie odmieniło pańskiego brata, zmieniając go w potwora, naznaczyło również pana? Czy możliwe jest, że odgrodził się pan od przeszłości murem tak wysokim i grubym, że po prostu nie pamięta pan tego, co się wtedy stało?

– Panie Glinn...

– Proszę odpowiedzieć – rzekł Glinn; jego głos nagle przybrał na sile. – Czy to jest możliwe?

Pendergast spojrzał na niego, jego szare oczy rozbliły się. – Przypuszczam, że tak, choć prawdopodobieństwo wydaje się nikłe.

– Skoro to jest możliwe i jeśli owo wspomnienie żyje i mogłoby pomóc nam odkryć ostatni brakujący element tej złożonej układanki i jeśli dzięki temu moglibyśmy ocalić ludzkie życie i pokonać pańskiego brata, czy nie warto przynajmniej spróbować?

Dwaj mężczyźni przez blisko minutę patrzyli sobie nawzajem w oczy, ale dla D'Agosty te sekundy zdawały się trwać całą wieczność. Wreszcie Pendergast spuścił wzrok. Jego ramiona wyraźnie obwisły. Pokiwał głową bez słowa.

– Wobec tego róbmy, co do nas należy – ciągnął Glinn. – Czego panu potrzeba?

Pendergast milczał przez chwilę. Wreszcie otrząsnął się z krótkotrwałego odrętwienia. – Odrobiny prywatności – odrzekł.

– Czy wystarczy gabinet Berggasse?

– Tak.

Pendergast oparł dłonie na podłokietnikach fotela i podniósł się płynnym energicznym ruchem. Nie spojrzawszy na żadną z osób znajdujących się w sali, odwrócił się i ruszył w kierunku pokoju, z którego niedawno wyszedł.

– Agencie Pendergast...? – rzucił Glinn.

Pendergast odwrócił się lekko, zaciskając dłoń na klamce.

– Wiem, jak trudne to będzie dla pana doświadczenie. Ale nie czas teraz na półśrodki. Nie można się już wycofać. Nie wolno panu zrejterować. Czymkolwiek to jest, trzeba stawić temu czoło i zmierzyć się z tym raz na zawsze. Rozumiemy się?

Pendergast pokiwał głową.

– Wobec tego życzę powodzenia.

Na ustach agenta pojawił się ledwie dostrzegalny lodowaty uśmiech. Chwilę potem bez słowa otworzył drzwi do gabinetu i zniknął w jego wnętrzu.

Kapitan Laura Hayward stanęła po lewej stronie u wejścia do Sali Egipskiej, popatrując z powątpiewaniem na zebranych dokoła gości. Miała na sobie ciemny kostium, by lepiej wtopić się w tłum, a jedyną oznaką pełnionej przez nią funkcji były przypięte do klapy małe złote kapitańskie baretki. Rewolwer służbowy Smith & Wesson kaliber 38 tkwił w kaburze pod marynarką.

To, co ujrzała, było niczym scena wyjęta żywcem z podręcznika dla pracowników ochrony. Jej ludzie, zarówno mundurowi, jak i po cywilnemu, stali na swoich stanowiskach. Byli najlepszymi z najlepszych, prawdziwa chluba Nowego Jorku. Dostrzec można było również strażników muzeum, którzy celowo bardziej rzucali się w oczy, zwiększając tym samym psychologicznie poczucie bezpieczeństwa. Manetti jak dotąd nie próbował uchylać się od współpracy. Pozostałą część muzeum, choć nie bez pewnych trudności, zabezpieczono. Hayward rozpatrzyła w myślach dziesiątki scenariuszy potencjalnych zagrożeń, opracowując skrupulatne plany rozprawienia się z każdym z nich, nawet z tymi najmniej prawdopodobnymi w rodzaju pojawienia się zamachowca samobójcy, pożarów, awarii systemu bezpieczeństwa, zasilania lub głównego komputera.

Jedynym słabym punktem był sam grobowiec – miał tylko jedno wyjście. Niemniej było ono spore, a na żądanie szefa nowojorskiej

straży pożarnej grobowiec i wszystko, co się w nim znajdowało, zostało specjalnie zabezpieczone na wypadek pożaru. Ona sama upewniła się, że drzwi do grobowca można było zamknąć lub otworzyć tak z zewnątrz, jak i od środka zarówno ręcznie, jak elektronicznie, nawet w przypadku bardzo poważnej awarii zasilania. Weszła do pomieszczenia kontrolnego tuż obok grobowca i sprawdziła funkcjonowanie programu obsługującego otwieranie i zamykanie drzwi do grobowca.

Zespoły toksykologów przeprowadziły nie jedno, nie dwa, ale trzy skrupulatne badania, wyniki były jednoznacznie negatywne. I oto stała teraz, lustrując wzrokiem tłum, zadając sobie w myślach pytanie: Co mogłoby pójść nie tak?

Jej wewnętrzny głos odpowiedział głośno i wyraźnie: nic. Ale przeczucie mówiło coś całkiem innego. Niemal skręcało ją z niepokoju. To było irracjonalne i bezsensowne. Znowu zdała się na wewnętrzny instykt zawodowy, usiłując odkryć źródło owych lęków. Jak zawsze w jej myślach niemal natychmiast powstała kolejna lista. Tym razem dotyczyła wyłącznie Diogenesa Pendergasta.

Diogenes żył.

To on wprowadził Violę Maskelene. To on zaatakował Margo.

To on ukradł kolekcję brylantów, a następnie ją zniszczył. Prawdopodobnie to on był odpowiedzialny za przynajmniej niektóre z zabójstw przypisywanych Pendergastowi.

Spędził wiele czasu w muzeum, posługując się nieznaną dotąd tożsamością, być może podszywa się pod jednego z kuratorów.

Obaj sprawcy – Lipper i Wicherly – byli zatrudnieni przy pracach nad grobowcem Senefa i obaj nagle popadli w obłęd wkrótce po tym, jak weszli do środka. Mimo to drobiazgowe badanie wnętrza grobowca i całej sali nie wykazało obecności jakichkolwiek zaburzeń elektrycznych ani niczego, co mogłoby spowodować psychozę i urazy

mózgu. Czy był za to odpowiedzialny Diogenes? Co on kombinował, u licha? Niemal wbrew sobie powróciła myślami do rozmowy z D'Agostą w jej gabinecie przed kilkoma dniami. Wszystko, czego do tej pory dokonał, porwanie, kradzież brylantów, prowadzi do czegoś innego. Tak brzmiały jego słowa. Do czegoś większego, może nawet dużo większego.

Wzdrygnęła się. Jej przypuszczenia, pytania dotyczące Diogenesa były ze sobą powiązane. Musiało tak być. To stanowiło element planu.

Ale na czym polegał ów plan?

Hayward nie miała pojęcia. Ale instynkt podpowiadał jej, że to zdarzy się jeszcze tej nocy. To nie mógł być zbieg okoliczności. To było „coś innego”, o czym mówił D'Agosta.

Powiodła spojrzeniem po sali, nawiązując kontakt wzrokowy z każdym swoim człowiekiem po kolei. Równocześnie wychwyciła wiele znajomych twarzy: burmistrza, gubernatora i co najmniej dwóch senatorów. Było też wielu innych: prezesi największych spółek i korporacji, producenci z Hollywood, gwiazdy kina i telewizji. A także znane jej osoby należące do personelu muzeum: Collopy, Menzies, Nora Kelly.. Przeniosła wzrok na ekipę telewizji PBS rozstawioną w końcu sali i rejestrującą galę na żywo. Druga ekipa rozlokowała się wewnątrz zamkniętego jeszcze grobowca, gotowa nagrywać pierwszą grupę VIP-ów podczas zwiedzania wystawy i transmitować towarzyszące ekspozycji widowisko multimedialne.

Tak, to musiała być część planu. Cokolwiek się dziś wydarzy, stanie się na żywo, na oczach milionów widzów. A jeżeli Diogenes w swoim nowym wcieleniu pełnił funkcję kuratora albo kogoś wysoko postawionego wśród personelu muzeum, na pewno dysponował środkami i możliwościami, aby zrealizować każde ze swoich diabolicznych zamierzeń. Ale kim mógł być? Skrupulatna analiza akt

personalnych pracowników muzeum niczego nie wykazała. Gdyby tylko dysponowała zdjęciem Diogenesa mającym mniej niż dwadzieścia pięć lat, odciskiem palca albo fragmentem DNA...

Na czym polegał jego plan?

Zatrzymała wzrok na zamkniętych drzwiach do grobowca, stał była obecnie przesłonięta imitującym kamień wykończeniem, a przed nimi rozciągnięto szeroką czerwoną wstęgę.

Uczucie niepokoju narastało. A wraz z nim pojawiło się przeraźliwe poczucie izolacji. Uczyniła wszystko, co w jej mocy, aby nie dopuścić do otwarcia lub przynajmniej je opóźnić, ale nie zdołała nikogo przekonać. Nawet komisarz Rocker, jej dawny sojusznik, odwrócił się od niej.

Czy uroiła sobie to wszystko? Czy presja dawała jej o sobie znać? Gdyby tylko miała kogoś, kto podzielał jej zdanie, kto potrafiłby zrozumieć przeszłość i prawdziwą naturę Diogenesa. Kogoś takiego jak D'Agosta.

D'Agosta. Wyprzedzał ją na każdym etapie śledztwa. Wiedział, co się wydarzy, zanim to jeszcze się stało. Na długo przed wszystkimi innymi wiedział, z jakiego rodzaju przestępcą mają do czynienia. Upierał się, że Diogenes żyje, nawet gdy ona i wszyscy inni usiłowali udowodnić mu, że tamten umarł przed wieloma laty. Poza tym znał to muzeum. Znał je jak własną kieszeń. Brał udział w dochodzeniach prowadzonych i związanych z muzeum przez ostatnie kilka lat. Znał wszystko i wszystkich. Wiedział, kto rozdaje karty. Boże, gdyby tylko był tutaj teraz... Nie D'Agosta mężczyzna – to już przeszłość, ale D'Agosta policjant.

Wyrównała oddech. Nie ma sensu prosić o to, co niemożliwe. Zrobiła wszystko, co mogła. Nie pozostało jej już nic więcej, jak tylko czekać, obserwować i być w gotowości do natychmiastowego działania.

Ponownie zaczęła przyglądać się bacznie tłumowi, koncentrując się na poszczególnych twarzach w poszukiwaniu nienaturalnego napięcia, ekscytacji lub strachu.

Nagle osłupiała. Obok podium, przy grupie dygnitarzy stała wysoka kobieta, kobieta, którą rozpoznała. W jej umyśle natychmiast rozdzwonił się sygnał alarmowy. W wysiłkiem kontrolując głos, uniosła krótkofalówkę do ust i powiedziała: – Manetti, tu Hayward, słyszysz mnie?

– Słyszę.

– Czy dobrze widzę? Ta kobieta przy podium to Viola Maskelene. Chwila przerwy. – Tak, to ona.

Hayward przełknęła ślinę. – Co ona tu robi?

– Została wynajęta na miejsce tego egiptologa Wicherly’ego.

– Kiedy?

– Nie wiem. Parę dni temu.

– Kto ją wynajął?

– Wydział antropologii, jak sądzę.

– Czemu jej nazwiska nie było na liście gości?

Krótkie wahanie. – Nie jestem pewien. Może dlatego, że wynajęto ją dosłownie w ostatniej chwili.

Hayward chciała powiedzieć coś więcej. Miała ochotę zakląć na cały głos. Chciała zapytać, czemu nikt jej o tym nie powiedział. Ale na to było już za późno. Zamiast tego rzuciła krótko: – Rozumiem, bez odbioru.

Z opracowanego profilu wynika jasno, że Diogenes jeszcze nie skończył.

Cała gala otwarcia sprawiała wrażenie sprytnie zorganizowanej aranżacji, ale czemu miała ona służyć?

Słowa D’Agosty rozbrzmiewały jej w uszach niczym klakson. Coś większego, może nawet dużo większego. Jezu, potrzebowała

D'Agosty, i to już, teraz, zaraz. On znał odpowiedzi, których tak bardzo pragnęła. Wyjęła prywatny telefon i wybrała numer jego komórki. Bez odpowiedzi. Spojrzała na zegarek: 19.15. Wieczór był jeszcze wczesny. Gdyby tylko zdołała go odnaleźć i sprowadzić tutaj... Gdzie on się podziewał, u licha? Znów usłyszała w myślach jego słowa: „Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Czy słyszałaś o firmie zajmującej się opracowywaniem profili osobowych na zamówienie, noszącej nazwę Efektywne Rozwiązania Inżynieryjne i mieszczącej się przy 12 Małej Zachodniej, kierowanej przez niejakiego Eliego Glinna? Ostatnio spędzam tam sporo czasu, wykonując dla nich pewne drobne fuchy..”.

Szansę, że go tam znajdzie, były nieduże, ale lepsze to niż nic. Na pewno lepsze niż czekanie tutaj i zamartwianie się rzeczami, na które nie miała wpływu. Przy odrobinie szczęścia zastanie go w tamtej firmie i ściągnie tutaj w górę czterdzieści minut.

Znów sięgnęła po krótkofalówkę. – Poruczniku Gault?

– Słucham?

– Muszę na krótko opuścić muzeum. Od tej pory wy tu dowodzicie.

– Czy mogę spytać...?

– Muszę z kimś pomówić. Gdyby wydarzyło się coś niezwykłego, cokolwiek, macie moje pełnomocnictwo, by zamknąć całą tę imprezę. Z użyciem wszelkich niezbędnych środków. Rozumiemy się?

– Tak jest, pani kapitan.

Schowała krótkofalówkę do kieszeni i szybkim krokiem wyszła z sali.

Pendergast stał w bezruchu w niewielkim gabinecie, opierając się plecami o drzwi. Otaksował wzrokiem bogaty wystrój: kozetkę nakrytą perską narzutą, maski afrykańskie, biurko, regał z książkami, osobliwe *objets d'art*. Wziął głęboki oddech, aby się wyciszyć. Z olbrzymim wysiłkiem doczłapał do kozetki i powoli się na niej położył, splatając dłonie na piersi, krzyżując nogi w kostkach i zamykając oczy. Podczas swej długoletniej kariery zawodowej Pendergast wielokrotnie znajdował się w trudnej i niebezpiecznej dla niego sytuacji. A jednak żadna z nich nie mogła równać się z tym, czemu miał stawić czoło już wkrótce tu, w tym pokoju.

Rozpoczął od serii prostych ćwiczeń fizycznych. Spowolnił oddech i rytm serca. Odciął się od wszystkich zewnętrznych bodźców: szumu z rur grzewczych, słabej woni środków do polerowania mebli, naporu kozetki, na której leżał, i świadomości własnej cielesności. Wreszcie, kiedy jego oddech był ledwie wyczuwalny, a tętno zwolniło do czterdziestu uderzeń na minutę, pozwolił, by w jego umyśle zmaterializowała się szachownica. Jego dłonie zawisły nad mocno już zniszczonymi pionami i figurami. Biały pionek przesunął się do przodu. W odpowiedzi miejsce na szachownicy zmienił pionek czarny. Gra trwała aż do zaistnienia sytuacji patowej. Rozpoczęła się kolejna rozgrywka zakończona w ten sam sposób. Potem następna i jeszcze jedna, lecz bez spodziewanego rezultatu. Pałac wspomnień

Pendergasta, skarbnica wiedzy i informacji, gdzie skrywał swe najbardziej osobiste sekrety i gdzie dokonywał najgłębszych medytacji oraz introspekcji, nie zmaterializował się w jego umyśle.

Pendergast wybrał mentalnie inną grę, przerzucając się z szachów na brydża. Tym razem zamiast dwóch graczy przeciwko sobie nawzajem zdecydował się na czterech, po dwie pary partnerów, z nieskończonym bogactwem strategii, sygnałów, zarówno wychwyconych, jak i przeoczonych, i partiami, których wynik był w stanie przewidzieć. Bardzo szybko rozegrał jednego, a potem drugiego robra. Pałac pamięci wciąż się nie pojawiał. Pozostawał poza zasięgiem, zmienny, nierzeczywisty.

Pendergast czekał, spowalniając rytm serca i oddechu jeszcze bardziej. Nigdy dotąd nic takiego mu się nie przytrafiło. Rozpoczynając jedno z najtrudniejszych ćwiczeń Chongg Ran, mentalnie odłączył świadomość od ciała i wzniósł się ponad nie, unosząc się w przestrzeni bezcielesny. Nie otwierając oczu, odtworzył wirtualny układ pokoju, w którym się znajdował. Wyobraził sobie każdy z przedmiotów na odpowiednim dla niego miejscu, aż cały gabinet w najdrobniejszych szczegółach zmaterializował się w jego umyśle. Kontemplował go przez kilka chwil. A następnie kawałek po kawałku zaczął usuwać meble, dywany, tapetę, aż wszystko ponownie znikło. Nie poprzestał na tym jednak. Teraz z kolei zabrał się do usuwania całego tętniącego życiem miasta otaczającego ten gabinet, czyniąc to sukcesywnie, jeden element po drugim, dom po domu, przecznica po przecznicy intelektualna pustka rozprzestrzeniała się błyskawicznie we wszystkich kierunkach. Potem przyszła kolej na stany, państwa, świat, wszechświat, wszystko roztopiło się w bezdennej czerni.

W ciągu kilku minut wszystko zniknęło. Pozostał jedynie Pendergast unoszący się wśród bezkresnej pustki. Następnie

mentalnie sprawił, że zniknęło także jego ciało pochłonięte przez czerń. Wszechświat był teraz całkiem pusty, odarty z wszystkich myśli, bólu i wspomnień, z najdrobniejszych reminiscencji cielesnego istnienia. Osiągnął stan zwany sunyata: przez chwilę – a może to trwało wieczność – nawet czas przestał istnieć.

W końcu w jego umyśle zaczęła materializować się stara rezydencja przy Dauphine Street: Maison de la Rochenoire, dom, w którym dorastali on i Diogenes. Pendergast stał na brukowanej ulicy przed budynkiem, patrząc przez wysokie ogrodzenie z kutego żelaza, na mansardowe dachy posesji, wykuszowe okna, balkon na poddaszu, blanki i kamienne wieżyczki. Masywne mury skrywały rozległe wewnętrzne parterowe ogrody.

Pendergast otworzył w myślach olbrzymią, żelazną bramę i wszedł na frontowy podjazd, przystając przy portyku. Bielone dwuskrzydłowe drzwi otwały się przed nim, ukazując rozległe foyer. Po chwili nietypowego jak dla niego niezdecydowania przestąpił próg i znalazł się w wyłożonym marmurową posadzką holu. Wysoko w górze, ze sklepienia trompe l'oeil zwieszał się ogromny, błyszczący, kryształowy żyrandol. Na wprost niego podwójne szerokie schody z misternie rzeźbioną balustradą wznosiły się łagodnym łukiem w stronę galerii na piętrze. Po lewej zamknięte drzwi prowadziły do nisko sklepionej sali wystawowej; za tymi po prawej, otwartymi dostrzec można było tonącą w półmroku wyłożoną przepiękną boazerią bibliotekę.

Choć prawdziwa rodowa posiadłość została puszczona z dymem przez rozjuszoną nowoorleańską tłuszcę wiele lat temu, Pendergast od tej pory przechowywał w pamięci jej wspomnienie: stanowiła ona intelektualny artefakt, idealny i dopracowany w najdrobniejszych szczegółach, pełniła funkcję magazynu, gdzie przechowywał nie tylko swoje doświadczenia i spostrzeżenia, lecz również niezliczone sekrety

rodzinne. Zazwyczaj wejście do tego pałacu było dla niego kojącym doświadczeniem: każda szuflada w regałach we wszystkich pokojach zawierała wspomnienie jakiegoś wydarzenia lub czyjaś osobistą refleksję na temat historii lub nauki do wzięcia pod rozwagę w wolnej chwili. Przeszedł przez hol i wspinał się po schodach na szeroki podest pierwszego piętra. Przystanął tam na chwilę, po czym ruszył w głąb korytarza, którego różowe ściany ozdobione były gobelinami; tu i ówdzie po obu stronach dostrzec można było marmurowe wnęki albo złote ramy olejnych portretów. Dopiero teraz dotarł do niego zapach rezydencji – połączenie woni starych tkanin, skóry, pasty do polerowania drewna, perfum jego matki i tytoniu Latakia, ulubionej marki ojca.

W połowie długości tego korytarza znajdowały się masywne dębowe drzwi do jego pokoju. Ale nie dotarł tak daleko. Przystanął przed bliższymi drzwiami, drzwiami, które z jakiegoś powodu zostały zabezpieczone ołowiem i pokryte arkuszami młotkowanej mosiężnej blachy, której krawędzie przybito gwoździami do framugi. To był pokój jego brata Diogenesa. Sam Pendergast zapieczętował mentalnie te drzwi wiele lat temu, zamykając pokój na zawsze wewnątrz pałacu pamięci. Był to jedyny pokój, którego progę, jak sobie obiecał, nie miał już nigdy przekroczyć.

Jeśli jednak Eli Glinn miał rację, będzie musiał tam wejść. Nie miał wyboru.

Kiedy Pendergast stał przed drzwiami pełen wahania, zdał sobie sprawę, że jego oddech i puls stają się coraz szybsze, ich tempo zwiększało się z każdą chwilą. Ściany rezydencji wokół niego zmętniały, załśniły i zafalowały, po czym nagle zaczęły znikać jak żarnik w żarówce pod wpływem zbyt silnego prądu. Tracił swą misterną mentalną konstrukcję. Nadludzkiem wysiłkiem spróbował raz jeszcze się skupić, wyciszyć umysł i ustabilizować obraz wokół niego.

Musiał działać szybko: ścieżka pamięci mogła w każdej chwili zatrzeć się pod wpływem niepohamowanej mocy jego emocji. Nie był w stanie przedłużyć niezbędnego bardzo głębokiego skupienia w nieskończoność. Zażyczył sobie mentalnie, aby w jego dłoniach pojawił się łom, dłuto i drewniany młotek. Wcisnął końcówkę łomu pod jeden z rogów arkusza mosiężnej blachy i silnym szarpnięciem oderwał ją od framugi, powtarzając tę czynność jeszcze trzykrotnie, aby usunąć całą blachę blokującą dostęp do drzwi. Upuściwszy łom, sięgnął po dłuto i młotek, po czym zaczął odbijać miękkim ołowem wpuszczony w szczeliny między drzwiami a framugą, odbijając i wydłubując go kawałek po kawałku. Pracował w pośpiechu, usiłując zatracić się w tej czynności i nie myśleć o niczym innym.

Nie minęło kilka minut, a na dywanie zaroilo się od odłupanych kawałków ołowiu. Teraz jedyną przeszkodą dzielącą go od tego, co znajdowało się za drzwiami, był masywny zamek. Pendergast postąpił naprzód i nacisnął klamkę. Zazwyczaj spróbowałby sforsować zamek z pomocą zestawu narzędzi, które zawsze nosił przy sobie. Jednak nie było na to czasu, nawet najkrótsza przerwa mogła okazać się fatalna w skutkach. Cofnął się, uniósł prawą stopę i mierząc w punkt poniżej zamka, kopnął z całej siły. Drzwi otworzyły się i wpadły do wnętrza pokoju, z hukiem uderzając w ścianę. Pendergast stanął w progu, dysząc ciężko. Miał przed sobą pokój swego brata Diogenesa.

Jak na razie niczego nie było widać. Łagodne światło z korytarza nie rozpraszało panującego wewnątrz bezgranicznego półmroku. Za drzwiami rozciągała się nieprzenikniona czerń. Pendergast odrzucił dłuto i drewniany młotek. Jedna myśl wystarczyła, by w jego dłoni pojawiła się latarka. Włączył ją i poświecił w głąb pokoju; wydawało się, że panujący tam mrok pochłania całe światło, jakie docierało do środka. Pendergast spróbował zrobić krok naprzód, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Stał w progu jak sparaliżowany,

zdawałoby się, przez całą wieczność. Cały dom zaczął się trząść i dygotać, ściany nagle wyparowały i uświadomił sobie, że ponownie traci swój pałac wspomnień. Wiedział, że jeśli teraz przegra, już nigdy tu nie wróci. To pewne.

Wykorzystując ostatnie rezerwy siły woli, które jeszcze mu pozostały, w tej najtrudniejszej w jego życiu konfrontacji, kiedy potrzebował wyciszenia, skupienia i odwagi, Pendergast zmusił się, by przestąpić próg. Zatrzymał się tuż za nim, przedwcześnie wyczerpany, świecąc latarką to w lewo, to w prawo i wpatrując się w otaczającą go ciemność. Nie był to pokój, który spodziewał się zobaczyć. Znalazł się u szczytu wąskich, krętych, kamiennych schodów wiodących hen, w głąb ziemi pośród ścian z litej skały.

Na ten widok w umyśle Pendergasta przebudziło się coś mrocznego: okrutna bestia, która drzemała przez trzydzieści lat z okładem. Przez chwilę poczuł, że traci kontrolę, jego wola zaczęła słabnąć. Ściany zadrżały niczym płomień świecy pod wpływem wiatru.

Zebrał się w sobie. Nie miał wyboru, musiał iść dalej. Nie pozostało mu nic innego. Ścisnąwszy mocno latarkę w dłoni, zaczął schodzić po zmurszałych, śliskich, kamiennych stopniach, coraz dalej i dalej, w głąb czeluści wstydu, żalu i nieskończonej zgrozy.

Pendergast zszedł po schodach i poczuł woń piwnic: dławiący smród zgnilizny, pleśni, rdzewiejącego żelaza i śmierci. Schody kończyły się ciemnym tunelem. Rezydencja jako jedna z niewielu w Nowym Orleanie mogła poszczycić się podziemnymi korytarzami, żmudnym i kosztownym dziełem mnichów, którzy wznieśli całą tę budowlę i wyłożyli ściany arkuszami młotkowanego ołowiu i starannie dopasowanych kamieni, by przygotować piwniczki, gdzie miały leżakować wytwarzane przez nich wina i nalewki.

Rodzina Pendergastów wykorzystała to miejsce w zgoła innym celu.

Pendergast mentalnie zszedł do tunelu, na którego końcu znajdowało się rozległe, niskie, otwarte pomieszczenie z podłogiem będącym po części klepiskiem, po części posadzką z kamieni, i żebrowanym sklepieniem. Na ścianach dostrzec można było osad z saletry i słabo widoczne marmurowe krypty misternie rzeźbione w wiktoriańskim i edwardiańskim stylu, wypełniające wolną przestrzeń, oddzielone jedna od drugiej wąskimi ceglanyimi chodnikami.

Nagle wyczuł w tym pomieszczeniu czyjąś obecność – zauważył nieduży cień. Zaraz potem usłyszał, jak cień przemawia głosem siedmiolatka. – Na pewno chcesz iść dalej?

Pendergast przeżył kolejny wstrząs, gdy zorientował się, że w tym mrocznym wnętrzu była jeszcze druga postać: wyższa, szczuplejsza,

o jasnych, prawie białych włosach. Poczłł lodowaty dreszcz, który zmroził go do szpiku kości, bo oto patrzył na samego siebie w wieku dziewięciu lat. Usłyszał swój gładki dziecinny głosik mówiący: – A ty się nie boisz?

– Nie. Jasne, że nie – usłyszał w odpowiedzi. Ten dziarski zuchwały głos należał do jego brata Diogenesa.

– Wobec tego dobrze.

Pendergast patrzył, jak dwie mgliste postacie wędrują przez nekropolię ze świecami w dłoniach, wyższa szła przodem. Poczłł narastającą trwoęę. Nie pamiętał tego wszystkiego, a mimo to wiedział, że już wkrótce wydarzy się coś strasznego.

Rudowłosa postać zaczęła oglądać z uwagą rzeźbione zdobienia grobowca i wysokim czystym głosem odczytywać widniejące tam łacińskie inskrypcje. Obaj odczytywali łacińskie napisy z entuzjazmem. Diogenes, o czym Pendergast dobrze pamiętał, zawsze był lepszym uczniem, jeżeli chodziło o łacinę, nauczyciel uważał go wręcz za geniusza.

– Tu jest dziwny napis – rzekł starszy chłopiec. – Spójrz, Diogenesie.

Drobniejsza postać podeszła bliżej i przeczytała:

ERASMUS LONGCHAMPS PENDERGAST
1840-1932

De mortis aut bene aut nihil

– Znasz ten cytat?

– To z Horacego? – rzuciła młodsza postać. – O umarłych... eee... mów dobrze albo nie mów wcale.

Po krótkiej chwili starszy chłopiec rzekł protekcyjnym tonem: – Brawo, młodszy braciszku.

– Zastanawiam się – wtrącił Diogenes – o jakich epizodach ze

swego życia wolałby nigdy nie wspominać?

Pendergast przypomniał sobie, jak rywalizował z młodszym bratem w kwestii znajomości łaciny i zwykle przegrywał z kretesem.

Podeszli do wytwornej podwójnej krypty, sarkofagu w stylu rzymskim ozdobionego marmurową płytą z płaskorzeźbami w kształcie kobiety i mężczyzny z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach.

– Louisa de Nemours Prendregast. Henri Prendregast. *Nemo nisi mors* – przeczytał starszy chłopiec. – Zastanówmy się... To musi być: „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

Niższy chłopiec podszedł już do następnego sarkofagu. Przystanąwszy przy nim, odczytał na głos: – *Multa ferunt anni venientes commoda secum, Multa recedentes adimiunt.* – Uniósł wzrok. – Cóż, Aloysiusie, jak to rozumiesz?

Nastąpiła cisza, a potem padła odpowiedź, zawadiacka, lecz mimo to odrobinę niepewna. – „Wiele lat przychodzi, by dostarczyć nam przyjemności, wiele odchodzi, zubożając nas”.

Przekład został skwitowany sarkastycznym parsknięciem. – To nie ma sensu.

– Owszem ma.

– Wcale nie. Wiele lat odchodzi, zubożając nas? To jakaś bzdura. Ja uważam, że powinno to raczej brzmieć: Lata, kiedy przychodzą, przynoszą nam wiele radości. Gdy odchodzą... – Przerwał. – Co to znaczy adimiunt?

– Tak jak powiedziałem, zubożają nas – rzekł starszy chłopiec.

– Gdy odchodzą, zubożają nas – dokończył Diogenes. – Innymi słowy, kiedy jesteś młody, lata przynoszą ci wiele dobrego. Ale gdy się starzejesz, lata znów wszystko ci odbierają.

– Twoja wersja jest niewiele lepsza od mojej – rzucił Aloysius z rozdrażnieniem w głosie. Ruszył w stronę dalszej części nekropolii

wąskim przejściem między rzędami krypt, odczytując kolejne nazwiska i inskrypcje. Przy końcu ślepej uliczki przystanął przy marmurowych drzwiach wprawionych w ścianę i zabezpieczonych zardzewiałą metalową kratą. – Spójrzmy na ten grobowiec – powiedział.

Diogenes podszedł do niego i przyjrzał się wejściu przy blasku świecy. – A gdzie inskrypcja?

– Nie ma żadnej. Ale to jest krypta. Musi tu być wejście. Aloysius sięgnął obiema rękami i mocno pociągnął za kratę. Bez skutku. Szarpał, ciągnął i pchał, aż w końcu podniósł odłupany kawałek marmuru i zaczął uderzać nim w ścianę wokół zablokowanego wejścia. – Może jest pusta.

– Może jest przeznaczona dla nas – rzekł młodszy z chłopców z upiornym błyskiem w oczach.

– Tu jest pusta przestrzeń. – Aloysius ponownie zaczął stukać, raz jeszcze szarpnął za kratę, która nagle przy wtórze głośnego zgrzytu ustąpiła. Chłopcy stali przed nią jak wryci.

– Och, ależ cuchnie! – rzucił Diogenes, cofając się i zatykając nos. Teraz także Pendergast w głębi swej mentalnej konstrukcji poczuł nieopisany smród, odrażający jak fetor gnijącej, przezartej pleśnią wątroby. Przełknął ślinę; ściany jego pałacu wspomnień zafalowały, by po chwili odzyskać dawną trwałość.

Aloysius ze świecą w dłoni zajrzał do nowo otwartego pomieszczenia. To nie była krypta, lecz raczej wielki magazyn urządzony w głębszej części piwnic. Migoczące światło ukazywało całe mnóstwo dziwnych urządzeń z mosiądzu, drewna i szkła.

– Co tam jest? – zapytał Diogenes, podchodząc do brata z tyłu.

– Sam zobacz.

Diogenes zajrzał do środka. – Co to takiego?

– Magazyny – odparł z przekonaniem starszy brat, jakby to wiedział

na pewno.

– Wejdiesz tam?

– Oczywiście – Aloysius przestąpił próg i odwrócił się. – A ty nie idziesz?

– No... idę.

Pendergast obserwował ich spomiędzy głębokich cieni. Patrzył, jak wchodzi do środka.

Obaj chłopcy stanęli pośrodku pomieszczenia. Ołowiane ściany pokryte były białym nalotem. Wnętrze magazynu od podłogi aż po sufit wypełnione było różnymi przyrządami: pudłami z wymalowanymi na nich wykrzywionymi twarzami, starymi cylindrami, sznurami i przeżartymi przez mole szalami, zardzewiałymi łańcuchami i mosiężnymi pierścieniami, komódkami, lustrami, pelerynami i różdżkami. Wszystko pokryte było pajęczynami i grubą warstwą kurzu. Z jednej strony pod ścianą stała krzywa tablica w jaskrawych barwach, udekorowana fantazyjnymi zawijasami, parą wskazujących dłoni i innymi ozdobnikami typowymi dla XIX-wiecznych wesołych miasteczek.

Po powrocie z wielkich sal europejskich stolic
wielce szanowany i sławny mesmerysta
PROFESOR COMSTOCK PENDERGAST
przedstawia

WIELKIE WIDOWISKO TEATRALNE
ILUMINOWANĄ FANTASMAGORIĘ
magii, iluzji i prestidigitatorstwa

Pendergast stanął w cieniu swych wspomnień przepełniony uczuciem bezradności wobec nadciągającego koszmaru, obserwując rozgrywające się wydarzenia. Początkowo dwaj młodzi odkrywcy zachowywali się ostrożnie, blask ich świec rzucał wydłużone cienie pośród skrzyń i stosów dziwnych urządzeń.

– Czy wiesz, co to wszystko jest? – wyszeptał Aloysius.

– Co?

– Odnaleźliśmy całe wyposażenie magicznego widowiska stryjecznego pradziadka Comstocka.

– Kim jest stryjeczny pradziadek Comstock?

– To najślawniejszy magik w historii świata. To on uczył samego Houdiniego.

Aloysius dotknął jednej z komódek, sięgnął dłonią do klamki i ostrożnie wysunął szufladę; znajdowała się w niej para kajdanek. Wysunął kolejną, lecz ta jakby się zacięła i nagle puściła przy wtórze cichego puf! Z szuflady wyskoczyła para myszy i w pośpiechu pierzchła w mrok.

Aloysius podszedł do następnego eksponatu; młodszy brat szedł tuż za nim. Była to skrzynia przypominająca trumnę, ustawiona pionowo, z namalowanym na wieku krzyczącym mężczyzną, w którego ciele ziały liczne krwawe dziury. Otworzył ją przy akompaniamencie zgrzytu zardzewiałych zawiasów, ukazując wewnątrz najeżone ostrzami z kutego żelaza.

– Wygląda to raczej jak narzędzie tortur, a nie sprzęt magika – wtrącił Diogenes.

– Jest tu zaschnięta krew.

Diogenes przyjrzał się temu uważnie, strach tymczasowo został w nim stłumiony przez osobliwe zaciekawienie. Wreszcie cofnął się o krok.

– To tylko farba.

– Jesteś pewien?

– Na pierwszy rzut oka potrafię rozpoznać zaschniętą krew. Aloysius ruszył dalej. – Spójrz na to. – Wskazał na przedmiot w drugim końcu pomieszczenia. Była to olbrzymia skrzynia, większa od innych, wznosząca się od podłogi aż po sufit, wielkości małego

pokoju. Była pomalowana na złoto i czerwono, a jej przednią ścianę zdobił wizerunek uśmiechniętej twarzy demona. Wokół demona namalowano inne rzeczy – dłoń, przekrwione oko, palec – na szkarłatnym tle; przywodziły one na myśl oderwane części ciała unoszące się na grzbiecie krwawej fali. Ponad wyciętymi w bocznej ścianie drzwiami złoto-czarne litery układały się łukowato w napis:

WEJŚCIE DO PIEKŁA

– Gdyby to było moje przedstawienie – rzekł Aloysius – nadałbym mu wspanialszą nazwę w rodzaju: Bramy inferna. Wejście do piekła brzmi nużąco. Odwrócił się do Diogenesa. – Twoja kolej. Idziesz pierwszy.

– Jak na to wpadłeś?

– Ja wchodziłem pierwszy ostatnim razem.

– Możesz wejść pierwszy jeszcze raz.

– Nie – odrzekł Aloysius. – Nie chce mi się. – Oparł dłoń o drzwi i szturchnął Diogenesa łokciem.

– Nie otwieraj. Coś może się stać.

Aloysius uchylił drzwi, by ukazać tonące w półmroku ciasne wnętrze wyłożone czymś, co wyglądało jak czarny aksamit. W środku stała mosiężna drabinka znikająca w otworze przedzielającego skrzynię powyżej niskiego sztucznego sufitu.

– Mógłbym zmusić cię, abyś tam wszedł – ciągnął Aloysius – ale tego nie zrobię. Nie rzucę ci wyzwania i nie sprawdzę, czy masz dość odwagi, by je przyjąć. Nie wierzę w dziecięce gierki. Jeżeli chcesz tam wejść, to po prostu to zrobisz.

– A czemu ty tam nie wejdiesz?

– Przyznam szczerze, jestem trochę zdenerwowany.

Z narastającym wstydem i zażenowaniem Pendergast stwierdził, że już jako dziecko miał talent do psychologicznej perswazji i co więcej, potrafił go wykorzystać. Chciał zobaczyć, co było w środku, ale

zależało mu, aby to Diogenes wszedł tam pierwszy.

– Boisz się? – spytał Diogenes.

– Owszem tak. Więc jeśli mamy dowiedzieć się, co jest w środku, to tylko wówczas, jeśli ty wejdiesz tam jako pierwszy. Będę tuż za tobą, obiecuję.

– Nie chcę.

– Strach cię obleciał?

– Nie. – Drzenie w wysokim, piskliwym głosie mówiło coś innego. Pendergast z rozgoryczeniem stwierdził, że Diogenes, który miał zaledwie siedem lat, nie wiedział jeszcze, iż najbezpieczniejszym kłamstwem jest właśnie prawda.

– Wobec tego, co cię powstrzymuje?

– Ja... ee... odechciało mi się.

Aloysius parsknął drwiąco: – Ja przyznałem, że się boję. Jeżeli ty też się boisz, powiedz to, a wtedy wrócimy na górę i zapomnimy o wszystkim.

– Wcale się nie boję. To tylko jakiś głupi gabinet strachu. Pendergast patrzył z przerażeniem, jak jego dziecięcy sobowtór chwyta Diogenesa za ramiona. – No, to ruszaj! Śmiało.

– Nie dotykaj mnie!

Aloysius łagodnie, lecz zdecydowanie wepchnął go przez otwór do wnętrza skrzyni i stanął w progu, blokując wyjście. – Jak sam powiedziałaś, to tylko jakiś głupi gabinet strachu.

– Nie chcę tu zostać.

Obaj znajdowali się teraz w pierwszym pomieszczeniu w skrzyni, tak ciasnym, że z trudem się w nim mieścili. Z całą pewnością gabinet strachu był przeznaczony do przyjmowania osób dorosłych pojedynczo, a nie dwóch dorastających chłopców naraz.

– No, jazda, dzielny Diogenesie. Będę tuż za tobą.

Diogenes bez słowa zaczął piąć się po mosiężnej drabinie. Aloysius

podążał za nim. Pendergast patrzył, jak znikają w środku, a drzwi zamykają się za nimi automatycznie. Serce tak mocno tłukło mu się w piersi, że czuł, jakby miało lada chwila eksplodować. Ściany jego mentalnej konstrukcji zamigotały i zafalowały. To było prawie nie do zniesienia. Ale nie mógł się teraz zatrzymać. Miało wydarzyć się coś strasznego, ale nie wiedział co. Nie zdołał jak dotąd dotrzeć do tych starych, wypieranych od lat wspomnień.

W umyśle otworzył drzwi skrzyni i sam także wspinał się po mosiężnej drabince, wślizgując się do wąskiego przejścia powyżej, biegnącego poziomo i prowadzącego do niskiego pomieszczenia ponad fałszywym stropem, lecz poniżej górnej części skrzyni.

Dwaj chłopcy byli tuż przed nim, Diogenes nieco z przodu. Czołgał się w stronę okrągłego otworu w ścianie, przy drugim końcu tunelu. Dotarłszy do przejścia, Diogenes zatrzymał się.

– No, dalej – ponaglił go Aloysius.

Chłopiec obejrzał się przez ramię na starszego brata; w jego oczach pojawił się dziwny wyraz. Chwilę później Przeczłogał się przez otwór i znikł po drugiej stronie. Doczołgawszy się do przejścia, Aloysius przystanął i przy blasku świecy rozejrzał się dokoła. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że otaczające go ściany były oblepione przyklejonymi do nich szelakiem fotografiami.

– Nie idziesz? – dał się słyszeć cichy, przerażony i gniewny głos z ciemności po drugiej stronie przejścia. – Obiecałeś, że będziesz tuż za mną.

Pendergast patrzył na to i nagle poczuł, że zaczynają nim targać niepohamowane spazmatyczne dreszcze.

– Tak, tak, już idę.

Młody Aloysius podpełzł do okrągłego ciemnego otworu, zajrzał do środka, ale tam nie wszedł.

– Ej, co z tobą? Gdzie jesteś? – dobiegło z mroku zduszone wołanie.

I nagle: – Co się dzieje? Co to ma być? – Piskliwy chłopięcy krzyk przeciął półmrok niczym ostrze skalpela. Pendergast zauważył przez okrągły otwór wąskiego przejścia silne światło, spostrzegł, że podłoga odchyła się w dół, zobaczył, że Diogenes zsuwa się po niej i wpada do niewielkiego jasno oświetlonego pomieszczenia poniżej. Zaraz potem dał się słyszeć cichy warkot jak pomruk rozjuszonego zwierzęcia i w pomieszczeniu poniżej zaczęły się pojawiać przerażające obrazy. Potem nagle przy wtórze metalicznego brzęku otwór przejścia zamknął się i Pendergast nie mógł już zobaczyć, co działo się wewnątrz.

– Nie! – z pomieszczenia na dole dobiegł go rozpaczliwy krzyk Diogenesa – Niiieeeeeee!

I właśnie wtedy niespodziewanie Pendergast przypomniał sobie wszystko. Wspomnienie każdej upiornej sekundy najbardziej przerażającego doświadczenia w jego życiu powróciło w całej mrocznej doskonałości, dopracowane w najdrobniejszych szczegółach.

Przypomniał sobie to zdarzenie.

Kiedy wspomnienia zalały go niczym fala przyboju, poczuł, że jego mózg ulega przeciążeniu, neurony wyłączają się, i stracił panowanie nad ścieżką wspomnień. Rezydencja zadygotała, zatrzęsała się w posadach i eksplodowała w jego umyśle, ściany buchnęły ogniem i rozsypały się na wszystkie strony. Usłyszał rozdzierający ryk wypełniający jego czaszkę, a chwilę później cały olbrzymi pałac wspomnień przestał istnieć, rozplywając się w mrokach nieskończonego kosmosu, rozbity na drobne świetliste kawałki, które niczym meteory rozleciały się we wszystkich kierunkach, by ostatecznie zniknąć pośród atramentowej pustki. Przez krótką chwilę hen z niezmierzonej otchłani słyhać było jeszcze pełne udręki i niewypowiedzianego bólu krzyki Diogenesa, ale w końcu i one ucichły i dokoła znów zapadła cisza.

Naczelnik Gordon Imhof powiódł wzrokiem wokół stołu wewnątrz spartańsko urządzonej sali konferencyjnej w samym sercu bloku zarządu. W klapę miał wpięty mikrofon. Mimo wszystko czuł się wyśmienicie. Reakcja na ucieczkę więźniów była natychmiastowa i zmasowana. Wszystko funkcjonowało jak w zegarku, zgodnie z przepisami: kiedy tylko ogłoszono kod czerwony, cały kompleks został elektronicznie zablokowany, nikt nie mógł wjechać na teren zakładu penitencjarnego ani go opuścić. Osadzeni biegali przez pewien czas po kompleksie jak kot z pęcherzem, ich plan ucieczki był kompletnie bezsensowny. W ciągu czterdziestu minut wszystkich schwytano, a następnie odstawiono z powrotem do cel lub do izby chorych. Regulaminowa kontrola czujników z bransolet na kostkach przeprowadzona jak zawsze po zawieszeniu kodu czerwonego potwierdziła, że wszyscy więźniowie znajdują się na terenie zakładu karnego.

W branży penitencjarnej, zadumał się Imhof, kryzys stanowi szansę, aby zostać zauważonym. W czasie kryzysu wszystko rzucało się w oczy bardziej niż kiedykolwiek. W zależności od tego, jak zostawał on zażegnany, stawał się okazją do dalszego rozwoju lub sromotnego końca dobrze zapowiadającej się kariery. W tym przypadku wszystko poszło gładko – ranny został jeden strażnik (ale niezbyt ciężko), nie wzięto zakładników, nikt nie zginął ani nie odniósł poważniejszych

obrażeń. Pod jego kierownictwem Herkmoor wciąż pozostawało zakładem karnym, z którego nigdy nie udało się uciec żadnemu więźniowi. Imhof spojrział na zegar i odczekał, aż wskazówka sekundnika zatoczy pełen krąg. Było punktualnie wpół do ósmej, Coffey jeszcze się nie pokazał, ale Imhof nie zamierzał czekać. Prawda przedstawiała się tak, że ten zarozumiały agent FBI i jego zausznik coraz bardziej działali mu na nerwy.

– Panowie – zaczął – pozwólcie, że rozpocznę to spotkanie, mówiąc krótko i rzeczowo: dobra robota.

Jego słowa zostały przyjęte cichymi szeptami i niepewnymi spojrzeniami.

– Dziś Herkmoor stanęło przed nie lada wyzwaniem – masową próbą ucieczki. O drugiej jedenaście dziewięciu osadzonych przecięło siatkę na jednym z placów ćwiczeń przy budynku C i rozpierchło się po terenie wewnętrznego perymetru. Jednemu udało się nawet dotrzeć do posterunku straży więziennej przy południowym krańcu gmachu B. Wciąż badamy przyczynę tej próby ucieczki. Jak na razie powiem tylko, że najwyraźniej więźniowie na placu numer cztery z nieznanych powodów, w czasie kiedy doszło do tego wydarzenia, nie znajdowali się pod nadzorem strażników.

Przerwał i powiódł dokoła surowym spojrzeniem. – Przyczynę tego zaniedbania mamy nadzieję odkryć w trakcie niniejszej odprawy.

Jego oblicze nieco się rozluźniło. – Tak czy owak reakcja na próbę ucieczki była natychmiastowa i zgodna z przepisami. Zespół szybkiego reagowania znalazł się na miejscu o drugiej czternaście i natychmiast ogłoszono kod czerwony. W odpowiedzi zmobilizowano do działania ponad pięćdziesięciu strażników. W niecałą godzinę wszyscy uciekinierzy zostali schwytani. Przeprowadzono też kontrolę stanu liczebnego osadzonych. O trzeciej jeden kod czerwony odwołano. W Herkmoor życie powróciło do normy.

Przerwał na chwilę. – Raz jeszcze pragnę pogratulować wszystkim tu obecnym. Możecie już się rozluźnić, to spotkanie zwołano wyłącznie pro forma, jak wiecie, w ciągu dwunastu godzin od ogłoszenia kodu czerwonego wymagane jest regulaminowe przeprowadzenie odprawy. Przepraszam, że zmusiłem was do pozostania w zakładzie po godzinach. Przekonajmy się, czy damy radę powiązać wszystkie luźne końce na tyle szybko, aby zdążyć jeszcze do domu na kolację. Uporajmy się z tym jak najszybciej i miejmy to już za sobą.

Powiódł wzrokiem po zebranych. – Zwracam się do szefa ochrony budynku C, Jamesa Rollo. Jim, czy mógłbyś wyjaśnić nam, jaką rolę odegrał funkcjonariusz Sidesky? To wydaje się odrobinę pogmatwane.

Mężczyzna ze sporym mięśniem piwnym podniósł się, pobrzękując kluczami, i poprawił pas, co spowodowało, że klucze znów zabrzęczały. Na twarzy mężczyzny odmalowała się niewzruszona powaga.

– Bardzo dziękuję, sir. Jak pan już wspomniał, o drugiej czternaście ogłoszono kod czerwony. Z posterunku straży więziennej numer siedem natychmiast wyruszył zespół szybkiego reagowania. Czterech funkcjonariuszy pospieszyło na miejsce zdarzenia, pozostawiając na posterunku funkcjonariusza Sidesky’ego. Wygląda na to, że jeden ze zbiegów unieszkodliwił funkcjonariusza Sidesky’ego zastrzykiem odurzającym, po czym związał go i pozostawił w męskiej toalecie nieopodal. Strażnik wciąż jest mocno dezorientowany, ale kiedy tylko odzyska jasność umysłu, spisemy jego zeznanie.

– Doskonale.

W tej samej chwili podniósł się niespokojny mężczyzna w stroju lekarza. – Jestem doktor Kidder, zarządzam izbą chorych w budynku B. Imhof spojrzał na niego. – Tak?

– Chyba doszło do jakiejś pomyłki. W czasie ucieczki więźniów

sanitariusze przynieśli do mnie rannego strażnika, który twierdził, że nazywa się Sidesky. Miał na sobie mundur, odznakę służbową i plakietkę z nazwiskiem. Ale potem ten człowiek zniknął.

– Łatwo to wytłumaczyć – rzekł Rollo. – Odnaleźliśmy strażnika bez munduru i odznaki. Musiał opuścić izbę chorych. Widocznie w którymś momencie jeden ze zbiegów obezwładnił Sidesky’ego i zabrał jego mundur.

– To brzmi całkiem logicznie – rzekł Imhof. Zawahał się. – Tyle tylko że wszyscy uciekinierzy, których zatrzymaliśmy, mieli na sobie więzienne kombinezony. Żaden z nich nie nosił munduru strażnika.

Rollo przez chwilę skubał wąsy w zamyśleniu. – Więzień, który zabrał Sidesky’emu mundur, najprawdopodobniej nie zdążył się przebrać.

– Najwyraźniej tak – przyznał Imhof. – Panie Rollo, proszę wpisać na listę rzeczy zaginionych mundur, odznakę i plakietkę identyfikacyjną funkcjonariusza Sidesky’ego. Spodziewam się, że znajdą się w koszu na śmieci albo w jakimś więziennym kącie. Nie wolno dopuścić, aby dostały się w ręce więźniów.

– Tak jest, sir.

– Zagadka rozwiązana. Proszę dalej, panie Rollo.

– Proszę wybaczyć, że wejdem w słowo – rzekł Kidder – ale nie jestem pewien, czy ta zagadka faktycznie została rozwiązana. Mężczyznę podającego się za Sidesky’ego pozostawiono w izbie chorych, gdzie czekał na prześwietlenie, ja zaś udałem się, by opatryć kilku co bardziej poszkodowanych więźniów. Mężczyzna, o którym mówię, miał kilka złamanych żeber, sporo stłuczeń, zadrapania na twarzy i...

– Nie potrzebujemy pełnej diagnozy, Kidder.

– Dobrze, panie naczelniku. W każdym razie mężczyzna ten nie był w stanie oddalić się gdziekolwiek o własnych siłach. Ale kiedy tam

wróciłem, Sidesky, to znaczy mężczyzna, który się za niego podawał, zniknął, a na łóżku leżały zwłoki więźnia, Carlosa Lacarry.

– Lacarry? – Imhof zmarszczył brwi. O tym wcześniej nie słyszał.

– Zgadza się. Ktoś przeniósł jego zwłoki i położył na łóżku Sidesky’ego.

– To jakiś chory żart?

– Tego nie wiem. Zastanawiałem się, czy... no wie pan, czy może to być w jakiś sposób związane z próbą ucieczki.

Zapadła cisza.

– Jeżeli tak – powiedział w końcu Imhof – to znaczy, że mamy do czynienia ze znacznie bardziej złożonym planem, niż początkowo sądziliśmy. Najważniejsze jest jedno: że wszyscy uciekinierzy zostali schwytani, a pozostałych osadzonych zliczono. W najbliższych dniach przesłuchamy ich, aby odkryć, co się właściwie wydarzyło.

– Jedno mnie niepokoi – ciągnął Kidder. – Podczas ucieczki więźniów do zakładu przybył karawan, aby zabrać ciało Lacarry. Miał zaczekać za bramą aż do odwołania alarmu.

– I?

– Po odwołaniu alarmu ambulans z kostnicy wjechał na teren więzienia i zabrał ciało. Naczelnny lekarz nadzorował załadunek i podpisał dokumenty.

– W czym zatem problem?

– W tym, panie naczelniku, że odkryłem ciało Lacarry leżące na łóżku Sidesky’ego dokładnie kwadrans po odjeździe ambulansu.

Imhof uniósł brwi. – W takim razie w całym tym zamieszaniu tamci musieli zabrać do kostnicy niewłaściwego sztywniaka. To całkiem zrozumiałe. Niech pan nie będzie wobec siebie zbyt surowy, Kidder. Wystarczy, że zadzwoni pan do szpitala i wyjaśni całą tę sprawę.

– Już to zrobiłem, panie naczelniku. A tam dowiedziałem się, że nasze zgłoszenie o odbiór zwłok zostało wycofane jeszcze tego ranka.

Dyspozytor zarzeka się, że nie wysłał do nas ambulansu z kostnicy.

Imhof parsknął. – W tym cholernym szpitalu wszystko jest do bani, nie wie lewica, co czyni prawica, mają zbyt wielu pracowników pionu administracyjnego, którzy znają się na swojej robocie jak kura na pieprzu. Zadzwoń do nich jeszcze raz, jutro rano, i powiedz, że wysłaliśmy do nich niewłaściwego sztywniaka, niech go poszukają. – Pokręcił głową z niesmakiem.

– W tym właśnie sęk, panie naczelniku. W Herkmoor nie mieliśmy żadnych innych nieboszczyków. Nie mam pojęcia, czyje zwłoki mogły trafić do szpitala.

– Powiada pan, że naczelny lekarz podpisał papiery?

– Tak. Wrócił do domu po zakończeniu zmiany.

– Jutro spiszemy jego zeznanie. Bez wątpienia rano wyjaśnimy wszystkie te niejasności. Ale, ale, zebraliśmy się tu w sprawie niedawnej próby ucieczki więźniów. Powróćmy do przerwanej odprawy.

Kidder zamilkł, ale na jego twarzy malowały się niepewność i powątpiewanie.

– W porządku. Następne pytanie brzmi: dlaczego w czasie, kiedy doszło do ucieczki więźniów, plac nie był pilnowany przez strażników. Zgodnie z tym, co widnieje w grafiku, służbę powinni pełnić tam wtedy funkcjonariusze Fecteau i Doyle. Fecteau, czy zechcielibyście wyjaśnić przyczynę waszej absencji?

Wyjątkowo podenerwowany strażnik siedzący przy końcu stołu odchrząknął głośno: – Oczywiście, panie naczelniku. Funkcjonariusz Doyle i ja pełniliśmy tamtego dnia służbę na placu...

– Dziewięciu więźniów zostało wyprowadzonych na plac ćwiczeń zgodnie z planem?

– Tak, panie naczelniku. Zjawili się punktualnie o drugiej.

– Gdzie wtedy byliście?

- Na swoich stanowiskach, jak zawsze.
- I co się wydarzyło?
- Jakieś pięć minut później skontaktował się z nami przez radio agent specjalny Coffey.
- Coffey się z wami skontaktował? – Imhof był szczerze zdumiony. To niesłychane! Rozejrzał się dokoła. Coffey wciąż się nie pojawił.
- Proszę nam opowiedzieć, Fecteau, co usłyszeliście od agenta Coffeya.
- Powiedział, że mamy natychmiast stawić się u niego. Wyjaśniliśmy, że mamy służbę na placu, ale on nalegał.
- Imhof poczuł, że narasta w nim gniew. Coffey nic mu o tym nie mówił. – Proszę powtórzyć możliwie jak najdokładniej słowa, jakich on użył.
- Fecteau zawahał się i zaczerwienił. – Cóż, panie naczelniku, powiedział jakoś tak: Jeżeli nie zjawicie się tu w ciągu dziewięćdziesięciu sekund, każę was przenieść do Dakoty Północnej. Mniej więcej tak to brzmiało. Próbowałem wyjaśnić, że jest nas na placu tylko dwóch, ale on się wyłączył.
- Groził wam?
- Właściwie tak.
- A wy pozostawiliście plac bez nadzoru, nie kontaktując się w tej sprawie z szefem ochrony ani ze mną?
- Proszę wybaczyć, panie naczelniku. Sądziłem, że ta decyzja została podjęta za pańską wiedzą.
- Czemu, u licha, Fecteau, miałbym autoryzować decyzję o usunięciu z placu dwóch strażników pełniących tam służbę i pozostawić gromadę więźniów bez dozoru?
- Proszę wybaczyć, panie naczelniku, sądziłem, że to z uwagi na... więźnia specjalnego.
- Więźnia specjalnego? O czym wy mówicie?

– No cóż... – Fecteau zaczął się jękać. – O więźniu specjalnym, który otrzymał przywilej korzystania z placu ćwiczeń numer cztery.

– No tak, ale on nie wyszedł tego dnia na plac ćwiczeń. Pozostał w swojej celi.

– Hm... no cóż, panie naczelniku. To nie tak. Widzieliśmy go tam. Imhof wziął głęboki oddech. Sytuacja była poważniejsza, niż przypuszczał. – Fecteau, coś się wam pomyliło. Więzień spędził cały dzień w swojej celi i nie wyszedł na plac ćwiczeń numer cztery. Sprawdziłem to osobiście podczas obowiązywania kodu czerwonego, mam tu wydruki zapisów elektronicznych. Stan sygnałów czujnika z bransolety na kostce wskazuje, że osadzony ani na chwilę nie opuścił izolatki.

– Ale ja doskonale pamiętam, panie naczelniku, że więzień specjalny tam był.

Rzucił pytające spojrzenie w stronę swego partnera Doylea, który wydawał się równie skonsternowany całą tą zagadkową sprawą.

– Doyle? – rzucił ostro Imhof.

– Tak, panie naczelniku?

– Mówcie, tylko szczerze, czy widzieliście dziś więźnia specjalnego na placu numer cztery?

– Tak, panie naczelniku. To znaczy, o ile dobrze pamiętam, tak, panie naczelniku.

Długa cisza. Imhof spojrzał w stronę Rollo, ale tamten już mówił po cichu przez krótkofalówkę. Szef ochrony po chwili odłożył radio na bok i ponownie uniósł wzrok. – Zgodnie z odczytem na monitorze więzień specjalny wciąż jest w swojej celi. W ogóle z niej nie wychodził.

– Lepiej pošlij kogoś, aby zajrzał do jego celi, tak dla pewności. – Imhof był wściekły na Coffeya. Gdzie u licha podziewał się ten facet? To wszystko jego вина.

Jak na komendę drzwi otwarły się na oścież i pojawił się w nich agent Coffey z nieodstępującym go na krok niczym cień Rabinerem.

– W samą porę – rzucił ponurym tonem Imhof.

– Faktycznie, w samą porę – powiedział Coffey, dziarsko wchodząc do pokoju; twarz miał czerwoną jak burak. – Zostawiłem wyraźne zalecenie, aby więzień specjalny został wyprowadzony na plac numer cztery, a teraz dowiaduję się, że tak się nie stało. Kiedy wydaję jakiś rozkaz, Imhof, spodziewam się, że zostanie...

Imhof wstał. Miał już serdecznie dość tego dupka i nie zamierzał pozwolić, aby tamten poniżał go w obecności jego podwładnych.

– Agencie Coffey – rzucił lodowatym tonem. – Jak panu pewnie wiadomo, w Herkmoor doszło dziś do poważnej próby ucieczki.

– To nie ma nic...

– Jesteśmy w trakcie odprawy dotyczącej rzeczony ucieczki. Pan nam przeszkadza. Gdyby zechciał pan spocząć i zaczekać na swoją kolej, byłbym wdzięczny. Chciałbym kontynuować odprawę.

Coffey nie zajął wskazanego mu miejsca i patrzył na naczelnika z twarzą nabiegłą czerwienią. – Nie lubię, gdy ktoś zwraca się do mnie takim tonem.

– Agencie Coffey, po raz ostatni proszę, aby pan usiadł i pozwolił nam dokończyć tę odprawę. Jeżeli w dalszym ciągu będzie mi pan przerywał, dopóki nie udzielię panu głosu, każę ochronie, aby pana wyprowadziła.

Zapadła głucha cisza. Twarz Coffeya wykrzywił grymas wściekłości, gdy agent odwrócił się i rzekł do Rabinera: – Wiesz co? Wydaje mi się, że nasza obecność na tym zebraniu nie jest mile widziana. Odwrócił się ponownie do Imhofa. – Odezwę się.

– Pańska obecność jest jak najbardziej wskazana. Mam tu dwóch funkcjonariuszy straży więziennej, którzy twierdzą, że wydawał im pan konkretne rozkazy i groził natychmiastowym przeniesieniem,

w razie gdyby ich nie wypełnili, a przecież pańska władza tu nie sięga. Nie ma pan prawa wydawać poleceń służbowych moim ludziom. W wyniku pańskich nieodpowiedzialnych działań więźniów pozostawiono bez dozoru, skutkiem czego podjęli próbę ucieczki. To pan jest za nią odpowiedzialny. Dopilnuję, aby adnotacja w tej sprawie trafiła do protokołu.

Kolejna chwila elektryzującej ciszy. Coffey rozejrzał się dokoła, władczy wyraz malujący się na jego twarzy zniknął w jednej chwili, gdy agent zaczął uświadamiać sobie powagę wysuwanych przeciwko niemu oskarżeń. Jego wzrok padł na magnetofon ustawiony pośrodku na blacie stołu i mikrofony rozmieszczone przed każdym z uczestników zebrania. Usiadł sztywno i przełknął ślinę. – Jestem pewien, że możemy jakoś wyjaśnić to... ee... nieporozumienie, panie Imhof. Nie ma potrzeby rzucać pochopnych oskarżeń.

W ciszy, jaka wówczas zapadła, dał się słyszeć sygnał z krótkofalówki Rollo. To próbował skontaktować się z nim jeden ze strażników, który poszedł, aby sprawdzić, czy w celi więźnia specjalnego wszystko jest w porządku. Imhof patrzył, jak szef ochrony słucha z wyteżoną uwagą, a jego twarz z każdą mijającą sekundą coraz bardziej blednie, by stać się w końcu biała jak płótno.

Glinn spojrział na agenta Pendergasta, który leżał nieruchomo na kozetce obitej skórą w kolorze burgunda, z dłońmi splecionymi na piersi i nogami skrzyżowanymi w kostkach. Leżał tak od blisko dwudziestu minut. Z nienaturalnie bladą cerą i wychudzoną twarzą agent wyglądał prawie jak nieboszczyk. Jediną oznaką życia były krople potu perlące się na czole Pendergasta i delikatne drżenie rąk.

Jego ciałem targnął nagle silny dreszcz, po czym mężczyzna znieruchomiał. Oczy otworzyły się powoli; były mocno przekrwione, źrenice otoczone srebrzystymi tęczęwkami wyglądały jak łebki od szpilek. Glinn podjechał bliżej i nachylił się w stronę agenta. Coś się wydarzyło. Wędrowka ścieżką wspomnień dobiegła końca.

– Pan niech zostanie. Sam – wyszeptał z trudem Pendergast. – Proszę odesłać stąd porucznika D’Agostę i doktora Krasnera.

Glinn bezgłośnie zamknął za sobą drzwi i przekręcił zasuwkę.

– To, co się teraz wydarzy, musi przybrać formę przesłuchania. Pan będzie zadawał pytania. Ja będę na nie odpowiadał. Nie ma innego sposobu. Ja... – Szept umilkł na kilka chwil. – Nie jestem w stanie mówić o tym, czego właśnie byłem świadkiem, z własnej woli.

– Rozumiem.

Pendergast leżał w milczeniu. Po chwili Glinn znów się odezwał: – Ma pan mi coś do powiedzenia.

– Tak.

– Na temat pańskiego brata Diogenesa.

– Tak.

– O zdarzeniu. Chwila przerwy – Tak.

Glinn uniósł wzrok ku sufitowi, gdzie zamontowane były ukryte urządzenia rejestrujące, mała kamera i bardzo czuły mikrofon.

Sięgnąwszy do kieszeni, nacisnął przycisk niedużego pilota, wyłączając je. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że to, co teraz usłyszysz, powinno na zawsze pozostać tylko między nimi dwoma. Podjechał jeszcze trochę do przodu. – Był pan tam.

– Tak.

– Pan i pański brat. Nikt więcej.

– Nikt więcej.

– Kiedy to było? Może pan podać datę? Znowu chwila przerwy. – To jest nieistotne.

– Ja o tym zadecyduję.

– Była wiosna. Na dworze kwitły bugenwille. To wszystko, co wiem.

– Ile miał pan lat?

– Dziewięć.

– Pański brat musiał być wtedy siedmiolatkiem, zgadza się?

– Tak.

– W jakim miejscu to było?

– Maison de la Rochenoire, w naszej rodzinnej posiadłości przy Dauphine Street w Nowym Orleanie.

– Co tam wtedy robiliście?

– Bawiliśmy się w odkrywców.

– Proszę mówić dalej.

Pendergast zamilkł. Glinn przypomniał sobie jego słowa: Pan będzie zadawał pytania, ja będę na nie odpowiadał.

Odchrząknął cicho. – Czy często bawiliście się w tym domu

w odkrywców?

– To była wielka rezydencja. Miała mnóstwo tajemnic.

– Od jak dawna była własnością waszej rodziny?

– Początkowo był to klasztor, ale w połowie osiemnastego wieku odkrył go jeden z moich przodków.

– Który konkretnie?

– Augustus Robespierre Pendergast. Przez całe dziesięciolecia przerabiał i przebudowywał tę posiadłość.

Glinn oczywiście wiedział sporo na ten temat. Mimo to uznał, że lepiej pozwolić Pendergastowi mówić i odpowiadać na proste pytania, zanim przejdą do trudniejszej części tego przesłuchania. Trzeba to było zrobić stopniowo. Zacznie delikatnie. Już teraz.

– Którą część rezydencji odkrywaliście tamtego dnia? – zapytał.

– Piwnice.

– Czy tam również kryły się jakieś tajemnice?

– Moi rodzice nie dowiedzieli się, że udało się nam znaleźć wejście do nich.

– Ale odkrył je pan.

– Nie ja. Diogenes.

– I podzielił się z panem tą wiedzą.

– Nie. Poszedłem tam za nim... ale tylko raz.

– I wtedy panu o tym powiedział. Chwila przerwy. – Zmusiłem go do tego.

Ciało Pendergasta było złane potem. Glinn jeszcze nie próbował mocniej naciskać agenta. – Niech pan opisz mi te piwnice.

– Można było dotrzeć do nich przez fałszywą ścianę w piwnicy.

– Czy za tą ścianą znajdowały się schody prowadzące w dół?

– Tak.

– A co było na końcu tych schodów? Znowu chwila przerwy. – Nekropolia.

Glinn przerwał na chwilę, by ukryć zdumienie. – I odkrywaliście właśnie tę nekropolię?

– Tak. Odczytywaliśmy inskrypcje na grobowcach rodzinnych. Właśnie tak... to się zaczęło.

– Znaleźliście coś?

– Wejście do sekretnej komnaty.

– Co było w środku?

– Sprzęt iluzjonistyczny mojego przodka Comstocka Pendergasta.

Glinn znów przerwał. – Comstocka Pendergasta, tego magika?

– Tak.

– Składował swój sprzęt sceniczny w piwnicy?

– Nie. Ukryła go tam moja rodzina.

– Czemu to zrobiła?

– Ponieważ wiele z tych sprzętów było niebezpiecznych.

– Ale wy, badając to pomieszczenie, o tym nie wiedzieliście?

– Nie. Z początku nie.

– Z początku?

– Niektóre z tych urządzeń wyglądały dziwnie. Okrutnie. Byliśmy młodzi, nie całkiem rozumieliśmy.. – Pendergast zawahał się.

– Co się stało potem? – zapytał łagodnie Glinn.

– Przy drugim końcu pomieszczenia odkryliśmy wielką skrzynię.

– Proszę ją opisać.

– Była olbrzymia, niemal wielkości małego pokoju, ale przenośna. I jaskrawo pomalowana. Na złoto i czerwono. Z jednej strony namalowano na niej twarz demona. Powyżej widniał napis.

– Jak brzmiał ten napis?

– Wejście do piekła.

Pendergast drżał nieznacznie, a Glinn odczekał chwilę, zanim znów się odezwał. – Czy skrzynia miała wejście?

– Tak.

- I weszliście do środka.
- Tak. Nie.
- To znaczy Diogenes wszedł pierwszy?
- Tak.
- Z własnej woli? Kolejna długa przerwa. – Nie.
- Nakłonił go pan, aby tam wszedł – ciągnął Glinn.
- Tak i... – Pendergast znów zamilkł.
- Użył pan siły?
- Tak.

Glinn także milczał. Nawet najcichsze skrzypnięcie jego wózka inwalidzkiego nie zakłóciło ciszy, jaka zapanowała w gabinecie.

- Dlaczego?
- Był sarkastyczny. Jak zawsze zresztą. Zdenerwował mnie. Jeśli było tam coś strasznego... chciałem, aby wszedł do środka pierwszy.
- Zatem Diogenes wszedł do środka pierwszy. A pan podążył za nim.

- Tak.
 - I co odkryliście w środku?
- Usta Pendergasta poruszyły się, ale minęło kilka sekund, zanim spomiędzy nich wydobył się jakiś dźwięk. – Drabinę. Prowadzącą do wąskiego tunelu powyżej.

- Proszę go opisać.
- Ciemny. Duszny. Ze zdjęciami na ścianach.
- Co dalej?
- W tylnej ścianie był otwór wiodący do sąsiedniego pomieszczenia. Diogenes pierwszy wszedł do środka.

Obserwując Pendergasta, Glinn zawahał się, po czym dodał: – Zmusił go pan, aby wszedł tam pierwszy?

- Tak.
- A pan poszedł za nim.

– Ja... chciałem to zrobić.

– Co pana powstrzymało?

Pendergast drgnął spazmatycznie, ale nie odpowiedział.

– Co pana powstrzymało? – powtórzył z naciskiem Glinn.

– Zaczęło się przedstawienie. Wewnątrz skrzyni. W środku, tam gdzie był Diogenes.

– Spektakl opracowany i przygotowany przez Comstocka?

– Tak.

– Co było celem tego przedstawienia? Kolejny spazm. – Przestraszenie kogoś na śmierć.

Glinn rozsiadł się wygodniej na wózku. W trakcie opracowywania materiałów do badań wziął pod uwagę historię rodu Pendergastów i Comstock był jedną z postaci, która wyróżniała się spośród innych jego przodków. Był stryjecznym pradziadkiem agenta, w młodości słynnym magikiem, mesmerystą, hipnotyzerem i iluzjonistą. Na starość jednak zamienił się w rozgoryczonego mizantropa. Jak wielu jego krewnych dokonał życia w zakładzie dla obłąkanych.

A więc tak to było z szaleństwem, jakie owładnęło Comstockiem.

– Proszę mi opowiedzieć, jak to się zaczęło – poprosił.

– Nie wiem. Podłoga pod Diogenesem zarwała się albo może rozsunała. Spadł do pomieszczenia poniżej.

– Do środka skrzyni?

– Tak. Z powrotem na pierwszy poziom. Właśnie tam rozegrało się to... widowisko.

– Proszę je opisać – rzekł Glinn.

Wtem Pendergast jęknął, w dźwięku tym zawierała się tak silna udreka i tak długo powstrzymywane cierpienie, że Glinn przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Proszę je opisać – powtórzył z naciskiem, kiedy już doszedł do siebie.

– Prawie tego nie widziałem... zobaczyłem zaledwie fragment... przez mgnienie oka. I wtedy... one zamknęły się wokół mnie.

– One?

– Mechanizmy. Uruchamiane przez ukryte sprężyny. Jeden za mną odciął mi drogę ucieczki. Inny uwięził Diogenesa w wewnętrznym pomieszczeniu.

Pendergast znowu zamilkł. Poduszka pod jego głową była wilgotna od potu.

– Ale przez chwilę... widział pan to samo co Diogenes. Pendergast leżał w bezruchu. Po czym wolno, bardzo wolno uniósł głowę. – Tylko przez chwilę. Ale słyszałem wszystko. Dokładnie wszystko.

– Co to właściwie było?

– Pokaz latarni magicznej – wyszeptał Pendergast. – Fantasmagoria. Działająca na bazie baterii galwanicznych. To była specjalność Comstocka.

Glinn pokiwał głową. Coś o tym wiedział. Latarnie magiczne były urządzeniami, które przepuszczały światło przez tafle szkła z wytrawionymi na nich różnymi obrazami. Jako że obraz padał na obracającą się powoli ścianę o nierównej powierzchni, wzmacniało to siłę iluzji, a w połączeniu ze złowrogą muzyką i powtarzającymi się głosami czyniło z latarni magicznej XIX-wieczny odpowiednik filmu grozy.

– No dobrze, a zatem co pan wtedy zobaczył?

Nagle agent poderwał się z kozetki rozgorączkowany. Zaczął krążyć po pokoju, nerwowo zaciskając i rozwierając pięści. Wreszcie odwrócił się do Glinna. – Błagam. Proszę mnie o to nie pytać. – Z najwyższym trudem zdołał się opanować, ale wciąż krążył po pokoju jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce.

– Proszę mówić dalej – rzekł Glinn beznamiętnym głosem.

– Z wewnętrznego pomieszczenia doszły do mnie przeraźliwe

krzyki Diogenesa. Powtarzały się raz po raz... bez końca. Usłyszałem przeraźliwe skrobanie, gdy usiłował, drapiąc paznokciami, wydostać się na zewnątrz. Usłyszałem, jak łamią mu się paznokcie. A potem zapadła długa cisza... Wreszcie... jakiś czas później... choć nie wiem, ile czasu upłynęło, usłyszałem huk wystrzału.

– Wystrzału?

– Comstock Pendergast pozostawił w swoim... domu bólu jednostrzałowego derringera. Dawał swojej ofierze wybór. Możesz postradać zmysły, możesz umrzeć z przerażenia albo możesz odebrać sobie życie.

– Diogenes wybrał tę ostatnią opcję.

– Tak. Ale kula go nie zabiła. Zraniła go tylko.

– Jak zareagowali na to pańscy rodzice?

– Początkowo nic nie powiedzieli. Udawali, że Diogenes zachorował na szkarlatynę. Próbowali zatuszować to, co się stało. Obawiali się skandalu. Powiedzieli mi, że wskutek choroby Diogenes zaczął inaczej widzieć i odczuwać, że zmienił mu się zmysł smaku i powonienia. Że właśnie przez to jedno z jego oczu zmieniło kolor. Ale teraz już wiem, że musiała to sprawić kula z pistoletu.

Glinn poczuł, że ogarnia go nieopisana zgroza, i nie wiedzieć czemu zapragnął nagle umyć ręce. Na samą myśl o czymś tak upiornym, tak bezgranicznie przerażającym, że było w stanie nakłonić siedmiolatka, aby... Odegnął od siebie te niepokojące myśli.

– A ten wąski korytarz, w którym był pan uwięziony – powiedział.

– Co przedstawiały fotografie, o których pan wcześniej wspominał?

– Były to oficjalne zdjęcia z miejsc zbrodni i policyjne szkice przedstawiające najokrutniejsze ze znanych morderstw. Może miały one na celu przygotowanie danej osoby na nieopisane koszmary kryjące się w pomieszczeniu poniżej.

W niewielkim gabinecie zapanowała nieprzyjemna cisza.

– Jak długo trwało, zanim pana uwolniono? – zapytał w końcu Glinn.

– Nie wiem. Kilka godzin. Może cały dzień.

– I obudził się pan z tego koszmaru na jawie z przekonaniem, że Diogenes zachorował. I że to szkarlatyna jest przyczyną jego nieobecności.

– Tak.

– Nie zdawał pan sobie sprawy, jak było naprawdę?

– Nie. W żadnym razie.

– A Diogenes nie wie, że udało się panu wyprzeć to wspomnienie? Pendergast zatrzymał się nagle. – Chyba tak. Wątpię, aby o tym wiedział.

– W rezultacie nigdy nie miał pan okazji przeprosić brata i próbować zadośćuczynić za to, co go spotkało. Nigdy nawet pan o tym nie wspomniał, ponieważ całkowicie wyrzucił pan ze swej pamięci wspomnienia owego zdarzenia.

Pendergast odwrócił wzrok.

– Lecz dla Diogenesa pańskie milczenie oznacza coś całkiem innego. Uporczywą niechęć do przyznania się do błędu i poproszenia o przebaczenie. To by wyjaśniało... – Glinn zamilkł. Powoli odtoczył swój wózek do tyłu. Nie wiedział wszystkiego, wymagana była wnikliwa analiza komputerowa, ale dysponował dostatecznie dużą wiedzą, aby odpowiedzieć na najważniejsze z nurtujących go pytań. Niemal od urodzenia Diogenes był osobliwą, mroczną i błyskotliwą postacią, jak wielu Pendergastów przed nim. Gdyby nie owo zdarzenie, mógłby wybrać własną ścieżkę dobra albo zła. Jednak istota, która opuściła wejście do piekła – zbrukana i zdruzgotana zarówno fizycznie, jak i psychicznie – zmieniła się w kogoś całkiem innego. Tak, to miało sens – zdjęcia i rysunki odrażających zbrodni, do których oglądania zmuszony był Pendergast... nienawiść, jaką

żywił Diogenes wobec brata, który nie chciał mówić o tragedii, za którą był odpowiedzialny... niezdrowe zainteresowanie Pendergasta dziwnymi i budzącymi grozę morderstwami... Teraz był już w stanie zrozumieć, co powodowało oboma braćmi. Co więcej, Glinn wiedział już, dlaczego Pendergast tak gruntownie i kategorycznie wyparł z pamięci to szczególne wspomnienie. Nie zrobił tego tylko z uwagi na zawarty w nim ładunek okrucieństwa. Nie, uczynił to, ponieważ trawiące go poczucie winy było tak silne, że w przeciwnym razie bez wątpienia postradałby zmysły.

Glinn zorientował się nagle, że Pendergast patrzy na niego. Agent siedział sztywno i nieruchomo niczym posąg, jego skóra była szara jak marmur.

– Panie Glinn – powiedział. Glinn uniósł brwi w pytającym geście. – Nic więcej nie mogę ani tym bardziej nie chcę powiedzieć.

– Rozumiem.

– A teraz, bardzo proszę, potrzebuję pięciu minut tylko dla siebie. W samotności. I żeby mi nikt nie przeszkadzał. Potem... będziemy mogli kontynuować.

Glinn po krótkiej chwili pokiwał głową. Skierował swój wózek inwalidzki w stronę drzwi, otworzył je i bez słowa opuścił gabinet.

Z włączoną syreną Hayward zdołała dotrzeć do Greenwich Village w dwadzieścia minut. Po drodze próbowała jeszcze skontaktować się z D'Agostą, ale żaden z wybranych przez nią numerów, pod którymi można go było zastać, nie odpowiadał. Chciała znaleźć numer do Efektywnych Rozwiązań Inżynieryjnych albo do Eliego Glinna – bez powodzenia. Nawet w bazach danych nowojorskiego wydziału telekomunikacji nie było tych numerów. Choć ERI została zgodnie z prawem zarejestrowana jako firma handlowa. Wiedziała, że firma istnieje, i znała jej adres przy 12 Małej Zachodniej. Tylko tyle.

Wciąż nie wyłączając syreny, zjechała z West Side Highway na Zachodnią, a stamtąd w wąską uliczkę otoczoną po obu stronach obskurnymi ceglanyymi budynkami. Wyłączyła syrenę i zwolniła, popatrując na numery domów. 12 Mała Zachodnia, ongiś centrum przetwórci mięsa, była uliczką ciągnącą się na długości zaledwie jednej przecznicy. Siedziba ERI nie miała numeru, ale Hayward, zerkając na budynki po obu stronach, uznała, że musi ona mieścić się właśnie tutaj. Nie tego się spodziewała: budowli wysokiej na prawie dwanaście pięter z wyblakłą nazwą jakiejś dawno już nieistniejącej firmy masarsko-wędliniarskiej na ścianie. O tym, że właśnie tutaj musiał znajdować się cel jej wizyty, mogły jedynie świadczyć rzędy drogich nowych okien na wyższych piętrach i dwuskrzydłowe metalowe drzwi przy doku załadunkowym, które wydawały się trochę

zbyt nowoczesne. Zaparkowała na drugiego przed budynkiem, blokując wąską uliczkę, i podeszła do wejścia. Znajdowały się tam drugie, mniejsze drzwi z niedużym interkomem zamontowanym z boku. Wcisnęła guzik interkomu i czekała z bijącym mocno sercem, przepelniona frustracją i zniecierpliwieniem. Niemal natychmiast rozległ się kobiecy głos. – Tak? – Błysnęła odznaką; mimo iż nie wiedziała, gdzie zamontowano kamerę, była pewna, że jest obserwowana. – Kapitan Laura Hayward z policji. Żądam, aby natychmiast wpuszczono mnie do środka.

– Ma pani nakaz? – usłyszała w odpowiedzi ciepły głos.

– Nie. Chcę się zobaczyć z porucznikiem Vincentem D’Agostą. Muszę się z nim widzieć natychmiast, to sprawa życia i śmierci.

– Wśród naszego personelu nie figuruje osoba o takim nazwisku – odparła kobieta z typowo biurokratyczną życzliwością.

Hayward wzięła głęboki oddech. – Chcę przekazać wiadomość dla Eliego Glinna. Jeżeli te drzwi nie zostaną otwarte w ciągu najbliższych trzydziestu sekund, ściągnę tu moich ludzi, rozstawię ich przy wejściu i każę robić zdjęcia wszystkim osobom wychodzącym z tego budynku, a potem zdobędę nakaz rewizji pod pretekstem poszukiwania wytwórni amfetaminy i zrobimy u was naprawdę niezły kipisz. Rozumie mnie pani? Odliczanie właśnie się zaczęło.

Upłynęło zaledwie piętnaście sekund, gdy usłyszała cichy metaliczny szcęk i drzwi otwarły się bezgłośnie.

Weszła do słabo oświetlonego korytarza, na końcu którego widniały drzwi z polerowanej nierdzewnej stali. Otworzyły się, ukazując muskularnego mężczyznę w dresie z emblematem Harvey Mudd College. – Tędy – powiedział i odwrócił się bezceremonialnie.

Ruszyła za nim przez olbrzymią halę do windy przemysłowej, która dowiozła ich na jedno z wyższych pięter, gdzie pokonawszy istny labirynt białych korytarzy, zatrzymali się przed dwuskrzydłowymi

lakierowanymi drzwiami z wiśniowego drewna. Za drzwiami znajdował się nieduży wytworny pokój konferencyjny.

Pod przeciwległą ścianą stał Vincent D'Agosta. – Cześć, Lauro – rzekł po chwili.

Przez moment Hayward nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Tak bardzo pragnęła go ujrzeć, że nie zastanawiała się nad tym, co mu powie, kiedy się wreszcie spotkają. D'Agosta również milczał. Wyglądało na to, że poza powitaniem nie jest w stanie wykrztusić z siebie słowa.

Hayward przełknęła ślinę i odzyskała głos. – Potrzebuję twojej pomocy, Vincencie.

Kolejna długa cisza. – Mojej pomocy?

– Podczas naszego ostatniego spotkania wspomniałeś, że Diogenes planuje coś wielkiego. Mówiłeś, że ma jakiś plan, który stopniowo realizuje.

Cisza. Hayward poczuła, że się czerwieni; to było trudniejsze, niż się spodziewała. – Zrealizuje go jeszcze dziś – ciągnęła. – W muzeum. Podczas gali otwarcia.

– Skąd wiesz?

– Nazwijmy to przecuciem, cholernie silnym przecuciem. D'Agosta pokiwał głową.

– Myślę, że Diogenes pracuje w muzeum pod przybranym nazwiskiem. Stworzył dla siebie drugą tożsamość. Wszystkie dowody wskazują, że sprawca kradzieży brylantów musiał mieć pomoc z zewnątrz, zgadza się? Cóż, tym kimś, kto rzekomo miał udzielać mu pomocy od wewnątrz, był on sam.

– Nie do takich wniosków doszliście ty, Coffey i inni... Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. – Powiedziałaś, że Viola Maskelene i Pendergast mieli romans. I dlatego Diogenes ją uprowadził. Zgadza się?

– Tak.

– Zgadnij, kto pojawił się na otwarciu.

Znów cisza, tym razem przepełniona zdumieniem i niedowierzaniem.

– Zgadza się. Maskelene. Wynajęta w ostatniej chwili w charakterze egiptologa rezydenta z uwagi na charakter wystawy. Wstąpiła Wicherly’ego, który zginął w muzeum w nader dziwnych okolicznościach.

– O Jezu – D’Agosta spojrział na zegarek. – Już wpół do ósmej.

– Otwarcie właśnie trwa. Musimy ruszać natychmiast.

– Ja... – D’Agosta znów się zawahał.

– Daj spokój, Vinnie, nie ma chwili do stracenia. Znasz to miejsce lepiej niż ja. Moi przełożeni nie kiwną palcem. Muszę to zrobić sama. To dlatego jesteś mi potrzebny. Musisz pojechać ze mną.

– Potrzebujesz kogoś jeszcze – powiedział, zniżając głos do szeptu.

– To znaczy? Kogo masz konkretnie na myśli?

– Potrzebujesz Pendergasta.

Hayward zaśmiała się ponuro. – Genialne. Wyślemy śmigłowiec do Herkmoor, zobaczymy, może wypożyczą go nam na jeden wieczór. Kolejna chwila ciszy. – Jego już nie ma w Herkmoor. Jest tutaj. Hayward spojrziała na niego, nie pojmując znaczenia jego słów.

– Tutaj? – powtórzyła po chwili. D’Agosta pokiwał głową.

– Wyciągnąłeś go z Herkmoor? Kolejne skinienie głową.

– Na Boga, Vinnie. Czyś ty oszalał? I tak już siedzisz po uszy w bagnie i robisz coś takiego? – Bez zastanowienia osunęła się na jedno z krzeseł przy stole konferencyjnym, ale zaraz znów poderwała się na nogi. – To nie do wiary!

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał D’Agosta.

Hayward stała w bezruchu, patrząc na niego. Dopiero teraz powoli zaczęła zdawać sobie sprawę z wagi decyzji, jaką już wkrótce będzie

zmuszona podjąć. Musiała wybierać pomiędzy postępowaniem zgodnym z regulaminem, czyli aresztowaniem Pendergasta, wezwaniem posiłków i przewiezieniem więźnia z powrotem do zakładu karnego, a następnie z powrotem do muzeum albo...

Właśnie. Jaką miała alternatywę? Otóż to. Nie miała innego wyboru. Tak właśnie powinna się zachować, oto co musiała teraz zrobić. Tak podpowiadało jej to, czego nauczyła się, będąc policjantką, to, w co wierzyła całym sercem, całą duszą jako stróż prawa. Wyjęła krótkofalówkę.

– Zamierzasz wezwać posiłki? – zapytał niemal szeptem D’Agosta. Skinęła głową.

– Zastanów się nad tym, co zamierzasz zrobić, Lauro. Bardzo cię proszę.

Ale piętnaście lat szkolenia wykonało cały proces myślowy za nią. Uniosła krótkofalówkę do ust. – Kapitan Laura Hayward wzywa centralę wydziału zabójstw, zgłóście się.

Poczuła, że D’Agosta delikatnie dotknął jej ramienia. – Naprawdę go potrzebujesz.

– Centrala wydziału zabójstw? Zgłaszam kod 16. Mam tu poszukiwanego zbiega i potrzebuję wsparcia... – Nie dokończyła.

W ciszy, jaka wówczas zapadła, usłyszała nieuchronne pytanie dyspozytora. – Gdzie się pani obecnie znajduje, pani kapitan? Hayward nie odpowiedziała. Spojrzała na D’Agostę.

– Pani kapitan. Muszę wiedzieć, gdzie pani teraz jest.

W ciszy, jaka nastąpiła, słychać było jedynie szum i trzaski płynące z głośnika krótkofalówki.

– Słyszałam pytanie, odbiór – powiedziała Hayward.

– Gdzie się pani znajduje?

Znów chwila ciszy. W końcu policjantka powiedziała. – Odwołuję kod 16. Sytuacja wyjaśniona. Już po wszystkim. Mówiła kapitan

Hayward. Bez odbioru.

Hayward uruchomiła samochód, zawróciła i ruszyła pod prąd wzdłuż 12 Małej Zachodniej, wyjechała na Zachodnią i pomknęła w stronę północnej części miasta; inne auta hamowały gwałtownie i zjeżdżały na lewo i prawo, usuwając się jej z drogi, gdy mknęła na pełnym gazie, z włączoną syreną. Przy sprzyjających okolicznościach powinni dotrzeć do muzeum nie później niż dwadzieścia po ósmej.

D'Agosta siedział w fotelu pasażera obok niej, nie odzywając się słowem. Spojrzała na Pendergasta w lusterku wstecznym, twarz miał mocno posiniaczoną, na zranionym policzku świeży opatrunek. Wyglądał jak zjawa, nigdy dotąd nie widziała takiego wyrazu twarzy ani u Pendergasta, ani u nikogo innego. Sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą odwiedził swoje małe prywatne piekło. Hayward ponownie skierowała wzrok przed siebie. Coś jej mówiło, że właśnie przekroczyła Rubikon. Uczyniła coś wbrew sobie, wbrew wszystkiemu, co wpojono jej podczas lat szkolenia, wbrew temu, co do tej pory w jej mniemaniu oznaczało bycie dobrą policjantką. To zabawne, ale akurat teraz nie przejęła się tym ani trochę.

W samochodzie panowała nieprzyjemna, kłępująca cisza. Spodziewała się, że Pendergast zasypie ją pytaniami, a przynajmniej podziękuje, że nie aresztowała go ponownie. Tymczasem on siedział w milczeniu z dziwnym wyrazem malującym się na poobijanej twarzy.

– W porządku – rzekła. – Proszę posłuchać. Dziś w muzeum ma miejsce otwarcie nowej wystawy. Przyszła śmietanka towarzyska. Dosłownie wszyscy. Próbowałam to zatrzymać, opóźnić, ale moje apele zostały zignorowane. Problem polega na tym, że wciąż brak mi istotnych informacji. Wiem jedno: coś się szykuje. I stoi za tym pański brat Diogenes.

Znów spojrzała na Pendergasta. On jednak nie odpowiedział, nie popatrzył na nią. Równie dobrze mógł znajdować się teraz o miliony mil stąd. Z piskiem opon wyminęła autobus miejski, po czym wjechała na West Side Highway.

– Po kradzieży brylantów – ciągnęła – Diogenes zniknął. Doszłam do wniosku, że musi mieć drugą tożsamość, pod którą się ukrywa, i że znów do niej powrócił. Powęszyłam trochę, podobnie jak ten dziennikarz Smithback. Oboje uważamy, że w swoim drugim wcieleniu Diogenes jest pracownikiem muzeum, może nawet kustoszem. Proszę się nad tym zastanowić: kradzież brylantów wymagała pomocy z wewnątrz, a ten człowiek nie ma w zwyczaju pracować ze współnikami. W ten sam sposób udało mu się dotrzeć na teren ekspozycji „Święte wizerunki” i zaatakować Margo Green. Vinnie, od początku twierdziłeś, że Diogenes szykuje coś wielkiego. I miałeś rację. To się wydarzy dziś wieczorem, podczas gali otwarcia.

– Lepiej opowiedz Pendergastowi o tej nowej ekspozycji – rzekł D’Agosta.

– Po utracie kolekcji brylantów kierownictwo muzeum ogłosiło, że zamierza otworzyć starożytny grobowiec egipski znajdujący się w podziemiach, grobowiec Senefa. Jakiś francuski hrabia przyznał na ten cel sporą dotację. Z założenia miało to odwrócić uwagę opinii publicznej od afery związanej ze zniszczeniem muzealnych brylantów. Dziś gala otwarcia.

– Nazwisko? – rzucił Pendergast. Jego głos był ledwie słyszalny,

jakby dobywał się z głębi starej krypty.

To było pierwsze słowo, jakie usłyszała od niego Hayward. – Słucham? – rzuciła.

- Jak się nazywa ten hrabia.
- Thierry de Cahors.
- Czy ktokolwiek go widział?
- Nie mam pojęcia.

Kiedy Pendergast ponownie zamilkł, mówiła dalej. – Przez ostatnie sześć tygodni miały miejsce dwa zgony osób związanych z pracą nad rekonstrukcją grobowca; wypadki z pozoru z sobą niezwiązane. Najpierw technik pracujący w grobowcu został zabity przez swego kolegę po fachu. Chłopak oszalał, zabił swego kumpla, powkładał jego organy wewnętrzne do glinianych dzbanów i zaszył się na poddaszu muzeum. Kiedy próbowano go stamtąd wykurzyć, zaatakował strażnika. Potem zginął kurator nazwiskiem Wicherly. Brytyjczyk ściągnięty do prac przy ekspozycji. Nagle ześwirował, próbował udusić Norę Kelly. Vinnie, znasz ją, prawda?

– Nic jej nie jest?

– Na szczęście wyszła z tego cało. To ona sprawuje pieczę nad otwarciem ekspozycji. Wicherly natomiast został zastrzelony przez rozgorączkowanego ogarniętego paniką strażnika, gdy próbował zaatakować Norę Kelly. A teraz najciekawsze: autopsje wykazały, że obaj napastnicy doznali tego samego rodzaju uszkodzenia mózgu.

D’Agosta spojrzał na nią. – Co takiego?

– Obaj pracowali w grobowcu tuż przed tym, jak popadli w obłąd. Ale mimo iż przeczesałszy cały grobowiec wyjątkowo skrupulatnie, nie znaleźliśmy niczego podejrzanego, żadnych przyczyn natury środowiskowej ani jakiegokolwiek innej. Jak już wspomniałam, oficjalnie te dwa zgony nie są ze sobą powiązane. Tyle tylko że ja nie kupuję wersji o zbiegu okoliczności. To do mnie nie przemawia.

Diogenes coś planuje, czuję to. A kiedy ujrzałam ją dziś wieczorem na gali otwarcia, zrozumiałam, że się nie mylę.

– Kogo? – zapytał półgłosem Pendergast.

– Violę Maskelene.

Na tylnym siedzeniu zrobiło się nagle bardzo cicho.

– Czy pytała ją pani, skąd się tam wzięła? – dobiegł z tyłu spokojny głos.

Hayward płynnym ruchem wyminęła wielką śmieciarkę. – Została wynajęta w ostatniej chwili przez muzeum w zastępstwie Wicherly’ego.

– Kto ją wynajął?

– Szef wydziału antropologii. Menzies. Hugo Menzies.

Kolejna chwila ciszy, tym razem krótsza, zanim Pendergast znów się odezwał: – Proszę powiedzieć, pani kapitan, jaki jest program wieczoru?

Agent Pendergast sprawiał wrażenie, jakby powoli się budził.

– Od siódmej do ósmej przystawki i koktajle. Między ósmą a dziewiątą uroczyste przecięcie wstęgi i otwarcie grobowca. O wpół do dziesiątej kolacja.

– Otwarcie grobowca łączy się, jak mniemam, z jego zwiedzaniem?

– Tak. I widowiskiem audiowizualnym. Prezentowanym na żywo przez telewizję.

– Widowiskiem audiowizualnym?

– Tak.

Głos Pendergasta wcześniej pusty i odległy nagle nabrał mocy i zdecydowania. – Pani kapitan, szybciej, na miłość boską!

Hayward przemknęła jak strzała pomiędzy dwoma samochodami, które uparczywie nie chciały jej przepuścić, tracąc przy tym tylny zderzak. Zerkając w lusterko wsteczne, ujrzała, jak zderzak wylatuje w górę i ląduje na szosie, odbijając się od asfaltu wśród kaskady

iskier.

– Coś mnie ominęło? – zapytał D'Agosta.

– Kapitan Hayward ma rację – rzekł Pendergast. – To jest właśnie to przestępstwo doskonałe, o którym wspomniał Diogenes.

– Jesteś pewien?

– Posłuchajcie uważnie – powiedział Pendergast i zawahał się przez chwilę. – Bo powiem to tylko raz. Wiele lat temu wyrzuciłem bratu naprawdę wielką krzywdę. Został wystawiony – nieumyślnie, ale jednak – na działanie wyjątkowo wymyślnego szatańskiego urządzenia. Jedynym celem tej domeny bólu było doprowadzenie ofiary do szaleństwa lub do śmierci z przerażenia. A teraz Diogenes w osobie Menziesa, za którego się bez wątpienia podaje, w sobie tylko znany sposób będzie próbował odtworzyć to zdarzenie podczas dzisiejszej gali. Jak powiedział Eli Glinn: Diogenesem powoduje głębokie poczucie niepowetowanej krzywdy. Mój brat pragnie powtórzyć to, co go spotkało, ale na wielką skalę. A biorąc pod uwagę, że przekaz telewizyjny ma być prezentowany na żywo, rozmach tego wydarzenia będzie naprawdę olbrzymi. Na tym właśnie polega jego plan. Oto co przez tyle lat zamierzał. Reszta stanowiła jedynie zasłonę dymną.

Osunął się na tylne siedzenie i ponownie zamilkł.

Wóz skręcił z West Side Highway na zjazd przy 79 Ulicy, po czym przyspieszywszy, pomknął jak wichra w kierunku zaplecza muzeum. Wydawało się, że w okolicy panuje całkowity spokój, nie było radiowozów z błyskającymi kogutami ani przelatujących w górze śmigłowców.

Może jeszcze nic się nie stało.

Zjechała w prawo, w Columbus, z piskiem opon objechała 77 Ulicę, wypadła na Museum Drive i zahamowała tuż przed stojącymi tam limuzynami oraz tłumem gapiów. Ledwie samochód stanął,

a Hayward już wyskoczyła na zewnątrz, wymachując odznaką. D'Agosta był tuż przed nią, wbijając się jak żywy klin w tłum gapiów.

– Kapitan Hayward! Policja! – zawołała. – Z drogi!

Tłum rozstał się przed nią z pewnym wahaniem, tych co bardziej opornych usunął z drogi D'Agosta. Po chwili byli już przy aksamitnych linach. Nie zatrzymując się ani na chwilę, D'Agosta powalił na ziemię strażnika, który ośmielił się zastąpić im drogę. Hayward błysnęła odznaką w stronę mocno zdezorientowanych funkcjonariuszy muzealnych na służbie, po czym oboje wraz z D'Agosta wbiegli pędem po wyłożonych dywanem schodach w stronę wielkich spiżowych drzwi muzeum.

Przy wtórze głośnych oklasków Nora zeszła z podium zadowolona, że jej krótkie wystąpienie poszło gładko. Przemawiała jako ostatnia, zaraz po kustoszu wydziału antropologii George’u Ashtonie i Violi Maskelene, teraz zaś miało nastąpić clou wieczoru – przecięcie wstęgi i otwarcie grobowca Senefa. Viola podeszła do niej. – Świetne wystąpienie – rzekła. – Było naprawdę ciekawe.

– Podobnie jak twoja przemowa.

Ujrzała Hugo Menziesa przywołującego je gestem dłoni. Zaczęła przeciskać się przez tłum. Viola pospieszyła za nią. Twarz Menziesa była rumiana, jego niebieskie oczy błyszcząły, w białym fraku i pod muszką wyglądał jak impresario. Trzymał za rękę burmistrza Nowego Jorku Simona Schuylera, przypominającego sowę, łysiejącego mężczyznę w okularach, którego wygląd przeczył niezwyklej przenikliwości i bystrości jego genialnego politycznego umysłu. Miał wygłosić krótkie przemówienie przy kolacji i wszystko wskazywało, że jest na to przygotowany. Stał obok brunetki tak atrakcyjnej, że mogła być tylko jego żoną.

– Noro, moja droga, znasz oczywiście burmistrza Schuylera – powiedział Menzies. – A to pani Schuyler. Simon, to doktor Nora Kelly, główny kurator grobowca Senefa i jedna z naszych najciekawszych, najbardziej błyskotliwych młodych naukowców. To doktor Viola Maskelene, wybitna brytyjska egiptolog.

– Miło mi – rzekł Schuyler, przyglądając się Violi z zaciekawieniem przez grube szkła okularów, po czym spojrzał na Norę, ponownie wrócił wzrokiem do lady Maskelene i uśmiechnął się z aprobatą. – To było naprawdę wspaniałe wystąpienie, pani Maskelene, zwłaszcza ten fragment dotyczący ważenia serca po śmierci. Lękam się niezmiernie, że w ostatnich latach za sprawą tutejszych polityków moje serce stało się o wiele cięższe niż dotychczas. – Zaśmiał się radośnie, a Nora i Viola przyłączyły się do niego z czystej kurtuazji. Menzies także się roześmiał. Schuyler uważał siebie za człowieka obdarzonego olbrzymim poczuciem humoru; opinii tej nie potwierdzała większość jego znajomych. Dziś wieczorem burmistrz wręcz tryskał humorem. To zabawne, zaledwie sześć tygodni temu w ostrych słowach domagał się dymisji Collopy’ego. Oto jak przedstawiała się wielkowiejska polityka.

– Noro – rzekł Menzies – pan burmistrz z małżonką pragnęliby abyś ty i doktor Maskelene towarzyszyły im podczas zwiedzania grobowca.

– Z przyjemnością – odparła z uśmiechem Viola.

Nora pokiwała głową. – Cała przyjemność po naszej stronie. – Wiedziała, że zgodnie z utartym zwyczajem najbardziej znamienitych gości oprowadzali po muzealnych ekspozycjach wybrani pracownicy muzeum. I choć burmistrz Schuyler nie był najwyższym rangą politykiem na gali otwarcia, z pewnością był wśród nich najważniejszy, jako że trzymał rękę na funduszach dla muzeum i najgłośniej gardłował w kwestii zniszczenia kolekcji brylantów.

– Och, znakomicie – powiedziała jego małżonka, najwyraźniej niezbyt zadowolona, że podczas zwiedzania miały im towarzyszyć dwie nader atrakcyjne przewodniczki.

Menzies oddalił się. Nora patrzyła, jak podszedł, by połączyć w pary gubernatora z zastępcą dyrektora muzeum, senatora nowojorskiego z George’em Ashtonem i poszczególnych VIP-ów

z innymi członkami personelu, by dać im odczuć, że zostali szczególnie wyróżnieni.

– Ten człowiek to urodzona swatka – rzekł burmistrz, podążając za nim wzrokiem, i zachichotał. – Przydałby się taki ekspert w moim biurze.

Ciepłe światło sufitowych lamp odbijało się od jego łysiny tak, że przez chwilę głowa burmistrza wyglądała jak kula bilardowa.

– Panie i panowie, proszę o uwagę! – rozległ się donośny szarmancki głos Fredericka Watsona Collopy’ego, który stanął przed drzwiami grobowca, trzymając w dłoniach wielkie nieporęczne nożyce używane przy okazji uroczystych otwarć nowych ekspozycji. Z niewielką pomocą asystenta przyłożył je rozchylone do wstęgi i przygotował się do jej przecięcia.

Rozległ się krótki, wzmagający napięcie dźwięk werbla.

– Niniejszym po ponad pół wieku w mrokach zapomnienia ogłaszam ponowne otwarcie wielkiego grobowca Senefa!

Collopy wyteżył siły, zwarł ostrze nożyc i przecięta wstęga opadła miękko na podłogę. Przy wtórze głośnego łoskotu drzwi z imitacji kamienia rozsunęły się. Orkiestra natychmiast zaintonowała znów znajomy motyw z Aidy, a ci z gości, którzy mieli bilety na pierwszy z dwóch pokazów, zaczęli kierować się w stronę słabo oświetlonego korytarza.

Żona burmistrza zadrżała. – Nie lubię grobowców. Czy ten naprawdę ma trzy tysiące lat?

– Trzy tysiące trzysta osiemdziesiąt – rzekła Viola.

– Ojej, pani tak dużo wie! – powiedziała pani Schuyler, odwracając się do niej.

– My, egipciolodzy, jesteśmy prawdziwymi skarbnicami bezużytecznej wiedzy.

Burmistrz, słysząc jej słowa, zachichotał w głos.

– Czy to prawda, co ludzie mówią, że jest przeklęty? – ciągnęła pani Schuyler.

– W pewnym sensie – odparła Viola. – Wiele egipskich grobowców ma u wejścia inskrypcje zawierające pogróżki wobec tych, którzy mogliby próbować zakłócić spokój tego miejsca. Ta klątwa jest nieco potężniejsza od innych, ale to zapewne dlatego, że Senef nie był faraonem.

– Ojej, mam nadzieję, że nam nic się nie stanie. A kim był ten Senef?

– Właściwie nie wiadomo, prawdopodobnie wujem Tutmozisa IV. Tutmozis został faraonem w wieku lat sześciu, a Senef pełnił funkcję regenta do czasu osiągnięcia przez niego wieku męskiego.

– Tutmozis? Znaczy się Tutenchamon?

– O nie – zaproponowała Viola. – Tutenchamon był całkiem innym faraonem, mniej znaczącym niż Tutmozis.

– Nie mogę się w tym wszystkim połapać – poskarżyła się żona burmistrza.

Weszli do środka i znaleźli się w biegnącym w dół korytarzu.

– Patrz pod nogi, kochanie – powiedział burmistrz.

– To Pierwsze Boskie Przejście – rzekła Viola, po czym wyjaśniła pokrótce układ pomieszczeń w grobowcu. Przysłuchując się temu, Nora przypomniała sobie pełne entuzjazmu komentarze Wicherly’ego podczas obchodu grobowca kilka tygodni temu. Pomimo iż wewnątrz było ciepło, wzdrygnęła się.

Przesunęli się wolno naprzód w stronę pierwszego punktu na trasie zwiedzania, gdzie miało rozpocząć się oczekiwane przez wszystkich widowisko multimedialne. Otaczały ich tłumy ludzi. Kilka minut później pierwszych trzystu gości znalazło się w środku i dał się słyszeć głośny łoskot, gdy drzwi grobowca zamknęły się przy wtórze pustego metalicznego brzęku. Zapanowała niezmacona cisza, a światła

przygasły jeszcze bardziej.

Wtem w ciemnościach dał się słyszeć zgrzyt łopaty kopiącej w piasku. Po chwili do tego odgłosu dołączył kolejny, aż w końcu zebrani usłyszeli istny chór oskardów zawzięcie wgryzających się w piaszczysty grunt. Naraz rozległy się ciche, ukradkowe głosy rabusiów grobów przepełnione wewnętrznym napięciem i niepokojem. Nora obejrzała się przez ramię i zauważyła, że ustawione w rogu kamery stacji PBS zostały włączone i pracowały na całego. Widowisko rozpoczęło się i miliony ludzi obserwowały je na żywo.

Hayward wpadła do sali tuż za D'Agostą i przez moment oślepił ją panujący tutaj blask i feeria barw. Jakaż była jej konsternacja, gdy stwierdziła, że drzwi do grobowca Senefa zostały już zamknięte, a uroczysta czerwona wstęga leżała przecięta na posadzce. Najważniejsi goście znaleźli się w środku, podczas gdy inni kręcili się po sali, sącząc szampana i posilając się przystawkami ze szwedzkich stołów, albo rozprawiali o czymś, siedząc w małych grupach.

– Musimy otworzyć te drzwi i to natychmiast – rzucił Pendergast, który właśnie teraz zatrzymał się obok niej.

– Pomieszczenie komputerowe jest niedaleko, znam drogę. Przebiegli przez całą salę – zaproszeni na galę goście popatrywali na nich z nieskrywanym zdumieniem – po czym przez drzwi na drugim końcu dostali się do sąsiedniego wnętrza.

Pokój komputerowy, w którym kontrolowano grobowiec Senefa, był nieduży. Po jednej stronie znajdował się duży stół z kilkoma monitorami i klawiaturami komputerowymi. Po drugiej wznosiły się półki ze sprzętem elektronicznym, urządzeniami kontrolnymi, syntezatorami i aparaturą wideo. Telewizor z wyłączonym dźwiękiem przekazywał obraz ze stacji PBS prezentującej na żywo ceremonię otwarcia. Przy stole siedziało dwóch techników, obserwując na dwóch monitorach obraz z wnętrza grobowca, na trzecim ekranie zaś pojawiały się długie rzędy cyfr. Gdy niespodziewani goście wpadli do

pomieszczenia, obaj technicy odwrócili się gwałtownie.

– Co z tym widowiskiem? – zapytała Hayward.

– Wszystko idzie jak po maśle – odparł jeden z techników –
A czemu pani pyta?

– Przerwijcie je – rzuciła Hayward. – Otwórzcie drzwi do grobowca.

Technik zdjął słuchawki, które miał do tej pory na uszach. – Nie mogę tego zrobić bez upoważnienia.

Hayward błysnęła mu odznaką przed oczami. – Czy to ci wystarczy? Kapitan Hayward z policji nowojorskiej.

Technik zawahał się i wlepił wzrok w odznakę. W końcu wzruszył ramionami i spojrzał na kolegę. – Larry, uruchom procedurę otwarcia drzwi.

Hayward spojrzała na drugiego technika i zauważyła, że był nim Larry Enderby, pracownik muzeum, którego przesłuchiwała w sprawie próby zamordowania Margo Green i ponownie w związku z kradzieżą brylantów. Ostatnio ten chłopak miał zwyczaj pojawiać się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

– Skoro tak mówisz – rzucił z lekkim powątpiewaniem w głosie Enderby.

Zaczął właśnie stukać w klawisze, kiedy do pomieszczenia wpadł poczerwieniały na twarzy Manetti w towarzystwie dwóch strażników.

– Co tu się dzieje? – zapytał oschle.

– Mamy problem – odparła Hayward. – Przerwywamy przedstawienie.

– Niczego nie przerwiecie bez uzasadnionej przyczyny.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia.

Palce Enderby'ego zawisły w powietrzu nad klawiaturą. Technik popatrywał na przemian to na Hayward, to na Manettiego.

– Staralem się być możliwie jak najbardziej pomocny, pani kapitan – rzekł Manetti. – Ale posunęła się pani za daleko. To otwarcie jest

dla naszego muzeum sprawą kluczową. Zbyt wiele od tego zależy. Są tu wszystkie liczące się osobistości i w dodatku na żywo oglądają nas miliony widzów. Nie pozwolę, by ktoś lub coś przerwało ten spektakl.

– Niech pan mi nie przeszkadza, Manetti – rzuciła surowym tonem Hayward. – Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Już wkrótce wydarzy się tu coś strasznego.

– Nic z tego, pani kapitan – warknął szorstko Manetti, wskazał na włączony telewizor. – Proszę spojrzeć, wszystko jest w porządku. – Sięgnął ręką i podkreślił dźwięk:

„W piątym roku rządów faraona Tutmozisa IV...”

Hayward ponownie odwróciła się do Enderby’ego. – Proszę natychmiast otworzyć te drzwi.

– Niech pan nie wykonuje tego polecenia – powiedział Manetti. Dłonie technika, wciąż wiszące nad klawiaturą, zaczęły drżeć. Manetti spojrzał na Hayward i nagle zauważył Pendergasta. – A to co u licha? Czy nie powinieneś być teraz za kratkami?

– Powiedziałam: otwórz te cholerne drzwi – wycedziła Hayward.

– Coś jest nie tak. – Manetti sięgnął po krótkofalówkę. Pendergast miękko przesunął się naprzód. Odwrócił się poobijaną twarzą do Manetti’ego i łagodnym tonem rzekł: – Z całego serca przepraszam.

– Za co?

Cios został zadany tak szybko, że można było dostrzec jedynie rozmytą plamę, gdy pięść Pendergasta niemal wystrzeliła, a Manetti przy wtórze zduszonego uch! zgiął się wpół. Płynnym, błyskawicznym ruchem Pendergast wyłuskał z kabury służbowy pistolet Manetti’ego i wymierzył broń w stronę dwóch strażników.

– Pistolety, pałki, pojemniki z gazem łzawiącym i krótkofalówki, na podłogę – rozkazał.

Obaj strażnicy wykonali polecenie.

Pendergast wyjął z kabury jeden z pistoletów i podał D'Agoście.

– Pilnuj ich.

– Jasne.

Pendergast wziął pistolet drugiego strażnika i zatknął go za pasek. Następnie odwrócił się do Manettiego, który klęczał, przyciskając dłoń do przepony i rozpaczliwie usiłując zaczerpnąć tchu. – Naprawdę bardzo mi przykro. Dziś wieczorem wskutek pewnego zbrodniczego spisku życie wszystkich, którzy weszli do grobowca, znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Musimy przerwać pokaz, czy to się panu podoba, czy nie. A teraz jeszcze pytanie: gdzie jest Hugo Menzies?

– Napytałeś sobie biedy, koleś – wysapał Manetti. – Kłopoty, jakie miałeś do tej pory, to jeszcze nic w porównaniu z tym, w co wdepnąłeś teraz. – I zaczął się podnosić.

D'Agosta wymierzył w niego broń, a Manetti zastygł w bezruchu.

– Menzies jest w grobowcu razem z pozostałymi – powiedział po chwili szef ochrony.

Pendergast odwrócił się do techników i lodowatym, złowrogim tonem wycedził: – Panie Enderby? Słyszał pan polecenie. Proszę otworzyć drzwi.

Technik śmiertelnie przerażony tylko pokiwał głową i zaczął stukać w klawisze. – Nie ma sprawy, proszę pana. Otworzę je w try miga.

Chwila ciszy.

Kolejne staccato uderzeń w klawisze, a potem znów krótka przerwa. Enderby zmarszczył brwi. – Chyba mamy jakąś usterkę...

„W piątym roku rządów faraona Tutmozisa IV Senef, wielki wezyr i były regent młodego faraona, zmarł z nieznanых przyczyn. Został pochowany w wielkim grobowcu w Dolinie Królów, który budowano przez dwanaście lat. Choć sam Senef nie był faraonem, został złożony w Dolinie Królów jako ten, który piastował funkcję regenta i prawdopodobnie zyskał moc równą faraonowi, od kiedy zasiadł na tronie swego podopiecznego. Wielki grobowiec Senefa pełen był wszelakich bogactw, w jakie opływał starożytny Egipt: funeralnych precjozów w srebrze, złocie, lapis-lazuli, krwawniku, alabastrze, onyksie, granicie i diamentie, jak również wytwornych mebli, wszelakiego jadła, rydwanów, zwierząt i broni. Nie oszczędzono na niczym. W dziesiątym roku swoich rządów Tutmozis podupadł na zdrowiu. Jego syn Amenhotep III został ogłoszony faraonem przez frakcję wojskową; sprzeciwili się temu kapłani. W Górnym Egipcie wybuchły zamieszki, na ziemiach dwóch królestw zapanowały przemoc i chaos.

To był odpowiedni czas na złupienie grobowca.

I tak oto pewnego ranka arcykapłani wyznaczeni do pełnienia straży przy wielkim grobowcu Senefa zaczęli kopać...”

Głos narratora zamilkł. Nora stała w mrocznym korytarzu Drugiego Boskiego Przejścia obok burmistrza i jego małżonki. Viola Maskelene przystanęła za nimi. Odgłosy kopania przybrały na sile, głośnie szuu-szuu pracujących łopat osiągnęło crescendo pospołu z głosami

podeksytowanych rabusiów grobów. Zduszony śmiech, zgrzyt łopaty o kamień, a potem ostry trzask rozłupywanych oskardem gipsowych zabezpieczeń. Wszyscy wokół, trzy setki najznamienitszych osobistości, specjalnie wybranych nowojorskich grubych ryb, cała śmietanka towarzyska patrzyła na to w zachwycie i z nieskrywaną fascynacją.

Widowisko trwało, dał się słyszeć głuchy łoskot, a zaraz potem zgrzyt przesuwanego wielkiego głazu; to rabusie odsuwali na bok zewnętrzne drzwi grobowca. Pojawił się promyk światła rozjaśniający mroczne wejście. Chwilę później oczom zwiedzających ukazały się generowane cyfrowo twarze łupieżców wchodzących do budowli i zapalających pochodnie. Mimo iż Nora widziała to wszystko już wcześniej, wciąż nie mogła się nadziwić, jak realistycznie wyglądały holograficzne postacie złodziei.

Drugi zestaw projektorów włączył się płynnie, rzucając obraz na przemyślnie ukryte ekrany; łupieżcy grobów trwożliwie ruszyli w głąb grobowca, maszerując korytarzem tuż przed zgromadzoną widownią. Gestykulując energicznie i posykując raz po raz, widmowi rabusie zaczęli nawoływać zebranych, aby szli za nimi niejako w charakterze współników przestępczego czynu. Goście mieli przejść do drugiego punktu na trasie zwiedzania, który znajdował się w Sali Rydwanów. Idąc wśród tłumu znamienitości, Nora aż zadrżała z przyływu przepętniającej ją dumy. Scenariusz był rewelacyjny, Wicherly odwalił kawał naprawdę dobrej roboty. Mimo swoich uczuć wobec niego nie mogła mu odmówić talentu i zmysłu artystycznego. Poza tym Nora była dumna z własnego wkładu twórczego. Hugo Menzies trzymał ogólną pieczę nad całym projektem, lecz nie próbował niczego zmieniać ani forsować na siłę, a jedynie dobrą radą i podpowiedzią pomagał połączyć wszystko w zwartą, logiczną całość. Technicy i ekipa od sprzętu audio-wideo także spisali się na medal.

Sądząc po zachwycie widowni, wszystko jak na razie szło doskonale.

Kiedy tłum przemaszerował za widmowymi postaciami złodziei w głąb korytarza, w stronę studni, światła za ukrytymi panelami zaczęły migotać, symulując padający na ścianę falujący blask pochodni. Przejście odbywało się płynnie, widzowie starali się dotrzymać kroku wyprzedzającym ich grabieżcom. Przy studni łupieżcy przystanęli i przez chwilę rozważali, jak pokonać niebezpieczną czeluść. Kilku z nich dźwigało na ramionach cienkie pnie drzew, które powiązali razem sznurami. Za pomocą prymitywnego systemu kołowrotek i wielokrążków opuścili kłody i przerzucili przez studnię, tworząc prostą kładkę. Widmowe postacie zaczęły przechodzić po tym skrzypiącym moście jak po linie.

Gdy jedna z sylwetek ześlizgnęła się z mostu, z przerażającym krzykiem runęła w ciemną otchłań; wrzask urwał się nagle jak ucięty nożem i dał się słyszeć przyprawiający o mdłości odgłos ciała rozbijającego się o kamienie. Widzowie na chwilę wstrzymali oddech.

– Ojejku – wyszeptała żona burmistrza. – To takie... realistyczne.

Nora rozejrzała się dokoła. Początkowo była przeciwna temu dramaturgicznemu dodatkowi, ale musiała przyznać, sądząc po pełnych ekscytacji szeptach i okrzykach, że zamierzony efekt został osiągnięty. Nawet żona burmistrza, pomimo pewnych obiekcji, wydawała się urzeczona.

Kolejne ukryte ekrany holograficzne opuściły się na wyznaczone miejsca, inne zaś zostały ukryte, podczas gdy kontrolowane komputerowo projektory wideo bezbłędnie przekazywały obrazy grabieżców z jednego ekranu na drugi, wywołując złudzenie trójwymiarowości. Efekt był zdumiewająco rzeczywisty. A jednak kiedy ostatni gość opuści grobowiec, wszystkie ekrany wrócą na swoje miejsca, a obrazy śmierci i zniszczenia znikną, pozostawiając wnętrza nietknięte i nieskalane, gotowe na przyjęcie kolejnej grupy.

Goście weszli za hologramami do Sali Rydwanów. Tu grabieżcy rozproszyli się zdumieni widokiem niewiarygodnych bogactw, jakie mieli przed sobą: górą złota i srebra, lapis-lazuli i drogich klejnotów lśniących w blasku pochodni. Zebrany drogę odcięła opuszczająca się kamienna płyta na drugim końcu sali, a po chwili głos narratora zapoczątkował drugą część widowiska:

„Grobowiec Senefa jak wiele starożytnych egipskich grobowców zawierał inskrypcje mające nałożyć klątwę na wszystkich, którzy zakłócą jego spokój. Ale jeszcze silniejszym środkiem odstrasającym niż klątwa był własny lęk rabusiów przed mocą faraona. Ponieważ owi arcykapłani, choć chciwi i zepsuci, byli także ludźmi religijnymi, wierzyli oni w boskość faraona i jego wieczne życie, wierzyli w magiczną moc przedmiotów umieszczonych w jego grobowcu. Magia tych przedmiotów była wyjątkowo niebezpieczna i gdyby nie została zniwelowana, mogłaby wyrządzić rabusiom wiele złego.

Dlatego też pierwsze, co uczynili grabieżcy, to zniszczyli wszystkie przedmioty znajdujące się w grobowcu, aby zniweczyć tę moc...”

Rabusie, pokonawszy w sobie pierwotny strach, zaczęli sięgać po rozmaite przedmioty, jakie ich otaczały, i zrazu nieśmiało, a potem z coraz większym zapamiętaniem ciskali nimi na prawo i lewo w istnej orgii zniszczenia, rozbijając meble, wazony, pancerze i posągi o ściany, kamienną posadzkę i masywne grube kolumny; widmowe projekcje drogich kamieni, złota i odłamków alabastru posypały się we wszystkie strony. Grabieżcy, dokonując swego niszczyielskiego dzieła, pokrzykiwali i klęli na całe gardło. Inni łupieżcy zaczęli pełzać na czworakach, wybierając spośród zniszczonych przedmiotów cenne precjoza i pakując je do worków.

Także tym razem wrażenie było niesamowite.

„Wszystko ulegnie zniszczeniu. Jedyne cenne przedmioty, które złodzieje

zabiorą z grobowca, będą rozbite na kawałki, a później przerobione. Przedmioty z metali szlachetnych zostaną przetopione, drogie klejnoty, mozaiki z lapis-lazuli, turkusów i jaspisu zaś wydłubane z obsad i ponownie przeszlifowane. Wszystkie te skarby niebawem zostaną wywiezione z Egiptu, aby resztki mocy boskiego faraona na dobre opuściły każdy z tych przedmiotów. Całkowita zagłada, oto jaki los czeka wszystkie te piękne i bezcenne przedmioty znajdujące się w grobowcu. Dzieło tysięcy rzemieślników, lata ciężkiej pracy w jeden dzień obrócą się w niwecz. Zostaną po nich jedynie żałosne szczątki...”

Zduszone przekleństwa, gniewne okrzyki i odgłosy zniszczeń przybrały na sile. Nora spojrzała na burmistrza i jego małżonkę; oboje w osłupieniu, z otwartymi ustami obserwowali rozwój wydarzeń: widowisko pochłonęło ich bez reszty. Tak samo reagowała reszta gości. Wszyscy byli zauroczeni spektaklem, nawet funkcjonariusze policji i ekipa telewizyjna. Viola Maskelene wychwyciła spojrzenie Nory. Pani egiptolog pokiwała głową i uniosła oba kciuki w górę.

Nora znów zadrżała. Grobowiec Senefa był skazany na olbrzymi sukces. A ona była wszak kuratorem tej wystawy. Ten sukces był także jej zasługą. Menzies miał rację, ta ekspozycja utoruje jej drogę do dalszej kariery.

Znów rozległ się głos narratora:

„Obecnie, po zniszczeniu Sali Rydwanów i pozbieraniu rozbitych na kawałki precjozów, grabieżcy przeszli do najdalszej części grobowca, tak zwanego domu złota, wewnętrznej komnaty pogrzebowej. Była to pełna największych skarbów i największych zagrożeń część grobowca. Ponieważ właśnie tam spoczywa sam faraon, to znaczy jego ciało – jak powszechnie wierzono – zmumifikowane, ale nie martwe...”

Wciąż ściskając w dłoniach pochodnie, spoceni i rozochoceni po niedawnej orgii zniszczenia holograficzni grabieżcy przeszli przez

wąskie, łukowato sklepione wejście do komnaty pogrzebowej. Automatycznie zamykane drzwi otwarły się i tłum podążył za rabusiami przez Salę Rydwanów do komory grzebalnej, by zebrać się tam na dalszy ciąg spektaklu. Z sufitu opuściła się masywna płyta, odcinając im drogę wyjścia. Głos narratora rozległ się ponownie, gdy widowisko zaczęło zbliżać się do nieuchronnej kulminacji:

„Komnata pogrzebowa stanowiła miejsce spoczynku zmumifikowanego ciała faraona, które zawierało w sobie duszę ba, jedną z pięciu dusz umarłych.

Grabież zaplanowano tak, by została dokonana w biały dzień. Zrobiono to rozmyślnie – wedle egipskich wierzeń za dnia duszy ba nie było w grobowcu, gdyż w tym czasie wędrowała ze słońcem po niebie. O zmierzchu dusza ba powracała do mumii faraona, by się z nią zjednoczyć. Biada grabieżcom, którzy pozostaliby w grobowcu po zmierzchu, kiedy mumia powróci do życia! Lecz ci łupieżcy nie byli dostatecznie ostrożni. Zegary mechaniczne jeszcze nie istniały, a w mrokach grobowca zegary słoneczne były wszak nieprzydatne. Rabusie grobów jeszcze o tym nie wiedzą, ale na zewnątrz, za murami grobowca, słońce zaczęło już chylić się ku zachodowi...”

I znów rabusie rzucili się w wir niszczycielskiej pasji, rozbijając w drobny mak gliniane słoje, rozrzucając na wszystkie strony zmumifikowane organy Senefa, wysypując zawartość wiklinowych koszy pełnych ziarna i chleba, depcząc zebrane w sali jado i rozszarpując na strzępy zmumifikowane zwierzęta, odłupując głowy posągom. Następnie zabrali się do usuwania wieka wielkiego kamiennego sarkofagu, wsuwając z jednej strony cedrowe tyczki i powoli, milimetr po milimetrze przesuwając ważącą pół tony płytę, aż całkiem zsunęła się z sarkofagu i pękła na pół, uderzając o kamienną posadzkę grobowca. Za sprawą magii projekcji

holograficznej efekt był wyjątkowo realistyczny.

Nora poczuła, że ktoś dotyka jej łokcia, a gdy spuściła wzrok, spostrzegła uśmiechającego się do niej burmistrza. – To naprawdę fantastyczne – wyszeptał i mrugnął porozumiewawczo do Nory. – Wygląda na to, że klątwa Senefa została wreszcie raz na zawsze zdjęta.

Spoglądając na jego łysinę i okrągłe lśniące oblicze, Nora mimowolnie uśmiechnęła się do siebie. Burmistrz wyglądał teraz jak małe dziecko. Jadł jej z ręki. Podobnie jak oni wszyscy. Miała ich w garści. Wszelkie wątpliwości, jakie dręczyły ją do tej pory, przysły w jednej chwili. Widowisko było strzałem w dziesiątkę; wszystko wskazywało, że odniesie ono naprawdę wielki, wręcz monstrialny sukces.

D'Agosta patrzył z niedowierzaniem, jak obaj technicy pracują gorączkowo, wystukując kolejne komendy na klawiaturach.

– Co się stało? – spytała Hayward.

Enderby nerwowo otarł czoło. – Nie wiem. Terminal nie przyjmuje moich poleceń.

– Może to jakoś obejść – rzuciła Hayward.

– Już próbowałem.

Hayward odwróciła się do Manettiego. – Proszę powiadomić straż w grobowcu. Niech im pan powie, że zamykamy przedstawienie. Wyjęła krótkofalówkę, zamierzając rozmówić się ze swoimi ludźmi w środku. Nagle przerwała i spojrzała na Manettiego, który wyraźnie pobladł. – O co chodzi?

– Sam nie wiem. Próbowałem skontaktować się z moimi ludźmi w grobowcu. Nie ma łączności. Żadnej.

– Jak to możliwe? Są niecałe pięćdziesiąt jardów stąd!

– Grobowiec ma ekran ochronny przed falami radiowymi – rzekł półgłosem Pendergast.

Hayward odłożyła krótkofalówkę. – Proszę skorzystać z wewnętrznego systemu łączności. Są tam przecież głośniki, prawda?

Enderby znów zaczął gorączkowo stukać w klawisze. – Też padł.

Hayward spojrzała na niego. – Proszę odłączyć dopływ prądu do głównego wejścia. W przypadku całkowitej awarii zasilania drzwi

można otworzyć ręcznie.

Enderby wprowadził kolejną komendę, po czym uniósł dłonie w geście kompletnej bezradności.

Wtem Pendergast wskazał na jeden z monitorów rejestrujący i przekazujący na żywo obraz z wnętrza sali. – Widzieliście to? Proszę to cofnąć.

Jeden z techników cofnął cyfrowy zapis obrazu.

– Tutaj – Pendergast wskazał zamgloną postać stojącą w cieniu. – Czy może pan wyostrzyć obraz? – ponagłał. – I powiększyć go?

D'Agosta patrzył w milczeniu, jak obraz staje się coraz bardziej wyraźny. Wszyscy obserwowali z uwagą, jak wskazany przez agenta mężczyzna sięgnął do kieszeni fraka, jakby od niechcienia wyjął czarną materiałową maseczkę relaksacyjną na oczy i założył ją. Chwilę potem z drugiej kieszeni wyłuskał zatyczki i włożył je do uszu.

– Menzies – wyszeptała Hayward.

– Diogenes – mruknął Pendergast jakby do siebie głosem zimnym jak lód.

– Musimy wezwać posiłki – powiedział Manetti. – Ściągnijcie tu oddział SWAT i...

– Nie – przerwał mu Pendergast. – Nie mamy czasu. To by wszystko opóźniło. Konieczne byłoby założenie punktu dowodzenia i postępowanie zgodnie z ustalonymi przepisami dotyczącymi sytuacji kryzysowych. Mamy najwyżej dziesięć minut.

– To nie do wiary, że drzwi nie chcą się otworzyć! – rzucił Enderby, uderzając pięścią w klawiaturę. – Zaprogramowaliśmy dwa całkowicie od siebie niezależne programy wspomagające. To nie ma sensu. Nic nie działa. Zero jakiegokolwiek reakcji.

– I tak już będzie – rzekł Pendergast. – Drzwi się nie otworzą niezależnie, co pan zrobi. Menzies-Diogenes z całą pewnością opracował i wprowadził własny program, aby przejąć kontrolę nad

widowiskiem i systemem zabezpieczeń grobowca. – Pendergast znów przeniósł wzrok na Enderby’ego. – Czy ma pan listę wszystkich funkcjonujących programów?

– Tak. – Enderby wprowadził serię komend. D’Agosta zerknął z ukosa: na ekranie otworzyło się małe okienko, w którym pojawiła się lista tajemniczo brzmiących słów w rodzaju asmcomp, rutil, syslog, kcron.

– Proszę sprawdzić wszystkie nazwy programów – rzekł Pendergast. – Zwłaszcza tych, które są bezpośrednio związane z systemem. Czy dostrzega pan coś dziwnego?

– Nie – Enderby utkwiał wzrok w ekran. – Tak. Ten tutaj, o nazwie kernel_con_fund_o.

– Domyśla się pan, czemu on może służyć?

Enderby zamrugał. – Sądząc po nazwie, jest to plik odpowiedzialny za dostęp do systemu. Zero na końcu wskazuje, że to wersja beta.

– Proszę sprawdzić, czy udałoby się go zatrzymać lub odwrócić jego działanie. – Pendergast odwrócił się do Hayward i D’Agosty. – Choć obawiam się, że już znam odpowiedź.

– To znaczy? – spytała Hayward.

– To na końcu to nie zero, lecz litera „o”. Confundo znaczy po łacinie zamęt, zamieszanie, chaos. Podejrzewam, że to program napisany i wprowadzony do systemu przez Diogenesa w celu przejęcia kontroli nad widowiskiem. – Wykonał zamaszysty ruch ręką, wskazując znajdujące się wokoło urządzenia. – Domyślam się, że cały ten sprzęt, dosłownie wszystko, znajduje się we władzy Diogenesa.

Tymczasem Enderby z napięciem wpatrywał się w ekran. – Wygląda na to, że kontrolę nad spektaklem sprawuje inny serwer znajdujący się w samym grobowcu. Podporządkowane mu są wszystkie systemy w pomieszczeniu kontrolnym.

Pendergast nachylił się ponad ramieniem technika. – Czy mógłby

pan go zaatakować, jakoś go uszkodzić?

Znów desperackie, wściekłe stukanie w klawisze. – Nie. Teraz system nie przyjmuje już nawet moich komend.

– Proszę odciąć całe zasilanie grobowca – rzekł Pendergast.

– Włączy się awaryjne...

– To także proszę odciąć.

– W środku zapadną iście egipskie ciemności...

– Proszę to zrobić.

Jeszcze raz stukanie w klawisze i zduszone przekleństwo. – Nic.

Pendergast rozejrzył się dokoła. – Wobec tego trzeba spróbować bardziej radykalnych metod.

Podszedł do skrzynki rozrządowej, otworzył ją i opuścił dźwignię, wyłączając zasilanie całego głównego obwodu. Kilka sekund później dał się słyszeć suchy trzask oznajmiający uruchomienie zasilania awaryjnego, zapaliły się rzędy włączających się świetlówek.

Enderby z niedowierzaniem wpatrywał się w monitory. – To niesłychane. Grobowiec wciąż ma pełne zasilanie. Spektakl rozgrywa się dalej, jak gdyby nigdy nic. W środku musi znajdować się drugi generator. Ale tego nie było na planach, które ja...

– Gdzie znajduje się źródło zasilania awaryjnego dla tego pomieszczenia? – przerwał mu Pendergast.

Manetti wskazał na dużą, szarą, metalową szafkę w rogu pokoju. – Są tam przekaźniki łączące główne przewody zasilania grobowca z awaryjnym generatorem muzeum.

Pendergast cofnął się i wycelował z pistoletu Manettiego w szafkę. Wystrzelił w nią cały magazynek; huk wystrzałów zabrzmiał wyjątkowo głośno w dźwiękochłonnym pomieszczeniu, pociski wyrwały strzępiaste dziury w metalu, w powietrzu zaroilo się od skrawków szarego lakieru. Dał się słyszeć suchy trzask, pojawił się jaskrawy łuk elektryczny, po czym światła zamigotały i zgasły

pozostała jedynie poświata bijąca z ekranów komputerowych i rozchodzący się wokoło smród kordytu i stopionej izolacji.

– Komputery nadal działają – stwierdził Pendergast. – Jak to?

– Mają własne akumulatorowe zasilanie awaryjne.

– Wobec tego proszę zresetować cały system. Niech pan powyjmuje z nich wtyczki przewodów zasilania i ponownie je podłączy.

Enderby wpełzł pod stół i zabrał się do dzieła, a chwilę potem w pokoju zrobiło się cicho i ciemno choć oko wykol. Hayward zapaliła latarkę.

Gwałtownie otwarły się drzwi i do pokoju wszedł wysoki mężczyzna w czerwonym fularowym krawacie i okrągłych czarnych okularach. – Co się tu dzieje? – zapytał piskliwym głosem. – Prowadzę przekaz na żywo dla milionów widzów, a wy nie potraficie nawet zadbać o taką drobnostkę, jaką jest zasilanie? Posłuchajcie, moje generatory awaryjne nie pociągną dłużej niż kwadrans. – D’Agosta rozpoznał Randalla Loftusa, słynnego reżysera; oblicze tamtego było czerwone z wściekłości.

Pendergast odwrócił się do D’Agosty i nachylił się ku niemu. – Wiesz, co masz zrobić, Vincencie?

– Tak – odparł D’Agosta. Następnie zwrócił się do reżysera. – Pomogę panu.

– Oby – mruknął Loftus, po czym odwrócił się na pięcie i sztywnym krokiem opuścił pokój. D’Agosta ruszył za nim. W sąsiedniej sali goście tłoczyli się w ciemnościach rozjaśnionych jedynie blaskiem setek maleńkich światełek rozstawionych na stołach, podekscytowani, lecz nie zaniepokojeni, najwyraźniej traktowali to, co się stało, jak przygodę. Straż muzealna krążyła w tę i z powrotem, uspokajając ludzi, że zasilanie już wkrótce zostanie przywrócone. D’Agosta maszerował za reżyserem w stronę drugiego końca sali, gdzie rozlokowała się jego ekipa. Wszyscy pracowali szybko i sprawnie,

szepecząc coś do mikrofonów albo zerkając w monitory zamontowane na kamerach.

– Straciliśmy łączność z ekipą w środku – powiedział jeden z członków. – Ale wygląda na to, że zasilanie wciąż działa. W dalszym ciągu nadają, a przekaz jest bez zarzutu. To dzięki kablowi generatora awaryjnego. Chyba nawet nie wiedzą, że mamy tu przejściowe kłopoty.

– Dzięki Bogu i za to – mruknął Loftus. – Wolałbym umrzeć, niż nadawać ciszę w eterze.

– Ten kabel generatora awaryjnego – rzekł D’Agosta – gdzie on jest?

Loftus wskazał na gruby przewód ciągnący się jak wąż przez całą długość sali i na zewnątrz pokryty warstwą gumowej izolacji i zabezpieczony specjalną taśmą.

– Rozumiem – mruknął D’Agosta. – A gdyby przeciąć ten kabel?

– Uchowaj Boże! – rzucił Loftus. – Stracilibyśmy naszą transmisję. Ale tego przewodu nic nie przetnie. Potrzeba by czegoś więcej niż przypadkowe kopnięcie, aby go uszkodzić.

– Nie ma pan zapasowego przewodu?

– Nie ma takiej potrzeby. To specjalny przewód z plecionej stali w gumowo-epoksydowej powłoce, jest niezniszczalny. No więc, panie władzo... jak się pan w ogóle nazywa?

– D’Agosta. Jestem porucznikiem.

– Wygląda na to, że nie jest pan nam potrzebny – Loftus odwrócił się do niego plecami i wskazał na jednego ze swoich podwładnych. – Ty szmondaku, nigdy nie zostawiaj włączonego monitora bez nadzoru!

D’Agosta rozejrzał się wokoło. Na drugim końcu sali, przy wejściu wisiała zgodnie z przepisami gablota ze sprzętem przeciwpożarowym, zawierająca za taflą kruchego szkła zwinięty szlauch i masywną

siekierę strażacką marki Pułaski. Podszedł tam, kopniakiem stłukł szybę w gablocie i wydobył ze środka siekierę. Następnie podszedł do miejsca, gdzie skrępowany taśmą przewód skręcał za załom muru, popluł w dłonie, ugiął lekko nogi i zamachnął się siekierą, unosząc ją nad głową.

– Ej, co jest! – zawołał jeden z pracowników ekipy telewizyjnej. – Co ty robisz?

D’Agosta zamaszystym ruchem przeciął kabel elektryczny pośród kaskady iskier. Randall Loftus wydał z siebie nieartykułowany ryk wściekłości. Po chwili porucznik wrócił do pomieszczenia kontrolnego. Pendergast i technicy wciąż pracowali przy zresetowanym systemie, który jednak w dalszym ciągu odmawiał akceptowania wprowadzanych kolejnych komend.

Pendergast odwrócił się do niego. – A Loftus?

– Z wściekłości wychodzi z siebie.

Pendergast pokiwał głową, na jego ustach przez moment pojawił się cień uśmiechu. Wtem uwagę D’Agosty przykuły migające światła widoczne na jednym z monitorów przekazujących na żywo obraz z wnętrza grobowca.

– Co to takiego? – spytał oschłym tonem Pendergast.

– Lampy stroboskopowe się włączyły – odparł Enderby, pochylając się nad klawiaturą.

– W spektaklu używane są lampy stroboskopowe?

– W końcowej części widowiska. No, wie pan, dla zapewnienia lepszych efektów specjalnych.

Pendergast przeniósł uwagę na monitor, błękitna poświata odbijała się w jego przenikliwych szarych oczach. Rozbłysły kolejne światła stroboskopowe, a zaraz potem dał się słyszeć dziwny łoskot.

Enderby nagle się wyprostował. – Chwileczkę. Nie tak to miało być.

Z głośnika monitora popłynęły dźwięki z wnętrza grobowca, w tym

także coraz bardziej wyraźne głosy zebranych tam gości.

Pendergast odwrócił się do Hayward. – Pani kapitan, przypuszczam, że podczas kontroli systemu bezpieczeństwa przeglądała pani plany grobowca i jego najbliższych okolic?

– Tak.

– Gdyby zaszła taka potrzeba, które miejsce pani zdaniem nadawałoby się najlepiej na wejście do grobowca z zewnątrz przy użyciu siły?

Hayward zamyśliła się przez chwilę. – Jest tunel łączący stację metra przy 81 Ulicy z wejściem do muzeum. Ciągnie się on na tyłach grobowca i jest tam miejsce, gdzie ściana pomiędzy przejściem a komnatą pogrzebową ma zaledwie dwadzieścia cztery cale grubości.

– Dwadzieścia cztery cale, ale czego?

– Betonu i prętów zbrojeniowych. To ściana nośna.

– Dwadzieścia cztery cale betonu – mruknął D’Agosta. – Równie dobrze mogłoby być sto stóp. Nie damy rady się przebić. Nic z tego. Za mało czasu. Nie zdążymy.

W maleńkim pokoju zapanowała głucha cisza przerywana jedynie dziwnymi dźwiękami dochodzącymi z wnętrza sali i szmerem tłumy gości. D’Agosta zauważył, że ramiona Pendergasta zwiśły bezwładnie. A więc to tak, pomyślał ze zgrozą. Diogenes zwycięża, pomyślał o wszystkim, a my nie możemy nic zrobić, aby pokrzyżować mu plany.

Nagle Pendergast drgnął i wyprężył się jak struna. Jego oczy rozbłysły, wziął głęboki oddech. A potem zwrócił się do jednego ze strażników. – Ty, jak się nazywasz?

– Rivera.

– Wiesz, gdzie jest wydział wypychania zwierząt?

– Tak.

– Idź tam i przynieś mi butelkę gliceryny.

– Gliceryny?

– To środek do zmiękczenia skór, muszę mieć go spory zapas. Następnie Pendergast odwrócił się do Manettiego. – Proszę wysłać paru strażników na dół, do laboratorium chemicznego. Potrzebuję kilku butelek kwasu siarkowego i kwasu azotowego. Powinni je znaleźć tam, gdzie składowane są niebezpieczne substancje chemiczne.

– Czy mogę zapytać...?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Będę również potrzebował rozdzielacza z kurkiem zamykanym u dołu i wody destylowanej. Aha, i przydałby się również szklany termometr.

Pendergast rozejrzał się dokoła, znalazł kartkę i ołówek i sporządziwszy krótką notatkę, podał kartkę Manettiemu. – Niech zapytają technika z laboratorium, gdyby mieli z tym jakiś problem.

Manetti pokiwał głową.

– A na razie proszę opróżnić salę. Niech wszyscy stąd wyjdą z wyjątkiem policji i straży muzealnej.

– Załatwione. – Manetti skinął na dwóch strażników, którzy natychmiast opuścili pomieszczenie kontrolne.

Pendergast zwrócił się do techników. – Nic tu więcej nie działacie. Opuśćcie budynek wraz z innymi.

Obaj poderwali się, pragnąc jak najszybciej wydostać się z muzeum.

Teraz Pendergast zwrócił się do D'Agosty. – Vincencie? Mam zadanie dla ciebie i kapitan Hayward. Udajcie się na stację metra. Pomóż pani kapitan odnaleźć ten słaby punkt w ścianie tunelu.

D'Agosta i Hayward wymienili spojrzenia. – Dobra.

– A, Vincencie, byłbym zapomniał. Jeszcze jedna sprawa. Ten kabel, który właśnie przeciąłeś. – Pendergast wskazał na jeden z ekranów. – Diogenes musiał ukryć gdzieś jeszcze jeden generator awaryjny. Transmisja wciąż trwa. Proszę, zrób z tym coś.

– Zajmiemy się tym. – To rzekłszy D'Agosta i Hayward, idąc ramię w ramię, opuścili pomieszczenie kontrolne.

– To po prostu cudowne! – wyszeptał burmistrz wprost do ucha, Nory.

Holograficzni rabusie grobów po zdemolowaniu komnaty pogrzebowej zbliżali się do otwartego sarkofagu. Wyraźnie dygotali, wahali się, aż w końcu jeden odważył się zajrzeć do środka. – Złoto! – wysapał mężczyzna; głos był rzecz jasna nagrany na taśmie. – Szczere złoto!

Głos narratora powrócił:

„Oto nadchodzi chwila prawdy. Grabieżcy zaglądną do wnętrza sarkofagu, by ujrzeć wykonaną ze szczerzego złota trumnę Senefa. Dla starożytnych Egipcjan złoto było czymś więcej niż metalem szlachetnym, oddawali mu niemal boską cześć. Była to jedyna znana im substancja, która nie śniedziła, nie ciemniała ani nie korodowała. Uważali, że złoto jest nieśmiertelne, że to z niego właśnie utworzona jest skóra bogów. Trumna odzwierciedlała nieśmiertelnego faraona zmartwychwstałego w swojej złotej skórze; tej samej, którą Re, bóg Słońca, nosił podczas podróży po niebie, omiatając ziemię złocistym blaskiem.

Wszystko, co ukradli do tej pory, to jedynie preludium do tego, co kryje się tutaj, w sercu grobowca...”

Widowisko trwało – złodzieje ustawili nad sarkofagiem sklecony naprędce trójnóg z drewnianych bali i zamocowali do niego blok

z wielokrażkiem, aby unieść wieko ciężkiej złotej trumny. Dwóch z nich weszło do sarkofagu i wprawnie oplotło znajdującą się tam trumnę sznurami, po czym z okrzykiem triumfu pozostali zaczęli ciągnąć i olbrzymie złote wieko uniosło się ku światłu błyszczące i olśniewające.

Widzowie na chwilę wstrzymali oddech.

Nagrany głos narratora kontynuował:

„Grabieżcy o tym nie wiedzieli, ale na zewnątrz już zaszło słońce. Dusza ba Senefa powróci teraz do grobowca, by spędzić noc w ciele mumii i ożywić jego wyschnięte na wiór kości na kilka najbliższych godzin mroku aż do nastania świtu”.

To było to: powrót duszy ba do ciała trupa, kulminacja klątwy Senefa. Nora, która wiedziała, co się teraz wydarzy, przygotowała się na to psychicznie. Z wnętrza trumny dobiegł jakiś hałas, krótki zduszony jęk. Łupieżcy przerwali pracę, wieko złotej trumny zakołysało się na linach. W tej samej chwili włączyły się urządzenia do wytwarzania mgły i z sarkofagu zaczęły sączyć się wstęgi białawych oparów, wijąc się węzowymi splotami po masywnych kamiennych ściankach. Tłum znów na chwilę wstrzymał oddech. Rozległy się zduszone okrzyki i głośnie westchnienia. Nora uśmiechnęła się pod nosem. Efekt może i tandetny, jak ze starych filmów grozy, ale najwyraźniej okazał się skuteczny.

Dał się słyszeć huk grzmotu, a pośród gęstniejącej mgły zaczęły błyskać rozmieszczone w narożach pod sufitem lampy stroboskopowe, współgrając ze złowieszczym łoskotem. Lampy stroboskopowe do tej pory funkcjonowały jednostajnym rytmem... i nagle wszystkie cztery zaczęły błyskać asynchronicznie, każda w innym tempie.

Cholera, jakaś usterka. Nora rozejrzała się dokoła, poszukując wzrokiem techników, gdy nagle uświadomiła sobie, że znajdowali się

oni teraz w pomieszczeniu kontrolnym, monitorując zdalnie przebieg widowiska. Bez wątplenia zaraz to naprawią.

W miarę jak lampy stroboskopowe to przyspieszały, to zwalniały tempo, dał się słyszeć drugi grzmot – niewiarygodnie cicha, głęboka wibracja ledwie wyczuwalna przez człowieka. Wyglądało na to, że również system nagłośnienia zaczął szwankować. Do głębokiego dźwięku dołączył następny i jeszcze jeden; brzmiały raczej jak fizyczne wibracje wyczuwalne całym organizmem niż zwyczajne odgłosy.

O nie, pomyślała. Komputery padły. A było już tak pięknie. Ponownie rozejrzała się dokoła, ale nikt z zebranych nie wychwycił usterki, wszyscy uznali, że to integralny element spektaklu. Jeśli technicy szybko się z tym uporają, może nikt się nie zorientuje. Miała nadzieję, że sobie poradzą.

Stroboskopy przyspieszyły jeszcze bardziej, wszystkie z wyjątkiem jednego, świecącego wyjątkowo mocno i błyskającego inaczej niż pozostałe; mrugające światła tworzyły wizualny efekt Dopplera, od którego Norze zakręciło się w głowie.

Nagle przy wtórze głośnego jęku mumia podźwignęła się z sarkofagu. Holograficzni rabusie zaczęli się cofać, krzycząc z przerażenia; przynajmniej ta część widowiska wciąż funkcjonowała bez zarzutu. Kilku grabieżców upuściło trzymane w dłoniach pochodnie, w blasku żagwi widać było twarze wykrzywione grymasem nieopisanego trwogi. Senef!

Nora odniosła wrażenie, że mumia wygląda jakoś inaczej. Była większa, ciemniejsza, bardziej złowroga. Wtem koścista ręka uwolniła się z bandażu – tego w ogóle nie było w scenariuszu – po czym drgając spazmatycznie, uniosła się ku owiniętej płótnami twarzy. Kościste palce zagłębiły się pomiędzy płócienne pasy i zdarły je, odsłaniając oblicze tak upiorne i odrażające, że Nora mimowolnie

cofnęła się o krok. To już przesada, więcej nawet, gruba przesada. Czy to jakiś żart Wicherly'ego? Z całą pewnością coś tak przeraźliwego, tak porażającego musiało zostać starannie zaprogramowane, to nie mogło być wynikiem zwykłej usterki. Wśród widzów rozległy się ciche szmery. – O Boże – wyszeptała żona burmistrza.

Nora rozejrzała się wokoło. Tłum wciąż wpatrywał się jak zahipnotyzowany w podnoszącą się z sarkofagu, kołyszącą się leniwie, przerażającą mumię. Poczowała ich strach rozchodzący się w powietrzu niczym miazmaty, głosy gości były pełne napięcia i wyjątkowo ciche. Viola wychwyciła jej spojrzenie i pytająco zmarszczyła brwi. Nieco dalej Nora dostrzegła twarz dyrektora muzeum Collopy'ego. Była blada jak płótno.

Wadliwe lampy stroboskopowe wciąż pulsowały raz po raz, błyskały na pograniczu jej pola widzenia tak jasno, że Nora raz jeszcze poczuła, że kręci jej się w głowie. Tym razem to doznanie było o wiele silniejsze. Znów dał się słyszeć skręcający trzewia dźwięk i zamknęła oczy, by uwolnić się od zmasowanego ataku mrugających świateł i nieprzyjemnych przeszywających odgłosów. Wokół niej rozlegały się głuche westchnienia, a potem krzyk, który urwał się, niemal zanim jeszcze zabrzmiał. Co tu się działo, u licha? Te dźwięki... nigdy czegoś takiego nie słyszała. Jak odgłosy z piekła rodem pełne zgrozy i trwogi, tak donośne, jakby chciały zbrukać jej duszę.

Usta mumii rozwarły się, suche jak pieprz wargi popękały, zeschnięta skóra i tkanki odpadały płatami, gdy istota wyszczerzyła w groźnym grymasie zbrązowiałe, przezarte próchnicą zęby. Nagle te same usta wypełnił gęsty, przelewający się, czarny śluz. Na oczach Nory przyglądającej się temu ze zgrozą czarna fala przeistoczyła się w rój tłustych czarnych karaluchów, które zaczęły wylewać się gęstą szeleszczącą strugą pomiędzy popękanych szerniałych warg mumii.

Znów rozległ się odrażający jęk, któremu towarzyszyła ponowna eksplozja stroboskopowych błysków o tak niesamowitym natężeniu, że nawet kiedy zamknęła oczy, wciąż je widziała poprzez opuszczone, mocno zaciśnięte powieki.

Lecz odrażające natarczywe brzęczenie zmusiło ją do otwarcia oczu. Wydawało się, jakby mumia wymiotowała falą czerni; poprzedni rój insektów odleciał, karaluchy zmieniły się w spalone oślizgłe osy, których zuwaczki szczękały jak druty do robótek. Owady te całą chmarą runęły w kierunku zgromadzonych gości. Złudzenie było niesamowite, to wszystko wyglądało przerażająco realistycznie.

Norze znów zakreśliło się w głowie i aby nie upaść, instynktownie przytrzymała się burmistrza, który stał najbliżej niej; on także miał miękkie kolana i ledwie trzymał się na nogach. – O mój Boże...!

Usłyszała, jak ktoś wymiotuje, jak ktoś inny wzywa pomocy, a zaraz potem dały się słyszeć inne urywane okrzyki, gdy tłum zaczął się cofać przed atakującymi go owadami. Mimo iż Nora wiedziała, że osy musiały być generowanymi komputerowo hologramami jak wszystko inne, wyglądały zdumiewająco realnie, gdy rzuciły się na nią z długimi, złowieszczo wyglądającymi żądlami wystającymi z odwłoków, błyszczącymi od nagromadzonego w nich jadu. Zrobiła dwa kroki wstecz i poczuła, że spada w bezdenną otchłań jak ten nieszczęsny grabieżca, który runął w głąb mrocznej studni, a chór rozlegających się dokoła zawodzących głosów przywodził jej na myśl jęki potępieńców, pod którymi otwarta się nagle gorejąca piekielna czeluść.

Constance obudziło dyskretne pukanie do drzwi sypialni. Nie otwierając oczu, odwróciła się z westchnieniem i wtuliła twarz w miękką poduszkę. Pukanie powtórzyło się, tym razem nieco głośniejsze.

– Constance? Constance! Czy wszystko w porządku? – Głos Wrena był nieprzyjemny i pełen niepokoju. Constance przeciągnęła się leniwie, z lubością, po czym usiadła na łóżku. – Oczywiście, że tak – odparła z nutą irytacji w głosie.

– Czy coś się stało?

– Ależ skąd, ale dziękuję za troskę.

– Może jesteś chora?

– Nie. Nic mi nie jest.

– Wybacz, że tak tu wpadłem. Po prostu nigdy nie spałaś tak długo. Przespałaś cały dzień, już wpół do dziewiątej, pora kolacji dawno minęła, a ty wciąż leżysz w łóżku.

– Tak – odparła krótko Constance.

– Może miałabyś raczej ochotę na klasyczne śniadanie? Zieloną herbatę i tosta z masłem?

– Nie, dziękuję, Wren, nie chcę klasycznego śniadania. Wolałabym raczej gotowane jajka, sok z żurawin, parę plasterków szynki, połówkę grejpfruta i trójkątny placuszek z jęczmiennej mąki z marmoladą.

– Ja... ee... no dobrze... oczywiście. – Usłyszała, jak Wren oddała się w głąb korytarza, w stronę schodów.

Constance rozparła się wygodnie na poduszkach i ponownie zamknęła oczy. Spała długo, głęboko – i co w jej przypadku było niezwykle – nic jej się nie przyśniło. Przypomniała sobie bezdenną szmaragdową zieleń absyntu, dziwne uczucie lekkości, jakiego po nim doznała, jakby obserwowała samą siebie z daleka. Na jej wargach wykwitł wąty uśmieszek, ale zaraz zniknął, by po chwili znowu powrócić jakby na skutek ożywionych nagle wspomnień. Osunęła się niżej na poduszkach, rozluźniając ręce i nogi pod miękką pościelą.

Stopniowo, bardzo wolno coś zaczęło do niej docierać. W pokoju czuć było jakiś zapach – niezwykle zapach. Ponownie usiadła na łóżku. To nie był jego zapach, lecz inny, jakiego nigdy dotąd nie czuła. Nie tyle nieprzyjemny... po prostu... inny. Przez chwilę popatrywała dokoła, usiłując odnaleźć jego źródło. Zajrzała do szafki nocnej. Nic.

Dopiero jakby po namyśle sięgnęła dłonią pod poduszkę. I odnalazła tam coś: kopertę oraz podłużne pudełko opakowane w starodawny papier i przewiązane czarną wstążką. To właśnie one były źródłem tego dziwnego zapachu, piżmowej woni przywodzącej na myśl gęste, mroczne knieje. Czym prędzej wydobyła obie te rzeczy spod poduszki.

Kopertę wykonano z ekskluzywnego, drogiego papieru czerpanego, pudełko zaś było na tyle duże, że mogło zawierać naszyjnik z brylantem lub może bransoletkę. Constance uśmiechnęła się, a jej policzki zapłonęły silnym rumieńcem. Pospiesznie otworzyła kopertę. Wydobyła z niej trzy kartki zapisane starannym odręcznym pismem. Zaczęła czytać.

Mam nadzieję, że dobrze spałaś, najdroższa Constance, słodkim snem niewiniątka.

Całkiem możliwe, że to ostatni taki sen w najbliższym czasie. Choć z drugiej strony, jeśli pójdiesz za moją radą, którą zawarłem w tym liście, sen może znów nadejść i to już niebawem.

Spędzając z tobą te rozkoszne godziny, przyznać muszę, że przez cały czas nad czymś się zastanawiałem. Jakie to było uczucie przeżyć tak wiele lat pod jednym dachem ze stryjem Antoine'em, człowiekiem, którego nazywałaś Enochem Lengiem, tym samym, który brutalnie zamordował twoją siostrę Mary Greene?

Wiedziałaś o tym, Constance? Czy zdawałaś sobie sprawę, że Antoine zabił twoją siostrę i przeprowadził na niej wiwisekcję? Z całą pewnością musiałaś o tym wiedzieć. Może z początku było to jedynie mgliste przypuszczenie, osobliwy przyływ mrocznej fantazji. Nie wątpię jednak, że kładłaś to na karb wytworów swego perwersyjnego umysłu. Jednak z czasem – a przecież oboje mieliście dla siebie mnóstwo czasu – musiałaś nabrać pewnych przeczuć, które z wolna przerodziły się w tobie w absolutną pewność.

Podajrzewam wszelako, że wszystko to rozgrywało się w twojej podświadomości, ukryte tak głęboko, że prawie nie sposób było do tego dotrzeć. A mimo to wiedziałaś o tym, musiałaś wiedzieć. To rzecz oczywista.

Cóż za rozkosznie ironiczna sytuacja. Ten mężczyzna, Antoine Pendergast, zabił twoją siostrę, by przedłużyć własne śmiertelne życie... a w konsekwencji także twoje! Oto człowiek, któremu zawdzięczasz wszystko. Czy wiesz, ile dzieci musiało umrzeć, aby mógł opracować recepturę swego eliksiru, dzięki któremu mogłaś cieszyć się przedłużonym ponad miarę nieludzkim dzieciństwem? Przyszłaś na świat jako normalne dziecko, Constance, ale dzięki stryjowi Antoine'owi stałaś się dziwolągiem, osobliwym wybrykiem, natury. Dziwoląg, sama tak o sobie powiedziałaś.

A teraz, moja droga, naiwna Constance, nie możesz już dłużej oddalać od siebie tej myśli. Nie możesz odegnać jej jako wytworu wybujałej wyobraźni czy mrocznych irracjonalnych lęków, które nawiedzają cię w burzliwe noce, kiedy nie możesz zasnąć. Ponieważ to, co uważasz za najgorsze, jest w rzeczy samej prawdą. Tak właśnie było. Twoja siostra została zamordowana, aby przedłużyć twoje życie. Wiem to na pewno, ponieważ zanim umarł, stryj Antoine sam mi to powiedział.

O tak, miałem okazję kilkakrotnie uciąć sobie pogawędkę z tym starym dżentelmenem. Jak mógłbym nie odszukać drogiego krewniaka o równie barwnej historii i poglądach na świat tak bardzo zbliżonych do moich? Sama perspektywa, że może nadal żyć po tylu latach, przydała mi poszukiwaniom specyficznego smaczku i nie spocząłem, dopóki go nie odnalazłem. Bardzo szybko rozgryzł mą prawdziwą naturę i rzecz jasna przerażeniem napawała go myśl, że nasze drogi –

moja i twoja – mogłyby się kiedyś przeciąć. W zamian za obietnicę, że nigdy się z tobą nie spotkam, wyjaśnił mi z nieskrywaną radością, na czym polegało opracowane przez niego ostateczne rozwiązanie mające być odpowiedzią na wszelkie bolączki chylącego się ku upadkowi świata.

Potwierdził wszystko – istnienie mikstury przedłużającej życie – choć nie pokwapił się, by wyjaśnić mi, jak się ją przyrządza. Drogi stryj Antoine. Szkoda, że odszedł. Świat bez niego nigdy już nie będzie taki sam. Jednak w czasie gdy spotkała go nagła śmierć, byłem nazbyt pochłonięty realizowaniem własnych planów i nie mogłem mu pomóc, aby uniknął swego przeznaczenia. Pytam cię przeto raz jeszcze: jakie to było uczucie mieszkać w tym domu przez tak wiele lat, pełniąc funkcję współniczki zabójcy twojej siostry? Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić. Nic dziwnego, że z twoją psychiką jest tak krucho, nic dziwnego, że mój brat lęka się o stan twojego zdrowia psychicznego. Tylko we dwoje w tym domu. Czy to możliwe, że zawarłaś z Antoine'em bliższą, bardziej zażyłą znajomość? O nie, co to, to nie, jestem wszak pierwszym mężczyzną, który odwiedził tę sekretną świątynię, moja droga Constance; fizyczne dowody tego faktu pozostają niezaprzeczone. A jednak kochałaś go, bez wątplenia go kochałaś.

Cóż więc ci teraz pozostało, moja biedna nieszczęsna Constance? Mój cudowny upadły aniele? Służebnico bratobójstwa, towarzyszeko mordercy twojej siostry! To jej zawdzięczasz to, że nadal żyjesz, każdy łyk powietrza, które chłonisz, jest darem od niej i innych ofiar Antoine'a. Czy zasługujesz, by ciągnąć dalej ten nienaturalny żywot? Kto opłakiwałby twoje odejście? Na pewno nie mój brat; po prostu pozbyłby się dzięki temu jeszcze jednego uciążliwego brzemienia. Wren? Proctor? To śmieszne! Ja na pewno nie będę płakał, kiedy umrzesz. Byłaś dla mnie jedynie zabawką; zagadką, którą bez trudu rozwikłałem; tajemniczym pudełkiem, które gdy się je otworzy, okazuje się puste i rozczarowujące; zwierzęciem spazmem. Pozwól przeto, że dam ci dobrą radę, i uwierz, że to jedyna szczerza i uczciwa rzecz, jaką otrzymasz ode mnie z czysto altruistycznych pobudek. Zdobądź się na szlachetny gest. Połóż wreszcie kres swemu nienaturalnemu życiu.

Na zawsze
twój Diogenes

PS. Zdumiało mnie, jak dziecinna była twoja wcześniejsza próba samobójstwa. Musisz przecież wiedzieć, że aby się zabić, nie należy nacinać sobie przegubów w poprzek, bo ostrze noża zatrzyma się na ścięgnach. Aby osiągnąć zamierzony rezultat, tnij wzdłuż. Wystarczy jedno cięcie, powolne, mocne, a przede wszystkim głębokie. A co się tyczy mojej blizny – czyż to nie wspaniałe, co można osiągnąć

z pomocą odrobiny teatralnej szminki i wosku?

Minęła długa, zdająca się trwać całą wieczność chwila ciszy i kompletnej konsternacji. Wreszcie Constance przeniosła wzrok na znaleziony pod poduszką niewielki prezent. Wzięła go do ręki i rozpakowała delikatnie, jakby wewnątrz mogła znajdować się bomba. Jej oczom ukazało się przepiękne pudełko z lakierowanego różanego drewna.

Powoli otworzyła je. Wewnątrz, na wyściółce z fioletowego aksamitu spoczywał starodawny skalpel. Rękojeść wykonano z poźółkłej kości słoniowej, ostrze wypolerowano do połysku. Palcem wskazującym dotknęła rękojeści skalpela. Była chłodna i gładka. Ostrożnie wyjęła skalpel z pudełka, zważyła go w dłoni, po czym uniosła do światła i spojrzała na lustrzane ostrze, które w blasku ognia buzującego w kominku rozbłysło niczym precudny brylant.

Kiedy zgasły światła, Smithback znieruchomiał, zatrzymując surową ostrygę w połowie drogi do ust. Na ułamek sekundy zapadła nieprzenikniona ciemność i nagle gdzieś opodal rozległ się cichy trzask, a potem włączyły się rzędy świetlówek pod sufitem, oświetlenie awaryjne, które skąpało wszystko w okropnym zielonkawobiałym blasku.

Rozejrzał się dokoła. Większość zaproszonych VIP-ów weszła już do grobowca, ale pozostawała jeszcze druga grupa, obecnie pochłonięta sączeniem drinków i zajadaniem przystawek ze szwedzkich stołów. Szacowni goście stojący w małych grupkach lub siedzący za stołami zachowywali niewzruszony spokój; awaria zasilania nie zrobiła na nich najmniejszego wrażenia. Wzruszywszy ramionami, uniósł połówkę muszli ostrygi do ust, przechylił ją, wyssał wciąż jeszcze żywą, podrygującą, galaretowatą klucę i cmoknął ustami z zadowoleniem, po czym sięgnął po następną ostrygę i szykował się do powtórzenia poprzednich czynności.

Wtem usłyszał strzały: sześć stłumionych charakterystycznych dźwięków dobiegających z ciemności opodal. Ktoś oddał kolejno sześć strzałów z broni ręcznej dużego kalibru. Przy wtórze skwierczenia i trzasków oświetlenie awaryjne zgasło. Smithback natychmiast zdał sobie sprawę, że działo się coś ważnego, a co za tym idzie, miał przed sobą materiał do kolejnego artykułu na pierwszą stronę. Jedyne

światło w sali płynęło teraz z setek małych świec rozstawionych na stołach. Pozostała w sali grupa gości zaczęła szemrać z coraz większym zaniepokojeniem.

Smithback spojrział w stronę, skąd dobiegły strzały. Przypomniał sobie, że tego wieczoru widział techników i członków personelu muzeum wchodzących i wychodzących przez drzwi na drugim końcu sali i domyślił się, że musiały one prowadzić do pomieszczenia kontrolnego grobowca Senefa. Kiedy tak patrzył, wyłoniła się stamtąd znajoma postać. Vincent D'Agosta nie miał na sobie munduru, ale wciąż na pierwszy rzut oka można było rozpoznać w nim policjanta. Towarzyszyła mu druga znana Smithbackowi postać – Randall Loftus, znany reżyser. Patrzył, jak obaj zacierają w stronę stanowiska kamer telewizyjnych.

Smithback poczuł pod sercem ukłucie niepokoju, gdy zdał sobie sprawę, że w grobowcu była jego żona Nora. Prawdopodobnie ugrzęzła na dobre wśród egipskich ciemności. Ale w grobowcu było sporo strażników i policjantów, więc najprawdopodobniej nic jej tam nie groziło. Natomiast tutaj wyraźnie coś się działo, a jego zadaniem jako reportera było dowiedzieć się, w czym rzecz. Patrzył, jak D'Agosta przechodzi na drugą stronę sali, rozbija przeszkloną gablotę przeciwpożarową i wyjmuje siekiere.

Sięgnął po notes i ołówek, zapisał godzinę i zanotował to, czego właśnie był świadkiem. D'Agosta podszedł do kabla elektrycznego, po czym przepołowił go siekiere, przy wtórze nieartykułowanego ryku Loftusa i techników z jego ekipy. Nie zważając na ich protesty, D'Agosta spokojnym krokiem, z siekiere w dłoni wrócił do niewielkiego pomieszczenia na drugim końcu sali i zniknął za drzwiami.

Napięcie wśród zebranych rosło.

Cokolwiek się działo, sprawa musiała być poważna.

Smithback podążył w ślad za D'Agostą. Dotarłszy do drzwi pomieszczenia kontrolnego, znieruchomiał z dłonią na klamce. Zawahał się. Jeśli spróbuje dostać się do środka, najprawdopodobniej zostanie bezceremonialnie wyproszony. Lepiej będzie, jeśli zostanie tutaj, wmiesza się w tłum i zaczeka na rozwój wypadków.

To nie trwało długo. Kilka minut później z pokoju wyszli porucznik D'Agosta, wciąż trzymający w dłoniach siekiere, oraz kapitan Hayward. Ruszyli pędem w kierunku głównego wyjścia. Tuż po nich z pomieszczenia wyłonił się szef ochrony Manetti, wszedł na tonące w ciemnościach podwyższenie i zwrócił się do pozostałych gości. Smithback także tym razem zapisał godzinę i zaczął robić notatki.

– Panie i panowie! – zawołał Manetti; jego głos był prawie niesłyszalny w tej mrocznej olbrzymiej sali. Zapadła cisza.

– Mamy poważne problemy z zasilaniem, kłopoty natury technicznej. Nie ma powodu do niepokoju, ale musimy natychmiast opróżnić salę. Strażnicy odprowadzą państwa z powrotem do Rotundy. Proszę postępować zgodnie z poleceniami.

Pojawiły się głosy protestu i rozczarowania. Ktoś zawołał: – A co z osobami w grobowcu?

– Goście w grobowcu zostaną stamtąd wyprowadzeni, kiedy tylko otworzymy główne wejście. Raz jeszcze powtarzam: nie ma powodu do niepokoju.

– Czy drzwi się zacięły? – zawołał Smithback.

– Chwilowo tak.

Znów odgłosy zaniepokojenia. Nie ulegało wątpliwości, że nikt nie chciał stąd odchodzić, pozostawiając przyjaciół lub bliskich w grobowcu.

– Proszę kierować się do wyjścia! – krzyknął Manetti. – Strażnicy zaraz państwa stąd wyprowadzą. Nie ma powodu do obaw.

Kilkoro gości nieprzywykłych do wykonywania poleceń

wydawanych im przez innych próbowało nieśmiało protestować.

Akurat, pomyślał Smithback. Skoro nie było powodu do obaw, czemu w głosie Manettiego wyczuwało się wyraźne drżenie? Nic z tego, nie pozwoli, by strażnicy wyprowadzili go z budynku, skoro miał przed sobą materiał na bombowy artykuł. Wydarzenia rozgrywały się na jego oczach, a w dodatku Nora pozostawała uwięziona w grobowcu.

Rozejrzał się dokoła, po czym chyłkiem wymknął się z sali. Aksamitne sznury ciągnęły się w głąb piwnicznego korytarza rozświetlonego jedynie światełkami zasilanych generatorami symboli informacyjnych umieszczonych nad każdym z wyjść. Od głównego korytarza pod kątem prostym odchodził drugi, odgradzony aksamitnymi sznurami i tonący w ciemnościach. Strażnicy z latarkami kierowali już grupki protestujących gości w stronę wyjścia.

Smithback pognął przed siebie, dotarł do rozwidlenia korytarza, przeskoczył nad grubym aksamitnym sznurem i pobiegł przez ciemność, by przyciąć się przy wejściu oznaczonym napisem: „Magazyn alkoholi, Genus Rattus”. Przywarł plecami do drzwi, oparł się ramieniem o framugę i czekał.

Vincent D'Agosta i Laura Hayward przebiegli sprintem pomiędzy aksamitnymi linami, zbiegli po frontowych schodach i pognali przez Museum Drive. Wejście do metra mieściło się u zbiegu z 81 Ulicą, znamionowała je obskurna metalowa budka z mosiężnym daszkiem stojąca przy chodniku. Tuż obok, za tłumem gapiów, D'Agosta spostrzegł wóz transmisyjny stacji PBS; węże przewodów ciągnęły się od furgonetki przez trawnik i okno do wnętrza muzeum. Na dachu furgonu widać było biały talerz anteny satelitarnej.

– Tutaj! – D'Agosta zaczął przeciskać się przez tłum w stronę wozu transmisyjnego. Mocno ścisnął w dłoniach siekierę. Hayward była tuż przy nim, trzymając w ręku służbową odznakę.

– Policja! – zawołała. – Z drogi!

Kiedy tłum nie zareagował, D'Agosta uniósł siekierę i zaczął wymachiwać nią z góry na dół. Tłum rozstał się przed nimi, umożliwiając im dotarcie do furgonetki. Podbiegli z tyłu do wozu transmisyjnego. Hayward powstrzymywała gapiów, podczas gdy D'Agosta wszedł na tylny zderzak furgonu. Chwytnąjąc się metalowej poręczy bagażnika powyżej, wspinał się na dach.

Z furgonetki wyskoczył jakiś mężczyzna. – Co pan wyprawia, do cholery? – krzyknął. – Prowadzimy transmisję na żywo!

– Policja – rzekła Hayward, zastępując mu drogę.

D'Agosta stanął na szeroko rozstawionych nogach na dachu wozu

transmisyjnego. Po czym znów uniósł siekiere.

– Ej! Nie może pan tego zrobić!

– To patrz pan. — Zamachnąwszy się potężnie, D’Agosta jednym ciosem przeciął metalowe wsporniki przy talerzu anteny satelitarnej, tak że śruby posypały się na wszystkie strony. Potem raz i drugi rąbnął w wielki biały talerz. Przy wtórze przeciągniętego zgrzytu pękającego metalu antena satelitarna spadła i roztrzaskała się o chodnik.

– Czyś pan zwariował? – krzyknął technik.

Ignorując go, D’Agosta zeskoczył z dachu furgonetki, odrzucił siekiere, po czym wraz z Hayward zaczął przeciskać się przez tłum w stronę wejścia do metra.

D’Agosta jak przez mgłę zdawał sobie sprawę, że miał obok siebie Laureę Hayward, jego Laureę, tę samą, która zaledwie przed kilkoma dniami kazała wyprowadzić go z jej gabinetu. Był pewien, że nieodwracalnie ją utracił, a mimo to sama go odnalazła. To ona go odnalazła. Ta myśl dodała mu otuchy. Postanowił powrócić do niej, o ile tylko zdoła przeżyć tę noc.

Dotarłszy do wejścia do metra, zbiegli po schodach i podbiegli do kasy biletowej. Hayward błysnęła odznaką siedzącej wewnątrz kobiecie. – Kapitan Hayward z policji. W muzeum mamy sytuację kryzysową i konieczne jest natychmiastowe opróżnienie tej stacji. Proszę skontaktować się z centralą służby ochrony kolei, niech ogłoszą, że pociągi aż do odwołania mają mijać tę stację bez zatrzymywania. Czy to jest jasne?

– Tak, pani kapitan.

Przeskoczyli nad bramkami, przebiegli wzdłuż korytarza i weszli na peron stacji. Było dość wcześnie, dochodziła dziewiąta i na pociąg czekało zaledwie kilkadziesiąt osób. Hayward ruszyła wzdłuż peronu, D’Agosta dziarsko dotrzymywał jej kroku. Przy drugim końcu peronu

korytarz rozgałęział się, powyżej zaś, na kafelkowanej ścianie, wisiała tabliczka z napisem:

**Do wejścia do nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej
Przejdźcie czynne tylko w godzinach otwarcia muzeum**

Korytarz był zablokowany przesuwaną kratą z mocno już przerdzewiałego żelaza, zabezpieczoną metalową kłódką.

– Lepiej pogadaj z tymi ludźmi – mruknęła Hayward, wyciągając broń i celując w kłódkę.

D’Agosta pokiwał głową. Przeszedł wzdłuż peronu, wymachując służbową odznaką. – Policja! Proszę opuścić stację! Wszyscy mają stąd natychmiast wyjść! Ale już!

Ludzie patrzyli na niego obojętnym wzrokiem.

– Jazda stąd! Prowadzimy tu działania operacyjne! Opuścić stację, powiedziałem.

Odgłos dwóch wystrzałów zwielokrotniony gromkim echem sprawił, że wszyscy natychmiast się ożywili. Zaniepokojeni ludzie jeden po drugim zaczęli kierować się w stronę wyjścia, a pośród gwałtownego chaosu, jaki nagle zapanował na peronie, D’Agosta usłyszał słowa „terroryści” i „bomba”.

– Proszę wszystkich, aby opuścili teren stacji w spokoju i należyтым porządku! – zawołał w ślad za nimi.

Po trzecim wystrzale peron całkowicie opustoszał. D’Agosta podbiegł z powrotem, by ujrzeć, jak Hayward mocuje się z kratą. Pomógł jej przesunąć żelazną harmonijkową kratownicę, po czym wspólnie wślizgnęli się do bocznego tunelu.

Korytarz przed nimi ciągnął się w linii prostej na długości prawie trzystu jardów, po czym ostro skręcał w stronę wejścia do metra przy muzeum. Na mozaikowych ścianach dostrzec można było wizerunki szkieletów ssaków i dinozaurów, a także umieszczone za szkłem plakaty reklamujące przygotowane przez muzeum ekspozycje, w tym

kilka dotyczących wielkiego grobowca Senefa. Hayward wydobyła z kieszeni złożoną na czworo mapę i rozpostarła ją na betonowej podłodze tunelu. Mapa pokryta była licznymi notatkami i przypisami; D'Agosta stwierdził, że Laura musiała wielokrotnie nad nią ślęczeć.

– To grobowiec – rzekła Hayward, wskazując na mapę. – A tu jest tunel metra. Tutaj zaś, zobacz, dokładnie w tym miejscu ściana pomiędzy narożną częścią grobowca a tunelem ma zaledwie dwie stopy grubości.

D'Agosta przykucnął i wlepił wzrok w plany – Nie widzę tu żadnych oznaczeń, które mogłyby nam pomóc w odnalezieniu tego jednego, konkretnego punktu.

– Bo ich nie ma. Dokładne pomiary dotyczą jedynie grobowca, reszta to obliczenia przybliżone.

D'Agosta zmarszczył brwi. – Skala jest zbyt ogólnikowa. Przydałyby się nam trochę bardziej precyzyjne plany.

– Faktycznie.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w mapę, po czym złożyła ją i poszła około stu stóp w głąb korytarza, gdzie ponownie się zatrzymała.

– Przypuszczam, że ten słaby punkt, miejsce, którego szukamy, znajduje się dokładnie tutaj.

Dał się słyszeć głuchy łoskot przetaczającego się nieopodal składu metra, a zaraz potem przeciągły ryk, kiedy wagony minęły stację, nie zatrzymując się na niej. Chwilę potem odgłos pociągu ucichł w oddali.

– Byłaś w grobowcu? – zapytał D'Agosta.

– Vinnie, ostatnio praktycznie tam mieszkałam.

– Czy było tam słychać przejeżdżające metro?

– Bez przerwy. Nie byli w stanie nic na to poradzić.

D'Agosta przyłożył ucho do wyłożonej kafelkami ściany – Skoro

w grobowcu słychać pociągi przejeżdżające na zewnątrz, będąc po tej stronie, powinniśmy usłyszeć bez większego trudu, co dzieje się w środku.

– Na pewno panuje tam teraz spory hałas.

Wyprostował się i spojrział na Hayward. – Miałaś rację. – To rzekłszy, ponownie przyłożył ucho do ściany.

Z kryjówki w ciemnym przejściu Smithback obserwował, jak protestujący niechętny tłum gości jest wyprowadzany z sali w kierunku wind. Odczekał jeszcze kilka minut, dopóki nie minęli go ostatni maruderzy, zakradł się i przykucnął, by przejść pod rozpiętym w poprzek korytarza aksamitnym sznurem, po czym przesuając się cał po calu wzdłuż ściany, wyjrzał zza rogu do Sali Egipskiej. Nietrudno było mu się schować, co prawda setki małych świec płonęły na stołach, lecz wszystko wokół tonęło w głębokich ciemnościach.

Ukryty wśród cieni, przy wejściu patrzył, jak z bocznych drzwi prowadzących do pomieszczenia kontrolnego wychodzi grupka osób. Rozpoznał Manettiego, jak zawsze ubranego w brzydki, brązowy garnitur i z niesamowitą fryzurą „na pożyczkę”. Pozostałymi byli strażnicy z muzeum, lecz jego uwagę zwrócił ktoś jeszcze. Wysoki ciemnowłosy mężczyzna w białym swetrze z golfem. Choć człowiek ten patrzył w inną stronę, Smithback dostrzegł na jego policzku spory opatrunek. Reportera zaintrygował nie tyle wygląd mężczyzny, ile raczej sposób, w jaki się poruszał; jego ruchy były wyjątkowo miękkie i płynne, prawie kocie. Kogoś mu przypominał...

Patrzył, jak mężczyzna ten podkradł się do dużego srebrnego wiaderka z kruszonym lodem. W lodzie tkwiło kilkanaście mocno ze sobą ściśniętych butelek szampana, szyjki sterczały pionowo w górę.

– Proszę pomóc mi powyjmować te butelki. – Smithback usłyszał, jak mężczyzna zwraca się do Manettiego, i w tej samej chwili rozpoznał jego głos.

Agent specjalny Pendergast. Wyszedł z więzienia? Co on tu robi? Reporter poczuł przyływ zaciekawienia i bezbrzeżnego zdumienia: oto miał przed sobą mężczyznę, którego nazwisko starał się oczyścić, a który krążył teraz po sali tak nonszalancko, jakby muzeum było jego własnością. Jednak zainteresowaniu towarzyszył również narastający niepokój; Pendergast pojawiał się zawsze w krytycznych sytuacjach, kiedy działo się coś bardzo złego.

Dwaj strażnicy podbiegli do drzwi grobowca, a Smithback patrzył, jak próbują je otworzyć łomem i młotem kowalskim, lecz bez powodzenia. Smithback poczuł, że ogarnia go coraz większa dezorientacja. W grobowcu byli uwięzieni ludzie – wiedział o tym – ale co mogły znaczyć te desperackie próby wydostania ich stamtąd? Czy wewnątrz coś się stało?

Krew zastygła mu w żyłach. To fakt, grobowiec stanowił doskonałe miejsce do przeprowadzenia ataku terrorystycznego. W środku znajdowały się największe osobistości Nowego Jorku, najbogatsi, najbardziej wpływowi obywatele tego miasta i nie tylko, grube ryby świata polityki wraz ze śmietanką świata nauki, kultury i finansjery, nie wspominając o kierownictwie muzeum.

Ponownie przeniósł uwagę na Pendergasta, który wyciągnął jedną po drugiej butelki szampana z wiaderka z lodem i wrzucił je do kosza na śmieci. Po chwili opróżnił całe wiaderko, pozostawiając jedynie stertę kruszonego lodu. Teraz agent podszedł do najbliższego szwedzkiego stołu i zamasztywym ruchem oczyścił go z wszystkiego – tace i talerze z ostrygami, kawiozem, serem, prosciutto i chlebem posypały się na podłogę. Smithback patrzył skonsternowany, jak wielki ser brie toczy się niczym białe koło przez całą salę, by

znieruchomieć przewrócony w jakimś ciemnym kącie.

Następnie Pendergast zaczął podchodzić od stołu do stołu, zgarniając tuziny małych ozdobnych świec i układając z nich krąg na oczyszczonym przed chwilą blacie stołu, by zapewnić sobie maksimum oświetlenia.

Co on wyprawia, u licha?

Jakiś mężczyzna wpadł do sali, niosąc pękata butlę, którą Pendergast natychmiast od niego zabrał, sprawdził i wstawił do kruszonego lodu. Po chwili zjawilo się dwóch innych, jeden z nich pchał wózek pełen butelek i przyborów laboratoryjnych – zlewki i retort, które także trafiły do lodu. Pendergast wyprostował się i odwrócony plecami do miejsca, gdzie ukrywał się Smithback, energicznie podwinął rękawy – Potrzebuję ochotnika – powiedział.

– Co pan robi? – spytał Manetti.

– Nitroglicerynę. Zapadła cisza.

Manetti odchrząknął. – To szaleństwo. Musi być lepszy sposób na dostanie się do grobowca niż przy użyciu materiałów wybuchowych.

– Nikt się nie zgłasza?

– Wzywam zespół SWAT – rzucił Manetti. – Potrzeba nam zawodowców. Oni wejdą do grobowca raz-dwa. Nie możemy tak po prostu wysadzić ściany.

– No dobrze – mruknął Pendergast. – A może pan, panie Smithback?

Smithback zastygł w ciemności, zawahał się i rozejrzał wokoło. – Kto? Ja? – zapytał piskliwym głosem.

– Nie ma tu nikogo innego o tym nazwisku.

Smithback wyłonił się spośród głębokich cieni, wszedł do sali i dopiero teraz Pendergast odwrócił się i spojrzął mu w oczy.

– N... no jasne – wykrztusił Smithback. – Zawsze jestem skory do pomocy... Chwileczkę. Powiedział pan nitrogliceryna?

– Tak.

– Czy to będzie niebezpieczne?

– Biorąc pod uwagę, że nie mam wielkiego doświadczenia, jeżeli chodzi o tego rodzaju syntezy i nieuchronne, wynikające z tego powodu zanieczyszczenia produktu finalnego, oceniałbym nasze szanse na ponad pięćdziesiąt procent.

– Szanse na co?

– Na przeżycie w przypadku wcześniejszej eksplozji. Smithback przełknął ślinę. – Musi pan... bardzo się martwić tym, co się dzieje w grobowcu.

– W rzeczy samej, panie Smithback. Jestem śmiertelnie przerażony.

– Jest tam moja żona.

– Wobec tego ma pan dodatkowy powód, aby służyć mi pomocą. Smithback zeszytniał. – Proszę mówić, co mam robić.

– Dziękuję. – Pendergast odwrócił się do Manettiego. – Proszę dopilnować, aby wszyscy opuścili salę i ukryli się w bezpiecznym miejscu.

– Wzywam zespół SWAT i naprawdę radzę, aby..

Jedno spojrzenie na twarz Pendergasta wystarczyło, aby szef ochrony nabrał wody w usta. Strażnicy pospiesznie wyszli z sali, Manetti podążył ich śladem, z jego krótkofalówki dobiegały ciche trzaski.

Pendergast przeniósł wzrok na Smithbacka. – A teraz, jeżeli będzie pan tak łaskaw wykonywać moje polecenia co do joty, spróbujemy zrobić, co do nas należy, i może uda się nam wyjść z tego cało.

Zaczął rozstawiać sprzęt: obracał umieszczonymi w lodzie butlami, aby je szybciej schłodzić, wziął jedną z butelek, włożył ją głęboko do lodu i umieścił w niej szklany termometr. – Problem polega na tym, panie Smithback, że nie mamy czasu, aby zrobić to wszystko tak jak trzeba. Musimy zmieszać chemikalia możliwie jak najszybciej. A to

niekiedy wywołuje całkiem niepożądaną gwałtowną reakcję.

– Co się dzieje w grobowcu?

– Skupmy się teraz na naszym zadaniu. Nalegam.

Smithback znów przełknął ślinę, usiłując wziąć się w garść. Nie myślał już o sensacyjnym materiale na pierwszą stronę. Nora tam jest. Nora tam jest, powtarzał uporczywy głos pod jego czaszką.

– Proszę podać mi butlę kwasu siarkowego, ale niech pan ją najpierw wytrze.

Smithback odnalazł właściwą butlę, wyjął ją z lodu, wytarł i podał Pendergastowi, który ostrożnie wlał część zawartości do schłodzonej butelki. W powietrzu rozeszła się nieprzyjemna kwaśna woń. Kiedy agent uznał, że w butelce znalazło się dostatecznie dużo kwasu, cofnął się o krok i zakorkował butlę.

– Proszę sprawdzić temperaturę.

Smithback zerknął na szklany termometr, wyjął go z butelki i przysunął do świecy, aby odczytać wskazanie.

– Nie muszę chyba nadmieniać – rzucił oschle Pendergast – że powinien pan zachować szczególną ostrożność, jeżeli chodzi o płomień świecy. Powiniennem także dodać, że te kwasy są w stanie w kilka sekund rozpuścić ludzkie ciało aż do kości.

Smithback gwałtownie zabrał rękę.

– Proszę podać mi kwas azotowy. Ta sama procedura, bardzo proszę.

Smithback wytarł butelkę i wręczył ją Pendergastowi. Agent odkręcił nakrętkę i unióś butelkę, aby przeczytać napis na etykiecie.

– Kiedy zacznę wlewać kwas do butelki, chciałbym, aby zaczął pan mieszać roztwór termometrem, odczytując wskazania temperatury w półminutowych odstępach.

– Dobra.

Pendergast odlał odpowiednią ilość kwasu do zlewki, po czym

zaczął przelewać go po trochu do schłodzonej butelki, podczas gdy Smithback starannie mieszał zawartość.

– Dziesięć stopni – rzekł. Agent znów dołał trochę kwasu.

– Osiemnaście... dwadzieścia pięć... szybko rośnie... Trzydzieści.

Mieszanina spieniła się, a Smithback poczuł emanujące z niej ciepło oraz odrażający, drażniący nozdrza fetor. Lód wokół zlewki zaczął się topić.

– Proszę nie wdychać tych oparów. – Pendergast przerwał na chwilę nalewanie. – I niech pan miesza dalej.

– Trzydzieści pięć... trzydzieści sześć... trzydzieści cztery... trzydzieści jeden...

– Stabilizuje się – rzekł Pendergast z wyraźną ulgą w głosie. Ponownie zaczął dolewać po trochu kwas azotowy do butelki.

W ciszy, jaka wówczas zapadła, Smithback usłyszał jakiś niewyraźny dźwięk, a przynajmniej tak mu się zdawało. Nasłuchiwał przez chwilę z wyteżoną uwagą; to były odległe krzyki, zduszone tak, że przypominały cichy szept. Zaraz potem od strony grobowca dobiegło głucho uderzenie, jedno, później drugie, aż dźwięki te przerodziły się w jednostajne tępe dudnienie. Wyprostował się gwałtownie. – Jezu, oni dobijają się do drzwi grobowca!

– Panie Smithback! Proszę kontynuować odczyt pomiarów temperatury.

– Racja. Trzydzieści... dwadzieścia osiem... dwadzieścia sześć... Stłumione łomotanie nie cichło ani na chwilę. Pendergast wlewał kwas tak wolno, że doprowadzało to reportera do szału.

– Dwadzieścia. – Smithback próbował się skupić. – Osiemnaście. Niech się pan pospieszy. Jego dłoń drżała, a kiedy wyjmował termometr do odczytu, omal go nie upuścił i parę kropel mieszanki kwasów siarkowego i azotowego kapnęło mu na wierzch dłoni.

– O cholera!

– Proszę nie przerywać mieszania, panie Smithback.

Odniosł wrażenie, jakby jego dłoń polano roztopionym ołowiem, i spostrzegł smużki dymu unoszące się ponad czarnymi plamkami, w miejscach gdzie ciecz zetknęła się z jego skórą.

Pendergast zakończył wlewanie kwasu. – Ja się tym zajmę. Proszę włożyć rękę do lodu. – Smithback zanurzył rękę w kubelku z lodem, podczas gdy Pendergast sięgnął po nieduże pudełko z sodą oczyszczoną i rozerwał je. – Proszę mi podać rękę. – Agent jedną ręką posypał sodą poparzenia na skórze reportera, drugą kontynuował mieszanie. – Kwasy zostały zneutralizowane. Pozostanie panu co najwyżej nieładna blizna. To wszystko. Proszę mieszać dalej, a ja przygotuję następny składnik.

– Dobrze. – Smithback miał wrażenie, jakby jego ręka płonęła żywym ogniem, ale myśl o Norze pozwoliła mu przewyciężyć to bolesne doznanie.

Pendergast wydobył z lodu kolejną butelkę, wytarł ją do sucha i odlał część zawartości do niedużej zlewki.

Dudnienie i krzyki dochodzące z grobowca przybrały na sile i stały się jeszcze bardziej gorączkowe.

– Ja będę dolewał, a pan niech obraca butelkę w lodzie jak gruszkę betoniarki. Proszę trzymać butelkę pod kątem i podawać mi odczyty temperatury co piętnaście sekund. Niech pan nie miesza zawartości, nie wolno panu nawet stuknąć termometrem o szkło. Czy to jest jasne?

– Tak.

Niemożliwie wolno Pendergast zaczął dolewać substancję ze zlewki, podczas gdy Smithback równomiernie obracał butelkę.

– Jaka temperatura?

– Dziesięć... dwadzieścia... rośnie błyskawicznie... trzydzieści pięć...

Pot, który zaperlił się na czole Pendergasta, bardzo zaniepokoił Smithbacka. – Nadal trzydzieści pięć... szybciej, na litość boską.

– Proszę obracać butelkę – rzekł agent; pomimo spoconego czoła głos miał nadal spokojny.

– Dwadzieścia pięć... – Odległe łomotanie do drzwi nie cichło ani na moment. – Dwadzieścia... dwanaście... dziesięć...

Pendergast dolał jeszcze odrobinę płynu do zlewki i temperatura znów gwałtownie podskoczyła. Czekanie przedłużało się w nieskończoność.

– Proszę posłuchać, czy nie można by już tego tak po prostu zamieszać?

– Jeżeli wylecimy w powietrze, dla tamtych nie będzie żadnej nadziei na ocalenie, panie Smithback.

Reporter stłumił w sobie zniecierpliwienie, podając kolejno odczyty temperatury i kręcąc butelką, podczas gdy Pendergast stopniowo dolewał substancję ze zlewki, robiąc regularne przerwy, aby mieszanina nie osiągnęła zbyt wysokiej temperatury. W końcu całkiem opróżnił zlewkę. – Pierwszy etap za nami. Teraz proszę przystawić tu rozdzielacz i nalać trochę wody destylowanej z tego kubka.

Smithback sięgnął po wskazane naczynie laboratoryjne, które przypominało szklaną bańkę z kurkiem u dołu. Wyjąwszy szklaną zatyczkę znajdującą się w górnej części naczynia, nalał do środka wodę z kubka umieszczonego w lodzie.

– Proszę postawić naczynie w lodzie. Reporter wypełnił polecenie.

Pendergast uniósł butelkę i bardzo wolno, z najwyższą ostrożnością wlał zawartość do szklanego rozdzielacza. Smithback patrzył z niepokojem, jak agent kontynuuje niebezpieczną operację; kolejne jej etapy poszły w miarę gładko. W szklanym naczyniu pojawiła się biała kleista substancja. Pendergast uniósł zlewkę w dłoni i przyjrzał

się jej przez moment, po czym odwrócił się do Smithbacka. – Chodźmy.

– Już po wszystkim? Skończone? – Smithback wciąż słyszał głośne dudnienie, które osiągnęło crescendo, a także przeplatające się z nim histeryczne krzyki.

– Tak.

– Wobec tego, do dzieła! Rozwalmy jak najszybciej te drzwi!

– Nie. Drzwi są zbyt mocne. I za ciężkie. Zresztą nawet gdyby to się nam udało, nie obyłoby się bez ofiar w ludziach. Sądząc po odgłosach, tłoczą się teraz po drugiej stronie ogarnięci paniką. Znam lepsze miejsce, przez które możemy dostać się do środka.

– Gdzie ono jest?

– Proszę za mną. – Pendergast już się odwrócił i miękkim kocim krokiem ruszył w stronę drzwi, tuląc do siebie bezcenną zlewkę i równocześnie osłaniając ją ramieniem. – To miejsce znajduje się poza terenem muzeum, przy stacji metra. Aby się tam dostać, będziemy musieli opuścić ten budynek i przebić się przez ciżbę gapiów zgromadzonych na zewnątrz. Pana zadaniem, panie Smithback, będzie przeprowadzić mnie przez ten tłum.

Nora nadludzkim wysiłkiem podźwignęła się do pionu i spróbowała się skoncentrować. Zrozumiała, że wcale nie wpadła do studni, to było tylko złudzenie. Holograficzne owady sprawiły, że tłum w popłochu rozproszył się na wszystkie strony. Przeróżnie niskie pulsujące dźwięki przybierały na sile jak diabelskie werble, a stroboskopowe światło było straszliwie jasne i nieprzyjemne. To nie były lampy, które znała z prób, te błyskały tak mocno, jakby miały przeniknąć do najdalszych zakamarków mózgu.

Przełknęła ślinę i powiodła wzrokiem dokoła. Holograficzny obraz mumii zniknął, ale urządzenia do wytwarzania sztucznej mgły pracowały pełną parą i gęste białe kłęby buchające z wnętrza sarkofagu bardzo szybko zaczęły wypełniać komnatę pogrzebową niczym wzbierająca woda. Błyski lamp stroboskopowych przeświecające wśród oparów zwiększyły tempo, spotęgowane przez mgłę wydawały się jeszcze bardziej okropne i przerażające.

Nora poczuła, że stojąca obok niej Viola zachwiała się; natychmiast wyciągnęła do niej rękę i podtrzymała panią egiptolog. – Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Nie bardzo. Co się u licha, dzieje, może ty wiesz, Noro?

– Nie... nie mam pojęcia. To jakaś fatalna awaria. Usterka programu czy coś...

– Te owady to nie była żadna usterka programu. Musiały zostać

wprowadzone celowo, a te światła... – Viola skrzywiła się i odwróciła wzrok.

Mgła sięgała im już do talii i wciąż narastała. Spoglądając w skłębione opary, Nora poczuła, jak wzbiera w niej nieopisana panika. Wkrótce mgła wypełni całe pomieszczenie i pochłonie ich wszystkich... Miała wrażenie, jakby ona i wszyscy inni powoli, lecz nieubłaganie, tonęli w oparach mgieł i błysków światła. Słysząc było krzyki, krótkie urywane wołania, gdy tłum coraz bardziej poddawał się hysterii.

– Musimy wyprowadzić gości – wysapała.

– Tak, wiem. Ale nie potrafię nawet zebrać myśli, Noro... Nieopodal jakiś mężczyzna zaczął gwałtownie gestykulować.

W jednym ręku trzymał odznakę, która błyszczała silnie w migoczącym świetle lamp stroboskopowych.

– Niech wszyscy zachowają spokój! – zawołał. – Jestem funkcjonariuszem policji, wyprowadzimy stąd państwa. Ale raz jeszcze powtarzam. Proszę zachować spokój!

Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Tuż obok Nory rozległ się znajomy głos wzywający pomocy. Odwróciwszy się, spostrzegła burmistrza oddalonego o parę stóp, zgiętego wpół i poszukującego czegoś lub kogoś wśród mgieł. – Moja żona upadła! Elizabeth, gdzie jesteś?

Tłum gwałtownie zaczął się cofać przy wtórze zduszonych okrzyków i Nora poczuła, że ta skłębiona ludzka fala unosi ją ze sobą. Zauważyła, że policjant po cywilnemu przewraca się pod naporem ciał. – Pomocy! – zawołał burmistrz.

Nora próbowała do niego dotrzeć, lecz napór tłumu był zbyt silny, a dobiegające z głośników rozdzierające dudnienie do reszty zagłuszyło rozpaczliwe okrzyki burmistrza.

Muszę coś zrobić.

– Posłuchajcie! – zawołała na całe gardło. – Posłuchajcie mnie wszyscy!

Krzyki cichnące wokół niej świadczyły, że przynajmniej niektórzy z gości ją usłyszeli.

– Jeżeli chcemy się wydostać, musimy współpracować. Czy to jest jasne? Chwyćmy się nawzajem za ręce i skierujmy w stronę wyjścia! Nie biegnijcie ani się nie przepychajcie! Za mną!

Ze zdumieniem i niejaką ulgą stwierdziła, że jej słowa uspokoiły wiele osób. Krzyki ucichły jeszcze bardziej i poczuła, że Viola mocno schwyciła ją za rękę. Mgła sięgała jej teraz do piersi, opary kłębiły się i falowały złowrogo. Za chwilę pochłonie ich do reszty i oślepną na dobre.

– Podajcie dalej tę wiadomość! Schwycicie się za ręce! Za mną! Nora i Viola ruszyły naprzód, prowadząc gości ku wyjściu, kolejny przeraźliwy łoskot przywodził raczej na myśl doznanie fizyczne niż dźwięk, tłum zaś runął naprzód, poddając się panice i chaosowi. Nadzieje na zachowanie porządku prysły jak bańka mydlana.

– Trzymajcie się za ręce! Nie puszczajcie!

Lecz już było za późno; tłum oszalał. Nora poczuła, że bezmyślna tłuszcza unosi ją ze sobą, ściskając tak, że prawie nie mogła zaczerpnąć tchu.

– Przestańcie napierać! – zawołała, lecz już nikt jej nie słuchał. Usłyszała, że Viola obok niej także nawołuje o spokój, ale i jej głos utonął pośród pełnych paniki okrzyków tłumu i głębokich dudniących dźwiękach, które wypełniały grobowiec. Lampy stroboskopowe wciąż migotały, każdy błysk wywoływał krótką oślepiającą eksplozję światła we mgle; było jej coraz dziwniej... ciężko... jak po narkotykach. Czuła nie tylko strach, lecz coś więcej. Coś innego. Co się działo z jej głową? Tłum runął w stronę Sali Rydwanów owładnięty bezmyślną zwierzęcą paniką. Nora z całej siły schwyciła dłoń Violi. Wtem nowy

dźwięk wdarł się w głęboki grzmiący łoskot – wysokie pociągłe zawroty głowy na granicy słyszalności, to cichnące, to przybierające na sile jak jęk banshee. Ostry jak brzytwa wrzask zdawał się dziurawić jej świadomość jak wystrzał ze śrutówki, wzmacniając osobliwe wrażenie wyobcowania. Kolejna nagła fala tłumy sprawiła, że mimowolnie puściła dłoń Violi.

– Violu!

Odpowiedź, jeśli nadeszła, utonęła w ogólnym chaosie.

Wtem napór wokół niej zelżał, jakby z balonu uszło powietrze. Stęknęła, nabrała powietrza do płuc i pokręciła głową, usiłując odzyskać ostrość widzenia. Otaczający ją opar zdawał się być spotęgowany przez drugi, wypełniający jej umysł.

W półmroku na wprost niej pojawił się bogato ozdobiony pilaster. Przywarła do niego, rozpoznała płaskorzeźbę i dzięki temu wiedziała, w którym miejscu się znalazła. Tuż przed nią majaczyło wejście do Sali Rydwanów. Gdyby udało im się tam przedostać, uwolnić od tej piekielnej mgły...

Przywarła plecami do ściany i zaczęła przesuwać się wzdłuż niej, trzymając się na dystans od ogarniętego paniką tłumy, dopóki nie ujrzała wyraźnie znajdującego się na wprost niej przejścia. Ludzie przeciskali się przez nie, walcząc zawzięcie – używając paznokci, pięści, a nawet łokci, rozrywając ciała i ubrania, ale przede wszystkim tworząc skłębiony, ociekający krwią zator przesycony paniką i szaleństwem. Z ukrytych głośników znów popłynęły groteskowe jęki i coraz donośniejszy skowyt. Pod wpływem tej fali dźwięków Norze zakręciło się w głowie, miała wrażenie, że tonie; takich doznań doświadczała zwykle, gdy miała wysoką gorączkę. Zachwiała się, ale nie upadła; gdyby teraz się przewróciła, byłoby po niej.

Usłyszała krzyk i pośród wirującej mgły nieopodal ujrzała kobietę, leżącą na boku, a tłum brutalnie ją tratował. Instynktownie pochyliła

się, schwyciła wyciągniętą rękę tamtej i pomogła jej wstać. Twarz kobiety ociekała krwią, jedną nogę miała wykrzywioną i ewidentnie złamaną, ale żyła.

– Moja noga – jęknęła kobieta.

– Obejmij mnie za ramię! – krzyknęła Nora.

Włączyła się w tłum i podtrzymując ranną, dała się ponieść przez wąskie wejście do Sali Rydwanów. Chwila przeraźliwego narastającego nacisku... i nagle zrobiło się przestronnie, ludzie rozproszyli się zdezorientowani, okrwawieni, w podartych ubraniach i rozpaczliwie wzywający pomocy. Kobieta zawisała na jej ramieniu jak martwy ciężar, łkając jak dziecko. Przynajmniej tu uwolnią się od tego morderczego dźwięku i towarzyszących mu efektów. A jednak tak się nie stało. Nie umknęła przed dźwiękiem, mgłą ani pulsowaniem lamp stroboskopowych. Nora rozejrzała się z niedowierzaniem. Mgła wciąż podnosiła się, zawieszona pod sufitem lampy błyskały w oszałamiającym tempie – oślepiające nieubłagane eksplozje światła coraz bardziej mąciły jej umysł.

Viola ma rację, stwierdziła w duchu, z trudem zbierając myśli. To nie była żadna usterka. Scenariusz nie przewidywał montażu lamp ani urządzeń do wytwarzania mgły w Sali Rydwanów, a jedynie w komorze grzebalnej. To zostało zaplanowane i zrealizowane rozmyślnie. Przycisnęła dłoń do głowy pulsującej tęnym bólem, zmuszając ranną kobietę do jeszcze większego wysiłku. Zmierzały teraz w stronę Drugiego Boskiego Przejścia i znajdującego się za nim wyjścia z grobowca. Lecz i to wąskie przejście było zablokowane przez skłębioną masę ogarniętych paniką ludzkich ciał.

– Pojedynczo! – zakrzyknęła Nora.

Dokładnie na wprost niej jakiś mężczyzna zaczął przedzierać się przez tłum. Wolną ręką schwyciła go za kołnierz fraka i silnym szarpnięciem wytrąciła z równowagi. Potoczył dziko wzrokiem dokoła

i zamachnął się zaciśniętą pięścią, próbując ją trafić.

– Suko! – ryknął. – Zabiję cię!

Nora cofnęła się z przerażeniem, a mężczyzna zaraz się odwrócił i zaatakował tych, co znajdowali się przed nim. I nie on jeden. Wszędzie wokoło ludzie wyli, miotali się z wściekłości, oczy wychodziły im z orbit – to był prawdziwy obłęd, godna Boscha wizja piekielnych czeluści.

Poczuła to w swoim wnętrzu – narastające ożywienie, nieopisany nieukierunkowany gniew, wrażenie nieuchronnej zguby. A jednak nic się nie wydarzyło. Nie było pożaru, masowego mordu, niczego, co mogłoby uzasadnić ten wybuch zmasowanego szaleństwa.

Nora spostrzegła dyrektora muzeum Fredericka Watsona Collopy'ego. Jego twarz wyglądała dziwnie, jak zdruzgotana; dyrektor chwiejnym krokiem sunął w stronę wejścia, ciągnąc za sobą jedną, zdawałoby się, całkiem bezwładną nogę. Szuuuur-łup! Szuuuur-łup!

Zauważył ją, a na jego twarzy pojawił się złowrogi, nieprzyjemny grymas. Wlokąc za sobą sztywną nogę, przedzierał się przez tłum. – Noro! Ratunku! – Schwycił ranną kobietę. Nora już miała podziękować mu za pomoc, gdy nagle ten bezceremonialnie upuścił ją na podłogę. Nora spojrzała na niego ze zgrozą. – Co pan robi, u licha?

Postąpiła naprzód, by pomóc kobiecie, lecz Collopy pochwycił ją z niewiarygodną siłą, jego palce wpijały się kurczowo w jej gardło, raniąc boleśnie. Wczepił się w jej ramiona rozpaczliwie niczym tonący. Próbowwała mu się wyrwać, ale nie potrafiła rozerwać jego chwytu. W szaleńczej pasji objął ją jedną ręką za szyję. – Ratunku! – zawołał ponownie. – Nie mogę chodzić!

Nora dźgnęła go łokciem w splot słoneczny i Collopy zachwiał się, ale w dalszym ciągu nie puszczał. Obok niej przemknął jakiś cień i Nora spostrzegła Violę, która z impetem zaczęła kopać Collopy'ego w golenie. Dyrektor wrzasnął przeraźliwie, rozluźnił uścisk i osunął

się na podłogę, wijąc się i sypiąc przekleństwami. Nora złapała Violę za rękę, po czym obie zaczęły oddalać się od rozszalałego tłumu, kierując się chwiejnym krokiem w stronę tylnej części Sali Rydwanów. Rozległ się huk i brzęk tłuczonego szkła, gdy jedna z gablot została przewrócona.

– Moja głowa, moja głowa! – jęknęła Viola, przyciskając dłonie do oczu. – Nie potrafię zebrać myśli.

– Zupełnie jakby wszyscy powariowali.

– Mam wrażenie, że sama popadam w obłąd.

– To chyba przez te lampy stroboskopowe – powiedziała Nora, pokaszując. – I przez te dźwięki... A może w tej mgle są jakieś substancje chemiczne.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

I właśnie wtedy wysoko ponad nimi pojawiła się olbrzymia trójwymiarowa spirala. Przy wtórze grzmiącego jęku spirala zaczęła obracać się powoli... i w dodatku dał się słyszeć rozdzierający dźwięk i następny, o ćwierć tonu niższy, a potem kolejny – pulsujący tętniący dysonans towarzyszył coraz szybciej wirującej spirali. To była projekcja holograficzna – musiała nią być. A jednak wydawała się tak rzeczywista... Nora nigdy nie widziała czegoś podobnego. Poczuła, że ten kształt ją przyciąga, wchłania, wsysa w bezdenną otchłań wiru szaleństwa. Z olbrzymim wysiłkiem oderwała wzrok od kręcącego się kształtu. – Nie patrz na to, Violu!

Viola dygotała od stóp do głów, ale wciąż uporczywie wpatrywała się w obracający się dziko kształt.

– Nie patrz! – Nora wymierzyła jej siarczysty policzek. Viola tylko pokręciła głową, by otrząsnąć się po otrzymanym ciosie, wzrok miała dziki, oczy nieobecne, zapatrzone w dal.

– To widowisko! – rzuciła Nora, potrząsając nią brutalnie. – Ono mąci nam w głowach!

– Co takiego...? – spytała Viola bełkotliwym głosem. Kiedy spojrzała na Norę, ta zauważyła, że oczy pani egiptolog były przekrwione, dokładnie tak samo jak oczy Wicherly’ego.

– To widowisko... Mąci nam w głowach. Odbiera rozum. Nie patrz na te obrazy, nie słuchaj tych dźwięków!

– Ja... nie rozumiem – Viola wywróciła oczami.

– Na podłogę! Zakryj oczy i zatkaj uszy!

Nora oderwała rąbek sukni i użyła tego paska materiału, aby zasłonić oczy Violi. Już miała zrobić drugą taką samą opaskę dla siebie, gdy nagle w niszy przy drugim końcu sali spostrzegła mężczyznę w białym fraku, pod muszką, absolutnie spokojnego i niewzruszonego, z oczyma przesłoniętymi czarną materiałową maseczką relaksacyjną, dumnie uniesioną głową i dłońmi splecionymi z przodu. Stał sztywno, jakby połknął kij, jakby na coś czekał. Menzies.

Jeszcze jedna iluzja?

– Włóż palce do uszu! – zawołała Nora, przykucnąwszy obok Violi.

Przycupnęły skulone w kącie sali, zamykając kurczowo oczy i rozpaczliwie zatykając dłońmi uszy, aby nie widzieć i nie słyszeć rozgrywającego się wokół nich upiornego, dziwnego i groteskowego spektaklu śmierci.

Smithback truchtem przebiegł za Pendergastem przez opustoszałe sale muzeum; promień latarki trzymanej przez agenta przesuwał się miękko po aksamitnych sznurach. W kilka minut dotarli do Rotundy; tupot ich kroków rozległ się na białym marmurze, a parę sekund później pojawili się na wyłożonych czerwonym dywanem schodach u wejścia do muzeum. Na Museum Drive z piskiem opon zajęchały właśnie radiowozy na sygnale i z włączonymi kogutami. Smithback usłyszał łoskot przelatujących w górze śmigłowców.

Oddziały policji zostały skierowane do opanowania tłumu ciekawskich zebranego przed muzeum. Zadaniem stróżów prawa było oczyszczenie Museum Drive z gapiów, ogarniętych paniką gości i przedstawicieli prasy. Inni policjanci zgromadzili się u podnóża schodów, gdzie założyli ruchome centrum dowodzenia. Słysząc było odgłosy przepychanek i mieszające się ze sobą pełne emocji okrzyki. Błyski fleszy pracujących gorączkowo fotoreporterów przywodziły na myśl pokaz sztucznych ogni.

Pendergast przystanął u szczytu schodów, po czym odwrócił się do Smithbacka. – Wejście do metra, o które nam chodzi, znajduje się tam – powiedział, wskazując na drugi koniec Museum Drive.

Przejście było zablokowane przez skłębioną masę gapiów i gości. – Przebicie się przez ten tłum zajmie nam ze dwadzieścia minut – rzekł Smithback. – A po drodze z całą pewnością ktoś wytrąci panu to

naczynie z ręki.

– To byłoby raczej niewskazane, panie Smithback.

Delikatnie powiedziane, pomyślał Smithback. – Co wobec tego pan zamierza?

– Będziemy musieli się postarać, aby ci ludzie sami zeszli nam z drogi.

– Ale jak?

Ledwie zadał to pytanie, Smithback ujrzał, jak w dłoni Pendergasta pojawił się pistolet. – Jezu, tylko niech pan nie mówi, że zamierza tego użyć.

– Nie ja. Pan. Nie odważyłbym się użyć broni, trzymając w ręku tak niestabilną substancję. Wystrzał z pistoletu w tak bliskiej odległości mógłby spowodować przedwczesną eksplozję.

– Ale ja nie...

Smithback poczuł, że wciśnięto mu do ręki pistolet. – Proszę strzelać w powietrze, wysoko w górę. Niech pan celuje ponad Central Park.

– Ale ja nigdy nie strzelałem z takiej broni.

– Musi pan jedynie pociągnąć za spust. To kolt kaliber 45 model 1911. Kopie jak muł, więc proszę ująć kolbę obiema dłońmi i lekko ugiąć ręce w łokciach.

– Może jednak będzie lepiej, jeśli ja wezmę nitroglicerynę.

– Obawiam się, że to nie wchodzi w rachubę. A teraz do dzieła! Smithback z wahaniem ruszył w stronę wzburzonego tłumu.

– FBI! – zawołał bez większego przekonania. – Z drogi! Ludzie nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi.

– Z drogi, do cholery!

Dopiero teraz kilka osób spojrzało na niego tępym, mętłym wzrokiem, ale nie ruszyło się z miejsca.

– Im szybciej pan strzeli, tym prędzej zwróci pan ich uwagę – rzekł

Pendergast.

– Jazda, z drogi! – Smithback uniósł pistolet. – Mamy krytyczną sytuację!

Kilka osób z przodu zorientowało się, co się kroi, i zeszło mu z drogi, ale reszta pomiędzy nimi a wejściem niewzruszenie stała dalej.

Smithback stanął mocno na nogach i pociągnął za spust. I nic. Nacisnął cyngiel nieco mocniej i pistolet wypalił przy wtórze huku i silnego szarpnięcia. Rozległy się głośne okrzyki i tłum rozstał się przed nimi jak Morze Czerwone.

– Co pan robi do diabła? – Dwaj policjanci, którzy do tej pory próbowali zmusić ciżbę do cofnięcia się z podjazdu, ruszyli pędem w ich stronę z pistoletami w dłoniach.

– FBI! – syknął Pendergast, gdy wraz z reporterem rzucił się w przejście pośród tłumy. – To operacja federalna! Niech nikt się nie rusza!

– Proszę pokazać odznakę!

Tłum zaczął już na powrót zwierać szeregi, a Smithback zrozumiał, że jego zadanie jeszcze się nie skończyło. – Zróbcie przejście! – zawołał i ponownie wystrzelił z pistoletu, nie zatrzymując się, dla podkreślenia tego dramatycznego efektu.

Znów głośne okrzyki i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przed nimi otwarło się przejście.

– Odbiło ci? – zawołał ktoś. – Jeszcze kogoś zranisz! Smithback puścił się pędem, Pendergast pospieszył za nim, nieco wolniej rzecz jasna z uwagi na niesiony niebezpieczny ładunek. Policjanci próbowali ich ścigać, ale tłum znów stał się jednolitą zbitą masą ludzkich ciał. Smithback słyszał, jak policjanci klną, próbując precyzyjnie przycisnąć się przez zwartą oporną ciżbę gapiów. Minutę później dotarli do wejścia do metra i teraz to Pendergast wysforował się

naprzód, płynnie i gładko pokonując kamienne stopnie i przez cały czas przyciskając do piersi nieduże szklane naczynie. Przebiegli truchtem wzdłuż opustoszałego peronu i skręcili za załom korytarza, do bocznego tunelu pełniącego funkcję wejścia do muzeum. Smithback ujrzał w połowie tunelu dwie znajome postacie: D'Agostę i Hayward.

– Gdzie ma być ten cieńszy fragment ściany? – zapytał Pendergast, gdy do nich dołączyli.

– Pomiędzy tymi liniami – Hayward wskazała dwie pionowe krechy namalowane szminką na okafelkowanej ścianie.

Pendergast ukląkł, po czym wolno i ostrożnie postawił naczynie pod ścianą, pomiędzy zaznaczonymi liniami. Następnie wstał i odwrócił się twarzą do pozostałych. – Czy zechcieliby państwo wycofać się za najbliższy załom korytarza? Panie Smithback, poproszę o mój pistolet.

Kiedy Smithback oddał broń agentowi, dał się słyszeć tupot, ktoś zbiegał po schodach prowadzących na stację. Reporter wycofał się za Pendergastem na peron i przycupnął skulony pod ścianą.

– Policja! – rozległ się władczy głos dochodzący z drugiego końca peronu. – Rzućcie broń! Niech nikt się nie rusza!

– Nie podchodźcie bliżej! – zawołała Hayward, wymachując trzymaną w dłoni odznaką. – Prowadzimy tu działania operacyjne!

– Kim pani jest?

– Kapitan Laura Hayward! Wydział zabójstw! To najwyraźniej wprowadziło ich w zakłopotanie.

Smithback zauważył, że Pendergast powoli, pieczołowicie składa się do strzału. Przywarł jeszcze mocniej do ściany.

– Pani kapitan, na ziemię – zawołał jeden z policjantów.

– Kryć się! – rzuciła w odpowiedzi Hayward.

– Gotowi? – spytał półgłosem Pendergast. – Na trzy. Jeden...

– Powtarzam, pani kapitan, na ziemię!

– Dwa...

– A ja powtarzam: kryć się, kretyni!

– Trzy.

Znów huknął strzał, a zaraz potem rozległ się donośny, rozdierający ryk; towarzyszący mu podmuch powietrza był tak silny, że uderzywszy Smithbacka w pierś, powalił go na betonową posadzkę. W mgnieniu oka całą stację wypełniły kłęby betonowego pyłu. Smithback leżał na wznak oszołomiony, przez chwilę nie mógł oddychać. Kawałki betonu sypały się dokoła niego jak deszcz.

– A niech mnie kule biją!

Głos należał do D'Agosty, ale jego samego prawie nie było widać w półmroku, jaki nagle zapanował na stacji.

Jak przez mgłę Smithback usłyszał pełne zakłopotania nerwowe okrzyki dochodzące z drugiego końca peronu. Podźwignął się do pozycji siedzącej, krztusząc się i kaszląc; dźwięczało mu w uszach. Ktoś położył mu dłoń na ramieniu, a zaraz potem usłyszał głos Pendergasta szepczącego mu wprost do ucha.

– Panie Smithback? Zaraz wchodzimy do środka, będzie mi potrzeba pańska pomoc. Niech pan przerwie ten spektakl – powyrywa kable, przewody, porozbija ekrany, potłucze lampy. Niech pan robi wszystko, co tylko możliwe, ale musi pan przerwać to widowisko. To podstawa! Dopiero kiedy się z tym uporamy, będziemy mogli spróbować pomóc tym ludziom. Rozumiemy się?

– Wezwijcie wsparcie! – dobiegł zduszony głos z drugiego końca peronu.

– Rozumie pan? – spytał Pendergast nagląco.

Smithback zakasał i pokiwał głową. Agent bezceremonialnie podźwignął go na nogi.

– Idziemy! – wyszeptał Pendergast.

Skręcili za załom korytarza; D'Agosta i Hayward byli tuż za nimi. Kurz opadł na tyle, by mogli dostrzec ziejącą w ścianie olbrzymią, osmoloną dziurę. Przez otwór wypływały na zewnątrz pasemka wirującej mgły oświetlone szaleńczymi błyskami lamp stroboskopowych. Smithback wstrzymał oddech, aby zebrać się w sobie. A potem bez wahania wślizgnął się przez otwór do wnętrza grobowca.

Przystanęli po drugiej stronie wyłomu. Gęsta mgła wylewała się na zewnątrz jak woda z pękniętej tamy, w grobowcu opary sięgały teraz nieco poniżej wysokości oczu i ich poziom wciąż opadał. Mogli przyrzeć się górnym partiom pomieszczenia. Smithback rozpoznał je natychmiast z opisu Nory – była to komnata pogrzebowa. W każdym rogu błyskały z niesamowitą, wręcz przyprawiającą o ból intensywnością lampy stroboskopowe, a wewnątrz grobowca rozbrzmiewało niemiłosiernym łoskotem, z którym przeplatał się pulsujący, szarpiący nerwy, przenikliwy wrzask.

– Co się dzieje, u licha? – rzucił stojący za nim D’Agosta.

Pendergast nie odpowiedział, tylko ruszył naprzód, rozgarniając rękoma wirujące kłęby mgły. Gdy podeszli do wielkiego kamiennego sarkofagu, wycelował i strzelił; urządzenie w rogu pomieszczenia eksplodowało kaskadą iskier i tłuczonego szkła. Agent obrócił się na pięcie, strzelając raz po raz, aż wszystkie lampy stroboskopowe zostały zniszczone, choć od strony wejścia do sąsiedniej sali wciąż widać było te same pulsujące błyski i słychać było upiorne, obłąkańcze dźwięki.

Znów ruszyli naprzód. Smithback poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku; kiedy mgła zaczęła się przerzedzać, spostrzegł ciała leżące na podłodze; wciąż jeszcze się poruszały. Podłoga była śliska od krwi.
– O nie – Smithback rozejrział się nerwowo. – Noro!

Lecz pośród tego przyprawiającego o obłąd hałasu, który zdawał się przenikać aż do szpiku kości, nie było mowy o usłyszeniu czegokolwiek. Zrobił jeszcze kilka kroków, desperacko rozgarniając mgłę rękami. Po kolejnym wystrzale z pistoletu Pendergasta dał się słyszeć jakby zgrzyt sprzężenia zwrotnego i trzask wyładowania elektrycznego, gdy głośnik spadł na podłogę i roztrzaskał się w drobny mak. Mimo to dźwięki nie ucichły. Smithback schwycił za jakieś przewody i mocno szarpnął.

Podszedł do nich chwiejnym, niemal pijackim krokiem policjant po cywilnemu. Twarz miał podrapaną i zakrwawioną, koszulę podartą na strzępy. Jego odznaka przypięta do paska klekotała przy każdym kroku, a służbowa broń zwieszała się w jego dłoni jak zapomniany dodatek.

Hayward uniosła brwi zdziwiona. – Rogerson?

Policjant spojrział w jej stronę, ale zaraz odwrócił wzrok. Po chwili odwrócił się i zaczął oddalać kołyszającym krokiem.

Hayward sięgnęła i wyłuskała z jego ręki pistolet; nie próbował stawiać oporu.

– Co tu się stało, do diabła? – zawołał D’Agosta, wodząc wzrokiem po walających się dokoła strzępach odzieży, butach i ciałach rannych gości leżących w kałużach krwi.

– Nie ma czasu na wyjaśnianie – rzekł Pendergast. – Kapitan Hayward, proszę udać się z porucznikiem D’Agosta w stronę drzwi do grobowca. Znajdziecie tam większość gości, są zgromadzeni przy głównym wejściu. Proszę sprowadzić ich z powrotem i wyprowadzić przez otwór w ścianie. Ale bądźcie ostrożni, wielu z nich wskutek obejrzenia tego widowiska może zdradzać objawy pomieszania zmysłów. Mogą być niebezpieczni. Dopilnujcie, aby nie doszło do niekontrolowanego wybuchu paniki. – Odwrócił się do Smithbacka. – Musimy odnaleźć ten generator.

– Do diabła z nim. Idę poszukać Nory.

– Nie zdoła pan nikogo odnaleźć, dopóki nie przerwiemy tego piekielnego przedstawienia.

Smithback przystanął. – Ale...

– Proszę mi zaufać. Wiem, co robię.

Smithback zawahał się, po czym przytaknął głową. Pendergast wyjął z kieszeni drugą latarkę i podał mu, po czym obaj równym krokiem weszli w opary gęstej mgły. Ich oczom ukazała się scena mrożącej krew w żyłach masakry, ranni walali się po marmurowej posadzce, jęcząc z bólu, kilka ciał zastygło w groteskowych, nienaturalnych pozach... najwyraźniej ludzi tych stratowano na śmierć. Podłoga zasłana była kawałkami glinianych skorup. Smithback przełknął ślinę i spróbował choć trochę uspokoić oszalały rytm serca.

Pendergast omiótł latarką ścianę pod sufitem i odnalazł coś, co przypominało długi kamienny występ. Złożył się do strzału i pociągnął za spust: kula odłupała fragment występu, odsłaniając dymiący i strzelający iskrami przewód.

– Kierownictwo nie pozwoliłoby na umieszczenie przewodów w ścianach grobowca – wyjaśnił. – Musimy poszukać innych kabli ukrytych za fasadą imitacji kamienia.

Powoli powiódł światłem latarki po gzymsach, które zostały uformowane, pomalowane i fakturą przypominały kamień. Ciągnęły się aż do rogu, gdzie łączył się z nim drugi, identyczny, stamtąd zaś kolejne, znacznie masywniejsze zdobienie biegło poprzez wejście do sąsiedniej sali.

Minęli kilka leżących na ich drodze ciał i weszli do następnej sali. Smithback skrzywił się, gdy jego oczy poraził blask lamp stroboskopowych, które już po chwili Pendergast zgasił czterema celnymi strzałami. Kiedy w półmroku przebrzmiało echo ostatniego

huku, spomiędzy rzedniejącej mgły wyłoniła się powłócząca ciężko nogami zataczająca się dziko postać. Jej usta poruszały się gwałtownie, jakby płynął z nich niekończący się potok słów, ale pośród wszechogarniającego jazgotu i hałasu niczego nie było słychać.

– Uwaga! – krzyknął Smithback, gdy mężczyzna rzucił się na Pendergasta. Agent zwinnie zrobił unik, podciął zataczającemu się mężczyźnie nogi i powalił go na podłogę. Mężczyzna runął ciężko na posadzkę i zaczął wic się po niej, nie mogąc wstać.

Przeszli do trzeciego pomieszczenia; Pendergast cały czas śledził przewody ukryte za imitacją kamiennego występu. Wyglądało na to, że wszystkie zbiegały się do imitacji półpilastra wprawionej w przeciwległą ścianę. Poniżej stał duży kufer z okresu XX Dynastii, złożony i misternie zdobiony. Umieszczono go w przeszklonej gablocie, która mimo panującego w całym grobowcu chaosu pozostawała nietknięta.

– Tam! – Pendergast podszedł bliżej, podniósł pęknięte, oderwane koło od rydwanu i rąbnął nim w gablotę, roztrzaskując szkło. Następnie cofnął się i ponownie uniósł pistolet, by odstrzelić spiżową kłódkę z wieka kufra. Schowawszy pistolet, usunął to, co pozostało z kłódky, odgarnął odłamki szkła i podniósł wieko ciężkiej skrzyni. Wewnątrz znajdował się sporych rozmiarów generator pracujący pełną parą. Pendergast wyjął z kieszeni nóż i przeciął przewód. Generator zakasłał, parsknął, prychnął i zgasł, pogrążając wnętrze całego grobowca w ciemnościach i ciszy.

Lecz ta cisza nie była bynajmniej absolutna. Smithback dopiero teraz usłyszał istną kakofonię krzyków i jęków dochodzących z przedniej części grobowca – odgłosy ogarniętego histerią tłumu. Wyprostował się, rozpraszając latarką mrok pomieszczenia. – Noro! – zawołał. – Noro!

Wtem światło jego latarki wychwyciło na wpół ukrytą postać stojącą w jednej z nisz, nieopodal. Smithback przyjrzał się jej z nieskrywanym zdziwieniem. Mężczyzna miał na sobie nieskazitelny biały frak z gustownie dobraną muszką, oczy przesłonięte czarną materiałową maseczką relaksacyjną, a na uszach słuchawki. W dłoni trzymał urządzenie przypominające pilota do telewizora. Stał tak nieruchomo, że Smithback przez chwilę nie był pewien, czy postać ta nie była jeszcze jedną projekcją holograficzną, ale właśnie wtedy jak na zawołanie tamten uniósł rękę i zdjął maseczkę z twarzy.

Pendergast również patrzył na mężczyznę we fraku, a kiedy ujrzał jego oblicze, zeszywniał, jego ciałem wstrząsnął silny dreszcz jak przy porażeniu prądem. Jego twarz, zazwyczaj bardzo blada, poczerwieniała.

Smithback odniósł wrażenie, że reakcja mężczyzny we fraku była jeszcze gwałtowniejsza. Tamten przykucnął instynktownie, jakby szykował się do skoku. Zaraz jednak wolno, bardzo wolno, odzyskał rezon i wyprostował się.

– To ty! – powiedział. Na chwilę znów znieruchomiał. I nagle długimi smukłymi palcami zdjął z głowy słuchawki i wyjął zatyczki z uszu, po czym rozmyślnie celebrując ten gest, upuścił je na podłogę.

Smithback zdumiał się raz jeszcze. Rozpoznał tego mężczyznę: był to przełożony Nory, Hugo Menzies. Jednak wyglądał całkiem inaczej. Oczy miał mocno zaczerwienione, a jego kończyny wyraźnie drżały. Jego twarz nabiegła ognistą czerwienią, podobnie jak oblicze Pendergasta – cały aż pałał z wściekłości.

Pendergast sięgnął po broń. Wtem znieruchomiał jak sparalizowany z pistoletem w opuszczonej dłoni.

– Diogenes... – wychrypiął zduszonym głosem. Równocześnie Smithback usłyszał swoje imię, które wypowiedział ktoś w przeciwległym końcu pomieszczenia. Odwrócił się, by ujrzeć

podnoszącą się niepewnie Norę podtrzymywaną przez Violę Maskelene. Pendergast obejrzał się przez ramię i także ją spostrzegł.

W tej samej chwili Menzies z niewiarygodną szybkością rzucił się w bok i zniknął w ciemnościach. Pendergast odwrócił się i sprężył do biegu, by ruszyć za nim w pościg, jednak znów przeniósł wzrok w stronę Violi, a na jego twarzy odmalowało się niezdecydowanie.

Smithback podbiegł do dwóch kobiet i pomógł im wstać. Po chwili obok niego pojawił się Pendergast i wziął Violę w ramiona.

– O Boże – wyszeptała niepewnie bliska łez. – O mój Boże, Aloysiusie...

Smithback prawie jej nie słyszał. Objął żonę ramieniem, jedną ręką głaszcząc jej zakrwawioną brudną twarz. – Nic ci nie jest? – zapytał.

– Głowa mi pęka – skrzywiła się. – Prócz tego kilka drobnych zadrapań. To było takie straszne.

– Wyprowadzimy was stąd. – Smithback odwrócił się do Pendergasta. Agent wciąż trzymał Violę w silnym uścisku, opierając dłonie na jej ramionach, lecz raz po raz zerkał w ciemność, gdzie zniknął Hugo Menzies.

Smithback usłyszał dochodzące z komory pogrzebowej zduszone trzaski policyjnych krótkofalówek. Promienie latarek przecięły półmrok i po chwili pojawili się policjanci, tuzin, może nawet więcej funkcjonariuszy w mundurach wkroczyło niepewnie do Sali Rydwanów z pistoletami w dłoniach.

– Co się tu dzieje, do cholery? – rzucił dowodzący akcją. – Co to za miejsce?

– Znajduje się pan w grobowcu Senefa – poinformował go Pendergast.

– Co miał znaczyć ten wybuch?

– Był konieczny, abyśmy mogli dostać się do środka – rzekła kapitan Hayward, podchodząc do nich i pokazując swoją odznakę. –

A teraz posłuchajcie uważnie. Mamy tu rannych, w dalszej części grobowca jest ich jeszcze więcej. Będziemy potrzebować lekarzy, sanitariuszy, ruchomych punktów pierwszej pomocy i karettek. Czy to jest jasne? Porucznik D'Agosta znajduje się w drugiej części grobowca i próbuje wyprowadzić uwięzione tam ofiary. Potrzebuje pomocy.

– Wszystko jasne, pani kapitan – porucznik odwrócił się do swoich ludzi, po czym wydał im kilka krótkich rzeczowych rozkazów. Paru funkcjonariuszy schowało pistolety do kabur i pomaszerowało w głąb grobowca, omiatając drogę przed sobą snopem światła silnych latarek. Smithback usłyszał dochodzące od strony głównego wejścia odgłosy zbliżającego się tłumu, przeciągłe jęki, szloch i pokasywanie przeplatające się raz po raz z gniewnymi nieartykułowanymi wrzaskami. Takie odgłosy pasowałyby raczej do silnie strzeżonego oddziału w zakładzie dla obłąkanych niż starego egipskiego grobowca.

Pendergast tymczasem prowadził Violę w stronę wyjścia. Smithback objął ramieniem Norę i ruszyli za nimi, kierując się ku wyrwie w narożnej ścianie komnaty pogrzebowej. Kilka chwil później opuścili mroczne wnętrza grobowca i znaleźli się na jasno oświetlonej stacji metra. W ich stronę przez długi peron biegło paru lekarzy i sanitariuszy z noszami.

– Panowie, my się nimi zajmiemy – rzekł jeden z sanitariuszy, kiedy do nich dotarł, podczas gdy pozostali weszli przez wyłom w murze do wnętrza grobowca.

Wkrótce Viola i Nora leżały na noszach przypięte pasami, a sanitariusze wynosili je po schodach na górę. Pendergast szedł przed nimi. Jego twarz nie była już czerwona jak przed kilkoma minutami, lecz szara niczym popiół; malował się na niej tajemniczy, nieodgadniony wyraz.

Smithback szedł obok Nory. Uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę

i lekko ścisnęła palcami jego dłoń. – Wiedziałam, że przyjdiesz –
szepnęła.

– Śniadanie zaczynamy podawać od szóstej, sir – rzekł steward do przystojnego, nienagannie ubranego dżentelmena w luksusowym przedziale pociągu.

– Wolałbym, aby przynoszono mi je do sypialni. Z góry dziękuję. Steward spojrział na wciśnięty mu do ręki banknot dwudziestodolarowy. – To żaden kłopot, sir. Czym jeszcze mogę służyć?

– Może pan przynieść mi schłodzoną szklaneczkę, trochę kruszonego lodu, butelkę wody mineralnej i puszkę cukru w kostkach.

– Oczywiście, sir. Zaraz wracam.

Mężczyzna wyszedł z przedziału, uśmiechając się, kłaniając i zamykając drzwi z uniżeniem.

Diogenes Pendergast patrzył, jak niewielkiego wzrostu mężczyzna znika w głębi korytarza. Kroki tamtego ucichły w oddali, a po chwili rozległ się trzask zamykanych masywnych drzwi na końcu wagonu. Usłyszał niezliczone odgłosy Penn Station stapiające się ze sobą, a jednak odrębne w jego umyśle: gwar rozmów na zewnątrz i bezbarwny, monotonny głos zawiadowcy stacji.

Przeniósł wzrok z stronę okna i leniwie wyjrzał na peron. Powitał go pejzaż w najróżniejszych odcieniach szarości. Korpulentny konduktor stał nieopodal, cierpliwie udzielając wskazówek młodej kobiecie z dzieckiem na ręku. Obok nich przeszedł pasażer z aktówką

w dłoni spieszący na ostatni Midtown Express do Dover stojący na sąsiednim torze. Starsza kobieta, chuda jak szczapa i bardzo wąła, przemaszerowała powolnym, zmęczonym krokiem. Przystanąła, by spojrzeć na pociąg, a potem na swój bilet, po czym mozolnie ruszyła w dalszą drogę.

Diogenes ujrzał ich wszystkich, lecz nie zwrócił na żadną z tych osób większej uwagi. Byli dla niego po prostu wizualnymi efemerydami, sposobem na zajęcie się czymś, aby nie powracał myślami do niedawnych spraw, tych, które niemal doprowadzały go do obłądu. Po kilku minutach pełnych udręki, niedowierzania i przyprawiającej o białą gorączkę wściekłości udało mu się zająć myśli na tyle, aby nie przypominały mu o niedawnej druzgocącej porażce. Prawdę mówiąc, zważywszy na okoliczności, poradził sobie całkiem nieźle. Zawsze miał jakiś plan awaryjny, kilka potencjalnych dróg ucieczki, a dziś wieczorem realizował jeden z nich, ten najbardziej adekwatny, co do joty. Upłynęło zaledwie pół godziny, odkąd uciekł z muzeum. I oto był już w pociągu nocnej linii Amtrak Lake Champlain zmierzającym do Montrealu. To było idealne rozwiązanie – dzięki temu będzie mógł zrealizować jeszcze jeden punkt swego planu. Pociąg zatrzymał się w Cold Spring nad rzeką Hudson, aby zamienić lokomotywę z elektrycznej na dieslowską, pasażerowie mieli pół godziny na rozprostowanie nóg. Diogenes wykorzystał ten czas, aby złożyć ostatnią wizytę swej starej znajomej Margo Green.

Strzykawka została już napełniona i spoczywała zamknięta bezpiecznie w ozdobnie zapakowanym, przewiązanym wstążką pudełku. Znajdowała się we włożonej do schowka w ścianie powyżej jego walizce wraz z innymi najcenniejszymi jego rzeczami – kronikami, osobistą apteką opiatów i środków halucynogennych oraz małymi upiornymi bibelotami, których żadna postronna osoba nie

mogła ujrzeć, nie przypłaciwszy tego życiem. W kieszeni zaś miał swoje dokumenty i paszporty.

Teraz pozostało mu już tylko nie myśleć o tym, co się właśnie wydarzyło. Aby się czymś zająć, skupił się ponownie na rozmyślaniu o Margo Green. W wyczerpujących metodycznych przygotowaniach do spektaklu typu światło i dźwięk ona była jedyną fantazją, na jaką sobie pozwolił. Stanowiła jedyne odstępstwo od wcześniejszej wersji planu. Była zdana na jego łaskę, mógł zabawiać się nią i zlikwidować praktycznie w każdej chwili, przy minimum ryzyka, wysiłku czy zmarnowanego czasu. Co miała w sobie, że go tak pociągała w przeciwieństwie do innych, dajmy na to Williama Smithbacka, Nory Kelly, Vincenta D'Agosty czy Laury Hayward? Nie był pewien, ale domyślał się, że mogło chodzić o jej długotrwały związek z muzeum, owymi skostniałymi, pretensjonalnymi, pospolitymi pseudouczonymi, zarozumiałymi, zadufanymi w sobie, świętoszkowatymi umysłami, wśród których została pogrzebana – podobnie jak Hugo Menzies – przez tyle długich lat, że nawet nie umiał ich już zliczyć. To była niemająca końca, niemożliwa do wytrzymania tortura. Większość z nich miała umrzeć w trakcie widowiska, ale nie ona. Z tamtymi mu się nie udało, ale z nią powinno mu pójść gładko.

Sprawiało mu przyjemność regularne odwiedzanie jej, gdy tak leżała pogrążona w śpiączce, stan ten raz po raz przedłużał, utrzymując ją na pograniczu życia i śmierci, chłonąc ból cierpiącej matki niczym boską ambrosję. To było to, co uwielbiał i czym karmił się w najlepsze; ten smak wzmagił w nim pragnienie dalszej egzystencji w postaci żywego trupa, jak postrzegał własne życie. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – rzekł Diogenes.

Wszedł steward, wtaczając do przedziału barek, który postawił na

sąsiednim stoliku. – Czy życzy pan sobie coś jeszcze?

– Na razie nie. Za godzinę może pan przygotować dla mnie łóżko.

– Dobrze, sir. I wtedy też przyjmę zamówienie na śniadanie. –
Mężczyzna wyszedł, kłaniając się nisko.

Diogenes siedział przez chwilę, spoglądając na peron. Wreszcie powoli wyjął z kieszeni na piersi srebrną buteleczkę. Odkręciwszy ją, nalał do szklaneczki na barku kilka uncji jasnozielonego płynu, który dla niego miał jasnoszarą barwę. Następnie wyjął ze skórzanej walizki srebrną łyżeczkę z herbem rodowym Pendergastów trochę nadtopionym z jednej strony. Obchodził się z nią jak z niemowlęciem. Ostrożnie, czule położył łyżeczkę w poprzek na szklance i umieścił na niej kostkę cukru. Następnie polał schłodzoną wodą cukier, sącząc ją kropla do kropli. Przelewając się ponad krawędziami łyżeczki niczym cukrowa fontanna, osłodzona woda zaczęła spływać do trunku poniżej, zmieniając jego barwę zrazu na mlecznozieloną, a następnie na przepiękną opalizującą szmaragdową; niestety oczy Diogenesa nie rozróżniały barw.

Wszystko to dokonało się powoli, bez najmniejszego pośpiechu, Diogenes starannie odłożył łyżeczkę i uniósł szklaneczkę do ust, delektując się lekko gorzkawym smakiem. Zamknął buteleczkę i włożył ją na powrót do kieszeni. To jedyny współczesny absynt, jaki udało mu się znaleźć, posiadający taką samą wysoką zawartość piołunu jak trunek w XIX wieku. I między innymi dlatego zasługiwał, by pić go w tradycyjny sposób. Upił kolejny łyk, po czym usadowił się wygodniej na fotelu. Co o picciu absyntu powiedział Oscar Wilde? „Pierwszy etap jest jak zwykle picie, przy drugim zaczynasz widzieć potworne i okrutne rzeczy, ale jeśli się nie poddasz, wejdiesz w etap trzeci, gdzie zaczniesz postrzegać to, co chcesz zobaczyć. Rzeczy cudowne i osobliwe”. To dziwne, niezależnie od tego, ile wypił, Diogenes nigdy nie mógł wyjść poza drugi poziom. Ale niezbyt się

tym przejmował.

Niewielki głośnik umieszczony wysoko na ścianie nagle ożył.

„Szanowni państwo, mówi kierownik pociągu. Witamy na pokładzie Lake Champlain, który zatrzymuje się kolejno w Yonkers, Cold Springs, Poughkeepsie, Albany, Saratoga Springs, Plattsburgu, St. Lambert i Montrealu. Proszę wsiadać, pociąg zaraz rusza. Odprowadzających prosimy o opuszczenie składu...”

Słuchając tych słów, Diogenes uśmiechnął się pod nosem. Lake Champlain był jednym z dwóch ostatnich luksusowych pociągów pasażerskich wciąż obsługiwanych przez Amtrak. Po wynajęciu dwóch sąsiadujących ze sobą sypialni pierwszej klasy i otwarciu przejścia pomiędzy nimi Diogenes uznał, że ten apartament całkiem mu odpowiada. To wstyd i hańba, że politycy dopuścili, aby koleje amerykańskie, ongiś obiekt zazdrości całego świata, popadły w taką ruinę. Ale to stanowiło, przynajmniej w jego przypadku, jedynie drobną niedogodność; już wkrótce wróci do Europy, gdzie ludzie rozumieli, co znaczy podróżować godnie i komfortowo.

Za oknem kołyszącym krokiem przeszła krępa kobieta, za nią zaś człapał dźwigający walizki bagażowy. Diogenes uniósł w dłoni szklaneczkę i perłowy płyn delikatnie zafalował. Już za chwilę pociąg ruszy. Dopiero w tym momencie po raz pierwszy, niepewnie jak człowiek zbliżający się do niebezpiecznego zwierzęcia, pozwolił sobie na chwilę refleksji.

Rozważania te wydały mu się aż nadto przerażające. Piętnaście lat planowania, życia w przebraniu, snucia misternych intryg i genialnych posunięć. Wszystko na marne. Na samą myśl o tym, ile wysiłku i czasu poświęcił samemu tylko Menziesowi, tworząc jego legendę, poznając fach, zdobywając posadę, pracując całymi latami, uczestnicząc w nudnych zebraniach i wysłuchując kretyńskiego bełkotu stetryczałych kustoszów, czuł, że zapada się w otchłań

szaleństwa. No i ten wielki finał w swej przerażającej i misternej chwale. Skrupulatne badania medyczne mające odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób można zmienić zwykłego człowieka w pałającego żądzą mordy socjopate, wykorzystując w tym celu jedynie światło i dźwięk – usunięcie światłem lasera hamującej ścieżki mózgowej, który to zabieg spowoduje uraz całego obszaru mózgu odpowiedzialnego za odhamowanie elementarnych funkcji... Potem czekało go jeszcze żmudne i skomplikowane zamontowanie i ukrycie jego własnego zestawu do widowiska audiowizualnego wśród konstrukcji zewnętrznej, którą wszyscy się zachwycali, i przetestowanie sprzętu najpierw na techniku, a potem na tym durniu Wicherlym.

Wszystko szło tak pięknie. Nawet klątwa ciężąca na grobowcu, którą tak sprytnie rozdmuchał, dodała temu wszystkiemu wyjątkowego smaczku; pomogła zmiękczyć ludzi, przygotowując ich psychicznie na grozę spektaklu otwarcia. I udałooby się, gdyby nie jeden czynnik, którego nie przewidział – ucieczka jego brata z zakładu karnego Herkmoor. Jak tego dokonał? I w dodatku zjawił się na czas, aby raz jeszcze zniweczyć cały jego trud. Zniszczył wszystko.

Tak, to typowe dla Aloysiusa. Dla Aloysiusa, który jako mniej uzdolniony z braci, cierpiał ponurą przyjemność z niszczenia wszystkiego, co z takim oddaniem i tak pieczołowicie starał się stworzyć. Dla Aloysiusa, który uświadomiwszy sobie, że pod względem intelektualnym zawsze będzie na drugim miejscu, podjął ostateczny krok i dzięki pamiętnemu zdarzeniu zapewnił sobie to, czego zawsze pragnął.

Wtem dłoń, w której trzymał szklaneczkę, zadrżała i Diogenes natychmiast odciął się od tych, skądinąd niepożądanych myśli. Nieważne, pozostawi bratu jeszcze jeden podarunek, który obarczy

jego i tak już mocno obciążone sumienie: straszliwą śmierć Margo Green.

Rozległ się wizg hamulców; kolejny komunikat kierownika pociągu, a potem przy wtórze zgrzytu kół pociąg potoczył się naprzód, powoli sunąc wzdłuż peronu. Ruszył w drogę: Cold Springs, Kanada, Europa i dom. Dom. Na samą myśl o powrocie do biblioteki, gdzie zgromadził swe największe skarby w budynku zaprojektowanym tak przemyślnie, że był w stanie spełnić niemal każdą jego zachciankę i pomóc mu odzyskać spokój umysłu. To właśnie w tym domu całe lata planował swoje przestępstwo doskonałe. I robi to ponownie. Był jeszcze młody. Miał przed sobą wiele lat życia, więcej niż potrzebował, by obmyślić nowy, lepszy plan.

Upił jeszcze łyk absyntu. W gniewie i zaślepieniu wywołanym szokiem ewidentnie o czymś zapomniał. Odniósł przynajmniej częściowy sukces. Zadał bratu druzgocący cios. Aloysius został publicznie upokorzony, oskarżony o zabójstwo przyjaciół oraz wtrącony do więzienia. Mógł się stamtąd przynajmniej tymczasowo wydostać, ale wciąż był poszukiwanym zbiegiem. Ucieczka z zakładu karnego sprawi, że tylko jeszcze bardziej pogrzeje się w bagnie, w którym ugrzązł. Nie będzie miał chwili spokoju ani odrobiny wytchnienia. Będzie ścigany jak tropione zwierzę, bez końca. Dla kogoś, kto tak jak Aloysius cenił sobie prywatność, pobyt w więzieniu musiał być istną gehenną.

Tak, przynajmniej tyle zdołał osiągnąć. Zadał bratu cios w czułe miejsce, tam gdzie go zabolalo najbardziej. Podczas gdy Aloysius gnił w więzieniu, Diogenes uwiódł jego podopieczną. Cóż to było za odrażająco rozkoszne doznanie. Jedyne w swoim rodzaju, gdy uwodzisz kobietę, która przeżyła sto lat dzieciństwa, a mimo to wciąż była tak czysta, niewinna i naiwna. Każda nić tkanej przez niego pajęczyny, każde wypowiedziane przez niego cyniczne kłamstwo

sprawiły mu niewysłowioną radość; zwłaszcza ten długi barwny wywód na temat kolorów. Teraz ona już zapewne nie żyła, leżąc w kałuży własnej krwi. Tak, morderstwo to jedno, ale samobójstwo, prawdziwe samobójstwo, stanowiło najsilniejszy i najbardziej bolesny z zadanych przez niego ciosów.

Powoli upił następny łyk i ponad krawędzią szklaneczki obserwował przesuwany się za szybą peron. Zbliżał się do drugiego etapu przy picciu absyntu według Oscara Wilde'a, doświadczenia wizji potwornych i okrutnych rzeczy, i pragnął zatrzymać w swym umyśle jak kojący balsam zwłaszcza jeden obraz: swego brata stojącego nad ciałem martwej Constance, czytającego list. To był obraz, który przyda mu siłą, otuchy i poprawi humor do czasu powrotu do domu.

Drzwi do jego przedziału rozsunęły się z trzaskiem. Diogenes wyprostował się w fotelu, wygładził przód koszuli i wsunął rękę do kieszeni marynarki po bilet. Ale w drzwiach nie stał konduktor, lecz słaba wążka staruszka, którą kilka minut temu widział przechodzącą przez peron. Zmarszczył brwi. – To przedział prywatny – rzucił oschle.

Kobieta nie odpowiedziała. Zamiast tego jednym krokiem weszła do przedziału. Diogenes natychmiast poczuł narastający niepokój. Nie potrafił jeszcze określić jego źródła, ale jakimś szóstym zmysłem wyczuwał zbliżające się zagrożenie. A kiedy kobieta sięgnęła do torebki, zdał sobie sprawę, co wzbudziło jego podejrzliwość – to już nie były powolne, pełne wahania ruchy staruszki. Były zwinne, szybkie i przeraźliwie rozmyślnie. Zanim zdążył zareagować, dłoń wysunęła się z torebki, trzymając rewolwer.

Diogenes zastygł. Rewolwer był staroświecki, brudny, pokryty pasemkami rdzy. Diogenes niemal wbrew sobie otaksował kobietę wzrokiem od stóp do głów i w końcu jego spojrzenie padło na jej bezdenne, pozbawione wyrazu oczy, przesłonięte nieznacznie

kosmykami włosów siwej peruki. Rozpoznał ją natychmiast.

Rewolwer uniósł się lekko.

Diogenes poderwał się na nogi, zachlapując absyntem spodnie i przód koszuli, po czym, gdy kobieta nacisnęła spust, rozpaczliwie rzucił się naprzód.

Broń nie wypaliła.

Diogenes wyprostował się, serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Dopiero teraz zrozumiał, że najprawdopodobniej nigdy dotąd nie używała broni palnej, nie wiedziała, jak należy celować ani jak się zwalnia bezpiecznik. Skoczył w jej stronę, ale w tej chwili usłyszał szcęk zwalnianego bezpiecznika, a zaraz potem wewnątrz przedziału wypełnił rozzwierający huk wystrzału. Kula wybiła dziurę w poszyciu wagonu, nad jego głową, gdy okręcił się na pięcie i runął na bok na podłogę.

Poderwał się na nogi w chwili, gdy kobieta postąpiła krok naprzód spowita jak zjawa kłębamii kordytowego dymu i kurzu. I znów z niezmaconym, nieludzkim spokojem opuściła broń i wycelowała.

Diogenes rzucił się w stronę drzwi do sąsiedniego przedziału, lecz okazało się, że steward jeszcze ich nie otworzył.

Kolejna ogłuszająca eksplozja i fragment boazerii o kilka cali od jego ucha rozprysnął się w drzazgi.

Odwrócił się twarzą do niej, a plecami do okna. Może mógłby rzucić się na nią, odepchnąć od drzwi... Ona tymczasem tak powoli, że aż wydawało się to nienaturalne i przerażające, opuściła broń i złożyła się do strzału. Uchylił się w bok, gdy trzecia kula strzaskała okno, przed którym stał zaledwie kilka sekund wcześniej. Kiedy ucichło echo wystrzału, dał się słyszeć zgrzyt obracających się wolno kół pociągu. W korytarzu wagonu, gdzie znajdował się przedział Diogenesa, rozległy się głośne krzyki i wrzaski. Na zewnątrz widać było już koniec peronu. Nawet gdyby ją obezwładnił i odebrał jej

broń, i tak by przegrał. Zostałby schwytany i zdemaskowany.

W jednej chwili bez namysłu Diogenes obrócił się i rzucił szczupakiem poza roztrzaskane okno, wylądował ciężko na betonowej platformie peronu i przeturlał się po niej raz i drugi pośród kurzu i drobnych odłamków szkła. Podniósł się na wpół oszołomiony, z bijącym dziko sercem, by ujrzeć, jak ostatni wagon składu znika w mrocznej czeluści tunelu.

Stał na peronie zdezorientowany. Ale pomimo szoku, bólu i strachu wciąż miał przed oczyma jeden obraz – przeraźliwego spokoju, z jakim ta kobieta – Constance – raz po raz unosiła broń, by znowu w niego wycelować. W jej dziwnych oczach nie było żadnych emocji, uczuć, nie było w nich nic. Z wyjątkiem nieludzkiego zapamiętania.

Każdy, kto wypatrywałby prawdziwych dżentelmenów na terminalu E na lotnisku Logan w Bostonie, zwróciłby uwagę na mężczyznę po sześćdziesiątce, z brązowymi włosami przyprószonymi na skroniach siwizną i starannie przyciętą szpakowatą bródką, ubranego w granatowy blezer i białą koszulę rozpiętą pod szyją; z kieszonki na piersi wystawała czerwona jedwabna chustka. Oczy miał niebieskie i błyszczące, szerokie kości policzkowe i szczerą, rumianą, pogodną twarz. Przez ramię przewiesił czarny płaszcz z kaszmiru i położył go na pasie transmisyjnym do punktu kontrolnego wraz z butami i zegarkiem.

Po przejściu przez kontrolę dżentelmen udał się zwawym krokiem przez korytarz terminalu, przystając tylko na chwilę przy kiosku, opodal bramki numer 7. Zajrzał do środka. Rzucił okiem na stoisko z książkami i ucieszył się, że James Rollins wydał nową powieść. Wziął jeden egzemplarz, zdjął „Timesa” ze stojaka i podszedł do kasy, witając kasjerkę radosnym „Dzień dobry” z akcentem zdradzającym australijskie pochodzenie.

Dżentelmen wybrał miejsce opodal bramki, usiadł i energicznym ruchem rozłożył gazetę. Przejrzał wiadomości z kraju i ze świata, przekładając strony wprawnym, wystudowanym ruchem. W dziale miejskim napotkał niewielką notatkę: „Tajemnicza strzelanina w pociągu dalekobieżnym”.

Błyskawicznie zorientował się w szczegółach: w pociągu Lake Champlain ruszającym z Penn Station doszło do próby zabójstwa; świadkowie twierdzą, że starsza kobieta oddała kilka strzałów do jakiegoś mężczyzny; niedoszła ofiara wyskoczyła z pociągu i znikła w tunelu pod Penn Station; szeroko zakrojone poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem, nie zdołano zidentyfikować tajemniczej kobiety ani odnaleźć broni, z której strzelała. Śledztwo trwa.

Przewrócił stronę i przejrzał poszczególne artykuły; w którymś momencie jego czoło zmarszczyło się, gdy zdanie autora felietonu rozminęło się z jego opinią, ale zaraz znów się rozpogodziło.

Bystry i skrupulatny obserwator, a był taki jeden w istocie, dostrzegłby co najwyżej zamożnego Australijczyka oczekującego na samolot i czytającego „Timesa”. W umyśle tego człowieka szalały zmieszane ze sobą gniew, niedowierzanie i żal do samego siebie. Jego świat został obrócony w perzynę, plan, który opracowywał tak pieczołowicie spalił na panewce. Nic mu się nie udało. Zawiódł na całej linii. Wejście do piekła zniszczone. Margo Green wciąż żyła. Jego brat był na wolności. I co ubodło go najbardziej, Constance Greene nie popełniła samobójstwa.

Z uśmiechem skupił wzrok na stronie z wiadomościami sportowymi.

Constance nie targnęła się na życie. W jej przypadku srodze się omylił. Wszystko, co wiedział na temat ludzkiej natury, wskazywało, że Constance odbierze sobie życie. Była dziwolągiem, w dodatku z silnymi zaburzeniami emocjonalnymi; czyż od dziesiątków lat nie balansowała na granicy załamania psychicznego? A on ją popchnął. I zrobił to bardzo mocno. Dlaczego nie runęła w dół? Unicestwił wszystkie filary, które podtrzymywały jej życie, nie miała już żadnego oparcia, podał w wątpliwość wszystko, w co wierzyła. Zatrął jej życie

jadem nihilizmu.

*W pośpiechu wielkim dziewiczy zerwał kwiat
Bezbronny, wątpy co oddał mu się rad.*

W swoim długim, prowadzonym w ukryciu, jałowym życiu Constance zawsze poruszała się z pewnym wahaniem, niepewna własnych zamierzeń i sensu swego istnienia. Z rozgoryczeniem Diogenes stwierdził, że swoim postępowaniem usunął w cień jej wątpliwości i dylematy, dając w zamian jedyną rzecz, jakiej nie otrzymała od nikogo innego: coś, po co warto żyć. Jej życie zyskało nowy, światły cel. Dopaść go i zabić.

W normalnych okolicznościach to nie stanowiłoby problemu. Ci, którzy z nim zadarli – a było takich paru – nie przeżyli dostatecznie długo, aby zaatakować go po raz drugi. Zmył grzechy w ich krwi. Ale nawet teraz widział, że Constance nie była taka jak inni. Nie pojmował, jak zdołała rozpoznać go w pociągu; chyba że w jakiś sposób śledziła go już od muzeum. Wciąż był wstrząśnięty niezmaconym spokojem, jaki z niej emanował, kiedy do niego strzelała. Zmusiła go, aby wyskoczył przez okno, pierzchając w panice i porzucając walizkę z jej bezcenną zawartością.

Na szczęście zachował kilkanaście paszportów, portfel, karty kredytowe i dokumenty. Policja śladem walizki i bagażu trafi do Menziesa, nie zdoła jednak wpaść na trop jego obecnego wcielenia – pana Geralda Boscoma z South Penrith, Sydney w Nowej Południowej Walii. Nadszedł czas, by porzucić wszystkie zbędne myśli, wszelkie spontaniczne i mimowolne gesty oraz kwieciste ozdobniki, a także szepczące głosy w tle tworzące jego mentalny krajobraz, i skupić się na opracowaniu dalszego planu działania.

Przewrócił stronę i zatopił się w doniesieniach ze świata biznesu.

Nieważne zło i dobro – pomsty żąda

I gniewu, co w niej płonie, wciąż wygląda.

Jedynie Constance Greene mogła go rozpoznać. Stanowiła zbyt wielkie zagrożenie. To było nie do przyjęcia. Dopóki go ścigała, nie mógł powrócić do swej kryjówki, by tam odzyskać siły. Mimo to nie wszystko jeszcze stracone. Tym razem zawiódł, a w każdym razie poniósł przynajmniej częściową porażkę, ale miał jeszcze przed sobą wiele lat życia, by opracować i zrealizować nowy, lepszy plan, który powiedzie się w stu procentach. Ale dopóki ona żyła, on nie będzie bezpieczny. Constance Greene musiała umrzeć.

Pan Gerald Boscomb sięgnął po świeżo nabytą książkę, otworzył ją i zaczął czytać.

Zabicie jej wymagało przemyślnego planu. Jego myśli krążyły wokół afrykańskiego bawołu, najgroźniejszego zwierzęcia, na które polował człowiek. Bawoły te odznaczały się specyficzną strategią działania i jako jedyne potrafiły sprawić, że myśliwy stawał się zwierzyną. Podczas lektury powoli zaczął opracowywać swój plan. Rozpatrywał go raz i drugi, zastanawiając się nad najbardziej dogodnymi miejscami do jego realizacji, aż dotarł do rozdziału szóstego i jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Tak. Ten plan musiał się powieść. Obróci nienawiść Constance przeciwko niej samej.

Włożył zakładkę do książki, zamknął ją i wcisnął pod pachę. Pierwszy etap planu polegał na tym, że musiał się jej pokazać – celowo i rozmyślnie – o ile zdołała dotrzeć w ślad za nim aż tutaj. Ale nie mógł zbyt ryzykować, koniec z niepotrzebnymi przypuszczeniami.

Wstał, przerzucił płaszcz przez ramię i ruszył przez terminal, popatrując od niechcienia w prawo i w lewo, obserwując szare ludzkie masy spieszące to w jedną, to w drugą stronę niczym fale przyływu w różnych odcieniach szarości, nieskończonych odcieniach szarości zlewających się ze sobą. Gdy znów mijał bramkę, jego wzrok padł

przelotnie na zanedbaną kobietę kupującą egzemplarz „Vogue’a”; miała na sobie brązową wełnianą spódnicę z afrykańskim wzorem, białą bluzkę oraz tanią chustkę na szyi. Brązowe brudne włosy opadały w strąkach na ramiona. Trzymała w ręku nieduży, czarny, skórzany plecak.

Diogenes przeszedł powoli obok kiosku i wszedł do Starbucksa opodal wstrząśnięty, że Constance nie postarała się o lepszy kamuflaż. Był równie zaszokowany faktem, że dotarła za nim aż tutaj. Ale czy to na pewno ona?

Raczej tak. Aby go odnaleźć w inny sposób, musiałyby mieć zdolności telepatyczne. Zamówił zieloną herbatę, rogalik i usiadł przy stoliku, starając się nie patrzeć na tamtą kobietę. Mógł ją zabić – tu i teraz – to byłoby proste, ale nie zdołałby wymknąć się ochronie lotniska. Czy ona mogłaby spróbować go zabić w miejscu publicznym takim jak to? Czy zależało jej na własnym życiu na tyle, by poczekać na dogodny moment, czy jej jedynym celem było uśmiercenie go, i to za wszelką cenę?

Nie potrafił odpowiedzieć.

Pan Gerald Boscomb dopił herbatę, zjadł rogalik, strzepnął okruchy z koniuszków palców, otrzepał płaszcz i powrócił do lektury dopiero co nabytego thrillera. Chwilę potem usłyszał wezwanie skierowane do pasażerów pierwszej klasy do wejścia na pokład. Podając bilet stewardesie, ponownie otaksował wzrokiem terminal, ale kobiety już tam nie było.

– Dzień dobry – rzucił pogodnym tonem, odbierając swoją część biletu i kierując się do wejścia samolotu.

Vincent D'Agosta stanął w drzwiach biblioteki w rezydencji przy Riverside Drive 891. W kominku buzował ogień, światła były zapalone, w pokoju panował ruch i gwar. Fotele przestawiono pod regały, a pośrodku pokoju stał wielki stół, którego blat zaścielały rozmaite papiery. Opoдал stał Proctor i rozmawiał z kimś przez telefon bezprzewodowy, podczas gdy Wren, z włosami rozwichrzonymi bardziej niż zwykle, nachylał się nad stertą książek przy biurku, w rogu pokoju. Mały człowieczek miał skwaszoną minę i wyglądał staro.

– Wejdz, proszę, Vincencie – Pendergast zawołał do D'Agosty i zaprosił go do środka kurtuazyjnym gestem.

Ten przestąpił próg, zatroskany nietypowym jak dla agenta niechlujnym wyglądem. Tylko raz widział go nieogolonego. Poza tym guziki jego marynarki były porozpinane.

– Mam wszystko, czego chciałeś – rzekł D'Agosta, unosząc w dłoni papierową teczkę. – Dzięki kapitan Hayward. – Upuścił teczkę na stół i otworzył.

– Proszę, mów dalej.

– Świadkowie twierdzą, że strzelającą była starsza kobieta. Wsiadła do pociągu z biletem pierwszej klasy do Yonkers; zapłaciła gotówką. Podała nazwisko Jane Smith. – Parsknął. – Gdy pociąg opuszczał Penn Station, weszła do prywatnego przedziału pasażera nazwiskiem...

Eugene Hofstader. Wyjęła broń i oddała cztery strzały. Eksperci wydobyli dwa pociski kalibru 44-40 ze ścian przedziału i kolejny, który znaleźli na torowisku. Co ciekawe, pociski były starodawne, pochodziły z XIX-wiecznego rewolweru, najprawdopodobniej z kolta.

Pendergast zwrócił się do Wrena: – Sprawdź, czy w naszej kolekcji brakuje kolta peacemakera lub innej tego typu broni i pocisków 44-40, bardzo proszę.

Wren wstał i bez słowa opuścił pokój. Pendergast przeniósł wzrok na D'Agostę. – Kontynuuj.

– Staruszka zniknęła, choć nikt nie widział, aby opuszczała skład pociągu, który niemal natychmiast po strzelaniu został zamknięty. Jeżeli była w przebraniu i pozbyła się go, rzeczy tych nie znaleziono.

– Czy ten mężczyzna coś pozostawił?

– Pewnie, że tak: walizkę i torbę podróżną z ubraniami. Żadnych dokumentów, nic, co mogłoby potwierdzić jego tożsamość. Wszystkie metki z ubrań zostały usunięte. Ale walizka...

– Tak?

– Przewieziono ją do pomieszczenia, gdzie gromadzone są materiały dowodowe, a kiedy otrzymano nakaz, została otwarta. Funkcjonariusz, który tylko raz zajrzał do środka, dostał jakiegoś ataku i trzeba było podać mu środki uspokajające. Wezwano jednostkę do usuwania substancji niebezpiecznych i teraz cała zawartość walizki znalazła się pod kluczem, wywieziono ją, nikt nie wie dokąd.

– Rozumiem.

– Sądzę, że mówimy tu o Diogenesie – rzekł D'Agosta nieco rozdrażniony, że wysłano go z misją specjalną niedoinformowanego.

– Oczywiście.

– Kim jest zatem ta staruszka, która do niego strzelała? Agent skinął w stronę stołu znajdującego się pośrodku pokoju.

– Kiedy Proctor wrócił tu wczoraj wieczorem, stwierdził, że Constance zniknęła, a wraz z nią kilka sztuk garderoby. W jej pokoju odnalazł białą myszkę, miała skręcony kark. Odkrył także list i pudełko z różanego drewna.

D’Agosta podszedł, sięgnął po wskazany liścik i pospiesznie przeczytał. – Jezu, o Jezu, co za porąbany świr...

– Otwórz pudełko.

Ostrożnie uniósł wieko eleganckiego pudełka. Było puste, pozostało jedynie długie płytkie zagłębienie w miękkiej wyściółce z fioletowego aksamitu. Na wyblakłej etykiecie na wieczku pudełka można było dostrzec napis: „Sweitzer, narzędzia chirurgiczne”.

– Skalpel? – zapytał.

– Tak. Aby Constance podcięła sobie żyły. Ona jednak najwyraźniej zamierza użyć go w innym celu.

D’Agosta pokiwał głową. – Chyba zaczynam rozumieć. Tą staruszką była Constance.

– Tak.

– Miejmy nadzieję, że jej się uda.

– Myśl o ich ponownym spotkaniu przepelnia mnie zgrozą – odparł z posępną miną Pendergast. – Musimy ją dogonić i powstrzymać. Diogenes od lat przygotowywał się do tej ucieczki, nie ma mowy, abyśmy mogli go odnaleźć. Chyba że sam tego zechce. Constance natomiast nie będzie próbowała zatrzeć za sobą śladów. Muszę ruszyć za nią. Istnieje szansa, nikła, ale jednak, że odnalazłszy ją, znajdem także jego.

Odwrócił się do włączonego iBooka stojącego na stole i zaczął stukać w klawisze. Kilka minut później przeniósł wzrok na D’Agostę. – Dziś o piątej po południu Constance weszła na pokład samolotu do Florencji, we Włoszech, odlatującego z lotniska Logan w Bostonie. – Odwrócił się. – Proctor? Spakuj, proszę, moje rzeczy i zarezerwuj dla

mnie lot do Florencji.

– Jadę z tobą – powiedział D’Agosta.

Pendergast spojrzał na niego, twarz miał szarą jak popiół. – Możesz mnie odwieźć na lotnisko. Ale nie możesz mi towarzyszyć, nic z tego, Vincencie. Musisz się przygotować do przesłuchania w sprawie postępowania dyscyplinarnego. Poza tym to sprawa rodzinna.

– Mogę ci pomóc – rzekł D’Agosta. – Potrzebujesz mnie.

– To, co mówisz, jest prawdą. A jednak po prostu muszę uporać się z tą sprawą w pojedynkę.

Głos miał tak lodowaty i nieznoszący sprzeciwu, że D’Agosta zrozumiał, iż wszelkie próby przekonania agenta, aby zmienić zdanie, są z góry skazane na niepowodzenie.

Diogenes Pendergast alias Gerald Boscomb minął Palazzo Antinori i skręcił w Via Tornabuoni, chłonąc z nieco gorzką nostalgią wilgotne zimowe powietrze Florencji. Tak wiele się wydarzyło, odkąd był tu po raz ostatni kilka miesięcy temu, kiedy jeszcze jego plany znajdowały się w fazie realizacji. Teraz nie miał już nic, nawet ubrań, które pozostawił w pociągu. Ani swej bezcennej walizki.

Przeszedł obok Max Mary, wspominając z żalem czasy, gdy miejsce to zajmowała dobra stara Libreria Seeber. Zaszedł do Pineidera, kupił papeterię, u Beltramiego nabył walizkę, a płaszcz przeciwdeszczowy i parasol w Allegri, po czym wszystko to polecił odesłać do swego hotelu, zatrzymując jedynie płaszcz i parasol, za które zapłacił gotówką. Wstąpił do Procacci, usiadł przy małym stoliku w zatłoczonej restauracji i zamówił kanapkę z truflami i kieliszek vernaccia. Sączył trunek w zamyśleniu, obserwując przechodniów przez szybę.

*Fourmillante cite, cite pleine de rêves
Ou le spectre en plein jour raccroche le passant*

Niebo pociemniało, zapowiadając rychłą ulewę, miasto stało się mroczne i czarne. Może właśnie dlatego zawsze lubił Florencję zimą; miasto było monochromatyczne, budynki blade, a wzgórza wokoło ciemnoszare, porośnięte cyprysami; rzeka snująca się leniwie miała

barwę żelaza, a spinające jej brzegi mosty wydawały się niemal czarne.

Położył banknot na stoliku i wyszedł z restauracji na dalszą przechadzkę. W pewnej chwili przystanął przed wystawą Valentino, obserwując w szybie odbicie drugiej strony ulicy. Wszedł do sklepu, nabył dwa garnitury, jeden jedwabny, drugi czarny, dwurzędowy completo w prążki; uwielbiał ten krój i styl, ponieważ kojarzył mu się z noszonymi przez gangsterów w latach 30... i również polecił odesłać je do hotelu.

Po wyjściu na ulicę skierował się w stronę posepnej średniowiecznej fasady Palazzo Ferroni, okazałego zamczyska z ciosanego kamienia, z wieżyczkami i zwieńczonych blankami, obecnie światowej sławy siedziby Ferragamo, i poświęcił sporo czasu, oglądając buty. Zakupił dwie pary, po czym skompletował garderobę, nabywając jeszcze bieliznę, skarpety, koszulę nocną, podkoszulki i spodenki kąpielowe. Tak jak poprzednio odesłał zakupione rzeczy do hotelu i wyszedł ze sklepu, niosąc jedynie złożony parasol i płaszcz.

Zmierzał w stronę rzeki, przystając przed lungarno, aby przez chwilę pokontemplować idealną krzywiznę łuków mostu Santa Trinita projektu Ammanatiego, krzywiznę, która nieźle namieszała w głowach matematykom. Omiótł wzrokiem posągi czterech pór roku zdobiące most po obu stronach. To wszystko nie sprawiało mu przyjemności. Było bezużyteczne, próżne.

Wody Arno poniżej, wezbrane po zimowych deszczach, sunęły miękko jak przelewające się cielsko węża, słyszał ten ryk wód przetaczających się ponad pescaia kilkaset jardów dalej, w dół rzeki. Poczł kroplę deszczu, która kapnęła mu na policzek; jedną, potem drugą. Wśród zagonionych tłumów przechodniów natychmiast pojawiły się czarne parasole kołyszące się ponad mostem niczym czarne latarnie...

*e dietro le venia si lunga tratta
di gente, ch'i' non averei creduto
che morte tanta n'avesse disfatta.*

Nałożył płaszcz, mocno zapiął pasek, rozłożył parasol i dołączając do tłumów przechodzących przez most, doświadczył krótkotrwałego nihilistycznego uniesienia. Po drugiej stronie przystanął na wale i spojrzał na rzekę. Słyszał bębnienie kropel deszczu w materiał parasola. Nie widział jej, ale wiedział, że tam była, szła za nim pośród falującego morza kołyszących się parasoli.

Odwrócił się i przeszedł przez mały piazza po drugiej stronie mostu, po czym skręcił w prawo w Via Santo Spirito i zaraz w lewo w Borgo Tegnaio. Tam przystanął, by spojrzeć w szybę wystawową jednego ze sklepów z antykami skierowanego w stronę Via Maggio, gdzie sprzedawano pozłacane lichtarze, srebrne solniczki i ponure obrazy przedstawiające martwą naturę.

Zaczekał, dopóki nie upewnił się, że go obserwowала; dostrzegł jej odbicie w szybie wystawowej. Niosła torbę od Max Mary i dla reszty świata wyglądała jak jedna z prostackich amerykańskich turystek zwiedzających Florencję w przyływie bezrozumnego szaleństwa zakupów.

Constance Greene. O to mu właśnie chodziło.

Deszcz ustał. Diogenes złożył parasol, ale wciąż stał przy witrynie sklepowej, przyglądając się przedmiotom na wystawie z udanym zainteresowaniem. Obserwował jej odległe, prawie niedostrzegalne odbicie, czekając, aż ponownie wtopi się w morze parasoli i tym samym na chwilę straci go z oczu.

Kiedy to zrobiła, puścił się pędem, biegnąc bezgłośnie wzdłuż Borgo Tegnaio; poły płaszcz przeciwdeszczowego unosiły się za nim na wietrze. Przeciął ulicę na ukos i wbiegł do wąskiego zaułka, Sdrucchiolo de' Pitti, przebiegł do wylotu uliczki i skręcił w lewo,

gnając co sił w nogach wzdłuż Via Toscanella. Następnie pokonał niewielki piazza i popędził dalej wzdłuż Via delio Sprone, aż zatoczył pełny krąg i znalazł się na Via Santo Spirito, jakieś pięćdziesiąt jardów przed sklepem z antykami, gdzie był przed chwilą. Przystanął przy skrzyżowaniu z Via Santo Spirito, aby zaczerpnąć tchu.

*Patyki stracha na polu
Szczurzą sierść, pióra wronie.*

Ponownie zebrał się w sobie wściekły na szept pod czaszką, który wciąż nie dawał mu spokoju. Kiedy nie zobaczy go na ulicy, pomyśli z całą pewnością, że skręcił za sklepikiem z antykami w prawo, w Via dei Coverelli. Będzie sądziła, że wciąż znajdował się przed nią i zmierzał w jej stronę. A tymczasem on, jak afrykański bawół rzeczny, był teraz za nią; w kilka chwil ich sytuacja diametralnie się zmieniła.

Diogenes znał dobrze Via dei Coverelli. Była to jedna z najwęższych i najciemniejszych uliczek we Florencji. Średniowieczne budynki wzniesiono na kamiennych łukach, które przesłaniały niebo i sprawiały, że w alejce nawet w słoneczny dzień panował ponury półmrok. Uliczka wiła się osobliwie na tyłach kościoła Santo Spirita, by po dwóch prostych zakrętach ponownie połączyć się z Via Santo Spirito.

Diogenes ufał w inteligencję Constance i jej niezwykle umiejętności tropiciela. Wiedział, że spędziła sporo czasu nad mapą Florencji, zastanawiając się nad najwłaściwszym miejscem, gdzie mogłaby go zaatakować.

Był przekonany, że Constance uzna zaułek Coverelli za wymarzone miejsce na zasadzkę. Gdyby skręcił w Coverelli, jak przypuszczała, miałyby szanse go dopaść w najdogodniejszym dla niej miejscu. Musiała jedynie zawrócić, wejść do zaułka Coverelli z drugiej strony,

po czym zaczekać przy jednym z zakrętów na pojawienie się Diogenesa. Osoba czająca się za załomem muru, w ciemnej uliczce byłaby dla nadchodzącego całkiem niewidoczna.

Diogenes przemyślał sobie to wszystko dzień wcześniej, jeszcze w czasie lotu do Włoch. Constance nie wiedziała, że ten, którego tropiła, znał już zawczasu każde jej posunięcie, każdy ruch. Nie zdawała sobie sprawy, że pokonując pędem dystans kilku przecznic i poruszając się w przeciwnym kierunku, niż sądziła, Diogenes odwrócił bieg wydarzeń na swoją korzyść. A teraz, zamiast zbliżyć się do Constance z przodu, zachodził ją od tyłu.

Myśliwy stał się zwierzyną.

Rolls przemknął przez górny poziom mostu Triborough, podczas gdy od południa w szarówce przedświt zaczął ukazywać się z wolna coraz wyraźniejsza panorama Manhattanu. Proctor bez trudu radził sobie na ulicach zatłoczonych nawet teraz, o czwartej nad ranem, wymijając kolejne auta i nie zważając na gniewne klaksony kierowców zniekształcone przez efekt Dopplera. Pendergast siedział z tyłu w przebraniu bankiera wybierającego się służbowo do Florencji, wyposażony w odpowiednie dokumenty, w które zaopatrzył go nieoceniony Glinn. Obok niego siedział chmurny i milczący D'Agosta.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu D'Agosta – Nie pojmuję, jak Diogenes mógł nazwać to przestępstwem doskonałym?

– Ja rozumiem, aczkolwiek poniewczasie – odrzekł z rozgoryczeniem Pendergast. – Jest dokładnie tak, jak mówiłem ubiegłego wieczoru, w drodze do muzeum. Diogenes pragnął, by cały świat podzielił ból, który zrujnował mu życie. Pamiętasz, jak powiedziałem, że padł ofiarą sadystycznego urzędnika, tak zwanej domeny bólu? Grobowiec Senefa nie był niczym innym jak rekonstrukcją tamtego miejsca. Jednakże na większą i znacznie bardziej przerażającą skalę.

Rolls zwolnił, podjeżdżając do bramki opłat, po czym znowu przyspieszył.

– Ale co właściwie wydarzyło się w grobowcu? Co się stało z tymi wszystkim ludźmi?

– Nie wiem jeszcze na pewno. Zauważyłeś jednak, że niektóre z ofiar szły w osobliwy sposób, powłócząc jedną nogą? W neurologii tego rodzaju symptom występuje u niektórych osób z zapaleniem opon mózgowych. Pacjenci mają kłopoty z chodzeniem, trudno im jest miękko stawiać stopy na ziemi. Jeżeli poprosisz kapitan Hayward, aby przeprowadziła gruntowną inspekcję grobowca, jestem pewien, że odnajdzie ona ukryte wśród lamp stroboskopowych lasery o wielkiej mocy. Że nie wspomnę już o urządzeniach do wytwarzania mgły czy subwoofarach, których nie było na oryginalnych planach wyposażenia ekspozycji. Wygląda na to, że Diogenes opracował sposób, aby dzięki połączeniu światła stroboskopowych, laserów i dźwięków wywołać zmiany patologiczne w pewnej ściśle określonej części mózgu. Błyski laserów i dźwięki zaatakowały śródmózgowie odpowiedzialne za hamowanie brutalnych i atawistycznych zachowań. Ofiary miały utracić wszelkie zahamowania, wszelki umiar, by poddać się każdemu, nawet najbardziej ulotnemu bodźcowi. Id wyzwołone.

– Aż trudno uwierzyć, że światło i dźwięk mogą wywołać urazy mózgu.

– Każdy neurolog powie ci, że wyjątkowo silny ból, lęk, stres czy gniew jest w stanie doprowadzić do uszkodzenia ludzkiego mózgu, zabijając komórki mózgowe. Potraumatyczny stres i zaburzenia z nim związane także mogą wywołać zmiany patologiczne w mózgu. Diogenes po prostu doprowadził tę teorię do makabrycznej skrajności.

– Wszystko od początku było ukartowane.

– Tak. Nie było żadnego hrabiego de Cahors. To Diogenes wyłożył z własnej kieszeni odpowiednią sumę na odrestaurowanie grobowca. Starożytna klątwa dodała legendzie grobu pikantnego smaczku;

Diogenes zawsze się w tym lubował. Najwyraźniej potajemnie zainstalował własny sprzęt tak przemyślnie, że nawet technicy i programiści nie zdołali go wykryć. Przetestował urządzenia najpierw na Jayu Lipperze, a potem na tym egiptologu Wicherlym. Pamiętaj, Vincencie, że jego ostatecznym celem nie byli goście obecni w grobowcu; telewizja nadawała relację na żywo. Ofiar mogły być miliony.

– Nie do wiary.

Pendergast pochylił głowę. – Nie. To całkiem logiczne. Jego celem było odtworzenie straszliwego, niewybaczalnego zdarzenia, za które ja byłem odpowiedzialny.

– Nie zaczynaj się obwiniać.

Pendergast znów uniósł wzrok, srebrzyste oczy na moment pociemniały. Po chwili odezwał się cichym głosem, jakby mówił do siebie. – To ja, ja stworzyłem mego brata. I przez cały ten czas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nigdy nie przeprosiłem go za to, co zrobiłem. Będę musiał żyć z tym brzemieniem do końca moich dni.

– Wybacz, że to powiem, ale bredzisz. Nie wiem zbyt wiele na ten temat, ale to, co przydarzyło się Diogenesowi, to był przecież czysty przypadek.

Pendergast mówił niemal szeptem, jakby nie słyszał słów przyjaciela.

– Ja jestem jedynym powodem, dla którego Diogenes nadal istnieje. I być może on stanowi sens całej mojej egzystencji.

Rolls wjechał na teren lotniska Kennedyego i podjechał do terminalu numer 8. Gdy limuzyna zatrzymała się przy chodniku, Pendergast wyskoczył, a zaraz potem to samo uczynił D’Agosta. Pendergast wziął do lewej ręki walizkę i uściśnął dłoń D’Agosty.

– Powodzenia podczas przesłuchania, Vincencie. Jeżeli nie wrócę, Proctor zajmie się moimi sprawami.

D'Agosta przełknął ślinę. – A skoro o powrotach mowa, jest coś, o co chciałem cię zapytać.

– To znaczy?

– To... dla mnie trudna sprawa. Nie wiem, jak mam sformułować pytanie.

Pendergast zaczął się niecierpliwić. – O co właściwie chodzi?

– Zdajesz sobie sprawę, że jest tylko jeden sposób, w jaki powinienesz, ba, musisz, zająć się Diogenesem?

Srebrzyste oczy Pendergasta stały się twarde jak okruchy lodu albo jak brylanty.

– Wiesz, o czym mówię, prawda?

Pendergast wciąż milczał, ale spojrzenie miał tak zimne, że D'Agosta mimowolnie opuścił wzrok.

– Kiedy nadejdzie ten moment, wiedz, że jeżeli nawet ty się zawahasz, on tego nie zrobi. Nie będzie miał żadnych skrupułów. I dlatego muszę wiedzieć, czy jesteś w stanie... – D'Agosta nie dokończył.

– Jak brzmi twoje pytanie, Vincencie? – usłyszał w odpowiedzi lodowaty głos.

D'Agosta znów na niego spojrzał, ale nie powiedział nic więcej. Chwilę później Pendergast odwrócił się i zniknął w hali lotniska.

Diogenes Pendergast skręcił za róg Via delio Sprone i znalazł się ponownie na Via Santo Spirito. Constance Greene zniknęła, tak jak podejrzewał, przemknęła cichaczem na Via dei Coverelli. A teraz czekała na niego, za zaułkiem, czając się w ciemnej uliczce. Aby to potwierdzić, przeszedł szybkim krokiem wzdłuż Via Santo Spirito i przystanął u wylotu Coverelli, przywierając plecami do starej fasady sgraffito jakiegoś dawno zapomnianego pałacu. Z największą ostrożnością wyjrzał zza załomu muru.

Doskonale. Wciąż nie było jej widać, najwyraźniej pokonała już pierwszy zakręt, a teraz bez wątpienia czekała, aż Diogenes wyłoni się z drugiej strony.

Wsunął dłoń do kieszeni i wyjął skórzany futerał, z którego wyłuskał skalpel o rękojeści z kości słoniowej, identyczny z tym, który zostawił pod poduszką Constance. Chłodny ciężar dodał mu otuchy. Odliczając sekundy, rozłożył parasol i wyszedł zza załomu. Następnie ruszył dziarskim krokiem wzdłuż Via dei Coverelli, odgłos jego kroków odbijał się silnym echem w wąskim zaułku, głowa i ramiona ocienione były przez parasol. Kamuflaż nie był konieczny: ona na pewno nie obejrzy się za siebie, aby zobaczyć, kto nadchodzi z tamtej strony. Nie spodziewała się, że zajdzie ją od tyłu. Szedł żwawym krokiem, chłonąc woń moczu i psich odchodów, wymiocin i mokrego kamienia – w starym zaułku wciąż czuć było zapach starej Florencji.

Trzymając gotowy do ciosu skalpel, zbliżył się do pierwszego zakrętu. Równocześnie w myślach zaczął wyobrażać sobie moment ataku. Będzie odwrócona do niego plecami, on z boku chwyci ją lewą ręką za szyję, a potem pchnie skalpelem w punkt nieco poniżej prawego obojczyka; ostrze miało dostateczną długość, by rozplatać arterię ramieniową, w miejscu gdzie rozdzielała się ona na tętnicę szyjną i podobojczykową. Nawet nie zdąży krzyknąć. Będzie trzymał ją w ramionach, dopóki kobieta nie umrze, będzie ją tulił do piersi, pozwoli, by jej krew zalała go, tak jak to już raz miało miejsce... w całkiem innych okolicznościach. A potem zostawi ją otuloną w jego płaszcz w ciemnym zaułku.

Podszedł do zakrętu. Piętnaście stóp, dziesięć, osiem, już... Skręcił za róg i znieruchomiał trochę zaskoczony. Nikogo tam nie było. Ulica za zakrętem była pusta. Pospiesznie rozejrzał się dokoła – ani żywego ducha. Teraz to on znalazł się za zakrętem i to on był w gorszej sytuacji – jak ślepiec – nie mogąc dostrzec zbliżającego się do niego potencjalnego zagrożenia.

Poczuł, że zaczyna go ogarniać panika. W którymś momencie musiał popełnić błąd. Przeliczył się. Gdzie ona zniknęła? Czyżby zdołała go w jakiś sposób okpić? Nie, to niemożliwe.

Przystanął, uświadomiwszy sobie, że znalazł się w martwym punkcie. Gdyby pokonał następny zakręt i wyszedł na Borgo Tegelαιο, szerszą, lepiej oświetloną ulicę, a ona czekałaby tam na niego, musiałaby go zobaczyć i straciłby nad nią przewagę zaskoczenia. Z drugiej strony, jeśli była teraz za nim, w przypadku gdyby zawrócił, także wiele ryzykował. Stał w bezruchu, myśląc intensywnie. Niebo wciąż ciemniało, a Diogenes zdał sobie sprawę, że nie tylko zanosilo się na deszcz, lecz po prostu zapadał zmierzch, zbliżał się wieczór. Nie mógł stać tutaj w nieskończoność, musiał skręcić w jedną albo w drugą stronę.

Pomimo chłodu zrobiło mu się gorąco. Musiał zrezygnować ze swoich planów, wrócić tam, skąd przyszedł. Tak będzie najlepiej. Coś musiało się stać. Zapewne skręciła w którąś z bocznych uliczek i dlatego ją zgubił, tak, właśnie tak. A potem obmyśli plan kolejnego ataku. Może wybierze się do Rzymu i pozwoli, by weszła za nim do katakumb świętego Kaliksta. To miejsce uczęszczane przez turystów, z mnóstwem ślepych uliczek i zakrętów było wręcz wymarzone na zasadzkę. Tak. Właśnie tam ją zabije.

Zawrócił i ruszył wzdłuż Via dei Coverelli, ostrożnie wyłaniając się zza zakrętu. Ulica była pusta. Pomaszerował dalej i nagle kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie w jednym ze sklepionych przejść, powyżej.

Odruchowo uskoczył w bok i w tej samej chwili cień runął z góry wprost na niego. Diogenes poczuł, jak skalpel, nienapotykając najmniejszego oporu, rozcina materiał jego płaszcz przeciwdeszczowego i garnituru, a potem ostrze dosięga ciała. Krzyknął przeraźliwie, odwrócił się i upadając, zamasyście zamierzył się swoim skalpelem w jej szyję. Miał wielkie doświadczenie w posługiwaniu się białą bronią i dało się to odczuć; ostrze skalpela napotkało miękkie ciało, buchnęła krew. Wciąż osuwając się na ziemię, Diogenes zorientował się, że w ostatniej chwili Constance odchyliła głowę i ostrze zamiast po szyi przesunęło się po jej policzku.

Upadł ciężko na bruk, zaskoczenie sprawiło, że odzyskał trzeźwość umysłu, przetoczył się na bok i poderwał na nogi, ściskając w dłoni skalpel, ale już jej tam nie było, jakby rozplynęła się w powietrzu. W tej samej chwili zrozumiał, na czym polegał jej plan. Kiepskie przebranie nie było dziełem przypadku. Pokazała mu się, tak jak on ukazał się jej. Pozwoliła, by zaprowadził ją w zasadzkę, i wykorzystała to przeciwko niemu. Skontrowała jego kontrposunięcie. To było tak genialne, że aż się zdziwił.

Stał tam, spoglądając na łukowate kamienne przypory powyżej. Odnalazł wzrokiem murszejący fragment pietra serena, gdzie przycupnęła, czekając na dogodny moment, by go zaatakować. Wysoko w górze widać było mały skrawek stalowoszarego nieba, z którego popłynęły pierwsze krople deszczu. Postąpił krok naprzód. Zachwiał się.

Zrobiło mu się słabo, a palący ból w boku narastał z każdą chwilą. Nie odważył się rozchylić płaszcza, aby obejrzeć ranę, nie mógł dopuścić, aby krew splamiła jego zewnętrzne odzienie, to mogłoby przyciągnąć czyjąś uwagę. Zapiął pasek płaszcza najmocniej jak to było możliwe, starając się ścisnąć ranę i powstrzymać upływ krwi. Krew na pewno przyciągnęłaby czyjąś uwagę.

Kiedy uczucie słabości minęło i otrząsnął się z chwilowego szoku, zdał sobie sprawę, że mimo wszystko spisał się całkiem nieźle. Zranił ją w twarz; rana bez wątpienia obficie krwawiła, jak wszystkie tego rodzaju. Nie była w stanie ukryć takiej rany ani krwi, nawet z pomocą chusty czy szala. Nie będzie go dłużej ścigać po całej Florencji z krwią zalewającą jej twarz. Musiała się gdzieś zaszyć, doprowadzić do porządku. Miał dzięki temu okazję, aby uciec, uwolnić się od niej raz na zawsze.

To właśnie był ten moment. Jeżeli faktycznie zdoła ją zgubić, przyjmie inną tożsamość i uda się do celu swej podróży. A tam Constance już go nie znajdzie. Co to, to nie. Siłąc się na spokój, wolnym krokiem ruszył w stronę postoju taksówek przy Borgo San Jacopo. Idąc, przez cały czas czuł krew przesączającą się przez jego ubranie i ściekającą wąską strużką po udzie. Ból był słabszy, ostrze skalpela musiało jedynie rozplatać skórę i zaślizgnęło się po żebrach, nie uszkadzając żadnego z ważnych dla życia organów.

Mimo to musiał jakoś zatamować upływ krwi, i to szybko. Zaszedł do niewielkiej kafejki na rogu Tegolaio i Santo Spirito, podszedł do

baru, po czym zamówił espresso i spremuta. Wypił jedno po drugim, rzucił na kontuar pięć euro w jednym banknocie, wszedł do łazienki, zamknął drzwi i rozchylił poły płaszcz. Krwawił naprawdę mocno. Trochę go to zaskoczyło. Pospieszenie obmacał ranę, by potwierdzić, że ostrze nie przebiło otrzewnej. Papierowymi ręcznikami najlepiej jak potrafił starł z siebie krew, a następnie podarł dolną część przesiąkniętej krwią koszuli na pasy i obwiązał nimi tors, zaciskając ranę i powstrzymując dalszy wpływ krwi. Obmył dłonie i twarz, nałożył płaszcz, przeczesał włosy i wyszedł.

Czuł krew chlupoczącą mu w bucie, a kiedy spojrzał w dół, zauważył, że zostawia po sobie na chodniku półokrągłe czerwone ślady. To nie była jednak świeża krew, a poza tym czuł, że krwawienie nieco się spowolniło. Jeszcze kilka kroków i dotarł na postój taksówek, po czym usadowił się na tylnym siedzeniu fiata.

– Mówisz po angielsku, kolego? – zapytał z uśmiechem.

– Tak – padła krótka opryskliwa odpowiedź.

– To świetnie! Zawieź mnie, proszę, na dworzec kolejowy. Taksówka ruszyła z piskiem opon, a Diogenes osunął się ciężko na siedzeniu, czując w kroczu lepka krew, i nagle w jego myślach znów zapanował chaos; z okruchami wspomnień mieszała się kakofonia głosów.

Pomiędzy ideę

I rzeczywistość

Pomiędzy zamiar

I dokonanie

Pada Cień.

W klasztorze Suore di San Giovanni Battista w dzielnicy Gavinana we Florencji dwadzieścia sióstr prowadziło szkołę dla dziewcząt, kaplicę i pensjonat dla nielicznych wierzących i praktykujących gości. Kiedy nad miastem zapadła noc, siostra furtianka z niepokojem przyjrzała się młodej dziewczynie, która od rana gościła w klasztorze. Wróciła właśnie ze spaceru po mieście przemoczona, z twarzą przesłoniętą grubym wełnianym szalem, skulona i przemarznięta do szpiku kości.

– Czy signora chciałaby zjeść kolację? – zaczęła, ale kobieta uciszyła ją gestem tak gwałtownym i nieznoszącym sprzeciwu, że suora w jednej chwili zamilkła.

W małym, skromnie urządzonej pokoiku Constance Greene gniewnie zrzuciła z siebie płaszcz i weszła do łazienki. Pochyliła się nad umywalką i odkręciła ciepłą wodę. Kiedy umywalka zaczęła się napełniać, Constance stanęła przed lustrem i odwinęła wełniany szal zasłaniający jej twarz. Pod nim miała jedwabną chustkę sztywną od krwi, którą także delikatnie zdjęła. Przyjrzała się bacznie ranie. Nie zobaczyła wiele; jej ucho i policzek były pokryte skorupą skrzepłej krwi. Zanurzyła ręcznik w ciepłej wodzie, wyjęła i przyłożyła do skóry. Po chwili odjęła ręcznik od twarzy, wypłukała go i powtórzyła tę czynność raz jeszcze. Po kilku minutach skorupa krwi zmiękła na tyle, że mogła oczyścić ranę i uważnie ją obejrzeć.

Nie było tak źle, jak początkowo sądziła. Skalpel głęboko rozorał jej ucho i tylko lekko skaleczył twarz. Delikatnie obmacała ranę palcami, by stwierdzić, że rana była wąska i czysta. Nic wielkiego, choć bardzo obficie krwawiło; pozostanie po tym tylko mała blizna.

Blizna. Omal nie zaśmiała się w głos, wrzucając zakrwawiony ręcznik do umywalki. Nachyliła się i przyjrzała swemu odbiciu w lustrze.

Twarcz miała wychudzoną i wymizerowaną, zapadnięte, podkrążone oczy i popękane wargi.

W powieściach, które czytała, pościg wydawał się czymś prostym, wręcz banalnym; bohaterowie ścigali jeden drugiego przez pół świata, a mimo to zawsze byli wypoczęci, najedzeni, wyspani i odświeżeni. W rzeczywistości była to wyczerpująca, katorżnicza mordega. Odkąd wpadła na jego ślad, jeszcze w muzeum, prawie nie zmrużyła oka, niemal nic nie jadła i wyglądała jak bezdomna.

W dodatku świat okazał się niewysłowionym koszmarem, hałaśliwym, paskudnym, chaotycznym i przeraźliwie anonimowym. Gdzie mu tam do wygodnego, przewidywalnego, moralnego świata literatury. Większość ludzi, z jakimi się zetknęła, była odrażająca, zepsuta i głupia, brakowało słów, aby oddać cały bezmiar toczącej ich dusze zgnilizny. Poza tym pościg za Diogenesem okazał się dość kosztowny – brakowało jej doświadczenia, spieszyła się i nieraz dała się oszukać – w sumie w ciągu ostatnich czterdziestu godzin straciła prawie sześć tysięcy euro. Zostały jej już tylko dwa tysiące, a nie miała skąd zdobyć więcej.

Przez czterdzieści godzin ścigała go bez chwili wytchnienia. A teraz on się jej wymknął. Uciekł. Rana, jaką mu zadała, nie zdołała go powstrzymać; najprawdopodobniej nie było to nic poważnego, tak jak w jej przypadku. Była pewna, że na dobre straci jego ślad; Diogenes na pewno o to zadba. Zniknął, aby wcielić się w jakąś inną postać,

przybrać nową tożsamość, a teraz bez wątpienia zmierzał do swojej kryjówki, bezpiecznego miejsca, które od lat było gotowe na jego przyjęcie w razie wystąpienia, takiej jak ta, sytuacji kryzysowej.

Już dwukrotnie była o krok od zgładzenia Diogenesa. Gdyby miała lepszy rewolwer... gdyby umiała strzelać... gdyby nieco lepiej i odrobinę szybciej władała nożem... jej przeciwnik byłby już martwy.

A jednak zdołał się jej wymknąć. Uciekł. Straciła swoją szansę.

Zacisnęła dłonie na brzegach umywalki i spojrzała w odbicie swych przekrwionych oczu. Nie miała złudzeń, że w tym mieście ślad Diogenesa urwie się na dobre. Ucieknie taksówką, pociągiem lub samolotem, przekroczy tuzin granic, przemierzy pół Europy, zanim w końcu osiądzie w miejscu i pod nowym nazwiskiem, które przygotowywał na taką ewentualność od lat. Była pewna, że jego azyl musiał znajdować się gdzieś w Europie, ale pewność ta niczego nie zmieniała. Odnalezienie go mogło zająć wiele lat, może nawet całe życie.

Mimo to była gotowa na to poświęcenie. Nic więcej przecież nie miała poza swoim życiem. Umiał się kamuflować, ale żadne przebranie nie zdołało go przed nią ukryć. Znała go. Mógł gruntownie zmienić wygląd – twarz, ubiór, kolor oczu, głos, gesty. Nie był w stanie odmienić dwóch rzeczy. Po pierwsze wzrostu. Po drugie – i w tym przypadku nie sądziła, aby Diogenes zwrócił na to uwagę – zapachu. Jego osobliwego zapachu. Zapamiętała go dobrze, bardzo dobrze, był dziwny, uderzał do głowy jak aromat lukrecji przesycony chłodną, mroczną wonią żelaza.

Całe życie... Ogarnęła ją fala rozpaczony tak silna, że Constance zakreśliło się w głowie. Aby nie upaść, przytrzymała się krawędzi umywalki.

Czy podczas swej pospiesznej ucieczki mógł zostawić jakieś ślady? Ale to oznaczałoby powrót do Nowego Jorku, a do tej pory trop na

pewno by już ostygł. A może wspomniał o czymś mimochodem w jej obecności? To wydawało się mało prawdopodobne, był taki ostrożny. Ale może, ponieważ spodziewał się, że nakłoni ją do samobójstwa, utracił nieco ze swej czujności?

Wyszła z łazienki i usiadła na brzegu łóżka. Przez chwilę próbowała odzyskać trzeźwość umysłu. I powracała myślami do ich pierwszych rozmów w bibliotece rezydencji przy Riverside Drive 891. To było wyjątkowo bolesne doświadczenie, jak zrywanie świeżego bandaża wspomnień, a mimo to zmusiła się, by podjąć tę próbę, przywołując w sobie pierwsze wymiany zdań i jego pierwsze wypowiedziane szeptem słowa.

Nic.

Przeszła do ich pożegnalnych spotkań, książek, które od niego dostała, i jego dekadentkich wywodów na temat uciech zmysłowych. Nadal nic, żadnych wzmianek o miejscu, które było mu szczególnie bliskie.

W moim domu – w moim prawdziwym domu, tym, który jest dla mnie ważny, mam bibliotekę. Tak jej kiedyś powiedział. Czy to kolejne z jego cynicznych wyrachowanych kłamstw? A może w tych słowach kryło się jednak ziarnko prawdy? Mieszkam nad morzem. Mogę siedzieć w domu przy zgaszonych świecach, wsłuchując się w ryk fal, i wyobrażam sobie, że jestem poławiaczem pereł...

Biblioteka w domu nad morzem. To niewiele jej dało. Przypominała sobie kolejne słowa, powtarzając je w myślach raz po raz. Lecz on był na tyle ostrożny, że starannie ukrywał dotyczące go szczegóły z wyjątkiem kłamstw, które tak przemyślnie spreparował, między innymi blizny po rzekomej próbie samobójczej.

Blizny po próbie samobójczej. Uświadomiła sobie, że mimowolnie unika jedyne go zdarzenia, które kryło w sobie największy potencjał prawd i informacji, jakie mogło zawierać. Mimo to nie potrafiła

zmusić się, by powrócić do niego myślami. Przeżywanie tych ostatnich wspólnych godzin, godzin, kiedy mu się oddała, byłoby niemal równie bolesne jak lektura jego listu.

Znów ogarnął ją lodowaty chłód. Położyła się powoli na łóżko i utkwiała wzrok w ciemnościach powyżej, przypominając sobie każdy, najdrobniejszy i najbardziej przejmujący szczegół. W miarę jak jego namiętność i pasja narastały, zaczął szeptać jej do ucha strofy poezji w języku włoskim:

*Ei s'immerge ne la notte,
Ei s'aderge in ver'le stelle.*

*On w otchłań nocy się rzuca,
Dosięgnąć pragnie gwiazd.*

Wiedziała, że cytat ten pochodził z poematu Carducciego, ale nie miała dotąd okazji się z nim zapoznać. Nadszedł czas, by to zrobiła.

Usiadła trochę nazbyt szybko i skrzywiła się, czując w uchu tępe dojmujące pulsowanie. Wróciła do łazienki i zajęła się raną, oczyszczając ją starannie, smarując maścią z antybiotykiem i zakładając dyskretny opatrunek. Kiedy skończyła, rozebrała się, wzięła szybką kąpiel, umyła włosy i przebrała się w czyste rzeczy. Następnie wcisnęła ręcznik i zakrwawione ubranie do worka na śmieci wyjętego z kredensu. Pozbierała przybory toaletowe i włożyła z powrotem do walizki. Wyjąwszy stamtąd nową chustkę, założyła ją, starannie zasłaniając zranione miejsce. Zamknęła walizkę na oba zamki i zaciągnęła mocno skórzany pasek. Potem wzięła worek ze śmieciami i zeszła z nim do holu głównego. Siostra furtianka wciąż tam była, a nagłe pojawienie się Constance wyraźnie ją zaskoczyło. Wydawała się nieomal przerażona.

– Signora, czy coś pani nie odpowiada?

Constace wyjęła i otworzyła portfel. – Quanto costa?. Ile?

– Signora, jeśli z pani pokojem jest coś nie tak, znajdziemy dla pani

inny, bardziej przytulny.

Wyłuskała z portfela pomięty banknot o nominale stu euro i położyła na kontuarze.

– To za dużo, nie spędziła pani u nas nawet jednej nocy.

Ale Constance już rozplynęła się w mrokach chłodnej deszczowej nocy.

Dwa dni później Diogenes Pendergast stał przy relingu na bakburcie traghetto, gdy ten przedzierał się przez wzburzone błękitne wody Morza Śródziemnego. Statek mijał skalisty przylądek Milazzo ozdobiony latarnią morską i ruinami zamku; za nim nikł wśród oparów mgieł olbrzymi garb Sycylii, niebieskawy zarys Etny wznosił się ku niebu, ponad kraterem widać było pióropusz rozwiewanego wiatrem dymu. Na prawo rozciągał się czarny grzbiet wybrzeża Kalabrii. A hen przed nim znajdował się cel jego podróży.

Wielkie oko zachodzącego słońca skryło się już za przylądkiem, rzucając długie cienie na wodzie i złocąc mury pradawnego zamku. Statek płynął na północ, w kierunku Wysp Eolskich, najodleglejszych spośród wszystkich wysp Morza Śródziemnego, gdzie jak wierzyli starożytni, mieszkały Cztery Wiatry.

Niebawem będzie w domu.

Dom. Powtarzał to słodko-gorzkie słowo w myślach, zastanawiając się nad jego znaczeniem. Azyl, miejsce odpoczynku i spokoju. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i ukryty w cieniu za nadbudówką zapalił jednego, po czym zaciągnął się mocno.

Powrócił myślami do minionych dwóch dni swej szaleńczej podróży: Florencja, Mediolan, Lucerna, gdzie w bezpłatnej klinice zszyto mu wreszcie ranę. Strasburg, Luksemburg, Bruksela, Amsterdam, Berlin, Warszawa, Wiedeń, Ljubljana, Wenecja, Pescara,

Foggia, Neapol, Reggio di Calabria, Messyna i na koniec Milazzo. Po czterdziestu ośmiu godzinach uciążliwej jazdy pociągiem był słaby, obolały i wyczerpany.

Teraz jednak, gdy patrzył, jak słońce dogorywa na zachodzie, poczuł przypływ sił i zaczął odzyskiwać rezon. Zgubił ją we Florencji, nie mogła podążać jego śladem, to niemożliwe, aby wciąż go tropiła. Od tamtej pory kilkakrotnie zmieniał tożsamość i zacierał za sobą tropy tak szybko, że nikt nie mógłby za nim nadążyć. Otwarte granice Unii Europejskiej, a przede wszystkim wjazd do Szwajcarii pod jednym i wyjazd pod innym nazwiskiem mógłby zmylić nawet najbardziej uporczywego i subtelnego prześladowcę.

Nie znajdzie go. Jego bratu też to się nie uda. Pięć lat, dziesięć, dwadzieścia – miał tyle czasu, ile tylko zechce, aby zaplanować kolejne, ostatnie już posunięcie.

Stanął przy relingu, chłonąc rześką bryzę morską, i poczuł, że ogarnia go drobna jeszcze namiastka spokoju. I po raz pierwszy od wielu miesięcy niecichnący ani na chwilę oschły, drwiący głos pod jego czaszką przeszedł w ciche mamrotanie, prawie niesłyszalny szept zagłuszony przez odgłos fal rozbijających się o dziób statku:

Dobranoc, panie. Dobranoc, miłe damy. Dobranoc, dobranoc.

Agent specjalny Aloysius Pendergast wysiadł z autobusu przy Viale Giannotti i przeszedł przez niewielki porośnięty jaworami park, mijając starą skrzypiącą huśtawkę. Był ubrany jak zwykle – teraz, kiedy opuścił bezpiecznie terytorium Stanów Zjednoczonych, nie potrzebował przebrania. Przy Via di Ripoli skręcił w lewo, przystając przy masywnej żelaznej bramie klasztoru sióstr San Giovanni Battista. Niewielka tabliczka zaopatrzona była w napis „Villa Merlo Bianco”. Zza bramy dochodziły głównie krzyki dzieci dokazujących podczas przerwy w lekcjach. Nacisnął dzwonek i po chwili brama otworzyła się automatycznie, ukazując zwirowany dziedziniec przed masywną budowlą w kolorze ochry. Boczne drzwi nie były zamknięte, tabliczka wskazywała, że tam właśnie znajdowała się recepcja dla gości.

– Dzień dobry – powiedział po włosku do drobnej korpulentnej siostry furtianki. – Czy mam przyjemność z suora Claudią, z którą rozmawiałem?

– Tak.

Pendergast skinął głową. – Bardzo mi miło. Jak już wspomniałem przez telefon, gość, o którym rozmawialiśmy, panna Mary Ulciscor, to moja siostrzenica. Uciekła z domu. Rodzina bardzo się o nią martwi.

Pulchnej zakonnicy nieomal zabrakło tchu. – Tak, signore, zauważyłam, że ta młoda dama ma jakiś problem. Kiedy się zjawiała, miała taki nieobecny wzrok. Wydawała się czymś bardzo przejęta. Nie

została na noc, pojawiła się rano, a kiedy wróciła pod wieczór, zaraz się wyprowadziła.

– Wyjechała samochodem?

– Nie, odeszła pieszo, tak jak tu przybyła. Musiała wsiąść do autobusu, bo taksówki zawsze wjeżdżają za bramę.

– O której to było?

– Wróciła około ósmej, signore. Była cała przemoknięta i zziębnięta. Wyglądała na chorą.

– Chorą? – spytał ostrym tonem Pendergast.

– Nie jestem pewna, ale była dziwnie przygarbiona i miała zasłoniętą twarz.

– Zasłoniętą? Czym?

– Ciemnoniebieskim wełnianym szalem. Dwie godziny później zeszła z bagażami na dół, zapłaciła za pokój, w którym nie spędziła nawet jednej nocy, i odeszła.

– Czy była tak samo ubrana?

– Przebrała się i tym razem miała na sobie czerwony szalik. Próbowałam ją zatrzymać, naprawdę.

– Zrobiła suora wszystko, co mogła. A teraz, czy mógłbym zobaczyć jej pokój? Nie musi suora iść ze mną, wystarczy, że da mi klucz.

– Pokój został posprzątaný, nic pan tam nie znajdzie.

– Jeżeli można, wolałbym to sam sprawdzić. Nigdy nic nie wiadomo. Czy mieszkał tam ktoś jeszcze?

– Jak dotąd nie, ale jutro przyjeżdża pewna para z Niemiec...

– Poproszę o klucz.

Zakonnica podała mu klucz. Pendergast podziękował, po czym pospiesznie przeszedł przez salon willi i wszedł po schodach na górę. Odnalazł pokój na końcu długiego korytarza. Był mały i skromny. Zamknął za sobą drzwi, po czym natychmiast osunął się na kolana. Zbadał podłogę, zajrzał pod łóżko i przeszukał łazienkę. Ku jego

ogromnemu rozczarowaniu okazało się, że pokój wysprzątano z fanatyczną wręcz dokładnością. Wstał, po czym przez dłuższą chwilę rozglądał się w zamyśleniu dokoła. Wreszcie otworzył komódkę. Była pusta, lecz jego czujne oko spostrzegło niewielką ciemną plamę w rogu. Znow przyklęknął, zajrzał do środka, dotknął plamy i zdrapał jej fragment paznokciem. Krew – zaschnięta, ale wciąż całkiem świeża.

Wrócił do mocno zafrasowanej siostry furtianki. – Wyglądała na zmartwioną i nie mam pojęcia, dokąd mogła iść o dziesiątej wieczór. Próbowałam z nią porozmawiać, signore, ale ona... – Jestem pewien, że uczyniła siostra wszystko co w jej mocy – zgodził się Pendergast. – Raz jeszcze dziękuję za pomoc.

Zamyślony opuścił willę i wyszedł na Via di Ripoli. Wyjechała nocą, podczas ulewy... ale dokąd?

Wszedł do małej kafejki na rogu Viale Giannotti, przy barze zamówił espresso. Wciąż się zastanawiał. Nie ulegało wątpliwości, że Constance odnalazła Diogenesa we Florencji. Doszło do walki, Constance została ranna. To zakrawało na cud, jako że niemal wszyscy spośród tych, którzy weszli Diogenesowi w drogę, bardzo szybko rozstawali się z tym światem. Najwyraźniej Diogenes zlekceważył swoją prześladowczynię. Podobnie jak on była osobą nieprzewidywalną i dysponowała wieloma nieznanymi dotąd atutami. Dopił kawę, kupił przy barze bilet autobusowy i przeszedł przez Viale, by zaczekać na autobus przy przystanku. Gdy autobus zajechał, Pendergast wszedł do niego jako ostatni. Podał kierowcy banknot o nominale pięćdziesięciu euro.

– Niech mi pan nie płaci, proszę skasować bilet w kasowniku – rzucił burkliwie kierowca, ruszając z przystanku i kręcąc kierownicą trzymaną mocnymi żyłastymi rękami.

– Potrzebuję informacji.

Kierowca wciąż uporczywie ignorował podsuwane mu pieniądze.

– Ale o co chodzi?

– Szukam siostrzenicy. Wsiadła do tego autobusu dwa wieczory temu, około dziesiątej.

– Ja pracuję na dziennej zmianie.

– Czy zna pan kierowcę z nocnej zmiany i numer jego komórki?

– Gdyby nie to, że jest pan cudzoziemcem, powiedziałbym, że jest pan sbirro, glina.

– To nie jest sprawa dla policji. Po prostu szukam siostrzenicy – Głos Pendergasta stał się bardziej delikatny. – Proszę mi pomóc, signore. Rodzina jest zrozpaczona.

Kierowca pokonał zakręt, po czym trochę łagodniejszym tonem powiedział. – Nazywa się Paolo Bartoli, 333-662-0376. Schowaj pan pieniądze. Ja ich nie chcę.

Pendergast wysiadł z autobusu przy Piazza Ferrucci, wyjął z kieszeni komórkę, którą nabył po przyjeździe do Włoch, i wybrał numer. Zastał Paolo Bartolego w domu.

– Jak mógłbym ją zapomnieć? – zapytał kierowca autobusu. – Miała całą głowę okutaną szalem i gdy mówiła, jej głos wydawał się dziwnie stłumiony. Posługiwała się staroświeckim językiem, odmianą włoskiego, której nie słyszałem od czasów faszystów, zwracała się do mnie per voi. Była niczym duch z przeszłości. Sądziłem, że ta kobieta może być szalona.

– Pamięta pan, gdzie wysiadła?

– Poprosiła, żebym zatrzymał się przy Biblioteca Nazionale.

Z Ferrucci do Biblioteki Narodowej nad rzeką Arno było dość daleko; brązowa barokowa fasada wznosiła się ponad brudnym piazza, emanując surową elegancją. W chłodnej, pełnej ech czytelnicy Pendergast napotkał bibliotekarza, który zapamiętał tajemniczą kobietę podobnie jak kierowca autobusu.

– Tak, pracowałem na nocnej zmianie – rzekł bibliotekarz. – Mieliśmy tego wieczoru niewielu gości, a ona wydawała się tak zagubiona i samotna, że nie mogłem oderwać od niej wzroku. Wpatrywała się w wybraną przez siebie księgę przez ponad godzinę. Nie wertowała jej, patrzyła wciąż na jedną i tę samą stronicę, mamrocząc coś pod nosem jak wariatka. Dochodziła północ i już miałem poprosić ją, aby wyszła, bo chciałem zamknąć czytelnię. I nagle ona poderwała się z miejsca, zajrzała do drugiej książki...

– Jakiej znowu drugiej książki?

– Atlasu. Ślęczała nad nim przez prawie dziesięć minut, pisząc coś zawzięcie w notesiku, a potem wybiegła z biblioteki, jakby gonił ją sam diabeł.

– O jakim atlasie pan mówi?

– Nie zauważyłem, który to był atlas. Jeden z tych stojących na ogólnodostępnej półce w czytelni. Żeby z nich skorzystać, nie trzeba wypełniać rewersu. Ale mam tu rewers, który wypisała, aby otrzymać książkę, nad którą spędziła tak wiele czasu. Chwileczkę, zaraz ją panu przyniosę.

Kilka minut później Pendergast siadł na tym samym miejscu co Constance, wpatrując się w tę samą książkę co ona – cienki tomik poezji Giosue Carducciego, laureata literackiej Nagrody Nobla za rok 1906. Tomik wierszy leżał przed nim na stoliku, ale agent wciąż go nie otworzył. Dopiero teraz, z największą ostrożnością uniósł go i pozwolił, aby tomik otworzył się sam w miejscu, gdzie czytelnik zakończył lekturę. Tomik był stary, sztywny i otworzył się na spisie treści. Pendergast sięgnął do kieszeni garnituru, wyjął szkło powiększające i wykałaczkę, po czym zaczął odwracać stronicę książki. Za każdym razem przesuwiał delikatnie wykałaczką wzdłuż łączenia stronic, po czym przyglądał się uważnie przez lupę drobinom kurzu, włosom i włóknom. Godzinę później na stronicy 42 odnalazł

to, czego szukał: trzy włókna czerwonej wełny, skręcone, jakby pochodziły z robionego na drutach szala.

Poemat widniejący na tych stronicach nosił tytuł *La Leggenda di Teodorico – Legenda o Teodoryku*. Zaczął czytać:

*Su'l castello di Verona
Batte il sole a mezzogiorno,
Da la Chiusa al pian rintrona
Solitario un suon di corno...*

*Ponad Weroną, olbrzymim zamczyskiem
W złocistych słońca skąpanym promieniach,
Nad równinami, od pasma gór Chiusy
Dźwięk brzmi złowrogi rogu przeznaczenia...*

Poemat opisywał osobliwą śmierć króla Wizygotów Teodoryka. Pendergast przeczytał go raz, potem drugi, lecz nie potrafił pojąć, czemu akurat ten wiersz miał dla Constance tak olbrzymie znaczenie. Przeczytał go po raz trzeci, przypominając sobie mroczną, na wpół zapomnianą legendę.

Teodoryk był jednym z pierwszych wielkich barbarzyńskich władców. Zdobył królestwo, zagarniając dla siebie część popadającego w ruinę Imperium Rzymskiego, a do jego krwawych dokonań należało między innymi zgładzenie błyskotliwego męża stanu i filozofa Boecjusza. Teodoryk zmarł w roku 526. Legenda głosi, że świątobliwy pustelnik mieszkający samotnie na jednej z Wysp Eolskich u wybrzeży Sycylii zarzekał się, że w godzinie śmierci Teodoryka widział, jak dusza króla z przeraźliwym wrzaskiem wpada w otchłań wielkiego wulkanu Stromboli, gdzie jak wierzyli pierwsi chrześcijanie, miało znajdować się wejście do piekła.

Stromboli. Wejście do piekła. Pendergast zrozumiał wszystko w jednej chwili.

Wstał, podszedł do regału z atlasami i wybrał atlas Sycylii.

Powróciwszy na miejsce, otworzył go delikatnie na stronach z mapami Wysp Eolskich. Najbardziej wysunięta spośród nich Stromboli była częścią wciąż czynnego wulkanu wyłaniającego się z morza. Na brzegu wysepki znajdowała się nieduża osada. Wyspa była trudno dostępna, rzadko odwiedzana, a sam wulkan Stromboli uważano za najbardziej aktywny spośród wszystkich europejskich wulkanów; był czynny niemal bez przerwy przez ostatnie trzy tysiące lat.

Pendergast delikatnie wytarł stronicę atlasu białą lnianą chustką do nosa, po czym przyjrzał się jej przez szkło powiększające. Do materiału przylgnęła jeszcze jedna krótka czerwona wełniana nitka.

Diogenes Pendergast stanął na tarasie swojej willi. W dole rozciągała się szeroka czarna plaża i stojące wzdłuż niej białe domy, zabudowania składające się na miasteczko Piscita. Od morza wiał silny wiatr niosący ze sobą zapach słonej wody i kwitnącego janowca. Milę dalej automatyczna latarnia morska wzniesiona na olbrzymiej skale Strombolicchio mrugała pośród gęstniejącego mroku. Upił łyżeczek sherry, wsłuchując się w odległe dźwięki dochodzące z miasteczka u podnóża góry – matki wołającej dzieci na kolację, ujadania psa, warkotu trzykołowego pojazdu zwanego ape, jedyne go pojazdu silnikowego używanego na wyspie do przewozu pasażarów.

Za nim dał się słyszeć grzmiący ryk wulkanu.

Tu, na krawędzi świata, czuł się naprawdę bezpieczny. Ona nie mogła tu za nim dotrzeć. To był jego dom. Zjawił się tu po raz pierwszy dwadzieścia lat temu i odtąd bywał regularnie, niemal co roku, zawsze przybywając i odjeżdżając z zachowaniem najdalej posuniętych zasad bezpieczeństwa. Około trzystu stałych mieszkańców wysepki znało go jako ekscentrycznego, wybuchowego brytyjskiego profesora, wykładowcę literatury klasycznej, który przyjeżdżał od czasu do czasu, by pracować nad swoim magnum opus, i który nie lubił, by mu zakłócano spokój. Unikał lata i turystów, choć ta wysepka, oddalona sześćdziesiąt mil od kontynentu i wielokrotnie na przestrzeni wielu dni odcięta od reszty

świata z uwagi na szalejące na morzu sztormy i brak portu, była odwiedzana rzadziej od innych.

Znów przeciągły głuchy łoskot. Wulkan był tej nocy aktywny. Odwrócił się i uniósł wzrok, spoglądając na strome czarne zbocze. Burzliwe chmury przetaczały się ponad wulkanicznym kraterem wznoszącym się ponad pół mili powyżej jego willi; dostrzegł wyraźne pomarańczowe błyski bijące z wnętrza strzępiastego stożka jak migotanie wadliwej lampy.

Ostatnie promienie słońca padające na Strombolicchio zgasły i morze zrobiło się czarne jak smoła. Potężne fale przyboju zwieńczone pióropuszcami piany rozbiły się jedna za drugą na pości czarnej plaży przy wtórce monotonnego stłumionego ryku.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny z ogromnym wysiłkiem Diogenes odganiał od siebie niepokojące wspomnienia niedawnych wydarzeń. Któregoś dnia – kiedy już nabierze do tego wszystkiego należytego dystansu – usiadzie i na chłodno, beznamiętnie przeanalizuje, co poszło nie tak. Teraz jednak musiał odpocząć. Bądź co bądź był w kwiecie wieku, miał dość czasu, by opracować drobiazgowy plan i przeprowadzić kolejny atak.

*Cóż, kiedy za mną pędzi pogoń chyża
Skrzydlaty rydwan czasu wciąż się zbliża*

Ścisnął delikatny kieliszek tak mocno, że szkło pękło, rzucił odłamaną nóżkę na ziemię, wszedł do kuchni i napełnił drugi kieliszek. Delektował się wybornym amontillado, którego zapas zrobił wiele lat temu, i nie chciał uronić ani kropli. Wypił niewielki łyk, uspokoił się i znów wyszedł na taras. Miasteczko szykowało się do nocy: wciąż słychać było stłumione wołania, płacz dziecka, trzaśnięcie drzwi. I warkot trzykółki przybierający na sile, zbliżający się wzdłuż jednej z krętych uliczek prowadzących do jego willi.

Odstawił kieliszek na parapet i zapalił papierosa, zaciągając się dymem i wydmuchując go w gęstniejący zmierzch. Skierował wzrok ku uliczkom w dole. Trzykółka ewidentnie sunęła pod górę, najprawdopodobniej wzdłuż Vico San Bartola. Przeciągłe zawrozczenie silnika zbliżało się i po raz pierwszy Diogenes poczuł narastający niepokój. Było rzeczą niespotykaną, aby trzykółka poruszała się po miasteczku w porze kolacji, a co dopiero, by kierowała się w stronę któregoś z domów na zboczu góry, chyba że była to miejscowa taksówka przewożąca pasażerów w jakieś konkretne miejsce. Tyle tylko że o tej porze roku, wczesną wiosną, na Stromboli nie było żadnych turystów, prom, którym dotarł tutaj z Milazzo, nie przewoził gości, a jedynie prowiant i rozmaite towary, zresztą prom odpłynął przecież wiele godzin temu.

Zachichotał pod nosem. Stał się zbyt czujny, to już trąciło paranoją. Ten diabelski pościg, zaraz po haniebnej porażce, jakiej doznał ostatnio, wstrząsnął nim do głębi i mocno zszargał mu nerwy. Potrzebował teraz sporo czasu, by oddać się lekturze, badaniom i odnowie intelektualnej. Tak, to był właściwy moment, by rozpocząć przekład *Aureus Asinus* – Złotego osła Apulejusza, o czym zawsze marzył.

Znów zaciągnął się dymem, wydmuchnął go w górę i przeniósł wzrok na morze. W oddali dostrzegł światła jakiegoś statku okrążającego właśnie Punta Lena. Wszedł do środka, wziął lornetkę i ponownie spojrzawszy w stronę morza, spostrzegł rozmyty, niewyraźny kształt starej drewnianej łodzi rybackiej, praktycznie płaskodenki oddalającej się od brzegów Stromboli w kierunku Lipari. To dało mu do myślenia. Nikt o zdrowych zmysłach nie wypływał w taką pogodę na połów. Najprawdopodobniej musiała coś przewieźć. Warkot trzykółki zbliżał się; Diogenes zdał sobie sprawę, że pojazd pisał się w górę wąską drogą wiodącą do jego willi – otoczonej

wysokim murem – usłyszał, jak ape zatrzymuje się przy murze. Opuścił lornetkę i przeszedł na boczny taras, skąd rozciągał się widok na wąską asfaltową drogę, ale zanim tam dotarł, trzykółka zawróciła, a jej pasażera, jeżeli był takowy, nigdzie nie było widać.

Znieruchomiał, jego serce zaczęło bić tak szybko, że usłyszał w uszach szum własnej krwi. Na końcu drogi znajdowała się tylko jedna willa – należąca do niego. Ta stara rybacka płaskodenka łódź nie przewoziła żadnych towarów, lecz pasażera. I pasażer ów wynajął w miasteczku ape, aby dotrzeć do bram jego willi. W mgnieniu oka zerwał się do działania, wbiegł do budynku, przemykając od jednego pokoju do drugiego, zatraskując okiennice, gasząc światła i zamykając drzwi na cztery spusty.

Willa, jak większość domów na wyspie, była zbudowana niczym forteca, z masywnymi drewnianymi okiennicami i drzwiami zaopatrzonymi w potężne zamki i rygle z kutego żelaza. Tynkowane ściany miały prawie metr grubości. Ponadto Diogenes dodał jeszcze od siebie kilka drobnych poprawek. W tym domu powinien być całkiem bezpieczny – a w każdym razie zyska na czasie, aby móc odpowiednio rozważyć swoje położenie i podjąć właściwe kroki.

Kilka minut później zakończył operację zabezpieczenia domu. Stał w ciemnej bibliotece, ciężko sapiąc; znów odniósł wrażenie, że popada w paranoję, a jego reakcje są mocno przesadzone. Tylko dlatego, że zobaczył łódkę i usłyszał taksówkę... To jakiś absurd. Przecież nie mogła go odnaleźć, nie tak szybko. Zjawił się na wysepce zaledwie wczoraj wieczorem. To niemożliwe.

Otarł czoło wyjętą z kieszeni chustką i zaczął oddychać swobodniej. Zrobiło mu się głupio. Cała ta sprawa zszargała mu nerwy bardziej, niż przypuszczał. Zaczął macać dłonią w poszukiwaniu włącznika światła, gdy nagle usłyszał pukanie: powolne, drwiąco powolne, każde rozbrzmiewające niczym grzmot i dochodzące od strony

wielkich drewnianych drzwi. Echo tych dźwięków dotarło do najdalszych zakątków willi. Zastygł, jego serce znów zaczęło tłuc się w piersi jak oszalałe.

– *Chi c'e?* – zapytał.

Bez odpowiedzi.

Drżącymi palcami namacał ciąg szuflad, odnalazł tę, o którą mu chodziło, otworzył ją kluczykiem, wysunął i wyjął z niej berettę Px4 storm. Sprawdził magazynek – był pełny – i wprawnym ruchem wbił go w kolbę broni. Z drugiej szuflady wydobył silną latarkę.

Ale jak? Jak? Zdusił w sobie gniew, który w nim wzbierał. Czy to mogła być ona? A jeżeli nie, to czemu nikt nie odpowiedział na jego pytanie?

Zapalił latarkę i poświecił nią dokoła. Którędy najłatwiej było dostać się do willi? Najprawdopodobniej przez drzwi na bocznym tarasie; to miejsce znajdowało się najbliżej ulicy i najłatwiej było się tam dostać. Podkraść się do nich, otworzył je bezgłośnie, po czym delikatnie położył klucz na metalowej płaskiej klamce. Następnie wycofał się na środek ciemnego pokoju i ukląkł, przyjmując pozycję strzelecką, pozwalając, by jego oczy przywykły do ciemności; pistolet trzymał wycelowany w stronę drzwi. Czekał.

W masywnych murach domu panowała grobowa cisza. Słysząc tylko rozlegające się od czasu do czasu grzmiące odgłosy wulkanu. Czekał, nasłuchując z uwagą.

Minęło pięć minut, potem dziesięć.

I wtedy to usłyszał: brzęk spadającego klucza. W okamgnieniu oddał cztery strzały przez drzwi; na ciemnym tle pojawiły się ziejące otwory układające się w kształt rombu. Pociski kalibru 9 mm bez trudu mogły przebić drzwi nawet w ich najgrubszym punkcie, zachowując dostatecznie dużą prędkość, by uśmiercić osobę znajdującą się za nimi. Usłyszał jęk bólu, głuchy łoskot i ciche

szuranie. Znów jęk... a potem cisza. Drzwi, teraz uchylone, otwały się nieznacznie pod wpływem silniejszego podmuchu wiatru. Wyglądało na to, że ją zabił. A jednak nie był o tym do końca przekonany. Była zbyt bystra. Na pewno to przewidziała.

Ale czy na pewno? Poza tym czy to faktycznie była ona? Może zabił jakiegoś Bogu ducha winnego dostawcę albo zwykłego włamywacza? Nisko pochylony podkradł się ku drzwiom. Gdy się do nich zbliżył, rozciągnął się na podłodze i ostatnie kilka stóp pokonał, czołgając się. Wreszcie znieruchomiał, zerkając przez wąską szparę pod drzwiami. Wystarczy, że uchyli drzwi jeszcze na cal, aby przekonać się, czy na tarasie leżało czyjeś ciało, czy była to jedynie sprytna sztuczka.

Czekał, a gdy znów powiał wiatr, wykorzystał tę sposobność, aby je uchylić jeszcze bardziej i móc dzięki temu zobaczyć znajdujący się za nimi taras. W tej samej chwili huknęły dwa strzały, przebijając drzwi dwa cale nad jego głową i zasypując go gradem drzazg. Błyskawicznie odturlał się w bok z bijącym dziko sercem. Drzwi były otwarte na mniej więcej stopę, każdy kolejny podmuch wiatru otwierał je coraz szerzej; strzelała bardzo nisko – spodziewała się, że będzie kucał za drzwiami. Gdyby nie wyciągnął się płasko na podłodze, zarobiłby kulkę.

Spojrzał na ziejące w drewnie dziury po kulach. Udało jej się zdobyć półautomat średniego kalibru, sądząc z odgłosu strzałów, glocka. I opanowała przynajmniej podstawy posługiwania się bronią palną. Kolejny silniejszy podmuch wiatru otworzył drzwi na oścież z taką siłą, że aż rąbnęły w ścianę, po czym z głośnym skrzypieniem zaczęły się przymykać. Powoli przesunął się na drugą stronę i jednym szybkim kopnięciem zatrzasnął drzwi, podźwignął się do pozycji siedzącej i wprawnym ruchem zaciągnął zasuwę. Ledwie odturlał się w bok, gdy następna kula przeszła drewno parę cali od jego ucha; kłujące drzazgi wbiły mu się w skórę.

Kiedy tak leżał na podłodze, ciężko oddychając, zdał sobie sprawę, że zamykając się w domu, tracił nad nią swoją jedyną przewagę. Nie był w stanie wyjrzeć na zewnątrz, a co za tym idzie, nie mógł stwierdzić, z której strony ona nadejdzie. Mimo iż dom był zabezpieczony przed wtargnięciem, nie chciał wzbudzić podejrzeń, przerabiając go w prawdziwą twierdzę jak dom na Long Island. Mając pistolet, mogła przestrzelić zamki i rygle we wszystkich drzwiach czy oknach. Nie, lepiej zmierzyć się z nią na zewnątrz, gdzie dzięki swej niepośledniej sile, umiejętnościom strzeleckim i znajomości terenu zyska nad nią sporą przewagę. Czy ktoś usłyszał strzały? Ludzie z miasteczka mogli wezwać policję, a tego wolałby uniknąć. Ale czy na pewno je usłyszeli? Biorąc pod uwagę zawrodozenie wiatru od morza, prawdziwą wichurą szalejącą wśród gajów oliwnych i figowych, nie wspominając już o sporadycznych grzmotach dochodzących z wnętrza niespokojnego wulkanu, być może nikt nie zwrócił uwagi na suche trzaski wystrzałów. A co się tyczy policji, zimą na wyspie znajdowała się jedynie *nucleo investigativo* kierowana przez pojedynczego *maresciallo* carabinieri, który wieczorami grywał w briscola w barze na Ficogrande.

Poczuł, że ogarnia go nieopisany gniew. Ta kobieta nachodziła go w jego własnym domu, w jego twierdzy, w jego azylu. Otóż to, nie miał innego miejsca, gdzie mógłby się ukryć, nie miał innej tożsamości, którą mógłby przybrać. Gdyby musiał stąd uciec, byłby jak zaszczute zwierzę umykające w panice i ścigane bez końca. Nawet gdyby udało mu się zniknąć, odnalezienie nowej bezpiecznej kryjówki i opracowanie kolejnej tożsamości zajęłoby mu całe lata.

Nie, musiał to zakończyć tu i teraz.

Jeden po drugim huknęły trzy strzały, a zaraz potem usłyszał, jak jedna z okiennic w kąciu, gdzie zwykle spożywał śniadanie, rąbnęła o ścianę z głuchym trzaskiem.

Czy ona weszła do środka?

Nisko pochylony ominął ściankę działową, zerwał się do biegu i omiótł wnętrze kuchni promieniem latarki: nic. Wciąż biegiem wpadł do salonu i przystanął, opierając się plecami o ścianę. Podstawą było stale pozostawać w ruchu.

Rozległy się trzy kolejne strzały, tym razem od strony biblioteki, i jeszcze jedna okiennica zaskrzypiała, kołysząc się dziko na wietrze. A więc na tym polegała jej gra, na wybijaniu jedna po drugiej dziur, dopóki dom przestanie być dla niego azylem.

Nie zamierzał grać w tę grę. Przejmie inicjatywę. To on, a nie ona, wybierze miejsce na ostateczną konfrontację. Musiał wydostać się na zewnątrz – i nie tylko na zewnątrz, lecz na sam szczyt góry. Znał każdy załom stromeego, niebezpiecznego szlaku. Ona była względnie słaba, a będzie jeszcze bardziej osłabiona po długim wyczerpującym pościgu. Na górze to on będzie miał nad nią przewagę, pod każdym względem, łącznie z użyciem broni palnej w ciemnościach nocy. Mimo to upomniął sam siebie, że zlekceważył ją na wszystkich frontach. Nie może dopuścić, aby to się powtórzyło. Miał przeciwko sobie najbardziej zdeterminowanego, może najbardziej zabójczego przeciwnika w całej swojej karierze.

Powrócił myślami do niespokojnej góry. Stary szlak stworzyli przed blisko trzema tysiącami lat greccy kapłani, aby móc składać ofiary bogu Hefajstosowi. Mniej więcej w połowie rozwidłał się. Nowsza ścieżka wiodła na sam szczyt wzdłuż pasma górskiego Bastimento. Starożytny grecki szlak ciągnął się dalej na zachód, gdzie setki lat wcześniej został przecięty przez Sciara del Fuoco, legendarne Zbocze Ognia. Tworzyła je nieustająca lawina rozpalonych do czerwoności bloków lawy wypływających z krateru i spadających do rozpadliny długiej na milę i głębokiej na trzy tysiące stóp, by ostatecznie wpaść do morza pośród kłębow pary. Krawędź klifu była zapierającym dech

w piersiach, przerażającym, iście piekielnym miejscem, smaganym podmuchami gorącego wiatru wydobywającego się z wnętrza wulkanu; nie było drugiego takiego na całej Ziemi.

Sciara del Fuoco. Idealne miejsce na ostateczne rozwiązanie jego problemu. Ciało, które wpadnie w tę otchłań, po prostu zniknie. Najbardziej niebezpieczne będzie dla niego samo wyjście z domu. Ale przecież ona nie mogła być we wszystkich miejscach naraz. A nawet jeśli czekała, spodziewając się, że się pojawi w ciemnościach, miała raczej dość nikłe szanse, aby go trafić. Potrzeba lat praktyki, aby strzelać celnie w takich warunkach i przy takiej pogodzie.

Diogenes podkraść się do bocznych drzwi i przystanął. Kopnąwszy z całej siły, otworzył je i wybiegł na zewnątrz w mrok. Rozległy się strzały, tak jak się tego spodziewał; kule chybiły o włos. Rzucił się w bok i odpowiedział ogniem, zmuszając ją do zaprzestania ostrzału. Zaraz potem znów zerwał się na nogi, minął bramę i skreślił ostro w prawo, wbiegając po wyciętych w zastygłych pokładach lawy, popękanych stopniach biorących początek w miejscu, gdzie kończyła się asfaltowa droga. Tymi schodami dotrze do krętego szlaku biegnącego ku wierzchołkowi wulkanu Stromboli i Sciara del Fuoco, Zboczu Ognia.

Agent specjalny Pendergast zeskoczył z kołyszącej się łodzi na nabrzeże Ficogrande, a łódź włączyła już wsteczny bieg, aby pokonać napór potężnych fal rozbijających się o odsłonięty brzeg. Stał przez chwilę na popękany beton, lustrując wzrokiem wysepkę. Wznosiła się z morskich odmętów niczym czarna kolumna rysująca się na tle ciemniejszego nocnego nieba, rozjaśnionego blaskiem Księżyca w pierwszej kwadrze. Dostrzegł czerwony blask wśród chmur otaczających wierzchołek góry i usłyszał też łoskot i grzmot wulkanu mieszające się z szumem fal i zawodzącym jękiem wiatru od morza. Stromboli było małą okrągłą wyspą o średnicy dwóch mil i stożkowatym kształcie, pustą i odpychającą. Nawet miasteczko, skupisko bielonych domów rozstawionych wzdłuż brzegu, prezentowało się dość posepnie, a same budynki wyglądały na wysmagane wiatrem, niszczone i zaniedbane. Pendergast wciągnął do płuc wilgotne, ciężkie od morskiej soli powietrze i szczerzej opatulił się płaszczem, stawiając kołnierz dla ochrony przed wiatrem. Na przeciwległym końcu nadbrzeża, po drugiej stronie wąskiej uliczki biegnącej równoległe do plaży, stały jeden przy drugim misternie zdobione stiukiem budynki. W jednym z nich bez wątpienia mieścił się bar, choć neonowy szyld kołyszący się na wietrze był zapewne od dłuższego czasu wygaszony.

Przemaszerował przez nabrzeże, przeciął na ukos ulicę i wszedł do

środku. Powietrze wewnątrz było gęste od tytoniowego dymu. Przy stoliku siedziała grupka mężczyzn, w tym jeden w mundurze carabinieri palący papierosa i grający w karty; przed każdym graczem stała szklaneczka wina. Pendergast podszedł do baru i zamówił espresso com-pleto. – Widział pan może kobietę, która przyłączyła tu wcześniej tego wieczoru wynajętą łodzią rybacką? – zwrócił się po włosku do barmana, po czym przerwał, oczekując na reakcję tamtego.

Mężczyzna przetarł kontuar wilgotną ścierką i podał gościowi espresso, dolewając do niego odrobinę grappy. Milczał jak zakłęty.

– Młoda, szczupła, z twarzą przesłoniętą czerwonym szalem – dodał Pendergast.

Barman pokiwał głową.

– Dokąd poszła?

Po dłuższej chwili tamten odparł po włosku, z silnym sycylijskim akcentem: – Do profesora.

– Ach! A gdzie mieszka ten profesor?

Żadnej odpowiedzi. Pendergast wyczuł, że grający przy stoliku przerwali partyjkę. Agent wiedział, że w tej części świata informacji nie otrzymywało się za darmo, trzeba było dać coś w zamian. – To moja siostrzenica, biedactwo – powiedział. – Mojej siostrze serce się kraje, że jej córka uciekła do tego nicponia, tego profesorka, który ją uwiódł, a teraz nie chce mieć z nią nic wspólnego. Nie umie zachować się, jak przystało na mężczyznę.

Jego słowa osiągnęły pożądaną efekt. Bądź co bądź miał do czynienia z Sycylijczykami, ci ludzie od wieków kierowali się zasadami czci i honoru. Pendergast usłyszał skrzypnięcie krzesła. Odwrócił się, by ujrzeć podnoszącego się z miejsca carabinieri.

– Jestem tutejszym *maresciallo* – rzekł mężczyzna z powagą w głosie. – Zaprowadzę pana do domu profesora. – Odwrócił się. –

Stefano, przyprowadź ape dla tego dżentelmena, pojedziecie za mną. Ja wezmę motorino.

Wysoki włochaty mężczyzna podźwignął się od stołu i skinął na Pendergasta, który wyszedł za nim z baru. Przy chodniku stał trzykołowy pojazd motorowy. Pendergast wsiadł na niego. W oddali przed nim zauważył, jak carabinieri energicznie uruchamia silnik swojej motorino. Chwilę potem ruszyli wzdłuż drogi ciągnącej się równoległe do plaży, na prawo od nich słychać było ryk fal rozbijających się o czarną jak smoła połąć plaży.

Wkrótce skręcili w głąb wyspy, lawirując przez labirynt niesamowicie krętych i wąskich uliczek pnących się coraz wyżej po zboczu góry.

Uliczki stały się jeszcze bardziej strome, jechali teraz pośród ciemnych winnic, gajów oliwnych, ogrodów otoczonych murami z brył żużlu i zastygłej lawy. Na wyższych partiach stoku dostrzec można było stojące tu i ówdzie eleganckie wille. Ostatnia z nich, wznosząca się najwyżej i jakby przyklejona do zbocza góry otoczona była masywnym murem z kawałków lawy. W oknach było ciemno.

Carabiniere zaparkował motor przy bramie, a za nim zatrzymała się trzykółka. Pendergast wyskoczył z pojazdu i przyjrzał się uważnie willi. Była olbrzymia i posepna, przywodziła na myśl raczej twierdzą niż dom mieszkalny. Wdobiło ją kilka tarasów, w tym jeden wychodzący na morze, ze starą marmurową kolumnadą. Za murem z lawy rozciągał się bujny olbrzymi tropikalny ogród pełen bajecznych roślin, rajskich ptaków i wielkich egzotycznych kaktusów. Był to ostatni dom na zboczu góry i z miejsca, gdzie stał Pendergast, wyglądało to tak, jakby wulkan pochylał się nad willą; jego wierzchołek, skąd dobywał się przeciągły grzmot i buchały skry, odcinał się wyraźnie na tle złowrogiej krwistoczerwonej łuny malującej zwieszające się nisko chmury.

Pomimo powagi sytuacji Pendergast wciąż patrzył. To dom mojego brata, pomyślał.

Carabiniere kołyszającym krokiem powoli podszedł do żelaznej bramy, która nawiasem mówiąc, była otwarta, i nacisnął guzik dzwonka. Teraz, gdy czar nagle prysnął, Pendergast ostentacyjnie minął policjanta, prześlizgnął się przez bramę i nisko pochylony podbiegł w stronę bocznych drzwi tarasu, które łomotały targane silnym wiatrem.

– Proszę zaczekać, *signore!*

Pendergast wyjął swego kolta 1911 i przyłgnął całym ciałem do ściany przy drzwiach, chwytając je jedną ręką, gdy odchyliły się w jego stronę. Były podziurawione kulami. Rozejrzał się wokoło: okiennica w kuchennym oknie także była rozwarta i kolebała się na wietrze.

Obok niego pojawił się zasapany carabiniere. Wlepił wzrok w drzwi. – *Minchia!* – W jednej chwili on także wydobył pistolet.

– Co się stało, Antonio? – zapytał kierowca, zмирzając w ich stronę; rozżarzony koniuszek jego papierosa kołysał się w ciemnościach.

– Wracaj, Stefano. Tu może być niebezpiecznie.

Pendergast wyjął latarkę, wślizgnął się do wnętrza willi i poświecił dokoła. Podłoga zasłana była drewnianymi drzazgami. Promień latarki wydobył z ciemności olbrzymi salon w stylu śródziemnomorskim, z tynkowanymi ścianami, podłogą wyłożoną terakotą, masywnymi i stylowymi meblami; wnętrza były urządzone użytkowo i zadziwiająco skromnie. Przez otwarte drzwi dostrzegł wnętrze olbrzymiej piętrowej biblioteki, ze ścianami i sufitem w surrealistycznych perłowo-szarych barwach. Zajrzał do środka i zauważył, że okiennica w bibliotece także była otwarta. Wciąż żadnych śladów walki.

Wrócił do bocznych drzwi, gdzie carabinieri oglądał dziury po kulach. Mężczyzna wyprostował się.

– To miejsce przestępstwa, signore. Muszę poprosić, aby pan je opuścił.

Pendergast wyszedł na taras i spojrzał spod półprzymkniętych powiek na mroczną górę. – Czy to ścieżka? – zwrócił się do kierowcy trzykółki, który wciąż stał nieopodal, przyglądając się wszystkiemu z nieskrywanym zdumieniem.

– Ciągnie się aż na szczyt góry. Ale oni nie poszliby tamtędy, nie w środku nocy.

Chwilę potem pojawił się carabinieri z krótkofalówką w dłoni. Próbował skontaktować się z carabinieri caserma na wyspie Lipari oddalonej trzydzieści mil.

Pendergast wyszedł przez główną bramę i podszedł do końca asfaltowej drogi. W górę zbocza prowadziły wykute w kamieniu, zmurszałe stopnie łączące się z szerszym, o wiele starszym szlakiem na stoku powyżej. Pendergast ukląkł i omiótł ziemię promieniem latarki, po czym wstał i pokonał kilka pierwszych stopni, oświetlając je latarką.

– Niech pan tam nie wchodzi, signore! To wyjątkowo niebezpieczne!

Agent znów przyklęknął. W cienkiej warstewce kurzu osłoniętej od wiatru prastarym kamiennym stopniem dostrzegł odcisk obcasa, a raczej małego obcasika. Ślad był świeży. A nad nim jeszcze jeden mały, słabo widoczny odcisk nakładający się na drugi, znacznie większy. Pozostawiony przez Diogenesa ściganego przez Constance.

Pendergast wstał i uniósł wzrok, wpatrując się w oszałamiające ogromem zbocze górującego nad nim wulkanu. Było tak czarne, że nie widział niczego prócz słabego migotania stłumionego pomarańczowego blasku otaczającego niknący wśród chmur

wierzchołek góry.

– Ten szlak – zawołał do policjanta. – Czy prowadzi na sam szczyt?

– Tak, *signore*. Ale raz jeszcze powtarzam, że jest wyjątkowo niebezpieczny i przeznaczony wyłącznie dla doświadczonych miłośników wspinaczek górskich. Zapewniam pana, że oni nie poszli tamtędy. To niemożliwe. Wezwałem carabinieri z Lipari, ale zjawią się tu dopiero jutro. A kto wie, czy nawet nie pojutrze z uwagi na wyjątkowo paskudną pogodę. Nie mogę zrobić nic więcej poza przeszukaniem całego miasteczka, bo nie ulega wątpliwości, że profesor i pańska siostrzenica udali się właśnie tam.

– Nie znajdzie ich pan w miasteczku – rzekł Pendergast, po czym odwrócił się i zaczął wspiąć po kamiennych stopniach.

– *Signore!* Niech pan tam nie idzie! Ten szlak prowadzi do Sciarra del Fuoco!

Ale wiatr błyskawicznie zagłuszył słowa carabinieri, a Pendergast, nie zważając na jego ostrzeżenia, zaczął pięć się pod górę najszybciej, jak tylko był w stanie, ściskając w lewym ręku latarkę, w prawym zaś odbezpieczony pistolet.

Diogenes Pendergast biegł truchtem po omiatanym wiatrem szlaku na wysokości dwóch i pół tysiąca stóp, zmierzając ku wierzchołkowi góry. Wiatr wiał jak opętany, kołysząc gęstymi krzewami janowca rosnącymi przy ścieżce. Przystanął, by zaczerpnąć tchu. Patrząc w dół, ledwie dostrzegał rozmytą szarą połąć morza i nieco jaśniejsze spienione grzbiety fal tuż przy brzegu. Latarnia morska Strombolicchio wznosiła się samotnie na skale otoczona szarym kręgiem fal i mrugając bez przerwy, słała bezmyślne jednostajne przesłanie ku otwartemu morzu.

Powiódł wzrokiem w stronę lądu. Z tej wysokości widział mniej więcej jedną trzecią wyspy, spory fragment lądu od Piscita aż po półksiężyc plaży pod Le Schiocciole, gdzie spienione fale wściekle uderzały o brzeg. W oddali widać było słabe światła miasteczka, brudno-żółte falujące punkciki świadczące o tym, że na tym niegościnnym skrawku lądu, nie zważając na niewygodę, mieszkali ludzie. Poniżej i powyżej rozciągał się masyw wulkanu niczym żebrowany pień gigantycznego namorzynu; ogromne biegnące równolegle masywy miały swoje nazwy: Serra Adorno, Roisa, Le Mandre, Rina Grande. Odwrócił się i uniósł wzrok. Ponad nim majaczyła potężna czarna płetwa pasma górskiego Bastimento, za którym znajdowało się Sciarra del Fuoco – Zbocze Ognia. Masyw biegł aż do wierzchołka góry, wciąż skrytego wśród przesuwających się

szybko chmur, rozjaśnianych pomarańczową łuną przy każdej kolejnej erupcji; rozbrzmiewający raz po raz grzmiący łoskot sprawiał, że aż trzęsła się ziemia.

Diogenes wiedział, że kilkaset stóp dalej szlak się rozgałęział. Lewa odnoga wiodła w górę szerokimi żuźłowymi zboczami Liscione na wschód, aż do krateru na szczycie. Prawa ścieżka, prastary grecki szlak, prowadziła dalej na zachód, przez Bastimento, i urywała się nagle w miejscu przecięcia ze Sciara del Fuoco. Ona powinna być teraz jakieś piętnaście, dwadzieścia minut za nim; dawał z siebie wszystko, nie szczędząc sił i wspinając się jak najszybciej po murszejących kamiennych stopniach i stromej wąskiej ścieżce. Było fizycznie niemożliwe, aby zdołała dotrzymać mu kroku. Dzięki temu zyskiwał czas do namysłu, mógł starannie zaplanować następny ruch. Teraz to on rozdawał karty. Ona musiała mu się podporządkować. Usiadł na starym murszejącym murku. Najlepszy byłby atak z zaskoczenia. Powinien zacząć się na nią wśród krzewów rosnących gęsto przy szlaku. To nie powinno być trudne – mógł zaszyć się wśród kęp janowca przy jednym z zakrętów i wpakować jej parę kul, gdy pojawi się na prostym, odsłoniętym odcinku ścieżki. Jednak plan ten miał jeden zasadniczy minus, a mianowicie był nadto oczywisty – musiała to przewidzieć. Zarośla byłyby zresztą tak gęste, że zastanawiał się, czy zdołałby się w nie wślizgnąć, nie pozostawiając przy tym żadnych widocznych śladów, a w każdym razie śladów dostrzegalnych dla osoby wyjątkowo spostrzegawczej – a ona miała naprawdę orli wzrok.

Z drugiej jednak strony nie znała tego szlaku, nie mogła znać. Przybyła na wyspę i z miejsca udała się do jego willi. Żadna mapa nie mogła oddać stromizny, niebezpieczeństw i surowości tego szlaku. Tuż przed rozwidleniem dróg było miejsce, gdzie ścieżka biegła pod nawisem stwardniałej lawy, po czym zakrecała i wiodła na szczyt

nawisu. Wokół były tylko pionowe ściany – nie ma mowy, aby w tym miejscu zdołała zejść ze ścieżki. Gdyby zaczekał na nią na tym nawisie, musiałaby przejść tuż pod nim. Nie było innej drogi, którą mogłaby pójść. Tak. To idealne miejsce. Ruszył dalej pod górę i w dziesięć minut później dotarł do ostatniego zakrętu, by znaleźć się na szczycie nawisu. Kiedy jednak rozglądał się za jakąś kryjówką, stwierdził, że jest tam inne, lepsze miejsce. Było niemal doskonałe. Ona zauważyła nawis i domyśliła się, że Diogenes mógł się tam na nią zaczaić: Jednak przed nawisem było jeszcze jedno miejsce idealne na zasadzkę, na wpół przesłonięte przez głazy, prawie niewidoczne z większej odległości.

Z niewysłowioną ulgą, zadowolony, że już wkrótce będzie po wszystkim, starannie i ostrożnie zajął pozycję w cieniu przy zakręcie i przygotował się na dalsze oczekiwanie. To była doskonała kryjówka pogrążona w ciemnościach nocy, a do tego naturalne ukształtowanie terenu sprawiało, że była prawie niewidoczna wśród skał, za którymi się chował. Powinna pojawić się tu w ciągu kwadransa. Kiedy już ją zabije, wrzuci zwłoki w otchłań, gdzie znikną na zawsze. I znów będzie wolny. To było chyba najdłuższe piętnaście minut w całym jego życiu. Gdy upłynęło dwadzieścia, poczuł narastający niepokój. Minęło dwadzieścia pięć minut... trzydzieści...

Diogenes zastanawiał się gorączkowo. Przecież nie mogła wiedzieć, że się tam ukrył i czekał na nią. Był pewien, że w żaden sposób nie zdradził swojej obecności. Musiało wydarzyć się całkiem coś innego.

Czy była zbyt słaba, aby dotrzeć aż tak wysoko? Zakładał, że nienawiść pozwoli jej przynajmniej na pewien czas przemóc ból i wyczerpanie. Ale przecież była tylko człowiekiem, musiała mieć granicę wytrzymałości fizycznej. Ściagała go od wielu dni, prawie nie śpiając i jedząc tyle co nic. Poza tym musiała stracić sporo krwi. Pomyśleć tylko, że w tym stanie miałyby wspiąć się nocą nieznanym

niebezpiecznym szlakiem na wysokość prawie trzech tysięcy stóp... Może to po prostu było ponad jej siły. A może była ranna. Na szlaku pełno było kamieni i popękanych pokruszonych skał, a ścieżka na najbardziej stromym odcinku, gdzie zalegała warstwa rumoszu i gdzie wskutek erozji brakowało wielu stopni, stanowiła prawdziwą śmiertelną pułapkę.

Śmiertelna pułapka. Tak, to całkiem możliwe, ba, wręcz prawdopodobne, że poślizgnęła się i spadła, a teraz leżała gdzieś przy szlaku ze skrzyconą kostką albo nawet roztrzaskaną głową. Czy miała latarkę? Szczerze w to wątpił.

Spojrzał na zegarek: minęło już trzydzieści pięć minut. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Najprawdopodobniej coś jej się stało. Była ranna. Chyba zawróci w dół ścieżki i sam się przekona. Jeśli leżała tam ze skrzyconą kostką albo pólżywa ze zmęczenia, dobije ją bez większego trudu...

Nagle się zmytygował. Nie, lepiej nie. Może właśnie na tym polegał jej plan – aby uwierzył, że uległa wypadkowi, i zawrócił, a ona tymczasem czaiła się na niego w jakimś wybranym przez siebie miejscu. Na jego ustach pojawił się gorzki uśmiezek. O to właśnie chodziło, prawda? To była gra na czas, gra na przeczekanie, chciała zmusić go, aby zaczął schodzić w dół. Ale on nie wpadnie w jej pułapkę. Nic z tego. To on ją przeczeka. Nagromadzona w niej nienawiść zmusi ją w końcu do podjęcia przerwanej wspinaczki.

Minęło jeszcze dziesięć minut i znów zaczęły dręczyć go wątpliwości. A co, jeśli nie podjęła rzuconej rękawicy i nie zdecydowała się dokończyć tej walki na stokach czynnego wulkanu? Jeżeli wróciła do miasteczka i przyczaiła się, opracowując nowy plan? Co, jeśli zawiadomiła policję?

Nie mógł pogodzić się z myślą, że to mogłoby potrwać dłużej. Nie wytrzymałby tego. To musiało się skończyć tu i teraz. Jeszcze tej

nocy. Jeżeli ona nie pofatyguje się do niego, on przyjdzie do niej i zmusi ją do konfrontacji. Ale w jaki sposób?

Leżał na twardej ziemi, wlepiając wzrok w szarość, jego ożywienie narastało. Starał się podążać za tokiem jej rozumowania, przewidzieć kolejne posunięcia. Nie mógł ponownie jej zlekceważyć.

Uciekłem z domu, wspiałem się na górę. Ona stoi gdzieś tam, zastanawiając się, czy powinna podążać za mną. Co teraz robi? Wiedziała, że zmierzał w stronę szczytu, wiedziała, że spróbuje zacząć się na nią i że pragnął zmierzyć się z nią na własnych zasadach, na dobrze sobie znanym terytorium. Co ona teraz robi?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast: znajdzie inną drogę. Krótszą. I odetnie mu drogę. Ale przecież nie było innej drogi...

Nagle poczuł na plecach lodowate ciarki, gdyż w tej samej chwili przypomniał sobie starą historię, którą kiedyś usłyszał, a która krążyła po tej wysepce. W VIII wieku wyspę zaatakowali Saraceni. Wylądowali w Pertuso, zatoce po drugiej stronie wyspy, i dokonali śmiałej niebezpiecznej przeprawy, wspinając się na stok wulkanu i schodząc po przeciwległym zboczu. Nie skorzystali wszelako z greckiego szlaku, lecz utorowali sobie własny, aby napaść na osadę ze strony, z której nikt się ich nie spodziewał.

Czy ona mogła skorzystać ze szlaku Saracenów? Zastanawiał się gorączkowo. Nie zwracał uwagi na tę starą historię, traktując ją jako jeszcze jedną barwną legendę jak wiele innych związanych z tą wyspą. Czy ktokolwiek wiedział dzisiaj, dokąd prowadził stary szlak Saracenów? Czy to przejście w ogóle jeszcze istniało? Skąd Constance mogła o nim wiedzieć? Na całym świecie była zaledwie garstka ludzi, którzy znali ten szlak.

Zaklął wściekle, przetrząsając zakamarki pamięci i usiłując przypomnieć sobie coś więcej na temat tej historii. Dokąd prowadził szlak Saracenów?

Legenda głosiła, że Saraceni stracili kilku ludzi w Filo del Fuoco, wąskiej rozpadlinie odchodzącej od Sciary. Jeśli faktycznie tak było, szlak musiał prowadzić skrajem w dół pasma Bastimento – lub w tym przypadku pod górę.

Podniósł się nagle. Wiedział, po prostu wiedział!, że tak właśnie musiała zrobić Constance. Była uważna i pilna, potrafiła znaleźć informacje praktycznie na każdy temat; musiała zdobyć stary atlas z mapami tej wyspy. Przystudiowała je i zapamiętała. Wywabiła go z domu jak borsuka z nory i zagoniła na znajomy szlak. Pozwoliła, by sądził, że to od początku był jego plan... A tymczasem ona skręciła na zachód i wspięła się sekretną ścieżką pod górę, zachodząc go z boku, kiedy czekał w zasadzce i marnował jedną cenną minutę po drugiej. Była gdzieś tam, ponad nim, na stoku. I czekała na niego.

Na jego czole zaperlił się zimny pot. Dopiero teraz pojął zapierającą dech w piersi subtelność jej planu. Wszystko opracowała i przemyślała zawczasu. Spodziewała się, że ucieknie z domu i zacznie się piąć pod górę starym szlakiem. Co więcej, spodziewała się, że zaczai się na nią gdzieś na szlaku i będzie czekał cierpliwie, dając jej jako tej słabszej czas, którego potrzebowała, by wspiąć się ścieżką Saracenów na Bastimento. Poderwał się gwałtownie przerażony, koncentrując wzrok na wznoszącej się nad nim wielkiej, czarnej płetwie masywu.

Ponad szczytem przesuwwały się chmury, góra stękała i drżała przy każdej erupcji. Nagle chmury się rozwiały, ukazując masyw spowity łuną bijącą z wnętrza wulkanu, i w tej samej chwili spostrzegł widoczną wyraźnie na tle tej upiornej pomarańczowej poświaty postać w bieli wirującą w tańcu. I pomimo zawodzenia wiatru i grzmiącego ryku góry wyraźnie usłyszał przeciągły, ochryply, obłąkańczy śmiech, którego echo spływało ku niemu po zboczu wulkanu.

W przypiływie wściekłości uniósł pistolet i zaczął strzelać; błyski wystrzałów na moment go oślepiły. Po chwili zaklął i opuścił broń, jego serce biło szaleńczym rytmem. Na górze nie było nikogo, postać w bieli zniknęła.

Teraz albo nigdy. Pora to zakończyć. Zaczął piąć się pod górę, najszybciej jak tylko mógł, wiedząc doskonale, że w ciemnościach nie zdołałaby go trafić. W oddali przed nim zamajaczyło rozwidlenie dróg; nowszy szlak prowadził w lewo wąską stromą ścieżką. Prawa odnoga była zablokowana drucianą siatką; zardzewiały metal zabezpieczony od góry drutem kolczastym skrzypiał na wietrze. Na siatce wisiała wysmagana wiatrem tabliczka z napisem w dwóch językach:

Attenzione!
Sciara del Fuoco!
Pericolosissimo!
Vietato a Passare!

Uwaga!
Spływająca lawa!
Niebezpieczeństwo!
Nie wchodzić!

Przeskoczył ponad siatką i zaczął wspinać się starym szlakiem na szczyt pasma Bastimento. Ta konfrontacja mogła skończyć się tylko w jeden sposób. Jedno z nich zejdzie z tej góry, drugie zostanie wrzucone w żarłoczną czeluść Sciary. Już wkrótce okaże się, które z nich wyjdzie z tego starcia zwycięsko.

Aloysius Pendergast zatrzymał się przy rozwidleniu ścieżek, nasłuchując z uwagą. Nie dalej jak pięć minut temu pomimo grzmiącego huku wulkanu wyraźnie usłyszał strzały; było ich w sumie dziesięć. Ukląkł i zbadał grunt, przyświecając sobie latarką. Błyskawicznie zorientował się, że Diogenes – i tylko on – wybrał tę ścieżkę, która była zablokowana drucianą siatką.

W całej tej sytuacji wiele rzeczy wciąż pozostawało dla niego niejasnych, jedna tajemnica goniła drugą. Śladów stóp było niewiele, jedynie w miejscach, gdzie na skalnym podłożu zalegała naniesiona wiatrem warstewka piasku, ale tak czy owak ślady Constance zniknęły zupełnie niemal na samym początku ścieżki. Mimo to Diogenes brnął dalej. Po co? Pendergast musiał dokonać wyboru: iść tropem Diogenesa albo poszukać śladów Constance. Sprawa była oczywista – to Diogenes stanowił zagrożenie i to jego należało jak najszybciej odnaleźć.

I jeszcze te strzały... Kto strzelał? I czemu tyle razy? Jedynie ktoś ogarnięty paniką mógł oddać aż tyle strzałów naraz. Pendergast pokonał ogrodzenie i ruszył dalej starą, mocno już zniszczoną i niebezpieczną ścieżką. Wierzchołek masywu znajdował się blisko ćwierć mili od niego, dalej widać było już tylko niebo rozpalone wściekle pomarańczową łuną. Musiał iść szybko, ale z największą ostrożnością.

Ścieżka dotarła do stromego odcinka zbocza, toporne schody wyciosane były w szorstkiej twardej lawie. Stopnie te jednak były mocno naruszone przez warunki pogodowe, erozja okazała się nieubłagana. Pendergast musiał włożyć pistolet do kabury i wspinał się dalej, pomagając sobie przy tym obiema rękami. Zanim dotarł na sam szczyt, przywarł całym ciałem do stoku i wyjąwszy broń z kabury, nasłuchiwał przez chwilę. Nic mu to jednak nie dało – ryk wulkanu był tu jeszcze donośniejszy, a zawroźnienie wiatru nie cichło ani na chwilę. Podpełzł do wierzchołka masywu, nie zważając na silne podmuchy wiatru omiatające mu twarz, i ponownie znieruchomiał na chwilę, aby się zorientować w sytuacji. Szlak wiódł wzdłuż grzbietu masywu, aby w oddali zakręcić i zniknąć za ostrymi formami zastygłej lawy. Agent poderwał się na nogi, przebiegł na otwartą przestrzeń, ukrył się za skupiskiem zastygłej lawy i spojrzał przed siebie. Na prawo od niego znajdowała się wielka ziejąca czeluść – bez wątpienia była to Sciarra del Fuoco. Bijąca z niej czerwona łuna wyraźnie oświała całą połąć terenu wokoło; nic nie mogło umknąć jego uwagi. Ominął formację lawy i nagle na prawo od niego pojawiła się Sciarra – wśród skał ziała posepna rozpadlina wiodąca hen w, zdawałoby się, bezdenną otchłań jak wielka szczelina wycięta w skalnym podłożu wyspy: szeroka na pół mili i spadająca pionowo w spienioną, wrzącą kipieli morza.

Z czeluści biła fala żaru, przetaczając się poza grzbietem masywu i niosąc z sobą palące drobiny popiołu i chmury siarczanych wyziewów. Teraz prócz ryku rozszalałej góry Pendergast usłyszał jeszcze jeden dźwięk: łoskot i trzaski masywnych bloków rozpalonej do czerwoności, żywej lawy wypływających z krateru powyżej i wpadających do morza, gdzie rozkwitały wśród kłębow pary jak białe kamienne kwiaty.

Chwiejąc się na nogach pod wpływem podmuchu porywistego

wiatru, brnął naprzód, walcząc o utrzymanie równowagi i przetrwanie owej przerażającej mocy natury, która próbowała zepchnąć go poza krawędź masywu. Lustrował wzrokiem grunt, ale wszelkie ślady, jeżeli jakieś były, zostały już dawno zatarte przez wiatr. Pobiegł krętą, zmurszałą ścieżką, kryjąc się, gdy było to możliwe, za zastygłymi formacjami lawy i utrzymując środek ciężkości jak najniżej. Szlak wciąż piął się po stoku. W oddali widać było ogromne skupisko bloków lawy, stare osuwisko, które ścieżka omijała szerokim łukiem, kierując się w prawo, w stronę krawędzi klifu.

Wyłonił się zza skały, trzymając pistolet obiema rękami – a jego oczom ukazał się przerażający widok. Na skraju przepaści dostrzegł dwie postacie wyraźne na tle łuny bijącej z wnętrza wulkanu. Były szczepione ze sobą w osobliwym, niemal czułym, namiętym uścisku. Nie była to jednak para kochanków, lecz zajadli wrogowie toczący walkę na śmierć i życie, nie zważając na silne podmuchy wiatru, ryk wulkanu czy krawędź gorejącej czeluści, do której z każdą chwilą coraz bardziej się zbliżali.

– Constance! – zawołał Pendergast i zerwał się do biegu. Jednak tamci zaczęli już niebezpiecznie przechylać się nad przepaścią i wciąż walcząc zaciekle, bez pardonu spychali się nawzajem ku krawędzi rozpadliny. A potem w ciszy, która wydawała się bardziej przerażająca niż najgłośniejszy krzyk, oboje zniknęli w otchłani.

Pendergast podbiegł do krawędzi rozpadliny; wiatr wiał tu tak mocno, że nieomal przewrócił go na wznak. Aloysius upadł na kolana i osłaniając oczy dłonią, spróbował zajrzeć w głąb krateru wulkanu. Tysiąc stóp niżej stwardniałe bloki matowoczerwonej lawy wielkości domów przetaczały się jeden nad drugim i odbijały od siebie nawzajem jak małe kamyki, krzesząc przy tym snopy pomarańczowych iskier. Wiatr wydobywający się z wnętrza

i omiatający ściany wulkanu zawodził jak chór potępieńców. Agent wciąż klęczał; podmuchy wiatru porywały słone łzy wypływające z kącików jego oczu.

Prawie nie potrafił pojąć tego, co przed chwilą zobaczył. To wydawało się niemożliwe, wręcz nieprawdopodobne, że Constance, ta trzymana pod kloszem, krucha, delikatna, zagubiona Constance, dotarła śladem jego brata aż do Europy, zapędziła go aż tu, na wierzchołek czynnego wulkanu, i stoczywszy z Diogenesem śmiertelny pojedynek, rzuciła się wraz z nim w otchłań krateru. Otarł gwałtownie oczy wierzchem dłoni, ponawiając próbę zajrzenia do tej piekielnej czeluści w nikłej nadziei, że być może coś tam jednak zostało – cokolwiek – i oto nagle niespełna dwie stopy poniżej spostrzegł dłoń, całą skąpaną we krwi, zaciśniętą kurczowo, niemal z nadludzką siłą na występie skalnym.

Diogenes.

W tej samej chwili usłyszał w myślach słowa D'Agosty. *„Zdajesz sobie sprawę, że jest tylko jeden sposób, w jaki powinienes, ba, musisz zająć się Diogenesem. Kiedy nadejdzie ten moment”...*

Pendergast bez namysłu sięgnął w dół, by ocalić brata – schwycił jedną ręką za nadgarstek, a drugą za przedramię i odchyliwszy się do tyłu, nie szczędząc sił, zaczął wciągać na górę. Wkrótce ponad krawędzią skały pojawiło się wymizerowane dzikie oblicze; wbrew temu, czego się spodziewał, nie była to twarz jego brata, lecz Constance Greene. Kilka sekund później wywlókł ją na zewnątrz, odciągając poza krawędź krateru. Constance położyła się na wznak na kamieniach, jej pierś unosiła się ciężko, rozłożyła ramiona szeroko, wiatr szarpał brutalnie jej podartą białą sukienkę.

Pendergast nachylił się nad nią. – A Diogenes...? – wykrztusił.

– Nie żyje! – Spomiędzy jej okrwawionych warg wyrwał się szaleńczy śmiech, ale już po chwili zagłuszyło go przeraźliwe

zawodzenie wiatru.

W poczekalni, przed pokojem przesłuchań B, w anonimowym korytarzu na dwudziestym piętrze gmachu komendy głównej policji stały rzędem proste ławy w stylu Bauhausu z lat 70. Na jednej z nich przycupnął D'Agosta, chłonąc zatechłe powietrze korytarza przesycone wonią środka wybielającego i amoniaku z pobliskiej toalety, starych perfum, potu i dymu papierosowego, którymi ściany przesycone były do tego stopnia, że nigdy nie zostaną w pełni usunięte. Wśród tej mieszaniny zapachów dało się również wyczuć wszechobecny kwaśny odór strachu.

Strach jednak był ostatnią rzeczą, o jakiej mógł teraz myśleć D'Agosta. Czekало go formalne przesłuchanie przed komisją dyscyplinarną, która podejmie decyzję o jego ewentualnej dalszej służbie w policji. Jedyne, co czuł, to znużenie i bezgraniczna pustka. Od miesięcy widmo procesu wisiało nad jego głową jak miecz Damoklesa, a teraz, tak czy siak, sprawa wreszcie się rozstrzygnie.

Siedzący obok Thomas Shoulders, adwokat przydzielony mu z urzędu, poruszył się na ławie. – Czy chciałby pan powtórzyć coś po raz ostatni? – zapytał cichym, niepewnym tonem. – Pańskie oświadczenie albo pytania, jakie najprawdopodobniej zostaną panu postawione?

D'Agosta pokręcił głową. – Dzięki, to nie będzie konieczne.

– Adwokat wydziału przedstawi sprawę do wiadomości policji.

Może właśnie wtedy uda się nam zyskać pewną przewagę. Kagelman jest twardy, ale uczciwy. Wywodzi się ze starej szkoły. Najlepiej będzie, jeśli rozegra pan to wprost, bez żadnych kruczków, uników czy kłamstw. Proszę odpowiadać na pytania krótko, tak lub nie, bez wdawania się w niepotrzebne wywody, jeżeli pana o to nie poproszą. Proszę postępować zgodnie z przyjętą przez nas linią obrony mającą ukazać pana jako dobrego glinę, który znalazłszy się w niewłaściwej sytuacji, starał się uczynić co w jego mocy, by sprawiedliwości stało się zadość. Jeżeli uda nam się pójść dalej tym torem, powinno być nieźle. Szczerze mówiąc, jestem umiarkowanym optymistą.

Umiarkowany optymista. Te słowa, niezależnie, czy padały z ust pilota, chirurga, czy adwokata, nie wróżyły najlepiej. D'Agosta powrócił myślami do owego feralnego jesiennego dnia, kiedy natknął się na terenie rezydencji Grove'a na Pendergasta karmiącego kaczkę okruchami chleba. Od tamtego dnia upłynęło zaledwie pół roku, ale ile się przez ten czas wydarzyło... To były naprawdę niesamowite miesiące.

– Jak się pan trzyma? – zapytał Shoulders.

D'Agosta spojrzął na zegarek. – Szczerze mówiąc, męczy mnie siedzenie tutaj i czekanie na ostateczny świst opadającego topora.

– Nie powinien pan myśleć w ten sposób, poruczniku. Postępowanie dyscyplinarne to jak zwykły proces przed sądem. Jest pan niewinny, dopóki wina nie zostanie panu udowodniona.

D'Agosta westchnął i nieznacznie zmienił pozycję na ławie. W tej samej chwili kątem oka dostrzegł Laurę Hayward idącą zatłoczonym korytarzem. Zmierzała w ich stronę typowym dla niej miarowym, rezolutnym krokiem, ubrana w szary sweter z kaszmiru i kraciastą, granatową, wełnianą spódnicę. Nagle szary, obskurny korytarz zaczął tętnić życiem. A mimo to ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było, aby go teraz ujrzała siedzącego na ławie niczym drobny przestępca

oczekujący na karę chłosty. Może minie go, pójdzie dalej, tak jak tamtego dnia na posterunku policji pod Madison Square Garden.

Ale nie przeszła obok. Zatrzymała się przy ławie i nonszalancko skinęła głową do niego i Shouldersa.

– Cześć – wykrztusił D’Agosta. Poczuł, że czerwieni się ze wstydu i zażenowania, i był za to na siebie wściekły.

– Się masz, Vinnie – rzuciła miękkiem zmysłowym kontraltem. – Masz chwilkę?

Zapadła cisza.

– Jasne. – Odwrócił się do Shouldersa. – Mogę przeprosić na minutkę?

– Tylko niech pan nie odchodzi za daleko, zaraz wchodzimy na salę.

D’Agosta pomaszerował za Hayward w głąb korytarza, gdzie przystanąli w nieco bardziej zacisznym miejscu. Spojrzała na niego i jedną ręką mimowolnie przygładziła spódnice. Zerkając na jej smukłe nogi, D’Agosta poczuł, że jego serce zaczyna bić szybszym rytmem. Rozpaczliwie poszukiwał w myślach słów, które byłyby najodpowiedniejsze na tę chwilę, lecz bez powodzenia.

Hayward także nie wiedziała, co ma powiedzieć, i to było do niej niepodobne. Twarz policjantki przepełniał wyraz zakłopotania i dezorientacji. Otworzyła torebkę, gmerła w niej przez chwilę, zamknęła i wetknęła pod pachę. Jeszcze przez chwilę stali w milczeniu, podczas gdy przez cały czas tuż obok przechodzili policjanci, technicy i personel sądowy.

– Przyszłaś, aby złożyć zeznanie? – zapytał w końcu D’Agosta.

– Nie. Zrobiłam to już miesiąc temu.

– A zatem nie masz nic do dodania?

– Nie.

D’Agosta poczuł dziwny dreszcz, gdy zdał sobie sprawę, co

naprawdę znaczyły jej słowa.

A więc nie powiedziała nikomu o moim udziale w wydostaniu Pendergasta z więzienia Herkmoor! Nie zamierza tego zrobić.

– Dostałam właśnie telefon od znajomej z Departamentu Sprawiedliwości – powiedziała. – To wiadomość z ostatniej chwili. Agent Pendergast został formalnie oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Wydział zabójstw oficjalnie otworzył ponownie całą sprawę i wszystko wskazuje na to, że my również zrezygnujemy z wystosowania jakichkolwiek oskarżeń przeciwko niemu. Na podstawie materiałów dowodowych z walizki Diogenesa Pendergasta wniesiemy o wystawienie listu gończego za Diogenesem. Pomyślałam, że chciałbyś to wiedzieć.

D’Agosta odetchnął z ulgą. – Dzięki Bogu. A więc naprawdę został oczyszczony ze wszystkich zarzutów.

– Tak. Jeżeli chodzi o przestępstwa kryminalne. Ale od siebie mogę powiedzieć, że nie zyskał dzięki temu nowych przyjaciół w FBI.

– Popularność nigdy nie była mocną stroną Pendergasta. Hayward uśmiechnęła się słabo. – Otrzymał półroczny urlop. Nie wiem, czy sam o to poprosił, czy narzucono mu go odgórnie. D’Agosta pokręcił głową.

– Pomyślałam też, że chciałbyś wiedzieć, co stało się z agentem specjalnym Spencerem Coffeyem.

– Tak...

– Poza tym, że na całej linii pokpił sprawę Pendergasta, facet nieźle namieszał w Herkmoor. Zrobił się z tego spory skandal. Coffey został zdegradowany, a na dokładkę zarobił jeszcze wilczy bilet. Przeniesiono go do placówki terenowej w Black Rock w Dakocie Północnej.

– Przydałyby mu się nowe ciepłe kalesony – wtrącił D’Agosta. Hayward uśmiechnęła się i oboje znów pograżyli się w milczeniu.

Krępująca cisza przedłużała się.

Od strony wind w ich stronę zmierzał zastępca przewodniczącego komisji dyscyplinarnej oraz prokurator z ramienia wydziału. Minęli D'Agostę i Hayward, witając ich zdawkowym skinieniem głowy, po czym weszli do sali sądowej.

– Teraz, kiedy Pendergast został oczyszczony z zarzutów, ty także z łatwością się wywiniesz – rzekła Hayward.

D'Agosta wlepił wzrok w swoje dłonie. – To inny rodzaj biurokracji.

– Owszem, ale kiedy..

Nagle zamilkła. D'Agosta uniósł wzrok, by ujrzeć Glena Singletona maszerującego korytarzem. Glen był jak zawsze nienagannie ubrany. Kapitan Singleton wciąż był oficjalnie przełożonym D'Agosty i bez wątpienia zjawił się tu, aby złożyć zeznania w jego sprawie. Na widok Hayward przystanął na chwilę wyraźnie zaskoczony.

– Kapitan Hayward – rzucił oschle. – Co pani tu robi?

– Przyszłam obejrzeć proces.

Singleton zmarszczył brwi. – Przesłuchanie przed komisją dyscyplinarną to nie rozgrywki sportowe.

– Wiem o tym.

– Złożyła pani zeznanie. Pani obecność, mimo iż nie wezwano pani do złożenia dodatkowego oświadczenia, może sugerować... – Singleton nie dokończył.

Na tę insynuację D'Agosta gwałtownie poczerwieniał. Rzucił okiem na Hayward i zdziwiło go to, co zobaczył. Jej oblicze nie było już chmurne, przepelniał je niezmacony spokój. Zupełnie jakby po dłuższym okresie wewnętrznych rozterek i zamętu podjęła wreszcie wiążącą decyzję.

– Tak? – zapytała łagodnym tonem.

– Może to sugerować, że nie jest pani w tym przypadku bezstronna.

– Ależ Glen – rzekła Hayward – czy nie pragniesz dla Vinniego

tego, co najlepsze?

Teraz to Singleton się zapłonił. – Oczywiście. Jasne, że tak. Prawdę mówiąc, po to tu właśnie przyszedłem, aby przedstawić oskarżycielowi nowe fakty. Nie chcielibyśmy, aby pojawiły się podejrzenia i jakiegokolwiek niejasne... Wpływy.

– Za późno – oznajmiła pospiesznie. – Jestem pod wpływem już od jakiegoś czasu.

A potem z rozmysłem wzięła D'Agostę za rękę.

Singleton patrzył na nich przez chwilę. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął, nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Wreszcie uśmiechnął się do D'Agosty i położył dłoń na jego ramieniu. – Do zobaczenia w sądzie, poruczniku – powiedział, kładąc specjalny nacisk na słowo „poruczniku”. W końcu odwrócił się i odszedł.

– Co to miało znaczyć? – zapytał D'Agosta.

– O ile znam Glena, powiedziałabym, że masz w tym sądzie przyjaciela.

Serce D'Agosty znów zabiło szybciej. Pomimo tego, co go czekało, czuł się szczęśliwy jak dziecko. Zupełnie jakby z jego barków zdjęto wielkie brzemie, z którego prawie nie zdawał sobie sprawy. Odwrócił się do niej energicznie. – Posłuchaj, Lauro...

– Nie, to ty posłuchaj. – Ujęła jego dłoń w dwie swoje i mocno ścisnęła. – Nieważne, co wydarzy się na tej sali. Rozumiesz, Vinnie?

Ponieważ cokolwiek się stanie, przydarzy się nam dwojgu. Tkwimy w tym razem.

Przełknął ślinę. – Kocham cię, Lauro.

W tej samej chwili drzwi do sali sądowej otwarły się i woźny sądowy wywołał jego nazwisko. Thomas Shoulders podniósł się z ławki, wychwycił spojrzenie D'Agosty i pokiwał głową. Hayward raz jeszcze ścisnęła dłoń D'Agosty – No chodź, chłopie – rzekła z uśmiechem. – Pora na twój występ.

Promienie popołudniowego słońca brązowiły wzgórza doliny Hudsonu, zmieniając szeroką, leniwie płynącą rzekę we wstęgę lśniącego akwamarynu; lasy porastające górę Sugarloaf i pasmo Breakneck zazieleniły się; całe zarośnięte Highlands przyoblekło się w nowy wiosenny strój.

Nora Kelly siedziała w wiklinowym fotelu na rozległym ganku Kliniki Faversham, podziwiając Cold Spring, rzekę Hudson i czerwone ceglane budynki West Point na drugim brzegu. Jej mąż krążył po ganku w tę i z powrotem, to kwitując wzrokiem malowniczy pejzaż, to spoglądając na zabudowania prywatnego szpitala.

– Denerwuję się, że znowu tu jestem – mruknął pod nosem. – Wiesz, Noro, ostatni raz przebywałem tu jako pacjent... O Boże, nie wiem, czy kiedykolwiek wspominałem ci o tym, ale gdy załamuje się pogoda, zdarza mi się, że wciąż czuję ból w krzyżu w miejscu, gdzie chirurg...

– Mówiłeś mi o tym – zapewniła z udawanym znużeniem. – Wiele razy.

Rozległ się zgrzyt przekręcanej klamki, cichy jęk zawiasów i drzwi na ganek otwarły się. W drzwiach pojawiła się ubrana na biało pielęgniarka. – Możecie państwo już wejść – powiedziała. – Czeka na państwa w zachodnim salonie.

Nora i Smithback weszli za pielęgniarką do budynku i ruszyli

wzdłuż długiego korytarza. – Jak ona się czuje? – Smithback zwrócił się do pielęgniarki.

– Jej stan dzięki Bogu znacznie się poprawił. Bardzo się o nią martwiliśmy, o to nasze maleństwo. Ale z każdym dniem jest już coraz lepiej. Mimo to szybko się męczy, będą państwo musieli ograniczyć czas wizyty do piętnastu minut.

– Nasze maleństwo – wyszeptał Smithback wprost do ucha Nory. Ta w odpowiedzi szturchnęła go łokciem w żebra.

Zachodni salon był dużym półkolistym pokojem, który przywodził Norze na myśl chatę w Adirondack: polerowane belki stropowe, sosnowa boazeria, meble z brzeziny. Na ścianach olejne płótna przedstawiające leśne krajobrazy. W masywnym kamiennym kominku wesoło buzował ogień. A pośrodku pokoju, na wózku inwalidzkim siedziała Margo Green.

– Margo – rzekła Nora i zamilkła, jakby bała się powiedzieć coś więcej. Usłyszała, jak stojący obok niej Smithback westchnął przeciągle.

Siedząca przed nimi Margo Green była jedynie cieniem tamtej krzepkiej, zuchwałej kobiety, z którą rywalizowała i zaprzyjaźniła się w muzeum. Przerażliwie schudła, przez jej białą jak płótno skórę prześwitywały wszystkie żyły. Ruchy miała powolne i niepewne jak ktoś, kto po dłuższej przerwie uczy się na nowo posługiwania się wszystkimi kończynami. A mimo to jej włosy wciąż były gęste i błyszczące, w oczach zaś migotały znajome żywiołowe iskierki.

Diogenes Pendergast odesłał ją do mrocznego, niebezpiecznego miejsca, utrzymując przez dłuższy czas na granicy śmierci, ale ta dzielna wytrzymała kobieta już powoli dochodziła do siebie.

– Witajcie – rzekła cichym, sennym głosem. – Którego dziś mamy?

– Jest sobota – odparła Nora. – Dwunasty kwietnia.

– To świetnie. Miałam nadzieję, że jest jeszcze sobota –

uśmiechnęła się.

Weszła pielęgniarka i zaczęła przez chwilę krzątać się przy Margo, poprawiając ją i usadawiając wygodnie na wózku. Następnie porozsuwała zasłony w oknach i wytrzepała poduszki, po czym ułożyła je z powrotem na łóżku. Do salonu wpłynęły promienie słońca, padając na twarz i ramiona Margo. Ozłocona nimi wyglądała prawie jak anioł. I poniekąd była nim, stwierdziła Nora, bądź co bądź balansowała na granicy życia i śmierci za sprawą niezwykłego koktajlu leków zaaplikowanych jej przez Diogenesa.

– Mamy coś dla ciebie, Margo – rzekł Smithback, sięgając za pazuchę i wyjmując z wewnętrznej kieszeni szarą papierową kopertę.
– Pomyśleliśmy że ci się to spodoba.

Margo wzięła od niego kopertę i powoli ją otworzyła. – Ojej, przecież to egzemplarz „Muzeologii”.

– Zajrzyj do środka, są tam podpisy wszystkich kustoszów z wydziału antropologii.

– Nawet Charliego Prine’a? – Oczy Margo rozbłysły. Nora zaśmiała się. – Nawet Prine’a.

Przystawili dwa krzesła obok wózka inwalidzkiego i usiedli.

– To miejsce jest strasznie nudne bez ciebie, Margo – rzekła Nora. – Musisz szybko wyzdrowieć.

– O tak – powiedział Smithback, uśmiechając się; jego nieodłączny dobry humor powrócił. – Ten stary moloch potrzebuje, by od czasu do czasu ktoś nim wstrząsnął, wzbijając kłęby kurzu ze skamielin.

Margo zachichotała. – Z tego, co czytałam, ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzeba muzeum, są jakiegolwiek kontrowersje. Czy to prawda, że podczas paniki, jaka wybuchła na ceremonii otwarcia grobowca, w popłochu zdeptano na śmierć cztery osoby?

– Tak – odrzekła Nora. – A sześćdziesiąt innych zostało rannych, w tym dwanaście ciężko.

Wymieniła spojrzenia ze Smithbackiem; zgodnie z informacjami, jakie wypłynęły w ciągu ostatnich dwóch tygodni od fatalnej uroczystości, awaria oprogramowania komputerowego sprawiła, że instalacja audiowizualna wyrwała się spod kontroli i w efekcie połączone błyski i dźwięki wywołały panikę wśród gości. Prawda, że w rzeczywistości mogło być znacznie gorzej, znana była zaledwie garstce wybrańców i miejscowej policji.

– Czy to prawda, że ucierpiał także dyrektor muzeum? – zapytała Margo.

Nora skinęła głową. – Collopy doznał jakiegoś udaru. Jest na obserwacji psychiatrycznej w New York Hospital, ale lekarze są dobrej myśli i liczą, że wkrótce powróci do zdrowia.

To była prawda, nie da się ukryć, ale nie cała. Collopy, a wraz z nim kilka innych osób, padł ofiarą instalacji typu światło i dźwięk zamontowanej przez Diogenesa; błyski laserów i dźwięki niskiej częstotliwości doprowadziły ich na skraj załamania nerwowego. To samo mogło stać się z Norą, gdyby nie zamknęła oczu i nie zasłoniła uszu. Mimo to przez cały tydzień męczyły ją koszmary. Pendergast i pozostali przerwali spektakl, zanim osiągnął fazę kulminacyjną, a wykorzystane przy jego realizacji sprzęty zdołały spowodować u ofiar trwałe uszkodzenia, i w rezultacie prognozy zarówno w przypadku Collopy'ego, jak i innych osób były pomyślne, znacznie bardziej optymistyczne niż wobec nieszczęsnego technika Lippera. Nora poruszyła się na krześle. Któregoś dnia opowie Margo o wszystkim, kiedyś, ale jeszcze nie dziś. Tę kobietę wciąż czekała długa rekonwalescencja.

– Jak sądzisz, co to oznacza dla muzeum? – spytała Margo. – Ta tragedia podczas otwarcia, tuż po niedawnej kradzieży brylantów?

Nora pokręciła głową. – Z początku wszyscy sądzili, że będzie to kropla, która przeleje czarę, zwłaszcza że wśród rannych znalazła się

żona burmistrza. Jednak jak się okazało, grobowiec Senefa jest najgłośniejszą i najpopularniejszą ekspozycją w mieście. Zamówienia na rezerwację biletów napływają nieprzerwanie. Dziś rano widziałam nawet, jak ktoś na Broadwayu handlował koszulkami z napisem „Przeżyłem klątwę Senefa”.

– A więc grobowiec zostanie ponownie otwarty? – spytała Margo.

Smithback pokiwał głową. – I to jak najszybciej. Większość artefaktów ocalała. W ciągu miesiąca wszystko powinno być już naszykowane i gotowe do ponownego rozruchu.

– Nad przygotowaniem ekspozycji czuwa nasza nowa egiptolog – rzekła Nora. – Dokonała pewnych drobnych korekt w scenariuszu, usuwając co bardziej soczyste efekty specjalne, ale ogólnie całe widowisko pozostało niezmienione. To wspaniała osoba, świetnie się z nią pracuje, jest zabawna, bezpretensjonalna, całe szczęście, że do nas trafiła.

– W wiadomościach podano, że do ocalenia gości w grobowcu przyczynił się w dużej mierze pewien agent FBI – rzekła Margo. – Czy nie był to czasem agent Pendergast?

– Jak na to wpadłaś? – spytała Nora.

– Tak się składa, że Pendergast ma skłonność do pakowania się w najrozmaitsze tarapaty. Kłopoty to jego specjalność.

– I kto to mówi – rzucił Smithback, a uśmiech na jego ustach nagle przygasł. Nora zauważyła, że jej mąż odruchowo rozmasowuje dłoń poparzoną kwasem.

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka. – Margo, za pięć minut muszę odwieźć cię do twego pokoju.

– Dobrze. – Znów się do nich odwróciła. – Podejrzewam, że od tamtej pory nasz znajomy agent snuje się po muzeum, zadając dziesiątki pytań, zastrasza biurokratów i wszędzie wtrąca swoje trzy grosze.

– Właściwie to nie – odparła Nora. – Zniknął zaraz po otwarciu. Od tamtej pory nikt go nie widział. Nie wiadomo, co się z nim stało.

– Naprawdę? To dziwne.

– Jeszcze jak – przyznała Nora. – To naprawdę bardzo dziwne.

W końcu maja, na wyspie Capraia dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, siedziało na tarasie przy świeżo pobielonym domu, skąd rozciągał się widok na Morze Śródziemne. Taras znajdował się przy skraju urwistego cypla. Poniżej fale przyboju obmywały kolumny czarnej wulkanicznej skały, w powietrzu zaś krążyły skrzeczące mewy. Dalej jak okiem sięgnąć rozciągał się bezmiar błękitu. Na stoliku z wysmaganego wiatrem, sprażonego słońcem drewna stały talerze z kawałkami salami, talerzyki z oliwkami i kieliszki z białym winem. W powietrzu czuć było ciężki aromat kwitnących cytryn mieszający się z zapachem dzikiego rozmarynu i morskiej soli. Słychać było tylko ciche skrzeczenie mew i szum wiatru szeleszczącego wśród altanki oplecionej fioletową bugenwillą.

Mężczyzna i kobieta siedzieli, sącząc wino i rozmawiając półgłosem. Ubranie, jakie miała na sobie kobieta – workowate płócienne spodnie i stara robocza koszula – silnie kontrastowało z jej szlachetnymi rysami i lśniącymi mahoniowymi włosami, które opadały jej na plecy. Kobieta miała na sobie luźny strój, mężczyzna zaś był ubrany z przesadną wręcz elegancją – w czarny garnitur o włoskim kroju, śnieżnobiałą koszulę i skromny, lecz gustownie dobrany krawat.

Oboje obserwowali trzecią osobę: piękną młodą kobietę w jasno-żółtej sukience, która spacerowała bez celu wśród oliwnego gaju poza

winnicą. Od czasu do czasu młoda kobieta schylała się, by zerwać jakiś kwiatek, po czym szła dalej, miętosząc kwiat między palcami, jakby od niechcenia obrywając jeden płatek po drugim.

– Chyba wiem już wszystko – rzekła kobieta siedząca na tarasie – z wyjątkiem jednego. Jak na miły Bóg udało ci się zdjąć z kostki bransoletkę z GPS-em, nie uruchamiając przy tym alarmu?

Mężczyzna lekceważąco machnął ręką. – To było dziecinnie proste. Wewnątrz plastikowej opaski znajdował się przewód zamykający obwód. Chodziło o to, by zdjąć opaskę bez konieczności przecięcia drutu, co spowodowałoby przerwanie obwodu i włączyło alarm.

– Co zatem zrobiłeś?

– Zdrapałem plastik w dwóch miejscach, aby odsłonić przewód. A potem podłączyłem do obu tych miejsc dłuższy drucik, przeciąłem bransoletkę pomiędzy nimi i zdjąłem ją. To dziecinnie proste, moja droga Violu.

– Ach, *je vois!* Ale skąd wzięłeś ten drucik?

– Zrobiłem go z cynfolii, a konkretnie z opakowań po gumie do żucia. Zmuszony byłem niestety do żucia wspomnianej gumy, ponieważ musiałem przymocować czymś obejście dla przewodu w opasce GPS.

– A guma? Skąd ją wzięłeś?

– Dostałem od znajomego z celi obok, nader utalentowanego młodego człowieka, który otworzył przede mną całkiem nowy świat rytmów i brzmień perkusyjnych. Dał mi jedną ze swych cennych paczek gumy do żucia. W zamian za małą przysługę, jaką mu wyświadczyłem.

– To znaczy?

– Po prostu go słuchałem.

Kobieta uśmiechnęła się. – Cóż, mamy to, na co zasługujemy.

– Być może.

– A skoro o więzieniu mowa, nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo się ucieszyłam, gdy otrzymałam twój telegram. Obawiałam się, że przez wieki nie pozwolą ci opuścić Stanów.

– Diogenes pozostawił w swojej walizce dość dowodów, aby oczyścić mnie z zarzutu o popełnienie morderstwa. W tej sytuacji pozostały mi już tylko trzy poważniejsze przestępstwa: kradzież Serca Lucyfera, porwanie gemmologa Kaplana i ucieczka z więzienia. Ani dyrekcja muzeum, ani Kaplan nie zdecydowali się wysunąć oskarżeń przeciwko mnie. Co się tyczy więzienia, tamtejszy naczelnik niczego nie pragnie bardziej, niż zapomnieć, że ich system bezpieczeństwa wbrew pozorom ma spore braki. I oto jestem tutaj. – Przerwał, by upić łyk wina. – Ale ja także mam pytanie. Jak to możliwe, że nie rozpoznałaś, że Menzies to w rzeczywistości mój brat. Przecież widziałas go wcześniej w przebraniu.

– Też się nad tym zastanawiałam – odparła Viola. – Widziałam go jako dwóch różnych ludzi, ale żaden z nich nie był Menziesem.

Zapadła cisza. Viola przeniosła wzrok na młodą kobietę w gaju oliwnym. – To doprawdy niezwykła dziewczyna.

– Prawda – przyznał mężczyzna. – Bardziej niezwykła niż mogłabyś sądzić.

Wciąż obserwowali młodą kobietę wędrującą leniwie wśród poskręcanych drzewek; wyglądała jak niespokojny duch.

– Jakim cudem została twoją podopieczną?

– To długa i dość skomplikowana historia, Violu. Opowiem ci ją któregoś dnia, obiecuję.

Kobieta uśmiechnęła się i upiła trochę wina. Przez chwilę oboje milczeli.

– Co powiesz o nowym roczniku? – zapytała. – Otworzyłam butelkę specjalnie na dzisiejszą okazję.

– Równie wyborny jak poprzedni. Pochodzi z tutejszych winorośli,

jak mniemam?

– Oczywiście, sama je zebrałam, a potem nawet wyciskałam tymi stópkami.

– Nie wiem, czy mam wpaść w zachwyt, czy może raczej w konsternację. – Sięgnął po kawałek salami i pokroił na plastry małym nożykiem. – Czy dzika także ustrzełaś osobiście, aby zrobić z niego te kiełbaski?

Viola uśmiechnęła się. – Nie, musiałam wyznaczyć sobie pewną granicę. – Spojrzała na niego z coraz większym zatroskaniem. – Bardzo się starasz okazywać dobry humor i pogodę ducha, Aloysiusie. Kosztuje cię to sporo wysiłku.

– Czy aż tak to widać? Wybacz.

– Bardzo się czymś przejmujesz. I nie wyglądasz zbyt dobrze. Sprawy nie potoczyły się po twojej myśli, prawda?

Zawahał się przez chwilę. Po czym wolno, bardzo wolno pokręcił głową.

– Chciałabym móc jakoś temu zaradzić.

– Twoja obecność jest niczym kojący balsam, Violu.

Znów się uśmiechnęła i powróciła wzrokiem do młodej kobiety.

– Aż trudno uwierzyć, że morderstwo, bo przecież nie sposób inaczej tego określić, mogło wywrzeć na nią tak oczyszczający wpływ, nieprawdaż?

– Tak. Mimo wszystko obawiam się, że ona wciąż pozostaje zranioną i kruchą istotą ludzką. – Zawahał się. – Teraz już wiem, że przetrzymywanie jej w izolacji w nowojorskiej rezydencji było błędem. Powinna wyjść z zamknięcia i zobaczyć choć kawałek świata. Diogenes wykorzystał właśnie to spośród wielu jej pragnień. Także w tym przypadku popełniłem błąd, pozwalając, by się z nim zetknęła i znalazła pod jego wpływem. Nigdy już nie uwolnię się od wstydu i poczucia winy.

– Rozmawiałeś z nią o tym? O twoich uczuciach, znaczy się. To mogłoby okazać się korzystne dla was obojga.

– Próbowałem. I to niejednym razem. Ale ona kategorycznie odmawia jakichkolwiek rozmów na ten temat.

– Może z czasem to się zmieni. – Viola potrząsnęła głową, jej włosy zafalowały – Dokąd zamierzacie się teraz udać?

– Byliśmy już we Francji, Hiszpanii i Włoszech. Najwyraźniej bardzo ją zaciekały ruiny starożytnego Rzymu. Robiłem, co w mojej mocy, aby nie myślała o tym, co się wydarzyło. Mimo to, jak sama widzisz...

– Sądzę, że Constance najbardziej potrzebuje teraz, by nią pokierować.

– Ale w jaki sposób?

– No wiesz. Jak ojciec z córką.

Pendergast nerwowo poruszył się na krześle. – Nigdy nie miałem córki.

– Teraz już masz. I wiesz co? Myślę, że ta wielka podróż, którą wymyśliłeś przez wzgląd na nią, nie spełnia pokładanych w niej oczekiwań.

– Też o tym pomyślałem.

– Potrzebujecie uzdrowienia, i to oboje. Musicie się z tym jakoś wspólnie uporać, pozbyć się tego brzemienia.

Pendergast milczał przez chwilę. – Szczerze mówiąc, myślałem, by na jakiś czas odseparować się do świata.

– Doprawdy?

– Jest pewien klasztor, w którym spędziłem niegdyś trochę czasu. Leży w wyjątkowo odludnym zakątku świata, w zachodnim Tybecie. Pomyślałem, że moglibyśmy się tam udać.

– Jak długo cię nie będzie?

– Tak długo, jak to będzie konieczne. – Upił łyk wina. –

Podejrzewam, że kilka miesięcy.

– Ta przerwa może okazać się zbawienna w skutkach. Ale nasuwa mi się jeszcze jedno pytanie. Co dalej będzie... z nami?

Powoli odstawił kieliszek. – Wszystko.

Zapadła chwila ciszy – Co chcesz przez to powiedzieć? – rzuciła półgłosem.

– Wszystko stoi przed nami otworem – odrzekł powoli Pendergast.

– Kiedy już uporam się z problemami Constance, przyjdzie czas na nas.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. – Mogłabym ci pomóc, jeśli o nią chodzi. Zimą zabrałabym ją ze sobą do Egiptu. Przydałaby mi się asystentka. Życie archeologa jest burzliwe, pełne dramatycznych i ekscytujących przygód.

– Mówisz serio?

– Oczywiście.

Pendergast uśmiechnął się. – Doskonale. Myślę, że to się jej spodoba. A tobie?

– Mnie... chyba też.

Constance podeszła do nich i oboje w jednej chwili zamilkli.

– Jak ci się podoba Capraia? – rzuciła Viola, gdy dziewczyna weszła na terrazzo.

– Bardzo tu ładnie. – Podeszła do balustrady, wyrzuciła zmietoszony kwiatek i oparłszy dłonie na ciepłym kamieniu, utkwiała wzrok w szafirowy bezmiar morza.

Viola uśmiechnęła się i szturchnęła Pendergasta łokciem. – Powiedz jej, jaki jest plan – wyszeptała. – Zaczekam w środku.

Pendergast wstał i podszedł do Constance. Wciąż stała przy balustradzie, wpatrując się w morze; wiatr rozwiewał jej długie włosy.

– Viola zaproponowała, że zimą zabierze cię ze sobą do Egiptu,

abyś mogła wziąć z nią udział w wykopaliskach w Dolinie Królów. Mogłabyś nie tylko dowiedzieć się czegoś o starożytności, lecz również jej własnoręcznie dotknąć.

Constance, wciąż wlepiając wzrok w morze, pokręciła głową. Zapadła długa cisza przerywana jedynie odległym skrzeczeniem mew i stłumionym szumem fal rozlegającym się poniżej.

Pendergast podszedł bliżej. – Musisz się od tego uwolnić, Constance – powiedział. – Jesteś już bezpieczna. Diogenes nie żyje.

– Wiem – odparła.

– Wobec tego uwierz, że nie musisz się już niczego obawiać. Skończone. Już po wszystkim.

Wciąż milczała, w jej niebieskich oczach odbijał się bezmiar lazurowej pustki morza. W końcu odwróciła się do niego. – Nie jest po wszystkim – odparła.

Pendergast spojrzał na nią, marszcząc brwi. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Milczała przez chwilę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – powtórzył.

Wreszcie Constance znów się odezwała. Głos miała tak znużony i lodowaty, że mimo słonecznego i upalnego majowego dnia Pendergast poczuł, iż krew zastyga mu w żyłach.

– Jestem w ciąży – oznajmiła.

Od autorów

Często pytają nas, w jakiej kolejności – o ile jest takowa – należałoby czytać nasze książki.

Pytanie to dotyczy przede wszystkim powieści z udziałem agenta specjalnego Pendergasta. Choć większość z naszych książek to powieści samodzielne, odrębne, które można czytać pojedynczo, akcja niektórych z nich toczy się w tym samym tworzonym przez nas świecie. Tak się jakoś złożyło, że im więcej powieści wspólnie piszemy, tym więcej pojawia się w nich znajomych miejsc, postaci i nawiązań do wydarzeń opisywanych w innych naszych książkach. Bohaterowie jednej z nich pojawiają się w kolejnych lub pewne wydarzenia, dotąd zaledwie zasugerowane, znajdują rozwinięcie w następnej powieści. Innymi słowy, od lat powoli i z mozołem budujemy własny świat, w którym postacie i ich przygody zazębiają się ze sobą i nakładają wzajemnie.

Nie jest konieczne czytanie naszych książek w jakiejś konkretnej kolejności. Pracowaliśmy usilnie, aby niemal wszystkie nasze pozycje można było czytać odrębnie, bez konieczności sięgania po wcześniejsze czy późniejsze, choć są pewne wyjątki.

A oto krótka lista naszych powieści z adnotacjami na ich temat.

Relikt był naszą pierwszą powieścią i również pierwszą, w której pojawił się agent specjalny Pendergast.

Relikwiarz jest kontynuacją *Reliktu*.

Gabinet osobliwości to nasza trzecia powieść z Pendergastem, samodzielna, niepołączona z dwiema poprzednimi.

Kolejna to *Martwa natura z krukami*, to także osobna książka (choć osoby zainteresowane postacią Constance Greene znajdą tu pewne informacje na jej temat, podobnie jak w *Gabinecie osobliwości*).

Potem jest *Siarka*, pierwsza powieść z cyklu, który nieformalnie określamy mianem trylogii Diogenesa Pendergasta. Choć to zamknięta historia, znajdują się w niej nawiązania do wydarzeń opisywanych w *Gabinecie osobliwości*.

Taniec śmierci to środkowy tom trylogii Pendergasta. Choć można tę książkę czytać samodzielnie, zachęcamy, aby czytelnik sięgnął wcześniej po *Siarke*.

Księga Umarłych to zamknięcie trylogii Pendergasta. Dla zapewnienia pełniejszych wrażeń, czytelnik powinien wcześniej przeczytać przynajmniej *Taniec śmierci*.

POWIEŚCI BEZ PENDERGASTA

Napisaliśmy również kilka książek przygodowych, w których nie występuje agent specjalny Pendergast. Są to w kolejności wydania: *Laboratorium*, *Zabójcza fala*, *Nadciągająca burza* i *Granica lodu*. W *Nadciągającej burzy* pojawia się po raz pierwszy archeolog Nora Kelly, którą czytelnicy mogą znać z naszych późniejszych książek o Pendergastie. W *Granicy lodu* głównym bohaterem jest Eli Glinn, który występuje także w *Tańcu śmierci* i *Księdze Umarłych*.

Na koniec pragniemy zapewnić naszych czytelników, że niniejsze posłowie nie ma pełnić funkcji uciążliwego konspektu, lecz raczej odpowiedzi na pytanie: w jakiej kolejności należałoby czytać wasze książki? Jesteśmy radzi, że są osoby takie jak wy, którym lektura naszych powieści sprawia równie wielką frajdę jak nam ich pisanie.

Pozdrawiamy serdecznie,

Douglas Preston i Lincoln Child.